

LUD

ORGAN TOWARZYSTWA LUDO-
ZNAWCZEGO WE LWOWIE

POD REDAKCYĄ

K. POTKAŃSKIEGO I S. UDZIELI

Z ILUSTRACYAMI W TEKSCIE.

W KRAKOWIE MCMV. NAKŁADEM TOWARZYSTWA LUDOWNICZEGO
W Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego.

SKŁAD GŁÓWNY W WARSZAWIE: E. WENDE I SP. KRAK. PRZEDM. 9.
ADRES REDAKCYI: KRAKÓW, ULICA KRUPNICZA L. 17, II-GIE. PIĘTRO.

Treść I zeszytu:

1. Dobrzycki Stanisław: Humor i dowcip w Polsce XVI wieku	1
2. Czaja Stanisław: Szopka krakowska	17
3. Potkański Karol: Z wierzeń i przesądów ludu na Podhalu	51
4. Ćwikowski Jan: Stroje ludowe w parafii Łącko w pow. nowosądeckim	56
5. B. J. K. z Gniezna: Materiały historyczne	63

Drobniejsze rozprawki i wiadomości.

Dobrzycka Eleonora: Maj, str. 67. — Dr. S. E.: Do historii drzewka Bożego Narodzenia (sadu), str. 69. — Gonet Szymon: Nazwiska w Inwaldzie koło Andrychowa, str. 69. — S. U.: Lachy, str. 70. — Czyżewicz Stanisław: Zabawa we wójta w Sterkowcu (pow. Brzesko), str. 72. — Hradecka Stanisława: Zagadki z Wierzbanowej (pow. Wieliczka), str. 73. — Ks. Sadowski Jan: Lanie świec woskowych w Witanowicach w powiecie wadowickim, str. 73. — S. U.: Kilka zapisków z Starego Bystrego, str. 76. — Łaska Bronisława: Powitanie księżycy na nowiu, str. 81. — Łaska Bronisława: Włosy rude, str. 81.

Poszukiwania.

82

Sprawy Towarzystwa.

Sprawozdanie z posiedzeń Zarządu Głównego, str. 85. — Posiedzenia naukowe, str. 93. — Posiedzenia Komitetu zarządzającego obchód jubileuszowy, str. 95. — Oddział podgórski, str. 95.

Kronika.

Od redakcyi, str. 97. — Obchód jubileuszowy Tow. ludozn., str. 97. — Dzieła etnograficzne Oskara Kolberga, str. 98. — Wystawa sztuki ludowej w Sądeczyźnie, str. 98. — Nauczyciele ludowi lwowscy przy pracy etnograficznej, str. 99. — O kołędnicach na Huculach, str. 100. — Das Volkslied in Oesterreich, str. 100. — Wystawa koronek i haftów białych w Wiedniu, str. 100. — † Marya Hemplówna, str. 100. — † Walery Eliazs Radzikowski, str. 102. — † Marya Wysłouchowa, str. 103. — † Adolf Bastian, str. 103.

Literatura.

A. Przegląd czasopism: Dr. Wład. Kosiński: Tygodnik ilustrowany, Warszawa 1904, str. 104. — B. Przegląd książek: Seweryn Udziela: Materiały Tow. Polskiej sztuki stosowanej V. Kraków 1904, str. 108. — S. Udziela: Ks. J. Londzin, Bibliografia druków polskich w Księstwie Cieszyńskim od r. 1716 do r. 1904, Cieszyn 1904, str. 109. — Dr. Stan. Ździarski: Polivka Georg: Zu der Erzählung von der undankbaren Gatin., str. 111. — C. Bibliografia: str. 112.

L U D.

LUD

ORGAN TOWARZYSTWA LUDO-
ZNAWCZEGO WE LWOWIE

POD REDAKCYĄ

K. POTKAŃSKIEGO I S. UDZIELI

TOM XI.

Z NUTAMI I ILUSTRACYAMI W TEKSCIE.

W KRAKOWIE MCMV. NAKŁADEM TOWARZYSTWA LUDOZNAWCZEGO
W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO.

SKŁAD GŁÓWNY W WARSZAWIE: E. WENDE I SP. KRAK. PRZEDM. 9.
ADRES REDAKCYI: KRAKÓW, ULICA KRUPNICZA L. 17, II-GIE PIĘTRO.



Ca. 2117/1905

SPIS RZECZY

zawartych w XI. roczniku „Ludu“.

	str.
Bruchnalski Wilhelm: Pióro jako ozdoba wojaków i junaków i tak zwana prośba o pióro	225
Ćwikowski Jan: Stroje ludowe w parafii Łącko w powiecie nowo-sądeckim	56
Czaja Stanisław: Szopka krakowska	17, 130
Dobrzycki Stanisław: Humor i dowcip w Polsce XVI wieku	1, 113
Dobrzycki Stanisław: Ludowość w Sobótce Kochanowskiego	292
Gargas Zygmunt: W sprawie badań nad sprawnością ekonomiczną szczepów ludowych	345
Gawroński Rąwita Franciszek: Geneza legendy o smoku w związku z istnieniem człowieka czwartorzędowej epoki	243
Janik Michał: Ludność polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej	249
Łopaciński Hieronim: Próba wyjaśnienia początku jednej z zapomnianych gier dziecięcych	280
Matusiak Szymon: O zbieraniu imion własnych	271
Potkański Karol: Z wierzeń i przesądów ludu na Podhalu	51
Ks. Sadowski Jan: Młocka w powiecie wadowickim	171
Smólski G.: Ślady słowiańskie na ziemiach dawnej Recyi i Win- delicyi	355
Świętek Jan: Liczby 3 i 9 w mitach, wyobrażeniach, mistycznych praktykach i w zwyczajach ludowych	371
Taroni Feliks: Kapliczki i krzyże przydrożne na Spiżu	164
Udziela Maryan: Przyczynki do medycyny ludowej	394
Udziela Seweryn: O potrzebie zestawienia i uporządkowania opowiadań ludowych	389

Materyały historyczne.

Bujak Franciszek: »Odpowiedź« czyli »wrażda« u ludu w XVII w.	179
B. J. K. z Gniezna: Wzmianki o zabobonach w książce Ks. Mar- cina Krajewskiego »Nabożeństwo parafialne« z 1800 r.	63

	str.
B. J. K. z Gniezna: Używanie cymbałów w muzyce i piosnek białoruskich na dworach polskich w 1710 r.	181
B. J. K. z Gniezna: Odczynianie uroków w 1792 r.	182
B. J. K. z Gniezna: Sobótki w mieście Wałczu w XVII wieku	183
B. J. K. z Gniezna: Wzmianka o »Monumenta historica dioceseos Vladislaviensis«	184
B. J. K. z Gniezna: »Latawiec« w XVII wieku	402
Kipa Emil: Nieznana piosnka flisacka z XVII wieku	306
Udziela Seweryn: Odszczekiwanie obmowy	306

Drobniejsze rozprawki i wiadomości.

Ks. Blachut Augustyn: Zwyczaje dawniejsze w Kamieniu, powiat krakowski	196
— Uroczystość poświęcania pól w Kamieniu	308
C. Stefan: Nazwy topograficzne	190
Czyżewicz Stanisław: Zabawa we wójta w Sterkowcu	72
Dobrzycka Eleonora: Maj	67
Estr. Stanisław: Do historii drzewka Bożego Narodzenia	69
Gonet Szymon: Nazwiska w Inwałdzie	69
— Wierzenia ludu w okolicy Andrychowa	194
Hradecka Stanisława: Zagadki z Wierzbanowej	73
Kallas Aniela: Garść zapisków z Bolestraszyce	411
Kosiński Władysław: Legenda o Matce Boskiej	187
Kruczkowska Stanisława: Gromnice w Opatkowicach	185
Łaska Bronisława: Powitanie księżycy na nowiu	81
— Włosy rude	81
Madłowna Nimfa: Topielec w Czeladzi	311
Maksonowa: Dusza po śmierci	316
Potkański Karol: Wiatr	195
— Sprowadzanie deszczu	316
Pyrek Jan: O księdzu i parobku	186
Różańska Janina: Uroczystość św. Jana Nepomucena	416
S. Justyna: Pisanki we wsi Mołodycz	188
Ks. Sadowski Jan: Lanie świec woskowych w Witanowicach	73
Taroniowa Helena: Opowiadania z pod Krakowa	312
Udziela Seweryn: Lachy	70
— Kilka zapisków ze Starego Bystrego	76
— Czarownica w Sieprawiu	192
— Strój świąteczny wieśniaka w Podegrodziu	195
— Z Łęk	406
— Budownictwo	414
W. Józef: Garncearstwo w Kołaczycach	196

Poszukiwania.

- Święty Stanisław Szczepanowski. — Przyczynków dostarczyli: Czaja Stanisław i dr. Fr. Kręek 83, 198, 317
- Pierwszy grzmot. — Przyczynków dostarczyli: Czaja Stan., Potkański Karol, Kręekowa Aleksandra i Mleczek Teofil 84, 199, 317, 318
- Maj, gaik. — Przyczynków dostarczyli: Czaja Stan., dr. Fr. Kręek i K. C. 84, 199, 318, 319

Sprawy Towarzystwa.

- Sprawozdania z posiedzeń Zarządu głównego 85, 324, 423
- Posiedzenia naukowe 93
- Przebieg obrad na XI Walnem Zgromadzeniu Towarz. ludoznaw. . . 323
- Bilans Towarzystwa ludoznawczego za rok 1904 86
- Preliminarz Towarz. ludozn. na rok 1905 90
- Sprawozdanie z czynności dziesięcioletniej Towarz. ludoznawczego we Lwowie 320
- Posiedzenia Komitetu urządzającego obchód jubileuszowy 95
- Przebieg obrad Zjazdu Towarz. ludoznaw. we Lwowie w czerwcu 1905 r. 417
- Wystawa etnograficzna 420
- Oddział podgórski 95

Kronika.

Obchód jubileuszowy Towarzystwa ludoznawczego, str. 97. — Dzieła etnograficzne Oskara Kolberga, str. 98. — Wystawa sztuki ludowej w Sądeczyźnie, str. 98. — Nauczyciele ludowi lwowscy przy pracy etnograficznej, str. 99. — O kołednikach na Huculach, str. 100. — Das Volkslied in Oesterreich, str. 100. — Wystawa koronek i haftów białych w Wiedniu, str. 100. — Ś. p. Marya Hemplowna, str. 100. — Ś. p. Walery Eliaz Radzikowski, str. 102. — Ś. p. Marya Wysłouchowa, str. 103. — Ś. p. Adolf Bastian, str. 103. — Komisya antrop. Akad. Umiej., str. 201. — Wystawa budownictwa polskiego w Krakowie, str. 203. — Ś. p. Kazimierz Mokłowski, str. 204. — Odezwia do amatorów fotografii, str. 204. — Rękopisy ś. p. Edwarda Rulikowskiego, str. 326. — Oddział etnograficzny w Muzeum Narodowym w Krakowie, str. 326. — Studenckie muzeum etnograficzne w Helsingforsie, str. 327. — Wychodźstwo z Galicyi, str. 327. — Karty korespondencyjne, str. 328. — Mankietniki, str. 426. — Badania wsi polskiej w stuleciu XIX, str. 426. — Wystawa etnograficzna w Rzeszowie, str. 427.

Literatura.

Str.

- A. Przegląd czasopism:
- Tygodnik ilustrowany, Warszawa 1904 r. (Wl. Kosiński) . . 104, 205, 329

	str.
Nasze Kłosa, Warszawa 1904 r. (Wład. Kosiński)	210
Ognisko, Warszawa 1903—4 r. (Stan. Czaja)	428
Zeitschrift für oesterreich. Volkskunde, Wien 1904 r. (Bolesław Tyne)	211
B. Przegląd książek:	
d'Almeras Henryk, Małżeństwo u różnych narodów, Warszawa, 1904 r. (Stanisław Czaja)	220
Gregor ks. Józef, Mapa Górnego Szląska z uwzględnieniem stosunków językowych, Mikołów, 1904 r. (Seweryn Udziela)	343
Londzin ks. Józef, Bibliografia druków polskich w Księstwie Cieszyńskim od r. 1716 do 1904, Cieszyn, 1904 r. (Sew. Udziela)	109
Łopaciński Hieronim, Ślady powodzi u nas, Warszawa, 1904 r. (Mieczysław Treter)	341
Polivka Jerzy, Zu der Erzählung von der undankbaren Gattin, Berlin, 1903 r. (Stanisław Ździarski)	111
Polivka Jerzy, Pohadkoslovne studie, Praga 1904 r. (Stan. Ździarski)	435
Stahel Karol, Wspomnienia o Słucku, Gniezno, 1905 r. (Bolesław Tyne)	212
Materyały Towarzystwa »Polska Sztuka stosowana« Zeszyt V i VI, Kraków, 1904 i 1905 r. (Seweryn Udziela)	108, 341
C. Bibliografia	112, 224, 344
Od Redakcyi	97, 440
Polemika	439
Sprostowania	224



HUMOR I DOWCIP W POLSCE XVI. WIEKU

napisał

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Umyślnie używam określenia »Humor i dowcip w Polsce« a nie »Humor i dowcip polski«. Z tem drugim określeniem bowiem wiązałoby się zadanie, którego na tem miejscu nie mogę się podjąć.

Chodziłoby mianowicie w tym razie o to, aby określić specyficzne cechy i znamiona humoru i dowcipu polskiego w epoce Odrodzenia, w odróżnieniu od dowcipu narodów innych. Zadanie to niewątpliwie bardzo pojętne, bardzo wdzięczne, w razie spełnienia walny przyczynek do poznania kultury polskiej, ale w obecnych warunkach tak jeszcze trudne, że najlepiej będzie cofnąć się przed niem. Nie mówię już o tem, że w takim razie należałoby się uporać z kwestyą, jak trzeba komizm pojmować (aby mieć podstawę do wywodów szczegółowych), a kwestya to niełatwa: »Najwięksi myśliciele, od Arystotelesa począwszy, próbowali sił swych na łatwym tym na pozór problemacie. Lecz problemat ten zawsze wymyka się z pod wszelkiej próby systematycznego ujarzmienia go i znowu się podnosi, zuchwale, wyzywając myślenie filozoficzne« (Bergson, Śmiech, Studium o komizmie. Lwów-Warszawa 1902, str. 1). Ale najważniejszą przeszkodą byłby fakt, że humor i dowcip polski XVI. wieku wogóle jeszcze wcale nie był opracowany; są opracowania pojedynczych autorów lub pism humorystycznych (np. Figliki Reya przez Chrzanowskiego,

Fraszki Kochanowskiego przez Zatheya, i i.), ale najpierw i te prace szczegółowe nie zajmują się specjalnie rozbiorem humoru i dowcipu, nie komizm rozbieganych dzieł jest ich punktem wyjścia, a powtórę nikt nie pokusił się dotąd o rozpatrywanie całości, sumy objawów, składających się na humorystykę polską renesansową. Otóż w pracy, która poprzedników nie ma a na terenie trudnym się porusza, lepiej sobie postawić zadanie skromniejsze. Więc nie będziemy się wcale kusili o to, aby wyznaczyć cechy osobiste dowcipu polskiego w epoce Odrodzenia, za to rozpatrzmy sobie i zsegregujemy objawy tego dowcipu i humoru, jak się w ówczesnej Polsce przedstawiają. Pomieszanie w nich pierwiastków i motywów obcych z rodzimymi jest tak wielkie, że niepodobna ich na razie rozdzielić. Możemy je tylko układać w pewne grupy. Będzie to praca tylko z grubsza, ale kto karczuje las, nie jest jeszcze obowiązany stawiać na jego miejscu pałacu, wystarczy, jeżeli przygotuje miejsce.

Powyższe kilka słów wydały mi się koniecznymi, aby zapobiedz możliwemu nieporozumieniu między autorem a czytelnikiem.

Obok tego jeszcze zastrzeżenie drugie. Tylokrotnie parafrazowane i adoptowane zdanie: powiedz mi, co czytasz (...z kim się wdajesz..., co jesz... itd.), a powiem ci, kim jesteś, zastosowano także do dowcipu i do humoru, i powiedziano: powiedz mi, z czego się śmiejesz, a powiem ci, kim jesteś. Czyli: z tego, jak się człowiek śmieje, i z jakich pobudek, co mu się wydaje śmiesznem, wnioskujemy o jego poziomie i jakości umysłowej. Otóż zdanie to, jak mniej więcej wszystkie zdania ogólne, w świetle faktów nieco się załamuje. Zwłaszcza gdybyśmy je zastosowali w całej rozciągłości do humorystyki i humorystów polskich XVI. wieku, natknęlibyśmy się na rzeczy wprost niezrozumiałe. Polska XVI. wieku w najwyższych nawet swoich reprezentantach duchowych śmieje się zwykle w sposób prostacki, szeroko otwierając usta, a śmieje się zbyt często z rzeczy, na które my dzisiaj wzruszamy ramionami. Ojciec naszej literatury, że nie był zbyt wybredny ani subtelny, to wiemy, więc jego żarty i śmiech nas nie dziwią; ale Górnicki, Kochanowski! tych po prostu czasem pojąć nie możemy, tak rzecz nam się nie zdaje godną uśmiechu, a oni tak się z niej cieszą! Otóż

gdybyśmy z tych faktów wnioskowali o umysłowości Górnickiego lub Kochanowskiego, wnioskowanie wypadłoby fatalnie i niezgodnie z rzeczywistością. Nie należy więc przypisywać humorystyce większego niż ma znaczenia dla psychologii jednostek czy narodów; nie należy też przenosić naszych dzisiejszych pojęć do wieków dawnych.

Nie będąc jedynem lub najważniejszym, dowcip jest jednakże świadectwem psychologicznem jednym z ważniejszych, a zdanie powyżej przytoczone ma znaczenie niemałe, jeżeli je stosujemy do faktów w zakresie ułamkowym. Zwłaszcza dla epok dawniejszych. Tam humorystyka dodaje ogólnemu obrazowi psychologicznemu wiele życia. Bez niej portret osoby czy epoki byłby jakiś sztywny i konwencyonalny, z nią nabiera więcej żywotnej cery, staje się prawdziwszym.

Stąd rozwija się też potrzeba badania wesołości Polski XVI. wieku. Ta Polska, którą znamy z aktów, dokumentów, z kronik, z poważnych dzieł literackich, jest jakby niekompletną, czegoś nam w jej obrazie brakuje. Brak ten uzupełnimy, czytając czy to Figliki Reya, czy niezliczone Fraszki z Kochanowskim na czele, czy akta Rzeczypospolitej Babińskiej, czy zachowane przez Górnickiego wiadomości o rozmaitych żartach i figlach, jakie sobie Polacy ówczesni płątali.

»Wiek szesnasty« nie stanowi dla humoru polskiego jakiejś ściśle zaokrąglonej jednostki; humor wieku XVII., zwłaszcza w pierwszych dziesiątkach, jest w istocie swej taki sam, jak w stuleciu poprzedniem. Ograniczanie więc naszego przedmiotu wiekiem »szesnastym« jest czysto mechaniczne. Możemy go też w pewnym punkcie przerwać. Tym punktem zaś będzie mniej więcej śmierć Kochanowskiego. Nawet uzyskamy w takim razie coś na kształt punktu granicznego, wynikającego z samej rzeczy, a nie wziętego dowolnie. Ze śmiercią Kochanowskiego kończą się jego fraszki, wykwit dowcipu i humoru polskiego w tych czasach; równocześnie zaś w epoce przed tą datą mieści się Górnicki z Dworzaninem i Rey. W tych trzech pisarzach zaś zawiera się największa suma i najlepsza jakość polskiej humorystyki Odrodzenia.

Jeszcze jedna uwaga na zakończenie tego — może już przydługiego — wstępu. W teoretyczne określania i odróżniania humoru od dowcipu wdawać się tu nie możemy; musimy

przypuścić ciche porozumienie się piszącego z czytającym co do znaczenia tych dwóch wyrazów. W każdym razie zaakcentujmy silnie, że co innego jest humor, co innego dowcip, chociaż są one w bliskim z sobą związku; humor będzie stanem umysłu, dowcip produktem pewnego stanu; można mieć humor bez dowcipu i odwrotnie, choć prawdą jest, że dowcip częściej rozwinie się na podłożu humoru aniżeli na innym; zdolność do dowcipu każe przypuszczać jakieś większe zróżniczkowanie i pogłębienie umysłu, aniżeli zdolność do humoru. I kiedy rozważamy obydwie te zjawiska chronologicznie, to humor w najrozmaitszych postaciach pojawia się w epokach najdawniejszych, dowcip zaś wstępuje na arenę tem więcej, im więcej zbliżamy się do czasów nowszych. Wiadoma też rzecz (choćby z Kultury Odrodzenia we Włoszech Burckhardta), że dowcip, w pełnem znaczeniu tego słowa, jest produktem Odrodzenia.

I.

W Polsce średniowiecznej humor i dowcip wydaje się, jak gdyby był monopolem pewnej tylko grupy ludzi, komików zawodowych. Rozmaici »jigrecy« i »wily« rozweselali publiczność średniowieczną. Dowcip to był i humor więcej cyrkowy; to też i samo rzemiosło i jego przedstawiciele nie cieszyli się poważaniem. Ale poza tem z pewnością była humorystyka nieco lepsza i wyższa; ślady jej bardzo nieliczne zachowały się np. w kazaniach: dla pobudzenia uwagi słuchacza kaznodzieja wywody swoje przeplatał opowiadaniem, historyjkami, między którymi tu i ówdzie zaplatała się historyjka wesoła, czyli anegdotka. Anegdotka jest najwyższym wytworem humoru w Polsce średniowiecznej; o innych jego stopniach nie mamy świadectw. Zapewne były. Musiała być np. gra słów, pierwszy znów stopień dowcipu. Ale literatura polska średniowieczna, ograniczona na pole religijne i prawnicze, nie przechowała ich. Są jakby próby humoru czy dowcipu w natrząsaniach się śmierci z Polikarpa (Rozmowa magistra ze śmiercią = prologus de morte), albo w satyrze na leniwych chłopów (w której można ostatecznie dopatrzeć się niejakej, bardzo nierozwiniętej zresztą, zdolności autora do takiego grupo-

wania wyników obserwacji, że ostatnie ich wrażenie będzie z pewnym dodatkiem humoru) — wogóle jednakże świadectw brak, średnie wieki pod tym względem wobec nas milczą.

Mówi za to wiek szesnasty. Ma on na swoje usługi literaturę rozwiniętą niezmiernie w porównaniu z epoką poprzednią, i ta literatura przechowała nam przykłady dowcipu i humoru średniowiecznego. Równocześnie zaś przechowała nam humorystkę renesansową. Bo wiek XVI w Polsce, to nie cała pełnia Odrodzenia, jak to było we Włoszech lub we Francyi. Odrodzenie polskie zaczyna się naprawdę dopiero gdzieś w połowie tego stulecia. Stąd literatura polska w pierwszych dziesiątkach XVI. wieku jest co do istoty swej raczej średniowieczną. Dalej: nie było między wiekami średnimi a Odrodzeniem jakiejś przepaści, ale było przejście. W literaturze polskiej ta przejściowość objawiła się doskonale w pisarzu, pod którego znakiem obecnie jesteśmy, w Reyu. Wreszcie zaznaczyć trzeba, że mnóstwo faktów duchowych ze średniowiecza przeszło do Odrodzenia i do czasów nowszych. Zwykle wyobrażamy sobie Odrodzenie jako coś, co nie ma związku z latami, poprzedzającemi je; zapatrywanie to okazuje się z postępem badań coraz mylniejszem. W szczególności co do naszego tematu należy pamiętać, że humorystyka renesansu jest bogatszą, więcej rozwiniętą i więcej pogłębioną, aniżeli jej poprzedniczka, ale że z niej wzięła bardzo wiele i że jest jej jakby dalszym ciągiem, z bocznym przypiływem pewnej ilości nowych pierwiastków.

Na samym wstępie do wieku XVI, jako jeden z najwcześniejszych druków polskich, pojawia się w r. 1521 Marchołt (»Rozmowy które miał król Salomon mądry z Marchołtem grubym a sprośnym, a wszakoż jako o niem powiedają barzo zwymownym, z figurami i z gadkami śmiesznymi«), książka pochodzenia niepolskiego, przekład z łaciny średniowiecznej. Jest to w literaturze polskiej najlepszy okaz humorystyki średniowiecznej. Na dnie pisemka leży myśl o wyższości zdrowego »chłopskiego« i naturalnego rozsądku i dowcipu (Marchołt) nad książkowym, uczonym (Salomom). Myśl ta odziała się w szaty humorystyczne. Salomon z Marchołtem »gadają się«; na każdą sentencję króla Marchołt odpowiada jej parafrazą, rubaszną, sprośną bardzo często, humorystyczną dla ówczesnych czytelników.

ników. Poczem udowadnia królowi słusność swych twierdzeń: że zajęć ma w ogonie tyle stawów, co w grzbiecie, — że sroka ma tyle pierza białego ile czarnego, — że dzień jest bielszy niż mleko, — że, niewieście tajemnicy żadnej powierzać nie można; wszystko zagadnienia najzupełniej w duchu średnio-wiecznym.

Kilka próbek z Marchołta.

Opisanie osoby Marchołta i jego żony: »Wzrost Marchołów był krótki, mały a mięszy, głowę miał wielką, czoło szerokie, czerwone a zmarszczone, uszy kosmate a zwieszane do półlica, oczy mięsze a płynące, wargę spodnią mało niejako u wałacha, brodę smrodliwą a kosmatą jakoby u kozła, ręce jakoby klocki, palce krótkie a mięsze, nogi okrągłe, nos mięszy a garbaty, wargi wielkie a mięsze, oblicze jakoby u osła, włosy jakoby na kozle, obów nóg jego była chłopska a barzo gruba, skóra jego kosmata a błotna, suknia jego krótka telko do łędźwi, nogawice jego farbowane, odzienie jego farby barzo grubej. Żona też jego była malutka a barzo mięsza,..., włosy jej były jakoby szczeciny, brwi wielkie ostre a smrodliwe jakoby na grzbiecie u wieprza, brodę jakoby u kozła, uszy jakoby u osła, oczy pochmurne a płynące, wzrok węzowy, ciało czarne a zmarszczone,..., palce miała krótkie mając na nich żelazne pierścienie, nozdrze oboje wierzchnie i spodnie miała nieboga barzo wielkie, goleni krótkie a mięsze a kosmate jakoby i u niedźwiedzia, suknia jej była kosmata a rozerwana«. Ta nadobna para służy naturalnie autorowi do portretów karykaturalnych, jakkolwiek ostatecznie jego sympatyje są raczej po stronie sprośnego Marchołta niż mądrego Salomona.

Genealogia Marchołta i jego żony, podana przez niego jako antyteza genealogii Salomonowej, jest (zwłaszcza ta druga) sumą tego, co sobie wyobrażamy jako humor sprośnie-rubaszny, tak że na tem miejscu niepodobna jej przytoczyć, choć należało wspomnieć. Polega tutaj dowcip na nazwiskach tych generacji; motyw, który w humorze XVI. wieku spotykamy niejednokrotnie.

Z owego przekomarzania się obu rozmawiających zantujemy takie np. zdania:

Salomon. Niewiasta, która się Boga boi będzie chwalona.—
Marchołt. Kotka, która dobrą skórę ma, będzie obłupiona....

S. Niewiasta cudna a poczliwa ma być szanowana nad wszystkie inne znamienitsze dary. — M. Niewiasta ciała tłustego rada dawa żywota swojego...

S. Wiele jest ludzi co w ubóstwie trwają, a wszakże z żonami mieszkają. — M. Nędzny człowiek chleba nie miał, wszakże sobie psa nabywał.

S. Kiedy siedziesz za stołem bogatego, tedy patrzaj pilno, co przed cię położą. — M. Wszelka posługa brzuchowa do brzucha wchodzi i w brzuchu się chowa...

Marchońt należał do ulubionych książek »ludowych« w w. XVI, przedrukowywano z niego wyjątki w rozmaitych wokabularzach, i dawano czytać dziewczętom dla ćwiczenia języka.

Z wieków średnich przeszła też do humorystyki Odrodzenia anegdota. Używamy tej nazwy, choć niedokładnej, ale lepszej nie ma. Wiek XVI. nazywał ją rozmaicie (mieszając zresztą z sobą różne kategorie). Tak Kochanowski zbiór swój anegdot (prozą) nazwał Apoftegmatami, Rey Figlikami. Figliki Reyowskie są znowu w Polsce XVI. wieku największym i najbardziej typowym zbiorem anegdot. Na nich można doskonale studyować, jakie historyjki ucieszne, jakie anegdotki kursowały po ówczesnej Polsce. Moment to bardzo ważny, zastanówmy się nad nim trochę obszerniej.

Anegdota — krótka ucieszna historia, czasem z satyrą (bardzo ogólną zresztą), często bez tej myśli, poprzedniczka i jakby embryon dzisiejszej humoreski, nie jest, jak to się często słyszy, wytworem Odrodzenia. Była w starożytności ulubioną i w wiekach średnich. W epoce renesansu za to przysłała do znaczenia, jakiego nigdy przedtem (a chciałoby się powiedzieć i nigdy potem) nie miała. Stała się teraz osobnym rodzajem literackim, równouprawnionym z innymi, poważniejszymi, uprawianym bardzo gorliwie przez humanistów.

Skądże ten jej nagły rozrost teraz? Oto powód był ten sam, który wpłynął na rozszerzenie się humoru, na spotęgowanie się dowcipu i wyższy stopień ogłady, rozwój życia towarzyskiego. Wieki średnie tego życia nie miały, stworzyło je Odrodzenie. Otóż tylko na tem tle humor i dowcip może się rozwijać i kwitnąć, tylko w życiu towarzyskiem ingenia mogły się krzesać i wydawać iskry humoru i dowcipu. O nagłym rozwoju

i rozkwicie życia towarzyskiego w Polsce w połowie XVI. wieku świadczy ówczesne piśmiennictwo bardzo wyraźnie. Nie możemy się tu wdawać w opisy tego życia — odsyłamy np. do studyum prof. K. Morawskiego (*Z życia towarzyskiego w epoce Zygmunta Augusta. Przegląd polski, 1884*) — zauważmy tylko, co nam do naszej rzeczy potrzebne: towarzystwo ówczesne musi być i jest wesołem, człowiek smutny, ponury, mruk nie ma w niem miejsca, chyba jako objectum żartu. Już humor i dowcip nie są wyłącznie monopolem zawodowych komików. Dworzanin u Górnickiego, szlachcie u Reya, to ludzie, którzy umieją się bawić i umieją żartować. Od dworzanina Górnicki żąda, »aby był trefnym w powieści, a umiał rozśmieszyć podczas te, z którymi będzie«, podaje też wskazówki, jak ma trefnować — wskazówki świadczące o tem, jak humor postąpił od wieków średnich: »ustawicznie trefnować nie przystoi dworzaninowi, ani też tym kształtem, jako szaleni, abo pijanice, abo błaznowie«. Rey zaleca tyle razy pomierne a pocziwe biesiady, podczas których i pożartki być mogą, i wesołość; a w przedmowie do Figlików wypowiada te charakterystyczne słowa:

»Ażaj nie wiesz, iż duch smętny kiedy kogo ruszy,
Mędrzec pisze, iż kości i krew barzo suszy,
Bo kiedyby ludzie wszystko by w kłozie siedzieli,
Tylko myśląc a bez żartów, wszakby poszaleli«.

Takiem wesołem towarzystwem było grono młodych ludzi przy dworze królewskim, między którymi był Kochanowski i Górnicki, takimi były owe zebrania szlacheckie w Małopolsce, o których poucza nas pośrednio *Żywot pocziwego człowieka*, a bezpośrednio *Rzeczpospolita babińska*.

Otóż w takim wesołym towarzystwie prosperują trzy kategorie, trzy działy niejako humorystyki: figliki (anegdoty), które sobie ci ludzie opowiadają; figle, które sobie płatają; dowcipy najrozmaitsze, które improwizują, tworzą. Te trzy kategorie ułożyliśmy w szereg progressywny; każda następna wymaga większego wyrobienia umysłowego od poprzedniej. Do tego, aby ovladać i wykonywać pierwszą, nie potrzeba wcale być dowcipnym, trzeba mieć tylko pamięć, znać i pamiętać duży zasób anegdotek, dykteryjek, historyjek. Człowiek, który ma ten dar, jest w towarzystwie wesołem pożądanym, choćby sam nie potrafił stworzyć ani jednego dowcipu. Wyższy

już stopień przedstawia figiel, jaki się komu płata. Naturalnie o ile jest istotnie dowcipny a niezbyt bolesny. Wreszcie najwyżej stoi twórczość na polu dowcipu.

Przy podziale tym należy pamiętać, że kiedy mówimy o anegdocie, jako pierwszym stopniu humorystyki, to mamy na myśli nie jej autora (bo to wchodzi w zakres kategorii trzeciej), ale sam fakt jej rozszerzenia. Anegdota bowiem, jak apolog, jak opowieść, należy najczęściej do tematów powszechnoeuropejskich. Na pozór nieraz bardzo rodzima, z akcją na terenie polskim, z nazwiskami polskimi osób działających, po bliższem zbadaniu okazuje się, że istnieje u humanisty niemieckiego i u włoskiego, że rozszerzoną jest w wiekach średnich, że znana była już w starożytności; każdy kraj tylko, każda epoka, ubierała ją w swój kostium. Otóż jeżeli Polak XVI. wieku opowiadał anegdotkę o upartej niewieście (golonostrzyżono), to nie stworzył jej sam, ale wyczytał w Dworzaniu Górnickiego, — ten przetłumaczył z Castigliona, ten wziął z literatury włoskiej średniowiecznej, i tak dalej. Dawne przekonanie, pokutujące jeszcze i dzisiaj, o przedziwnie zdumiewającym powstawaniu tych samych tematów, opracowanych w jednaki sposób, niezależnie od siebie, na różnych miejscach i w różnych czasach, należałoby już może złożyć do muzeum. Otóż tego Polaka, który powtarzał powieść o upartej niewieście, nie możemy jeszcze eo ipso uważać za dowcipnego (chyba jeżeli temat ten opracuje na nowo, odrębnie i dowcipnie: Mickiewicz); ani skalą tej anegdoty nie możemy mierzyć dowcipu polskiego w XVI wieku, — świadczy ona tylko o humorze. Nieraz nawet spotkamy się z prawdziwą niespodzianką: Rey albo bezimienny poeta protestant (wiersze z lat 1562—1568, wyd. Chrzanowski w akad. Bibliotece pisarzy polskich, nr. 43) przez nieudolność formy bardzo często anegdotę samą psują. Mają na tyle humoru, żeby pointę odczuć, nie mają takiego dowcipu, tak wyrobionego, żeby jej czy to rozwlekłością, czy niepotrzebną nauką moralną, itp. nie zepsuć. Na tych autorach (w innych razach wcale dowcipnych) widać doskonale, jak opracowanie wierszem jakiejś uciśnej historii nie daje jeszcze patentu na dowcip.

II.

Jest tedy anegdota (figlik) pierwszym działem humorystyki polskiej XVI wieku, i zapewne najbogatszym ilościowo. Prawdziwa ich powódź zalewa wtedy Polskę. Powtarzają się wszędzie, u poetów i u prozaików; są osobne ich zbiory (Reya »Figliki albo rozlicznych ludzi przypadki dworskie, które sobie po zatrudnionych myślach dla krotofile, wolny będąc, czytać możesz«, wyd. drugie z r. 1574 — wyd. pierwsze 1562 p. t.: »Przypowieści przypadłe«. — Księga druga Dworzanina r. 1566, zawiera wielką ilość takich figlików, — Kochanowskiego Apophtegmaty), obok nich zaś spotykamy się z dykteryjkami w dziełach o najpoważniejszej tendencji, jak np. Reyów Żywot człowieka poczciwego. Większa ich część jest pochodzenia obcego (por. co do Reya studium Chrzanowskiego w Rozpr. Wydziału filolog. t. 23, str. 320 i ns). Wzięte to z kazań, to z gesta Romanorum, to ze zbiorów facecyj, ułożonych przez humanistów: Poggia, Bebla, Gasta ¹⁾, z apophtegmatów Erazma z Rotterdamu itp. Po prostu ówczesna publiczność nasza tak się w nich lubuje, że bierze je, skąd może. A następnie przyswaja, lokalizuje, polszczy, Dowie się np. o żarcie słynnego błazna włoskiego Gonelli (najwięcej na świecie lekarzy); w lot połączy go z błaznem polskim, ze Stańczykiem. Wyczyta gdzieś dowcipne powiedzenie króla aragońskiego; wnet przypisze je Zygmuntowi. I tak dalej, aż wreszcie tą drogą dojdzie także do anegdotek własnych, rodzimych. Ów proces polonizowania anegdot widać we wszystkich jego fazach w Dworzaninie. Tam Górnicki podaje trzy niejako grupy anegdot: 1. żywcem z oryginału Cortigiana przetłumaczone, a więc mówiące o osobistościach obcych, włoskich, czasem hiszpańskich; 2. przerobione z dworzanina włoskiego — to, co Cattiglione mówi o chłopie weneckim. Górnicki mówi o chłopie z okolic Krakowa; a przerabia tak zręcznie, tak umie dokładnie określić n. p. czas (»gdy posłowie książąt pomorskich królowi hołd czynili«), że w pierwszej chwili ani nie przypuszczamy obcego pochodzenia facecji; 3. nareszcie podaje też anegdoty rodzime, powstałe niewątpliwie na ziemi polskiej.

¹⁾ Którzy sami także ich nie wymyslili ale brali od poprzedników.

Rozpowszechniwszy się i zakorzeniwszy tak głęboko w wieku XVI, dykteryjka staje się teraz trwałym nabytkiem literatury i umysłowości polskiej. Wiek XVII. kocha się w niej tak samo, jak jego poprzednik, tak samo ją uprawia jako osobny rodzaj literacki. Później z literatury anegdota znika jako rodzaj, ale tem silniej żyje w tradycyi. Gdy się zna humorystyczne rzeczy z wieku XVI., odkrywa się z przyjemnością starych znajomych w dzisiejszych pismach humorystycznych, które z miną wynalazcy opowiadają np. o mężu, któremu się żona w sędzie obwiesiła, i o jego sąsiedzie, proszącym o gałązkę z tego drzewa, aby ją w swym ogrodzie posadzić, — nie domyślając się, że jest to jeden z figlików Reyowskich, opowiedziany zresztą na tysiąc kilkaset lat przed Reyem przez Cicerona; albo kiedy się czyta różne anegdoty z życia naszych znanych facecyonistów (np. Rzewuskiego). Rodzajem osobnym w literaturze ta anegdota przestała być; zesza niejako niżej, od literatury pisanej do ustnej, tradycyjnej; ale żyje do dziś dnia, żyje nie tylko wśród warstw wykształconych ale i wśród ludu, i żyć chyba będzie bardzo długo, ma bowiem dziwną zdolność przystosowania się do warunków najrozmaitszych, stąd wielką siłę żywotną.

O anegdotkach, kursujących w Polsce w XVI. wieku, można mówić ze względu, na ich formę, na opracowanie. Tu zaś zaznaczymy, że te, które zostały zapisane w prozie, wyglądają daleko lepiej; należą tu anegdoty z prozaicznych pism Reya (np. *Żywot*), *Apophtegmaty* Kochanowskiego, facecye w drugiej księdze Dworzanina. W tych pismach forma odpowiada doskonale treści; to, co w facecyi jest komiczne, uwydatnione jest bardzo dobrze. Natomiast anegdoty, opracowane w wierszach, są najczęściej co do formy swej opłakane. Pisał je Rey, pisał Smolik, pisał Anonim-protestant i wszyscy, jako poeci, raczej pośledni (Kochanowskiego *Fraszki* to zupełnie inny rodzaj). Poeci owi nie umieją władać wierszem należycie, to też ich wóz dowcipu tam i sam chodzi. Po prostu myśl facecyi bardzo często nie jest uwydatniona należycie; najważniejszy moment, w którym jest najwyższe napięcie dowcipu, nie jest tak od innych odróżniony, jak sam dowcip na to zasługuje.

Ale ostatecznie o formę mniejsza na razie; najważniejszą jest dla nas treść facecyi. Nie forma bowiem jest w niej wie-

czną; Wacław Potocki opowie anegdotę inaczej, aniżeli Rey, dzisiejszy humorysta inaczej, aniżeli Potocki. Treść natomiast zostaje ta sama, i ona przedstawia największy dla nas interes. Ona to pokazuje nam, z czego Polak XVI. wieku się śmiał i cieszył, co uważał za opowieść zabawną i rozweselającą; czyli że jest ona ważnem świadectwem do poznania stopnia i rodzaju kultury polskiej w owej epoce. Wobec tego zaś zupełnie jest dla nas obojętną rzeczą, czy te anegdoty są wytworem rodzimym czy też towarem importowanym, czy zostały stworzone przez Reya, Kochanowskiego i i. czy też przetłumaczone z Poggia lub Bebla. Dla ich wartości jako świadectwa kulturalnego pochodzenie ich nie ma znaczenia.

Otóż rozpatrując treść ówczesnych anegdot, spostrzegamy odrazu ten fakt, że repertoar ich jest stały. Zupełnie tak samo, jak dzisiaj. Jak dzisiaj bohaterem pism humorystycznych jest stale to profesor roztargniony, zapominający parasola, niedobra teściowa, to oficer uważający się za półboga, tak samo i w humorystyce XVI. wieku znajdziemy zawsze całe szeregi wariantów tego samego motywu, to samo zdarzenie opowiadane wiele razy, te same figle i psoty, te same cięte odpowiedzi, i tak dalej. Daje się więc cała masa anegdot sprowadzić do pewnej liczby motywów typowych, zasadniczych. To też główne motywy są nieśmiertelne; w różnych postaciach i odmianach przewijają się po literaturze od starożytności do naszych czasów. Prób usystematyzowania w w. XVI. u nas nie było; anegdoty w zbiorach układają się przypadkowo. Dopiero »Facecye polskie« z r. 1624 pierwsze podzieliły swój przedmiot na sześć grup: 1) żartowne powieści, 2) misterne kusy a fortele, 3) apophtegmaty abo z rozumu baczne powieści, 4) trefne przymówki i szyderstwa, 5) chytrności niewieście, 6) powieści o głupich ludziach (p. Chrzanowski, Facecye Reya, str. 332). Podział ten nie ma naturalnie zbyt wielkiej wartości, nie jest bez zarzutu pod względem logicznym, ale trzeba pamiętać, że podział taki należy do rzeczy bardzo trudnych, ten zaś jest pierwszym w literaturze polskiej.

Sądzę, że dla pokazania tych anegdot najlepiej będzie przytoczyć pewną ich ilość, a czytelnik pozna w wielu z nich z pewnością rzeczy znane, podawane mu w wieku XX jako nowość. Ponieważ nam nie chodzi o formę, przeto podaję je

w streszczeniu, które dla pokazania treści wystarczy (zresztą wiele wierszowanych figlików Reya potrzebuje przekładu na prozę, aby być zrozumiałymi). Jeden dział (»ze względów od autora niezależnych«) musiał niestety być opuszczonym. Mianowicie pornografia. Mówię »niestety«, albowiem: 1. facecye pornograficzne należą pod względem stopnia dowcipu (nie jego np. wytworności) do najlepszych w XVI. wieku; 2. należą następnie do najtrwalszych i najczęściej się powtarzających, stąd z pornografią dzisiejszą znaleźlibyśmy w nich bardzo wiele punktów styecznych; 3. wreszcie nie można zaprzeczyć, że w humorystyce polskiej, tak dawnej, jak i dzisiejszej, żarty ślizkie są bardzo rozpowszechnione; Norsztyn lub Potocki w w. XVII, Krasicki, Trembecki, Naruszewicz w XVIII (zwracam uwagę, że co do tych trzech autorów mam na myśli rzeczy niewydane przedewszystkiem), a w XIX Fredro np. w nich się lubują, lubuje się też i Prus, i nawet ...Sienkiewicz. Znana jest zresztą opowieść, że gdy dwóch Polaków ze sobą rozmawia, to zaczną od jakiegokolwiek tematu, ale na tym skończą. Z tych więc względów pornografia przedstawia bardzo wdzięczny teren do badań, zwłaszcza folklorystycznych. Mówię tu naturalnie poważnie; a warto wspomnieć, że folklorystyka niemiecka podjęła osobne z tego zakresu wydawnictwo¹⁾.

Przytaczanych anegdot nie grupuję według działów, tylko że około połowy XVI. wieku, gdzieś w latach 1560 i następnych mamy największy na anegdoty urodzaj.

O gospodyniach mówi Anonim protestant; dzisiejszy dowcip ludowy w prozie i pieśni sławi takie mądre gosposie. Zeszły się raz cztery białogłowy, równe sobie w gospodarstwie. Jedna mówiła:

»u mego pana

»Wiele wysięją na każdy rok siana«.

Druga:

»Więcej u nas maku:

»Na każdy zagon — po dobrem przetaku«.

¹⁾ *Ἀνθροποποιεῖς*. Jahrbücher für folkloristische Erhebungen und Forschungen zur Entwicklungsgeschichte der geschlechtlichen Moral. Herausgegeben von Dr. Friedrich S. Kraus (znany czytelnikom Ludu badacz etnografii Słowian południowych).

Trzecia, mądrzejsza, sfukała je:

»Próżne to wasze i daremne słowa,
»Bo to tam u was najlepiej umieją:
»Na zimę wiele jarzyny wysięją«.

Wreszcie czwarta:

»Gęsim na jajca kokosze wsadziła,
»I będę rychło kurczęta karmiła:
»Też mi niedawno wylęgły gąsięta,
»A teraz zasię wylęgą kurczęta«.

Ta facecya należy z pewnością do oryginalnych, tak się w niej odbija gospodarstwo wieku XVI.

Na pchły trucizna. Włoch sprzedawał proszek przeciwko pchłom. Ludzie ochotnie kupowali. Kiedy już towar wyprzedał, objaśnia kupującym sposób użycia:

»W domu swem swojej czeladki zwołacie,
»Pchły wszystkie z nimi zewsząd połapacie,
»Każdej z osobna gębę rozdziwiwszy,
»Uncyją tego prochu namierzywszy,
»Sypać jem w gębę, a być tej nadzieje,
»Że każda zdechnie, a nie otrzeźwieje«.

Anegdotka tak nam znana — tylko dziś Włocha zastąpił Słowak, a zamiast proszku maść pchłom pod wąsami smarujemy.

Kilka figlików Reya¹⁾:

Na ciasny kolet fortel. Krawiec zrobił panu kolet, który się zdawał ciasnym. Odesłano więc suknię do naprawy. Ale krawiec ani jej nie tknął, odesłał rano, kiedy pan był na czczo, i istotnie kolet był dobry. Analogiczną dykteryjkę znamy o Fredrze (synu) i jego szewcu.

Złodzieje co błazna chcieli okraść. Złodzieje w nocy zakradli się do mieszkania błazna, i szukają, coby wziąć. Błazen nie śpi, odzywa się wreszcie; trudno macie znaleźć co w mym pokoju po ciemku, kiedy ja za dnia nic nie mogę znaleźć. Anegdotkę opowiada się dzisiaj o poecie albo o studencie.

¹⁾ W streszczeniach idziemy często za cytowaną rozprawą Chrzanowskiego.

Pleban, co prze Bóg kazał dawać. Pleban w kazaniu zachęcał do dawania w imię Boże, obiecując, że kto da, weźmie za to w trójnasób. Dwóch biedaków słysząc to, przyprowadziło plebanowi swą krowę, ta zaś wróciła wnet do nich z krową plebana, który teraz nie mógł się o nią upominać. Także dykteryjka żyjąca do dziś dnia.

Pleban pieska na cmyntarzu pochował. Strofowany za to przez biskupa, odrzekł mu, że pies umarł po chrześcijańsku i zapisał biskupowi pieniądze. Biskup pieniądze wziął i plebanowi dał spokój. Facecyja to Poggia, satyra na chciwych duchownych, w epoce reformacyi musiała się bardzo podobać.

Co pragnienia nie dał leczyć. Pijak choruje na febrę, ma przytem okrutne pragnienie. Lekarzom, którzy się nim zajmują, każe leczyć tylko febrę, bo pragnienie to on już sam później wyleczy.

Chytry jad niewiasta. Młodzieniec pewien wychowywał się w puszczy, nie wiedząc, co to jest niewiasta. Raz przyjechał z opiekunem swoim do miasta, zobaczył kobiety, pyta, co to? opiekun tłumaczy mu: »Są to djabli, byś o nich do śmierci nie wiedział«. Gdy wrócili do puszczy, młodzieniec się frasuje, a na zapytanie: skąd jego frasunek? odpowiada, że radby przy sobie widział takiego djabła, zaraz by mu było lepiej. Anegdota ta należy do najulubieńszych i najwięcej rozpowszechnionych w naszych zbiorach etnograficznych często ją spotykamy.

Anegdot o kobietach jest naturalnie wiele. Tak np. Co się nie chciał spowiedać, iż się żona spowiedała (bo z pewnością wszystko złe na niego wypowiedziała). Albo: Co podle żony nie chciał w niebie sieść (zmarły woli nie pójść do nieba, skoro się dowiedział, że św. Piotr wyznaczył mu w niebie miejsce koło nieboszczki żony). Albo: Co żonę kazał dać wilkowi za pokutę. (Chłopi schwytali wilka; ale nie chcą go zabić pogrążonego w grzechu bez pokuty; wtedy jeden z nich radzi im, aby mu za pokutę dać żonę). Inna podobna: Chłop co się ożenił (widzi skaczącego wilka i wzdycha: ten pewnie nie ma żony, por. piosenkę Leci pies bez owies). Albo: Co żonę chciał z okrętu wyrzucić. (Burza; rozkaz kapitana, aby każdy wrzucił do morza

co ma najcięższego, — jeden z podróżnych chce wrzucić swą żonę).

Oczywiście przytaczamy tu ilość minimalną anegdot; Figlików Reya jest dwieście kilkadziesiąt, z czego przeważająca większość anegdot. Z przytoczonych przykładów widać, jak te anegdoty Reyowskie nie są umiejscowione ani chronologicznie ani geograficznie. Pewna ich część jednakże ma i te szczegóły — są to najczęściej dykteryjki ze stosunków polskich, więc np. o Włochu, który zaproszony przez Polaka na ucztę, usnął przy niej, tak długo trwała; albo o Niemcu między Polaki: Niemiec przy uczcie słysząc, jak Polacy zwracali się do służącego, który nalewał wino, ze słowem »nalej«, wziął to słowo za imię własne i rzekł: Lieber Nalej, podaj mi też piwa«; albo facecye, wyśmiewające się z Litwinów itp. Wogóle jednak trzeba zauważyć, że figliki Reya nie są przywiązane do osób historycznych; wymienionych po nazwisku. Są ogólnikowe. Zdaje się, że w wielu razach z umysłu: w oryginale, z którego Rey przekładał, jest np. nazwa miejscowości, w której się dzieje akcja facecyi, aby nie dać poznać, że to jest przekład.

Inne są apophtegmaty Kochanowskiego. Te jeden w drugi mówią o osobach, które wymieniają po nazwisku, i to o postaciach z ówczesnej Polski, znanych wszystkim. Podobnie (choć niezawsze) robi i Górnicki tam, gdzie nie przekłada z Castigliona, ale opowiada od siebie. Otóż te anegdoty nie są trwałe, nie należą do ogólnie-europejskiej filiacji tematów humorystycznych; natomiast mają dla nas wielką wartość z tego znowu powodu, że są dla nas rodzajem spisu ludzi dowcipnych w Polsce XVI. wieku. Zajmiemy się też niemi w rozdz. 4.

(Dok. n.)





SZOPKA KRAKOWSKA.

Napisał

Stanisław Czaja.

Nakładem Towarzystwa miłośników historii i zabytków Krakowa wyszło w 24 tomiku »Biblioteki krakowskiej« w 1904 roku dziełko pod napisem: »Szopka krakowska, napisał dr. Jan Krupski (Stan. Estreicher)«. Autor zebrał tu wszystko, co tylko o szopce krakowskiej zebrać się dało i ugrupował w widowisko sceniczne w czterech aktach. Zgromadzony przez siebie materiał do szopki krakowskiej porównał z opisami innych szopek polskich, dodał sceny, niegdyś w szopce krakowskiej przedstawiane, a które dzisiaj już zaginęły, wreszcie opisał szopkę z Krzeszowic i z Wieliczki. Posiadając znajomość dokładną całej literatury, odnoszącej się do opracowanego przez siebie przedmiotu, stworzył dzieło piękne.

Ponieważ jednak przedstawienia w szopkach krakowskich tylko w małej części ogłoszone były drukiem i dlatego dla badań porównawczych nie były przystępne, przeto sędzę, że chociaż w drobnej mierze przysłużę się nauce, uzupełniając wyborną pracę dr. St. Estreichera opisem szopek krakowskich z prawego brzegu Wisły. Materiał zaczerpnąłem z bogatych zbiorów p. Seweryna Udzieli, a zestawiając go, zastosowałem się do układu, jaki autor wprowadził w »Szopce krakowskiej«. Opisy szopek pochodzą z Borku Fałęckiego, z Bugaja, z Dobczyc, z Gaja, Gdowa, Krzesławic, Radziszowa, Rzeszotar, Sieprawia, Skawiny, Świątnik, Swoszowic, Tyńca i Wieliczki.

Wprawdzie prawie wszystkie sceny tych szopek noszą cechę szopki krakowskiej, jednakże wykazują wielkie różnice nie tylko w tekście, ale nawet w akcji i w kolejnem następstwie lalek.

I.

Nim rozpoczniemy przegląd scen, należy pierwszej przypa-
trzyć się budowie szopek. Nie dorównują one pięknością szop-
kom krakowskim, są po największej części proste, ubogie, ale
przecież wykazują pewien gust oryginalny tak w ogólnym
kształcie, jak i w ozdobach.

Szopka w Bugaju zrobiona jest z cienkich deszczulek,
oblepiona różnokolorowym papierem. Ma dwie wieże z kopu-
łami, na których szczycie wznoszą się chorągiewki z krzyży-
kami. Jest w niej czternaście okien z różnokolorowego szkła.
W bocznych ścianach z przodu są dwa ganki, z których drzwi
prowadzą do wnętrza szopki. Z jednych drzwi, z prawej stro-
ny, wysuwają lalki mężczyzn, z drugich, z lewej, lalki kobiet.
W środku szopki znajduje się przy tylnej ścianie Pan Jezus
w żłóbku na sianie leżący, obok Najśw. Panna i św. Józef,
a tuż przy żłobie wół z osłem. Od przodu wyróżniona jest
w desce szpara, używana do przesuwania i obracania lalek.

W Borku Fałęckim ozdobiona jest szopka trzema
wieżami, podobnymi do wież na ruskich cerkwiach; środkowa
wieża jest najwyższa, a na niej krzyż drewniany. Na bocznych
wieżach są chorągiewki z kolorowego papieru. Szopka pokryta
jest strzechą z kłosów żytnich, wieże zaś papierem nieprzema-
kalnym. Cała zresztą szopka oklejona jest różnokolorowym pa-
pierem. Urządzenie wewnętrzne, jak w szopce powyższej.

Szopka w Gaju. Na desce, w której wyrobiony jest otwór
do wkładania lalek, zbudowane są po bokach dwie, mające
około metr wysokości wieże, oklejone na szkielecie z patyków
papierem od dołu czerwonym, wyżej niebieskim. Wieże te za-
kończone są kopułami, które są oblepione złotym papierem.
W każdej wieży są trzy okna zaopatrzone kolorowymi szybka-
mi. Szczyt wieży ozdobiony jest kulką, w której tkwi chora-
giewka z kolorowego papieru. Pomiedzy obydwoma wieżami
zbudowana jest grota skalista, którą nakrywa poszyty snopecz-

kami słomy daszek, opierający się z przodu na dwóch słupkach drewnianych. O jeden z tych słupków oparta jest laska pasterka, wysoka, u góry zakrzywiona, obok niej leży kapelusz pasterski. Obok drugiego słupka stoi pastuszek, trzymający na powrozie baranka. Wnętrze groty pełne jest szczerb i rozpadlin, z których wychylają się główki aniołków. W środku stoi żłób z jednym bokiem oderwanym, na żłobie siedzi Najśw. Panna i trzyma dzieciątko w postawie leżącej. (Po »Trzech Królach« trzyma Dzieciątko w postawie siedzącej). Na boku stoi św. Józef, a w tyle widać wołu i osła. Przed św. Rodziną klęczy grupa pastuszków. Wszystkie figurki zrobione są z drewna. Ponad grotą u samego prawie szczytu widać innych pastuszków, spieszących do szopki z darami. Tu i ówdzie pasą się baranki. Od święta Trzech Króli wstawiają do szopki figurki tychże trzech Króli, usunąwszy pasterzy na boki. Nad daszkiem umieszczają gwiazdę, a około prawej strony dwa słonie, wielbłąda, konia i kilku pachołków. Podczas przedstawienia oświetlają wszystkie okna w wieżach, a jeden z kołédników zasłoniwszy od strony widzów latarkę swoim ubraniem, oświetla wnętrze groty i lalki występujące. Całość przedstawia się bardzo ładnie i zdradza pewien smak i wdzięk w rozmieszczeniu figurek i wogóle w całej budowie szopki.

Szopka w Gdowie zrobiona jest na kształt kapliczki półtora metra długiej, pół metra szerokiej, a 9 dm. wysokiej. Z przodu są trzy wieżyczki, z których środkowa jest najwyższa z kopułą. Na szczycie wszystkich wież są krzyżyki. W całej szopce i wieżach jest czternaście okienek częścią zaklejonych zatłuszczonym białym lub kolorowym papierem, częścią zaopatrzonych szybami. W tylnej ścianie jest otwór przez który patrzy pokazujący lalki. W środku szopki jest ganek na którym przy tylnej ścianie jest żłóbek z figurką P. Jezusa, a obok żłóbka obrazki, przedstawiające św. Józefa, Najśw. Pannę, Trzech Króli, pasterzy i osła z wołem.

Szopka w Krzeszłowicach ma kształt małego domku z trzema wieżyczkami. Wnętrze urządzone podobnie, jak w szopce gdowskiej z tą jednakże różnicą, że zamiast obrazków są figurki, ponad którymi unoszą się anieli i napis: »Gloria in excelsis«.

W Rzeszotarach zbudowana jest szopka w kształcie

kościół. Po bokach znajdują się wieże, a w środku między nimi rodzaj kaplicy, w której przedstawiona jest szopka betleemska z akcesoryami i urządzeniem wewnętrznem podobnem do poprzednich szopek.

W Swoszowicach ma szopka również trzy wieże, z których dwie boczne bywają wyższe, smukłe, ośmiościenne, środkowa niższa, ale szersza, pod nią też znajduje się szopka betleemska ze zwykłymi figurkami. Z bocznych wież wychodzą lalki do tańca przed szopką betleemską.

Skawińska jak i radziszowska szopka podobna jest do szopki w Bugaju. Ma trzy wieżyczki ozdobione chorągiewkami. Środkowa wieża jest niższa, szeroka, nakryta kopułą. Przy tylnej ścianie ustawione są figurki: św. Józefa z laską wysoką, Matki Boskiej, obok Pana Jezusa w żłóbku i osła z wołem. W tej ścianie umieszczone jest małe, nie łatwo wpadające w oko widzów, okienko, przez które puszczający lalki może patrzeć na tańczące figurki i na przypatrującą się przedstawieniu publiczność. Ponad daszkiem środkowej wieży umieszczony jest anioł trzymający napis: »Gloria in excelsis Deo«. Z bocznych wież prowadzą na scenę szopki drzwiczki, przez które wychodzą lalki. Szopka cała oklejona jest różnokolorowym papierem, ozdobionym gwiazdkami ze srebrnego lub złotego papieru.

Odminną budowę ma szopka tyniecka. Na metr długa, 30 cm. szeroka a 60 cm. wysoka ozdobiona jest czterema wieżami, po dwie z każdego boku. Przednie wieżyczki są niższe od tylnych. Pomiedzy wieżyczkami jest daszek, pod którym znajduje się szopka betleemska i scena dla lalek. Przednie wieżyczki zakończone są krzyżkami, tylne zaś chorągiewkami. Cała szopka oklejona jest pasowym w złote gwiazdy ozdobionym papierem. Wnętrze szopki, gdzie się znajdują figurki betleemskie, wyklejona jest białym papierem, na którym ponalepiane są postaci aniołków, pastuszków, owiec, wielbłądów, osłów, drzew palmowych i t. p. W środku, przy tylnej ścianie ustawione są figurki bardzo prymitywnej roboty z drzewa rzeźbione: Dzieciątka Jezus w żłóbku, św. Józefa i Matki Boskiej. Do przedniej strony daszku przyłączone są dwa aniołki zwrócone twarzą do wnętrza szopki.

II.

Ze szopką chodzą w Bugaju parobcy i młodszy gospodarze w zwykłych codziennych ubiorach. W Gaju tak, jak i w Radziszowie chodzi ze szopką zwykle jeden z młodszych gospodarzy, który płaci muzykę, najmuje sobie do pomocy parobczaków, sam puszcza lalki, jego też własnością jest szopka. Ze szopką chodzi zwykle siedmiu lub ośmiu ludzi, którym towarzyszą ciekawi chłopcy, a nawet dziewczęta. Muzyka składa się zwykle z dwojga skrzypiec, klarnetu i basów. W Świątnikach przedstawiają parobcy żywą szopkę (jasełka), do czego przebierają się za pasterzy w kożuchy wełną na wierzch odwrócone, opasują powróslami ze słomy, a na głowy wdziewają kapelusze przystrojone wstążkami z kolorowego papieru. Anioł ubrany jest w białą komżę, na głowie ma złocistą koronę, w jednej ręce dzwonek, a w drugiej maleńką, tekturową szopkę, która nie służy do przedstawienia lalek. Szopki więc z lalkami nie noszą. Kostjumy pasterzy w Gdowie są takie same, jak w Świątnikach z tą różnicą, że mają na twarzach maski, w rękach grube kije, jeden z nich długą brodę i długie włosy ze lnu lub konopi, anioł ma skrzydła, przepasany jest niebieską wstążką, nie nosi dzwonka, ani szopki. W Swoszowicach przebiera się trzech z pomiędzy kołédników w tekturowe korony, wylepione zewnątrz połączanym papierem. W Skawinie chodzą ze szopką wyrostki w towarzystwie muzyki lub przynajmniej ręcznej harmonijki

W dzień św. Szczepana wieczorem wychodzą w Swoszowicach kołédnicy z domu właściciela szopki i udają się najpierw do tych domów, gdzie spodziewają się przyjęcia do izby i hojniejszego datku, albo tam, gdzie dorosłe dziewczęta mają »sad« (drzewko) ubrany jabłkami, ciastkami i innymi łakociami, które dla nich zachowują. W następne dni idą i do innych domów biedniejszych. Tak chodzą z szopką od św. Szczepana do Trzech Króli.

Przyszedszy przed dom, stają z szopką przed oknem, — jeden z kołédników (w Gdowie) woła: »Kuku!« a potem mówi:

»Kukułeczka zakukała,

Pięknie państwo przywitała.

Przyszliśmy tu po kołędzie,

Niech państwu przykro nie będzie

A czy będzie, czy nie będzie,
 Kolędować zwyczaj wszędzie,
 Bo ze szopką bardzo pięknie będzie«.

Potem śpiewają wszyscy kolendę: »Najświętsza Panienka...¹⁾ Po każdej zwrotce muzyka przegrywa tę samą melodyę. Gdy ich do izby zaproszą, to jeden z kolędników, pochwaliwszy Pana Boga, mówi: »Wszystkim wobec kolendy najprzód winnuszujemy i t. d.«²⁾ poczem rozpoczynają odgrywać »Pastorałkę góralską« znajdującą się w »Pastorałkach i kolendach« wydanych u XX. Misyonarzy w Krakowie, str. 245—270. Po skończeniu tej pastorałki rozpoczyna się przedstawienie lalek w szopce.

W Rzeszotarach po odśpiewaniu kolendy: »Najświętsza Panienka...« rozpoczynają zaraz przedstawienie lalek w szopce.

W Szwoszwowicach po odśpiewaniu jakiegokolwiek z kantyczek wziętej kolendy, kolędnicy wpuszczeni do domu, gdzie są dorosłe dziewczęta, śpiewają jeszcze osobne na pochwałę dziewcząt ułożone kolendy, które na końcu niniejszej pracy umieściłem.

Inaczej nieco postępują kolędnicy w Gaju. Wieczorem przychodzi do izby wysłannik ich z latarką oblepioną czerwonym papierem i mówi:

»Z okazji Jezuska Narodzenia
 Chodzimy wszyscy wszędzie
 Dzisiaj po kolędzie,
 A i złożyć wam życzenia«.

Równocześnie z tą oracyą daje się słyszeć za oknami muzyka i śpiew: »Wśród nocnej ciszy...« a w oknie ukazuje się szopka.

Po otrzymaniu pozwolenia, na które ów wysłannik czeka, wnoszą szopkę do sieni lub izby dwaj chłopcy, ustawiają się po jej bokach i spuszcza ją zasłonę aż do samej ziemi. Za szopką ustawiają się kolędnicy i muzyka tak, aby ich przypatru-

¹⁾ Z kantyczek wydanych u XX. Misyonarzy w Krakowie na Stradomiu str. 455.

²⁾ jak wyżej, str. 245.

jący się szopce nie widzieli, poczem rozpoczyna się przedstawienie lalek.

W Skawinie, Rzeszotarach, Radziszowie, Tyńcu i Krzesławicach, po odśpiewaniu kolędy za oknem, zaproszeni do izby, rozpoczynają zaraz przedstawienie lalek.

Po przedstawieniu otrzymują kolędnicy najczęściej gotówką »kolędę« w kwocie od 10 ct. do 1 złr., a zdarzy się czasem, że w zamożniejszym domu i więcej dostaną. Niekiedy częstują kolędników (Świątniki) wódką, piwem, winem lub herbatą i przekąską. W niektórych miejscowościach n. p. po miasteczkach, gdzie przy sposobności przedstawienia wciskają się za kolędnikami do domów różnego rodzaju wyrostki i uliczniki, którzy często dopuszczają się wybryków, a nawet kradzieży, kolędników niechętnie przyjmują, albo też wcale do domu nie wpuszczają. Starają się ich jak najprędzej małym datkiem w kwocie 5 do 10 ct. pozbyć, albo też całkiem nie im nie dają i kolędować pod oknami nie pozwalają. Zdarza się, że w jakiejś miejscowości znajdują się dwie, trzy lub więcej partyj takich kolędników, które wskutek wzajemnej konkurencji często się z sobą kłócą, a nawet biją i szopki sobie wzajemnie rozbijają (Skawina). Gdy kolędnicy zebrane pieniądze po największej części przepijają, gdy wyrostki często z szopką i do domów żydowskich, a nawet do karczmy zachodzą, gdy do tego i policya miasteczek względem takich kolędników nieprzyjaźnie jest usposobiona, a duchowieństwo nadużycia surowo z ambony karcić jest zmuszone, — przeto nie dziwnego, że chodzenie ze szopką coraz mniej się opłaca, a wskutek tego coraz bardziej zanika. Jeżeli też zabraknie takiego, który umiał przemowy i śpiewy przy lalkach i w danej miejscowości przedstawienia szopki utrzymywał, to szopka albo staje się niemą, albo też całkiem istnieć przestaje. Zdaje się więc, że zupełny zanik tradycyjnych szopek, obnoszonych po domach jest bliski. Zamiast nich rozwijają się »jasełka« żywe, które szczególnie po miastach i miasteczkach coraz większem cieszą się powodzeniem. Jeżeli i na wsi jasełka takie urządzone zostaną, to lud ciśnie się na nie gromadnie i z wielką przyjemnością im się przypatruje.

III.

Kolejne następstwo występujących lalek, jak również ich strój jest w szopkach, o których mowa, bardzo rozmaity. Nim zestawimy sceny według szopki krakowskiej dra Estreichera, przypatrzmy się porządkowi w szopkach, o których mówimy, oraz strojom lalek w tych szopkach przedstawianych.

Bugaj.

1. Gospodarz w czarnym, długim surducie z peleryną, w białym dużym kapeluszu, z fajką na długim cybuchu.
2. Dwaj pasterze, z których jeden ma spodnie czarne, surdut długi, biały i czapkę białą, pod pachą ma kukielkę; drugi zaś ma czarny surdut a spodnie białe.
3. Łobzowianin w wysokich butach, szerokich, różowej barwy spodniach, kaftan ma obszywany, pas szeroki, wybijany ćwieczkami, a na głowie wysoki kapelusz. Łobzowianka ubrana jest w szeroką różową spodnicę i fartuch, w gorset obszywany i duże korale.
4. Krakowiak w białej sukmanie, czerwonych spodniach, czapce rogatej z piórem, z chusteczką w ręce. Krakowianka w białej spodnicy i fartuchu obszywanym wstążeczkami, gorset ma czarny, pięknie obszywany.
5. Ułan w wojskowem ubraniu.
6. Kozak w sukiennych spodniach i surducie, kapelusz ma biały, Kozaczka spodnicę zieloną, koronkami obszytą, kaftanik niebieski z kreską i korale.
7. Myśliwy w granatowych spodniach, czarnym surducie, brunatno zielonym kapeluszu, ze strzelbą na ramieniu. Żona jego ma całkiem zielone ubranie.
8. Kominiarz czarny z drabiną i miotłą.
9. Druciarz w guńce z drutem na ramieniu.
10. Król Heród we futrze z koroną na głowie.
11. Żyd w jupicy i lisiej czapce.
12. Śmierć z kosą.
13. Czarownica czarno ubrana.

14. Dziad ubrany w potargane, czarne spodnie i bluzę, czapkę białą z dwoma rożkami, u boku torba, a w ręce dzwonek.
15. Góral w guni i kierpcach.

Borek Fałęcki.

1. Król Heród w aksamitnym płaszczu z berłem w rękę i koroną na głowie. Śmierć z kosą i djabeł z widłami.
2. Krakowiak w krakusce na głowie, w sukmanie, parciany spodniach i wysokich butach. Krakowianka w aksamitnym gorsecie obszywanym szychem i centkami, spodnica czerwona również szychem obszyta a fartuszek biały.
3. Ułan z szablą i dziewczka w kaftaniku i spodnicy z materii ostrej z białą plisą, fartuch sięga aż pod brodę.
4. Strażak z powrozem i toporem; mieszcza w niebieskiej spodnicy, fartuchu, kaftaniku i z wstążką pod szyją.
5. Wierny sługa w jeneralskiem ubraniu, z szablą przy boku i mieszcza w niebieskiej sukni z białą koronką dołem.
6. Madziar w kozuchu z pasem i szablą, w czapce czerwonej, u spodni żółte lampasy i mieszcza w niebieskiej spodnicy, muślinowym fartuchu, na szyi korale.
7. Niemiec w wysokiej, czarnej czapce, w czarnem kusem ubraniu, spodnie czarne, buty z cholewami i wieśniaczka.
8. Żyd w jupicy i szabasówce, przepasany żółto-czerwonym pasem, żydówka w różnokolorowej spodnicy, z czepcem na głowie.
9. Góral w białej guni i spodniach, z chusteczką w ręce, w szerokim kapeluszu w kierpcach i z torbą u boku; góralka w białej spodnicy z rańtuchem na głowie.
10. Czarownica z maślnicą robi masło.
11. Dziad z dzwonkiem.

Gaj.

1. Krakowiak w czerwonych spodniach w niebieskie paski, w granatowej sukmanie, w rogatywce z pawiem piórem. Krakowianka w spodnicy różowej w kwiatki, gorset kolo-

- rowy, aksamitny, na głowie wianek z kwiatków, fartuch tiulowy, na szyi korale.
2. Góralka ubrana całkiem biało w szeroką spódnicę i fartuch, okryta płachtą. Góral ubrany w spodnie zgrzebne, guńkę brązową, czarny kapelusz z muszlami.
 3. Policyant ubrany w granatowe ubranie, przy boku ma szablę a na głowie czako. Ona ma suknię kremową i kapelusz na głowie.
 4. Kozak ubrany w spodnie czerwone, czarny kaftan, płaszcz, a przez ramię ma przewieszoną torbę. Strój kozaczki jest taki, jak żony policyanta.
 5. Żyd w jupicy, w czapce futrzanej, z brodą i pejsami. Żydówka w czarnej sukni z koronkami, w okrywce, a na głowie czepiec.
 6. Czarownica w popielatej sukni, kaftanik czerwony. Robi masło w maślnicy.
 7. Djabel czarny z czerwonym językiem, z ogonem i widłami. Spycha czarownicę widłami.
 8. Heród w czerwonym płaszczu z białym futrzanym kołnierzem, na głowie ma koronę srebrną.
 9. Minister w czerwonych spodniach, czarnym surducie, przy boku szpada.
 10. Śmierć z kosą, odziana białą płachtą.
 11. Grabarz z łopatą.
 12. Dziad.

Gdów.

1. Dwaj pasterze.
2. Policyant.
3. Gospodarz i gospodyni.
4. Trzej Królowie, którzy, oddawszy pokłon Dzieciątku, przechodzą powoli w milczeniu.
5. Madziar z żoną.
6. Ułan z żoną.
7. Kozak z Kozaczką.
8. Turek z Turczynką.
9. Krakowiak z Krakowianką.
10. Młynarz z młynarką.

11. Żandarm.
12. Heród, żyd, śmierć i djabeł.
13. Żyd sam.
14. Kominiarz.
15. Góral z góralką.
16. Czarownica i djabeł.
17. Cygan z cyganką.
18. Dziad z dziadówką.
19. Góral z kozą.

Krzyszlawice.

Szopka jest niema. Muzyka gra najpierw jakąś poważną melodyę a widzom pokazuje się:

1. Lalka przedstawiająca księdza w birecie na głowie, w komży, z kropidłem w ręku. Kłania się w stronę żłóbka, następnie kropi w stronę publiczności, kłania się i odchodzi.
2. Żołnierz kłania się w stronę żłóbka, następnie publiczności i tańczy. Do niego wychodzi z drugich drzwi mieszcanka, obydwójce uklonią się sobie, potem publiczności i tańczą. Wreszcie po uklonach żłóbkowi, publiczności i sobie znikają każde w swoją stronę. Muzyka gra krakowiaki.
3. Krakowiak ubrany w karayę, czerwoną czapkę z piórem pawiem, w pasie kowanym; Krakowianka w gorsecie wyszywanym szelążkami, w chustce na głowie związanej po krakowsku — na kogutka — we fartuchu szytym szelążkami. Wszystkie lalki kłaniają się, jak wyżej wspomniano.
4. Góral w guńce i kierpcach, z cepami, idzie niby na młóckę. Góralka w rańtuchu i chustce białej na głowie.
5. Cygan w łachmanach z cyganką zaczyna tańczyć, potem się biją. Przychodzi policyant, aresztuje cygana, a cyganka uchodzi.
6. Słowak w kapeluszu z szeroką krezą tańczy ze Słowaczką okrytą białem prześcieradłem.
7. Żyd w jupicy z książką pod pachą, a żydówka w bindzie na głowie tańczą w ten sposób, że raz jedno, drugi raz drugie podskakuje.
8. Czarownica z maślnicą, robi masło.
9. Djabeł z widłami, zagląda jej do maślnicy, a nie widząc

tam masła, napluje jej do maślnicy, bierze czarownicę na widły i wynosi.

10. Dziad z dzwonkiem i z torbami, dzwoni.
11. Babka zagląda mu do torby i z radości, że dziad ma centy, tańczy z nim.
12. Śmierć ucina kosą dziadowi głowę i odchodzi. Babka bierze ciało dziada na plecy i wynosi. Na tem kończy się przedstawienie.

Radziszów.

1. Pasterz z wysoką laską w ręce.
2. Krakowiak.
3. Ułan.
4. Żyd.
5. Mazur.
6. Góral z górką.
7. Rusin.
8. Cygan z cyganką. Cygan bije cygankę.
9. Czarownica robi masło, woła do pomocy djabeł. Przychodzi djabeł, wacha w maślnicy, potem obraca się tyłem do maślnicy i chce czarownicy śmietankę zanieczyścić. Czarownica bije go maślniczką. Wśród tego djabeł obraca się do niej z rogami i wynosi ją na rogach z szopki.
10. Herod ubrany w futerko, w koronie na głowie. Kłania się Dzieciątku w żłobie.
11. Śmierć ścina Herodowi głowę, poczem wpada djabeł, bierze go na rogi i wynosi.
12. Dziadek z workiem i dzwonkiem.
13. Ksiądz kropi kropidłem.

Rzeszotary.

1. Krakowiak i krakowianka kłaniają się widzom, oboje się całują, potem tańczą. Tu znowu wszystkie pary po ukłonach widzom całują się.
2. Wach (Lach), kabat, portki obszerne, czapka jak u »finansów«. Żona jego ubrana po wiejsku.

3. Ułan z żoną.
4. Steierek ze żoną, oboje razem znajdują się w kółku.
5. Góral z długimi włosami, w guńce, kapelusz zasmarowany, za kapeluszem wielkie pióro. Góralka w łoktusce białej, związanej od głowy pod pachy. Spodnica czarna, zapaska biała.
6. Żyd w jupicy, żydówka w peruce, obydwójce okropnie brzydce, całują się bardzo długo.
7. Czarownica, bardzo brzydka, stara baba w chustce na głowie, z maślnicą w rękach.
8. Dziad z torbą i dzwonkiem.
9. Śmierć z kosą ubrana białą w czarne, poprzeczne paski, bierze kosą za kark dziada i na tem się kończy przedstawienie.

Skawina.

1. Heród.
2. Feldmarszałek.
3. Szatan.
4. Śmierć.
5. Królowa. Śmierć ścina głowę królowej.
6. Grabarz.
7. Szatan powtórnie.
8. Krakowiak.
9. Góral z góralką.
10. Żyd z żydówką.
11. Madziar z kochanką.
12. Cygan z cyganką.
13. Cygan z niedźwiedziem. (Przy tem nie śpiewają ani nie grają, tylko stękają i mruczą. Niedźwiedź się wrywa, a cygan go ciągnie, przyczem się szarpia, a widzowie się śmieją.
14. Żołnierz z panną.
15. Strażak z panną.
16. Czarownica robi masło, przyczem kiwa głową. Djabeł wpada, wbija w nią widły, ale ona tłucze go maślniczką i broni

się zajadle. Na to wchodzi śmierć z kosą i zabiera czarownicę w jedną stronę, a djabeł umyka w drugą.

17. Dziad z dzwonkiem, dzwoni, żądając ofiary.

Swoszowice.

1. Krakowiak: Czapka czerwona, rogata, sukmana biała, wyszywana guziczkami, spodnie szerokie perkalikowe, buty z wysokimi cholewami a na nich sprzączki, obcasy wysokie i »huncwoty« na napiętkach. — Krakowianka z gołą głową, w gorseciku z kaletkami, wyszywanym szkiełeczkami i kółeczkami, warkocz gruby na plecach zarzucony, spodniczka kolorowa i krótki fartuszek, na nogach trzewiczki.
2. Ułan z panną.
3. Góral z siekierką i góralka.
4. Górnik, na głowie czako z »szlekontajzą« (herb górników: dwa młoty) w bluzie, w spodniach na cholewach, z »ob. ślajdrem« t. j. fartuchem skórzanym w tyle, z kagankiem w ręce. Z nim tańczy kobieta w chustce na głowie po wiejsku ubrana.
5. Kominiarz z drabinką i jego żona lichy ubrana, a cienka, jak i kominiarz.
6. Dziad ubrany jak zwykle i dziadówka.
7. Cygan z niedźwiedziem na łańcuszku.
8. Król Heród.
9. Śmierć trzymająca kosę oburącz.
10. Djabeł z rogami, ogonem i kopytami, trzyma widły.
11. Żyd i żydówka.

Tyniec.

1. Heród.
2. Śmierć ścina Heroda.
3. Djabeł czerwono ubrany, z rogami, zabiera widłami Heroda.
4. Żyd z żydówką kłaniają się szopce i widzom. Żyd trzyma biblię i skórkę króliczą. Żydówka ubrana w ciemną, wełnianą suknię i kolorowy fartuszek, na głowie ma blaszaną bindę z bombelkami, na szyi chusteczkę zapiętą.

5. Krakowiak z Krakowianką.
6. Strażak z dziewczyną.
7. Ułan z panną.
8. Góral z góralką. Góral ubrany w krótki kożuszek wełną na wierzch wywrócony, spodnie białe płócienne, kapelusz czarny, mały, okrągły, przez plecy przewieszona na rękomyku skórzana torba. Góralka ma na głowie czerwoną chusteczkę, a odziana jest płachtą.
9. Kominiarz z drabinką i sznurem, z dziewczyną.
10. Madziar z dziewczyną.
11. Kanonier z dziewczyną.
12. Dziad w białym kitlu, opasany paskiem, ma długą białą brodę, przez ramię przewieszoną torbę, na piersiach medal, w rękach na długim drążku woreczek z dzwonkiem.
13. Śmierć zagląda dziadowi do woreczka i zabiera dziada.

Wieliczka (Szopka I).

1. Dwaj pasterze i policyant.
2. Pasterz i żyd (Pastorałki XX. Misyonarzy str. 294).
3. Łobzowianie.
4. Myśliwy i panna.
5. Krakowiacy.
6. Góral i góralka.
7. Kominiarczyk.
8. Czarownica.
9. Górnik.
10. Heród.
11. Szatan.
12. Śmierć ucina Herodowi głowę.
13. Żyd tańczy, ciesząc się ze śmierci Heroda.
14. Dziad.

Wieliczka (Szopka II).

1. Pasterze.
2. Ułan z ułanką.
3. Heród.

4. Minister.
5. Żyd.
6. Śmierć.
7. Djabeł ukreca Herodowi głowę i porywa ze sobą.
8. Żyd powtórnie.
9. Krakowiak z krakowianką.
10. Kozak.
11. Kominarz.
12. Góral (druciarz).
13. Cygan z dzieckiem.
14. Czarownica.
15. Dziad.

IV.

Przedstawienie lalek rozpoczyna się często pewnego rodzaju wstępem, jakąś oracyą, którą wypowiadają kolędnicy bez wysunięcia przy tem lalek, albo też z lalką.

Przy szopce w Bugaju wysuwają najpierw lalkę gospodarza, który mówi:

»Opatrzność Boska nad nami,
Opatrzył nas Bóg darami,
I dobrymi galarami,
Opatrzył nas Bóg pszenicą.
Żywią naród za granicą;
Pobłogosław ziemię,
Gdzie się żywi ludzkie plemię,
I kochaną rolę naszą,
Gdzie się rodzi groch i kasza«.

Wstęp do szopki w Borku Fałęckim jest bardzo króciutki:

»Zawitał tu święty Szczepan po kolędzie,
Jeżeli pozwolicie, to będzie«.

Oracya przy szopce w Dobczycach jest dłuższa:

»Niech będzie pochwalony
Odemnie samego i od mojej żony!

Po co my tu do państwa przyszli?
 Żeby co opowiedzieli. —
 Niechaj winszujemy, — prawdęśmy stracili —
 Pokój požądamy. Przyszła nam nowina,
 Że nam Syn z nieba dany,
 Syn z Ojca niebieskiego się rodzi,
 Tę nam powiastkę przynosi.
 A tą powiastką tak się będziemy bawić,
 Prosimy państwa na nią ucha nastawić.
 Będzie tam Jezus, będzie Marya,
 Wraz wszyscy pastuszkowie,
 Od nas dar dany ubogi;
 Co Ci ofiaruję mój Jezu drogi?
 Choćbym Ci ofiarował tę wiąznię pracowitą,
 Weź, prosimy! — Nie tak ci to,
 Nie tak, jakbyśmy chcieli,
 Chętnie państwu opowiemy.

W Rzeszotarach.

»Z dawna ci to zwyczaj wszędzie,
 Nawiedzają po kolędzie
 Sąsiad sąsiada miłego
 Według Boga zrodzonego
 Panny Maryi.

Panie gospodarzu! my wasi goście,
 My po kolędzie dziś do was przyszli,
 Więc że sważyć nie będziecie,
 Nam kolędę darujecie,
 Jak sługom swoim« ¹⁾.

Przedstawienia szopek w Gdowie i w Sieprawiu rozpoczynają oracyą; znajdującą się na str. 245 w zbiorze kolęd, wydany u X. X. Misyonarzy w Krakowie na Stradomiu p. t.: Pastorałki i kolędy, czyli wesołe piosnki w czasie świąt Bożego Narodzenia po domach śpiewane przez X. M. M.

¹⁾ Patrz Kantyczki Fr. Foltina w Wadowicach str. 409.

zebrane. Czerpane z rękopisów od roku 1695. Kraków 1883. Część I. str. 1—228. Część II, str. 229—704.

»Wszystkim wobec kolędy naprzód winszujemy, i t. d.

W Skawinie i Tyńcu deklamuje któryś z kolędników pieśń znajdującą się w wyżej wymienionych kantyczkach X. X. Misyonarzy na str. 272. a zaczynającą się od słów:

»Mizerna cicha, stajenka licha...« i t. d.

W Swoszowicach zaczynają przedstawienie zaraz po słowach:

»Przyszedliśmy tu po kolędzie,
Niech wam za przykro nie będzie«.

Po takich wstępach rozpoczyna się dopiero właściwe przedstawienie. Poniżej przejdziemy kolejno wszystkie osoby występujące w szopce krakowskiej.

PASTERZE.

Bugaj.

PASTERZ I. »A to ja tu stoję na stróży,
Cosi mi się we łbie wróży.
Pójdę ja obudzić starego Szymona. —
Wstawajcie no Szymonie,
Bo cała wieś płonie!

PASTERZ II. »Co mówicie, co bajecie?
A mówno Bartosie,
Bo jak skłamiesz, to dostaniesz,
Od pana po nosie.

(Śpiewają): Dwóch pasterzy i t. d. (Patrz wariant szopki krakowskiej str. 24—25). Odmienne jest tu upomnienie, dane im przez policyanta, który mówi:

POLICYANT: Nie róbcie tu chłopcy gruchu,
Koło królewskiego dworu,

Bo jak się nie pogodzicie,
Po sto kijów dostaniecie.
Rypajcie chłopcy spać do szopy!

Do tej sceny podobna jest scena pasterzy w radziszowskiej szopce.

Radziszów.

PASTERZ: Trwoga, dla Boga!
Dla biedaka, dla żebraka,
Nie zmrużona jest powieka.
Ledwie stoję na tej stróży,
Że mi się tak we łbie mruży,
I jakieś strzygi, mamony,
Że mi się wydaje, że prawie szalony.
Dla Boga żywego!
Dusza moja nie wytrzyma,
Muszę iść pobudzić wszystkich,
A naprzód ojczyma.

Szopka w Gdowie ma scenę z pasterzami tę samą, co szopka w Krzesławicach i wariant szopki krakowskiej od słów: »Dwaj pasterze razem poszli«... i t. d. (Szopka krak. str. 101), z wyjątkiem sceny z policyantem, który mówi:

POLICYANT: Co za rozruchy chłopcy po szopie czynicie?
Bydło się wam rozigrało, wy o tem nie wiecie,
Spać chłopcy do szopy!
Po dwadzieścia pięć dostaniecie
I do kozy pójdziecie.

Waryant z Wieliczki.

Oprócz podanej w dodatku 3-cim dra S. Estreichera szopki krakowskiej sceny pasterzy w szopce wielickiej (str. 111—112) po śpiewie I. pasterza: »Pastuszkowie braciszku«... i t. d., oraz skróconej kolędy: »Hej bracia czy śpicie«... mówi pasterz podobnie jak w szopce radziszowskiej:

A ja tu stoję na tej stróży,
 Aż mi się coś we łbie wróży,
 Ale jakaś zła nowina,
 Że mą duszę chce zabić.
 Zaraz wołam na Szymona:
 »Szymonku, Szymonie!
 Wstajcieno, bo cała wieś płonie!«

PASTERZ II. He, he, co bajete? co pletete?
 Nic pod nosem nie gadajcie!

Śpiewają razem: »Dwóch pasterzy razem paśli«... (Patrz wariant szopki krakowskiej str. 24—25). Różnicę stanowią małe dodatki jak n. p. po słowach »Weźmy się za bary« — powiada jeden: »Na co gorzałkę pijesz? Na co źle tańczysz? i t. d.« — a policyant po słowach: »Spać chłopcy do szopy« — dodaje:

A ty Bartoży
 Chodź ze mną do kozy!

Dla uzupełnienia sceny z pasterzami dodać należy, że tak, jak w szopce krakowskiej, występuje w szopce wielickiej pasterz ze żydem. (Patrz szopka krak. str. 26, a w kantyczkach X. X Misyonarzy str. 293.

KRAKOWIAK I KRAKOWIANKA.

Bugaj.

KRAKOWIAK: Hołdus, bołdus, ja chłopak wesoły,
 Posprzedalem na Kleparzu wszystkie cztery woły.
 Czapeczka czerwona błyszczy się na głowie,
 Spytałbym się kogo, czyli był w Krakowie.
 Ja w Krakowie mieszkam na »szklanej« ulicy,
 Pod numerem »stul pysk« w ładnej kamienicy.
 Ale mnie dochodzi smutna nowina,
 Bo mojej Kasi dziś w domu niema.

KRAKOWIANKA (wchodząc): Witam cię Jasiu!

KRAKOWIAK: Jak się masz Kasiu?
Gdzieś tak długo była?

KRAKOWIANKA: Nie wiesz to Jasiu, żem krówki doła?

KRAKOWIAK: A moja Kasiniu długo krówki dojas,
A jak mi się zdaje, to mi się odmawiasz.

KRAKOWIANKA: Mówię ci Jasiniu, nie rób se nic z tego,
Bo ja ciebie kocham, ale nie innego.

KRAKOWIAK: Moja Kasiu daj buziaka,
Będziemy hulać krakowiaka.

KRAKOWIAK: Albośmy jacy tacy i t. d. (Patrz Szopka krak.
str. 45., oraz kantyczki X. X. Misyonarzy krak. str. 282).
Jako odmienną zwrotkę tego krakowiaka śpiewają tu:

A ja sobie krakowiaczek, jedynaczek,
Krakowianki matki, równiutki i gładki,
Mam ja czapeczkę czerwoną,
Na cztery różki grodzoną,
A jak mi w niej ładnie,
Ledwo mi nie spadnie.

KRAKOWIANKA: Znałam ja takiego, co się kochał w ładnej,
Ta go ominęła, teraz nie ma żadnej.
O Boże, mój Boże, co się też to stało,
Gdzie pieniędzy niema, tam miłości mało.

Waryant z Gaja.

KRAKOWIAK: Soltys, bałtys, ja chłopiec wesoły,
Sprzedałem na targu cztery siwe woły,
Ale jakaś zła nowina,
Że mej Kaśki doma niema.
(*Do wchodzącej krakowianki*):
Jak się masz Kasiu?

KRAKOWIANKA: Jak się masz Jasiu?

KRAKOWIAK: Gdzieżeś była?

KRAKOWIANKA: Na Łysej Górze krówki doła.

KRAKOWIAK: Moja Kasiu, daj buziaka,
Każemy się zagrać grącko krakowiaka.
(*śpiewa*) »Albośmy to jacy tacy...« i t. d.

Waryant z Wieliczki.

KRAKOWIAK: Chołdy, gołdy, ja se chłoppek wesoły,
Pasałem na Podolu wszystkie cztery woły.

KRAKOWIANKA: Jak się masz Jasiu? (i t. d. — jak wyżej)
Ponieważ w następnie śpiewanym krakowiaku są znaczne różnice, przeto należy go podać w całości, tak jak go przy szopce wielickiej śpiewają:

A czy my to jacy tacy, jacy tacy, jacy tacy,
Chłopcy krakowiacy, chłopcy krakowiacy,
Bielutka sukmana
Ram taj, taj, taj, dana.

Karazyja wyszywana, pętliczkami wybijana,
Do okulisienka,
Moja matusienka.

Koszulęczka bieluteńka, na niedzielę czyściuteńka,
Czerwona czapeczka,
Na cał podkóweczka,
Króciutka sukmana,
Ram taj, taj, taj, dana.

I fajeczka za cholewą, czy za prawą, czy za lewą,
Każdy sobie kurzy,
W domu, czy w podróży,
Pasicek kowany,
Od mamy kochanej.

I pieniądze na obsiewki, przypatrzcie się wszystkie dziewczki,
Teraz mi się każą żenić i sam nie wiem, którą mienić,
Czy Kaśkę, czy Baśkę,
Czyli też Orszulę,
Co szyła koszulę.

Myślę pojąć Karolią, co sprawiła Karazyją,
Ale bardzo płocha,
Bo każdego kocha.

Za Baśką mi dają krowę i gospodarstwa połowę,
Kazą mi sąsiedzi
Nieść na zapowiedzi.

Ale mi się nie podoba, bo z innymi rada gada,
Nie idę ja za nią,
Wezmę sobie Karłę.

Kaśkem już dawno zaniechał, bom się do Karle uciekał.
Z Karle mi też już nie,
Muszę z Orszulą żyć.

Bo mi Orszula najmiłsza i ze wszystkich najpiękniejsza,
Podarunki od niej,
Jak od starej dawnej

Pierścionecki, łańcuszeczki, zegareczki
Spinka u koszuli,
To też od Orszuli.

KRAKOWIAK (*śpiewa*): Hola z drogi, mości panie!
Z drogi, duszo od szatana!
Jadą z miasta Krakowianie,
Danaż moja, dana.

Prędzej Wisła z Sandomierza odwiedzi Bielany,
Niżli króla Kazimierza zapomną włościany.

Waryant ze Skawiny.

KRAKOWIAK: Czemuż mi to ludzie zazdrościcie tego,
 Siedemdziesiąt kólek u pasika mego.
 Siedemdziesiąt kólek, na cał podkóweczka,
 Danaż moja, dana, moja kochaneczka.

Waryant z Tyńca.

Krakowiaczek ci ja, przyznajcież mi tego,
 Siedemdziesiąt kólek u pasika mego.
 Niema ci to, niema, jak w krakowskiem polu,
 Dwa ziarna pszenicy a dziesięć kąkolu.
 Zaraz ci to poznać chłopą Krakowiana,
 Czapeczka na bakier, mina jak u pana.

Z Gdowa.

Tu występują dwie pary Krakowiaków t. j. krakowski
 gospodarz z gospodynią i Krakowiak z Krakowianką.

GOSPODARZ (*mówi*): Ja se jestem gospodarz gruntowy,
 Mam gospodynią, cobym mógł rąbać na
 [cztery połowy.

Moja gospodyni tak się upaśła,
 Jak się najadła karpielei, to aż na niej
 [spodnica trzaśła.

(*śpiewa*): Zawiślany jadą z tatarczaną kaszą,
 Co miłą ujadą, to koni popasą.

KRAKOWIAK (*śpiewa*): Ja se jestem Krakowiaczek,
 Jestem chłopak gładki,
 Popiłem se winka,
 Nie żadnej gorzałki.

(*Mówi*): Mieszkam w Krakowie na szklanej ulicy i t. d. —
 jak przy szopce w Bugaju.

KOZAK I DZIEWCZYNA.

Waryant z Wieliczki.

KOZAK (*śpiewa*): Jedzie kozak zaporoski i t. d. (jak w szopce krakowskiej waryant II, str. 52 aż do słów):

»Myślisz, że się ciebie boję, śmiało dziewczę pyta«....

Dalsze słowa są odmienne i brzmia:

»Mam ja braci na Wawelu, mają pawie pióra,
Na kawałki cię porąbią, tylko krzyknę: hura!
Widzieliśmy cztery orły, jak górą latały,
Ruski, pruski, austriacki i nasz polski biały.
Ruski, pruski zjadł nam kluski, austriacki kaszę,
Moskalisko zjadł kapustę, a Polak kielbasę«.

Z Bugaja.

KOZAK: A ja Kozak czartoryski od ludzkiego stanu,
Nadybał ja babulenkę Karasina zwaną.

KOZACZKA: Nocka jest ciemna, a drożyna ślizka,
Nocuj, nocuj Kozaczyno, kwatereczka blizka.
A jak ty pojedziesz, a mnie nie zabierzesz...
(Brak drugiego wiersza)

KOZAK: Pojadę ja na Dunaju, na dudzie zahraju...
(Znowu brak zakończenia).

Z Radziszowa.

KOZAK (Rusin): Pane brate nawarych budemo sia byty,
Ne hody ty tamka, hde ja miau diwońku lubyty.

UŁAN Z DZIEWCZYNA.

Waryant z Bugaja.

UŁAN (*śpiewa*): W ogródeczku błyszczą kwiecie,
Stoi ułan na pikiecie,

A dziewczyna, jak malina
Niesie koszyk róż.
Poczekajno moja duszko,
Czemu stąpasz tak drobniuszko?

DZIEWCZYNA: Ja z tej chatki, rwałam kwiatki
I powracam już.
(W Gdowie śpiewa ułan to samo, co w Bugaju).

Z Rzeszotar.

UŁAN (*śpiewa*): Zagrajże mi ułana, od wieczora do rana.
Tram ti ra da tram ta.

Z Tyńca.

UŁAN (*śpiewa*): Zagrajcież, zagrajcie ułanowi śmiało,
Żeby czapka spadła, da wam szóstkę starą.
Ułan ci ja, ułan, czerwone spodnie mam,
Kabat z guzikami, buty z ostrogami.

Z Wieliczki.

I.

UŁAN (*śpiewa*): Ułan na rinku pije palenku,
Przyszła do niego ułanka jego.

UŁANKA (*śpiewa*): Chodź ułan do dom,
Konia ci siodłam,
Konia siwego,
Siadaj na niego.

UŁAN: Jakże mam siadać, kiej siodelka niema,
Bo mi go wzięła (u)herska dziewczyna;
Wzięła i nie da, niech sobie sprzeda,
Niech sobie kupi (u)herskie buciki.

UŁANKA (mówi): A słuchala ty głupia Katarina, co ja ti wczoraj rekla do ucha, żebyś ty stupal na Niepolomice, na Krzyszkowice. Stupaj!

II.

UŁAN: Hej, po czemżeś dziewczyno ułana poznała?

ONA: Bo mu się u boku szabelka błyszczała.

Hej, ułani, ułani siwe konie macie,

Ja pojedę z wami, jednego mi dacie.

Jednego mi dacie tego cisawego,

Ja pojedę z wami do Wiednia samego.

Pieśń ułana o wojnie.

W Krakowie na zamku stoi kary koń,

A na tym koniu cały mundur mój.

Chcesz wiedzieć ma matko, jaki obiad mój?

Sztuka mięsa z konia, pod siodłem pieczona,

Taki obiad mój.

Chcesz wiedzieć ma matko, jaki nocleg mój?

Garstka liścia z drzewa pod głowę włożona,

Taki nocleg mój.

Chcesz wiedzieć ma matko, jaka śmierć moja?

Leci kula z nieba, ach, Jezus, Marya!

Umierać trzeba.

Chcesz wiedzieć ma matko, jaki pogrzeb mój?

W odległym polu koledzy moi

Wykopali dół.

Chcesz wiedzieć ma matko, jak mnie płakali?

Tam nad moim grobem moi koledzy

Z gwerów strzelali.

Chcesz wiedzieć ma matko, kto mnie tam płakał?
Tam nad moim grobem, w polu odległym
Tambor kołatał.

GORAL Z GORALKĄ.

Waryant z Bugaja.

GORAL (*śpiewa*): Jedy, Kaśka, jedy nie dojałaś kozy,
Przyjdzie Jędrek z pola, to cię wybatoży.

Z Tyńca.

GORAL (*śpiewa*): Niema ci to, niema, jak gorale zuchy,
Kapelusze z piórami i długie kożuchy.
Czegożes ty Kaśka izby nie zamietła?

GORALKA: Czegożes ty Bartek nie zrobił pomietła?
Nie trap się goralu, choć cię biedą straszą,
Bo ci się kwiczoły na jałowcu pasą.

Z Gaja.

GORALKA (*śpiewa*): Goraleczka przyszła, goralą nie widać,
A z kimże se będzie goraleczka igrać?

(*Goral wchodząc słucha dalszego śpiewu goralki*)
Goralu, goralu, Kaśka ci umarła,
Cosik jej się stało, wczoraj kluski żarła.

GORAL (*śpiewa*): Nie tak mi Kaśki żal, jak mi klusek luto,
Najadłbym się dzisiaj, nie płaciłbym jutro.

(Porównaj dodatek szopki krak. str. 118.)

W Gaju i w Skawinie śpiewają goralowi:

Goralu od Ucnie, jak ci się nie ucnie.
Trzaskać kryptkami (Przebierać nóżkami) za goraleczkami.
Goralu ze Żywca, pożyczże mi krypcia,
Ja ci nie zepsuję, tylko potańcuje.

Z Rzeszotar.

- Goralu, wieślaku, matuś ci umarła,
Jedyta, werdyta, wczoraj kluski żarła.
- Nie tak mi matuś żal, jak mi klusek luto,
Cobym nie zjadł dzisiaj, schowałbym na jutro.
Cobym nie zjadł jutro, to schowam na wtorek,
Co nie zjem we wtorek, to schowam we worek.

Z Gdowa.

I.

GORAL (*śpiewa*): Oj, na flis chłopcy na flis, bo woda maleje
Oj, bo rybka bez wody ledwo nie szaleje.
Oj, jedyk, Kaśka, jedyk, nie dołaś kozy,
Oj, przyjdzie Jurek z Górek, to cię wybatoży.

II.

Oj przyszedł Wach do karczmy, siadł na rogu stoła,
Rznął czapą o ziemię, kurzy mu się z czoła.
Oj, ty moja dziewczyno, moja odrobino,
Oj porwał ci mi wilczek ostatnią kozinę.

Z Wieliczki.

GORAL (*woła*): Garczku drutowat!

(*śpiewa*): Dajże Boże szczęście na pierwszy początek,
Jeszczem nie tańczył od Zielonych Świątek.
Ty goralu kucnie i t. d. (jak w szopce skawińskiej)
Jedyć Kaśka i t. d. (jak w szopce z Gdowa).

Goralu, goralu, gdzieś goralkę podział?
 — Na nalepie leży, gaciamim ją odział.

Pieśń górala.

A jak umię, Boga chwale,
 Ojciec umarł, leży w dole i t. d. (Patrz Szopka krakowska str. 61).

II.

Oj, góry nasze, góry, oj te nasze komory,
 Oj, bukowe listeczki, oj, nasze polaneczki.
 Oj, góry nasze, góry, oj, hale nasze, hale,
 Oj, kto was zna tak dobrze, jako my gorale.
 Oj, góry nasze, góry, oj, wysokie szczyty,
 Oj, kto was przewędrował, oj goral rodowity.

Niektórzy umieszczają tu pieśń W. Pola o góralach
 od słów:

»Lud wysmukły, niby jodła...« aż do słów:

»A radniejszy, niż lud w dołach«.

Oprócz powyżej przytoczonych scen, zestawionych według
 układu szopki krakowskiej, występują w tych szopkach jeszcze
 inne osoby.

W Gaju.

POLICYANT Z ŻONĄ.

POLICYANT (*śpiewa*): Wyszedł rozkaz od Heroda,
 Wiesz ty moja babo młoda,
 Aby wszystkie małe żydki pozabijać.

ŻONA: Co się trapić, co się smucić,
 Lepiej tańczyć, kiedy każdy hasa,
 Więc i my tańczmy obertasa.

W Gdowie.

ŻANDARM (*śpiewa*): Królewsko-niebieska, ja se dobrze stoję,
Szabelkę mam poświęconą, kogóż ja się boję?

MŁYNARZ Z MŁYNARKĄ.

MŁYNARZ (*śpiewa*): A ten młynarz dobrze miele,
Jeden worek trzy niedziele,
A jak zmiele, to nic nie da,
Bo worek zje, mąkę sprzeda (sic!)

ŻYD Z ŻYDÓWKĄ.**Waryant z Gaja.**

ŻYD: Aj, waj, co za zmiany na szwecie!
Dzień w nocy już macie.
Będziemy teraz długo handlowali,
Ale kiedy spali?..

(*śpiewa*):

Moje Rufci, chodź tańcować,
Żydowskiego wywijować.

Ze Skawiny.

ŻYD: Szła żydówka wedle kramu.
Nakupiła marcypanu,
Żyd się śmiał, aż się chwiał.
Jak ja się ubiorę na siabes w koszulę,
To od mojej Sury dostanę cebulę.
Aj, waj, aj, waj!
Na żydowskim obiedzie
Tańczyły niedźwiedzie. Aj, waj, aj, waj!

Z Tyńca.

ŻYD: Zagrajcież mi hebrajskiego,
Krakowiaka żydowskiego.
Jak ja się ubiorę... i t. d. (jak w Skawinie).

Z Rzeszotar.

ZYD: Poszedł żydek po wodę,
Złapali go za brodę
Aj, waj! kimi siaj, mojej bródki nie ruszaj!

Z Radziszowa.

ŻYD: Ny, niech będzie pochwalony,
Co tu słyhać w wasze strony?
Przyszedłem do wasze szopie,
Oglądać malutkie chłopię.
Przyniosłem skórki, szczeciny
Dla tej malutkiej dzieciny.
Proszę zagrać żydowski — abramskie.
Sure kim!
Idzie żydek po wodę... i t. d. (jak w Rzeszotarach).

Z Wieliczki.

ŻYD: Powiadają starzy ludzie:
Kto że żydem końca dojdzie?
Mądry poszedł, głupi przyjdzie,
Głupi poszedł, mądry przyjdzie.
Raj, tum, taj tum, żydowskiego
Raj tum, taj tum, krakowskiego.

A mój ojciec stary
Miał dużo talary,
Dawał na procencie,
Odbierał po cencie.

Jak mu przyszło odbierować,
To się musiał procesować,
Kapitałów stracić,
A koszta zapłacić.

W Wieliczce występuje jeszcze żyd i chłop, która to scena znajduje się w szopce krakowskiej na str. 26 a zaczyna się od słów:

Żydzie, żydzie, Meszasz się rodzi
Więc go tobie (*bis*) przywitać się godzi i t. d.

CYGAN Z CYGANKĄ.

Waryant z Gdowa.

CYGAN: Ja se jestem cygan, bom kota obłupił,
Jakem leciał przez wieś, tom se skórkę zgubił.

Z Radziszowa.

CYGAN (*mówi*): Niech będzie pochwalony.... O, mój panie gospodarzu, deście też ta choć odrobinę kapuściny dla małego niebożęcia! A świnią też tu nie zdechła komu?
(*Potem bije cygankę i znika razem z nią za kulisami*).

Z Wieliczki.

CYGAN (*mówi*): Haderu, maderu, moja imość kochana, dajcie ta ziemniaka dla tego bachora.

(*Śpiewa*): Oj, cygany, cygany, wszędzie ślad za wami,
Boście zrabowali skrzynię z talarami.

Ze Skawiny.

I.

CYGAN: A jo czygon, czo nicz nimom,
Ino jedną czyganeczkę, czo ż niom szypiom.
A źli ludzie
Wychowali czyganeczkę we psi budzie.

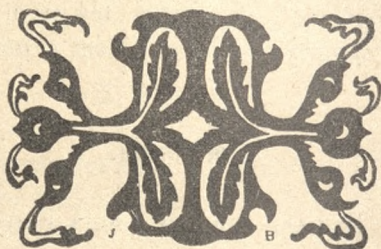
II.

Poszedł cygan do fabryki,
Obstałował cyganeczce na trzewiki.
A cyganka wdzięczna za to,
Śpiewała mu całe lato.

(Zamiast wyrazów »na trzewiki« i »śpiewała« wstawiają przy powtarzaniu tego czterowiersza inne, często nieestetyczne wyrazy). *Wreszcie śpiewa:*

Cyganeczka spadła z wiśnie,
Potargała se fartuszek nie umyślnie.

(Dok. n.)





Z WIERZEŃ I PRZESĄDÓW LUDU NA PODHALU.

Spisał

Karol Potkański

w Zakopanem w latach 1895 i 1896.

Jak waż przejdzie drogę — to szczęście, nie trzeba go zabijać.
(*Josiek*) *Jan Bachleda z Zawilcznika, lat 46.*

Pleń (mucha pleniońska): będzie dobry rok w tej stronie, w którym kierunku on idzie.
(*Josiek*).

Jeśli strzelić do krzyża albo do hostyi, to taka strzelba zawsze będzie trafiać.

Taka strzelba dostała się raz synowi jednego gazdy po śmierci ojca. — Nie wiedział, że jest poczyniona, wyszedł z nią i zobaczył, jak mu djabeł na strzał nagał wilka żelaznym prętem — »coby go zabił«.
(*Dziadek Jośka*).

Dziadek Jośka opowiadał, że w »naskich lasach« była dziura, a w niej pełno węzów. Był król między nimi — »nástarsy«, miał trzy głowy. Jak go kto dopadł i uciął średnią głowę a uważał z niej rosołu i wypił, to wiedział »ka są« jakie zakopane pieniądze. Jeden to zrobił, ale cóż, kiedy przy pierwszym skarbie serce mu pękło.

Mleko można krowie odebrać, albo popsuć; nim je do naczynia wlejesz już się zwarzy. — Prędzej robiła to stara Wiazuła (żona Wiaza). Stary Wala miał kiedyś naczynie z takim mlekiem i wniósł do izby, zaparł chatę a rozpałił w piecu, wyjął pręśło z pługa i włożył go do ognia, rozżarzone wyjął i zanurzył w mleku. To zaraz zaczęła wołać — ta Wiazuła — coby ją wpuścić do izby. Wala nie puścił i mleko przestało się psuć. Jakby ją był zaś wpuścił, byłoby ją nie piekło, a tak to ją parzyło to pręśło.

(*Josiek*).

Baby mówią o dziecku, które płacze: »czy go boginki odmieniły (dziecko), co się tak drze!

(*Wojciech Rój, lat 57*).

Babę karmiącą boginki raz porwały i ssały ją.

(*W. Rój*).

Gdy boginka uciekała z dzieckiem, to boginka druga wołała przez zazdrość:

Cudza żonka,

Łap się na miedzy dzwonka.

Wtedy musiała dziecko puścić.

(*W. Rój*).

Pod Kubinami (koło nowej szkoły ludowej) i pod Kozieńcem były boginki. Prały, ^{były}piersiami, ^{były}czarne, »brzydźkie«. Zamieniały dzieci niechrzczone, po chrzcie nie miały już prawa.

(*Josiek*).

Kościelny, Wojciech Janik, lat 87 (po matce Gąsienica), opowiada: Boginki, jak cyganki obtargane, śpiewały — tańczyły — najwięcej kiedy się mroczyło.

Niechrzesne dzieci po śmierci płaczą, jakby kto wiedział »coby go strach nie zdjął«, ma powiedzieć:

Jakieś chłopiec, niech ci będzie Adam,

Jakieś dziwce, niech ci będzie Ewa.

Matka Roja ochrzciła na Zasichlu takie dziecko w ten sposób.

(*W. Rój*).

Dziecku niechrzczonemu, jak po śmierci straszy, trzeba dać miano (imie) a będzie zbawione. *(Janik).*

Jaśka wodziło, jak wrócił z Olszy (przysięga się, że wódki ani piwa nie pił), nie mógł wrócić do domu, wydawał mu się »brzezek« tak wysoki, jak Garłuch, smreki grubsze, karczma na Ustupie inaczej stała, ludzie wszyscy idący od miasta wydawali mu się, że idą do Zakopanego i że on tam sam idzie. Dopiero go to popuściło na moście na Chramcówkach.

(J. Bachleda).

Na Suchołońskim, w lesie wodzi. — Kto to jest? Nie wiadomo, tylko że się w oczach i głowie pomąci.

(Jan Bachleda).

W kolibie w Mięguszowskiej dolinie koło Hinczowych stawów Michał Gąsienica zobaczył w nocy Luptaka (ducha). Podobno w tej kolibie mają być pieniądze zbójcekie. Michał Gąsienica 25 lat temu znalazł tam ze dwa worki kości.

(Jan Bachleda).

W kronice kościelnej w Zakopanem, zatytułowanej: »Liber Memorabilium seu historiae Parochiae ab. 1848. (ks. Stolarczyka) czytamy:

Dnia 28 lutego 1856 r. zasypał pięciu górników śnieg. Ci nieszczęśliwi powracali z Bani Ornak w Dolinie Kościeliskiej i idąc zapewne żlebem trafili na moment, kiedy właśnie uwiózł się śnieg z szczybów Dziewiętej i Ornackich. Z nich po trzech dniach dwóch znaleziono, trzech znowu (s)...

Dla częstych zdarzających się w Dolinie Kościeliskiej nieszczęśliwych wypadków rozeszło się i pewnie wkorzeniło między ludem mniemanie, że w tej dolinie jakiś zły duch prze-mieszkuje, że tam osiadł od tego czasu, kiedy w niej przed wieki były kopalnie srebra i kuźnice, że wtedy bardzo dużo złego w tem miejscu i przez tyle wieków, w których srebro wyrabiali, o czem wyrobiska podziemne oczywiście są dowodem, popełniono i ducha złego sprowadzono, który dotychczas przebywa i jest przyczyną częstych po sobie następujących

w owej zresztą cudnie od Stwórcy uposażonej dolinie nieszczęśliwych wypadków — o jakich w innych stronach Tatr prawie nigdy nie słyhać.

Do tego przyczyniają się różne krążące od starszych przodków odebrane powieści, które są bardzo stosowne i zdolne wyź wspomniane mniemanie spotężyć. Może się kiedy następcy mojemu wspomnienie, które tu jako krążącą i istniejącą między ludem opinię — kładę, na co w swoim czasie przyda.

Pewien gospodarz Wojciech Wolczak alias Wojciak, bardzo porządny gospodarz — był dwa razy na wójta obrany, za co nie długo podziękował — żył ze mną w przyjaznych stosunkach, wpadł wreszcie w melanholię wskutek defektu sercowego i płucowego i mimo perswazyi dn. 8 września w swojej izbie popołudniu z pistoletu zastrzelił się, — pochowany z wielką biedą, gdyż tam parafianie nie chcieli pomimo, że go wszyscy lubili i żalowali, na kraju cmentarza przy kostnicy. Notując to, dodaję: iż całą zimę i stąd grożące nieszczęście (zimno, śnieg i nieurodzaj) lud przypisywał temu, że ów Wojciech Walczak przy cmentarzu zaraz był pochowany. Wiele bardzo pracy mnie kosztowało, nim mogłem tego nieszczęsnego od wykopania obronić. — 1864.





STROJE LUDOWE W PARAFII ŁĄCKO W POWIECIE NOWO-SĄDECKIM.

Opisał

Jan Cwikowski.

Parafia Łącko rozsiadła się nad Dunajcem na granicy »Łachów« i Górali. Stąd też strój ludu tutejszego przejmując właściwości i jednych i drugich, a Łachy od Sącza nazywając ich Góralami, zaś Górale od Nowego Targu mają ich za Łachów. Właściwie strój tutejszy jest więcej zbliżony do łachowskiego tak krojem, jak haftem, a że ulega powoli, ale stale i widocznie zmianom i za lat niewiele nie będzie podobny do dzisiejszego, więc uważam za wskazane opisać go w »Ludzie«.

Ubiór mężczyzn.

Ubiór codzienny letni mężczyzn jest następujący:

»Płócianki« (spodnie płócienne) z płótna zgrzebnego (najgrubsze, z kłaków konopnych i lnianych) lub »paceśnego«, (nieco cieńsze) które w miejscu wyrabiają, szerokie, długie po kostki. Potrzeba na nie 1·80 m. płótna.

Koszula z płótna tego samego co płócianki, a często cieńsza, to jest, zgrzebna, paceśna, konopna i półlniankowa (pół lnu i pół konopi) długa ponad kolana, z kołnierzykiem wykładanym bez wszelkich haftów i wyszyć, całkiem biała, zapinana

pod szyją i na piersiach na guziki, które wyrabiają z nici miejscowe szwaczki, lub kupują w sklepach: blaszane, rybiane lub



Chłopcy z Czernica w parafii łackiej.

kościane. Koszulę i płócianki potrafi uszyć każda gospodyni. Na koszulę potrzeba od 2:50—3 m. płótna. Koszula przepasana jest paskiem rzemiennym 3—6 cm. szerokim, zapinanym na sprzączkę mosiężną. Pasek ozdobiony bywa kabzlami i guzi-

kami mosiężnymi. Długość paska zależy od ubierającego się. Starsi noszą tak długie paski, że wystarcza ich tylko na jednokrotne opasanie się. Młodzi, kawalerzy, noszą takie, że otaczają się nimi 2—3, a nawet 4 razy. Drugi, trzeci i czwarty zwój popuszczają po koszuli. Paski te kupują w Łącku na jarmarku od rymarzy starosądeckich po 30 h. do 2 Koron i wyżej.

Niektórzy mężczyźni przywdziewają na koszule kamizelki z tandetnej materyi, które kupują na jarmarku w Łącku od żydów z Nowego Sącza za kilkadziesiąt centów. Dawniej noszono zamiast kamizelek »lajbiki« z sukna własnego wyrobu, wyszywane sznurkami kolorowymi, z guzikami mosiężnymi.

Koszulę na piersiach spinano mosiężną spinką wielkości dłoni różnego kształtu (IHS, lub serce). Koszulę pod szyją zapinano kolorową tasiemką.

Starzy zamiast dzisiejszych pasków nosili »srosy«.

Za obuwie codzienne służą »kырpce«, które robią sami ze skóry grubej, kupionej na jarmarku za 1:60 K. do 2:40 K. za parę. Nogi do kырpcy owijają białą szmatą (онучка, całка), zaś tę okracają rzemieniem długim na 1 do 2 m. raz koło razu. Rzemienie te kupują, jak paski. Gdy kырpiec się podrze ze spodu, każdy mężczyzna umie go sobie »oprawić«, kupioną na to resztką skóry (łatą). Chodzą także często boso.

Noszą kapelusze z kryzą (kanią) nadół opadającą, opasane łańcuszkami lub kostkami, a dawniej centkami. Takie kapelusze nazywają »góralskie«. Wartość 1 do 2 K. Prócz tych noszą »lachowskie« z małemi do góry zawiniętymi kryzami, ze sznurkiem wokoło. Dawniej noszono kapelusze z kiścią piór kogucich pomieszanych z pawimi.

Na wierzch przywdziewają mężczyźni »gurmanę« bronzową z sukna własnego wyrobu. Dawniej noszono gurmanę podobną, lecz mniej wyszywaną, natomiast ozdobioną koluszkami mosiężnemi i guziczkami, które każdy krawiec wyrabiał. Na gurmanę potrzeba 2 m. sukna. Może kosztować 8—15 złr.

Na niedzielę i święto wdziewają koszulę z cieńszego płótna własnego wyrobu, płócianki również z cieńszego płótna. Dawniej noszono je z »cyrką« (rodzaj mereszki z fren-

dzelkami) u dołu. Kamizelkę, dawniej lajbik, kupione na jarmarku, tandetne. Na to gurbanę nowszą lub więcej wyszytą. Kapelusz również nowszy.

Bogatsi noszą polskie buty z cholewami, bez wybijań u starszych; natomiast kawalerzy dają sobie wybijać cholewy z tyłu, górą dookoła i spodem w różne gwiazdy, krzyżyki, kółeczka itp. Buty wyrabiają miejscowi szewcy, po 10—16 K. Biedniejsi chodzą w kyrpcach także we święta.

W zimie wdziewają mężczyźni na płócianki spodnie zawsze białe z sukna własnego wyrobu, ozdobione sznurkiem i haftem czerwonym i niebieskim; szyją je miejscowi krawcy po 1-60 K. do 3 K. od pary. Gotowe spodnie kosztują 6—10 Koron.

Zamiast kamizelki używają w zimie kożuszka krótkiego, żółtego. Nazywa on się »serdącek« i kosztuje do 10 K. Robią go miejscowi kuśnierze.

Na głowę kładą czapki, które robią miejscowi kuśnierze. Czapka kosztuje do 4 K. Boki tejsze stanowi czarny baranek, zaś wierzch sukienko czarne. W środku wierzchu przynocowany jest czarny kutas z nici jedwabnych lub bawełnianych, kręconych.

Na codzien wdziewają na wierzch kożuchy białe lub żółte, kształtu i długości gurbany. Parobcy do roboty noszą krótsze kożuszki ponad kolana, zazwyczaj białe. Na niedzielę wdziewają kożuchy długie, przeważnie żółte. Biedniejsi chodzą i w zimie w gurbanach. Kużuch świąteczny kosztuje 30—40 K.

Za onucki mają niektórzy w zimie »kapcie« rodzaj szkarpetek z sukna, lub z wełnianych nici.

Strój dziewcząt i kobiet.

Koszula z płótna własnego, lnianego, półlniankowego lub konopnego, którą szyje każda gospodyni. Koszula dzieli się na dwie części: na właściwą koszulę do pasa i »nadołek«, od pasa pod kolana. Nadołek jest zazwyczaj z grubszego płótna. Do kołnierza przyszywają »kryski«, robione szydełkiem z bawełny, z ząbkami lub perkalowe, haftowane bawełną czer-

woną i niebieską w listeczki, kropki itp. Owe »kryski« są niedawnym nabytkiem ze szkoły.

Dawniej nosiły niewiasty kołnierze wykładane bez wy-



Dziewczęta z Czerńca w parafii łąckiej.

szywań i »krysek« wiązane czerwoną wstążeczką. Oszywki u rękawów są wąskie, zapinane, jak u mężczyzn.

Spodnice dwie: na spód »barchetka« ciepła z barchanu, na wierzch »farbówka« różnego koloru, najczęściej gra-

natowa z kropkami lub paseczkami itp. białemi. Burki wychodzą z użycia. Każda spodnica składa się z 5—6 »pólek« (brytów).

Na spodnice wdziewają zapaski różnego koloru, przeważnie różowe w paski, granatowe itp.

Na głowie noszą chusteczki, w zimie tybetowe, różnego koloru, wartości 1-60 K. do 2-80 K. W lecie używane bywają chusteczki perkalowe po kilkadziesiąt hellerów, koloru rozmaitego. Wiążą je pod szyją.

Na koszule wkładają w lecie »wizytki«, to jest, kaftaniki wolne, nie wcinane do figury z farbowanego płótna, koloru różnego a pod nie gorsety przynieszczone.

Szyję ubierają w »pacierze« szklane, które kupują na jarmarku za kilkadziesiąt centów.

Tak chodzą po domu. Gdy zaś wychodzą dalej, biorą na siebie chustki, w lecie cieńsze, w zimie grube. Chustki dłuższy czas noszone do kościoła biorą z czasem na codzień.

W lecie kobiety i dziewczęta chodzą przeważnie boso, w zimie w kyrpcach Gospodynie noszą buty lub trzewiki.

W zimie wdziewają także kożuszki krótkie, jak mężczyźni.

W niedziele i święta wdziewają kobiety i dziewczęta koszule perkalowe lub lniane z »kryskami«. Spódnice perkalowe i batystowe, różnego koloru, których wdziewają na siebie dwie do pięciu. Na spodnice kładą »fartuch« (to jest spodnicę białą haftowaną ze ząbkami haftowanymi (dołem), albo z przyszytą, robioną szydełkiem »siatką«. Fartuch jest zazwyczaj biały, perkalowy. Na to idzie zapaska biała, perkalowa, dołem haftowana, ze ząbkami lub kolorowa, np. bordo z przyszytą dookoła kremową »siatką«, kupioną na jarmarku.

Dziewczyny noszą w lecie gorsety aksamitne czarne, wyszywane blaszkami i paciorkami. Robią je miejscowe szwaczki. Na gorset wdziewają chustki w lecie lekkie, barwy różnej, które składają na krzyż, tak dziewczyny jak mężatki. Zamożniejsze noszą chustki »tybetowe« po 10 do 14 Koron, »rypsowe« po 12 K. Za zimowe chustki płacą 10—25 K.

W zimie noszą »katanki« wełniane podszywane, z kie-

szonkami lub bez, czarne z aksamitu lub »kaśmirku«, obszywane aksamitem, zapinane na tasiemki czarne i guziki.

Mężatki noszą czepiec, który jedna drugiej wiąże na głowie. Chustki na czepiec są: »tulowe«, »muszlinowe«, »bęgalowe« lub perkalowe haftowane. Każda gospodyni ma kilka takich chustek do wiązania. Dziewczyny w lecie chodzą z gołą głową z włosami splecionymi w warkocz, ozdobiony kwiatkami. W zimie w chusteczkach. Bogate gospodynie i ich córki noszą na szyi prawdziwe korale wartości kilkudziesięciu koron. Chodzą w butach z cholewami lub w trzewikach.

Strój mężatek dawniejszy różnił się wiele od terażniejszego, i tak:

Na głowach nosiły czepce przeważnie kolorowe, gdy dzisiaj noszą tylko białe, albo wiązane z chustki zwanej »turecką« (biała, perkalikowa z paskiem drobnych kwiatów ciemno-czerwonych i ciemno-zielonych dookoła) i z »tyfcikowej« (czerwona z niebieskimi i zielonymi ornamentami) i innych. Mężatki starsze, poważniejsze nosiły czepiec i na co dzień.

Po ślubie mężatka obcinała sobie wszystkie włosy po uszy i tak je utrzymywała przez całe życie. Zwyczaj ten dzisiaj zaniechano.

Dziewczęta nosiły do niedawna »loki« i »icki«. Loki to włosy nad czołem nieco zakręcone na końcu w pałkę. Ickami zwano włosy wolno spadające obcięte równo.

Mężatki nosiły dawniej »sukienki«. Było to odzienie z czarnego sukna, z rękawami, długie do kolan z peleryną. Dookoła peleryny i spodem sukienki były trzema szlaczkami srebrnymi obszyte. Oprócz tego nosiły »kaftany« z sukna granatowego z fałdami gęstymi dookoła pasa, długie po biodra. W zimie nosiły kozuchy białe z fałdami kształtu i wielkości kaftanów. Zamiast dzisiejszych dużych chustek ubierały się w »rańtuch« biały, perkalowy, haftowany, lub nie.

Strój dzieci.

Chłopcy do lat 7-miu chodzą w koszulach grubszych lub cieńszych, długich poniżej kolan, opasani paskiem lub nie.

Chłopcy bogatszych rodziców chodzą w »majtkach« z tandetnej materyi. Jestto całe ubranko jednolite z tyłu zapinane.

Dziewczęta ubierają w sukienki ze stanikami lub spódniczki i kaftaniki, a głowy odziewają chusteczkami, które wiążą pod szyją.





MATERIAŁY HISTORYCZNE.

W encyklopedyi powszechnej Orgelbranda t. XV i XXVIII podał F. M. Sobieszczański wiadomość o kanoniku katedralnym plockim Marcinie Krajewskim, którego mieszać nie należy z pijarem Michałem Dymitrem Krajewskim, współcześnie żyjącym. Kanonik Krajewski, człowiek bogaty i uczony miał probostwo w Zambrowie, miasteczku, w okolicach Łomży, gdzie kościół własnym nakładem wspaniale przyozdobił. Słynął z rozmaitych dziwactw, o których między parafianami tradycya się utrzymała. Układał napisy polskie i łacińskie wierszem i te wszędzie poumieszczał: na facyacie kościoła, na dzwownicy, w kruchcie, po wszystkich ołtarzach, słowem, gdzie tylko mógł miejsce jakie znaleźć. Ogłosił ich zbiór nawet drukiem. Ale główna jego zasługa jest z wybornej książki do nabożeństw, ostrzegającej przed rozmaitymi zabobonami, istniejącymi za jego czasów i w jego okolicach i dla tego nieobojętnej dla badacza. Myli się jednakże celujący erudycją zwykle niezawodzącą Sobieszczański, kładąc tej książki wydania dwa, oba warszawskie, z lat 1771 i 1800. Zdaje się, że połączył ze sobą dwie różne o podobnych tytułach publikacye. Ponieważ książka o której mowa, dzisiaj jest rzadka, położę dokładny jej tytuł:

»Nabożeństwo parafialne, na codzienne, tygodniowe, roczne i przygodne podzielone i ułożone przez X. Marcina Krajewskiego kanonika katedr. plockiego, orderu św. Stanisława, proboszcza zambrowskiego i nowogrodzkiego i do druku kosztem jego dla wygody parafiiów (sic) po-

dane. W Warszawie roku 1800, w drukarni Xieży Pijarów, stron 348 i 4 n 16.

Ani na tytule, ani w przedmowie datowanej z Zambrowa 29 czerwca 1800 r. ani w approbacie kościelnej, danej w Pułtusk 9 czerwca 1800 nie ma żadnej wzmianki, aby książka w drugim ukazywała się wydaniu. Autor, człowiek rozumny, przeznaczył ją dla ludu i dla organistów, którym mogła zastępować rytuał, podając niektóre kościelne modlitwy w języku łacińskim. Pieśni polskie umieścił tylko staroświeckie »iż wiele mają przyjemności dla prostoty ducha, w nich się znajdujące«. Położył między nimi także wzgardzoną i zapomnianą »Bogarodzico« wraz z zachętą do jej śpiewania, godzien za to pamięci wraz z kawalerem Nowodworskim i Fabianem Birkowskim.

Na czele książki spotyka czytelnik »Przestrogi dla utrzymania nabożeństwa regularnego w parafiach«. Odnoszą się one do porządku: »Ża wzór takowej regularności wystawiam parafią zambrowską. Kto nie wierzy niech się odwiedzeniem jej przekona«. Następują z kolei »Naganne zwyczaje, które pleban w swojej parafii ma wykorzeniać«. Autor, piszący za panowania pruskiego i człowiek oświecony, występuje jako kapłan przeciw gusłom, ale daleki jest od nowoczesnego racjonalizmu, który wtargnął do Polski w wieku XVIII razem z łozami wolno-mularskimi i duchowieństwa także nie oszczędził. Oto owe »naganne zwyczaje«:

1) W wigilią nowego roku kradzieże ze swywoli, szpecące nietylko chrześcianina ale i uczciwego człowieka.

2) W dzień popielcowy swywole, pijaństwa i tracenie Bachusa.

3) W poniedziałek wielkanocny polewanie wodą, rażące i skromność obyczajów i wystawiające na niebezpieczeństwo febry.

4) W wigilią Świąt Zielonych jako i w wigilią św. Jana Chrzciela palenie w nocy ogniów, gromadzenie się młodzi płci obojej, przez ogień skakanie, mające zabytki pogaństwa.

5) Na jutrzni w nocy Bożego Narodzenia rzucanie w kościele grochem a często i kamiuszkami, udawanie świegotania różnego ptastwa.

6) Przesady, błędne opinie o czarach, czarownicach, upio-

rach, latawcach, strachach. Od tych i tym podobnych naganności parafia Zambrowska dawno jest oczyszczona.

Na str. 21, po objaśnieniu znaczenia wywodów położnic dodaje ks. Krajewski:

»Nie należy jednak od nabożeństwa zachodzić aż do zabobonności, że modlitwa przed wywodem nieważna, że zmarła bez wyvodu będzie spętana na sąd Boski i t. d. Skąd znowu przychodzi się do bezprawia, że niektórzy chcą odprawiać wywody w domu«.

Narzędzia drewniane do kołatania w wielkim tygodniu, gdy dzwony milczą, nazywa rzechotkami.

Str. 32. »Pleban powinien lud ostrzedz, aby święcone jedli nie chciwie i nie wiele, lecz aby swój posiłek zaczynali od ciepłych potraw«. Przestroga rozsądna i dzisiaj godna pamięci.

Str. 33. Przy procesyi w dzień św. Marka autor objaśnia jej początek z czasów Grzegorza W. 590 r. dla uproszenia u Pana Boga oddalenia powietrza morowego, że ktokolwiek tylko kichnął, zaraz nagle umierał. »Ztąd powstał zwyczaj, iż kichających pozdrawiamy: vivat, bądź zdrów, lub żyj zdrów!!«

Str. 38. Przy święcie Wniebowzięcia N. P. Maryi wspomina ks. Krajewski, że kościół w ten dzień poświęca »różne ziela od ludzi przyniesione« i dodaje: »pleban każdy wcześniej ludowi zalecić powinien, aby ziela nieprzyjemnego zapachu (jakie są piołun, przestęp i inne tym podobne) przynoszone do kościoła nie były, dla uniknienia zawrotu i bólu głowy. Względem zaś zwyczaju palenia tych ziół w kominach podczas grzmotów, mają zachować ludzie przestrogę daną im w święcie Bożego Ciała o wiankach«.

Godna jest uwagi wzmianka o przestępie, o którym między ludem jako niezwykłym zielu wiadomość się utrzymała.

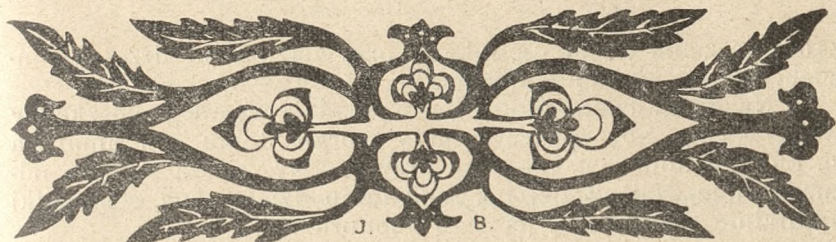
Str. 281. Upomina autor: »Wianki, które lud wierny na cześć Bożego Ciała do kościoła znosi, podobnież ziela różne święcone... które dla swojej pociechy i ściągnięcia na siebie błogosławieństwa w domach swoich zachowuje, nie mają być podczas grzmotów i nawałnic w kominach palone, bo kto to czyni, wystawia się na niebezpieczeństwo piorunu. Piorun bowiem idzie za wiatrem, wiatr najwięcej w kominie, jako w lufcie dmie a zatym piorun z sobą sprowadza; nadto ogień wiatr porusza;

tak z tej przyczyny przez nieroztropne nabożeństwo wiele ludzi od piorunu przy kominie ginie«. Dla tych, co się »według fizyki doświadczałnej« chcą od piorunu uchronić, podaje ks. Krajewski zaraz potem czternaście przestroóg, między nimi: »od miejsc wapiennych, dziarnistych, bagnistych stronić«. Co znaczy wyraz dziarnisty, nie wiem, ale jest wieś Dziarnowo pod Inowrocławiem, widocznie od rodzaju ziemi, czy położenia nazwana. Przytoczę jeszcze przestrogę 8: »Dzwonienie, z armat strzelanie w tym czasie, gdy już burza nadeszła, jest niebezpieczne, bo powietrze wzruszając w toż samo miejsce sprowadza. Bardzo rozsądnie nakazuje ks. Krajewski »piorunem rażonego jak najprędzej ratować«. Rada jego jest taka: »Jeśli znaki życia daje, trzeba go wodą obmyć i krew puścić; a jeżeli wcale zdaje się być umarły, należy go zupełnie obnażwszy, w czarną ziemię w znak go położywszy, na piędzie zakopać, zostawiając mu twarz dla wolnego oddechu: niech tak leży, póki znaku życia nie da. Po ujrzanym życia znaku należy krew puścić«.

Najciekawsza jest ostatnia przestroga czternasta: »myli się pospółstwo, mniemając, iż ogień piorunowy mlekiem tylko kozim gasić można, gdyż go woda nie może zalać, a zatem w przypadku ognia piorunowego należy spieszny dawać ratunek, starcząc wodę do zalewania.

B. J. K. z Gniezna.





DROBNIEJSZE ROZPRAWKI I WIADOMOŚCI.

„Maj“.

Zwyczaj stawiania tak zwanych »majów« powszechnie zachowywany na Szląsku, znanym jest także ludowi polskiemu w Galicyi zachodniej w powiatach: Bialskim i Wadowickim, mniej więcej po rzekę Skawę.

Jadąc w maju z Oświęcimia do Kęt, spotykać można wszędzie wysokie barwne »maje«, nigdzie jednak nie są one tak strojne jak w Łękach, wiosce leżącej pod Kętami. Wieś ta ma szczególniejsze zamiłowanie do miesiąca maja.

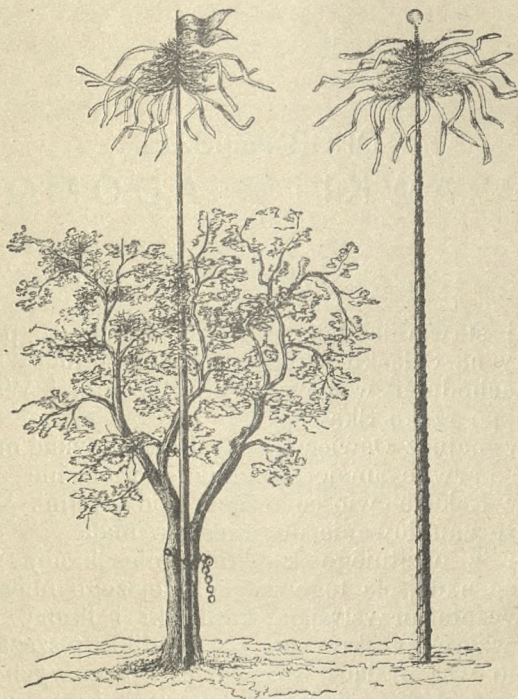
W nocy z ostatniego kwietnia mieszkańcy prawie nie śpią, oczekując nadejścia tego najpiękniejszego miesiąca. Wieczorem dziewczęta przystrajają kapliczki i figury M. Boskiej, parobcy zaś wzięwszy skrzypce, harmonijki i piszczałki chodzą gromadami po wsi, grając i śpiewając. Starsi wychodzą przed domy, a gdy noc ładna, siadają na progach i gwarząc, przysłuchują się uciechom młodych.

Po północy, gdy cisza nastanie, zabierają się parobcy do stawiania »majów«. Stawiają je przy tych domach, gdzie mieszkają ładne dziewczęta. Najwięcej 3 lub 4 dostąpią tego zaszczytu; muszą to być najładniejsze i najporządniejsze dziewczuchy.

»Maj« jest to wysoka żerdź, gładko ostrugana, u dołu grubsza, u góry cieńsza. Na wierzchu przywiązany jest krzak jałowcu lub wierzchołek świerka. Gałęzie tego krzaka ustrojone są długimi, różnokolorowymi wstążeczkami z bibułki lub papieru a na szczycie przywiązana jest chorągiewka. Tak przybrany i gotowy już »maj« przynoszą po cichu pod umówiony dom i stawiają go obok lub obok najbliższego drzewa, a dla

zabezpieczenia przed psotnikami przywiązują do drzewa łańcuchem i na kłódkę zamykają.

Na drugi dzień wczesno rano wyglądają wszyscy mieszkańcy wsi ciekawie, aby zobaczyć, przy którym domu stoi »maj«, a ci, których dom jest »majem« przystrojony, cieszą się tem odznaczeniem. Najbardziej zaś rada temu dziewczyna, a sąsiadki naturalnie zazdroszczą jej tego »honoru«.



Cały tydzień stoją »maje« w ten sposób przybrane. Dopiero w pierwszą niedzielę po 8-mym (także w nocy) przystrajają go ci sami parobcy w ten sposób, że całą żerdź okręcają różnokolorowymi papierkami, zdejmują uszkodzone wstążeczki z wierzchu i wiążą nowe, a zamiast chorągiewki wkładają na wierzch żerdzi szklaną, zieloną lub czerwoną bańkę. Po południu przychodzą do tego domu, przed którym stoi »maj«, przynoszą ciwertówkę piwa i piją z domownikami.

Odświeżony »maj« stoi do Zielonych Świątek. W tym dniu pod wieczór następuje rozbieranie »maja«, po której to uroczystości rodzice dziewczyny, która miała »maja«, zapraszają chłopaków do siebie i częstują obficie, dziękując im tym

sposobem za »uszanowanie« ich córki. »Patrzy im się wtedy wiadro piwa postawić«.

Eleonora Dobrzycka.

Do historii drzewka Bożego Narodzenia (sadu).

Wiadomo że »sad« w dzisiejszej postaci rozszerzył się na ziemiach polskich dopiero w początku XIX wieku, za wpływem niemieckim. Opowiada o tem bliżej Gołębiowski w swoim Ludzie polskim, str. 317. »Sad« rozwinął się jednak na tle dużo dawniejszego zwyczaju zwanego Aronową różeczką albo »drzewem Adama«, o czem bliższe szczegóły ob. w artykule Z Szeligi w »Ognisku« (Warszawa 1903, zeszyt za grudzień, str. 22). Otóż najdawniejsza wzmianka o rozpowszechnieniu takiej różeczki w krajach, należących do Polski, znajduje się w kazaniu X. Antoniego Zapczyńskiego z r. 1720 pt. Passya bez kompassyi mąk Zbawicielowi przydawająca (Estreicher Bibliografia, tom XXI) na str. 15. X. Zapczyński opowiada tam mianowicie, że widywał »w Niemczech ba i w Prusach naszych, malowane złociste i różnemi świcidlami i czaczkami ozdobione różeczki, które tam oni po kolędzie, a za nich mówiąc, na gwiazdkę, dzieciom kupują, a przecie ten różgi decor mało małe kontentuje dzieci. Zowią oni tam różgi takie Panna różga, a po naszymu »Panna Brzozowska«. Wzmianka ta nawet i ze względu na Niemcy jest interesującą, co zaś do krajów polskich jest ona jedyną jak się zdaje wiadomością o rozpowszechnieniu tego zwyczaju w 18 wieku.

Dr. S. E.

Nazwiska w Inwałdzie koło Andrychowa.

Wieś Inwałd leży wzdłuż gościńca rządowego, wiodącego od Białej do Lwowa, w odległości 11 km. od Wadowic. Mieszkańcy Inwałdu, jak niesie podanie, mają w pewnej znacznej części pochodzić z Moraw, gdzie w czasach wojen husyckich przenieśli się w te okolice. Pewnym dowodem obcego, nie polskiego pochodzenia są ich nazwiska. Podając nazwiska poniżej, dzielę je na czysto polskie, niemieckie i do polskich zbliżone. Ponieważ nadto wiele z tych nazwisk znajduje się we wsiach okolicznych, przeto przy takich w nawiasie podaję nazwę wsi.

a) Niemieckie nazwiska: Najbor (kilka familii. Neu bauer.), Rajda, (Rain da), Stuglik vulgo Studlik (kilka familii, (Hast du Glük); Fraś, (Frass); Legień (Legen); Kolba, Kolber, Korbel (Kolbe) (Sulkowice); Kapela (Zagórnik), Smolec, Matura (Zagór-

nik), Lachendro (Zagórnik), Hardaś, Borgosz (Targanice), Sordyl (Sułkowice, Andrychów), Gretka, Gracn, Gumoś. Hajost (Rzyki) Mirocha.

b) Do polskich zbliżone: Cabak, Lachendrowicz, Smaza (Roczyny), Sirwin (Wieprz), Gabryl, (Wieprz), Pałosz (Andrychów).

c) Czysto polskie: Badoń, Bury (Andrychów, Sułkowice), Bałys, Bylica (Andrychów, Sułkowice), Bizoń (Rzyki), Byrski, Cholewka (kilkanaście familij w Inwałdzie), Chrapek (Roczyny), Chrapkiewicz (Sułkowice), Czubała, Dybał, Dziedzic, Dzik, Gontko (Zagórnik), Gawęda, Góra, Górka, Gwoździewicz, Gajczak (Targanice), Górkiewicz, Korczak, Kierczak (Targanice), Karczmarczyk, Kucia (Frydrychowice), Kreska, Kramarz, Kierpiec, Kamiński, Kołodziejczyk (Sułkowice), Kudłacik (Sułkowice), Leśniak, Lipowski, Łysoń (Sułkowice, Andrychów), Łata, Mydlarz, Maciejczyk, Mizera, Miarka (Sułkowice), Mrzygłód (Targanice), Migdałek (Wieprz), Nowak (kilka familii, Zagórnik), Niedziołka, Polak (kilka familii, Zagórnik), Oboza (Sułkowice), Pietraszek, Płonka, Puchała, Piekarczyk, Ptaszek, Pawlik, Pytel, Pawlica, Panek, Romańczyk (Sułkowice), Rusinek (kilka familii), Skowron, Skrzypiec (Sułkowice), Turek, Tadrała, Trojak, Wojtyga, Wołkowiec, Witkowski (kilka familii), Wróbel, Zębowski, Zmełty, Zaremba, Młodzik (Andrychów), Magiera (Targanice), Chmiel, (Sułkowice), Chmura (Andrychów), Trzaska, Piwowarczyk, Rokowski, (Targanice), Grochowski, Mizera (kilka familii), Jonczy, Jońcy (Sułkowice), Sroka, Maślanka, Sowa, Babik (Sułkowice, Targanice).

Sułkowice: Żydek (kilka fam.), Osowski, Wiercimak, Drąg, Bartusiak, Wiktorek. Targanice: Kocemba, Piesek, Wojewodzie (po kilka fam.).

Imiona najczęściej używane: Jan, Joanna, Franciszek, Anna.

Szymon Gonet.

Lachy.

Wiadomem jest powszechnie, że górale w zachodniej Galicyi nazywają lachami ludność zamieszkującą północne stoki Karpat i dalsze okolice. Nieoznaczają jednak ściśle południowych granic siedzib lachoskich. I tak n. p. mieszkańcy Rogoźnika, Starego Bystrego, Ludzimierza na Podhalu nazywają lachem każdego, kto nosi dołem szerokie spodnie (portki), ma w nich wszywany czerwony sznureczek i nie wymawia czysto *ł*, ale jak *u*. Więc już mieszkańcy od Rabki są u Podhalan lachami, pomimo, że oni sami mają się za górali, a siedziby lachów odsuwają jeszcze dalej na północ.

Mieszkańcy od Makowa, Skawicy twierdzą, że lachy mieszkają już około Wadowic, Kalwarii Zebrzydowskiej i dalej na północ, a przymawiając ich lasom jodłowym, żartują sobie:

— Jaką jes dusa lachoską?

— Jodłowá! My lepsi bo mamy duse bukową (mieszkają wśród bukowych lasów); nasa kwardá a lasá mięká.

To znów żartują sobie ze spodni lachowskich, mówiąc:

— Gdzie lach stoi, jak mu portki skrąwajom?

— We wodzie, lá tego má portki krótkie. Dzie woda głębsá (a więc w nizinach), tam lachy mają portki krotse.

W śpiewkach też naśmiewają się z lachów i przycinają im do woli:

Uciekájze lachu, bo cie ścigá górál,

Jak cie se dopadnie, bedzie tobá "orał.

Uciekájze lachu, ścigá cie góralka,

Jak cie se dopadnie, włoży cie do gárka.

Lachy też nie pozostają góralom dłużni odpowiedzi, więc śpiewają:

Górále, górále, coście tacy mali,

Cyście po kamykach nózki poździéráli?

Jeśli się zaś gdzie na jarmarku, albo na odpuszcie zejda w karczmie górale z lachami, to do przymówki bardzo łatwo przychodzi. Z początku przygadują sobie tylko wśród żartów i śmiechu:

LACHY: Górálskie dziewczęta, cemu nie śpiéwácie,
Cyście nie pojaduy, cy nuty ni mácie?

GÓRALKI: Dyémy se pojadły i nucicke mamy,
Ino sie nie rady duzo rozdziérámy.

LACHY: Po cózcie tu przyšli górále kierpcárze?

GÓRALE: Djábli wám do tego lachy boganciárze?*)
albo: lachy podkówcárze?

GÓRAL: Wyzdychały lachy, "od cego takiego?
... "od zuru kwaśnego!

W miarę jak kieliszki częściej krążą, zwada staje się gorętsza, przeciwnicy doskakują do siebie, góral przymawia:

*) багаńце = trzewiki.

Nie boje się bitki,
 Bom ja chłopiec gibki,
 Mam kij "opálony
 Lá swoje "obrony.

Wreszcie najczęściej góral z lachem biorą się za bary
 i bitka czasem krwawa kończy spotkanie dwóch sąsiadów.

S. U.

Zabawa „we wójta” w Sterkowcu (pow. Brzesko).

Dziewczęta siadają na ziemi, jedna drugiej na podółku, tak, że się utworzy z nich długi sznur.

Jedna dziewczyna »kupuje«, t. j. idzie kolejno od pierwszej, aż do ostatniej w tyle i pyta się każdej:

— »Gdzie jest wójt?«

Zapytana odpowiada:

— »Za mną« — albo, jeżeli która chce być dowcipną, mówi: — »Za du...m«.

Gdy w ten sposób przyjdzie »kupująca« aż do ostatniej dziewczyny, pyta się:

— »Wyście to, panie wójcie?«

— »Ja« — odpowiada zagadnięta.

Wtedy kupująca mówi: — »Okociła mi sie suka na górze w kómórcie, ni mam ji dać ani wiązki siana, ani główki kapusty, pozwólcie mi se ukopać pietruski?«

— »To se ukopcie« — odpowiada wójt.

Otrzymawszy pozwolenie, wraca »kupująca« do pierwszej dziewczyny, chwyta ją za palce bosych nóg, uderza jej piętami o ziemię, jakby naśladowała kopanie; przytem robi twarzą różne pocieszne grymasy, ażeby dziewczynę rozśmieszyć i mówi: — Kisi misi mole, mole — Kisi misi mole, mole«, a gdy się dziewczyna rozśmiejie, kończy: — »idzies spać na pole«, albo »idź do djábła w pole«. — Jeżeli zaś nie potrafi jej rozśmieszyć, to kończy »idź do Pana Boga na pole«. — Pierwsze idą na lewą, drugie na prawą stronę.

A gdy przyjdzie w ten sposób aż do »wójta«, uderza na stojące po lewej stronie, jakby je bóść chciała i krzyczy »Buuu, buuu« — te się rozpierzchają, a stojące po prawej stronie zostają pod opieką »wójta«. Następnie na nowo tworzą rząd i jedna znowu pyta się o wójta.

Tak bawią się dopóty, dopóki im się ta zabawa nie sprzykrzy.

Stanisław Czyżewicz.

Zagadki z Wierzbanowej (pow. Wieliczka).

1. Cego w lesie najwioncyl? Catyny (igliwia).
2. W cym dziury nie przebiję? We wodzie.
3. Cego nie trza robić we dnie? = w dnie, dziur, bo woda pociece.
4. Co nâstarse w kościele? Krzcielnica.
5. Co najkrzepciêjse na świecie? Myśl.
6. Cego Pám Bóg ni miáu i nie bedzie miáu? Grzêchu.
7. Jaka nâstarsâ trawa na świecie? Babka.
8. Jakie nâstarse zboże na świecie? Jêcmiej, bo má wonsy.
9. Jaki nâstarsy sprzęt z drzewa w cháupie? Dziád, przytrzymujący drzewo przy struganiu go ośnikiem.
10. Kto za muzyke i tãniec posed do nieba? Pastérze, co tãncyli i grali przy złóbkcu Pana Jezusa.
11. Do lassa to idzie ze samym biáuym, a z lassa ze selakiem. — Pod kwoke bieluskie jaja sadzom, a kurconta się łognom selakie: biâuë, cârne i cećjakie.
12. We dnie i w nocy łajcuskami brzoney? Woda.
13. U rogule śtyry kule u siutule dwie? — Krowa má śtyry dójki, a kobyua dwie.
14. Dwa wieprze się zrejom, a jednom dziurom walom? Dwa kamienie u żarn, to wieprze.
15. Siwe, niezzywe ziemię przewracá, a ziemia pary daje? Pług.
16. Krzcone a nie rodzone, Boga kwáli a nie bedzie zba-wione? Zwon.
17. Świontym jes, świontym bedzie, a w niebie nie byu i nie bedzie? Kościół.
18. Dwok braci nie daleko siebie siedzom, a nigdy się nie widzom? Ocy.

Stanisława Hradecka.

Lanie świec woskowych w Witanowicach (w pow. Wadowickim).

Bractwa pobożne, utrzymujące się przy kościołach naszych, zawsze starały się o to, by biorąc udział w nabożeństwie kościelnem uświetniać je rześystem światłem; to też w inwentarzu bractwa jedną z pierwszorzędných, najniezbędniejszych rzeczy jest skrzynia ze światłem brackiem, w której każdy członek ma mieć jedną świecę, sprawioną i utrzymywaną troskliwością starszego bractwa (zwanego często cechmistrzem) ze składek dorocznych członków. Do niedawna, kiedy jeszcze był dostatek wosku wobec mnóstwa rojów pszczelnych tak

hodowanych jak i dziko w lasach osiadłych, używano do lania świec według życzenia kościoła tylko pszczelnego wosku, jako materiału najczystszej, najprzyjemniejszej dla samego już zapachu, a przytem na ofiarę Bogu najodpowiedniejszej, jako owocu znoјnej pracy mnóstwa wytrwałych robotników. Skoro z biegiem lat obfitość wosku pszczelnego zanikła, a w przemyśle rozpowszechnił się wosk ziemny i inne tłuszczowe materiały, weszły w użytek tańsze a nawet błyskotliwsze na oko, fabryczne niewoskowe świece, które też w pierwszym rzędzie po miastach usunęły z użycia drogie światło woskowe. Po wsiach naszych jednakowoż trzymali się poważni ojcowie starej i pięknej choć kosztownej tradycyi. Choć z większym kłopotem i za dużo wyższe ceny przychodziło zbierać wosk prawdziwy, zgromadzali go w ciągu roku całego, by po zużyciu zeszłorocznego, albo przedzesłorocznego światła było już nowe gotowe. By zaś ten wosk czysty, jak go Pan Bóg stworzył a pszczoły zlepiły, nie uległ żadnemu sfalszowaniu, nie oddawano ulania światła fabryce, lecz staroświeckim sposobem ręcznym, choć wielce uciążliwym, odlewali sami wieśniacy u siebie światło brackie, składając w ten sposób na usługi kościoła nietylko grosz swój, ale i ciężki trud. Skoro dziś przy coraz większym zaniku pobożności ojców naszych a wzroście taniej w życiu praktyczności coraz bardziej wychodzi ze zwyczaju ten sposób ręcznego lania świec, warto utrwalić pisanem słowem tę rzecz, jako miłe kiedyś wspomnienie z przeszłości dla następnych pokoleń.

Celem lania światła zbiera się w wolniejszym dniu zimowym kilku chłopów wprawniejszych w domu z obszerniejszą izbą i wygodną kuchnią, z szerokimi o ile możności blachami. W izbie u powały umocowują na żelaznej wykrętacze koło drewniane, nabite na obwodzie w równych odstępach gwoźdźmi, przeznaczonymi do zaczepienia knotów. Jeden ze starych praktyków usuwa z kłębka bawełny knoty odpowiedniej długości, przyczem baczy także na potrzebną grubość tychże, stosownie do grubości świecy. Ponieważ świeca będzie u dołu najgrubsza, ku górze zaś stopniowo się zwęża, to też i knot od górnego końca z kilku nici złożony co kawałek ku drugiemu końcowi przez odpowiednie zadzierżgnięcie wzmacnia się o jedną chociaż nić, by płomień był większy i zużywał grubszą warstwę wosku palącej się świecy. Tak złożony knot zaczepia się najpierw grubszym końcem na obwodzie koła a w końcu dolnym knota przeciąga się płaski, drewniany 3 cm. długi kawałek patyka podobny do tabliczek gry »domino« a zwany »kluzinka«. Celem jego jest w pierwszym rzędzie, by się nie zalał woskiem dolny koniec knota, który potem przyjdzie zahaczyć przy obracaniu świec na obwodzie koła; następnie zaradza taka zapora bardzo praktycznie zsuwaniu się świecy

wiszącej po knocie w ciągu lania czyli tak zwanemu »uciekanu świec«. Tymczasem ze dwie skrętne kobiety biorą wosk przechowany w kształcie miseczek, sortują co do czystości i koloru, zostawiając żółty na oblanie ostateczne świec, kawałkami wkładają do dużych garnków, by na blasze stopić do pewnej wyższej temperatury tak, aby łatwo nie stygnął, a z drugiej strony by nie zaczął wrzeć, bo użycie wosku wywrzanego powoduje pękanie świec. Do takiego jednostajnego topienia wosku najpraktyczniej używać słomy. Stopiony wosk podają chłopom do izby, która też musi być dość silnie ogrzana, aby łatwo wosk przy robocie nie stygnął. Chłopi w tej gorącej izbie jeszcze więcej pocić się muszą od pośpiechu, w jakim lanie świec odbywać się musi. Staje ich ze dwóch na stołkach tak wysoko, iżby jeden miarowo obracał kołem z knotami poprzed drugiego, który świece leje. Lejący, bierze dzbanuszek z odpowiednim dzióbkiem pełny roztopionego wosku i od samej góry puszcza dokoła po knocie falę płynu tak sporą, iżby doszła do dolnego końca knota. Ściekający z knota wosk zbiera się w kotle na podłodze ustawionym, w którym po ostygnięciu łatwo da się odgrzać. Robota ta iść musi spiesźnie, iżby jak najwięcej razy ciepłym płynem oblać wszystkie dokoła obwieszane knoty. Lejącemu ciągle do rąk podają pełny garnek wosku, a on ma baczyć tylko na jednostajność oblewania wzdłuż całego knota. Wosk, spływając ku dolnemu końcowi knota chłódnie coraz więcej i tem samem osiada grubszą warstwą, tak iż świeca ku dołowi coraz jest grubsza. Gdy już wskutek ciągłego oblewania świece dojdą do grubości biczyska (stysiny), trzeba je obrócić dolnym końcem grubszym ale cieńszy knot mającym w górę, aby w tem właściwem położeniu dolać świecę do pożądaney grubości. W tym celu wyjmuje się owe »kłuziny« drewniane choć prawie zalane woskiem i przy pomocy wyżłobionej deszczulki odwraca się świecę, zaczepiając ją dolnym końcem knota na gwoździu, zaś do drugiego końca u dołu zakładając drewniane zatyczki. Teraz obrót koła musi odbywać się z wielką ostrożnością, by świece rozkołysane nie trącały się wzajemnie, trudniej jest też oblewać świecę, aby fala wosku obiegała ją dokoła. Przy tem wszystkim trzeba spieszyć się, bo świece coraz grubsze a zatem znacznie ciężkie mogą zsuwać się z knotów.

Skoro już osiągnęło się pożądaną grubość świec, składa się je na wyżłobionej deszczulce z koła, by znów nowe knoty założyć, gdyby pożądana liczba (40—50) świec nie dała się za jednym razem na kole umieścić. Świece zdjęte z koła układa się na równo ułożonej pierzynie i również tak ciepło się je nakrywa, aby w tym złym przewodniku ciepła miarowo tężały (»stylują się«). Gdy już odpowiednio zeszytywniały, bierze się je na gładką deskę do maglowania t. j. do wyrównania powierzchni

z okrągłości. Przedtem pociera się świecę szmatką dobrze zwilżoną w piwie, gdyż piwo dodaje świecy połysku (glancu) podczas gdy wodą zmyta świeca czepiałaby się deski przy maglowaniu. Maglowanie odbywać trzeba z miernym przyciskiem, aby warstwy wosku, z których świeca się składa, nie odstawały jedna od drugiej. Końce grubsze świec odcina się z drewnianą zaporą, gładkim klockiem wyrównuje się kraj, znaczy dowolnymi karbami, a jeśli świeca ma być użyta na lichtarz, wyrabia się w tym grubszym końcu stosowny otwór.

Ks. Jan Sadowski.

Kilka zapisków ze Starego Bystrego.

Niedaleko od Nowego Targu, w parafii Czarnego Dunajca nad rzeką Rogoźnikiem rozłożyła się ludna i duża wieś Stare Bystre. W dokumentach XVII. w. nazywano ją Rogozinek alias Bystre, w początkach XVIII. w. Bystre, a dopiero z końcem tego wieku pojawia się nazwa Stare Bystre, jaką ta wieś do dziś dnia nosi.

Kilka szczegółów z życia ludu tamtejszego, które tutaj poniżej umieszczamy, zawdzięczamy wielkiej uprzejmości Wielebnego Ks. Kanonika Jana Łaskiego, za co mu na tem miejscu najuprzejmiej dziękujemy.

I. Chodzenie ze śmierteczką.

W czwartą niedzielę postu chodzą dzieci od domu do domu »ze śmierteczką«. Z kręzela zdjętego z kądzieli i dwóch łyżek drewnianych ubranych chusteczkami robią dziewczęta lalkę, mającą przedstawiać śmierć, z którą biegają po wsi, wstępując do chat. Wszedłszy do sieni recytują oracyę:

Sła śmiesztecka z miasta,
Pániezus do miasta, —
Dziewcęta jom nosom,
"O jájecka prosom;
Zebyście im dali
A niezałowali,
Bo jak im nie dacie,
Wielgi cud poznacie,
Gárki, miski pobijemy,
Co na półce mácie.
Kurecke wám "oskubiemy,
Pod nozecki pościelemy,
Bo nám zimno stąć:

Odmówiwszy tę oracyę w sieni, idą dzieci ze śmierteczką do izby a otrzymawszy tu podarunek, zwykle jajka, chleba kawałek, rzadko pieniądze, wracają do sieni i tak mówią dalej:

Za jájecko dziękujemy,
Zdrowiá szczęciá wiensujemy,
Zebyście tu długo zyli,



Gazda ze Starego Bystrego.

A po śmierci w niebie byli,
Tak to Boze dáj.

albo też:

Stąpił z nieba, unizył sie,
A z Maryjej narodził sie,
Trzydzieści lát pracować miał.
Az na krzizu umierać miał.
Żałymuje Matka ręce,
Widzi sina w ciężkiej męce,

Sina swego jedyne
 I na krzizu przybitego.
 Amen, amen, tak Boże daj,
 Zebyśmy śli w niebieski rój,
 Z tego rajy do innego,
 Do królestwa niebieskiego.



Gaździna ze Starego Bystrego.

Zebyśmy sie tam dostali,
 Z Bogiem "Ojcem królowali,
 Z Bogiem "Ojcem, z Bogiem Panem,
 Jaz na wieki wieków, amen.
 Jezu Chryste, Panie miły,
 Co nám dacie, to weźniemy,
 Cy jájecko, cy dudecek (dudek = 2 centy).
 Dlá nás małyk paniontecek.

II. Oracya drózbów proszących na wesele.

Gdy drużbowie spraszają gości na wesele, do każdego zapraszanego recytują następującą oracyę, wszedłszy do izby:



Parobek ze Starego Bystrego.

Niek będzie pofálony Jezus Krystus!
Nie przyšli my tu z umysłu swego,
Lecz z prośbom "ojców państwa młodego.
Prosieli was tu młodá pani, młody pán

I "ojcowie z obok stron,
 Zebyście do nas przybyli
 I nami nie zgardzili;
 Na przyszły wtorek i środe,
 Do Jana Skóbla na wesele;
 Na becke wina lub na dwie,
 Na piecywo chleba, lub na dwa,
 Na te jagły, co ik panny rady jadły,
 Na te ziárka, co sie siały babie z podołka do gárka,
 Na te śliwy, co ik siał dziád siwy z Niwy, (wioska)
 Na te łabędzie, co siadajám na grzędzie,
 Na te kwiki, co zarywajám chodniki.
 Bedzie tam wół tucony,
 Nóz do niego włożony,
 Bedzie tam sitkiego dość,
 Ino sobie weźcie piniendzy gárzc.
 Jak Pániezus przyozdobił niebo gwiazdeckami,
 Ziemie kwiateckami,
 Tak myby radzi to wesele dobrymi ludziami:
 Parobecka na konicka, a dziewcyne pod mój, (wianeczek)
 A sámśiady na posiaady,
 Gospodárzy za stół.
 Więcyl nie umiemy, bo sie nie ucyli w skole,
 Bo my sie ucyli cepami w stodole.
 Lecieliśmy w trząski,
 Potraciliśmy ksiąnski.
 A sed za nami Goczek¹⁾ zaraz,
 Te ksionski nám naláz,
 Nie kciół nám ik wrócić,
 Kázál nám trzy dni spusany sywar²⁾ młócić,
 My nie kcieli młócić,
 Wolelimy sie po chałupak włócyć.

Wypowiedziawszy tę oracyę, raczą zaproszonych przynie-
 sionem ze sobą piwem lub wódką, co kto lubi.

III. Płanetnik.

Seł se taki dziadek, wiécie, a chłopy kosiły trawę na
 »Scotkówkak« za Wróblówką i posceścił jem:
 — Scęść Boze!

¹⁾ Ten co książki oprawia.

²⁾ Liche ziarno.

— Dej Panie Boze, a kes idziecie dziadku? — A był taki siwy dziadek.

— Je, idem se ta i idem, ale sám nie wiem jesce keny. Mám ze trzydzieści becek grochu, ale tu sceká i tu sceká i źle mi keny wysiać.

No i potem nie gádał więcyl, a "oni sie nie przypatrzyl i dziadek potem zginon.

A to, wiecie, był píanetnik, co miał nie groch, ino grád i wciał go po polak siać, ale wej strasnie zwonili na chmury w Dunajcu, w Rogoźniku, we Wróblówce i w Ludzimiérzu i het chmury "odganiało i nijak tego grádu wysiać ni móg. Ej, dáłby nám był, kieby nie zwonili.

Ksiádz nieboscyk plebán Komperda (były proboszcz w Podgórze, *przyp. Red.*) żył jesce wtedy w Dunajcu, a i ta hrubá pani, co była u niego, a umarła załońskim.

S. U.

Powitanie księżycy na nowiu.

Wieśniaczka Aksentowiczowa z Serafiniec w powiecie Horodenki mówiła mi, że na nowiu, patrząc na księżyc, witać go trzeba w ten sposób:

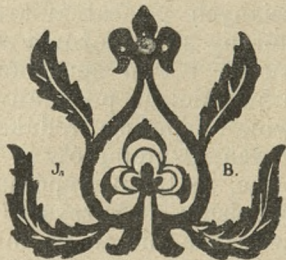
Witaj, witaj królewiczu,
Niebieski dziedzicu,
Tobie berło i korona
A mnie zdrowie i fortuna.

Temu, kto tak księżyc powita, darzyć się będzie w domu jak najlepiej przez cały miesiąc. *Bronisława Łaska.*

Włosy rude.

Włosy rude można dowolnie odmienić, jeżeli się je na pełni księżycy po trzykroć nożyczkami po trochu utnie a za każdym ucięciem odmówi »Zdrowaś Marya« i pomyśli, jak je zmienione mieć pragniemy. Opowiedziała kobieta z Tyńca.

Bronisława Łaska.





POSZUKIWANIA.

Już w pierwszym roczniku »Ludu« (str. 28—29) zwróciła redakcyę uwagę, że oprócz większych zbiorów materyałów etnograficznych pożądane są i potrzebne bardzo drobne przyczynki, które często daną kwestyę w wysokim stopniu wyjaśniają, znany skądinąd materyał etnograficzny uzupełniają, a więc ułatwiają, a w niektórych wypadkach rzeczywiście umożliwiają dopiero badania i studia porównawcze.

Wielu z Szanownych Czytelników naszych, stykając się bezpośrednio z ludem, obserwując go w jego życiu codziennem i świątecznem przez dłuższy lat szereg, zna jego życie zewnętrzne i duchowe często lepiej, niż niejeden z zawodowych etnografów, który tylko dorywczo, w czasie wycieczek, lub wczasów letnich robi spostrzeżenia, przed którym lud, jako przed obcym, nie otworzy serca i duszy. Stąd też obszerne nieraz monografie etnograficzne zawierają braki, luki, niedomówienia i to często w opisach bardzo interesujących i ważnych objawów życiowych. Zresztą wiemy wszyscy, że czem więcej ócz patrzy na przedmiot jeden, tem dokładniej zaobserwuje go we wszystkich szczegółach. To też do czynienia studyów etnograficznych potrzebne jest jak najliczniejsze grono osób dobrej woli rozsianych po całym kraju, po całym obszarze ziem polskich, któreby spostrzeżenia swoje chciały komunikować redakcyi »Ludu« i tym sposobem przyczynić się do postawienia etnografii polskiej na pożądanych wyżynach nauki.

W roku ubiegłym, obejmując redakcyę »Ludu«, zwróciłiśmy się do Szanownych Czytelników z prośbą o współpracownictwo, oświadczając, że tylko wspólna praca da pełniejsze wyniki i wyjdzie czasopismu na korzyść. Prośba nasza nie pozostała bez skutku, jednakże nie w tej mierze, jakby to było

dla »Ludu« pożądanem. Zapewne nie każdy ma czas, nie każdy czuje się uzdolnionym, nie każdy ma ochotę i cierpliwość pisać długie rozprawy lub obszerne opisy — a zwykle każdemu się wydaje, że z byle czem wystąpić nie wypadu. Stąd to wiele osób przychylnych sprawie milczy i nie obdarza nas bardzo cennymi niekiedy zapiskami, dlatego tylko, że są krótkie. Tymczasem bywa tak często, że notatka drobna ma dla nauki większe znaczenie, niż opracowanie obszerne a ogólne, albo zawierające rzeczy dawno już znane i nieraz drukowane.

Dzisiaj zapraszamy wszystkich życzliwych nam do wspólnej pracy, zapraszamy do komunikowania nam najdrobniejszych nawet spostrzeżeń. Ażeby zaś wypowiedzieć się szczegółowo czego chcemy, otwieramy na nowo, zarzuconą dawno rubrykę »Poszukiwania«. Tutaj będziemy pomieszczać zapytania i notować skrzętnie łaskawie nadsyłane nam odpowiedzi, a tym sposobem gromadzić i porządkować luźny, drobny a ważny materiał etnograficzny. Czem więcej będzie tych odpowiedzi, czem dokładniejsze będą one, tem pożyteczniejsze będą »poszukiwania«.

Z gorącą prośbą zwracamy się do wszystkich, do kogo tylko dojdzie to pisanie: Racście dopomóż usiłowaniom naszym, wszak służymy dobrej sprawie, służymy nauce polskiej!

Za granicą wszelkie takie odezwy zwracane do publiczności znajdują oddźwięk w całym społeczeństwie, redakcyje pism lub grona uczonych zasypywane są wprost tysiącami odpowiedzi, bo wszyscy tam pojmują wartość pracy zbiorowej. To też nauka obca w tryumfalnym pochodzie podbija świat cały.

U nas takie współdziałanie, takie współpracownictwo potrzebniejsze bardziej, niż gdzieindziej, więc mamy nadzieję, że nam Łaskawi Czytelnicy, że Szanowni Członkowie Towarzystwa ludoznawczego pospieszą z pomocą.

I. Św. Stanisław Szczepanowski.

P. Julian Pagaczewski, kustosz Muzeum Narodowego w Krakowie i sekretarz Komisji historii sztuki Akademii Umiejętności, znany już dobrze z pięknych prac z zakresu historii sztuki przygotowuje studjum obszerniejsze o kulcie św. Stanisława Szczepanowskiego w Polsce. Za naszym pośrednictwem uprasza życzliwe osoby o podanie najdrobniejszych nawet wiadomości dotyczących świętego Biskupa-Męczennika. A mianowicie uprasza o podanie:

1. Kościołów i kaplic zostających pod wezwaniem tego Świętego;

2. Ołtarzy, obrazów, posągów, kapliczek przydrożnych na cześć Świętego fundowanych, (opisać, jak wyglądają, jak przed-

stawiają Świętego, przez kogo malowane lub rzeźbione, kto je fundował i kiedy i t. p.);

3. Wszelkich pamiątek, legend i opowiadań o św. Stanisławie, gdziekolwiek się one znajdują.

II. Pierwszy grzmot.

Uprasza się Łaskawych czytelników i przyjaciół naszego pisma o zebranie i nadesłanie wiadomości:

1. Jakie wróżby wyprowadza lud z pierwszego grzmotu? (Jaki rok będzie, gdy grzmot daje się słyszeć bardzo wcześnie, gdy późno — gdy zagrzmie pierwszy raz nad wodami, nad górami — na wschodzie na zachodzie i t. p.).

2. Jak się zachowuje lud, słysząc pierwszy grzmot w roku? i dlaczego? (N. p. dźwigają ciężkie przedmioty, aby byli mocni — przewracają się po ziemi i t. p.).

Wogóle należy spisać wszystko, co lud mówi o pierwszym grzmocie i jakie przywiązuje do niego znaczenie.

III. Maj, gaik.

Pożądanemi są wiadomości, w których miejscowościach zachowuje się jeszcze zwyczaj stawiania majów, czyli gaików i jakie przy tem zachowane są zwyczaje (porówn. artykuł umieszczony na str. 67—69).





SPRAWY TOWARZYSTWA.

Posiedzenia Zarządu centralnego.

Czwarte posiedzenie Zarządu odbyło się dnia 30 listopada 1904 r., pod przewodnictwem p. M. Rybowskiego.

Obecni pp.: Dr. Z. Gargas, J. Klemensiewicz, ks. J. Krechowicz, M. Rybowski, Prof. C. Studziński, M. Treter.

1. Uchwalono naznaczyć termin zjazdu naukowego na pierwsze dni czerwca.

2. Uchwalono rezygnacyi Prof. A. Kaliny z godności Prezesa na razie nie przyjąć.

3. Omówiono szczegółowo sprawę dalszego rozwoju Towarzystwa.

4. Uchwalono przed Walnem Zgromadzeniem urządzić przedwyborcze posiedzenie Zarządu.

4. Uchwalono sprzedać resztę nakładu »Folkloru« Gomego po zniżonej cenie.

6. Omówiono sprawę zamierzonego przez Ministerstwo wyznań i oświaty wydawnictwa pieśni ludowych wszystkich krajów koronnych.

Dr. Z. Gargas m. p.
Sekretarz.

M. Rybowski m. p.
Przewodniczący.

Pierwsze posiedzenie Zarządu za rok administracyjny 1905 odbyło się dnia 17 stycznia, pod przewodnictwem wiceprezesa p. St. Bala. Obecni pp.: St. Bal, Dr. Z. Gargas, J. Klemensiewicz, M. Rybowski, M. Siwak, M. Treter.

1. Przyjęto do wiadomości sprawozdanie sekretarza z dotychczasowych czynności.

2. Termin obchodu jubileuszowego, połączonego ze zjazdem naukowym, naznaczono na dzień 10 względnie 11 czerwca 1905 r.

Bilans kasowy

Przychód.

L. p.	T Y T U Ł	Szczegółowo		Razem	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.
I.	Reszta kasowa z r. 1903:				
	1. gotówką	1289	90		
	2. w pocztowej kasie oszczęd.	130	67	1420	57
II.	Wpisowe i wkładki członków:				
	1. zamiejscowych:				
	a) gotówką . . Kor. 394 41				
	b) w p. k. osz. » 610 —	1004	41		
	2. miejscowych	629	—	1633	41
III.	Subwencje:				
	1. Rady król. stoł. m. Lwowa	200	—		
	2. Sejmu krajowego	200	—		
	3. c. k. Ministerstwa oświaty .	500	—	900	—
IV.	Prenumerata czasopisma »Lud« .			43	—
V.	Dochód z wydawnictw Towarz. .			177	19
VI.	Odsetki			60	45
VII.	Przebieżne			570	—
				4804	62

We Lwowie, dnia

Po zbadaniu stwierdza Komisja rewizyjna

Bolesław Lewicki m. p.

za rok 1904.

Rozchód.

L. p.	T Y T U Ł	Szczegółowo		Razem	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.
I.	Wydatki administracyjne:				
	1. wynagrodzenie funkcyjona- ryusza	120	—		
	2. druk odezw, zaproszeń itd.	62	98		
	3. portorya	59	63		
	4. kursor	61	20		
	5. różne	69	5	372	86
II.	Wydatki na czasopismo »Lud«:				
	1. druk i papier	1507	—		
	2. broszurowanie, ekspedycja i drobne wydatki	241	72	1748	72
III.	Wydatki na wydawn. Tow. lud.				
	1. ekspedycja			12	—
IV.	Wydatki na klisze, wyd. red. itd.			700	—
V.	Zaliczki			70	41
VI.	Przebieżne			570	—
VII.	Reszta kasowa:				
	1. w gotówce	1131	23		
	2 w poczt. kasie oszczędności	199	40	1330	63
				4804	62

31. grudnia 1904.

Józef Klemensiewicz m. p.
skarbnik.

zgodność bilansu powyższego z księgą kasową.

Dr. Wasung Michał m. p.

Bilans majątkowy

Stan czynny.

L. p.	T Y T U Ł	Szczegółowo		Razem	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.
I.	Reszta kasowa z dn. 31/XII 1903			1330	63
II.	Zaległe odsetki w pocztowej kasie oszczędności			2	94
III.	Zaległe należności czynne:				
	1. zal. wkładki członków miejscowych	92	—		
	zal. wkładki członków zamiejscowych	220	—		
	2. zaległe należności w księgarniach	140	—	452	—
				1785	57

We Lwowie, dnia

Uwaga: Oprócz gotówki pieniężnej posiada Towarzystwo w swym

Lwów, dnia

Stanisław Bal
wiceprezes.

z końcem r. 1904.

Stan bierny.

L. p.	T Y T U Ł	Szczegółowo		Razem	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.
I.	Zaległe należności za druk »Ludu«			780	61
II.	Zaległe należności za »klisze i t. p.			15	21
III.	Wkładki pobrane na r. 1905 . . .			14	—
IV.	Nadwyżka stanu czynnego jako czysty majątek Towarzystwa:				
	1. w pieniądzu:				
	a) p. K. o. 199 40 } Fund. żel. 520—				
	b) gotówka 321 41 } » obrot. — 81	520	81		
	2. w zaległych należyt czynnych	454	94	975	75
				1785	57

31. grudnia 1904.

Józef Klemensiewicz m. p.
skarbnik

majątku zapasy roczników »Ludu« i innych swych wydawnictw.

31. grudnia 1904.

Józef Klemensiewicz
skarbnik.

Preliminarz

Wymogi.

L. p.	T Y T U Ł	Wynikłość z r. 1904		Preliminuje się na r. 1905	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.
I.	Wydatki administrauyjne:				
	1. wynagrodzenie funcyona- ryusza	120	—	120	—
	2. druk odezw, zaproszeń itd.	62	98	80	—
	3. portorya	59	63	65	—
	4. kursor	61	20	75	—
	5. różne	69	5	75	—
II.	Wydatki na czasop. »Lud«				
	1. druk, papier	1507	—	1700	—
	2. broszurowanie. exped. i dro- bne wydatki	241	72	350	—
III.	Wydatki na klisze, wydatki reda- keyi itd.	700	—	400	—
IV.	Wydatki na wydawn. Towarz.				
	1. druk i papier			200	—
	2. broszurowanie, exped. itd. .	12	—	30	—
V.	Zaliczki	70	41	—	—
VI.	Wydatki na bibliotekę			100	—
VII.	Fundusz żelazny	220	—	80	—
		3123	99	3275	—

na rok 1905.

Pokrycie.

L. p.	T Y T U Ł	Wynikłość z r. 1904		Preliminuje się na r. 1905	
		Kor.	hal.	Kor.	hal.
I.	Wpisowe i wkładki Członków:				
	1. miejscowych . K. 629.—				
	2. zamiejscowych . » 1004.41	1633	41	1600	—
II.	Subwencye:				
	1. Rady kr. st. m. Lwowa . .	200	—	200	—
	2. Sejmu krajowego	200	—	400	—
	3. c. k. Ministerstwa oświaty .	500	—	500	—
III.	Prenumerata czasop. »Lud« . .	43	—	43	—
IV.	Dochód z wydawn. Towarzystwa	177	19	100	—
V.	Odsetki	60	45	25	—
VI.	Zapas kasowy:				
	1. Fundusz żelazny K. 520.—				
	2. « obrotowy » —81			—	81
VII.	Bilansowa różnica zapasów kaso- wych 1903/4	89	94		
VIII.	Fundusz żelazny	220	—		
IX.	Spodziewany niedobór w roku 1905			406	19
		3123	99	3275	—

3. Przyjęto trzech nowych członków.
4. Postanowiono zwołać z początkiem marca pierwsze posiedzenie komitetu, zarządzającego obchód jubileuszowy ze zjazdem naukowym.
5. Uchwalono odroczyć Walne Zgromadzenie do Zielonych Świąt.
6. Po odczytaniu przez skarbnika bilansu kasowego i preliminarza na rok 1905 przyjęto na razie sprawozdanie kasowe, a skarbnikowi wyrażono za jego wydatną działalność uznanie.

Mieczysław Treter m. p.
zast. Sekretarza

Stanisław Bal m. p.
zast. Prezesa.

Drugie posiedzenie Zarządu za rok adm. 1905 odbyło się dnia 14 marca b. r. Obecni pp.: St. Bal, J. Klemensiewicz, M. Siwak, Dr. C. Studziński, M. Treter. Przewodniczył zastępca Prezesa p. St. Bal.

1. Po przyjęciu protokołu przyjęto do wiadomości sprawozdanie zast. sekretarza z dotychczasowych czynności.

2. Wyrażono podziękowanie redakcyi »Ludu« za jej działalność w roku ubiegłym i uchwalono zwrócić się do pp. K. Potkańskiego i S. Udzieli z prośbą o objęcie redakcyi na rok 1905 pod dotychczasowymi warunkami.

3. Postanowiono wynająć od 1 maja 1905 lokal, w którymby znalazły pomieszczenie zbiory etnograficzne, książki i czasopisma.

4. W sprawie p. W. Badury, który pobrawszy od członków wkładki, Tow. dotąd ich nie zwrócił, uchwalono: od członków ponownie wkładek się nie domagać, natomiast kwotę tę zapisać jako dług p. Badury do Towarzystwa.

5. Do Zarządu kooptowano Prof. Dr. W. Bruchnalskiego.

Mieczysław Treter m. p.
zast. Sekretarza.

Stanisław Bal m. p.
zast. Prezesa.

Trzecie posiedzenie Zarządu za rok adm. 1905 odbyło się dnia 9 kwietnia. Obecni pp.: St. Bal, Dr. Z. Gargas, ks. J. Krechowicz, M. Rybowski, M. Siwak, M. Treter; usprawiedliwili swą nieobecność pp.: Prof. Dr. C. Studziński, Prof. W. Bruchnalski, J. Klemensiewicz. Przewodniczył zastępca prezesa p. St. Bal.

1. Przyjęto do wiadomości oświadczenie pp. K. Potkańskiego i S. Udzieli, że także na rok 1905 przyjmują redakcyę »Ludu« pod dotychczasowymi warunkami.

2. Przyjęto do wiadomości i zatwierdzono wystosowanie prośby do Zarządu Tow. ludoznawczego na Śląsku, by Tow. to uznało »Lud« za swój organ.

3. Postanowiono wysłać delegata na zjazd Kółek rolni-

czych, mający się odbyć w czerwcu b. r. Delegatem wybrano p. Dr. Z. Gargasa.

4. Uchwalono w zasadzie udzielać Red. »Ludu« wszystkich pism etnologicznych na pewien określony przeciąg czasu.

5. Przyjęto czterech nowych członków.

6. Załatwiono drobniejsze sprawy, dotyczące administracyi »Ludu«.

7. Postanowiono wystosować do redakcyj pism polskich w Ameryce odezwy z prośbą o popieranie »Ludu« i zalecanie go do prenumerowania.

8. Postanowiono rozesłać odezwy do zarządów bibliotek szkół średnich w Galicyi z prośbą o zaprenumerowanie »Ludu« dla bibliotek.

Mieczysław Treter m. p.
zast. Sekretarza.

Stanisław Bał m. p.
zast. Prezesa.

Posiedzenia naukowe.

Drugie posiedzenie naukowe odbyło się dnia 18 października 1904 r., o godzinie 7 wieczorem, w sali botanicznej c. k. Uniwersytetu, pod przewodnictwem I-go wiceprezesa Dr. J. Leciejewskiego. Dr. St. Żdziarski odczytał swą pracę p. t.: »Cześć Najświętszej Panny w pieśniach ludu polskiego«. Prelegent wykazał zapomocą licznych przykładów, że cześć dla Najświętszej Panny jest wśród ludu naszego oddawna nadwyzczaj rozpowszechniona. Przy wszelkich uroczystościach i obchodach lud nasz pamięta zawsze o Boga Rodzicy, czego dowodem tak liczne pieśni, które, krążąc z ust do ust, przechowują się w żywej tradycyi.

W ożywionej dyskusyi, jaka się po odczycie tym wywiązała, zabierali głos Prof. W. Bruchnalski, ks. J. Krechowicz, Dr. J. Leciejewski i Prelegent.

Dr. Z. Gargas m. p.
Sekretarz.

St. Bał m. p.
Wiceprezes.

Trzecie posiedzenie naukowe odbyło się dnia 8 listopada 1904 r., w sali Związku naukowo-literackiego, pod przewodnictwem wiceprezesa p. St. Bała. Na porządku dziennym miał być odczyt p. Franciszka Rawity Gawrońskiego »O wilkołakach i wilkołactwie«, ponieważ jednak prelegent z powodu nieprzewidzianej przeszkody nie mógł przybyć, odczytał sekretarz Tow. część autobiografii zasłużonego na polu folklorystyki polskiej męża, ś. p. Jana Witorta.

W części tej skreślił autor swe lata dziecinne i młodzieńcze aż do r. 1875, w którym został uwięziony. Prądy pozytywistyczne odegrały wówczas wybitną rolę w jego życiu du-

chowem i już wówczas zwróciły uwagę jego na kwestye, które stanowiły przedmiot jego późniejszych badań.

W dyskusyi zabierali głos pp.: St. Bał, ks. J. Krechowicz, J. Klemensiewicz, M. Siwak, Dr. Z. Gargas.

Dr. Z. Gargas m. p.

Sekretarz.

St. Bał m. p.

Wiceprezes.

Czwarte posiedzenie naukowe odbyło się dnia 10. grudnia 1904. r. o godz. 7 wieczorem, w sali botanicznej Uniwersytetu. Dr. Z. Gargas odczytał swą pracę p. t.: »O statystyce ludów pierwotnych«. Prelegent wskazał na nader powolny rozwój pojęć kwantytatywnych u ludów pierwotnych wogóle, tłumacząc ten powolny rozwój tą głównie okolicznością, że ludy te nie potrzebują liczb wyższych, niż te, które posiadają faktycznie. Wobec braku większej ilości bydła, braku przedmiotów i środków zamiany, nie mają te ludy po prostu żadnego racjonalnego powodu do używania liczb wyższych. Liczba dzieci, ilość dni, potrzebnych do podróży z jednego miejsca składowego do drugiego, stanowi też u nich granicę liczenia. Dopiero rozwój gospodarczy, rozszerzenie widnokręgu ekonomicznego sprowadza też rozwój sztuki liczenia. Ale i na późniejszych stadyach rozwoju społecznego pojęcia kwantytatywne rozwijają się bardzo powoli. Warunkiem bowiem wszelkiego liczenia jest to, by przedmioty, jako takie, jako indywidua, stały się obojętnymi. A to następuje dopiero w wyższem stadyum, w erze gospodarstwa ziemnego, choć w pewnym stopniu dzieje się to już w chwili tworzenia się własności indywidualnej. W erze bowiem gospodarstwa zamkniętego uwaga gospodarującego zwróconą jest na pojedyncze sztuki, jako takie. Niema też mowy o tem, by u ludów pierwotnych, czy choćby tylko znajdujących się w pierwotnem stadyum rozwoju cywilizacyjnego znaleźć było można jakieś spisy ludności, jakieś spostrzeżenia kwantytatywne. Zbadanie stosunków ilościowych tych ludów jest przeto możliwe tylko przy pomocy metody szacowania. Prelegent omówił szczegółowo poszczególne metody szacowania, w pierwszym rzędzie te, które są stosowane przez podróżników i wskazał na różne trudności, stojące zbadaniu prawdy na przeszkodzie, zwłaszcza trudności wpływające z wielkiej ruchliwości hord pierwotnych. Ta okoliczność czyni też niezbędnymi pewne korektywy przy stosowaniu metody, opierającej się na liczbie mieszkań, chat lub namiotów. Inną podstawę dla oceny liczby ludności stanowić może znajomość liczby pewnej jej części, a zwłaszcza liczby ludzi zdolnych do broni, dalej liczby skonów i narodzeń, w końcu danych dotyczących kultury danego terytorium.

W dalszym ciągu omówił Prelegent metody, służące do zbadania rozdziału ludności na poszczególne części terytorium,

względnie gęstości zaludnienia, więc metodę przeciętnych, metodę wyboru t. zw. typowych miejscowości, wreszcie metodę kartograficzną. W końcu przedstawił Prelegent metody dotyczące zbadania składu i ruchu ludności.

Z powodu spóźnionej pory zaniechano odczytania dalszej części autobiografii Jana Witorta, co było zapowiedziane jako drugi punkt porządku dziennego.

Miecz. Treter m. p.
zast. Sekretarza.

St. Bał m. p.
Wiceprezes.

Posiedzenie pełnego Komitetu

urządzającego obchód jubileuszowy ze zjazdem naukowym.

Posiedzenie pełnego Komitetu urządzającego zjazd naukowy i obchód jubileuszowy Tow. ludoznawczego, odbyło się dnia 20. marca 1905. r. Komitet ukonstytuował się w sposób następujący: prezesem obrano jednogłośnie Prof. Dr. J. Kallenbacha, wiceprezesem Prof. Dr. W. Bruchnalskiego, sekretarzem p. M. Tretera. W skład komitetu ściślejszego wykonawczego weszli pp.: St. Bał, Fr. Rawita-Gawroński, Dr. M. Janik, J. Klemensiewicz, M. Rybowski, M. Siwak, Prof. Dr. C. Studziński, W. Stroner, Z. Wasilewski.

Omawiano następnie ogólnie program uroczystości, a komitetowi ściślejszemu, prócz spraw innych, poruczono wybór honorowego prezydium zjazdu i ustalenie terminu uroczystości.

Miecz. Treter m. p.
Sekretarz.

Dr. Józef Kallenbach m. p.
Prezes.

Pierwsze posiedzenie komitetu ściślejszego odbyło się dnia 23. marca b. r., pod przewodnictwem Prof. J. Kallenbacha. Obecni pp.: St. Bał, Prof. W. Bruchnalski, Dr. M. Janik, J. Klemensiewicz, M. Rybowski, W. Stroner, Prof. C. Studziński, M. Treter, Z. Wasilewski. Uchwalono rozpocząć zjazd w sobotę dnia 10 czerwca b. r. Postanowiono prosić autorów zgłoszonych dotąd referatów o nadesłanie krótkich streszczeń, które ułatwią dyskusję. Postanowiono urządzić wystawę etnograficzną i w tym celu wybrano komisję trzech: p. W. Stronera, p. Z. Wasilewskiego, z prawem kooptacji trzeciego członka komisji. Następnie omawiano szczegółowo program całej uroczystości.

Mieczysław Treter.

Oddział podgórski.

Doroczne walne zgromadzenie członków oddziału Towarzystwa ludoznawczego w Podgórzu odbyło się dnia 1. lutego

1905, pod przewodnictwem p. Seweryna Udzieli i przy udziale 36 członków.

Po przyjęciu przez zgromadzenie protokołu z ostatniego posiedzenia, złożył Wydział sprawozdanie z czynności za rok 1904. W roku ubiegłym liczył oddział 69 członków, odbył 5 posiedzeń, na których zajmował się sprawami rozwoju Towarzystwa i zorganizował 5 sekcji: 1) zbierającą opisy zwyczajów i obyczajów, przesądów i zabobonów i t. d.; 2) zbierającą wycinki i wypisy z czasopism i z książek; 3) rysunkową; 4) muzealną i 5) wycieczkową. Znaczna liczba członków brała udział w czynnościach tych sekcji, które potem na posiedzeniach wydziału zdawały sprawę z czynności swoich. Mniej zadowolniającą przedstawiał się stan kasy z powodu dość znacznych zaległości członków. Zgromadzenie wyraziło wydziałowi uznanie za dotychczasową pracę i wybrało na rok 1905 pp.: Seweryna Udzielę, ks. Jana Łaskiego, Kazimierza Swibę, Antoniego Miksteina, Bolesława Tynca, Floryana Kotowskiego, Celinę Garbaczynską, Feliksa Taroniego i Maksymiliana Guńkiewicza. W końcu przewodniczący miał wykład »o śmierci w pojęciu ludowym«. Na tem posiedzenie zakończono.

Posiedzenie wydziału.

Na posiedzeniu dnia 8 kwietnia 1905 r. ukończył się wydział, wybierając przewodniczącym p. Seweryna Udzielę, zastępcą przewodniczącego ks. Jana Łaskiego, sekretarzem p. Maksymiliana Guńkiewicza i skarbnikiem p. Feliksa Taroniego.

Przewodniczący sekcji zdawali sprawę z czynności. I tak: 1 sekcja odbyła dwa posiedzenia i gromadzi materiały do opisu zwyczajów dorocznych w Krakowie; 2 sekcja robi spisy rzeczowe do X rocznika »Ludu« i odbyła w tym celu 6 posiedzeń; 3 sekcja przygotowała plany trzech wsi krakowskich i mało-widła gorsetu z Polanki Haller, kaftana z pod Niepołomic i dzbana z okolic Tarnobrzega; 4 sekcja czyni przygotowania do wycieczki do salin wielickich. Skarbnik zawiadomił, iż członkowie spłacają powoli zaległości dawniejsze; wynoszą one jednakże jeszcze 60 kor. 75 h.

M. Guńkiewicz
sekretarz.



KRONIKA.

Zarząd Towarzystwa ludoznawczego we Lwowie uchwałą z dnia 14. marca 1905. r. postanowił redakcyę „Ludu“ pozostawić w dotychczasowych rękach przez rok 1905.

Obchód jubileuszowy Towarzystwa ludoznawczego. Po pięćdziesięcioletnim istnieniu postanowiło Towarzystwo ludoznawcze urządzić we Lwowie w czasie Zielonych Świątek b. r. zjazd naukowy wraz z wystawą etnograficzną. Cicha ale owocna praca Towarzystwa zyskała uznanie i na wieść o zjeździe zgłoszono wiele ciekawych i poważnych referatów, a wiele osób z dalekich nawet stron przyrzekło swój współudział w zjeździe. Dotąd już zapowiedziano następujące sprawy: Dr. Zofia Daszyńska-Golińska »Demografia nadwiślańskiego miasteczka od XVII wieku«. — Kazimierz Mokłowski »O charakterach wspólnych góralszczyzny karpackiej w budownictwie i sztuce«. — Szymon Matusiak »O zbieraniu imion własnych«. — Grzegorz Smólski »Ślady słowiańskie w krajach dawnej Recyi i Windelicyi«. — Jan Świątek »Liczby trzy i dziewięć w mitach, wyobrażeniach, mitycznych praktykach i zwyczajach ludowych«. — Dr. W. Tille »O wartości czeskich zbiorów baśni ludowych dla studyów porównawczych literacko-historycznych«. — Adolf Černý »Mapa etnograficzna Serbów Łużyckich«.

Projektowana wystawa w skromnych ramach ma objąć całe życie wieśniaka, dlatego pożądane są okazy, modele i obrazy (rysunki, fotografie i t. p.), budynków, sprzętów i naczyń, odzieży, przedmiotów służących do użytku przy obchodach rodzinnych (np. różdżki druzbów), świątecznych (np. szopki, gwiazdy, turonie, palmy i t. d.) i rolniczych (wieńce dożynkowe) i t. p.

Zarząd Towarzystwa zaprasza wszystkich członków do wzięcia udziału w wystawie i w zjeździe, a wszelkie zgłosze-

nia i przesyłki adresować należy na ręce wiceprezesa Towarzystwa p. Stanisława Bala, Lwów, ulica Cicha L. 1.

Dzieła etnograficzne Oskara Kolberga. Największy i najzaślużeńszy nasz etnograf Oskar Kolberg, który kilkadziesiąt lat życia poświęcił badaniu i opisywaniu zwyczajów i obyczajów ludu naszego w granicach dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, ogłosił drukiem prace swoje w trzydziestu kilku tomach i zostawił nadto szereg tek z rękopisami. Z jego dzieł czerpali swoi i obcy, bliżsi i dalecy, — żadnej pracy etnograficznej nie można dzisiaj napisać bez znajomości Kolberga, a każdy zajmujący się etnografią, choćby już tylko dla porównania zebranego przez siebie materiału, musi zaglądnąć do dzieł tego nieustraszonego badacza. Ileż tam zapisano zwyczajów i obyczajów, których dzisiaj zaniechano, o których zapomniano, które z latami uległy zmianom? Dzieła Kolberga pozostaną dla nas na zawsze nieocenioną skarbnicą wiedzy o ludach, zamieszkujących Ziemię Polskie, pozostaną ozdobą literatury naszej etnograficznej, a każdy naród może nam ich pozazdrościć.

Dotychczas jednak dzieła Kolberga były często nawet dla uczonych niedostępne, bo trudno je było nabyć z powodu wysokiej ceny księgarskiej, a nie wszystkie, nawet większe biblioteki publiczne mogły się pochwalić, że posiadają je w komplecie. Pragnąc temu zaradzić, nabyła Akademia Umiejętności od rodziny Kolberga cały nakład dzieł jego i oddała je na sprzedaż księgarni G. Gebethnera i Spółki w Krakowie, obniżywszy cenę dawniejszą więcej niż o połowę tak, że obecnie komplet dzieł, składający się z 24 tomów kosztuje tylko 56 Koron 50 h. Nadto postanowiono sprzedawać dzieła Kolberga seryami, zawierającymi odrębne całości, ażeby nawet mniej zamożnym ułatwić ich nabycie.

I tak nabyć można: »Krakowskie«, 3 tomy, za 850 K. — »Wielkie Ks. Poznańskie«, 7 tomów, za 1650 K. — »Lubelskie«, 2 tomy, za 450 K. — »Kieleckie«, 2 tomy, za 4 K. — »Radomskie«, 2 tomy, za 4 K. — »Łęczyckie«, 1 tom za 2 K. — »Kaliskie«, 1 tom, 2 K. — »Pokucie«, 4 tomy, 10 K. i »Chełmskie«, 2 tomy, 5 K.

Ponieważ liczba egzemplarzy kompletnych jest nie wielka, przeto zachęcamy gorąco naszych czytelników do korzystania z rzadkiej sposobności i ozdobienia biblioteki swojej dziełami niepospolitemi znakomitego etnografa polskiego Oskara Kolberga.

Wystawa sztuki ludowej w Sądecczyźnie otwartą była przez miesiąc luty w lwowskim Muzeum przemysłowem. Obejmowała ona przeszło sto dużego formatu akwarel, rysunków i obrazów olejnych ze zbiorów p. Seweryna Udzieli, który przez szereg lat, inwentaryzując skrzętnie sztukę ludową ziemi są-

deckiej, stworzył kolekcję wprost niezrównaną, a ze względu na metodę pracy wzorową. Były tam w niezmiernie starannych, najczęściej barwnych reprodukcjach prześliczne okazy kostyumów bogato haftowanych, sprzęty malowane w oryginalnych barwach, wreszcie szereg niezmiernie zajmujących motywów zdobniczych tamtejszego budownictwa. Zbiór ten, oprócz wysokiej wartości etnograficznej, jest zarazem istotną skarbnicą motywów artystycznych dla sztuki dzisiejszej, dążącej u nas do odrodzenia na gruncie tradycji rodzimych. Rysunki i akwarele nader starannie i umiejętnie wykonali panowie: Feliks Taroni i Maksymilian Guńkiewicz i panie: Helena Zajączkowska i Marya Pruskowna.

(*Słowo Polskie*).

Nauczyciele ludowi lwowscy przy pracy etnograficznej. Dnia 19 grudnia 1904 r. na zebraniu naukowem Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie wygłosił p. Kazimierz Króliński (Denes) ciekawy odczyt na temat: »Szkoła ludowa a narzecza w Galicyi«. Prelegent wykazał na podstawie badań samistnych i opinii uczonych, jak Karłowicza, Brücknera, Rydla i innych, że poczynawszy od Mickiewicza wielu pisarzy zwróciło się do skarbcza mowy ludowej, czerpiąc z niego siłę, jak z żywego źródła, tchnącego życiem swojskiem.

Mowa ludowa jest tak bogata, że rozpoczęty słownik Karłowicza obliczono na 40.000 wyrazów. Gdyby połowa tych wyrazów przeszła do języka literackiego, stałby się on najbogatszym w świecie. W obec tego proponuje referent, ażeby nauczycielstwo całego kraju zebrało wszystkie narzecza ludowe w poszczególnych okolicach.

W dyskusyi zabierało głos wiele osób, między innemi prezes p. Majerski, który wywody referenta uzupełniał i rozwijał, a w końcu postawił wniosek: »Oddział lwowski Towarzystwa pedagogicznego wypracuje słownik mowy ludowej w okolicy Lwowa, oraz zbierze pieśni ludowe i t. p.«. Wniosek ten uchwalono jednomyślnie.

Gwarę lwowską, w mieście i na przedmieściach opracuje p. Kazimierz Króliński (Denes).

Przyklasnąć można z całego serca pożytecznej pracy lwowskiego Towarzystwa pedagogicznego i życzyć jak najpomysłniejszych wyników, a nauczycielstwo całego kraju tylko zachęcać do gorliwego współdziałania. Przypomnieć tutaj musimy, że Towarzystwo ludoznawcze zaraz w pierwszym roku swego istnienia w pierwszym tomie »Ludu« na str. 58—61 podało wskazówki, jak należy zbierać materiał do opracowania gwary ludowej potrzebny. Byłoby najlepiej, aby wszelkie, choćby najdrobniejsze zapiski i przyczynki do gwary ludowej nadsyłać współpracownicy wprost do Akademii Umiejętności w Krakowie, gdzie pod kierunkiem Prof. J. Łosia opracowuje się słowo

wnik gwarowy i ogólny słownik polski. Redakcja »Ludu« ofiaruje w tej sprawie chętne pośrednictwo.

O kołédnikach na Huculach mówił 20. marca 1905. roku w »Związku naukowo literackim« we Lwowie artysta-malarz. p. Karol Maszkowski, który, żyjąc przez ośm lat w Żabi, miał sposobność dobrze zapoznać się ze społeczeństwem huculskim, nie tkniętem jeszcze naszą cywilizacją. Życie ludu tamtejszego jest tak bogate w oryginalne formy, że malarstwo samo nie wystarcza p. Maszkowskiemu do wypowiedzenia się, wziął się więc z prawdziwem zamiłowaniem do opisania owego niezwykle ciekawego i »bajecznie kolorowego« społeczeństwa«. Prelegent nie miał zamiaru podać naukowego studium etnologicznego, chodziło mu raczej o przedstawienie jednej strony życia Hucula. Było to przedstawienie życia Hucula nie jako muzealnego okazu, ale jako żywego człowieka, żyjącego jeszcze w braterskiej zgodzie z naturą. Prelegent roztoczył w barwnych obrazach, z talentem malarskim chwytanych czas »mieszyć« (huculskie zapusty), w którym to czasie chodzą po zagrodach kołédnicy; śpiewy ich cechuje niezwykle żywa wyobraźnia i szczególnie malarska wrażliwość. Ci kołédnicy stanowią pewnego rodzaju cerkiewną służbę, która jednak pozostaje w ścisłej łączności z towarzyskiem życiem Hucula. Śpiewy huculskie, które p. Maszkowski przytaczał w doskonale przyswojonem sobie narzeczu, odznaczają się oryginalną formą rytmiczną. Prelegent ożywiony jak najlepszymi intencjami dla Huculszczyzny, zapewne niejedną jeszcze ciekawą rzecz nam opowie o tej dziwnej krainie, tak zapomnianej, a tak blisko nas leżącej. W. S.

Das Volkslied in Oesterreich. Pod powyższym napisem pragnie wydać Ministerium oświaty w Wiedniu dzieło, obejmujące pieśni ludowe wszystkich ludów zamieszkujących Austryę. Wydział centralny, do którego powołany został także redaktor »Ludu« p. Seweryn Udziela, óbraduje w Wiedniu nad programem całego wydawnictwa, a materyał z poszczególnych krajów przygotowują do druku specjalne komisje krajowe.

Wystawa koronek i haftów białych w Wiedniu. C. k. austriackie muzeum dla sztuk i przemysłu w Wiedniu postanowiło urządzić w bieżącym roku wystawę przemysłu domowego i sztuki ludowej ze wszystkich krajów monarchii Austriackiej. W kwietniu otwartym został pierwszy oddział tej wystawy, obejmujący koronkarstwo i haft biały.

† **Marya Hemplówna** (1834—1904). W dniu 3 lutego 1904 r. umarła w Węglinie, w powiecie janowskim, w domu bratanka swego, p. Antoniego Hempla, ś. p. Marya Hemplówna, przeżywszy

lat 69. Pochowano ją na cmentarzu parafialnym w Rzeczycy Kościelnej. Zasłużona to była pracowniczka na polu naukowym, mianowicie w dziedzinie przyrodoznawstwa i etnografii, z tego względu należy się jej kilka słów wspomnienia.

W latach 1867, 1869 i 1870 Oskar Kolberg zbierał w Chełmskiem materiały ludoznawcze; tu oparł się o Tarnów pp. Hemplów, a ś. p. Marya Hemplówna stała się nadzwyczaj czynną jego pomocnicą w gromadzeniu rzeczy ludowych, spisywaniu podań, zwyczajów, pieśni, melodyj i t. p. Oto co sam autor »Ludu« pisze w przedmowie do wydanego w ostatnim roku życia swego (1890) tomu I dzieła: »Chełmskie, obraz etnograficzny«: »Osobliwie w gościnnym domu pp. Hemplów w Tarnowie pod Sawinem, dzięki umiejętnej pomocy i zamiłowaniu do rzeczy ludowych córki domu p. Maryi Hempel, zdołaliśmy (w latach 1867, 1869 i 1870) nagromadzić zasób wiadomości i notatek etnograficznych, rzadko kiedy w takiej przez nas w innych okolicach nabytych obfitości. Przy opisie n. p. samego już wesela w Tarnowie, najmniejszego przy tym obrzędzie zachowywanego nie pominięto obyczaju« (str. VI, dodajmy, że opis wesela wiejskiego w Tarnowie i Woli tarnowskiej z roku 1869 i 1870 zamieścił Kolberg na str. 237—292 tomu I, samych pieśni weselnych jest tu 115). Drugi tom »Chełmskiego« z pozostałych po Kolbergu materiałów zredagował i wydał w roku 1891 prof. Izidor Kopernicki. W przedmowie swej zasłużony antropolog kilkakrotnie z uznaniem wielkiem wspomina o udziale Maryi Hemplówny w pracy Kolberga. Sądzymy, że w tem wspomnieniu o zmarłej niedawno pracowniczce najlepiej będzie powtórzyć słowa Kopernickiego. Nadmieniwszy, że okolice Chełmskie były pierwszym polem studyów Oskara Kolberga nad etnografią ruską i że wówczas jeszcze Kolberg słabo znał język ruski, prof. Kopernicki powiada: »Szczęściem wszakże dla niego wszelkie te trudności usuwała mu nieoceniona współpracowniczka i przyjaciółka jego, panna Marya Hempel, która nie tylko dopomagała mu nieodstępnie w jego badaniach podczas trzykrotnego pobytu O. Kolberga w okolicy Sawina, lecz i sama później, wtajemniczywszy się należycie w jego zadanie, zbierała dla niego ustawicznie i dostarczała mu wszelkich wiadomości i materiałów, spisywanych przez siebie aż do roku 1876. Z tych to materiałów, uzupełnionych w pewnej części wiadomościami czerpanymi z prac dawniejszych, opracował O. Kolberg w ostatnim roku swego życia tom I »Chełmskiego«, przedstawiając w nim dokładny obraz bytu, zwyczajów i obrzędów ludu ruskiego tej okolicy. Reszta materiałów, które po jego śmierci znalazłem w tece przeznaczonej dla »Chełmskiego« po największej części spisane ręką panny M. Hempel, złożyły się na ten tom II, który, zawierając pieśni, przysłowia,

zagadki, opowieści i wierzenia ludowe, przedstawia nam obraz tego ludu ze strony duchowej» (str. III i IV).

O dokładności zaś pracy ś. p. Maryi takie świadectwo wydał Kopernicki: »Podane tutaj (t. j. w tomie II »Chełmskiego«) opowieści ludowe wszelkiego rodzaju, poczynawszy od podań i legend, a kończąc na fraszkach, mieszczą w sobie materiały nader cenny dla folklorystyki porównawczej, a jeszcze cenniejszy dla studyów dyalektycznych albowiem wszystkie one najwierniej i najdokładniej przez p. Maryę Hempel spisane zostały tak, jak z żywych ust ludu gwarą miejscową opowiedziane jej były — największa część po rusku, a niektóre po polsku« (str. V). Dział wierzeń ludowych spisanych przez ś. p. Maryę, ś. p. Kopernicki nazywa »celującym«. Przy końcu tomu II redaktor »Chełmskiego« umieścił »Materiały dodatkowe« (str. 214—344); są to »oryginalne gawędy i opowiadania chłopskie, stenografowane niejako, bo pod każdym względem jak najdokładniej spisane przez Maryę Hempel« (str. 214). Również i w przypisach do tomu II sporo umieszczono notat ś. p. Maryi. Z tych przytoczeń słów Kolberga i Kopernickiego oraz z rozejrzenia się w obydwóch tomach »Chełmskiego«, gdzie co krok spotyka się ślady pracy ś. p. Maryi, śmiało wywnioskować można, że lwia część cennego dzieła zawdzięczał Kolberg ś. p. Maryi Hemplównie i że dziś, po śmierci przynajmniej, zaliczyć ją należy do rzędu najzasłużeńszych etnografek naszych.

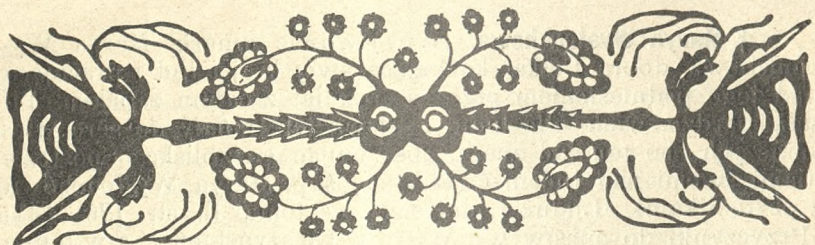
H. Ł.

† **Walery Eliaz Radzikowski.** Dnia 22 marca b. r. umarł w Krakowie w 65 roku życia po bardzo krótkiej chorobie ś. p. Walery Eliaz Radzikowski, artysta-malarz i literat, wysoko ceniony i znany szeroko. Oleodruki z obrazów jego: »Czarnecki, któremu chłopcy podają kule szwedzkie pod zamkiem krakowskim« — »Poświęcenie szabel Kościuszce i Wodzickiemu« — »Żółkiewski pod Cecorą« — »Chodkiewicz pod Chocimem« — »Kordecki« — »Sobieski pod Wiedniem« i t. d. znajdują się prawie w każdym domu polskim. A jego »Przewodnik do Tatr i Pienin« jest niezbędnym dla każdego zwiedzającego przepiękne góry nasze. Kraków, w którym się urodził, wychował i mieszkał i Tatry, gdzie przepędzał lato, ukochał całą duszą. Pięknem dziełem, w które wiele lat pracy włożył, to »Ubiory w Polsce i u sąsiadów«. Niestety, jest to tylko część dzieła, do którego materiały gromadził pilnie i troskliwie i przygotowywał do druku. Znane są także jego rodzajowe obrazki z życia górali zakopiańskich, jego liczne rysunki »Sabały«, jego »Gęślarz«. Wszystkie one mają wartość dla etnografa, bo je artysta studyował z natury i oddał wiernie rysunkiem. Ś. p. Walery wydał nawet w Poznaniu cykl kartek korespondencyjnych, przedstawiających grupami stroje ludowe z całej Polski. Cześć jego pamięci!

† **Marya Wyslouchowa.** We Lwowie umarła Marya Wyslouchowa, dobra Polka, kochająca swój kraj i lud i pracująca nad jego podniesieniem przez szereg lat z całym zapalem. Pisała bardzo wiele dla ludu, a słowa jej trafiały do serc wieśniaczych, bo ten lud znała, obserwując go zbliska. Spostrzeżeniami swemi nad ludem dzieliła się ś. p. Marya Wyslouchowa z czytelnikami »Ludu« i umieściła w tomie II, str. 126—141: »Przyczynki do opisów wsi Wisły w Cieszyńskim«, a w tomie VII, str. 181—192: »Z ust górala zakopiańskiego«. Poważana i kochana powszechnie osoba zostawiła po sobie żal szczery u swoich rodaków. Zarząd Towarzystwa ludowego w uznaniu zasług zmarłej wziął udział w jej pogrzebie.

† **Adolf Bastian.** W lutym b. r. umarł na wyspie Trinidad w 69 roku życia jeden z najznakomitszych uczonych współczesnych, głośny etnograf i podróżnik, Adolf Bastian. Wielki i zasłużony rozgłos zjednały mu badania nad budyzmem i ludami Azji. Przewędrował Chiny, Japonię, Birnę, Syam i Syberję, a spostrzeżenia swoje z tej podróży umieścił w sześciotomowym dziele: »Ludy Azji wschodniej«. Do najlepszych dzieł jego oprócz powyższego należą: »Budyzm i jego psychologia«, »Kraje kulturalne dawnej Ameryki«, »Człowiek w historii«.





LITERATURA.

A. Przegląd czasopism.

„Tygodnik ilustrowany“, poświęcony literaturze, nauce i sztukom pięknym. Warszawa, 1904.

Ostatni rocznik Tyg. ill. zawiera cały szereg artykułów, które mogą zainteresować czytelników »Ludu«. Rozpatrzmy się najprzód w I tomie, obejmującym nr. 1—26. Spotykamy tutaj: Pieśń o Waligórze J. Kasprowicza, dwie gadki ludowe A. Piotrowskiego; dwie legendy japońskie: jedną »O smoku Jatama« podaną przez M. Rodysową, drugą O stworzeniu kobiety p. W. Bernarda; dalej »Nowy Rok w Japonii«, »Nasze drzewa« E. Jankowskiego; »Pierwotna religia Japonii« przez J. K., obszernie wspomnienie z podróży »Przez Syberyę i Mandżuryę do Japonii« W. Sieroszewskiego, »Hanysek« M. Kononickiej, »Z czarnej magii« p. J. O., Egzekucya w Chinach, Wydawnictwa Tow. pols. sztuki stosowanej p. J. Kleczyńskiego, Z Katedry na Wawelu W. Prokescha i in.

Zacznijmy od Kasprowicza. O Waligórze krążą wśród ludu naszego rozmaite podania. Jedne przedstawiają go w towarzystwie Wyrwidęba lub jeszcze trzeciego jakiego siłacza, w innych oprócz nazwiska nie ma on nic wspólnego z W-ą Kasprowicza¹⁾, w innych wreszcie nie występuje wcale nazwisko W-y, ale samo opowiadanie przypomina niektórymi szczegółami owo podanie²⁾, które K. tak opiewa: W-a spieszy ze szczytów ku szafasom, skąd rozlega się tęskna piosnka o Janiczku, który już krwią swoją zczzerwienił górskie rzeki; podchodzi pod szafas

¹⁾ O. Kolberg. Krakowskie. Cz. IV, nr. 30 (O trzech wielkoludach). Zbiór wiad. do antrop. t. VII, str. 78, t. XV, s. 9.

²⁾ Zbiór wiad. do antr. t. II, s. 156.

i mówi: »K'tobie, dziewczko, serce mi się śpieszy« — i ofiaruje jej prztem korale i »złoto zagrzebione w knieje« ale góralka odpowiada »ni za koral, ni za garniec złota, do komory otworzę ci wrota; powal grań tę a oddam ci serce«. W. wraca w turnie, »z gniewnych oczu skry żelazne ciska«, staje pod wysoką górą, »rozkrzyżował ręce na dwie mile, do wierszyczku zmógł się drugie tyle« i niebawem »w gruzy runął boży tum wspaniały«. Dokonawszy tego dzieła, pewien miłości góralki wraca do szałasu i pochwaliwszy się swym czynem, żąda, aby go wpuściła; ale dziewczyna odpowiada: »dwie Janiczek wypróbował prace, podważ staw ten, rada ci zapłacę«.

Odszedł znów W., w głąb stawu zanurzył dwie olbrzymie dłonie, w garście zebrał ciężar srebrno-siny i przez wirchy wyrzucił w doliny«, potem poszedł ku potokom, ku siklawom i wody ich wokoło po świecie rozcisnął. Wtedy poczęła wrzeć i huczeć »rozpętana grzesznych dni ulewa« a na tej bezbrzeżnej topieli pokazała się łódź ogromna, »ogromniejsza nad zdumienie boże«, po tej wezbranej wód powierzchni uderzają stumilowe wiośła a sam Lucyper stoi u steru na straży.

Druga praca wykonana. W. wraca i puka toporczykiem do dzwierzy szałas, ale góralka, która właśnie głąska białe jagnię i wciąż »ku Janiczku śpiewa«, zawodzi dalej w bolesnej tęsknocie: »Hej, gdzie twoja szabla się podziewa? nie na szczycie ni w jeziorze na dnie; w tajnym boru!« ale »gdzież ten wichor co mi bory zniesie?« poczem dodaje, że jeżeli W. tę trzecią pracę wykona, to mu za nie chętnie zapłaci.

W. udaje się w knieje, na jego wezwanie idzie za nim wietrzyk, który wiał wśród puszczy, idzie podmuch mroźny dobywający się ze zlebu, potem zrywa się orkan a wreszcie spływa ku niemu Wielki-Wicher Bytu. Teraz »W. szumi Wichrem Boga, przed nim, za nim szumią lęk i trwoga«; wreszcie Wicher zmiata las z powierzchni ziemi i Waligórę »topi w swej toni«.

Jak widzimy z tego streszczenia, W. K-cza to nie zwykły siłacz, ale jakaś postać demoniczna, obdarzona niezwykłą siłą i władzą, która dokonuje czynów nadludzkich, wywołując przez nie straszne kataklizmy, pociągające za sobą zagładę i zniszczenie.

Pod względem języka należy zauważyć, że poemat zawiera wiele wyrazów używanych przez górali tatrzańskich a mało albo wcale nieznanych w innych okolicach jak n. p. cucha, grań, graźnie (żlebne), hyrny, jedla, krzesanica, perć, piargi, sikława, strąga, wierszyk, wierszyczek, wykrot, żleb i t. d. Znaczenie jeżeli nie wszystkich, to z pewnością przeważnej ich części jest dla wielu niezrozumiałe.

Nie myślę wcale robić z tego zarzutu autorowi, owszem poczytuję mu za zasługę, że przyswoiwszy sobie wskutek częstego przebywania pośród górali, ich język, nie używa w swej

pieśni ich gwary we właściwym tego słowa znaczeniu, bo nie naśladuje wcale ich wymowy, ale wplatając nader zręcznie w zupełnie czysty i piękny język literacki wyrazy gwarowe, nadał właśnie przez to utworowi swemu charakter lokalny, odpowiadający zupełnie jego treści. To też, gdyby komu wypadło nawet zaglądnąć do »Słownika gwar polskich«, nie pożałuje z pewnością tego zresztą niezbyt wielkiego trudu.

Dalszy ciąg szeregu artykułów E. Jankowskiego p. t. »Nasze drzewa« stanowi rozprawka o lipie¹⁾ Jestto temat bardzo ponętny; historia naturalna, poezya, medycyna ludowa, podania i legendy mogą dostarczyć obfitego materiału, na całość bardzo interesującą. P. J. wyzyskuje też ten materiał ile możności i należycie, rozprawiając o »pocziwej« lipie w sposób zajmujący i z widocznym zamiłowaniem. Żałować tylko należy, że jeżeli zaglądał n. p. do Kluka, nie zajrzał też i do wydawnictw zajmujących się ludoznawstwem boby tam był znalazł niejedną rzecz godną wspomnienia jak to niżej zaznaczam.

Autor przytoczywszy niektóre szczegóły z pierwotnych dziejów i zwyczajów słowiańskich, z którymi lipa w związku pozostaje, nadmienienia o wielkiem rozpowszechnieniu tego drzewa w dawnych czasach i z ubolewaniem zaznacza, że dzisiaj te lasy lipowe »ustąpić musiały przed prozą trzeźwego życia«. Przyznając, że lipa jako drzewo z natury swej mniej użyteczne, musi ustąpić miejsca innym drzewom, wnosi jednak gorącą prośbę za pocziwą lipą, aby jej nie skąpiono miejsca przynajmniej tam, gdzie rósć może.

Następnie opisuje szczegółowo lipę, mówi o gruncie na jakim się udaje, wymienia różne jej gatunki a wkońcu uzupełnia to, co powiedział na początku, porównując ją pod względem użyteczności z innymi drzewami. Szkoda, że mówiąc o kwiecie, nie wspomniał o bardzo rozpowszechnionem użyciu jego w lecznictwie ludowem, co stosuje się także do liści i rdzenia lipy. W wierzeniach ludu uchodzi znów lipa za drzewo święte, więc jej łyko broni od upiorów a można niem djabła związać, bo ten nie potrafi go zerwać²⁾. Jako najmilszy użytek lipy wymienia autor wreszcie »te niezapomniane nigdy opowiadania i rozmowy, które prowadziliśmy pod wielką lipą z rodziną lub przyjaciółmi«. »A ileż to stare lipy słyszały zwierzeń miłosnych! — dodaje autor — ilu dumań były niememi świadkami! Tu znów nasuwa się mimowoli wiersz Malczewskiego; »Pod staremi lipami dumał miecznik stary«.

¹⁾ W roku 1903 umieścił Autor w Tyg. artykuły: Klon, Sosna, Świerk, Jodła i Jesion.

²⁾ Zbiór wiad. do antrop. tom VI. str. 299 i in.

Rozprawkę zdobią dwie ilustracje J. Rapackiego, z których jedna, kolorowa przedstawia wspaniałą lipę ocieniającą skromny kościółek wiejski.

M. Konopnicka, która w licznych swych utworach z wielkiem zamiłowaniem zajmuje się wszystkimi maluczkimi i upośledzonymi, kreśli w artykule p. t. Hanysek jeden z typów górniczych w Dąbrowie, który poza obrębem tej miejscowości zapewne mało komu jest znany. »Hanysek« albo »synek« jest to chłopiec w wieku od 7—14 lat, którego pochodzenie i właściwe nazwisko przeważnie jest niepewne. Wywodzi się z kopalni i do niej przynależy, ale zresztą nikt w szczególności nim się nie zajmuje i o niego się nie troszczy, chociaż każdy, kto chce, nim się posługuje, używając go póki młodszy do najrozmaitszych posylek, a gdy jest już starszy także do czyszczenia różnych przyrządów metalowych, do smarowania rzemieni itp. Płynące stąd przygodne jego dochody starczą zaledwie na najnudniejszą strawę, toteż bywa »przeraźliwie chudy i przeraźliwie obdarty«. Z tej strony charakteryzuje go doskonale autorka w następujących wierszach: »trochę marnych, mniej więcej rachitycznych kości w umorusanej skórze, srodze zapadły żywot, zagadkowa kurta i także porcięta, konopiasta grzywa, śmiejące się oczy, zawsze ładne zęby, długie, cienkie jak pi-szczele, ręce, — nogi, jak ta święta ziemia i fantazya od stu dyasków — taki jest Hanysek«.

Jest on z jednej strony zupełnie niezależny a z drugiej nadzwyczaj karny w obrębie kopalni i uważa się za jej ofieyali-
stę. Hanyski tworzą między sobą ściśle korporacye stosownie do tego, do którego szybu przynależą i według tego jedni wobec drugich uważają się za wyższych lub upośledzonych. Który z nich przetrwa pomimo wielkiej śmiertelności te ciężkie czasy i dojdzie do roku 14-go, przestaje być Hanykiem i zostaje »szleperem« (wozakiem) t. j. płatnym robotnikiem.

Wszystko to przedstawia autorka w sposób nader ożywiony i zdradzający znajomość stosunków miejscowych.

(C. d. n.)

Dr. W. Kosiński.

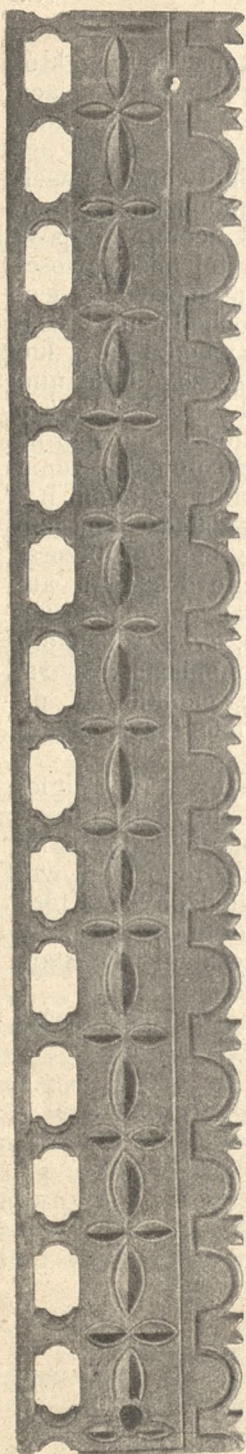
B. Przegląd książek.

Wydawnictwo Towarzystwa „Polska Sztuka Stosowana“. Materiały. Zeszyt V. Kraków 1904, 2 str. nieliczbowane i 7 tablic¹⁾.

Czynne, energiczne, młode Towarzystwo Polskiej Sztuki stosowanej obdarzyło nas znowu piątym zeszytem »Materiałów«. Wydany pod kierownictwem dobrze dla Towarzystwa zasłużonego p. Jerzego Warchałowskiego i p. Edwarda Trojanowskiego, jak zwykle starannie, przynosi nam ten zeszyt znowu nowe szczegóły piękna sztuki ludowej, przynosi nowe »materiały«, otwiera nowe źródła ożywczej wody dla budowniczych przyszłej sztuki narodowej.

Zeszyt 5 w okładce pomysłu p. Eugeniusza Dąbrowy zawiera 2 tablice wykonane czarnym a 5 tablic kolorowym drukiem. Czarno odbity jest łyżnik z Zakopanego, dom z Łaszczyzna w powiecie rawskim, w gubernii piotrkowskiej, kapliczka z Poronina na Podhalu (te trzy rysunki podajemy tutaj, korzystając z łaskawej uprzejmości p. J. Warchałowskiego), kapliczka z Grywałdu pod Czorsztynem i ozdoby wyciskane na okuciach przy dyszlach w Raciborowicach w powiecie krakowskim. Barwnie odbito stół malowany z Zakopanego i stamtąd malowania na odrzwiach prowadzących z izby do komory, skrzynię z Łowicza w gubernii warszawskiej i trzy karty z wycinankami z gubernii warszawskiej, z tych 2 z Łowickiego. Szczególnie oryginalną i piękną jest wycinanka łowicka ze wsi Niedzic, a ciekawem, bo rzadkiem, jest malowanie stołu i odrzwi z Zakopanego.

Łyżnik z Zakopanego.



¹⁾ Patrz »Lud« X, 98, 352.

Całość robi bardzo korzystne wrażenie tak pod względem wykonania, jak pod względem doboru materiału, który uzupełnia poprzednie zeszyty i daje już pewne wyobrażenie o charakterze sztuki ludowej, polskiej. S. U.

Ks. Józef Londzin: Bibliografia druków polskich w Księstwie Cieszyńskim od roku 1716 do roku 1904, Cieszyn 1904, 8-ka, str. 38.

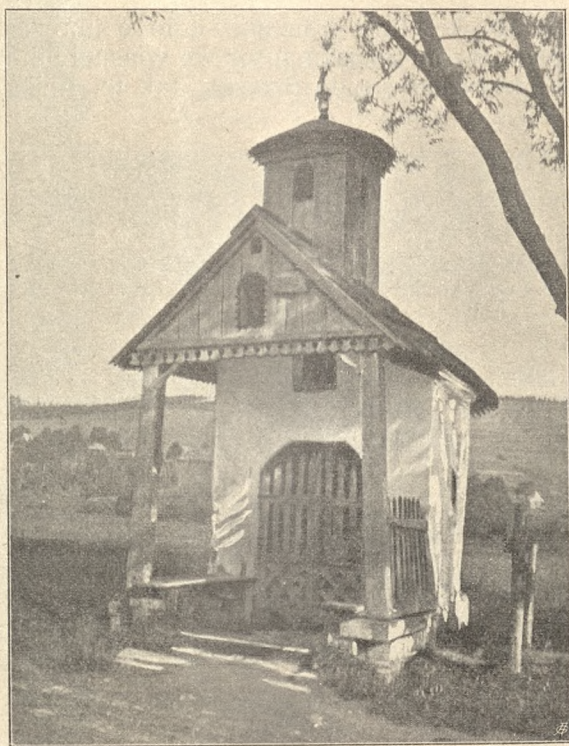
Od lat 15 skrzętnie gromadzi dobrze już zasłużony koło narodowej sprawy na Szląsku autor we własnej bibliotece wszelkie dzieła odnoszące się do Szląska, tak te, które na Szląsku



Dom z Łaszczyna w powiecie rawskim, w gubernii piotrkowskiej.

wydano, jako też i te, które o Szląsku mówią lub przez Szlązaków zostały napisane. Rzadsze z nich mieliśmy sposobność oglądać na ostatniej wystawie etnograficznej w Cieszynie. W pracy, jaką obecnie mamy przed sobą pomieścił autor 787 tytułów, a między nimi 10, odnoszących się do etnografii Szląska. Tylko trzy z tych druków wyszło w Cieszynie: Dr. Andrzeja Cieńciały: Przysłowia, przypowieści i ciekawsze zwroty językowe ludu polskiego na Szląsku w Księstwie Cieszyńskim. Cieszyn 1885 r. — Starosta weselny, czyli zbiór mów, używanych przy weselach ludu polskiego na Szląsku austriackim. Z obrazkiem: Wesele wiejskie na Szląsku austriackim w okręgu Cieszyńskim. Cieszyn, 1896. — Dr. Farnik Ernest: O poezji ludowej na Szląsku Cieszyńskim. Cieszyn 1904. — Trzy prace

wyszły w Krakowie: Dr. Andrzeja Cieńciały: *Pieśni ludu szląskiego* w 1885 r. — Dr. Lucyana Malinowskiego: *Listy z podróży etnograficznej po Szląsku — i Studya Szląskie* w 1882 r. — W Warszawie opuściły prasę dwa druki o Szląsku: Dr. Lucyana Malinowskiego: *Zarysy życia domowego na Szląsku* w 1877 r. — i Bogumiła Hoffa: *Lud cieszyński, obraz etnograficzny* w 1888 r. — Wreszcie we Wrocławiu wydał



Kapliczka z Poronina na Podhalu.

w 1863 r. Dr. Juliusz Roger: *Pieśni ludu polskiego na Górnym Szląsku* — a w Przemyśle prof. Jerzy Harwot ogłosił drukiem w 1893 r.: *Cieszyn i ziemia cieszyńska pod względem geograficzno-statystycznym*. Dodaćby tutaj jeszcze należało niemałą garstkę materiału etnograficznego znajdującego się w czasopismach szląskich a zwłaszcza w »*Gwiazdce cieszyńskiej*«. Szczupły ten spis możemy uzupełnić jeszcze kilkoma drukami nie pomieszczonymi w pracy Ks. Londzina: *Zd zisław Świdorski: Wieś Wisła. Szkic z wędrówki po Śląsku* w roku 1885 odbytej. Kraków, 1889, w 8-ce, str. 62. — Marya Wy-

słouchowa: Przyczynki do opisów wsi Wisły w Cieszyńskim. w »Ludzie« tom II, str. 126—141, Lwów 1896 r. — Lucyan Malinowski: Powieści ludu polskiego na Śląsku. Kraków, 1901, 8-ka, str. 272. — Dr. Stanisław Karwowski: O znimczeniu Śląska, w »Ludzie«, tom II, str. 115—125, Lwów 1896 r. — Nazwa i ludność miasta Koźla na Śląsku, tamże na str. 193—195. — Choroby i medycyna na Śląsku w XVII wieku, tamże na str. 289—282. — Klechdy czyli baśnie ludu polskiego na Śląsku. Warszawa, 1900, w 16-ce, str. 83. Wiele też wiadomości ludoznawczych ze Śląska zamieszcza praski »Český lid«. Spodziewać się należy, że ten nieliczny poczet dzieł, rozpraw i artykułów etnograficznych o Śląsku powiększy istniejące w Cieszynie młode Towarzystwo ludoznawcze, dla którego pragniemy »Ludu z gotowością otwieramy. *Seweryn Udziela.*

Polivka Georg: Zu der Erzählung von der undankbaren Gatin.

Nachträge von ... (Sonderabdruck aus der Zeitschrift des Vereins für Volkskunde in Berlin. Heft 4. 1903), 8-ka, str. 399—312.

W omawianej pracy dorzucił znany sławista praski, najgruntowniejszy dziś znawca podań słowiańskich, sporą wiązaną przyczynków do rozprawy przedwcześnie zgasłego Gastona Paris »O niewdzięcznej żonie«, drukowany w tem samem czasopiśmie (1903, str. 1 i nast.; 129 i nast.). Praca prof. Polivki nie jest jedynie zbiorem materyałów, lecz pozatem badaniem i szczegółowem roztrząsaniem kwestyi, jaką drogą odbywał po Słowiańszczyźnie ów wpływ podaniowy, który, jak tego dowodzi rozprawa, rozszerzał się w kierunku z zachodu na wschód. Autor rozpatruje szczegółowo (w myśl własnej teoryi o geograficznem badaniu podań ludowych) cztery wersye czeskie, zapisane w zbiorach Bożeny Němcovej, Bayera, Kuldy i Tillego, pięć opowiadań polskich z okolic Kielc, Krakowa, Ropczyc, Wieliczki i z Górnego Śląska, jedną baśń chorwacką, małopolską, białoruską i opowieści rosyjskie, przy których rozbiera dotychczasową literaturę przedmiotu. Ponadto wymienia innego rodzaju opowiadania, w których występuje tenże wpływ w odosobnieniu (czeskie, polskie, małopolskie, białoruskie, rosyjskie, litewskie, serbskie i bułgarskie). Wszystkie te z różnych okolic pochodzące podania słowiańskie wzięły się najwidoczniej z jednego i tego samego źródła zachodnio-europejskiego. Im dalej ono rozpowszechniało się na wschód i na południe, tem słabsze były jego oddźwięki.

Dr. Stanisław Żdziarski.

C. Bibliografia.

- A. R.** Nowoczesny ruch ludności z szerszem uwzględnieniem stosunków polskich. Poznań 1904, 8-ka, str. 23.
- Baudouin de Courtenay J. A.** Materiały dla pizno-słowiańskiej dialektologii i etnografii. II. Petersburg, 1904 r., 8-ka, str. XXXII i 240.
- Borzemski Antoni.** Powiat sanocki w cyfrach (Studyum statystyczne). Sanok, 1904, 8-ka, str. 117.
- Ks. Chmielecki Kazimierz.** Wycieczka do grobowisk przedhistorycznych w powiecie kartuzkim. Roczniki Tow. nauk. w Toruniu. XI. Toruń 1904.
- Czarnowski S. J.** Jaskinie i schroniska na górze Smardzewskiej na lewym brzegu Prądnika pod Ojcowem. Warszawa 1904, 8-ka, str. 24, z 5 tabl. w tekście.
- Czaszka z jaskini oborzysko wielkie na lewym brzegu Prądnika pod Ojcowem. Warszawa 1904, 8-ka, str. 6.
- Łopaciński Hieronim.** Ślady powodzi u nas w historii, archeologii, języku, przysłowiach, podaniach, piśmiennictwie i sztuce. Warszawa 1904, 8-ka, str. 26.
- Mátyás dr. Karol.** Rabsice dawnej puszczy sandomierskiej, studyum etnograficzne. Przewodnik naukowy i literacki. Lwów 1905.
- Najnowszy bajarz polski. Ciekawe historie o djabłach i czarownikach, oraz o zaklętych skarbach i strachach. Warszawa 1905, 8-ka, str. 132.
- Nitsch Kazimierz.** Patronimika na -óc -ic éc w gwarach Prus Zachodnich. Roczniki Tow. nauk. w Toruniu. XI. Toruń 1904.
- Zawiliński Roman.** Nieco o Słowakach. — Świat słowiański. — Kraków 1905.





mal. Helena Zajaczkowska.

Wyd. Tow. ludozn. we Lwowie.

Wieśniak z Podegrodzia pod Starym Sączem.



HUMOR I DOWCIP w POLSCE XVI. WIEKU

napisał

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Dokończenie.

III.

Druga kategoria humorystyki polskiej XVI. wieku to humor czynny, figle, fortelne kusy, krotofile. W wesołym, rozba-
wionem towarzystwie, na domiar w społeczeństwie tak mło-
dem, rozwijającym się dopiero, jak nasze ówczesne, takie wza-
jemne płatanie sobie figlów musiało być na porządku dzien-
nym. Naturalnie niezawsze te figle były wytworne; zapewne
nawet częściej było wprost przeciwnie. Inaczej zresztą być nie
mogło. Pamiętajmy, że to jeszcze ludzie bardzo pierwotni, że
Kochanowskich, Górnickich, nawet Reyów, nie było wtedy
wielu. Ale na pochwałę moralistów ówczesnych trzeba przy-
pomnieć, że oni starają się swych czytelników, odwrócić od
takiego figlowania. Górnicki mówi o jakimś księdzu Buczyń-
skim, który siłą takowych żartów spachał, co szubienicą barzo
pachną. Otóż dworzanina swego przedtem przestrzega: »Przeto
dworzaninów żart, abo kunsztowna posługa, nie ma podoba-
na być księdza Buczyńskiego sztuce, ale ma mieć w sobie
przystojność, foremność, a bez zbytniej szkody i obrazy to-
warzyskiej, wymysł, i nastosowanie«. Jakimi były żarty mniej
przystojne, o tem poucza nas znów Górnicki i Rey. »Jeden

drugiego strąci z schodu, wepchnie w błoto, oczy mu zaleje, grochem poplaska, mlekiem zmyje, a potem chychu na trzy zbyty«. »Ale to nic u naszych panów, kiedy się rozigrają, jeden drugiemu oczy zalać kampustem, albo czem tłustem gębę zamazać, czapkę zrzezać, suknię zdrapać, pod nosem świeczkę zagasić; tu Rey dodaje porównanie: »a pospolicie charci takie krotofile miewają«. Widzimy, że są to figle takie same, jakie i dziś popłacają w towarzystwie bardzo młodem albo mało kulturalnem. Swoją drogą nie należy ich sądzić zbyt surowo; objawy humoru tak różnie się przedstawiają na tle różnych okoliczności i pod wpływem różnych warunków, że ta sama rzecz raz się wyda niesmaczną, niezabawną, drugi raz wcale dowcipną.

Poza temi ogólnemi świadectwami, negatywnemi zresztą, niewiele mamy wiadomości o lepszych figlach XVI. wieku, a przechował je nam znów Górnicki, i to z nazwiskami osób działających, a więc świadectwa bardzo autentyczne. Trzeba przyznać, że między tymi figlami są istotnie zabawne i nawet dowcipne — przyczem oczywiście trzeba pamiętać, że w »figlu« zawsze ktoś musi być wywiedzionym w pole, byle tylko nie było to połączone ze szkodą, byle żart nie był zbyt bolesny; tym warunkom figle, przytoczone przez Górnickiego, odpowiadają.

Więc n. p. dowiadujemy się, że pan Gizicki gością swego uprzedził, że żona jego jest przygłucha, żonie zaś to samo powiedział o gościu, z czego wynikło, że tych dwoje »silnym głosem« mówiło z sobą, ku wielkiej ucieście otaczających. (Nawiasem powiedzmy, że Górnicki figle takie dobrze opowiada). Albo pan Zebrzydowski i pan Krupski, dworzanie królewscy: kiedy owies był bardzo drogi a w końcu nawet nie można go było dostać, ubrali dwóch pacholków, którzy jakoby wysłani przez kasztelana wileńskiego, rozdawali dworzanom ceduły na 50, 30, 10 beczek owsa. Dworzanie z wielką chęcią poposyłąli wozy do wsi, w której miano owies wydawać, ale wozy wróciły z niczem. Górnickiemu ten żart podoba się; nie mniej podoba mu się »ona posługa pana Łukasza Łęckiego, który gdy na straży król I. M. miał nocleg, w nocy otoczywszy wszystkie izbę, gdzie fraucymer miał złożenie, pochodniami roz-

palonemi, a zawoławszy: Gore! uczynił taki strach, iż drugie panny zapomniawszy się, nie wiedziały co czyniły».

Najwięcej Górnicki chwali i uważa za najforemniejsze takie żarty, które człowieka z przodku nakarmią strachu, a potem wszystko się w śmiech a krotoczwilę obróci». Jako przykład istotnie dobry, opowiada żart, jaki sobie wyrządzili dwaj dworzanie Zygmunta Starego, Pukarzewski i Skotnicki. Pukarzewski prosił Skotnickiego na wieczerzę i »był mu tak rad, że go i od rozumu odpoił«. Nieprzytomnego kazał związać i wsadzić do sklepu, na to już przygotowanego, i straż nad niem postawił. Skotnicki po kilku godzinach się budzi, zdziwiony, co się z nim dzieje, woła wielkim głosem: Jest tu kto? przebóg cię proszę, ozwij mi się. Straż nauczona, co ma robić, objaśnia mu wreszcie, dlaczego zamknięty jest w lochu: »Aza nie pomnisz, żeś pocziwą dziewczeczkę zgwałcił, i ojcas jej, gdyć jej wziąć bronił, zabił«. Skotnicki wpada w rozpacz, lamentuje; udało mu się wreszcie uprosić jednego ze straży, iż poszedł po pana Kaspra Maciejowskiego. Ten, wciągnięty oczywiście do zabawy, zrazu mu jeszcze dodał strachu, potem dopiero, nibyto czyniąc różne starania, uzyskał warunkowe uwolnienie Skotnickiego. Rzecz zakończyła się śmiechem, a dla Skotnickiego także i pewnym wstydem, gdy z niego później długo żartowano. Że jednak sam należał do ludzi wesołych, postanowił Pukarzewskiemu odpłacić pięknem za nadobne. W rok po tem zaprosił Pukarzewskiego do siebie, upoił go tak samo, poczem przywołał barwierza, a ten śpiącemu pół twarzy zalepił plastrami. Pukarzewski po przebudzeniu dowiedział się, że przez tego i tego został zraniony w twarz, i musi spokojnie dłuższy czas leżeć, nie nie jeść takiego, czemby mógł wargi i szczęki zbytnio sforsować; dziwił się tylko, że go ta rana nie boli, barwierz jednakże (któremu Pukarzewski jeszcze za opatrunek dobrze zapłacił) wyjaśnił mu, że to tylko w pierwszej chwili, poczem ból przyjdzie. Skotnicki, działając niejako równolegle do pierwszego żartu, sprosił również znajomych i przyjaciół, ci rzekomo się nad nim litują — aż ostatecznie rzecz zakończyła się śmiechem. Całe to wydarzenie Górnicki opowiada wprost świetnie, żywo, dramatycznie i dowcipnie.

Takie były zabawy, takie sobie figle Polacy XVI. wieku płatali.

IV.

Szukamy wreszcie dowcipu w Polsce XVI. wieku i szukamy ludzi dowcipnych. Wśród tych odróżniamy sobie takich, którzy płody swojego dowcipu przekazali nam sami, bezpośrednio: są to dowcipni pisarze, humoryści, — od tych, którzy nic nie pisali, ale o których dowcipie poucza nas tradycja. Ci ostatni budzą wielki interes; oni dają nam poznać, jakim był dowcip polski XVI. wieku w życiu codziennym, i jakim było tło, na którym rozwija się humorystyka w literaturze. Dalej: ich dowcip możemy już śmiało nazywać polskim, rodzimym. Rozmaite ucinki, żartobliwe a dowcipne odpowiedzi, naśladowania innych osób: to są wszystko zazwyczaj improwizacye, a jako takie są rzeczą oryginalną, chociażby niegdyś, poprzednio, na te osoby oddziaływał był dowcip obcy.

O tych ludziach informuje nas przede wszystkim Dworzanin Górnickiego, nieocenione, bo najobszerniejsze i najważniejsze źródło do poznawania humoru i dowcipu własnego Polaków XVI. wieku; żadne inne pismo takiego dla nas w tym względzie znaczenia nie ma¹⁾. Poza Dworzaninem mamy już

¹⁾ Przy sposobności powiedzmy, że Górnicki jest jedynym w Polsce XVI. wieku teoretykiem humoru i dowcipu. Pan Derśniak mianowicie powiada: »Podług mego zdania trojaki jest sposób trefnowania, chocia pan Myszkowski dwojaki tylko być powiada; to jest jeden, który w długim a dworskim, jako się co stało, powiadaniu zależy, — drugi, który w jednym a węzłowatym rzeczeniu zawisł. Ale ja trzeci sposób przyłożę, w którym bywają i trefne a prędkie rzeczenia, i długie a foremne powieści, i k temu żart abo przysługa jaka, w której rychlej się kunszt a śmiech, niż wielka szkoda towarzyszowi najdzie«. Odpowiednio do tej zasady Górnicki swoje facecye grupuje. Niestety jednak podział ten nie jest jego własnością. U Castigliona M. Bernardo Bibiena mówi: »...dico che, secondo me, di tre maniere se ne trovano, avvenga chè M. Federico solamente di due abbia fatto menzione, cioè di quella urbana e piacevole narrazion continuata, che consiste nell'effecto d'una cosa; e della subita et arguta prontezza, che consiste in un detto solo. Però noi ve ne giungeremo la terza sorte, che chiamiamo burle; nelle quali intervengon le narrazioni lunghe e i detti brevi ed ancor qualche operazione«. Własnością Górnickiego jest dodawanie do facecyr włoskich także facecyr polskich, i grupowanie ich według tej zasady. W każdym razie warto zaznaczyć tę jedyną u nas w XVI. wieku próbę teoretycznego określenia humoru i dowcipu.

tylko okruchy takich wiadomości. Najważniejszym z tych drugorzędnych źródeł jest opowiadanie Sarnickiego o rzeczy popolitej Babińskiej. Dalej Apophtegmata Kochanowskiego, ważne przez to, że podają nazwiska. Inne źródła (n. p. Fraszki Kochanowskiego i jego naśladowców, m. i. Anonima-protestanta) mają dla nas w tym razie mniejsze znaczenie przez to, że nazwisk nie podają, są więc ogólnikowe.

Jakże tedy wyglądał ten dowcip?

Mówi najpierw Górnicki o ludziach, którzy doskonale umieją naśladować drugih. »Jądro tej trefności a wdzięczność wszystka w tem jest, aby człowiek, powiedając jako się rzecz w sobie miała, umiał teraz wyrazić słowa, obyczaje, i sprawę wszystkę tego, o kim mówi; iżby ci, którzy słuchać będą, zapomniawszy się, mniemali, że to przed oczyma ich teraz się dzieje. I kto w to może dobrze potrafić, z niebarzo trefnej rzeczy barzo trefną uczynić«. Tak umiał pan Jan Ociński, podkomorzy krakowski, naśladować pana Tęczyńskiego, podkomorzego sędomierskiego; tak hetman Tarnowski doskonale »pokazywał« tchórzliwego pewnego szlachcica morawskiego; tak Gabryel Grabowiecki »kiedy Niemca Polakiem czyni, trudno ma być co trefniejszego«¹⁾.

Jest to rodzaj dowcipu jeden z najprostszych i najmniej wybrednych, a jednakże wiedzie od niego prosta droga na wyżyny komizmu. Jest w nim bowiem zdolność do obserwacji rysów komicznych i zdolność do reprodukcji, powtórzenia tych rysów. Otóż wyobraźmy sobie, że ta zdolność objawi się w sposób doskonały na scenie: będzie to świetny aktor-komik; w literaturze: będzie to świetny humorysta, komedyopisarz, satyryk, który stworzy literacki typ komiczny, będzie to Szekspir, twórca Falstafa, Molière twórca Chorego z urojenia. Tak daleko dowcip polski XVI. wieku nie zaszedł, typu komicznego nie stworzył (to się stało dopiero w wieku XVIII), były wtedy tylko najprostsze jego rudymenta.

Górnicki wymienia dalej kilku ludzi dowcipnych. Takim był Stanisław Białobocki, który się zaczepiającym go dobrze umiał odciąć; w Dworzaninie z tem nazwiskiem spotykamy się kilka razy; umie on dowcipnie łatkę przypiąć panom Kar-

¹⁾ Przypomnijmy, że dzisiaj naśladowemy żyda — rys tak świetnie pochwycony przez Weyssenhoffa w Podfilipskim.

wickim za ich niezłe apetyty i pragnienia, umie ironizować, gdy mu służąca zbyt przesoliła potrawę (»Miła siostró, aboś tego nie soliła?«). Dowcipnie umiał dotknąć i pan Lakiński, i pan Chalecki, starosta cyrkaski. Ten ostatni »stojąc przy królu starym, w Wilnie na pałacu, na ten czas, kiedy niedźwiedzia psy trawiono, a psi jakoś nieochotnie z niedźwiedziem się wiązali, i król J. M. jał mówić: Widzę te psy okarmić musiano, iż niedźwiedzia nie chcą, — powiedział: Przeto, królu, każ tu pisarze swe spuścić, tym nie nie wadzi, by się niewiem jako objedli, przedsię oni zawždy dobrze biorą«. Dowcipną była i pani Kochanowska, sędzina sandomierska, »stateczna pani i barzo trefna«, której Górnicki kładzie w usta żart rzeczywistoście doskonały, choć na dzisiejsze pojęcia mocno nieprzyzwyczajony. — Sądząc z Apophtegmatów Kochanowskiego, dowcipnym był biskup Gamrat, szlachcic z radomskiej ziemi Ciecierski, kanclerz koronny Dębiński i t. d. Tradycja przypisuje też dowcip obu ostatnim królom Jagiellonom. I tak dalej: widzimy, że Polsce Zygmunto-¹skiej nie zbywało na humorze, nie zbywało też i na dowcipie. Dowcip to w życiu towarzyskiem przeważnie, więc nie może w nim być mowy o jakiejś kreacji komicznej na wielką skalę. Nie jest też ten dowcip zbyt głęboki, ale w każdym razie znać w nim różne odcienia, jest i gra słów (opowiadanie o koźle np., albo alembur Reya, przytoczony przez Górnickiego, niezbyt wytworny), jest zręczne odcinanie się, jest wreszcie i ironia.

Była także i »Münchhausiada«. Górnicki nazywa ten rodzaj »grubym kłamem, rymownie złożonym«; jako przykład podaje z Cortegiana opowieść o małpie, która grała w szachy, od siebie zaś opowieść o głupich chłopach (opowieść jak wiadomo jedna z najbardziej rozszerzonych); następnie dodaje: »Ale kto się takowemi powieściami chce ucieszyć do woli i nauczyć się czego, słuchaj onego nieubogiego ziemianina, co na karasiu jeźdźca, a w szczuce znalazł jastrzębia, a on kuropatwę skubie; i miał kiedyś lejcowego, który w wozie ciągnąc, kuropatwę zawietrzył, a on nie będąc takim, wysiadł i pięćdziesiąt ich kobiercem przykrył«. Otóż taki gruby kłam, rymownie złożony, należał do objawów ulubionych w dawnej Polsce ¹⁾, uprawiany

¹⁾ Por. też u t. w. Anonima-protestanta fraszkę »O koniu« (str. 45).

jest w wieku XVII z zamięłowaniem (Bohater straszny Piekarskiego, choć przekład, z tego jednak zamięłowania wypływa), aż w w. XVIII, wyda polskiego Münchhausena, Radziwiłła. Dla naszego tematu w tej chwili jest on o tyle ważny, że razem z ironią tworzą główny zrąb dowcipu w Rzeczypospolitej Babińskiej.

Głośna to rzeczpospolita; w przeglądzie dowcipu w Polsce XVI. wieku pominąć jej niewolno, uchodzi bowiem ciągle za jego wykwit, koronę niejako. Tego entuzjazmu, tego podziwu nie możemy dzielić; trudno się też zgodzić na postawienie tej rzeczypospolitej na jednym poziomie z klasztorem Telemitów w Rabelais'go lub z Okrętem głupców Branta: te są na szeroką skalę zakresłonymi kompozycjami humorystycznymi, tamta — obrazem bardzo prymitywnym, z kilku kresek. Sam fakt jej powstania jest istotnie interesujący, świadczy o humorze i dowcipie jej twórców, świadczy o rozwiniętem życiu towarzyskiem, świadczy dalej o pewnem zacięciu satyrycznem epoki. Ale poza tem z całej tej rzeczypospolitej, ze wszystkich jej aktów i powiedzeń jedna jest rzecz naprawdę dowcipna: odpowiedź Pszonki Zygmunтови Augustowi na jego pytanie, kto jest w Babinie królem. Poza tem rzeczpospolita owa przedstawia dwa odcienia humoru czy dowcipu: nadawanie różnych godności a contrario jest objawem pewnej zdolności do ironii; obdarowywani zaś temi godnościami dochodzą do nich najczęściej przez gruby kłam. Akta babińskie zaczynają się r. 1600¹⁾, możemy z nich jednak pośrednio, a także i z innych świadectw, np. Sarnickiego, wnosić, że i w w. XVI. owe żarty i dowcipy były takie same; otóż w aktach tych aż do znudzenia powtarza się jeden motyw, owego nieubogiego ziemianina, znanego nam z Górnickiego. Ostatecznie więc i aspiranci do godności babińskich i nadający je zbytnio się nie wysilali. Wykwitu dowcipu polskiego w XVI wieku szukać musimy nie w Babinie; znajdziemy go w literaturze, w szczególności zaś u tego pisarza, który stoi na jej czele, u Kochanowskiego. Jego »Fraszki« są najwyższym stopniem, do którego się wzniosł nasz ówczesny dowcip. Nie jest to, powiedzmy odrazu, stopień tej wysokości,

¹⁾ St. Windakiewicz, Akta rzeczypospolitej Babińskiej (Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, t. VIII).

co w ówczesnej literaturze angielskiej lub francuskiej, a choćby i niemieckiej, bo tamte literatury miały przedtem kilka wieków, rozwoju, podczas gdy polska zaczęła żyć naprawdę właściwie dopiero teraz. Nie ma więc w niej komedyi, z typami i sytuacjami głęboko komicznymi, jakimi są komedye Szekspira; niema satyry takiej, jaką jest np. *Don Kiszot* albo *Gagantua* i *Pantagruel* albo *Narrenschiff*, satyry, która nie moralizuje (bo takich mamy wtedy dosyć) ale ironizuje. Nie ma w naszej literaturze XVI. wieku koncepcyi komicznej, są tylko jej próby, drobne obrazki od ręki, rzucane na papier raczej przypadkowo i nieświadomie — poza tem cały ówczesny dowcip polski zamyka się w obrębie słowa. Jest to dowcip słowny, dowcip »par excellence«.

Stąd najliczniej może reprezentowaną jest w nim igraszka słów, kalemby i dwuznaczniki. Rodzaj to zresztą w epoce Odrodzenia niezmiernie ulubiony, że przypomnę tu nieustanną grę słów, którą spotykamy u Szekspira i to nie tylko w jego komediach. U nas szermuje nią dosyć często Rey w pismach prozaicznych. Używano jej w polemikach religijnych: katolicy nazywali luterstwo łoterstwem, ministrów sinistrami i świni-strami, protestanci odpłacali się im, zowiąc katolików kątolikami, ajendy bajendami i t. p. W *Marcholcie* wiemy, że nazwiska przodków *Marcholta* i jego żony obmyślane są na efekt humorystyczny. Tak samo w *Tragedyi żebraczej*¹⁾, pełnej rubasznej werwy i humoru, największa suma dowcipu spoczywa właśnie w nazwiskach żebraków²⁾. We wszystkich zbiorach facecyy i fraszek spotykamy się z tym dowcipem bardzo często; tak też i we »fraszkach« *Kochanowskiego*. W tych jest go bardzo wiele, jest igraszka z tem słowem »fraszki«, żarty z nazwisk (*Koziół*, *Gąska*, *Łazicki* i *Barzy*); jest też najlepsze z tych »dwuwykładnych rzecz« we fraszce na doktora *Hiszpana*: »Doktor nie puścił ale drzwi puściły«, najlepsze dla tego, że poza samymi słowami jest tu i akcja, z odcieniem humorystycznym.

Obok gry słów dowcip w Polsce XVI. wieku pojawia się i w kategoriach innych, mniej więcej w tych samych, co ane-

¹⁾ Z r. 1652; wyrazu tragedia nie bierzmy w dzisiejszem znaczeniu; tak samo nie szukajmy komizmu w »*Komedyi o mięsopuście*« albo w *Bielskiego* »*Komedyi Justyna i Konstancyej*«.

²⁾ Parzychost, Wrywant, Żyżka, Kłysz, Wilkołek.

gdota, która zapewne niejednokrotnie służyła mu za wzór i model. Pisarzy-komików było dosyć, począwszy od Krzyckiego. Wybitnym humorystą był Rej. Nie mówimy tu naturalnie o Figlikach, w których Rey jest prawie wyłącznie zbieraczem, nie twórcą. W Figlikach nie mamy dowcipu Reyowskiego; mamy go za to w innych pismach, w Rozprawie między panem, wójtem a plebanem znajdziemy od czasu do czasu obrazek o zacięciu satyrycznym (całość Rozprawy nie jest satyrą ale utworem dydaktycznym), np. ów wizerunek jarmarku; podobnie w Wizerunku; podobnie — najwięcej — w Żywocie. Objawia się on tu w rozmaitych uwagach autora, wypowiedzianych najczęściej mimochodem, w porównaniach bardzo żywych, plastycznych, pełnych humoru, branych zaś najczęściej ze świata zwierzęcego, wreszcie w rozrzuconych po całym dziele obrazkach. Te obrazki to może najlepsza część Żywota, i może najlepsza rzecz Reya w ogóle, świadczą najlepiej o jego świetnej obserwacji. Ot na przykład wizerunek pysznego eleganta XVI. wieku: »A patrz jedno na jego postawy, jeśliże się nie masz czemu i pośmiać i podziwować, a on idzie nawieszawszy dziwnych pstrych chobotów około siebie, na ludzi nie patrzy tylko sam na się pogląda, cień upatruje, spluwa choć mu nie trzeba, rękawicę z tej ręki, na której sygnet, zdejmie a w drugiej ją dzierży, kaszle, krząka choć mu się nie chce, z kamyka na kamyk stąpa, kroku strzeże, aby go nie zmylił, na pacholki się ogląda, jeśli je ma. A jeśli też już gdzie na miejscu między dobrymi towarzyszami usiedzie, tedy, jeśli co mówi, to już z oną przewłoką, z oną postawą, z onem przekęśowaniem słówek, z onem rzekomo zająkowaniem, aby tak rozumiano, iż z rozmysłem mówi. Paznokcie ogląda, czapki poprawuje, a łotrowie mu siedząc pochlebują i jeden na drugiego poglądają«. Takich obrazków w Żywocie jest dużo (prawda że ten jeden z najlepszych). Brakuje im tylko jednej rzeczy do tego, aby były doskonałymi obrazkami komicznymi. Oto twórca ich nie myśli o efekcie komicznym, nie ma tego zamiaru, chce być tylko moralistą. Swoją zapas śmiechu wyładował w Figlikach, gdzieindziej chce być tylko poważnym nauczycielem. Jednakże pod powłoką powagi musiały u Reya być obfite i głębokie pokłady humoru i naturalnego dowcipu, jeżeli

się przez nią potrafiły przebić, i niejako wbrew woli pisarza wydać takie obrazki.

Górnicki humorystą nie jest. Jego »Dworzanin« jest dla poznania tej strony ówczesnej Polski nieoceniony, ale on sam dowcipu zdaje się nie miał — być może zresztą, że nie miał sposobności do ukazania go. Natomiast humorystą prawdziwym jest Kochanowski, humorystą najlepszym w ówczesnej Polsce, najdowcipniejszym i najwytworniejszym. Jego dowcip jest ostatnim wyrazem dowcipu w Polsce XVI. wieku, tak pod względem swej *vis comica*, jak i pod względem literackiego opracowania. Ale że cała działalność poetycka Kochanowskiego obraca się w formach raczej drobnych, przeto ta właściwość przechodzi i na jego dowcip. Kreacyi wielkich poeta nie stworzył, pozostały za to po nim doskonałe drobne utwory żartobliwe i dowcipne, pozostały Fraszki.

Nie dbają moje papiery
O przeważne bohaterzy:
Nie u nich Mars chocia srogi,
I Achilles prędkonogi:
Ale śmiechy, ale żarty
Zwykły zbierać moje karty.
Pieśni, tańce i biesiady
Zchadzają się do nich rady.

Tak mówi Kochanowski o swoich »księgach« przede wszystkim jednak odnoszą się te słowa do Fraszek. Naturalnie nie wszystkie fraszki¹⁾ są wesołe, ale te głównie nas tu obchodzą. Odbiło się w nich bujne życie towarzyskie, wśród którego Kochanowski obracał się w Krakowie, na dworze biskupim czy królewskim. Wiele z nich jest przekładem, przeobrażeniem lub naśladowaniem jakiegoś wierszyka starożytnego, czy to z Antologii greckiej, czy z Marcyalisa — ale nawet przekłady są do pewnego stopnia oryginalne, bo po za wierszem leży fakt; poecie to, co opowiada, nie jest wyłącznie materiałem do utworu literackiego, ale faktem żywym, rzeczywistym, on na to wszystko sam patrzył; jeżeli zaś do tego faktu sto-

¹⁾ Termin »fraszka« oznacza u Kochanowskiego utwór drobny rozmiarami, treści rozmaitej, często blażej nie ujętej w tak ścisłe prawidła, co do formy jak np. pieśń (*carmen*) — nie oznacza zaś tego, co oznaczał później, utworu wesołego i żartobliwego wyłącznie.

sował się dobrze epigramat Marcyalisa, króla fraszek, to poeta humanistyczny, w epoce Odrodzenia, nie będzie tą pomocą gardził, będzie ją uważał za rzecz całkiem naturalną, — tak zresztą robią w owym czasie wszyscy. Treść Fraszek najrozmaitsza i do najrozmaitszych ludzi adresowana; są fraszki do towarzyszków zabaw po gospodach krakowskich, do towarzyszek, które w tych zabawach brały udział, do panien z fraucymeru królowej, do różnych dygnitarzy koronnych i t. d. Podstarzałej zalotnicy poeta tłumaczy, że już za późno na zabawy, »daj pokój, przebóg, sama baczysz snadnie, że nic po cierniu, kiedy róża spadnie«. Naboznej zapytuje:

Jeśli nie grzeszysz, jako mi powiadasz,
Czego się, miła, tak często spowiadasz?

Kachnie, chodzącej w żałobie, przekłada, że ubielone lica nie godzą się z żałobą.

Baltazarowi, choremu na głowę, tłumaczy powód choroby:

Nie dziw, żeć głowa, Baltazarze chora,
Siedziałeś wedle głupiego doktora.

Innego doktora przestrzega, że wie, kędy chodzi miłować, »bo która z tobą wieczór pobłaznuje, każda nazajutrz piżmem zalatuje«.

Między towarzyszami jest jeden, nazwiskiem Chmura. Imię, które się prosi, aby je wsadzić do fraszek. To też poeta zdumiewa się nad tak suchem latem, że aż chmury kąpały się w rzece; kiedy z Chmury żartowano, a żartowano właśnie fraszką Kochanowskiego, poeta rzekomo go broni: nadarmo go szczujecie moją fraszką, bo właśnie o nim można powiedzieć: karmiony wronami¹⁾.

Rycerz jakiś ma zbyt duży kołnierz u delii: poeta żartuje z tego: trzebaby się dowiedzieć, czy to kołnierz u delii, czy też delia u kołnierza. Dowcip to niezbyt głęboki, ale trzeba przy nim myśleć o jego aktualności: to jest, że fraszka ta pozostaje w wesołym towarzystwie nagle zaimprovizowana na widok komicznej postawy owego rycerza; wtedy dowcip doraźny działał silniej, aniżeli dziś na nas. W ogóle we Fraszkach Kochanowskiego dużo jest utworów, do których trzeba sobie koniecznie wyobraźnią dorobić dekorację, chwilę, w której

¹⁾ Dziś mówimy; szpakami karmiony, chytry, sprytny, mądry.

powstały, otoczenie, nastrój rozbawionych ludzi, którzy przy tem są obecni. Fraszki są właśnie najczęściej odbiciem jednego momentu, są niejako migawkowem zdjęciem jakiejś chwili. W tem leży ich wartość jako świadectwa historyczno-obyczajowego i o tem przy ich ocenie trzeba zawsze pamiętać.

Takim obrazkiem chwili jest słynna fraszka »Na doktora Hiszpana« (odnosi się do Rojzyusza), zwana królową Fraszek. Trzeba koniecznie stać się jednym z tych wesołych towarzyszy, którzy się dobijali do drzwi doktora, a wtedy uprzytomnimy sobie cały jej humor i dowcip, i będziemy się nią cieszyli tak samo, jak się cieszyło wesołe grono, gdy mu Kochanowski na drugi dzień po zdarzeniu świeżo napisaną fraszkę odczytywał. Prawda, że i co do formy, jako żywość, dramatyczność opowiadania, drobny ten wierszyk mało ma sobie równych. Zamiast streszczać prozą lepiej będzie fraszkę tę, choć tak znaną, przepisać w całości:

Nasz dobry Doktor spać się od nas bierze,
Ani chce z nami doczekać wieczerze.
Dajcie mu pokój: najdziem go w pościeli,
A sami przedsię bywajmy weseli.
Już po wieczerzy: pódźmy do Hiszpana;
Ba wierzę pódźmy, ale nie bez dzbana.
Puszczaj Doktorze, towarzyszu miły.
Doktor nie puścił, ale drzwi puściły.
Jedna nie wadzi, daj ci Boże zdrowie.
By jeno jedna, Doktor na to powie.
Od jednej przyszło aż więc do dziewięci,
A Doktorowi mózg się we łbie mąci.
Trudny (powiada) mój rząd z temi pany,
Szedłem spać trzeźwo, a wstanę pijany.

Nie cytujemy fraszek więcej, bo żadna autologia nie da o nich pojęcia. Zaznaczymy tylko jeszcze raz, że dowcip w nich zawarty, nie jest na ogół biorąc bardzo głęboki, ani też nie jest, jeśli tak można powiedzieć, zbyt dowcipny. To znaczy, że przy czytaniu fraszek nie budzi się w nas podziw dla umysłu poety, zdolnego głęboko w rzeczy spojrzeć i z tych głębín wyciągnąć komizm, innym niewidoczny, ani też nie ogarnia nas śmiech niepohamowany. A jednak fraszki są rzeczywiście dowcipne, i jako takie są najlepszym okazem dowcipu w ów-

czesnej Polsce. Najlepszym nie tylko względnie, w porównaniu z innymi, bo na bezrybiu i rak mógłby być rybą, ale i dobrym bezwzględnie, same w sobie. Pochodzi to, (nie mówiąc już o dobrej formie literackiej w ogóle) stąd, że Kochanowski ma poczucie i zrozumienie dowcipu, uwydatni w swym wierszu właśnie to, co trzeba, tak że uwagę czytelnika zawsze koncentruje w sobie *pointe'a*. Czyli że Kochanowski jest prawdziwym humorystą, chociaż w rozmiarach niezbyt wielkich. Jest to w związku z całą jego poezją: jest on poetą »niewielkim«, ale w swoim niewielkim rodzaju jest świetny i doskonały.

Fraszki wywołały całą literaturę naśladowniczą; od czasu Kochanowskiego niemal każdy poeta uważa sobie za obowiązek pisać fraszki. Chronologicznie rzeczy te przekraczają już okres czasu, objęty naszym tematem; współcześni Kochanowskiemu są taki np. Anonim — protestant albo Melchior Pudłowski, pierwszy pisze w latach 1562—1568, drugiego fraszki wyszły w r. 1586. Na ogół wszystkie te fraszki późniejsze nowego nie pod względem rodzaju dowcipu nie przyniosły.

Nowość tę mogła była przynieść literatura dramatyczna. Mogła była przynieść z sobą rozmaite sytuacje i typy komiczne. W tej epoce jednak, którą rozpatrujemy, jeszcze się ona nie rozwinęła. Komizm mógł się pojawiać w komedyi albo w intermedyach. Komedye właściwą wydała literatura polska dopiero w XVIII wieku — to co było przedtem (Potrójny Cieklińskiego, Z chłopą król Baryki) to są zjawiska sporadyczne, są zresztą późniejsze, z samego końca XVI. i z XVII. wieku. Intermedya rozwijają się bardzo bujnie w wieku XVIII i dla badania humoru i dowcipu polskiego w tej epoce są materiałem bardzo ciekawym. W wieku XVI. są dopiero ich początki. Wyjątkiem są quasi intermedya w Sądzie Parysa (r. 1542), pierwsze prawdziwe, mało humorystyczne zresztą, pojawia się w r. 1579. Literatura intermedyów nie jest wytworem epoki Zygmunto-wskiej.

Dwie tylko rzeczy moglibyśmy tu wciągnąć. Najpierw ów Sąd Parysa, widowisko humanistyczne Lochera, przełożone na język polski i wydane w r. 1542. W oryginale po akcie trzecim jest jakby maleńkie intermedyum, w którym występują *rusticae mulieres*. Tłumacz polski przerobił to miejsce swobodnie:

Baba piszczkowa ma wyjść pierwsza.

Ad idem, bracia, ad idem,
Do browaru z owym dziadem,
Co sam sobie przekwintuje,
Iż u drzwi Jezusa czuje.
Zbadło mu się święconego,
Radby do raju wiecznego.
Już nie dba o smołę naszą,
Woli w raj u z mlekiem kaszę.

Widzimy, że są to dopiero zawiązki na sceny lub osoby komiczne. Rozwój zacznie się w samym końcu wieku XVI, dosięgnie szczytu w wieku XVII. Gdyby nie ogólne obniżenie umysłowe, jakie w tem stuleciu w Polsce w porównaniu z wiekiem poprzednim zapanowało, to epoka ta byłaby wydała rodzimą komedię polską, tyle w niej jest bogatego materiału humorystycznego. Ale wszystko to pozostało raczej w stanie rudy, w stanie materiału, są najprostsze tylko rysy, najprostsze efekta; nie było talentu, któryby z tego zdołał stworzyć komedię.

Na zakończenie wartałoby może poruszyć jedną kwestję, bardzo ciekawą. Jaki udział w ówczesnym humorze i dowcipie bierze ówczesny lud, chłop polski? Jaki jest w XVI w. dowcip ludowy? Dzisiaj, wiemy, chłop nasz i humoru i dowcipu pozbawiony nie jest. Nie jest to dowcip głęboki ani humor wybredny, ale jednakże jest. Nieraz zaś ma nawet wcale zręczne zacięcie. Nie mówię o tych przykładach, które znajdziemy w zbiorach etnograficznych; tam są najczęściej albo anegdota albo rozmaite gadki i zagadki. Mówię o tym dowcipie improwizującym raczej, doraźnym, z którym każdy się spotkał nieraz, kto tylko miał z chłopem więcej do czynienia. Rozmaite spostrzeżenia, odpowiedzi, ucinki i »podkpiwanie«, to wszystko u chłopu znajdziemy, a nieraz w nienajgorszym gatunku. Otóż byłoby rzeczą bardzo ciekawą wiedzieć, jak się pod tym względem miały rzeczy w XVI wieku. Niestety, świadectw brak. Co nie jest zresztą nic dziwnego. Literatura ówczesna jest przeważnie szlachecką, w części mieszczańską; przeto odbiło się w niej życie szlachty, częścią mieszczaństwa. Chłop w literaturze zjawia się w tej postaci, jaką mu nadał szlachcic piszący. Więc często, jako figura komiczna. Anonim-protestant pisze »o chrzeinach grubą chłopską mową«, wyśmiewając ludowe wyrażenia. Rey

w Figlikach najczęściej wyszydza głupotę, brak ogłady, prostactwo chłopą. To samo robi i Górnicki, to samo ostatecznie intermedya. Widać w literaturze wyraźnie, jak się już szlachta od chłopą oddzieliła, jak już na niego patrzy z góry, jak już obok społecznej i politycznej wytwarza się między dwiema warstwami narodu przepaść kulturalna. Prawda, że niejedyn szlachcie w owym czasie nie stał kulturalnie wyżej od niejednego chłopą, nie był więcej wykształcony i więcej ogładzony. Ale nie w tem rzecz; jeżeli się uważał za wyższego, to już tem samem rozdział kulturalny jest.

Widzimy tedy, jak się śmieją z chłopą, ale nie widzimy, jak się sam ten chłop śmiał i żartował. Pośrednio tylko możemy wnioskować (z faktów późniejszych), że kursowały wśród chłopów anegdoty i dykteryjki tak samo, jak wśród szlachty, że tu i ówdzie zjawiał się osobnik, obdarzony większym zapasem dowcipu. O jednym takim znajduję wiadomość w Gazecie Polskiej z r. 1827, nr. 311, wziętą jakoby »z dawnego rękopismu«. Bliżej jednak rękopis ten nie jest oznaczony, nie mam zaś obecnie sposobności sprawdzić tej notatki, która zresztą ma wygląd nieco podejrzaný, tak ze względu na język, w części tylko archaiczny, jak i ze względu na zbyt literackie opracowanie¹⁾. Warto ją wszakże przytoczyć — a nuż nie jest apokryfem?

»Łukasz z Górki, kasztelan Międzyrzecki, gdy jechał na zaloty do Wojewodziny Krakowskiej na Lisko, miał z sobą w towarzystwie Mikołaja Reya, rozumu ciekawego. Tam przyjechawszy do Łęk wsi jednej pod Krosnem, rzekł Rey chłopu: A kto tę wieś trzyma? Chłop: Ziemia a płoty. Rey: A któż tu Panem? Chłop: Ten co ma więcej pieniędzy. Rey: A któż tu starszym? Chłop: Jest tu baba, co jej już przeszło sto i dziesięć lat, to ta najstarsza. Rey: Któż wyższym? Chłop: Lipa najwyższa, bo ją nad kościołem widać. Rey: Dalekoż południe? Chłop: Nie szło tedy panie, niewiem jak daleko jest. Rey rozgniewany rzecze: Chłopie! alboć to z swoim równym błaznować? Chłop: Zsiądźcie jeno panie z wozu, zmierzywa się, co wiedzieć, jeżliśwa nie równi. Rey: Widzi mi się chłopie,

¹⁾ Jest ona w romansie Hofmanowej Jan Kochanowski w Czarnolesiu. Hofmanowa mogła się o niej dowiedzieć właśnie z gazety Polskiej.

weźmiesz w gębę? Chłop: Nie wezmę panie, ja nie pies; wolę w rękę jako człowiek. Obaczywszy pan Rey iż na swego trafił, powiedział: iż jakom żyw tak sztuczny chłop na mię nie przychodził«. Wiadomość to prawdziwa czy nie: przytaczamy ją, bo jednak sam fakt takiego dowcipu jest prawdopodobny¹⁾; dzisiejszy zresztą dowcipniś wioskowy mógłby w podobny sposób odpowiadać. Do szczegółowszych jednak spostrzeżeń brak nam danych.

¹⁾ Już w wieku XV. w Satyrze na leniwych chłopów jest to ciekawe określenie chłopą, że na pozór jest niemrawy, »prawy (=prawdziwy) wolek«, ale w rzeczywistości jest »chytry pacholek«.





SZOPKA KRAKOWSKA.

Napisał

Stanisław Czaja.

(Dok.).

KOMINIARZ.

Waryant z Bugaja.

KOMINIARZ: Kaśka, Baśka, Maryna,
Zbierajcie garnki z komina.
Jeszcze mi się należy z tamtego
miesiąca od komina.

(*Śpiewa*): A ja sobie kominiarczyk, na tom terminowałam,
Komin mały, komin duży, bym go wypucowałam.

Z Gdowa.

KOMINIARZ: To ja kominiarczyk znany,
Co zarobi, to przepije, jestem używany.

Z Tyńca.

KOMINIARZ (*śpiewa*): Na ramieniu jest drabinka,
A ja po niej do kominka;
Kulka z miotłą pod pazuchą,
Co nią po kominie ruchom.

Z Wieliczki.

KOMINIARZ (*mówi*): Kaśka, Maryna, zbieraj garnki z komina,
Bo kominiarz wchodzi do komina.
Cztery czeskie musi zanieść panu majstrowi
od komina.
(*Śpiewa*): Kominiarczyk z tamtej budki,
Wstaje zrana, palnie wódki,
Grabnie miotłą, grabnie gracą,
A ludzie mu za to płacą.

ŁOBZOWIANIN Z ŁOBZOWIANKĄ.**Waryant z Bugaja.**

ŁOBZOWIANIN (*śpiewa*): Widzieliście kiedy chłopą Łobzowiana,
Kapelusz na głowie, kieby kopa siana.
Bo tam na Łobzowie cebula się rodzi,
Małżonka do miasta w każdy dzień z nią chodzi.
I dzisiaj też poszła, jakosik spóźniła,
Cebulę sprzedawała, z innymi tańczyła.
(*Do wchodzącej Łobzowianki*).
Witam cię pijaczko, gdzieś tak długo była?
Cebuleś sprzedawała, z innymi tańczyła.

ŁOBZOWIANKA: Nie bijże mnie, proszę cię, mój mężu kochany,
Bo tamoj tańczują same Łobzowiany.

ŁOBZOWIANIN: Ja ci mówię Kaśka, jucha,
Boś ty dzisiaj dużo głucha,
Ruszaj do domu pietruszki sprzedawać,
A ja sobie pójde galary sibować.
Żonko moja, żonko, z innymi tańczyła,
A moje galary woda przymuliła.
Hojze ino dyna dyna.

Z Wieliczki.

ŁOBZOWIANIN (*śpiewa*): Niemasz ci to, niema, jako Łobzowanie,
9*

Chłopy jak panowie, żony ich jak panie.
 Łobzowanie nasi po jaglanej kaszy
 Słone wąsy mają, w piwku je maczają.
 Łobzowanie jadą z tatarczaną kaszą,
 Co miłą ujadą, to koniki pasą.

TUREK.

Z Gdowa.

TUREK (*śpiewa*): Jedzie Turek wedle młyna,
 Błyszczący mu się szabelina,
 Pistolety z zawiasami.
 Kochajcież mnie, moje panny.
 Podkówki stalowe,
 Nowiusieńkie, nowe.

MADZIAR.

Z Gdowa.

MADZIAR (*śpiewa*): Madziar pije, Madziar płaci,
 Na Madziara płaczą dzieci,
 Płaczą dzieci, płacze żona,
 Że Madziara niema doma.
 Przyjdzie Madziar na Trzech Króli
 Bez portek i bez koszuli.

(Porównaj Szopkę radomską. Wisła tom VIII, str. 227).

Z Wieliczki.

MADZIAR (*śpiewa jak w. pierwsze cztery wiersze, poczem*):
 Madziar pije na Bańkowskiem,
 Pije wódkę z Baranowskiem.
 Przyjdzie on tu we Trzy Króle
 Bez gaci i bez koszule.

STRAŻAK.

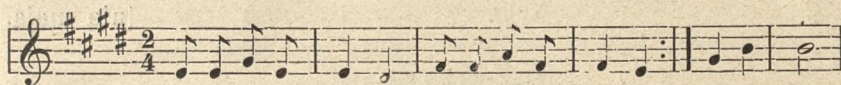
Z Tyńca.

STRAŻAK (*śpiewa*): U mnie topór na rzemyku,
 Uwiązany na pasiku,
 Chełm mam wyłaczany,
 Poznajcież strażaka.

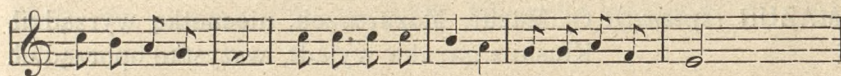
MYŚLIWY I PANNA.

Z Wieliczki.

Myśliwy śpiewa:



A kie—dy my — śli—wy ca—ły dzień po — lu—je, Sto-i więc,
 Jak nic-nie u — ło—wi bar-dzo się fra — su—je,



mówi: »O Bo — że! Dyc to bez zwie-rzy-ny być to nie mo — że.

I kiedy tak stanął zadumany, drżący,
 Zobaczył dziewczynę na murawie śpiącą
 I stanął i medytuje,
 By jej snu nie przerwał, tak obserwuje.
 Dziewczyna się budzi, widzi myśliwego,
 A on jej się pyta, cóżes ty za jedna?

DZIEWCZYNA (*śpiewa*): Wszak widzisz, żem jest dziewczyna,
 A nie żadna inna leśna zwierzyna.

MYŚLIWY (*śpiewa*): Więc odszedł myśliwy bardzo zadumany,
 To już nic nie złowię, mój Boże kochany!

Z Bugaja.

MYŚLIWY (*śpiewa*): A kiedy myśliwy po polu poluje,

Gdy nie nie zabije, bardzo się frasuje.
 Nie turbuj się moja, co ty będziesz jadła,
 Dam ci ćwierć ziemniaków i za grajcar sadła,
 Zabiję zająca i zastrzelę sowę,
 Będziesz miała mięso i na rosół głowę.

DRUCIARZ.

Z Bugaja.

DRUCIARZ: A ja sobie druciarczyk od uherskiej granice,
 Umiem ci ja podrutować miski, garnki, szklance.
 Jak ja wyjdę na dziedzińce, gospodynie wołają,
 Bym im garnki podrutował, gotować w czym
 [nie mają.

MAZUR.

Z Radziszowskiej szopki.

MAZUR (*śpiewa*): Oj Mazur, Mazureczek, niecnotę wyrządził,
 Kluski z garnka wyjadł, wszystko oporządził.

KANONIER.

Z Tyńca.

KANONIER (*śpiewa*): Kanonierek ci ja, służbę swoją czynię,
 Jak ja będę hulać, patrzcie gospodynie.

GÓRNIK.

Z Wieliczki.

I.

GÓRNIK (*śpiewa*): Górnik rano wstaje,
 Do szybu się zbiera,
 Żona kawę daje
 I drzwi mu otwiera.

Hop! di ja da, strudel wyjada (bis).

II.

Idzie górnik drogą,
Laseczką wywija,
Dziwują się ludzie,
Co to za bestyja.

Hop! di ja da, strudel wyjada (bis).

HERÓD I ŻYD.

Z Bugaja.

HERÓD: Ja sobie król Heród, król świata całego,
Ja król potentat rodu ludzkiego.
Na rozkaz mój przyprowadźcie tu żyda rabina.
(*Do wchodzącego żyda*):
Jak śmiałym krokiem wstępujesz do pokoju mego.

ŻYD: Ny, aj, waj, a po co zabili Jabramka mego?

HERÓD: To uczynili z rozkazu mego.

ŻYD: Ny, a co przyszło jasnemu królowi z tego?
Aj, waj, kimne due, slaj tum ni we.

HERÓD: Idź precz odemnie ty podły człowiecze!

ŻYD: Aj, waj! jeszcze mi pod podeszwy nie piecze.
(Patrz szopka krak. wariant, str. 80).

HERÓD: Weźcie tego żyda, okujcie go w pęta,
Bo on mi zakrwawił serce, te lamenta.

ŻYD: Ny, brom, brom, brom, co go za wielgie pon!
Przyjdzie po ciebie takowy wróbel,
Co stoi przy skóbel.
Ny wróbel! kim! kim! kim!

ŚMIERĆ I HERÓD.

ŚMIERĆ: Słuchajno, królu! Za twe niegodziwe słowa
Będzie ścięta twoja głowa.

HERÓD: Głowa moja? Pani, daruj mi życie, ja ci miecz i koronę.

ŚMIERĆ: Jasne kości, nie dodawajcie mi złości!
Mieczem i berłem połamiecie kości,
A ja cię wezmę do swojej wieczności.

(Woła diabła):

Symku, bamki, koło lucypera,
Chodź, bierz w piekło tego króla bohatera.

Na rozkaz Boski

Będzie ścięty łeb królewski.

(Ścina głowę Herodowi).

ŻYD: Ny, ja się go przez swoi szopki przypatrywać,
Co pani powie wielmożnemu królowi.

Teraz będzie żyd królował,

Bo diabeł króla pochował.

(Tańczy i znika).

CZAROWNICA *(śpiewa)*: Ja se biedna czarownica,

Ze Sieprawia wyrobnica.

Deszczyk leje, słońce świeci,

Czarownica masło kleci.

(Na tem kończy się przedstawienie lalek w szopce bugajskiej).

CZAROWNICA I DJABEŁ.

Z Gaja.

CZAROWNICA *(robi masło i mówi)*:

Byłam u Heroda, króla jednego,

Który ma szukać chłopca małego,

A dałam mu radę taką,

Niech zabije każdą taką

Dziecinę małą.

DJABEL (*zjawia się nagle i spychając czarownicę widłami na dół, mówi*):

Za rady takie, moja pani,

Chodź zaraz tera do Lucypera.

HERÓD I MINISTER.

HERÓD (*mówi*): Świetna, złota ma korona... i t. d.
(Jak w szopce krak. str. 69. Akt III, sc. I).

MINISTER: Staję przed tobą najjaśniejszy panie,
Skladam ci moje uszanowanie,
Ale donoszę ci wieści w boleści,
Że w twojem państwie
Narodziła się dziecina,
Która ma poniżyć berło twej korony.

HERÓD: O ty wierny ministrze i ty słuگو prawy,
Idź i wydaj wojsku rozkazy,
Niech padną wszystkie dziecińy,
Nawet syn mój jedyny.
(Porównaj szopkę krak. Akt III, sc. III, str. 71, 72, 74 i następne
według których scena ta jest skrócona i przerobiona).

MINISTER: Darmo matki łzy będą lały,
Góry i skały jękiem się przejmowały (*Odchodzi*).

HERÓD (*do wchodzącego żyda*):
Jak śmiałym krokiem wstępujesz żydzie do pałacu mego!

ŻYD: Ny jegomościu! Za co zabito Abrahamka mego?

HERÓD: To się stało, żydzie, z rozkazu mego.

ŻYD: Nu i cóż jegomości przyszło z tego?

HERÓD: Hej, hej! widzicie tego żyda?
Okujcie go w kajdany i pęta,

Bo mi zasmuca życia momenta.
(*Wchodzi policyant i spycha żyda, który krzyczy*):

ŻYD: Niech dusza twoja, Herodzie, będzie przeklęta!
(*Wchodzi śmierć*)

HERÓD: Ach biada.... i t. d.

ŚMIERĆ: Poznamy się z sobą.... i t. d.
(*Pastorałki i kolendy XX. Misyonarzy krak. str. 277*).
Wstępuję tu jasnokoścista,
Mam ja kosę stalową,
Na ciebie królu gotową.

HERÓD: Bądź, panno, trochę wstydliva
I dla samego króla trochę litościwa.

ŚMIERĆ: Nie znam ja wstydu... i t. d.
(*Patrz szopka krak. str. 82. z małemi zmianami*).

DJABEL: A ty królu za twe zbytki.... i t. d.

Z Gdowa.

HERÓD: Ach biada i t. d...
Zawołajcie mi żyda, niech powie, gdzie się Pan Bóg
rodzi.

ŻYD: Dzień dobry, jegomościu!
Po psipiecku, po zapiecku.
Jegomości na tronie,
Jak na świńskim ogonie.

HERÓD: Ty parchu!

ŻYD: Jegomości, parchu!
Ja ci przysię taki wróbel,
Co ci zawdzieje na łeb skóbel.
Przychodź wróbel! (*Ucieka*).

ŚMIERĆ: Staję na rozkaz Boski.

HERÓD: Jasne kości, nie daj mi złości,
Bo jak cię szturchnę berłem, połamię ci kości!

ŚMIERĆ: Ty mnie połamiesz kości?
Ja cię pojmem do swojej wieczności.

HERÓD: Ach, moja pani, hamuj swoje złości,
Ja ci podaruję futro okryć twoje kości.

ŚMIERĆ: Nie z tego kraju, nie z tego zwyczaju.
Wstydić się nie będę.
Takim królom zawsze głowy ścinać będę,
(*Ucina głowę Herodowi i odchodzi*).

DJABEL (*bierze na widły Heroda i mówi*):
Chodź do piekła, boś ty brzydki.

ŻYD: Teraz będzie żyd tańczył,
Bo djabeł króla pochował.
Aj, waj, aj, waj, żydowskiego,
Krakowiaka krakowskiego.

Z Radziszowa.

HERÓD: Biada mi, biada, mnie Herodowi.... i t. p.
(Pastorałki XX. Misyonarzy krak. str. 296).

ŚMIERĆ: Królu Herodzie! poprzestań wszystkiego złego,
Bo nabędziesz piekła głębokiego.

HERÓD: Moja jasna pani, wstrzymaj swoje złości.
Dam ci złotą purpurę okryć nagie kości i t. d.
(Por. szopka krak. str. 82).

ŚMIERĆ: Ja nie jestem wstydliva i t. d.
Chodź ino Lamurku, wnuczku Lucypera,
Weź se na mieszkanie tego bohatera.
(*Ścina głowę Herodowi i ucieka*).

DJABEŁ: Królu Herodzie, za twoje zbytki.... i t. d.
 Chodź do piekła gorącego,
 Boś się narobił dość złego.

Ze Skawiny.

HERÓD: Jam król, monarcha, pan całego świata i t. d.
 Na mój rozkaz, na moje zawołanie
 Niech mi tu natychmiast feldmarszałek stanie.

FELDMARSZAŁEK: Oto stoję przed tobą, najjaśniejszy panie,
 Co tylko rozkażesz, wszystko ci się stanie.

HERÓD: Doszła mnie jakaś straszna nowina,
 Iż się miała narodzić przedziwna dziecina.
 Nie wiem, czy to prawda, czy też ludzie kłamią.
*(Marszałek wychodzi, a tymczasem Heród przechadza się
 powoli po scenie):*

MARSZAŁEK *(wraca z główką dziecięcia):*
 Oto jest główka z pańskiego dziecięcia.

HERÓD *(z oburzeniem)* Idź ty zdrajco z przekleństwem mojem.
 O jakżeś się śmiał pomścić nad dziećciem mojem!

MARSZAŁEK: Oto szatan zwodziciel.... i t. d.
(Te same słowa, które w szopce radomskiej mówi djabeł w scenie 9 a. Wisła tom XIII. z r. 1894. str. 293. znajdują się i w Pastoralkach XX. Misyonarzy krak. na str. 274).

HERÓD: Oto jestem świata król i t. d.
(Jak w szopce radomskiej. Wisła z r. 1894. str. 293. — Pastor. XX. Misyonarzy krak. str. 275).

SZATAN *(nagle wśród tej mowy wpada i mówi):*
 Dobrze, bracie cesarzu.... i t. d.
(Pastorałki j. w. str. 275).

HERÓD: Nic nie widzę, nic nie słyszę.... i t. d.

SZATAN (*przechadza się i z daleka mierzy do Heroda widłami a wtem z jednej strony wchodzi śmierć z kosą, a z drugiej królowa, żona Heroda*):

SZATAN (*do śmierci*): Po coś ty tu przyszła,
Ostrokuta, jasnokoścista?

ŚMIERĆ: Po coś ty tu przyszedł, piekielny kopciuchu?

SZATAN: Jam przyszedł po duszę Heroda,
A ty po coś tu przyszła, jasnokoścista?

ŚMIERĆ: Ja przyszedłam po jego ciało.

SZATAN: To sobie weź, kie ci się chciało.
(*Śmierć ścina głowę królowej i znika*).

GRABARZ (*wchodzi z łopatą*):

Ja gróbarz Mania,
Słyszałem płacz i narzekania,
Iż ktoś umarł.

(*Mierzy łopatą królowę, potem miejsce na scenie i śpiewa*):

Kopże, kop luba łopato... i t. d.

(*Patrz Pastorałki *XX. Misyonarzy krak. 280*).

SZATAN (*po odejściu grabarza*):

Widzisz Herodzie okrutniku,
Poniosłeś takie wielkie męki,
Nie ujdziesz mojej djabelskiej ręki.

(*Przyskakuje do Heroda, zdmierza się na niego widłami i znika*).

HERÓD: (*przechodzi się powoli i śpiewa*):

Ach biada, biada mnie Herodowi... i t. d.

(*Jak w szopce krak. str. 77. i znika*).

Z Tyńca.

(*W szopce tyńcekiej scena z Herodem jest bardzo krótka*).

HERÓD: Ach biada.... i t. d.

ŚMIERĆ: Cóż tak spiesznego?
 Cheesz tańczyć? To spiesz!
 Potańczym skoczno.
 Bierz ręce, hej, bierz!

(*Ścina głowę Herodowi*).

(Por. Past. XX. Misyonarzy krak. str. 278).

DJABEL: Krew rozlewałś, cały świat klócisz;
 Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Z Wieliczki.

HERÓD: Ja jestem z całego świata najpotężniejszy król,
 W mojem państwie jest sto rzek i sto pól.
 Daję dukata,
 A proszę zagrać pięknego krakowiaka.

ŚMIERĆ: Królu, za twoje złe słowa,
 Będzie ścięta twoja głowa.

HERÓD: Idź jasnokoścista, nie dodaj mi złości,
 Bo jak swego berła wezmę, połamię ci kości,

ŚMIERĆ: Ty mnie połamiesz kości?
 Ja na rozkaz Boski zetnę łeb królewski.

DJABEL: Królu, za twoje zbytki,
 Pójdź do piekła, boś ty brzydkie.

Waryant I.

HERÓD: Oto jestem świata król,
 Tysiąc rzek i tysiąc pól,
 Co dnia schyla mi czoło... i t. d.

(Por. szopka radomska, Wisła z r. 1894. str. 293. oraz Pastorałki XX. Mis. krak. str. 285).

SZATAN: Dobrze bracie cesarzu.... i t. d. (Por. j. w.).

ŚMIERĆ:.... (Pastor. j. w. str. 275).

Waryant II.

HERÓD: Wielkać moja korona, mnie jest wszelka obrona.
Mnie słuchają, wielkim mnie panem, królem nazywają,
A ja pogardzam takim stanem.
Ale jakaś zła nowina, że mojego ministra niema.

MINISTER: Otóż wchodzę, Najjaśniejszy Panie!
Składam ci hołd i uszanowanie.

HERÓD: O ty wierny ministrze, o ty słuگو prawy, idź i wydaj rozkazy, niech pada wszystka dziecina.

MINISTER: Panie! na darmo matki będą łzy wylewać.

HERÓD: Ani mojemu synowi pardonu nie dajcie.
(*Do żyda wchodzącego*): Jak śmiałym krokiem wchodzisz żydzie do pałacu mego!

ŻYD: Ny, jegomość, za coście zabili Abramka mojego?

HERÓD: To żydzie uczynili z rozkazu mojego (i t. d.).

ŻYD: Ny, kiedy taka rozgniewana, to już pójdę do domu mojego.
(*Na stronie*): Złodziej, dobrodziej! a grojse purec!

HERÓD: Ach biada.... i t. d.

ŻYD (*śpiewa*): Powiadają starzy ludzie.... i t. d.

ŚMIERĆ: Jasnokoścista wysmukła, jak sztokfisz, mam ja kosę stalową, przyda się, królu, na ciebie.

HERÓD: Bądź panno wstydliva,
Dla samego króla litościwa.

ŚMIERĆ: Nie mam ja wstydu, nie mam ja złości,
Jak cię trące mem berłem, połamię ci kości.
Księżyc z gwiazdami pod memi nogami.
Na rozkaz Boski, ścięty łeb królewski.

SZATAN: Oto szatan z piekła krząta się po ziemi i szuka króla
Heroda. O ty królu, za twe zbytki, chodź do piekła,
boś ty brzydkci. (*Ukręca głowę Herodowi i zabiera
ze sobą*).

ŻYD: Ja się przez twoją szopkę przypatrywał,
Co djabeł z królem dokazywał.
Raj-tum, taj-tum, żydowskiego.... i t. d. (j. w.).

CZAROWNICA.

Z Gdowa.

CZAROWNICA: Ja stara babina będę sobie masło robiła.
(*Djabeł przychodzi, pomaga jej robić masło, potem wypija
z maślnicy, a czarownicę wypycha widłami*).

Ze Skawiny.

W szopce skawińskiej czarownica robi masło, przyczem
i głową kiwa. Wpada djabeł, wbija w nią widły, ale ona tłucze
go maślniczką i broni się tak zajadle, że djabeł zwyciężony
uchodzi. Na to wchodzi śmierć z kosą i zabiera czarownicę.

Z Krzesławic.

Djabeł zagląda czarownicy do maślnicy, pluje jej do tej
maślnicy, a następnie bierze na widły i wynosi czarownicę.

Z Wieliczki.

CZAROWNICA: (*mówi*): Deszcz pada, słońce świeci,
Czarownica masło kleci.

Nakleciła, postawiła,
Przyszła świnia, wywaliła.
Łopatę narychtowała,
Na Łysą górę wywędrowała.

DZIAD i GÓRAL.

Z Bugaja.

DZIAD: Prosi dziaduś na rany.... i t. d.
(Szopka krak, str. 85).

Prosi, — a co uprosi.
To wszystko do babusi na gorzałeczkę zanosi.
Prosi, prosi, bo łut tabaki co dzień zażyje
I pucką do nosa bije.
(*śpiewa*): Musi dziaduś, musi.... i t. d.
(Szopka krak. str. 86).

Opił się dziaduś słodkiego winka.... i t. d.
(Szopka krak. str. 87).

Pod figurą siada,
Drze z całego brzucha,
A jak mu kto nie da,
Naklnie mu do ucha.
A ja sobie dziaduś,
Po odpustach chodzę,
Obie nogi mam zdrowe,
A na jednej chodzę.

GÓRAL (*mówi*): Tak to dziady robią? Pod figurą krzyczysz,
— miałeś zanieść babusi, a tyś przyniósł żydówce na go-
rzałę, — a teraz hulasz i śpiewasz! Tak to dziady robią?
(*Bije go cepami i wypędza*).

Z Borku Fałęckiego.

DZIADOWI *śpiewają*:

Naści dziadu centa i proś świętej Anny,
Żebyś się tam dostał, gdzie mieszkają panny.

Z Gaja.

DZIAD: Przychodzi tu biedny dziadek,
 Nie jest on ta wielki jadek,
 Nie popije, nie tańcuje,
 Ale weźmie, co mu kto ofiaruje.

(*Gdy dostanie do woreczka, mówi*):

Wielki Bóg zapłać!... dobry dobrodzieju!
 Niech ci zawsze, wszystko i wszędzie
 Przelewać się będzie.

Z Gdowa.

DZIAD Z DZIADÓWKĄ.

DZIAD (*śpiewa*): Ja se biedny dziaduś, po odpustach brodzę,
 Choć obie nogi zdrowe, to na jednej chodzę.
 Pod figurą siadam, drę z całego brzucha,
 A jak mi nikt nie da, naknę mu do ucha.

(*Mówi*): I prosi dziaduś na rany,
 Bo się trzęsą na nim gałgany,
 Na ogolenie bródki,
 Na półkwaterek wódki,
 Bo ten dziaduś bardzo brzydki.

DZIADÓWKA (*śpiewa*): Biednego dziadka mam, ale z niego
 [żyję,
 Jedną rączką do woreczka, a drugą za szyję.
 Co światłe kromeczki, to babunia zjada,
 Z owsa i pośladu dla starego dziada.

Ze Skawiny.

DZIAD: Pod klasztorem siadał,
 Chleb z olejem jadał,

Funt tabaki wyżyje,
Trzy kwarty spirytusu wypije
Na dzień.

(Por. Szopka krak. Akt IV. sc. VI. str. 87).

Ze Swoszowic.

DZIAD: Jestem dziadek z Łobzowa,
Niedaleko Krakowa,
Babka mi zachorowała,
Trzy tygodnie nie żebrała.

(Wychodzi do niego babka, zaczynają tańczyć, a dziadek śpiewa):

Była babuleńka rodu bogatego,
Miała koziołeczka bardzo rozpustnego.
A ten koziołeczek był bardzo rozpustny,
Wyjadł raz babuleńce saganek kapusty.
Wzięła babuleńka kija wiklowego
I zerznęła koziołeczka bardzo rozpustnego.

Z Tyńca.

DZIAD *(z dzwoneczkiem)*: Prosi dziadek na rany,
Bo mu się trzęsą stare gałgany.
Pod kościołem siada,
Chleb z olejem jada,
Funt tabaki naraz zażyje,
Trzy kwarty maślanki naraz wypije.

(Śpiewa): Jestem ja se pomper, nie mam nic takiego,
Tylko pantofelki z drzewa lipowego.
Paciorki kokowe na szyi se noszę,
Za młodemi panienkami Pana Boga proszę.
Musi dziadus musi, zeświadczać babusi,
Bo babusia dla dziadusia pieczoneczkę dusi.

*(Smierć wchodzi, zagląda dziadkowi do woreczka z pieniędzmi
uzbieranymi od widzów i zabiera dziada z sobą).*

Z Wieliczki.**I.**

DZIAD (*mówi*): Syktus, pokietus, rymanus, benedyktus.
Po łacinie gadają, ale prawdy nie znają.
Prosi dziaduś... Bo mu się trzęsą gałgany.
Cztery łuty tabaki na dzień wyżyje
I pucką w nosie ubije.
Prosi, prosi, co uprosi,
To starej babuli zanosi.
Co światło kromeczki,
Dla jej gębeczki,
A co z pośladu,
Zeżrej że dziadu.
(*śpiewa*): Napił się dziaduś ciepłego winka,
Gonił babulkę koło kominka,
Babulka rada, rączkami składa,
Gońże mnie jeszcze, ty stary dziada.

II. DZIAD.

Idzie dziadek przez wieś, słoneczko go grzeje,
Masło mu się roztopiło, z torby mu się leje.
Kijem dziada, kijem dziada, ma pieniądze w lesie,
Kijem dziada, kijem dziada, niech nam tu przyniesie.

Z Krzesławic.

DZIAD: Rano, rano, raneczko,
Skoro zejdzie słoneczko, —
Słoneczko już zachodzi,
Dziadek ze wsi przychodzi,
Niesie na plecach worek,
A we worku chleba kromek.

Jak w szopce krzesławickiej, tak i w rzeszotarskiej śmierć
ścina głowę dziadowi.

KSIĄDZ (z kropidłem).

Z Radziszowa.KSIĄDZ (*kropi i śpiewa*):

Za kolędę dziękujemy,
Zdrowia szczęścia wam życzymy,
Abyście byli zdrowymi,
Oraz błogosławionymi
W tym Nowym Roku.

Po ukończeniu przedstawienia, kolędnicy zasłaniają szopkę
otrzymując od gospodarza kolędę i na odchodnym dziękują.

V.

ZAKOŃCZENIE.

W Bugaju.

Za kolędę dziękujemy,
Zdrowia szczęścia winszujemy,
Żebyście tu długo żyli,
Na drugi rok nas puścili.

W Gaju.

Mości gospodarzu,
Domowy szafarzu,
Nie bądź tak ospały,
Każ nam dać gorzały i t. d.

Bóg wam zapłać gospodarzu, za tę kolędę
I wam także, gospodyńko, niech się tak stanie:
W domu i na polu, w ogrodzie, na roli,
Każda krówka niech się wam ocieli, dzban mleka dawa,
Każda kurka trzy razy kureczątka w roku oddawa,
Świnie i prosięta, jagnięta, cielęta, by się mnożyły,
A tłuste były

Konie także i wasze żrebięta wierzgają,
 Wszelkie zatem szczęście daj, Panie, gospodarzowi, dobrodziejowi,
 Gospodyńce, dziatkom, przyjaciom, zdrowia daj Panie!
 Niech każdy u Pana Jezusa łaski doznaje,
 Parobek, dziewczka, poganiacz, pasterka.

W Rzeszotarach.

Za kolędę dziękujemy, Zdrowia szczęścia winszujemy
 Na ten Nowy Rok.
 Żebyście tu długo żyli, Potem się w niebie cieszyli
 Na ten Nowy Rok.

W Swoszowicach.

Gospodarzu, prosim ciebie,
 Daj kolędę, będziesz w niebie.
 Dasz nam dużo, uniesiemy,
 Dasz nam mało, nie wzgardzimy.

(Po otrzymaniu datku).

Za kolędę dziękujemy,
 Zdrowia, szczęścia wam życzymy,
 Byście byli szczęśliwymi,
 A po śmierci zbawionymi.
 A chodźmy już dalej,
 Bo się szopa wali,
 A Józef staruszek
 Podpiera kijami.

Tam, gdzie są w domu dziewczęta na wydaniu, śpiewają
 im kolędniczy osobne kolędy, czyli, jak tu mówią »ubierają
 dziewczęta«. Jest tych kolęd kilka.

Osobne też kolędy śpiewają gospodarzowi i parobkom.

Kolędy śpiewane dziewczętom.

W Swoszowicach.

I.

Nasza (Ludwisia....) pięknie się nosi,
 Bo po talarku trzewiczki nosi,
 Po talarze, po bitemu
 I to jeszcze po drugim.
 Hej nam kolenda!

W następnych zwrotkach zamiast: »trzewiczki« — śpiewają
 »pończoszki« — »sukienkę« — »fartuszek« — »kaftanik« — »ko-
 rale« — »chusteczki« — »wstążeczki« — »kółczyki« — »pier-
 ścionki« i t. p. — Na końcu zaś dodają:

Już my cię (Ludwiś..)
 Okołodowali
 I radziłyśmy cię
 Za kogo wydali.
 Hej nam kolęda!

Za kogoby łaska,
 Za (..Garczyka) Jaśka.
 Za kogo dobrego,
 Jaśka (Garczyckiego).
 Hej nam kolęda!

Imiona i nazwiska wymieniają tych, o których kolednicy
 wiedzą, że się z tą dziewczyną żenić mają, lub że dziewczyna
 temu, a nie innemu rada. — Gdy są dwie dziewczęta na wy-
 daniu, to koledują i drugiej n. p.

II.

»My sobie do naszej Marysi jedziemy,
 Na złotym wózeku trzewiczki wieziemy,
 Hej nam kolęda!

Otwierajże wrota,
Trzewiczki od złota.
Hej nam kolęda!

Dalsze zwrotki takie same, tylko ze zmianą części ubrania.

III.

»W jednym okieneczku pięknie ptaszek śpiewa,
W drugim okienku Marysia wyszywa.
Hej nam kolęda!

Co wyszyje kwiatek, do królowej niesie,
Królowa jej za to trzewiczki na lato.
Hej nam kolęda!«

IV.

»Przy dolinie dębinezka rośnie,
Hej na tej dębinie złoto nam się wije.
Hej nam kolęda!

Wije nam się złoto trzema rzędami.
Hej, nadobna Hanusia na górników wołała:
Hej nam kolęda!

Górnicy w niedzielę rano wstajecie,
To złoto wykopujecie,
Hej nam kolęda!

Damy my tobie sto złotników czerwonych;
Mam ci ja ich u swej pani dosyć,
Hej żeby mi je moja główka chciała nosić.
Hej nam kolęda.

Nie żałuj Hanusiu talara pieniędzy,
Żeby kolędnicy nie cierpieli nędzy.
Hej nam kolęda!

Po podłodze stąpa, kluczykami brząka,
Oj, niesie, niesie i śmieje się!
Hej nam kolęda!

V.

W Tyńcu kolędują dziewczętom:

»A moja matusiu kolędnicy jadą¹⁾.
To nie kolędnicy, tylko zalotnicy.
Ruma-wianku w zimie zielony,
O mój warkoczku drobno pleciony.
O moja matusiu, nie daj mnie od siebie,
Niechże ja se schodzę koszulkę u ciebie.
Ruma i t. d.

O moja matusiu, nie daj mnie od siebie,
Niechże ja se schodzę fartuszek u ciebie.
Ruma i t. d.

Nastęne zwrotki powtarzają się o pończoszkach, trzewiczkach, gorsetku, wstążeczkach, koralach... aż wreszcie tak się kończy:

Jużeś ty dziewczyno nie jedno schodziła,
Jużeś się ty Maryś do ludzi zgodziła.
Ruma i t. d.

VI.

Po bystrem jeziorku pawiki pływały²⁾,
Pływały, pływały, piórka wypuszczały.
Nadobna Marysia pawiki zganiała,
Zganiała, zganiała, złotem wyszywała.
Co wyszyje kwiecie, do matusi niesie,
Matusia jej za to koszulkę na lato.
(i t. d. ze zmianą ubioru).

¹⁾ Porów. »Mater. antrop. — arch. i etnogr. III, str. 189.

²⁾ Tamże str. 190.

Gdy odkołądują kilka takich kołęd, kończą:

»Nadobna Marysiu! masz ci tego dosyć,
Tylko o chłopaka Pana Boga prosić.
Proście Pana Boga i tej świętej Anny,
Żeby ci się dostał parobeczek ładny.
Żeby cię nie biął, gorzałki nie pijał,
Do karczmy nie chodził, za włosy nie wodził«.

»A toczy się toczy wianek po ulicy, Hej nam hej!
Aże się zatoczył do Marysi w nocy, » » »
Marysia wyjrzała, wianeczek zebrała » » »
I nas przywitała, kołędę nam dała. » » »
Jużeśmy ci Maryś odkołodowali, » » »
Radziłyśmy ci też chłopaka oddali. » » »

(Tu oddają jej jednego z kołédników).

Życzymy ci Marysiu wszystkiego dobrego,
wszystkiego dobrego,
Jasinia miłego, Jasinia miłego, Hej nam hej!

VII.

Wijemy wianeczek w zielonej dolinie,
Jak go uwijemy, damy go dziewczynie (bis).
A wiemy my, wiemy, co Marysi damy,
Pończoszki od złota, warszawska robota (bis).

Następne zwrotki powtarzają się tak samo ze zmianą części ubrania. Tak się zmienia i w następnej kołędzie.

VIII.

Pod gankiem nadobna Marysia chodziła,
Za sto złotych koszulkę na sobie nosiła i. t. d.

Podobne kołеды śpiewają dziewczętom i w **Sieprawiu**, n. p.

IX.

Chodź Marysiu do prawa,
Pocoś jabłka urwała?
Hej kolęda, kolęda!

Ja ich nie urwała
Tylko sześć, tylko sześć, Hej kolęda...
Ja je darowała
Wszystkie sześć (bis) Hej...
Jednom darowała swojemu tacie...
Drugiem darowała swojej pani mamie...
Trzeciem darowała swojemu bratu...
Czwartem darowała swojej pannie siostrze...
Piątem darowała swojemu miłemu...
Szóstem darowała, za nim poskoczyła...
Chrystus się zrodził, wszystkim sprawił gody...
My taki zwyczaj wnosimy do mody...
Godnaś panienko, byśmy ci życzyli...
Tysięczne lata przy tobie liczyl...
Czoło twoje jasne dobroć serca znaczy...
Pogodność twarzy niewinność tłumaczy...
Niech Ci malutki Jezus błogosławi...
Światu za wzór niechaj Cię wystawi...
Niech i Maryja z pomocą przychodzi...
Abyś na pozór świata kwitła wszędzie...
Niech pastuszkowie śpiesznie przybywają...
I na multankach wdzięcznie przygrywają...
Abyś w panieństwie konkurentów miała...
Byś w te mięsopesty małżonka dostała...

X a ¹⁾.

Jesteś dziewczyna, grzeczna panienka,
Róży kwiat, róży kwiat
Służą jej ludzie i kawalerowie,
Cały świat, cały świat.

¹⁾ Porów. »Mater. antrop.-archeol. IV, str. 188.

Trzewiczki od złota, warszawska robota,
 Chłopiec dał, chłopiec dał,
 Bo się w tej dziewczynie, nadobnej panience
 Zakochał, zakochał.

Tę samą kolędę śpiewają i w **Gaju**, ale nieco odmienniej:

X b.

Nasza Marysia, śliczna panienka,
 Róży kwiat, róży kwiat,
 Służą jej ludzie, kawalerowie,
 Cały świat, cały świat.
 Hej kolęda, kolęda.

Chusteczka na niej, kieby na pani.
 Któż to dał? Jasiu dał,
 Bo się w Hanusi, grzecznej panience
 Zakochał, zakochał.
 Hej kolęda, kolęda.

Dalsze zwrotki powtarzają się, ale ze zmianą części ubrania n. p. »Katanka na niej...«, »Fartuszek na niej...«, »Spodniczka«, »Pończoszki«, »Trzewiczki«, »Korale« i t. d. — wreszcie kończą w następujący sposób:

Już my cię Marysiu okolędowali,
 Żebyśmy cię zaraz za chłopca wydali,
 Pamiętajże na nas biednych kolędników,
 Wyjmij dla nich trochę nowiutkich grosików.
 Hej nam kolęda.

XI ¹⁾.

W jednym okieneczku przezroczystem
 Czesła Hanusia warkocz powłóczył,

¹⁾ Porów. »Mater. antrop.-archeol. i etnogr. III str. 190.

Do tego warkocza ja wstążkę ślubował,
Do niego ja kwiatek piękny obiecował.
Hej nam, hej, kolęda.

Takżem obiecował i ładną chuścinę,
Gorsecik zielony, paciorki czerwone,
Chusteczkę do nosa, trzewiczki wyszklone,
Sznurówki czarniuśnie, całkiem malowane.
Hej nam, hej, kolęda!

XII.

Wyjdź Michasiu do nas
Drożeczkę nam pokaż.
Ona nie wyrzała,
Bo się obawiała.
Nie żałuj Michasiu talara pieniędzy,
Żeby kolędnicy nie cierpieli nędzy.
Niesie, niesie i śmieje się,
Po podłodze stąpa, kluczykami brząka.
Kluczyki na kółku, talary we worku,
Hej nam, hej, kolęda!

W Bugaju śpiewają dziewczętom:

XIII.

Stała w okieneczku przeźroczystem,
Czesła Hanusia warkocz pozłocisty.
Hej nam hej!

My za tym warkoczkiem ślubujemy,
Piękne jej pończoszki darujemy.
Hej nam hej!

Stała w okieneczku.... i t. d.

ze zmianą części ubrania. Kończą następnymi słowami:

Już my cię Hanusiu okolędowali,
Od góry do dołu już my cię ubrali,
Żebyś dobrze rosła, jako w lesie sosna,
Żebyś tego roku do kościoła poszła
Hej nam hej!

Życzymy ci szczęścia, wszystkiego dobrego,
Wszystkiego dobrego, chłopaka ładnego
Hej nam hej!

XIV.

Na podwórku stoi piękna kamienica,
A w tej kamienicy są dwa okieneczka.
Hej nam hej!

W jednym okieneczku kanareczek śpiewa,
W drugim okieneczku Wiktusia wyszywa.
Hej nam hej!

Wyszyła mamusi fartuszek na lato,
Mamusia jej za to kaftanik na lato.
Hej nam hej!

Wyszyła mamusi złocisty staniczek,
Aż tu w stajeneczce rzy przed nią koniczek.
Hej nam hej!

Wyszyła mamusi chusteczkę jedwabną,
Ukradli ją chłopcy, nazwali ją panią.
Hej nam hej!

Po podłodze stąpa, kluczykami brząka,
Talary rachuje, nam ich obiecuje.
Hej nam hej!

Ażebyś Wiktusiu z chwałą Bożą rosła,
Żebyś tego roku do kościoła poszła.
Hej nam hej!

Bardzo podobną do kolendy dla dziewcząt w Swoszowicach śpiewają i w **Bugaju**:

XV.

W jednym okieneczku śliczne ptaszę śpiewa,
W drugim okieneczku dziewczyna wyszywa
Hej nam hej! (2 razy).

A co wyszyje, to mamusi niesie,
Mamusia jej za to chusteczkę na lato.
Hej nam hej! (2 razy).

W jednym okieneczku.... i t. d.

Zmieniając części ubrania, a w każdej zwrotce wymieniając inną n. p.: kołale, wstążeczkę, katanę, fartuszek, spodniczkę, pończoszki, trzewiczki i kończą jak zwykle:

Już my cię dziewczyno okoleadowali,
Od głowy do stopy tak pięknie ubrali.
Hej nam hej!

Radzibyśmy cię za chłopą wydali,
Jeszcze tego roku jeszcze tej jesieni,
A będzie ci z ciebie dobra gospodyni.
Hej nam hej!

Po pokoju stąpa, kluczykami brząka,
Do skrzyni odmyka, talary rachuje
I nam jednego podaruje.
Hej nam hej!

XVI.

My tobie dziewczyno winszujemy,
Parę ci chusteczek darujemy.
Hej nam hej! Hej nam hej!

Dalsze zwrotki ze zmianą części ubrania. Zakończenie takie, jak w kolędzie XV.

Już my cię ubrali, okolędowali,
Radziłyśmy cię za męża wydali.
Hej nam hej!

Żeby tego roku, żeby tej jesieni i t. d.

Osobno znów kolędują gospodarzowi:

I¹⁾.

A wynijdze do nás panie gospodarzu,
Co ci opowiemy, to ci uciesymy,
Ze na twoi górze złoty płuzek orze,
A przy tym płuzecku są styry koniki.
Na podsobnim koniu Sám Pán Jezus siedzi,
A za tym płuzeckiem święty Paweł chodzi.
Nájświętsá Panienka śniadánko im niesie:
Siąǳcie, Pawle, siąǳcie, to śniadánko zjédzcie.
Śniadać nie bedziewa, skibkę ob"orzewa.
Skibkę ob"orali, siedli, pośniadali.
A na tej skibecce, cóz bedziewa siáli?
Cyli prosownickę, cyli groch, pszenickę?
A jak zaprzągniewa wszystkie styry woły,
Bedziewa wozili panu do stodoły.
Bedzie snop przy snopie, a kopa przy kopie,
Bedzies ci se chodził między kopeckami,
Jak miesiąc na niebie między gwiazdeckami.
Bedzies ci se chodził, bédzies ci sie ciesyl,
Ześ sobie stodółkę snopami nałożył.

Waryant.

A na onym dworze złoty płuzek orze,
A przy tym płuzecku styry konie siwe.

¹⁾ Porów. »Mat. antrop.-arch. i etnogr. III. str. 179.

Na podsiodłym koniu Sám Pán Jezus siedział,
 A za tym płużeckiem święty Paweł chodził.
 Najświętsá Panienka śniádanko im niesie:
 Siądźcie, Pawle, siądźcie, to śniádanko zjédźcie!
 Śniádać nie bedziewa, skibkę obzeniewa.
 Skibkę obegnawsy, do śniádanka siadłsy:
 Cóz bedziewa siáli na téj nowéj roli?
 Zytko i pszenickę, proso, kukurydzkę.
 Na tem tu stajaniu dwaścia kopek stanie;
 Bedzie snop przy snopie i kopa przy kopie.
 Będą tu chodziły panny z dzieciátkami,
 Jakoby miesiácek między gwiazdeckami.
 (Bugaj).

Waryant II.

Gospodarzu, wyjdźe do nas, bo na twojej roli
 Złoty wózek stoi; a u tego wózka cztery konie siwe.
 A na jednym koniu złote siodełeczko.
 Na tem siodełeczku Sam Pan Jezus siada,
 Najświętsza Panienka śniadańko im niesie.
 Śniádać nie będziemy, rolę oborzemy.
 Role oborali, siedli, pośniadali.
 Cóż będziemy siáli na tej ślicznej roli?
 Żytko i pszenickę, proso, kukurydzkę.
 A na jednym polu trzysta kopek stanie,
 Będiesz się poglądał, gospodarzu, na nie.
 Będiesz się obracał między kopeczkami,
 Jak on miesiąc piękny między gwiazdeczkami.
 (Gaj).

II.

Panie gospodarzu, dopomóż ci po kołędzie,
 Do baczności, przyjmij nas po kołędzie,
 Bóg ci błogosławić będzie
 Na świecie żyjąc.

Bo gdzie Jezus i Marya,
 Tamoj wszystko złe omija,

Następują lata szczodre
I garniecie wszystko dobre
Temu domowi.

Dobra kolęda u pana mego,
Dał nam się napić wina dobrego.
Uważ, żeś pan w pokoju,
Jak to zimno na polu,
Gdy kiepskie szaty.

Prosimy pana choć o dwa złote,
My pokażemy swoją ochotę,
Ochotnie kolędujemy,
Zdrowia szczęścia winszujemy
Naszemu panu.

Był tu Fałdyna, miał kopę sera,
Ale mu niewola w torbie skruszyła.
Ser mu z torby wyłapali,
Ze szopy go wyganiali.
Zła to nowina.

Aj, ludzie, ludzie, cóż wy robicie,
Ser mi zjedłście, mnie wyganiacie.
Dyć mi sera nie oddajcie,
Tylko mi skocznie zagrajcie
Tak wesołego.

Zagrajże mu, duda, tak wesołego,
Niech się wynagrodzi tą krzywdą jego.
Jak mu zagrał na rogu,
Aż mu dule (sic!) wyskoczyły
Z kieszoneczek.

Pooglądawszy, że dulów nie stało,
Jaże mu się tańca poodniechciało,
Popod ławą dulów szuka,
A Kasper go kijem huka.
Bądź, bądź wesoły!
(Gaj).

W Gaju kołędują też i chłopcom n. p.¹⁾:

Nasz Marcinek z wojny jedzie,
Pięć koników z sobą wiedzie,
Jeden ci mu zbujał,
Wskoczył ci mu w Dunaj,
A on za nim wskoczył,
Buciki se zmoczył. Hej nam, hej, kołęda!

W każdej następnej zwrotce powtarza się to samo tylko z tą różnicą, że wymieniają o jednego konika mniej i, że sobie coraz inną część ubrania zmoczył. Kończą zaś następującymi słowami:

Już my cię Marcinku okołędowali.
Już Marcinek wstaje, kołędę nam daje,
Po podłodze stąpa, podkówkami brząka.
Hej kołęda, kołęda?

Kołęda pastucha.

Służyłem u pani wdowy,
Pasałem przez trzy lata krowy,
Ale mi tam źle było,
Bo mi tam często do gęby zaglądała.
Wylazłem na sosne, a było to z rana,
Przyleciała do mnie sowa,
Zmyliła mi cztery słowa,
Ja za nią z międlicą,
Opluła mnie jajecznicą.

(Gaj).

¹⁾ Porów. »Mater. antrop. arch. i etnogr. III, str. 194.





KAPLICZKI I KRZYŻE PRZYDROŻNE NA SPIŻU

przez

Feliksa Taroniego.

Kapliczki przydrożne lub krzyże, którymi może z chwilą upadku pogaństwa w Słowiańszczyźnie zastąpiono owe przy drogach rozstajnych wbijane słupy, czy nie posągi Światowida, jak przypuszcza J. I. Kraszewski (Sztuka u Słowian. Wilno 1860 str. 199) znajdujemy na całym obszarze Rzeczypospolitej. Czy to duchowieństwo, czy szlachta, czy lud wiejski, ilekroć nadarzała się do tego sposobność, aby Bogu podziękować za otrzymane dobrodziejstwa albo uprosić odwrócenie nieszczęścia, z głęboką religijnością stawiali czyli fundowali krzyże i kapliczki. Tym sposobem upamiętniali jakieś ważniejsze zdarzenie, czy w rodzinie, w wiosce, mieście lub miasteczku, czy wreszcie w całym kraju. Szczęśliwy powrót do zdrowia, ocalenie przed jakimś wypadkiem, założenie gospodarstwa, zakończenie pomyślne jakiejs sprawy, wreszcie pożar, nieurodzaj, epidemia u ludzi lub bydła — oto powody dla których powstaje myśl wybudowania kapliczki lub wzniesienia krzyża.

Wybór miejsca pod kapliczkę lub krzyż także jest rozmaity. Jedni stawiają je gdziekolwiek przy drogach, inni tylko na drogach rozstajnych, inni wreszcie na pagórkach, w ciemnych i gęstych lasach, nad przepaściami, nad rzekami, nad źród-

dełkami, z których bije zwykle woda rzekomo uśmierzająca pewne choroby, na starych grodziskach, dawnych cmentarzyskach i t. d. i t. d.

Tak kapliczki, jak i krzyże wykonują zwykle owi sławni na całą okolicę mistrze, którzy zyskali sobie u ludu, pośród którego mieszkają, pewne znaczenie, którzy i obrazy malują i rzeźbią w kamieniu lub drzewie, a łącząc jedno z drugim tworzą stosownie do woli i wedle gustu fundatora skromne, lub więcej ozdobne, często pełne przepychu, kapiące złotem i lśniące różnymi kolorami figury i kapliczki.

Jako wytwory fantazyi i umysłowego rozwoju ludu, noszą kapliczki i krzyże odrębne charaktery, właściwe tylko tej okolicy, w której zostały zrobione i postawione. Inne też są kapliczki i krzyże w Krakowskim, inne w Poznańskim, inne na Litwie i Żmudzi. Nawet w jednej i tej samej dzielnicy, zachodzą bardzo często rozmaite tychże odmiany.

Na Spiżu, położonym nad Popradem z południowej strony Pienin, spotkać też można w każdej wiosce, przy każdej drodze rozstajnej i na każdym pagórku krzyż lub kapliczkę.

Wprawdzie w panującej tutaj formie i zdobnictwie kapliczek i krzyżów nie ma wielkiej różnorodności, wynikającej z rozwiniętej indywidualności artysty ludowego, ale mimo to rzucają się w oczy pewne odrębne typy, charakteryzujące kapliczki i krzyże spiskie, a wyróżniające je od znajdujących się na Podhalu i Sądeczyźnie.

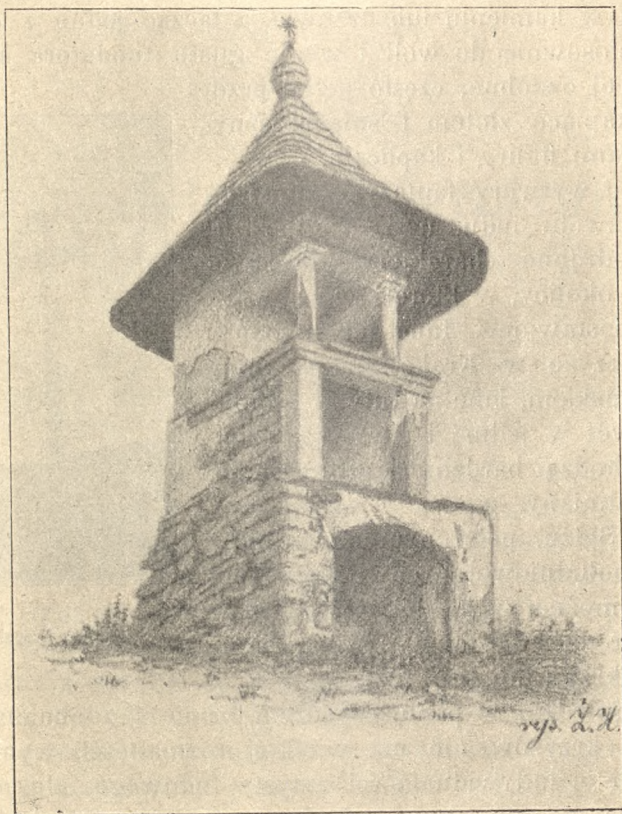
Najpowszechniejszym jest tutaj krzyż drewniany, wysoki na trzy do $3\frac{1}{2}$ metra, nakryty blaszanym daszkiem przybitym do obydwóch ramion poziomych i pionowego górnego. Daszek taki jest owalnie zagięty; a na krzyżu jest wizerunek Chrystusa Pana wycięty z blachy i malowany. Krzyże te zwyczajnie malowane są czerwoną farbą, oprócz daszku blaszanego. Niekiedy wyłobione jest w drzewie imię i nazwisko funda-



Krzyż z Krępaku.

tora krzyża, wypisany rok a czasem i dzień nawet. Krzyże takie weszły na Spizę niedawno dopiero w użycie.

Załączona fotografia przedstawia krzyż, znajdujący się na polach wsi Krempak przy traktzie wiodącym z Mniszka do Lubowni. Pień krzyża obwiązany jest koszulką dziecka, które

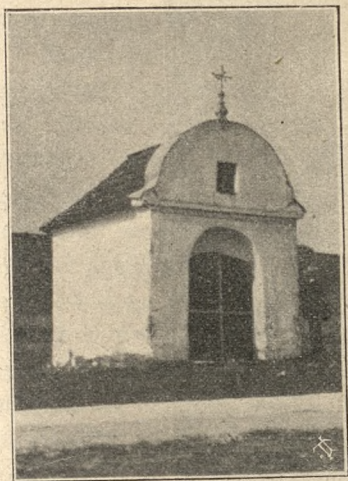


Kapliczka z Jarzębiny.

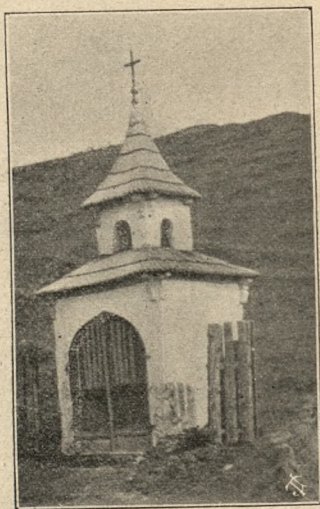
chorowało na febrę i niestety umarło. Bardzo rzadko zdarza się, aby krzyż taki był ogrodzonym, lub obsadzonym drzewami, stoi samotnie w polu lub przy drodze, zwykle od niej oddalony i na przechodniu robi właśnie tą swoją samotnością i pewnem opuszczeniem przygnębiające wrażenie.

Drugą odmianą jest kapliczka stawiana w kształcie wieży. Obok podany rysunek przedstawia nam tę oryginalną, całą

z kamieni murowaną, już dzisiaj dobrze zniszczoną kapliczkę. Jak widać składa się z trzech całkiem osobnych części. Pierwsza to obmurowanie dosyć obszerne, ułożone z grubych kamieni; ma niszę o sklepieniu nieckowatym. Sprowadza ono do poziomu bardzo bystrą pochyłość wzgórza, na którem kapliczka stoi. Na tem podmurowaniu wznosi się jakby parter zbudowany z kamieni mniejszych z trzema pełnymi ścianami, a nakryty powalą z desek. We wnętrzu niegdyś otynkowanym i obielonem mieści się obraz, czasem jakaś figurka. Na tym



Kapliczka z Hoptartu.



Kapliczka z Sadku.

parterze wznosi się jeszcze jedna kondygnacya utworzona przez ścianę pełną z tyłu i dwa filarki drewniane, nakryte powalą z desek. Tam znajduje się znowu obrazek lub figurka. Ułożone na ścianie i filarkach drzewa związane w kwadrat tworzą stolec do daszku czteroskrzydłowego, wysokiego z szerokim okapem, krytego gontem z małą kopułką i krzyżykiem na szczycie.

Kapliczka ta stoi przy drodze wiodącej z Jarzębiny do Lubowni, na polach tej pierwszej, na pagórku. Jest jedną z najstarszych w okolicy; a tak pomysł jak wykonanie jej i wogóle cała harmonia kształtów i rozmiarów poszczególnych części, robi miłe wrażenie. Następną odmianą, to kapliczki budowane

w kształcie małych domków, altanek, kościółków, kościółków z wieżami; wreszcie z piąterkami, lub tylko filarkami, na których dopiero wspiera się daszek. Lotną i bujną fantazyą obdarzeni wiejscy budowniczowie tworzą tutaj rozmaite odmiany, które z małemi różnicami napotkać możemy na całym Spiżu i w całej Polsce.

Wysokie do 2 metrów po największej części murowane w kwadrat, z drzwiami w ścianie przedniej, bardzo często



Kapliczka z Nowej Lubowni.

z attyką z przodu, której kształt tworzy zwykle półkole, lub trójkąt prostokątny; mieszczą w sobie ołtarze z obrazami przystrojone w świecidełka i kwiaty robione. Ściany tak wewnątrz, jak zewnątrz bielone wapnem, nie są przystrojone żadnem malowidłem. Drzwi wiodące do wnętrza przeważnie dwuskrzydłowe, w dolnej części pełne, obite bardzo często żelazną blachą i opatrzone u góry silną kratą. Znać obawa przed nieproszonymi gośćmi dyktowała budującemu taką ostrożność.

Przez otwory w górnej części drzwi wrzuca pobożny przechodzień grosz, który ma służyć na odnowienie kapliczki.

Daleko więcej trafia się na Spiżu kapliczek, jeżeli tak nazywać można, z piąterkami imitującymi wieżę.

W takich kapliczkach widać nad dachem wznoszącą się wieżyczkę. Stanowią ją cztery ścianki murowane, nakryte daszkiem czteroskrzydłowym, lub okrągłą kopułką a zakończoną gałką lub krzyżem. W ściankach porobione są otwory sięgające do podstawy, sklepione w półkole, a pośrodku znajduje się albo figurka mała przedstawiająca P. Jezusa do słupa przywiązanego, lub upadającego pod krzyżem. Widziałem takie puste kapliczki, w których figura widocznie zniszczała, a nowej nie ma kto sprawić.

Konstrukcja daszków nad temi wieżyczkami jest najrozmaitsza. Jedne mają kształt czterosściennego ostrosłupa, inne stożka, inne wreszcie z ostrosłupa przechodzą w kopułki, stożkowe zakończenia i t. p. Na samym szczycie zatknięty jest zwykle krzyż żelazny z promieniami lub gałką u swej podstawy. Daszek pokryty jest zwykle gontem, rzadko bardzo blachą, dachówką lub łupkiem.



Kapliczka z Keżmarku.

Oprócz tych kapliczek znaleźć można w dolinie spiskiej wiele kapliczek zbudowanych w kształcie altanek. Są murowane i mają ze wszystkich czterech stron sklepione w półkole odrzwia, bez zamknięcia, niekiedy tylko z balaseczkami w otworach. Ochraniają tylko umieszczoną wewnątrz figurę przed słońcem.

Różne kształty daszków, którymi są przykryte, stanowią wielkie bogactwo odmian, załamania i konstrukcji, są ich ozdobą, w którą wlewał budowniczy wiejski najprzeróżniejsze pomysły, chcąc tym sposobem podnieść i spotęgować powagę i wartość zresztą zupełnie pojedynczej kapliczki.

Do najwspanialszych kapliczek altankowych zaliczyć można kapliczkę znajdującą się przy drodze z Białej do Keżmarku. Budowa to stosunkowo dość duża jak na kapliczkę. Ma dwa

i pół metra długości, 1.50 m. szerokości, nie licząc daszku, który mając kształt dzwonu, czyni ją znacznie wyższą. Składa się z dwu kondygnacyj — dolnej, w której jest kapliczka z ołtarzykiem i górnej, postawionej w kształcie altanki wspartej na czterech słupach, osłaniającej figurę Chrystusa Pana. Cała murowana z cegły, tynkowana wewnątrz i zewnątrz; obielona jest z zewnątrz na szaro, wewnątrz białą, bez żadnych ozdób malowanych, ma tylko na górnej swej części wyrobione w tynku gzymsa zupełnie pojedyncze.

Rzucając na papier tych kilka zdań o kapliczkach spi-skich mam na myśli zwrócić uwagę Szanownych Czytelników na owe skromne kapliczki i krzyże przydrożne, którymi u nas tak mało się jeszcze zajmowano, a które swoim charakterem zasługują na większe zainteresowanie się nimi. Wiele z nich starszych ginie bezpowrotnie, zniszczonych lub odnowionych ze szkodą dla sztuki ludowej, a przecież są to zabytki kultury naszej, świadkowie gorącej i wielkiej wiary naszych przodków. Poruszam tę sprawę w tej nadziei, że może znajdzie się ktoś ochotny, któryby badając, opisując, zbierając rysunki i fotografie kapliczek i krzyżów przydrożnych w naszej ukochanej Ojczyźnie, wydał później o nich pracę obszerną a wielce ciekawą.





MŁOCKA W POWIECIE WADOWICKIM.

Opisał

Ks. Jan Sadowski.

Niedziwnem już dzisiaj zjawiskiem w odosobnionych nawet od świata wsiach jest warcząca przy dworze maszyna do młócenia, poruszana jużto ręcznym obrotem, już też częściej siłą konia chodzącego w koło przy t. zw. kieracie. Już i coraz częściej w naszym nawet kraju ujrzeć można przy stertach buchającą dymem lokomobilę, która rozigrana siłą pary przynagła do pośpiechu cały zastęp robotników, zajętych tylko odbieraniem od maszyny i uporządkowaniem wykruszonego ziarna i startej słomy.

Wobec szybkiego rozpowszechniania coraz to nowych maszyn rolniczych, między niemi młocarni, ręczna młocka przejdzie wnet do powieści, tradycyjnie opowiadanych; może nawet będzie się wydawać dla przyszłych pokoleń rzeczą tak naiwną, jak dla nas dziś zabawnym wydaje się sposób młócenia u starożytnych; o którym nawet wzmianka w apostołskim liście św. Pawła do Koryntyan, jako mianowicie woły chodzące po warstwie zboża, wydeptywały ziarno.

Uzasadnioną więc zdaje się być rzeczą, by w główniejszych rysach skreślić na martwej karcie przebieg młocki ręcznej, jak on dziś na wsi jeszcze się przedstawia — a do pełniejszego omówienia tej sprawy przyczyni się choć w małej części opis młócenia zdjęty w okolicy powiatowego miasta Wadowic.

Młócenie zboża odbywa się, o ile nie przynagła potrzeba nowego ziarna do posiewu jesiennego, albo brak miejsca do przechowania snopów, po największej części w grudniu lub ostatecznie po świętach w styczniu.

Zboże zebrane z pola leżało dotąd w stodole, której urządzenie dla poznania niektórych technicznych wyrażeń cokolwiek wypada określić.

Składa się więc przeciętna stodoła chłopska z trzech części, których środkową zajmuje boisko czyli klepisko, dwie końcowe stanowią sásieki na przechowywanie snopów zboża. W każdym sásieku jest przestrzeń wolna od ziemi aż pod szczyt dachu, i tę to przestrzeń zapełnia się warstwami snopów. Zanim włoży się pierwszą warstwę snopów do sásieka, układa się z gałęzi na ziemi podłogę i na tej podkładce kładzie się rzędami snopy gęsto jeden snop przy drugim, ale tak iżby każdy następny rząd snopów miał kłosa wsparte na poprzednim, a łby snopów, aby skierowane były ku spodowi. Również łbami zwracają snopy popod przycieśl, t. j. ku pierwszemu od ziemi drzewu w ścianach sásieka. Tak raz założona rzędami snopów szerokość i długość sásieka przedstawia jedną warstwę, na którą układa się taksamo następne aż pod samą »kalenicę«, t. j. grzbiet dachu. Takie układanie zboża w warstwach ma nietylko tę korzyść, iż więcej pomieścić można snopów, ale przy braniu z warstwy podejmuje się snopy w należytym ładzie, przyczem kłosa niepomięte ku górze zwrócone nie sypią tyle ziarna w sásieku, jakby to przy nieładzie się działo; a i to trzeba zauważyć, że żarłoczne myszy, tłocząc się w warstwy od ziemi, zanim do kłosów dotrą, muszą się wpierw przebijac przez całą warstwę jałowej słomy.

Środkowa część stodoły, zwana boiskiem, przeznaczona na wymłócenie ziarna, staranniej już jest urządzona. Zanim stodoła snopami się zapełniła, na boisko wjeżdżał wóz ze zbożem. To też zwykle miewa boisko dwoje szerokich drzwi, przez które wóz przejeżdża na drugą stronę stodoły. Na czas młócenia wygląda gospodarz należycie powierzchnię boiska, ubijając dobrze wyrobioną glinę, iżby wyschnięta była dość twardą, a przytem ile możności niekruchą. Ściany rozgraniczające boisko od sásieków, z niegrubych, okrągłych drzew (kijów) zbudowane, mają do pewnej wysokości szpary wylepione,

a otwory do sąsieków, okna, okiennicami założone, by ziarno, pryskające przy młóceniu jednego zboża nie zatrzymywało się w szczelinach i nie mieszało przy dalszem młóceniu z innym.

Nad boiskiem urządzą zwykle w odpowiedniej wysokości, tak zwane, piętro na przechowanie zboża mniej dobrze przy zbiorze wysuszonego; w odpowiedniej wysokości, by rozigrane przy młóceniu cepy nie spotykały tamy, — a przechowuje się tam zboże wilgotniejsze, bo w tem miejscu przy należytem przewiewie nie może się zepsuć, a natomiast łatwo może się dosuszyć. Urządzą zaś takie piętro w ten sposób, iż na ostatniem u góry drzewie w ścianach boiska, t. zw. »zrębie« (zrąb) ustawiają ze trzy kozły (kobylice), a na takim rusztowaniu dają pokład drągów albo żerdzi, na których podobnie, jak w sąsiekach, można układać warstwy snopów.

Tak urządzona stodoła ma jeszcze często z boku przystawioną szopę z desek na przechowanie plewy, skąd ta część zwie się plewnią.

W stosownym czasie, bez względu na silny mróz, bo ten jeszcze wymłócenie zboża zwłaszcza wilgotnego ułatwia, zmawia gospodarz w braku domowników zdolnych do młocki, robotnika którejkolwiek płci — chętniej wytrwałych i silniejszych mężczyzn — i to nie w wielkiej liczbie, bo najczęściej trzech lub czterech. Młócenie we trzech w takcie walca najbardziej przypada do gustu młóącym, we czterech w tempie równomiernem, choć szybszem od poprzedniego też jest znośnem, ale w pięciu staje się już uciążliwem, choćby nie ze względu na brak miejsca, ale z mimowolnego pośpiechu przy zaszybkim tempie. Młócenie we dwóch podobne jest do kucia żelaza nigdy należycie nierozpalonego, bo, jak mówią, nigdy się żdźbła dobrze nie dobije.

Do młócenia przychodzi robotnik w ubraniu stosunkowo lekkim i niezbyt obcisłym. Kiepski by to już był chłop, któryby przy tej robocie dosyć ciepła z samego ruchu nie czuł i dopiero w ubraniu go szukał. Musi też i fajecharz pozbyć się na czas styczności ze słomą swej dymiącej towarzyszki.

Uzbroić się ma zato w należyte cepy, które mu zapewniać mają wytrwałą służbę przynajmniej na dzień cały.

Cepy składają się z trzech części głównych: 1) kij trzymany w rękach zwany »dzierżakiem«, prosty i gładki, wy-

sokości chłopa jest zwykle z drzewa leszczynowego. Na wiązaniu ze skóry, 2) przyczepiony jest do poprzedniego 3) kawałek prostego grubego kija, więcej niż o połowę krótszy od tamtego, z drzewa twardego, niełupliwego n. p. grabiny, zwany »bijakiem«. Wiązanie najlepsze ze skóry świni domowej lub dzika, jako najmniej butwiejące, znów ma trzy części: Na końcu dzierzaka, obrobionym w kształcie główeczki, rzemień przywiązany szpagatem tak, iż tworzy uszko (kaptur) nazywa się »ptaszkiem«. Na jednym znów końcu bijaka, podobnie przystruganym, większe nieco uszko nosi nazwę »kapica«. Ptaszek znów z kapicą związany jest paskiem rzemieńnym »zworą« i to stanowi wiązanie cep, które im silniejsze, a mniej sztywne, tem większym jest dla cepaka ideałem.

Nie rzadko się zdarza, iż cepy się zerwią, jednak bardzo rzadkim jest wypadek, iżby bijak zerwany godził w głowy młócących; zabezpiecza przeciw temu pionowy przeważnie ruch cep, jakoteż i ten wzgląd, że tam się najprędzej wiązanie zrywa, gdzie najwięcej na próbę wystawiona jest jego siła, mianowicie przy samem uderzeniu w powierzchnię boiska, lub chyba przy zwrocie bijaka z ruchu w górę na dół, przyczem urwany bijak spada w środek młócących.

Pierwszą czynnością w dziennej młocce jest wyrzucenie »z poza zrębu« pewnej ilości snopów n. p. kopy, t. j., 60, na boisko i ułożenie ich w rogu boiska, by były w pogotowiu na kilkurazowy pokład na boisku. Taki jednorazowy pokład, zwany »sadzka«, stanowi kilka lub kilkanaście snopów (stosownie do ich wielkości) leżących w dwóch rzędach, kłosem zwróconych do środka, łbami na zewnątrz. Na tak posadzonych snopach nie rozwiązanych jeszcze, zaczyna się koncert cepowy.

Z dala ze wsi daje się poznać, czy wszyscy młócący dorównywują sobie, czy niektórzy między nimi partaczą z niedostatku sił lub z lenistwa. Czasem słychać, jak rozigrane cepy zderzają się bijakami w górze, przyczem młockowie zauważają, że skoro »cepy się żrą, będzie mróz«.

Tak więc przechodzą razy bijaków najpierw po kłosach obydwu rzędów, następnie po obróceniu snopów na drugą stronę, powtórnie kłosiste ich końce odczuwają grad uderzeń. W ten sposób wytlukła się główna część ziarna ze snopów, które teraz zwą się »otarte«. W dalszym ciągu rozwiązują młockowie

obwiązki snopów zwane powrósłami i grabiami rozciągają snopy, aby utworzyć warstwę jednakowej w każdym miejscu grubości. Po tej warstwie młóć znowu, posuwając się powoli, nasamprzód po końcach kłosów następnie po pniach źdźbeł, aż przejdą całą sadzkę. Przewróciwszy tak przemłóconą warstwę przy pomocy dzierżaków na odwrotną stronę, tak samo ją młóć, posuwając się piędz za piędzą.

Jeśli ze zboża tak omłóconego mają być zrobione okłoty (okłocki) czyste, równej słomy, teraz jest czas na jej wybranie. Bierze więc każdy z młocków do rąk kawałek przemłóconej warstwy i chwytając silniej pod pachę za wymłócone kłosa drugą ręką wytrzepuje od pnia źdźbeł trawę i drobną pomietą słomę. To co zostało w ręku równa końcami uciętymi na powierzchni boiska i składa do oklocka. Zgrabniejszy przygotowuje tymczasem dość silne powrósło, opasuje nim tak ułożoną słomę i przy pomocy kulika zatemperowanego z jednego końca a zwanego *kneblem*, możliwie dosadnie skręca powrósło, silnie zaciskając nim okłot i oryginalnie a lekkim sposobem mocno zawięzuje (*knebluje*).

Po odstawieniu okłocków skupia się całą tę wytrzęsioną »mierzwę« na jedną warstwę, aby ją jeszcze przemłócić i wybić w niej kłosa, które się dotąd z pod cepów wymykały.

Tak przemłóconą z jednej i drugiej strony mierzwę podchwytują młockowie na dzierżaki i przetrząsają, aby ziarno i wszelka plewa z niej na boisko wypadły. Wytrzepaną słomę z trawą wiążą powrósłami należycie, by się nie łatwo rozwlekała przy przerzucaniu. Wiązka taka mierzwy zwie się »ociepka«, a służy jako zimowa pasza dla krów w zastępstwie koniczu lub siana. Po wywiązaniu słomy zgarnia się, o ile można, grabiami z zasypanego boiska pozostałe kawałki kłosów ze ziarnem i grubszy trot w jeden kąt, aby przy następnej sadzce te t. zw. »trzynny« jeszcze raz przemłócić i ostatecznie rozgatkować do słomy lub plewy i ziarna.

Pozostało teraz na boisku tylko ziarno z plewą, to więc rozgarnia się ze środka boiska nieco na boki, by przy młóceniu następnej sadzki nie tłuc niepotrzebnie po ziarnie i nie zostawiać pod nowymi kłosami miękkiego pokładu.

Po przemłóceniu w sposób stereotypowy kilku sadzek, skoro już większa zebrała się warstwa ziarna z plewą na po-

wierzchni boiska wypada odgarnąć ją na kraj boiska ku przycieśli, by tam czekała dalszego czyszczenia. To zgarnięcie uskutecznia się pod poprzednim skupieniu warstwy całej na środek boiska w celu wygrabienia trzyn, a przy młóceniu jęczmienia także celem oczyszczenia ziarna ze sterczących jeszcze wąsów. By te wąsy jęczmiennego ziarna pewnie się okruszyły młócić trzeba specjalnie warstwę ziarna z plewą miejsce w miejsce i ta czynność nazywa się »kosowanie«. Podobnież przemłaca się przy każdym zbożu trzyny, by tę różnaitość okruschów ostatecznie rozgatkować.

Po takiej operacyi z wymłotem przesuwają się go grabiami na wspólną kupę długą, a ile możności wąską, na bok boiska wzdłuż ściany sąsięka. Po dwóch, trzech dniach młócenia, stosownie do tego, jak duży wał wymłóconego zboża się uzbierał, następuje sprawa wyczyszczenia ziarna. Pierwszą w tem czynnością jest wywianie plewy z ziarna. Do niedawna jeszcze to wianie było ręczne. Przy spokojnym stanie powietrza brał chłop w rękę prawą rodzaj lekkiej szufli o krótkim trzonie zwanej »wiechlaćka« albo »siedlaćka, ustawiał się przy jednych drzwiach boiska na środku, a mając wymłot zgarniony tuż przy boku, brał z niego raz po raz na wiechlaćkę, rzucał w stronę drzwi przeciwnych ruchem półkolistym w górę zboże z plewą, jakby łuk tęczyowy w powietrzu miał zeń utworzyć, a tą drogą ziarno, spadając na boisko jako najcięższe, usypywało się najdalej od wiejącego, tworząc nasyp wygięty łukowato środkiem na zewnątrz, plewa zaś, jako lżejsza, pozbywszy się ziarna, sypała się na boisko bliżej wiejącego, łukiem do poprzedniego równoległym. Przy lekkim podmuchu wiatru z przeciwna, wianie idzie z lepszym skutkiem, bo plewa, dokładniej od ziarna oddzielona, spada dalej od nasypu ziarna i z niem się nie miesza; natomiast nie pomyślnem byłoby wianie przy zmienności prądu wiatru, bo plewa ciągle na nasyp ziarna zbaczać będzie.

Po takim przewianiu wymłotu odgarnia się wał czystej plewy na bok, a z nasypu drugiego odebrać trzeba od strony wewnętrznej jeszcze trochę trzyn i t. zw. pośladu t. j. ziarna pośledniego z różnych zielsk i chudego zboża, które jako lżejsze od dobrego ziarna a cięższe od plewy w środku między obydwoma wałami się usypało. Tak wiał rolnik zboże ręcznym

sposobem. Zanadto jednak dotkliwie odczuwał on zawsze przy takiej robocie, jak kurz całymi tumanami wdzierał się w jego wnętrzności i osiadał na płucach. To też nie dziwnego, jak skwapliwie użyto do tej czynności sztucznych wywiewnic, których się nauczono dość prostym sposobem budować z desek z mniejszym nakładem grosza, niżby tego wymagało sprawienie takiej, jak przy dworze maszyny. Otóż taka, jak się powyżej nazwało wywiewnica, przez chłopów zwana »szarapata« od łoskotu, jaki w ruch puszczona wydaje, jest młynkiem większego pokroju, bo korbą poruszane skrzydła albo pióra tworzą sztuczny prąd powietrza, na który pada z sita w górze umieszczonego zboże z plewą i rozdziela się tu najpewniej na składowe części: ziarno bowiem odchodzi w jedną przegrodę, poślad w drugą, a plewa wypędzona naprzód wyczyszczona nadto siłą wiatru z kurzu, usypuje się w dowolnem miejscu boiska.

Czystą plewę wszelkich zbóż, z wyjątkiem jęczmiennego troty jako nieużytecznego, odnosi się do plewin jako zapas do zimowej karmy bydła. Zostaje więc jeszcze po wywianiu poślad z przymieszką trzyn i osobno przewiane ziarno. Pozostałe trzyny przesiewa się przez duże dość rzadkie rzeszoto zwane »trzy-niakiem«, by te troty rozgatkować do plew i pośladu. Ziarno zaś wywiane musi jeszcze przejść dokładniejsze czyszczenie, by użyte czy to do siewu, czy na czystą mąkę wolne było od nasienia obcego i grudek ziemi. Przy szczuplejszym zapasie wystarczy w tym celu użyć rzeszota gęściejszego od trzyniaka zwanego »przetakiem«, na którym wysieje się ze zboża drobniejsze ziarno wyki, kąkolu etc. Przy większym wymłocie jednak dużyoby czasu zajęło takie przesiewanie garściami na przetaku. Użyć tu trzeba młynka sporządzonego odpowiednio dla »młynkowania« zboża. Najprościejszy młynek sporządzony z desek ma w tylnej części walcowatą próżnię, zwaną »bęben« i w tej obracają się na osi za pośrednictwem korby zwykle cztery z cienkich deszczulek zbite pióra albo skrzydła, sprawiające silny podmuch. Na prąd taki pada z góry szparowatym otworem ziarno i tak w locie przewiane jeszcze z kurzu i plewy, stosownie do ciężkości swej rozdziela się na poślad, ziarno poślednie i ziarno piękne, a każda z tych składowych części wpada do przegród, umieszczonych jedna za drugą w przedniej części młynka i usypuje się na oddzielnych kupkach z jednej

i drugiej strony młynka. Dla lepszego jeszcze oczyszczenia zboża z nasienia zielsk korzysta gospodarz z dworskich lub gminnych różnej konstrukcyi tryjaków.

Ziarno czyste zbiera gospodarz, przemierzając miarkami do półkorcowych worów i wynosi do skrzyń zwanych »sąsieki« na strychu lub w spichlerzu na zimowe przechowanie. Zwykle jednak przed zesypaniem ziarna w zbitą masę rozsypuje się je na wolnej, a suchej powierzchni dla przesuszenia, aby jak mówią »wystylowało się«, a potem na składzie nie pleśniało i nie gorzkniało.

W miarę jak się boisko i sąsieki stodoły po młocce wyprzątnęły, układa się w nich okłoty czystej słomy i ociepki mierzwy na przechowanie.

Po skończonej robocie wypadałoby, jak powiadają młockowie, czemś »oblać« tegoroczną młockę; najlepszem zaś do tego byłoby coś »twardzizny« t. j. produktu alkoholowego.





MATERIAŁY HISTORYCZNE.

I.

»Odpowiedź« czyli »wrażda« u ludu w XVII wieku.

Actum in castro Biecensi 6.
aprilis 1655.

Ad officium et acta praesentia Castrensia Capitanealia Biecensia personaliter venientes providi Festor Małastowski, scultetus, Vasillus Boszylak et Lucas Onuflak subditi iurati de villa Małastów Sacrae Regiae Maiestatis ad Capitaneatum Biecensem pertinenti et ad forestam regiam reddiderunt boves duos coloris seu pili canini, alias siwych die hesterni providi Symkoni Rychwalski sculteto de villa Rychwald agros et fundos ad bona villae Małastowa antiquitus pertinentes aranti receptos, quos boves officium praesens

Działo się w grodzie bieckim 6. kwietnia 1655.

Do urzędu i akt tutejszych grodzkich starościńskich bieckich osobiście przychodząc opatrny Festor Małastowski, sołtys, Bazyli Boszylak i Łukasz Onuflak poddani przysięgli z włości Małastów, będącej własnością majestatu królewskiego, należącej do starostwa bieckiego, przedstawili temuż urzędowi i do aresztu królewskiego oddali dwa woły barwy czyli maści siwej, dnia wczorajszego zajęte opatrzniemu Symkowi Rychwalskiemu, sołtysowi z włości Rychwałd, orzącemu grunta i role należące od dawna do dóbr włości Małastów. Woły

suscepit et ei, cui intererit mediante sufficienti cautione extraditum se obtulit.

Insuper iidem praesentantes scultetus et subditi Małastowienses solemniter eidem officio praesenti quaesti et protestati sunt in et contra providam Annam suprascripti Symkonis Rychwalski, sculteti Rychwaldoviensis consortem legitimam in eo, quia eadem Rychwalska et ea occasione, quod iidem protestantes usum fructum fundorum praefatorum per praedictum Rychwalski die hesternarum aratorum ipsi non permiserint bovesque prae expressos exinde defendendos agros et fundos suos ipsi receperint, plurimis atque diversis comminationibus diffidationibus sibi protestantibus comminabat his formalibus verbis: Mam sześci synów, jeśli by mi jednego zabito, Małastowianów dziesięci zabiją, gdziekolwiek ich Rychwaldowanie lub w Gorlicach lub gdzieindziej zdybią i zdybać będą mogli, zabijać ich wszędzie będą, easque diffidationes suas sibi protestantibus etiam iuramentis adhibitis duobusque grossis in mensa domi et residentiae praetacti sculteti Małastoviensis positus et projectis comprobando et testificando confirmavit sicque, ut iidem protestantes una cum

te urząd tutejszy przyjął i temu, kogo to dotyczy za złożeniem dostatecznej kaucyi wydać się zobowiązał.

Oni tedy i poddani Małastowscy uroczyscie przed tutejszym urzędem skarżą i protestują przeciw opatrnej Annie, wyżej wymienionego Symka Rychwalskiego prawej żonie o to, ponieważ ta Rychwalska z przyczyny, że protestujący nie zezwolili wyżej wymienionemu Rychwalskiemu użytkowania gruntów przez niego wczoraj oranych, a dla obrony pól i gruntów swoich woły mu stamtąd przez służących zajęli, wieloma i rozmaitemi pogroźkami i zapowiedziami zemsty protestującym następującemi słowami groziła: Mam sześci synów, jeśli by mi jednego zabito, Małastowianów dziesięci zabiją, gdziekolwiek ich Rychwaldowanie lub w Gorlicach lub gdzieindziej zdybią i zdybać będą mogli, zabijać ich wszędzie będą. Te zapowiedzi zemsty nad protestującymi nawet przysięgami wzmocnione, położywszy i rzuciwszy dwa grosze na stół w domu i mieszkaniu wspomnianego sołtysa Małastowskiego dla nadania im tem większej wagi i pewności wzmocniła tak, że protestujący razem ze wszystkimi sąsiadami swoimi i mieszkańcami Ma-

reliquis vicinis suis Małastow incolentibus nullo in loco tute et secure conversari et commorari nequeunt. Praecavendo itaque cuiusvis integritati suae praemissorum ratione eidem officio praesenti iterum atque iterum solemniter quaeruntur et protestantur.

Castr. Biec. t. 186. str. 2030
—31.

Małastowa nigdzie nie śmia bezpiecznie przebywać ani się pokazać.

Dla zapewnienia sobie ostrożności zatem (i) czuwania nad bezpieczeństwem swoim z powodów wyżej wyrażonych, do tegoż urzędu tutejszego ponownie i z naciskiem uroczystą skargę i protestację wnoszą.

Dokument ten stwierdza, że u ludu w Polsce w XVII wieku była we zwyczaju diffidatio czyli zapowiedź zemsty, którą jeszcze w XVI wieku dosyć powszechnie szlachta praktykuje. Nie wiadomo, czy mamy tu do czynienia z dawnym zwyczajem ludowym czy też przyjętym świeżo od szlachty. Wieś Małastów jest ruska, Rychwałdowianie zaś są niewątpliwie spolszczonymi potomkami kolonistów niemieckich¹⁾. Również bardzo ciekawym jest fakt wzmacniania przysięgi a właściwie zobowiązania dotrzymania »odpowiedzi« przez rzucenie dwóch groszy na stół, niby zadatku. Jest to dosyć powszechny w prawie średniowiecznym zwyczaj uświęcania umów drobną ofiarą (pieniężną) na rzecz bóstwa (denarius Dei, Gottespfennig). Porównaj o tem uwagi prof. St. Estreichera w gruntownej jego pracy: »Początki prawa umownego« (Rozprawy Akad. Umiej. wyd. hist.-filoz. tom XLI) opartej na bogatym materiale porównawczym z zakresu prawa średniowiecznego i etnografii.

Fr. Bujak.

II.

Z ksiąg starszych i nowszych materiały.

1. Krzysztof Zawisza, wojewoda miński, zmarły r. 1721 pozostawił pamiętniki, wydane dopiero r. 1862 w Warszawie

¹⁾ W Rychwałdzie pod Gorlicami mieszkają i mieszkali już w XVII w. Rusini, Lemki. W roku 1480 Rychwałd, dawniej niemiecki został osadzony na prawie wołoskiem. Zachowały się jeszcze podówczas ślady dawniejszego niemieckiego osadnictwa.

przez Juliana Bartoszewicza. Pod rokiem 1710 (str. 152) zapisuje autor, że po odejście żony do zięcia, ks. Radziwiłła, pozostał sam jeden w swoich Baksztach, w Oszmiańskim, z małemi dziećmi, podobny do samotnego pelikana. Sam lutnista i wielki muzyki miłośnik, słodził nią sobie chwilowe swoje słomiane wdowieństwo. »Muzykę łebską miałem mińską z cymbałem i zacinali dobrze staroświeckie taneczki: »Albo mene barszczu dajcie«, także: »Czerniec czernicu zawiow w pywnicu«, także: »Anusiu, serdenko, palisz moju duszu« i t. d.

Wzmianka Zawiszy świadczy o używaniu cymbałów, które później wieszcz litewski uczynił nieśmiertelnemi koncertem Jankiela, oraz o zamięlowaniu do piosnek białoruskich. Nie gardziła szlachta językiem ludu, owszem chętnie nim mówiła i śpiewy jego powtarzała.

2. Znanie są powszechnie satyryczne poemata z końca XVIII wieku, szydzące z duchowieństwa zakonnego i świeckiego, które w chwili upadku narodu samo także niekoniecznie z własnej winy, w części ku upadkowi się chyliło. Rozpoczął szyderstwa w sposób niezgodny ze stanowiskiem biskupa, Krasicki a towarzyszyli mu Węgierski i Tadeusz Morski (Vert-Vert, czyli szpak klasztornego chowania 1779). Mniej znanym a raczej zupełnie nieznanym jest poemat bezimiennego autora: »Asketomoria w sześciu pieśniach« ogłoszony bez podania miejsca i drukarni około r. 1792, wspomina bowiem wydane w tym roku dzieło Piramowicza o wymowie Książeczki (8⁰⁰ min. stron 75), pisana świetnemi oktavami jak Jerozolima wyzwolona w przekładzie Piotra Kochanowskiego, natrzęsa się dowcipnie z ludzkich ułomności zakonników i mniszek. W pieśni II przedstawiony jest sejmik osób zakonnych płci obojej. Ma być wybrana marszałkowa. Spodziewa się tej godności dla siebie ksieni (Norbertanek) z Buska w Krakowskim. Tymczasem pominięto ją a rozżalona matrona, »mdleje, upada i zbladła jak chusta«. Robi się zgzięłk i rejwach na wieść o tej katastrofie.

Nie tak hamburskie prędko idą wieści,
Które mi się lud cieszy, albo trwoży:
Jako ten odgłos, bo klasztor niewieści
Nie ujmie nowin, jeśli nie pomnoży,
Zaledwie zbiegłe siostry cela mieści,
Ta życie z twarzy, ta śmierć z ręki wróży.

Ta mówi: »kona«! Tamta »już skonała«!
Wtem się mistrzyni stara odezwała:
Siostry! a gdzież też podziałyście głowy.
Gdy żadna poznać nie może uroku:
Wosku z paschału, wody Trzech Królowej,
To do prawego niech przyłoży boku,
Niech pije mleko, lecz od czarnej krowy,
Niech dziewięć razy naklnie złemu oku,
Niech jej koszulę przewrócą na nice:
Tak urzeczone leczą zakonnice.

Jeżeli mamy wierzyć pociee naśmiewcy, te wymienione gusła znalazły wstęp aż za progi zakonne, a raczej ze świata w ich obręb wniesione.

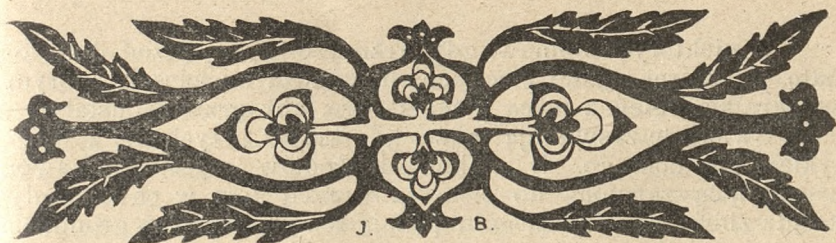
3. W jak późne czasy dochowywały się gdzieniegdzie w zniemczonych nawet stronach z czasów pogańskich zabytki, świadczy kronika domowa OO. Jezuitów w zupełnie niemieckiem dzisiaj mieście Wałczu (Deutsch Crone), województwa poznańskiego, teraz do Prus zachodnich przyłączonym. Edward Raczyński w swych »Wspomnieniach Wielkopolski (Poznań 1842, tom I, str. 89) opowiada, że w Wałczu jeszcze w XVII wieku trwały ślady zabobonów pogańskich. W dzień Zielonych Świątek i św. Jana rozpalano po ulicach i okolicznych polach ognie niby święte, przez które bez różnicy stanu, płci i wieku skakano. O zmroku zaczynały się rozrywki różnego rodzaju: muzyka, wesołe okrzyki, pijaństwo i inne zdrożności. Starania duchowieństwa świeckiego, aby znieść te zwyczaje, były daremne. Dopiero OO. Jezuici w r. 1632 skutecznie zabrali się do dzieła. »W dzień św. Jana« — opowiada ich kronika — »gdy się już dobrze było zmierzchno, wyszli niespodzianie Jezuici, w kościelne stroje ubrani, przy odgłosie dzwonów i świetle pochodni i udali się za miasto, gdzie rozniecone ognie i płóche skoki mieszkańców przypominały dawne pogaństwa obrządki. Niespodziewany widok okazałej procesyi i szanowanych powszechnie kapłanów wzruszył mieszkańców, którzy natychmiast rozbiegli się do domów i odtąd nieprzystojnej zaniechali zabawy«.

4. Uczony ks. prałat Stanisław Chodyński, rektor seminarjum duchownego we Włocławku ogłaszał od r. 1881 z archi-

wum dyecezyalnego materiały, pod tytułem: »Monumenta historica dioceseos Wladislaviensis«. Tych Monumentów wyszło dotąd zeszytów 22, dołączanych co rok do dyecezyalnej rubryki; w obiegu księgarskim ich wcale nie ma i dlatego są prawie nieznane, chociaż ich treść dla przeszłości naszej badana wcale nie jest obojętna, oczywiście poświęcona jest publikacya przedewszystkiem dziejom kościelnym dyecezyi, drukuje ważne niezmiernie wizyty dyecezyalne, z których dowiadujemy się n. p., że w r. 1598 wizytator biskupi wszędzie po parafiach zwiedzanych zapytywał, czy lud śpiewa Bogarodzicę, uważaną jako rodzaj wyznania wiary katolickiej, a zaczynającą w owym czasie z używania wychodzić; ale są też całe zeszyty innym sprawom poświęcone, n. p. zeszyt VI (1886 r.) górnictwu polskiemu, a zeszyt V (1885) sprawom o czary. Jest w nim podanych 23 dokumentów łacińskich i polskich, z XVI—XVIII wieku, których badacz tego smutnego objawu ucisku naszego ludu pomijać nie może.

B. J. K. z Gniezna.





DROBNIEJSZE ROZPRAWKI i WIADOMOŚCI.

Gromnice w Opatkowicach.

Już po godzinie 8-mej rano dnia 2-go lutego wychodzą ludzie do kościoła parafialnego w Gaju, biorąc ze sobą świece większe lub mniejsze, stosownie do zamożności gospodarzy. Świece te stroją często we wstążki i kwiaty robione, lub wazonikowe. Owijają je także czasem stoczkami, zwanymi tutaj »Błażejkami«. Świecenie gromnic poprzedza zwykle kazanie, w którym poucza proboszcz ludzi, jak wielce pożądanem jest dla każdego chrześcianina posiadanie gromnicy. Po kazaniu wszyscy zgromadzeni w kościele zapalają świece, które ksiądz poświęca. Kościół wtedy wygląda cudownie, gdy w rękach mnóstwa ludzi, goreją świece. Po skończonej sumie ludzie gaszą gromnice, gdyż z powodu znacznej odległości od domów i takby płonących nie donieśli. Przyszedłszy do domu zapalają je powtórnie i na stragarzu w drzwiach i oknach robią płomieniem po jednym krzyżu. Czynią to dlatego, aby w chwili zbliżającej się burzy i grzmotów domostwa ich nie spalił piorun. W niektórych domach po zagaszeniu świecy wdychają dym z gromnicy, twierdząc, że to ich ochroni od bólu gardła.

Świece te poświęcone przechowują zwykle za obrazami lub w skrzyniach. W czasie gwałtownych burz i grzmotów zapalają je i stawiają w oknie lub na stole, przyczem klękają i odmawiają litanie przeciw gromom a jeśli takiej w książce nie mają, to litanie do P. Jezusa lub Matki Boskiej, a skoro nikt w domu czytać nie umie, odmawiają pacierze. W czasie grzmotów i piorunów wstawiają też do komina zapaloną gromnicę i kadzą wiankami poświęcanymi w oktawę Bożego Ciała.

Z niektórych domów, gdy grzmi, wynoszą przed dom łopatę, na której się do pieca chleb wsadza i pociosek, którym wygarniają ogień z pieca piekarskiego, aby grzmoty ustały.

Świece te zaświecają także, gdy ksiądz przychodzi z Wija-tykiem do chorego. Z niektórych domów wychodzą nawet z gromnicą zapaloną do sieni lub przed dom w chwili, gdy ksiądz zbliża się. Konającemu podają w rękę zapaloną gromnicę na znak wielkiej miłości i tęsknoty za Zbawicielem.

Gdy chory skona, zaświecają w głowach 1 lub 2 gromnice, które zwykle świecą się dotąd, dopóki się zupełnie nie wypalą. Kto ma na to, kupuje drugie po wypaleniu pierwszych i świeci dotąd, dopóki umarłego z domu nie wyniosą.

Jeżeli gdzie w bliskości pali się, to również wychodzą z niektórych chat ze zapaloną gromnicą przed domy i wynoszą obrazy Świętych, obracając je w przeciwną stronę ognia, aby P. Bóg zachował domostwa od pożaru.

Kto gromnicy nie spotrzebował wśród roku, zostawia ją do następnego.

Stanisława Kruczkowska.

O księdzu i parobku (Wojnicz).

Był jeden ksiądz, co kciał dostać na suzbe takiego parobka, coby wiedział jego myśli; ale jakosi sie taki nie trafił. A przysło księdzu jechać do krewnyk, więc prosi Pana Buoga podczas msy, coby mógł dostać tego parobka. Wraca do kuchni, a tu spotyka ładnego młodzieńca; pyto się go: »Cego kces?« — »Jeś mi sie kce i suzby sukám«. — Dął mu ksiądz jeś i nic. A ten bierze śniadanie i idzie do stajnie i daje koniom siano i pucuje w stajni. Ksiądz sie ucieszył, wraca do pokoju i zbiyrá sie; patrzy, a parobek zajéżdza juz pod ganek. Ksiądz siada i jedzie a nie powiedział mu nic, gdzie má jechać. Jadom kole kościoła a ten parobek bierze kamienia i buch we dźwi. Ksiądz nie; jadom dalej. Idzie pogrzyb wielgi, ksiądz prowadzi i śpiéwają ludzie; jegomość zdjął cápkę na furze, a parobek w cápcie siedzi; ale ksiądz mu nic nie mówi, patrzy końca. Jadom dalej a tu stara babka ciągnie w półwoziu trumnę na smentárz; parobek zdjął cápkę i modli sie. Ano nic, jadom dalej; jaz tu widzom siubienicę, a na niej wisielec dyndá; ksiądz splunoł i patrzy w inom stronę; parobek złáz z woza i poszed pomodlić się pod siubienicą. Ksiądz nic nie gádá i ceká, co bedzie dalej.

Przyjechali nakoniec do krewnych; pytajom się księdza: — »Cegóz jegomość nie przyjechał wcora, co był bál? — A ksiądz pado: — »Nie miałem parobka; ale dostałem teraz, co każdą myśl mojom zgadnie; co on bez druge cynik, to jest wielgi sposób!« — Kiedy ksiądz sie nabálował, powiada do krewnyk: »Trza jechać!« Patrzom, a parobek juz z końmi pod drzwiami ceká.

Ksiądz wsiąd; był teraz śmialsy, bo sie napiuł wina i pedo do parobka: »Słuchejno przyjacielu; cisnąłeś kamieniem w kościół, nicem ci nie mówił; nie zdjąłeś cáпки przed pogrzebem, nicem ci nie mówił, modłułeś się pod siubienicą, takżem ci nic nie mówił; ale teraz widzis figurę z Panem Bogiem, lącego cáпки nie zdymies? — A parobek rzeknie: »Jegomościu, kce jegomość wiedzieć? Modłułem się pod siubienicą, bo wisi tam niewinny człowiek!« — »Źle mówis« — powiada ksiądz — »przecie go sądzili i protokuła ściągali«. — »Tak, jegomość, ale go bili i mencyli i mówili: przyznaj się, to cie puścimy darmo! On uwierzył i przyznał się, choć tege nie zrobił, a za to go powiesili«. — Ksiądz, jako to uconá osoba, widział, ze dobrze gádá; ale pyta go: »Lácegoś cáпки nie zdjął przed figurom?« — »Látiego jegomość, bo Panu Bogu wiency znacy ukłon w sercu, jak głupiom cápkom«. A ksiądz, jako to mondrá osoba, widział, że parobek dobrze gádá. Korciło go przecie jesce i pyta! »Lácegoś przed jednym pogrzebem nie zdjął cáпки, a przy drugim, gdzie nie było księdza, ani krzyża, tyś cápkował?« A parobek rzeknie: »Jegomość, ten pogrzeb bogaty, to był za piniondze; kmieć za płacił, to mu z parodom śpiewali i wieźli grzyśne ciało do kościoła, chociaż duse jego cárt smazył na widłach w piekle; a z tem ubogiem to święci aniołowie śli i śpiewali mu pieśni, bo się naciérpiál dosć na świecie, żył w biédzie i niedostatku«. Ksiądz jako to mądrá i mozná osoba, widział, ze parobek suśnie gádá i zamysłał się. Po chwilce pedá; »ale lácegoś kamieniem rzucił na dom boski?« — A parobek pedá: — »Jegomość, bo ludzie pijani i nietrzyźwi drzymali, kiedy ksiądz jem kazanie gádáł, látęgom cisnął we drzwi, zeby się zbudzili!« — A ksiądz się zadumał i nie wiedział, jak parobek stanął przed plebanią; kapota zgrzebná zacięła mu sie blysceć, jak srybło i złoto i pokázały się dwa skrzydełka i parobek ten uleciał jako anioł do nieba.

Jan Pyrek.

Legenda o Matce Boskiej.

»Głos Narodu« z d. 8 grudnia 1904 umieścił piękną legendę o Matce Boskiej, spisaną przez Dr. K. Rakowskiego na podstawie, »autentycznego opowiadania« jednak bez dodatku, kto i gdzie ją opowiadał. Zapytany o to listownie przezemnie, odpowiedział uprzejmie p. R., że ją słyszał w więzieniu od innego więźnia, pochodzącego z Prus zachodnich, człowieka chorego na łagodny obłęd religijny i zupełnie nie wykształconego. Dr. R. przypuszcza, że to, jak i inne, temu podobne opowiadania, były jego własnego pomysłu.

Szczegół ten zapisuję tutaj dla wiadomości badaczy, bo sądzę, że na to zasługuje, a zarazem podaję krótką treść legendy.

»Na samym końcu wsi w maleńkij, nędznej, na pół wzięmię zapadłej chacie mieszkał nieszczęśliwy, ociemniały i od lat wielu ciężką niemocą nawiedzony staruszek. Jedyńą jego opiekunką była córka jego Marysia, która wyszedłszy za mąż, wraz z mężem ciężko pracowała, aby wyżywić siebie i sparaliżowanego ojca. Ale praca nadmierna wyczerpywała prędko ich siły; mąż zaczął pić i zmarł wskutek bójk karczemnej, pozostała wdowa z maleńkiem dzieckiem. Wycieńczona pracą i nędzą zarabiała coraz mniej; wszystkie sprzęty z chaty przeszły wkrótce w ręce arendarza a wreszcie zabrakło wszelkich środków do życia.

W tem położeniu Marysia wzięła pewnego ranka dziecko i poszła z nim w stronę jeziora. Nikt nie zauważył jej na drodze, bo ludzie byli zajęci pracą w polu. Stanąwszy nad brzegiem jeziora M. nie zatrzymywała się długo, lecz przycisnąwszy mocno dziecko do siebie skoczyła z nim w głębinę.

Wkrótce jednak pokazała się nad powierzchnią wody jedna ręka i pochwyciła się sitowia a tuż za nią druga wzniosła z niesłychanym wysiłkiem żywe jeszcze dziecko nad wodę i zostawiła je na brzegu, czepiając się sama traw i korzeni, ale na próżno; zabrakło sił nieszczęśliwej i poszła na dno a tylko z ostatnim jej oddechem wleciało z topieli westchnienie ku niebu: Najśw. Panienko ratuj moją dziecinę!

Usłyszała to N. Panna, stanęła przy sierotce, wzięła ją na rękę i ogrzała własną piersią a niechcąc, aby się dziecko przestraszyło obcej osoby wzięła na siebie postać matki jego i poszła z niem do chaty. Zaledwie staruszek usłyszał szmer wchodzących, począł czynić mniemanej córce wyrzuty, że tak długo na próżno prosił o wodę. N. Panienska przyniosła mu wody a starzec napiwszy się skonał trzymając w ręce dłoń N. Panny w mniemaniu, że to ręka córki.

Wtedy N. P. zabrała ze sobą dziecinę do nieba a stanąwszy na progu niebieskim, zapytała zaraz o matkę dziecka, gdy się zaś dowiedziała, że jej w niebie nie było, łzy stanęły jej w oczach; poczem spostrzegłszy, że miała jeszcze na sobie szaty biednej wyrobnicy, zapytała aniołów ze zdziwieniem, jak ją poznali. Ci odrzekli: po tej łzie, o Pani nasza! ludzka łza inaczej wygląda. Na to N. Panna: »ludzie nie są źli, lecz nieszczęśliwi« i znów stoczyła się łza po jej twarzy i spadła na ziemię a rankiem zabłysła kroplą rosy w każdej lilii. »Dlatego — kończył opowiadający — lilie w naszej wiosce piękniejsze od wszystkich innych na świecie, bo w każdej błyszczą na dnie łza Matki Boskiej«.

Dr. W. Kosinski.

Pisanki we wsi Mołodycz w pow. jarosławskim w Galicyi.

Podczas wielkanocy w Mołodyczy można widzieć pisanki u młodzieży pokazującej je sobie nawzajem i porównującej,

która piękniejsza i lepiej wykonana. Otrzymują je chłopcy od dziewcząt w podarunku za goszczenie w ostatnie zapusty. Zwyczajem tutaj w ostatnie dni karnawału urządzają sobie zabawę, czyto w karczmie przy muzyce (czego teraz księża wzbraniają), czy też w domu prywatnym. Do karczmy wstęp wolny dla wszystkich, do domu prywatnego i to do takiego, w którym przynajmniej choć jedna dziewczyna jest na wydaniu, zwołani są tylko znajomi. Tu schodzą się zaproszone dziewczęta i chłopcy, bawią się rozmową, a przy tem parobcy posyłają po wódkę. Każdy z nich częstuje swoją wódką dziewczęta, do których więcej sympatii czuje. Dziewczyna za ledwie kieliszek do ust przytuli, już znaczy tyle, że piła. Od którego parobczaka piła dziewczyna wódkę, ma mu zato dać pisanki na Wielkanoc lub w przewodnim tygodniu. Jedna i ta sama dziewczyna może pić od kilku parobczaków, tak znów jeden i tensam parobczak może kilka dziewcząt ugościć, za to się spodziewa od nich pisanek. W zabawie tej biorą udział także starsi, ale zwykle siedzą na boku i przypatrują się, jak się bawi młodzież.

Gdy nadchodzi Wielkanoc, już dziewczęta składają jaja, i przysposabiają kraszkę. A że nie każda umie dobrze pisać, więc daje jaja i farbę takiej, która w tej sztuce jest biegłą. Zaczynają pisać jaja w wielkim tygodniu, ale najwięcej robią pisanek w trzeci dzień świąt, to jest, we wtorek wielkanocny. Niektóre dziewczęta i kobiety zajmują się tem przeważnie, więc zawczasu nakupią sobie farby czarnej lub czerwonej, u nich zwanej kraską, kupią fajkę za kilka centów i wosku.

Przy pisaniu postępują w ten sposób: Najpierw robi pisząca maleńki lejeczek zwany kulką, z blaszki, którą była fajka okuta. Tę kulkę macza w roztopionym wosku, który ciągle trzyma na ogniu, aby go utrzymać w stanie ciekłym, i tak nabranym woskiem pisze deseń po jaju. Gdy napisała deseń obmyślony na czystem jaju, wtedy rzuca je w płyn dobrze ciepły, w którym gotowała korę jabłoni i widłak wroniec pylsznyk. Tu barwi się jajo na żółto, tylko miejsce zapisane woskiem jest białe. Po godzinie prawie, wyjmuje ostrożnie jaja z tej farby i kładzie na misce, aby obeschły. Potem znów pisze deseń na zabarwionej żółto powierzchni i uzupełnia go tak, aby razem z poprzednim tworzył całość. Teraz rzuca jajo w kraszkę, ale nie bardzo gorącą, w czarną, lub czerwoną. Gdy jaja czas niejaki w niej postoją, wyjmuje je ostrożnie i lekko ściera wosk z pierwszego i drugiego pisania. Na jaju zostaje deseń żółty i biały na tle czerwonym lub czarnym. Pisanki pozostają, jak surowe, jaja płynne wewnątrz, bo kładą je zwykle tylko w gorącą farbę, aby się nie mogły ugotować. W innych wioskach gotują jaja w farbie na twardo, lecz tu umyślnie tak postępują, aby ci którzy je, otrzymają, mogli lepszy użytek z nich zrobić, a mianowicie nasmażyć jajecznicy.

W przewodnim tygodniu, lub w niedzielę zanoszą dzie-
wczęta po pewnej ilości pisanek parobczakom, z którymi w kar-
nawale napijały. Dziewczyna bogatsza więcej jaj daje, bo po
dziesięć lub piętnaście pisanek nawet.

Obdarowani uradowani są pięknymi pisankami, cieszą się
ich widokiem a pokazując je jeden drugiemu, krytykują, która
piękniejsza, która brzydsza a w końcu biją je, smażą jajecznicę.
Tak prozaicznie kończy się ta zabawa, która z początku miała
taki urok!

Dziewczęta dają także po dwie pisanki lub po jednej
w przewodnią niedzielę w cerkwi do mirowania t. j. za
nabożeństwo, które się zwykle odprawia we wszystkie uroczy-
ste święta, prócz Niedzieli przed mszą św. Później oddaje pi-
sanki kościelny księdzu.

Justyna S.

Nazwy topograficzne.

Przy sądach powiatowych w Galicyi znajdują się mapy
katastralne wsi i miast; do tych map powpisywane są niektóre
nazwy gruntów ornych, części wsi, lasów i tym podobne. Zwy-
kle jednak są tam podane nazwy tylko większych części wiosek,
dlatego na każdej takiej mapie znajdujemy ich niewiele. Wska-
zanem jednak jest zebranie materyału tam pomieszczonego,
dlatego podaję poniżej nazwy topograficzne z map katastral-
nych sądu powiatowego w Dukli w powiecie krośnieńskim,
a obejmujące 17 wsi i jedno miasteczko zamieszkałe przez
ludność polską, tudzież 13 wiosek ruskich zajętych przez
Łemków.

A. Miejscowości polskie.

1. Cergowa z przysiółkami Popardy, Zakluczyn
i Nowa Wieś. Cergowa góra, Folwark, Jasionki, Liberty, Łazy
małe, Łazy wielkie, Maskuliska, Sołtystwo, Średnie, Wielka
góra, Zakliczyńskie pole, Zbicha.

2. Dukla (miasto).
Granice, Leśniczówka, Łazy, Obszar, Podlesie, Przedgórze, Wą-
doły, Zaklasztorne.

3. Draganowa.
Łan, Spaleniska, Zawsie.

4. Głojсце.
Biała górką, Bukowy las, Kokorzycka, Lipówki, Podlasie, Ró-
wniny, Wielorzeki.

5. Iwla.
Borek, Chrustek, Góry, Helenówka, Lipowica, Łazy wielkie,

Marzybaba, Mociedliska, Niwy pańskie, Pasternik, Podkobzówka, Podłupiska, Psie góry, Równie, Szewcowe krzaki.

6. Jasionka.

Cergowa góra, Graniczna, Łazy, Podgórk, Zapłocie.

7. Kobylany.

Błonie wielkie, Cisawiec, Kopaniny, Myszkowskie, Pod Krzemieniem, Położenie domowe, Wielkie łązy, Wolica, Zadomie,

8. Lubatowa.

Dział Kaniów, Dział Sroków, Dział w Dalach, Góra Janowa. Górki, Górski las, Halice, Kalwarya, Przylasek, Przy lipkach, Zabia góra.

9. Lubatówka.

Góry, Łazy, Podrówińskie.

10. Lipowice.

Kopaniny, Łazy, Obszarki.

11. Łęki.

Kamieniec, Łazy, Myszkowskie, Ogrody, Podłazówka, Zawsie.

12. Nadole.

Kopaniny, Place domowe.

13. Równie.

Klarowiec, Łazy, Niziny pańskie, Ogrody, Zagórze.

14. Rogi.

Debrz, Groszkówka, Lóg, Ogrody, Pograniczna, Zapłotnia, Zapłowy, Za potokiem.

15. Teodorówka.

Góry, Ku chyrowskiej górze, Las dukielski na Frankowem, Las teodorowski, Na Łazach, Na Skałkowskiem, Od nadolskich granic, Pańskie role.

16. Wietrzna z przysiółkiem Wola Albinowska.

Banie, Domowe, Grabanina, Łazy, Podbanie, Równie, Skała, Zosznica, Zosznina i znowu Domowe w Woli Albinowskiej.

17. Zboiska.

Domowe place, Od granic Dukli, Od granic Wietrzna.

B. Miejscowości ruskie.

1. Barwinek.

Dział, Góry Zydranowskiej granicy, Hłynny Horbok, Kiczera, Modrzey, Od obszarnej wody, Położenie dworskie, Pomiarki, Studeuny Werch.

2. Ciechania.

Ciechanie, Czerteż, Macki, Nad Tysowem, Sołtistwo, Sucharina, Szłob.

3. Chyrowa.

Chyrowa góra, Kaczalnik, Krzemionka, Magóra, Polanki, Rykowiec.

4. Mszana.

Debra, Domowe, Kupe debra, Krzemiń, Mszanka, Pod Debrą, Pod Krzeminkiem, Pod Ropianką.

5. Myscowa.

Borek, Bucznik, Kamieniec, Klucz, Krecirz, Toczkowa.

6. Olchowiec.

Boronie, Dział, Jarowiska, Las nad Beskidem, Las nad Baranem, Las Olchowczyk, Nad Beskidem, Pod Beskidem, Ropa, Spalenisk, Szczop.

7. Ropianka.

Krzemionki, Ropa, Wirch.

8. Smereczne.

Milkowiec, Przykra góra, Wapno.

9. Sulistrowa.

Brzezówki, Dąbrowa, Góry, Pasternik.

10. Tylawa.

Niwy, Bosieńsko, Majkówka, Młynsko, Na dział, Na Ostrzej, Pod Błudnim, Pod wapnem, Położenie Mszanka, Za działem, Z Ostrzej, Góra, Kiczera.

11. Trzciana.

Czerślenica, Czertyż, Dania hora, Dolina, Doliny, Horb, Hord, Las Astrabec, Las Dziardż, Las Horodka, Las młody, Łazy, Polanka, Salasceska, Szaszc, Worodza.

12. Wilsznia.

Berdzowa, Beskid, Moczarne, Werch lesu, Za horbem, Za selem.

13. Zyndranowa.

Czerwony Horbok, Kiczera Gawłacka, Kiczera horśniewska, Kiczera Telepkowa, Klepka, Kremianka, Łazki, Łazy, Mandry Werch, Matysił, Ostra, Wysoki dił.

14. Polany wieś ruska z polskiem przysiółkiem Huta polańska. Baranne, Dołańce, Huta, Łazy, Od Miscowskiego, Pagoszawa, Podomki, Wielka Góra, Wieś. *Stefan C.*

Czarownica z Sieprawia w pow. Wielickim.

Czarownice z Sieprawia musiały oddawna posiadać sławę w okolicy, skoro weszły do szopki, obnoszonej po sąsiednich wioskach. Gdy czarownicę wysunięto w takiej szopce na scenę, przedstawia się ona publiczności:

Ja se biedna czarownica
Ze Sieprawia wyrobnica.

O jednej takiej biednej czarownicy opowiadała mi w maju 1900 roku p. Klimałowa, starsza osoba, a żona ówczesnego nauczyciela ludowego w Sieprawiu, co następuje:

Jedną kobietę mają tu we wsi za czarownicę i posadzają ją, że umie mleko zepsuć, odebrać krowom i inne praktyki. Czarownice mają chodzić o świcie w Wielki Piątek tam, gdzie rozstajne drogi przecinają potok, a więc w miejsca, któredy przechodzi najczęściej bydła i tam czerpią wodę tak, aby ich nikt nie zobaczył, a tym sposobem odbierają mleko krowom, które tamtędy przechodzą.

Baby we wsi, chcąc sprawdzić praktyki owej mniemanej czarownicy, zastrzegły się tego roku w krzakach nad potokiem i złapały ją, bo przyszła przewiązana powrósłem i z garnuszkiem w ręce nad wodę. Wtedy wyskoczyły baby z ukrycia, przeklinając i krzycząc:

— A tuś mi! Mamy cię czarownico! A po coś tu przyszła? Nie dały jej wody zaczerpnąć i odpędziły.

Czasem przychodzi do mnie ta kobieta; więc gdy przyszła wnet po tym wypadku, mówię jej:

— Wojciechowa, a pocóż wyście chodziła w Wielki Piątek na rozstajne drogi, że was ludzie we wsi okrzyczeli za czarownicę? A ładnie to tak? Opasaliście się powrósłem i szliście po wodę!

— Ale nie prawda, moja pani, a któż mię widział?

— Ano, widziały was te baby, co się tam przyczaiły i złapały was?

— Ale to tylko chciałam się wodą obmyć na wrzody.

A ona ma na rękach koło palców rany, które nie chcą się zgoić. Sama dawałam jej różne maści i karbolem wymywałam, to się niby zgoją, ale wnet otwierają się znowu i ludzie mówią, że jej to ktoś zadał za czary, aby się zemścić. Ludzie u nas radzą, aby się umyć w wodzie w potoku o świcie w Wielki Piątek, to wrzody i rany zginą.

— Przecież wy macie potok pod samą chałupą, to pocóżście szła na rozstajne drogi? — mówię — trzeba się było umyć u siebie.

— Nie prawda, moja pani, co gadają, ja nie nie umiem i nie nie robię.

Później znów przysłała do mnie dziewczynę z prośbą, żebym przyszła. — Po co? — A no, poszłam. A ona kupiła sobie krowę, a ta krowa miała tylko w jednym dojku mleko, a w trzech żywienteńką krew. Prosiła mnie, żeby jej co poradzić, bo ja też chowam zawsze bydło i to i owo czasem się robi. A ja jej mówię:

— A po cóż wy mnie wołacie, kiedyście wy czarownica i sami umiecie koło krów chodzić?

— O, niech też pani jeszcze mnie nie prześladuje, ino mi co pomoże, bo co ja będę robiła? Żebym co umiała, tobym sobie sama dała radę i nie wołała pani.

Ale we wsi wszyscy są źli na nią i nikt jej nie powie inaczej tylko: czarownico! S. U.

Wierzenia ludu w okolicy Andrychowa¹⁾.

W kopalniak jest duch ziomny. Jak wolałkto w kopalni gwizdą, abo śpiwá, abo uozmáwiá, to przychodzi duch ziomny ku niomu. Wyglondá jak cłowiek, jono má kopyta kuońskie. I pytá sie: Co kee? Ziomny duch mu podaje piniody, abo cego kee. Trzeja uodebrać od niego na patyku, jak nie, to na ziomi kázac mu položyc, bo inacy urwálby roko, abo porwálby ze sobą.

Jakby sie topiul, a zbocyl se z kim sie łymál uopłatkem we wilijo, to sie nie utopi.

Jak sie wolałkomu zakce jeś wolaśco, a nie dá mu, dostanie gośca i łymie go gościece.

Podał: Lachendro Franciszek z Inwałdu w roku 1897.

Jak we wilią z dachu ciecze, zima się długo przewlecze.

We wilię jasno, na biedne dziewczki ciasno —
We wilię chmurno, na biedne dziewczki górnó.

Na wilię kupują nowy garnek gliniany i w nim gotują pszenicę z miodem i jedzą ją, aby się pszenica nie śnieciła.

Owies święcony w kościele w dzień św. Szczepana (26. grudnia) dają do owsa, przeznaczonego na »sinie«, aby obrodził; dają go też trochę kurom, aby wczas kwokały.

Jęczmień należy siać po pełni księżyca, wtedy będzie ziarno miękkie, czyli mączyste; sianie przed pełnią sprowadza, że ziarno ma grubą skórę, a więc wydaje dużo otrąb.

(Silna wiara).

Pietruszka i marchew musi jechać po pozwolenie do Rzymu, aby mogła zejść. (Jest to aluzja do późnego wschodzenia tych roślin).

Aby się przekonać, czy ziemniaki obrodzą, bierze się dwa ziemniaki i kładzie w »nogach w łózku« i trzyma się je tam przez 2 tygodnie od św. Macieja (24 lutego) począwszy. Jeżeli

¹⁾ Lud. Tom II. str. 62, 221, 331. Tom III. str. 140.

te ziemniaki w tym czasie »puszczą kieły«, znak na urodzaj ziemniaków, gdy nie — ziemniaki się nie udadzą w tym roku.

Jeżeli we św. Grzegorza (12 marca) jest okiść lub śnieg na drzewach, słupach płotu lub parkanu — to znak, że w tym roku będą dobre ziemniaki.

Po ukończeniu pacierza należy pocałować podłogę czyli ziemię i powiedzieć: »Dziękuję ci święta ziemio, która mię nosisz«.

Gdy chleba kawałek upadnie, należy podnieść i pocałować, bo to dar Boży, a potem jeść. Nie należy na ziemię zrzucić ze stołu okruszyn chleba, boby cię Pan Bóg skarał, ale zmiatać do fartucha lub szmaty i albo dać kurom, aby okruszyny wyzbierały, lub wrzucić pod blachę na ogień. Pan Jezus, gdy kawałeczek chleba zgubił lub upuścił, a małem był jeszcze dzieckiem, to świecił i szukał okruszyn, aby się na ziemi nie poniewierały.

Szymon Gonet.

Strój świąteczny wieśniaka w Podegrodziu

(z tablicą barwną).

W zeszłym roczniku »Ludu« (str. 171—183) podaliśmy opis wspianiałego stroju męskiego ludu sądeckiego. Opis ten zrozumiałym się stał dopiero po przyjrzeniu się dołączonemu obecnie obrazowi, przedstawiającemu wieśniaka z Podegrodzia, wsi położonej pod Starym Sączem, w stroju świątecznym.

Wieśniak ten, ubrany w koszulę białą z przodem haftowanym, ma pod szyją krawatkę oryginalną, kaftan ciemno-granatowy, sukienny, bogato haftowany barwnymi jedwabiami i naszywany mosiężnymi guzikami, spodnie (błękitne) także sukienne i haftowane i pas stary, szeroki, skórzany, zdobny w mosiężne kółka i sprzączki. Do tego nosi buty czarne z cholewami.

Stroje te kosztowne powoli giną, a zastępuje je szara, niemiecka, tania tandeta.

Wiatr.

Gdy bardzo silny wiatr wiał, sypano w Zakopanem dawniej mąkę na węgly domu. Mąkę święcono w dzień Świętej Agaty.

Karol Potkański.

Zwyczaj dawniejsze w Kamieniu (pow. krakowski).

Dawniejsi mieszkańcy tutejszej wioski chodzili w siermięgach długich, płóciennych, zdobnych taśmami i guzami. Każdy prawie wieśniak miał na siermiędze pas szeroki z frendzlami, witkami i t. p. Na głowie nosili duże, wysokie kapelusze, zwane żeleźniakami. Kapelusz taki ozdobiła wstążka szeroka i pióra pawie. Kobiety chodziły w swojskich płócienkach.

W lecie uprawiano tu len, w zimie zaś zajmowano się przedzeniem tegoż. We wsi było wielu tkaczy, którzy wyrabiali płótna z tej przędzy.

Lud pił tylko wódkę, innych trunków nie znał.

Jeżeli gospodarz wyprawiał córce wesele, to trwało ono tydzień. Drużbowie dostawali od druchien wielkie, długie, z piór ułożone bukiety i wstęgi do nich. Druchny sporządzały sobie wianki z różnego kwiecica i liści i ozdobiły je wstążkami szerokimi.

Ks. Augustyn Błachut.

Garncarstwo w Kołaczycach w Galicyi.

Od wieków słynęło daleko garncarstwo kołaczyckie ze swoich dobrych i pięknych wyrobów. Rozwożono je na jarmarki w różne strony, spławiano nawet Wisłą. Dzisiaj przemysł ten ginie tutaj, a garncarze wymrą niedługo, bo nie mają ani czeladników, ani terminatorów. Zresztą któż się dzisiaj będzie kształcił na garncarza, skoro ten nędzny żywot wiedzie, oddając wyroby swoje za bezcen pośrednikom, handlarzom żydowskim. Naczynia żelazne pobiły dzisiaj wyroby garncarskie, to też produkcya garncarzy jest bardzo mała, obliczona zaledwie na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb okolicy. Dawniejsza artystyczna działalność garncarzy upadła prawie ze szczętem. Polewają wprowadzić dzisiaj także i malują nawet naczynia gliniane, ale nie ma się czem w tym kierunku pochwalić.

Do malowania, które się przed polewaniem wykonuje, używają glinki białej i braunszteinu. Glinka moczy się w wodzie i miele w żarnach zwyczajnych. Stosownie do koloru glinki dodają odpowiednią ilość braunszteinu, który się także z wodą miele. Najciemniejsza glinka posiada w domieszce 10% braunszteinu. Do malowania używa się »kałamarzy«. Są to małe garnuszki, do których przy dnie zakłada się w odpowiedni otwór gęsie pióro. Przez stosowne nachylenie kałamarza wylewa się ta gęsta masa na gliniane naczynie, tworząc na niem pożądaný rysunek. Podeschnięte naczynie oblewa się glinką n. p. białą, bez braunszteinu, potem na tem tle maluje się innym kolorem n. p. żółtym (glina z glinką) lub ciemno-szarym (glinka, braunst.) nadając malowidłom różne kształty: kwiatów, ptaków, wazo-

nów z kwiatami, albo fladruje się, lub robi mozaikę tam, gdzie nakrapia się dwoma, lub trzema kolorami, a te pokręca się ze sobą w różnych kierunkach. Wnętrze naczyń (niektórych) wylewa się białą gliną. Niektórych naczyń nie dekoruje się wcale. Najbogatszą dekoracją cieszą się duże dzbanki. Po takim malowaniu schnie naczynie, a gdy wyschnie zupełnie, następuje polewanie.

Do polewy służy glejta z przysadą. Tą przysadą jest biały piasek kwarcowy. Miesza się go z glejtą i miele w żarnach na sucho na pył mialki. Przysadą może być też zwykła glina zwana »mulikiem« po połowie z glejtą. Pierwsza jest przeźroczysta druga brunatno-czerwona. — Trzecią polewę wiśniową, najpiękniejszą robi się w ten sposób, że miesza się glejtę z braunszteinem (12% braunszt.) i miele się. Ten pył urabia się z wodą na rzadką masę, jak farbę ścienną, macza się w niej pędzel i maluje, podczas gdy drugi pracownik to samo wilgne naczynie posypuje przez sitko tą samą glejtą suchą. Polewę wiśniową daje się naczyniom nie dekorowanym, gdyż jest nieprzeźroczysta i połyskująca. Tak »omaczane« i ob-sypane naczynie daje się do pieca garncarskiego i wypala.

To jest sposób malowania i polewania naczyń glinianych kołaczycki, tylko kołaczycki, tani i dobry. Gdzieindziej wypalają naczynie dekorowane, wyjmują z pieca, oblewają glejtą, którą mielą razem z wodą i wkładają drugi raz do pieca i znowu wypalają. Jest to czynność bardzo mozolna, bo trzeba wtedy przerzucić 50 kóp t. j. 3.600 lub więcej sztuk naczyń 2 razy; a ile ich się przy tem rozbije! Dawniej nie dekorowano naczyń, tylko suche oblewano glejtą. Naczynie wszystko było lakowe. Zieleni, miedzi pomieszanej z glejtą używano na zieloną polewę, lecz nie jest ona trwała.

Józef W.





POSZUKIWANIA.

Prośba nasza zwrócona do Szanownych Czytelników i przyjaciół naszego pisma pomieszczona w poprzednim zeszytacie »Ludu« (str. 82—84) nie przebrzmiała bez echa. Otrzymaaliśmy już pierwsze przyczynki do spraw omawianych. Umieszczamy je poniżej i spodziewamy się, że w następnych zeszytach będziemy mogli pomieścić ich znacznie więcej z różnych stron kraju.

I. Św. Stanisław Szczepanowski.

W Skawinie opowiadają, że święty Stanisław Szczepanowski, biskup krakowski, uciekając przed pogonią króla Bolesława Śmiałego, miał tu szukać schronienia. Ponieważ jednak mieszczenie skawinińscy doznawali życzliwości króla, przeto nie tylko nie dali schronienia biskupowi, ale jeszcze uwiadomili króla o jego pobycie w Skawinie. Byli to, jak wieść niesie, Niemcy przez poprzedników Bolesława Śmiałego sprowadzeni i tu osadzeni, aby uczyli rzemiosł ludność miejscową. Dowiedziawszy się o zdradzie święty Stanisław, zabołał bardzo i w żalu wielkim wyrzekł: »Bądź przekłętą Skapino, co zdradzasz pasterza swego«! Przekuł też konie podkowami w odwrotną stronę i uciekł do Świątnik, które się wtedy zwały »Szczytnikami«. Te to Szczytniki miał nabyć św. Stanisław od Piotrowiny. Od czasu tego przekleństwa rzuconego przez św. Stanisława na Skawinę, nie powodziło się tutaj kolonistom niemieckim tak, że zupełnie »skapali do imienia«. Powiadają też, że żołnierze, którzy ciało świętego Męczennika porabiali na 72 części przed kościołem na Skałce w Krakowie, pochodzili właśnie ze Skawiny i byli synami owych kolonistów niemieckich.

Stary obywatel skawiński, p. Skalski, opowiada zaś, że w rzeczywistości inaczej rzecz się miała ze zdradą św. Stanisława. Szedł sobie — powiada — św. Stanisław okryty płaszczem, ażeby go nie poznano, przez ulicę Skawińską w Krakowie ku kościołowi katedralnemu na Skałce. Przekupki, sprzedające na tej ulicy, poznały go jednak i dały znać żołnierzom, szukającym świętego. Żołnierze zawiadomili o tem króla, a ten wpadł sam do kościoła i zamordował biskupa.

Stanisław Czaja.

II. Pierwszy grzmot.

Pierwszy grzmot, jak pierwsze kukanie kukułki, wita lud w okolicach Szczepanowa i Bochni z radością i oczekuje go z niecierpliwością, bo na głos jego aż ziemia z radości drży i »buchnieje« (pulchnieje), — bo pierwszym grzmotem przestraszone zimno ucieka gdzieś na północ, a rozkoszna wiosna rozpoczyna na dobre swoją gospodarkę. Wszystkie wróżby, jakie do tego zjawiska przywiązuje, są wogóle pomyślne, dobre; każdy się cieszy, gdy pierwszy, wiosenny grzmot usłyszy. Jedni czempredziej chwytają kamienie i biją się nimi z lekka po głowie, aby przez cały rok bólu głowy nie cierpieli, inni rzucają się na ziemię, a tocząc się po niej, jak walce, ciesząc się, że będą mieli urodzaj na ziemniaki, inni znów szczęśliwymi się czują, gdy, mając choć drobną monetę przy sobie, mogą jej brzękiem odpowiedzieć na pierwszy głos grzmotu, bo im przez cały rok nie zabraknie pieniędzy. Smućą się zaś, gdy wtedy pieniędzmi pobrzęknąć nie mogą; nie pociesza ich nawet to, gdy w domu mają zapas pieniędzy, bo »bieda cały rok ćwiczyć ich będzie«, gdy ich przy pustej kieszeni »ogrzmiało«. Gdy jednak zbyt wcześnie n. p. w styczniu, albo lutym zagrzmie, albo, co gorsza, gdy piorun uderzy, to już jest oznaką Bożego gniewu, wskutek którego nastąpi albo zbytnia posucha, albo nieurodzaj, albo nawet jakaś zaraza na plony, bydło lub ludzi.

Stanisław Czaja.

III. „Maj“.

Przystrojona wstążkami i kokardami z różnokolorowego papieru, a nawet sztucznymi kwiatami i świecidełkami wiechę zwaną »majem« wystawiają »kawalerowie« dziewczętom na wydaniu, szczególnie córkom majątniejszych gospodarzy, na najwyższym drzewie, rosnącym przy domu dziewczyny. Zwyczaj ten, opisany zresztą w poprzednim zeszycie »Ludu« zachowuje się dotąd we wioskach koło Wadowic jak n. p. w Frydrychowicach, Przybradzu, Graboszycach, Radoczy, Tomicach, Choczni, Inwałdzie, Gierałtowicach i dalej ku zachodowi aż do

granicy śląskiej. »Rzęsisty« (gęsty) wierchołek świerka lub jodełki, ubrany, jak wyżej wspomniano, przywiązują do długiej tyki lub żerdzi, a wyspinawszy się w nocy z 30. kwietnia na 1. maja potajemnie ku wierchołkowi najwyższego drzewa przy domu, przywiązują tę żerdź tak, aby ów »maj« sterczał wysoko ponad gałęziami drzewa i z daleka był widoczny. Wczesno rano (1. maja) przychodzą z muzyką i starają się »ograć« domowników jeszcze w łóżku. Rzadko jednak da się dziewczyna w łóżku »ograć«. Na pierwsze odezwanie się muzyki, pokazuje się w oknie ubrana, czem daje dowód swojej pracowitości. Spodziewający się tego gospodarz ma już trunki w pogotowiu i przyjmuje miłego mu konkurenta obfitym poczęstunkiem, nie-miłego odprawia z niczem, dając muzyce za granie stosowną kwotę pieniędzy.

Stanisław Czaja.

Redakcya »Ludu« uprasza o dalsze przyczynki.





KRONIKA.

Komisya antropologiczna Akademii Umiejętności w Krakowie, zajmująca się badaniami antropologicznymi, archeologią przedhistoryczną i etnologią wydała w roku 1904 tom VII Materiałów antropologiczno-archeologicznych i etnograficznych z 13 tablicami i 6 rycinami w tekście, o 365 str. druku. Na dorocznem publicznem posiedzeniu Akademii Umiejętności w Krakowie, jakie się odbyło dnia 20. maja b. r. sekretarz generalny Akademii przedstawił czynności tej komisji za czas od kwietnia 1904. r. do kwietnia 1905. r. jak następuje:

Komisya antropologiczna otrzymała do działu czysto antropologicznego 2 prace Dra Juliana Talko-Hryncewicza p. t.: »Mieszkańcy Wilna z drugiej połowy XVI. i początków XVII. stulecia«, oraz »Muslimowie czyli t. zw. Tatarzy litewscy«, zarys antropologo-etnologiczny.

W dziale archeologii przedhistorycznej prowadzili pp. Maryan Wawrzeniecki i Szczesny Jastrzębowski dalsze poszukiwania archeologiczne na obszarze Królestwa Polskiego, a mianowicie w gubernii Radomskiej, Kieleckiej i Piotrkowskiej i złożyli z nich Komisji szczegółowe sprawozdanie na piśmie, które dostarczyło wiele nowego i ważnego materiału naukowego.

Również Dr. Włodz. Demetrykiewicz składał na posiedzeniach Komisji sprawozdania z swoich ostatnich badań archeologicznych w Miechowskiem a mianowicie: poszukiwania archeologiczne dokonane w Stradowie pozwoliły stwierdzić, że tamtejsze ogromne a dotąd archeologicznie zagadkowe grodzisko z wałami ziemnymi i żuźłowymi, pochodzi z ostatniej najmłodszej epoki przedhistorycznej na przełomie ku czasom historycznym. Równocześnie jednak na podstawie wykopalisk grobów szkieletowych z ceramiką neolityczną oraz grobów cia-

łopalnych z epoki t. zw. Rzymskiej III wieku po Chr., odkrytych na polach Stradowa, wykazał Dr. Demetrykiewicz, że okolica ta była osiedloną także w dawniejszych okresach przedhistorycznych.

Poszukiwania archeologiczne przedsięwzięte przez Dra Demetrykiewicza na grodzisku zwanem »Zamczysko« w Janowiczach, oraz na grodzisku zwanem »Kopiec« we Wrocimowicach, w powiecie Miechowskim, dostarczyły dowodów, że oba te grodziska także odnieść trzeba do epoki wczesnohistorycznej.

Dr. Demetrykiewicz podjął wreszcie wycieczkę do Bilcza Żłotego w Galicyi wschodniej w celu kontynuowania badań w tamtejszej gromadzie skalnej, zwanej »Werteba«, oraz w celu ostatecznego uporządkowania i przewiezienie do Muzeum Akademii Umiejęt. cennych i ważnych wykopalisk, odkrytych tamże, poczynwszy od roku 1891, przez Ossowskiego i przez siebie, które obecnie przewiezione do Krakowa w 50-ciu pakach, stanowiąc będą w Muzeum Akademii zupełnie osobny dział na mocy specjalnej umowy, zawartej między Zarządem Akademii a właścicielami Bilcza ks. Sapiehami.

Oprócz tego przybyły do Muzeum archeologicznego wykopaliska przywiezione z wycieczek pp. M. Wawrzenieckiego i Szcz. Jastrzębowski, oraz Dra Demetrykiewicza, a nadto darował ks. Romuald Wiadrowski popielnicę znalezioną we wsi Smrokowie koło Prandocina w Miechowskim, a p. Eustachy Mirecki wykopaliska rozmaite z okolicy Stradowa, wreszcie pp. Massalscy bardzo piękny kamienny siekieroklin z Lełowie w Miechowskim.

W dziale etnograficznym na posiedzeniach Komisji p. Seweryn Udziela omawiał »Charakterystykę sprzętów i naczyń w Sądecczyźnie«, ilustrując wykład rysunkami i malowidłami zestawionemi na 22 tablicach, a p. Roman Zawiliński: »Użycie fonografu do badań etnograficznych i językowych« odtwarzając fonografem oracyę drużby weselnego i pieśni ludowe z Podhala.

Dział ten otrzymał dwie prace a mianowicie:

P. Felicja Koskowna nadesłała: »Przysłowia małopolskie i ważniejsze a często używane wyrażenia, zebrane w Krzysztofówce, w powiecie lipowieckim, w gubernii Kijowskiej«.

P. Jan Świętek przedłożył: »Przeżytki zebrane wśród ludu polskiego w Galicyi od 1901. r. do 1904. r.«.

Szczególniejszą uwagę zwróciła Komisya na gromadzenie, należycie opracowanego i przygotowanego do druku materiału do wydawnictwa »Ubiórów ludu polskiego«. Otrzymała też Komisya od p. Heleny Morozewiczowej rękopis: »Ubiory ludowe w powiecie lubartowskim«, obejmujący oprócz tekstu 14 tablic kolorowych, 6 fotografii i mapę. Dr. Bronisław Malewski,

zajmujący się od dłuższego czasu badaniem ubiorów ludowych polskich, przyrzekł współpracownictwo swoje na gubernię lubelską, — a p. Stanisław Graeve z Biskupie ofiarował wydawnictwu »Ubiórów ludu polskiego« 1.000 arkuszy z typami ludowymi z Lubelskiego, wykonanych drukiem trójbarwnym według akwarel artysty malarza p. Kietlicz-Rayskiego, a wydanych własnym nakładem.

Nadto zwróciła Komisya uwagę na budownictwo ludowe na Spiżu i badania w tym kierunku powierzyła p. Feliksowi Taroniemu.

Wystawa budownictwa polskiego w Krakowie. Towarzystwo »Polskiej sztuki stosowanej« urządziło w miesiącu kwietniu i maju bieżącego roku w pałacyku hr. Czapskich przy ulicy Wolskiej w Krakowie wystawę rysunków, fotografii, dzieł i broszur, odnoszących się do budownictwa polskiego. Była tam uwzględniona chata chłopska, dom mieszaczański, dworek szlachecki, wreszcie kaplica, kościół, cerkiew i bóżnica — były budynki gospodarskie, spichlerze — jednym słowem całe budownictwo. Materiał nadzwyczaj ciekawy i bogaty obejmował Ziemie polskie od Spiża i Szlaska aż po Bałtyk i Żmudź Świętą z jednej strony a Wołyn i Podole z drugiej. W wystawie wzięły współudział osoby, zajmujące się poważnemi studjami nad budownictwem polskiem, jak n. p. ś. p. K. Mokłowski, p. Brenstajn i inni, wzięli też udział liczni miłośnicy rzeczy swojskich, nadsyłając rysunki i fotografie. Z dzieł drukowanych, poświęconych temu przedmiotowi, widzieliśmy Matlakowskiego, Witkiewicza, Bersona, dr. Eliasza Radzikowskiego, Puszeta; wogóle na każdym kroku przebijiała staranność Komitetu urządzającego wystawę i p. Jerzego Warchałowskiego, właściwej sprężyny tego przedsięwzięcia, aby zgromadzić i zestawić wszystko, aby zadokumentować, że w starem budownictwie polskiem tkwi jedna myśl, jeden charakter. Z przeglądu wystawy tej, na której oglądaliśmy wiele bardzo ciekawych rzeczy, a których tutaj tylko dla braku miejsca wymienić nie możemy, nasuwają się dwie uwagi:

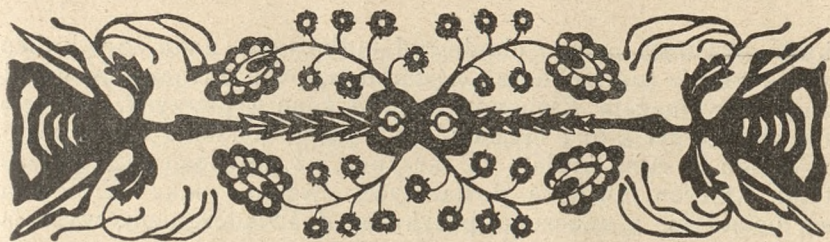
Budownictwem naszym, starem za mało zajmują się fachowcy, budowniczkowie, architekci; widzieliśmy na wystawie bardzo mało zdjęć konstrukcyjnych, zdjęć umiejętnie przeprowadzonych z planami sytuacyjnymi, przekrojami i tymi wszystkimi szczegółami, które do umiejętnego badania przedmiotu przedstawionego rysunkiem są niezbędnie potrzebne. Większość rysunków i fotografii traktowana przez panie amatorki i panów amatorów tylko jako miłe »widoczki« znacznie mniej wartościowe ma znaczenie dla studyów nad budownictwem polskiem. A przecież pragniemy zbadać, czy w dawnem naszym budownictwie tkwią jakie odrębne naszemu narodowi wła-

ściwe pierwiastki architektoniczne i czy zasługują one na to, aby je podtrzymać i rozwinąć. Takie zagadnienie po dyletancku rozwiązać się nie da. Panowie architekci powinni stawić się pierwsi do tej wdzięcznej pracy, tem więcej, że już mają utorowaną drogę znakomitemi studjami: Matlakowskiego, St. Witkiewicza, Mokłowskiego, Puszeta i innych.

Druga uwaga, jaka się nam nasunęła na ostatniej wystawie budownictwa polskiego jest ta, że materyał jaki już mamy, należałoby umiejętnie opracować i wydać, bo tylko wtedy będzie dostępny dla wszystkich, którzy pracują nad stworzeniem odrębnego stylu w polskiej architekturze.

† **Kazimierz Mokłowski** (ur. 1869 r. zmarł 14 maja 1905 r.). W młodym wieku, bo zaledwie w 36 roku życia zabrała śmierć dzielnego pracownika nad »Sztuką ludową w Polsce«. Jego obszerne i bogato ilustrowane dzieło w tym kierunku, jakie przed rokiem ukazało się na półkach księgarskich było niezmiernie pożądanem zjawiskiem. Oparty tylko na własnych środkach, autor ogarnął w swem dziele obszerną i trudną do opanowania dziedzinę, zebrał rozrzucony materyał i stworzył całość, która dla dalszych w tym kierunku badań zachowa długo wielką doniosłość. Uwzględniając skrzętnie krajową i obcą literaturę ś. p. Mokłowski zużytkował ją w bardzo odpowiedni sposób. Nad ukochanym przez siebie przedmiotem pracował do ostatniej chwili życia, a zaledwie przed paru tygodniami jeszcze nadesłał Akademii Umiejętności w Krakowie przeszło sto, przez siebie dokonanych zdjęć fotograficznych w roku ubiegłym w Galicyi wschodniej i zachodniej, odnoszących się do naszej sztuki ludowej. Wziął też udział w wystawie budownictwa drewnianego w Polsce w kwietniu i maju b. r. w Krakowie. Cześć jego pamięci.

Panie amatorki i panów amatorów fotografii uprasza redakcy »Ludu« o nadsyłanie zdjęć fotograficznych chat wiejskich, starych domów mieszczańskich, dworów, kościołów i kaplic, typów ludowych w strojach narodowych, orszaków weselnych i pogrzebowych, procesyj, uroczystości dożynkowych i t. d. wraz z podaniem przynajmniej krótkiego opisu co przedstawiają i skąd pochodzą. Dobrze wykonane fotografie, opatrzone opisaniami odpowiednimi chętnie pomieści redakcy w »Ludzie«.



LITERATURA.

A. Przegląd czasopism.

„Tygodnik ilustrowany“, poświęcony literaturze, nauce i sztukom pięknym. Warszawa, 1904. (C. d.)¹⁾.

Gadka ludowa A. Piotrowskiego »O babie co ozora za zembami trzymać nie umiaua« zgodna jest co do treści prawie we wszystkich szczegółach z takąż gadką O. Kolberga²⁾; różni się zaś od niej pod względem języka tem, że napisana jest w gwarze podlasko-mazurskiej, podczas gdy K. opowiada ją zwykłym, ogólnie polskim językiem. O ile z całości sądzić można, oddał p. P. tę gwarę poprawnie i konsekwentnie: zakradło się jednak kilka pomyłek przeważnie w użyciu samogłoski *a*, która zazwyczaj wszystkim, nie wtajemniczonym grunto-wnie w właściwości gwarowe najwięcej sprawia kłopotu. Tak też i p. P. pisze poprawnie: pado (w znacz. powiada) naloż zobocyu ale obok tego: pada i podo, noloż zobacyua; padou i padau zam. podou = padał (deszcz), poński zam. pański, czy z. cy i kilka innych może poprostu drukarskich błędów.

W drugiej gadce opowiada tenże autor »O takim dziadu, co się w rzeczy z królewnom ozynił«.

Oto jej krótkie streszczenie.

Jeden bardzo bogaty król miał córkę jedynaczkę, która nietylko że nic zgola nie chciała robić, ale się nawet nie cze-sała i nie myła, tylko leżała po całych dniach na pierzynie i jadła kiełbasę z ciastkami. Ponieważ niechciała wyjść za żadnego ze starających się o jej rękę, przeto król rozgniewany kazał jej wybrać sobie męża z pośród dziadów zwołanych z całego

¹⁾ Lud t. XI str. 104.

²⁾ Krakowskie. Cz. IV nr. 88.

kraju. Wybrała małego, chudego dziadka, licząc na to, że w krótkce »parę puści« (umrze) a ona zostanie wdową. Tymczasem dziad zostawszy mężem królowny spędził żonę z pierzyny, sam się na niej ułożył a ona musiała mu donosić jedzenie od rana do wieczora a sama sypiała na skrzynce, aż pewnego razu jedząc flaki, których mu żona dostarczyła, »wzion i pęk«. Królowna się ucieszyła, a nauczona przykrem doświadczeniem, wybrała już teraz jednego z pośród starających się o jej rękę królewiczów.

Rzecz napisana jest w gwarze radomskiej ale z podobnemi omyłkami jak i poprzednia. I tak n. p. czytamy poprawne: *cerwone, zaceni, wiecór i t. d.* obok zwyczajnie, zobaczyła, w rzeczy; *chces, posła, ucieszyła, próskiem i t. d.* obok: *poduszki, zeszyły, odeszły i t. d.* dopiero i dopiero, *że i ze, się i sie, ja i jo, lezoł* ale obok tego *mamrotał i t. d.* Niezawodnie też i *ł* wymawiają w tej gwarze (podobnie jak i w innych) jak *u* (ű), co też autor w poprzedniej bajce istotnie uwzględnił, pisząc: *chuop; wouami, byuo i t. d.* Ale pominawszy tę stronę fonetyczną, opowiadanie to (podobnie jak i poprzednie) pod względem wyrazów, zwrotów, budowy zdań i t. d. nosi na sobie wszystkie wybitne cechy gwarowe.

Obydwie bajki opatrzone są licznymi rycinami wykonanemi przez autora.

Dobrze uczyniła redakcja »Tygodnika«, że do programu tego pisma przyjęła także podawanie artykułów z zakresu literatury ludowej. Nie każdy z czytelników ma sposobność zaglądania do wydawnictw poświęconych ludoznawstwu (jak *Materiały antropolog.* wyd. przez Akad. Um., *Wisła, Lud*) a przecież takie legendy, podania, baśnie i bajki ludowe, odznaczające się po części fantazyą i humorem, opowiedziane w języku gwarowym a nadto urozmaicone ilustracjami stanowią nietylko bardzo interesujący przedmiot lektury ale nadto przyczyniają się do obznajomienia czytelników z tą gałęzią literatury.

W artykule „**Z katedry na Wawelu**“ zdaje p. Prokesch sprawę z dokonanych w dalszym ciągu robót w katedrze, w szczególności zaś zastanawia się nad wspaniałą polichromią, jaką artysta malarz, p. W. Tetmajer pokrył kaplicę królowej Zofii. Nie mam zamiaru podawać treści całego artykułu, pełnego pochwał dla artysty, chcę tylko zwrócić uwagę na to, jakim wpływem przypisuje sprawozdawca, że twórca działalność artysty, która w powyżej wzmiankowanej polichromii tak znakomicie się uwydatniła, rozwinęła się w tym kierunku. Oto »chrzestnym jej ojcem — pisze — był Matejko, który swemu uczniowi dostarczył wzoru i metody tego rodzaju tworzenia, macierzą zaś było umiłowanie ludu i wsi, które artysta w dziele swem zespolił z ideą historyczną«, to też owe postacie, które widzimy wśród bogatej ornamentacyi »niby królowie, niby chłopci, oto-

czone są girlandami tańczących aniołów, przybranych w wiejskie, wzorzyste sukienki, o modrych oczach i płowych włosach — a pierwsi piastowie: Mieczysław, Chrobry, Dąbrówka są to wspólnie uchwycone typy ludowe z Bronowic, w strojach pół-chłopskich, pół-królewskich».

W związku z poprzednim pozostaje artykuł J. Kleczyńskiego o wydawnictwie Tow. Pols. Sztuki Stosowanej. W sprawozdaniu swoim przyznaje p. K. wielką zasługę Witkiewiczowi, że zwrócił uwagę na ornamentykę górali tatrzańskich. To dało pochop do dalszych badań na tem polu; z czasem przekonano się, że tu niema się do czynienia z oryginalnym pomysłem ludu tatrzańskiego, gdyż podobne motywy znaleziono i w innych częściach kraju a nawet na pasach litych, wyrabianych w 17 i 18 wieku w Słucku i w Krakowie.

Wskutek zajęcia się społeczeństwem tą sprawą powstało Towarzystwo Pols. Szt. Stos. którego wydawnictwa mają pobudzać artystów nietylko »do naśladowania dawnej ornamentyki polskiej ile raczej do dalszej twórczości w tym kierunku«. Już to, co zebrano w trzech pierwszych zeszytach tego wydawnictwa, dowodzi »wielkiego poczucia estetycznego i bujności wyobraźni w kierunku wynajdywania nowych fantazyjnych form u ludu litewskiego«. Najbardziej zaś uderza w ornamentyce ludu »owa nienasycona chęć jak najbogatszego przyozdobienia przedmiotów do codziennego użytku przez niezliczone kombinacje liści, kwiatów, ptaszków fantastycznych deseni« i t. d.

Dziwimy się nieraz, że nasz »ciemny lud« wierzy w czary, gusła, zabobny i często jeszcze teraz nimi się posługuje, tymczasem z artykułu p. J. O. p. t. »Z czarnej magii« dowiadujemy się, że w Paryżu, tem ognisku cywilizacji, przebywa mnóstwo czarownic i wieszczek. Według paryskiego czasopisma „*Les Annales*“ używają one do swych celów trzech metod: 1. Bierze się żabę, chrzci się ją jak dziecko, nadaje się jej imię osoby znienawidzonej, potem męczy się ją w różny sposób a tych samych cierpień, co żaba, doznawać będzie osoba, której czarownica chce dokuczyć. — 2. Robi się lalkę z wosku, podobną ile możności do osoby, którą się chce zaczarować; do wosku trzeba jednak dodać coś takiego, co jest własnością ofiary n. p. zęb, włos, paznokieć i t. p. Następnie chrzci się lalkę tak samo jak żabę a potem kłuje się ją szpilką w okolicy serca; skutek będzie ten sam, co poprzednio. — 3. Operator magiczny wysyła jakieś medium, które pozbawia życia osobę znienawidzoną.

Powyższe czasopismo utrzymuje, że owe czarownice cieszą się wielką klientelą i ciągną wielkie zyski. Od siebie dodaje p. J. O. »że opisane powyżej praktyki nie przynoszą fol-

klorystyce żadnego nowego materiału faktycznego. Żaby, lalki i tajemnicze działania sobowtórów fluidycznych znane były od dawna czarodziejom i znachorom świata starożytnego i wieków średnich«.

Tocząca się obecnie tam na Dalekim Wschodzie wojna wkłada na dziennikarstwo obowiązek zaznajamiania czytelników z krajami, które są teatrem wojny, jakoteż i z ludami, które w pośrednim lub bezpośrednim związku z tymi wypadkami dziejowymi pozostają. »Tygod. illustr.« spełniając to zadanie umieścić szereg odpowiednich artykułów, których tytuły już na początku niniejszego sprawozdania wymieniłem¹⁾.

Główne zainteresowanie zwraca się tym razem ku Japończykom (a po części i Chińczykom) nie tylko dlatego, że tak mężnie i skutecznie wystąpili przeciwko najazdowi wroga ale i dlatego, że cywilizowana Europa mniej się nimi dotychczas zajmowała, niż na to zasłużyli.

Do tej kategorii artykułów należą najprzód dwie legendy japońskie. Pierwsza, podana przez W. Renarda (nie Bernarda, jak poprzednio mylnie wydrukowano²⁾) opowiada o stworzeniu kobiety. Kiedy Bóg stworzył człowieka, ten przez długie wieki żył zadowolony i szczęśliwy; widząc to duch złego, wszczepił w jego serce »przesyt i pragnienie«. Wtedy dobrotniwy Stwórca »wziął zimny, złoty blask księżyca, kilka gorących promieni słońca, elastyczność trzciny, lekkość obłoków, zapachy kwiatów... twardość djamentu, krwiożerczość tygrysa, tchórzliwość myszy... zimno mrozu i barwy tęczowe, gorycz piołunu, słodycz miodu« jednym słowem dobre i dostatnie obok najgorszych własności różnych tworów przygody, zmieszał to wszystko razem, stworzył z tego kobietę i oddał ją tęskniącemu człowiekowi. Ten uszczęśliwiony rozpoczął teraz nowe życie, lecz już po ośmiu dniach prosił Boga, aby wziął od niego kobietę, co się też stało. Ale za ledwie upłynęło osiem dni, znów począł wołać do Stwórcy: oddaj ją! oddaj! bo uschnę z tęsknoty. Niebawem nastąpił nowy objaw niezadowolenia, ale tym razem obrażone bóstwo nie wysłuchało człowieka i zostawiło go własnemu losowi. Wtedy stroskany po raz pierwszy zadał sobie człowiek pytanie: »Szczęściem czy klątwą będzie dla mnie ona?... Z nią żyć tak trudno, a bez niej »nie mogę!«

Marya Rodysowa podaje drugą legendę japońską p. t. **Smok Jatama**. Sesanoonomikoto, brat Amateru, bogini słońca, któremu zawsze wielką przyjemność sprawiało, ile razy mógł innym bogom zrobić jaką psotę, wpadł pewnego razu na niefortunny pomysł i podpalił wspaniały warsztat tkacki swej

¹⁾ Lud t. XI. str. 104.

²⁾ Lud I. s. 104.

siostry. A. dotknięta tem do żywego, wpadła w straszny gniew i usunęła się do głębokiej groty, postanowiwszy nie wychodzić stamtąd. Niebo i ziemia pogrążyły się teraz w ciemności; ludzkość przerażona sądziła, że nadeszła już dla świata ostatnia godzina, lecz i bogowie w niebie byli niemniej zaniepokojeni. Wtedy za radą jednego z bogów wywabiono Amaterę z groty za pomocą muzyki i śpiewu, a gdy wszyscy bogowie zaczęli ją błagać, aby ich nadal nie pozbawiała światła, przystała na to pod warunkiem, że jej brat będzie ukarany. Żądaniu jej stało się zadość, Sesan, został wygnany z nieba.

Tułając się po ziemi znalazł się raz boski młodzian przed nędzną, górską chatą, a przez szparę zobaczył dwoje staruszków, zalewających się gorzkimi łzami, tudzież młode dziewczę, nadzwyczajnej urody, pogrążone również w głębokim smutku. Wszedłszy do chaty, dowiedział się o przyczynie smutku tych nieszczęśliwych. Oto w pobliskiej jaskini przebywał Jatama, straszny smok, który co rok porywał im jedno dziecko. W ten sposób stracili już siedm córek, a właśnie w tym dniu miała ostatnia stać się pastwą tego potwora. Sesan pocieszył zrozpaczonych, przyrzekając zabić smoka. Jakoż zaraz przyniósł z góry 8 dużych kamieni, umieścił je przed chatą i mocą zaklęcia swego zamienił w stągwie, które napełnił wodą. Zamieniwszy potem wodę w przepyszny napój saki umieścił piękną Inadahime na wzgórzu tak, aby się jej oblicze odbijało w każdej stągwi.

Nadszedł wieczór. Przy świetle księżycy ukazał się potwór, który zwabiony zapachem saki, zbliżył się do stągwi a ujrawszy w każdej oblicze dziewczycy, począł chcieć pić zdradliwy napój, to też niebawem upojonego ogarnął sen głęboki. Wtedy S. wyszedł z ukrycia i odrąbał wszystkie głowy smokowi.

Teraz młody bóg pojął za żonę piękną Inadahime, wybudował dla niej wspaniały pałac, a gdy się skończył czas jego wygnania, zabrał ją do nieba, gdzie ją bogowie przyjęli do swego grona.

Pałac, w którym mieszkał Sesan, przemieniono na świątynię, która się stała miejscem pielgrzymek, a drogocenny miecz, znaleziony przez tego boga w ogonie zabitego smoka, stanowi jeden z trzech talizmanów narodowych Japonii. Legendę tę zdobią oryginalne rysunki japońskie według książki wydanej w roku 1901 w Tokio.

Nowy Rok w Japonii. Japończyk z jednej strony nie ustępuje urzędowo zewnątrznie żadnemu ze społeczeństw zachodnich, z drugiej strony, jako człowiek prywatny zostaje głębokim czcicielem i wyznawcą obyczajów i wierzeń swoich przodków azjatyckich. N. Rok t. j. Święto początku wszechrzeczy, obchodzą od lat 30 według kalendarza gregoryańskiego. Mikado w osta-

tnim dniu starego roku, przybrany w szaty arcypłana, jako bóg wyznania krajowego, składa ofiary ceniom swych przodków, bogów jak i on sam. Nazajutrz, w sam dzień N. R. występuje już w mundurze generalskim i przyjmuje życzenia, składane mu przez dostojników według ceremoniału europejskiego.

Po ulicach stolicy i większych miast widać tłumy przechodniów, przybranych w mundury, szpady, kapelusze stosowane, białe rękawiczki i t. d. Młodzież gromadzi się w szkole, aby wysłuchać przemowy o wielkości swej ojczyzny, a po odśpiewaniu hymnu narodowego rozechodzi się do domu. Dzień 13-go stycznia jest świętem wierzących; w tym dniu muszą być obowiązkowo spłacone wszelkie długi, chociażby w ciągu roku wierzytel na zwłokę zezwalał. 15-go kończą się uroczystości noworoczne.

P. J. K. podaje bardzo interesujące szczegóły o pierwotnej religii Japończyków. Japończycy czczą kilka tysięcy bóstw, wyobrażających siły przyrody oraz duchy wielkich wodzów, uczonych i władców. Składają im ofiary z ryżu, owoców, kwiatów i żywych ptaków. Ta religia zwana »szintoizmem«, która wskutek wpływu Chin na Japonię przez wiele wieków była w upadku, należy do wyznań uznawanych przez państwo obok buddaizmu. W dalszym ciągu następuje opis kosztownie i artystycznie ozdobionych świątyń w Nikko. Zastępuje tam między innymi na uwagę artystycznie wykonana rzeźba trzech alegorycznych małp, z których jedna zatyka sobie rękami uszy, druga oczy, a trzecia usta na znak, że nie chce nic złego ani widzieć, ani słyszeć, ani mówić.

Dr. W. Kosiński.

„**Nasze Kłosa**“¹⁾ umieściły w 6 nrze z r. 1904 pod tytułem: »Złotowłosa dziewczica« treść klechdy »O trzech braciach« spisanej przez Wójcickiego. (Złotowłosa dziewczica oświadcza jednemu z trzech braci, że mu odda swą rękę, pod warunkiem, że wprzód zgładzi jej matkę, czarownicę). Zaznaczono tam, że ta klechda z upływem długiego czasu, z ust do ust podawana, straciła w części swój pierwotny charakter nietylko w swej treści ale i w formie. »Przypuszczać trzeba — pisze autor — że w pierwotnej wersji musiała to być bądź macocha, bądź też poprostu czarownica złośliwa, więżąca w swoim zamku jakieś królewny wykradzione rodzicom, albowiem w żadnej baśni nie napotyka się zbrodni matkobójstwa uchodzącej bezkarnie«.

W nrze 10-tym tego samego czasopisma (z d. 11. marca 1904) podaje Jerzy Wernicz legendę o rosie. Rosa jest to ła

¹⁾ Jestto dodatek literacki do wychodzącego w Warszawie pisma dla kobiet p. t. »Dobra gospodyni«.

dzieciątka Jezus, tudzież łyzy traw i kwiatów, które nad niem zapłakały, gdy zgłodniałe uciekało z rodzicami do Egiptu.

K. W.

Zeitschrift für österreichische Volkskunde. Redigiert von Dr. Michael Haberlandt. X. Jahrgang 1904. Wien.

Razem z »Ludem« przed dziesięciu laty zaczęło wychodzić w Wiedniu czasopismo austriackiego towarzystwa etnograficznego: »Zeitschrift für österreichische Volkskunde«. Redagowane starannie zawiera także garstkę materiału do ludoznawstwa polskiego. W tomie X oprócz wielu drobnych artykułów znajdujemy kilka prac obszerniejszych. I tak: Józef Schramek: Typowy dom wieśniaczy w Czeskim Lesie, z 23 rycinami. — Autor opisuje szczegółowo budownictwo ludowe i zdobnictwo budowlane w tamtej części kraju, ilustrując wszystko odpowiedniami rycinami. — Józef Blau: Deski grobowe w okolicy Neuern, Neumark i Neukirchen, z 5 rycinami i jedną tablicą. U nas przechowany tylko w przysłowiu: »wierny do grobowej deski«, zwyczaj wystawiania ciał zmarłych na deskach, które potem zdobią krzyżami i napisami i umieszczają wzdłuż murów kościelnych, obok krzyżów przydrożnych i kapliczek, jest tutaj w powszechnem użyciu¹⁾. Wilhelm Tschinkel: Podania ludowe w okolicy Gottschee. Wszystkie baśnie przystosowane są do górzystej i bezwodnej okolicy; z tych wiele o boginkach, o zakopanych skarbach ma podkład ogólnoeuropejski. Karol Adrian: Przysłowia i błogosławieństwa ludowe z okolicy Flachgau w Salzburgu. Domy, otoczone kwiecistymi ogródkami, zdobią tu mieszkańcy różnymi napisami nad drzwiami lub oknami (u nas dzisiaj tylko na tragarzu); obok napisu umieszczają nieraz figurę św. I. Czech v. Czechenherz: Przyczynki do ludoznawstwa Morawii i Śląska. Autor podaje opowiadanie o wędrówkach P. Jezusa, o kiju samodaju, ucieczka (Mick) i inne znane tak u Słowian jak i Germanów. Demeter Dan: Wierzenia i zwyczaje Armeńczyków przy urodzinach, weselach i pogrzebach. Czytamy tutaj, jakich środków używają Armeńczycy z obawy porwania lub wymienienia noworodka; jak dziewczęta, wychowane w ukryciu, wykupywane bywają na żony podarunkami, wreszcie jaką rolę odgrywają płaczki przy pogrzebach. Józef Blau: Żelazne wotywny zwierzęta w Kohlheim, z rysunkami. Autor wyprowadza zwyczaj ofiarowywania wotywnych żelaznych figur zwierząt, na osobnym stole w kościele stawianych, z czasów feudalnych. O tym samym przedmiocie pisze Dr. M. Haberlandt zdając sprawę z ciekawego dzieła prof. Dr. Ryszarda Andreego o różnych wotywnych podarunkach, składanych na miejscach odpustowych;

¹⁾ Patrz: J. Karłowicz, Deska grobowa, »Lud« I. str. 16—19.

zwraca przytem uwagę na niewyzyskany pod tym względem teren czesko-słowiańsko-polski, tudzież Włochy, Hiszpanię i Francję, gdzie zwyczaj odpustów szeroko jest rozpowszechniony. Dr. M. Müller: Oświetlenie i lichtarze w okolicy Chebu; Opisuje tu autor oświetlenie domów szczepami, palonemi w osobnych kominkach, lub materiałem natłuszczonym. Podobny zwyczaj panuje dotychczas w niektórych okolicach u nas, chociaż już bardzo rzadko spotkać go można. Prof. Dr. R. Me-ringer: pisząc o »Dzwonkach na wsi« szczególnie o rozpowszechnionym zwyczaju używania dzwonków w Alpach, porównuje go ze zwyczajami rzymskimi. Słowo »Glocke« uważa za wyraz obcy w języku niemieckim, a za bardziej swojski wyraz »Schelle«. Józef Blau: podał artykuł ilustrowany o koronkarstwie w Czeskim lesie. Jest to nadzwyczaj ciekawy opis robót klockowych na owalnej poduszce (u nas w Bobowy i indziej rozpowszechniony także), panujący tu od najdawniejszych czasów. Autor podaje całą terminologię niemiecką przy tej pracy, także pieśni śpiewane niegdyś przez robotnice. Ed. Domluyil: w artykule »o karbach owczarzy wałaskich na Morawach« opowiada o znakach karbowanych na laskach w celu późniejszego obrachunku wzajemnego. Zwyczaj sięga bardzo odległych czasów i jest u nas ogólnie znany. Prof. Dr. Artur Petak: Friaul. opisuje ogniska w Friaul, które mają dużo podobieństwa do ognisk naszych tatrzańskich baców.

Bolesław Tync.

B. Przegląd książek.

Wspomnienia o Słucku. Wydał B. J. K. w Gnieźnie nakładem księgarni Jana Wiśniewskiego. 1905, 8-ka, str. 112.

Autor powyższej książeczki, nieżyjący już Karol baron Stahel, urodził się w Słucku, w gubernii mińskiej, a w dawnem województwie nowogrodzkim, uczęszczał do szkół w rodzinnem miejscu i tu spędził lata młode, stąd też każdy zakątek miasta i okolicy był mu dobrze znany, a tak ukochany, że tęskniąc za stronami rodzinnemi już jako siedmiesięcioletni starzec na obczyźnie chwycił w 1886 r. za nieudolne pióro, jak się sam wyraża, by przekazać potomności w prawdziwym świetle to, na co w Słucku w czasie lat pięciudziesiąt (do roku 1880) patrzył własnymi oczyma i co własnymi uszyszł słyssał. Książeczka ta zawiera wiele szczegółów z życia ówczesnych mieszkańców Słucka i na te momenta pragniemy zwrócić uwagę Szanownych Czytelników »Ludu«.

Pierwotnymi mieszkańcami Słucka mówi autor byli Białorusini; w XV wieku przybyli tu Polacy i Litwini, a za cza-

sów reformacyi Niemcy i Szkoci — później zaś pojawili się Żydzi. W roku 1830 było tu 5.000 chrześcijan mieszczan i kupców z tych obecnie pozostało 1.200, podczas gdy liczba Żydów doszła do 6.000 dusz. Miasto posiada 1.286 domów, a w tej liczbie tylko 15 murowanych; domy drewniane, starostwianskiej architektury.

Mieszczanie słuccy trudnili się handlem i przemysłem, prowadzili rozległy handel, a nawet zapuszczali się z towarami na jarmarki do Gniezna; kwitł też u nich dobrobyt, a słynęli przedewszystkiem wyrobem »pasów słuckich«. Bogaci syndykowie ubierali się w długie czerwone kontusze, podpasane pasami; inni zaś mieszczanie podczas świąt w cerkwiach i na przechadzkach odziewali się w lisie szuby z brandeburami, podpasane sutymi słuckimi pasami, na głowie mieli wysokie kołpaki, a w rękach laski z okrągłą główką nakształt buławy.

Mieszczanie dzielili się na cechy; każdy cech miał swój obronny bastyon i swój sztandar. W razie niebezpieczeństwa stawali oni na wałach dla obrony miasta i zamku. Na pomoc mieszczanom przeznaczone były trzy wsi: Bronowicze, Łuczyniki i Warkowice, których też mieszkańcy nazywali się »wybrańcami« i nie płacili żadnych podatków, ale w zamian za to mieli z bronią w rękę stawać na wałach razem z mieszczanami dla obrony miasta, co, rozumie się, od czasu zaboru już nie miało miejsca.

Mieszczanie byli religijni; religijność ich zaś potęgowała ta różnorodność wyznań w Słucku i nienawiść, jaką czuli do Kalwinów i Żydów.

Na małej uliczce w Słucku żył szewc Bołbutt, który w czasie świąt Bożego Narodzenia chodził po mieście z »wertepą czyli jasełkami«. Była to wyklejona z kolorowego papieru duża cerkiew, oświecona wewnątrz woskowymi świeczkami, a którą nosiło kilku ludzi. W wierzchnim piętrze były lalki, przedstawiające Boże Narodzenie. Przy przedstawieniu najpierw pokazywali się tam pasterze i oddawali pokłon narodzonemu Dzieciąciu, później Trzej Królowie, a przytem śpiewano: »Anioł pasterzom mówił« i inne pieśni nabożne. Potem szło przedstawienie na dolnem piętrze. Najpierw pokazywał się król Heród, który każe zabijać przy sobie niemowlęta, następnie Rachela, opłakująca swoje dzieci. Później zjawiał się kozak, a wzięwszy się w boki śpiewał po rusku:

Jaj kozak, jaj hulak,
Szczoz zdobyu, to i prepyu,
A soroczku woszy zjuli,
Da i tu propyt' chodyły,
Chodyły, chodyły, chodyły!

Dalej pojawiał się żyd. Chwalił się swoim bogactwem, ale tuż za nim djabeł i za grzechy i za lichwiarstwo chwyta

żyda i pogrąża go w piekle. Znowu ukazuje się Chwiedor z Ostrowia (przedmieście Słucka), który objadł się »kucyi«, a więc jest chory. Do niego przystępuje »znachor«, aby go leczyć. Stawia mu pusty garnek na żołądku, a później garnek ten rozbija. Te wszystkie przedstawienia odbywały się z akompaniamentem pieśni, umyślnie ułożonych, i z dowcipkowaniem, szkoda tylko, że autor ich nie spamiętał, tem więcej, że, jak się sam wyraża, w żadnem mieście na Litwie nie widział podobnych jasełek. Bołbutt miał z tego znaczny dochód, a dzieci tak małe, jak i duże wiele radości.

Oprócz jasełek nosili także chłopcy gwiazdę po mieście i byli również mile przyjmowani i hojnie obdarzani.

W wigilię Nowego Roku obchodzono »Szczodry Wieczór«. Wówczas to Bołbutt znowu z wertepą, a chłopcy z gwiazdą zachodzili do domów, gdzie ich obdarzano »oładkami« i bułkami. Śpiewali przytem chłopcy taką pieśń, jaką śpiewają w tym dniu na Wołyniu i Podolu:

Szczedryk, wedryk,
Podajcie warenik,
Czaszczku kaszki,
Kolco kowbaski.

Mieszczanie dbali o wykształcenie, a głównie o moralne wychowanie swych dzieci, bo nawet biedniejsi utrzymywali między sobą guwernera (jednego z uczniów szóstej klasy) i jemu powierzali kilkunastu uczniów klas niższych z tym obowiązkiem, aby z nimi powtarzał lekcye i czuwał nad ich moralnem prowadzeniem się. To też nie było tyle zepsucia, co dziś, a towarzystwo w Słucku było nader przyjemne i jak na owe czasy bardzo wykształcone.

Mimo swej głębokiej religijności i pewnego poziomu wykształcenia mieszkańcy Słucka i okolicznych wiosek mieli oryginalne w swoim rodzaju pojęcia w odwracaniu od siebie nieszczęść. Autor bowiem podaje, że gdy wybuchły poważne choroby i zarazy, to wówczas naokoło miasta pod wałami w solennej procesyi obnoszono zwłoki księżnej Zofii Radziwiłłówny i dzieciątka Gabryela, zakłutego podobno przez Żydów w miasteczku Zadłubowie i podziurawionego gwoździami, a umieszczonego w małej trumience w framudze w cerkwi, celem odwrócenia tych nieszczęść. Gdy zaś w XVIII wieku piorun uderzył w cerkiew i ta zaczęła się palić, wtedy mieszkańcy okolicznych wiosek przyjechali w czwał do Słucka i nawieźli, ile kto mógł, kwaśnego mleka, utrzymując, że pożaru, wszczętego od pioruna niczem innem nie ugasi, tylko kwaśnem mlekiem. Mimo tego cerkiew się spaliła.

Gardërobiana Wiktusia Ćwirkówna, szlachcianka śpiewywała ulubione i popularne naówczas w okolicy Słucka pieśni,

a niektóre z nich autor zapamiętał. Zaczyna od polonesa: »Konkury szlachcica do młodej wdówki«:

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony,
Witam cię pani, czemżem obdarzony?
Wstępuję pani, w twe progi
Rzucam me serce pod nogi.

Tu konkurent prosi, żeby prędzej nastąpiła pomyślna decyzja na jego afekty:

Niech się w miłości nie nudzę,
Swego konika nie trudzę¹⁾.

Wdówka:

Ty swego konika nad złoto szacujesz,
Co miłę ujedziesz, to i to żalujesz;
Milszy mi wieniec i cnota,
Niż twój koniczek ze złota.

Szlachcic:

A mój koniczek przez more przepłynie,
A twój wianeczek na brzegu zaginie.

Wdówka:

Milszy mój wieniec i cnota,
Niż twój koniczek ze złota.

Kończy się pieśń tem, że wdówka rekuruje:

Ej fora, fora, ej z domu mojego.
Wolno odjechać do kogo inszego:
Ja cię z przyjaźni ruguję,
I za kochanie dziękuję.

Ćwirkówna śpiewała również znaną ogólnie pieśń smętną, na tle której Mickiewicz osnuł swoje »Lilie«.

Dalej podaje autor zapamiętany »Mazurek« następujący:

¹⁾ Widocznie autor zapomniał tej zwrotki, ale na podstawie zapisków S. Udzieli z roku 1877 według słów Konopackiego z Wołynia brzmiała ona:



Ona:

Ja za ciebie taj nie pouidę,
Bo ty u karty grasz, grasz.

On:

A ja ciebie taj nie weznę
Brudne nogi masz, masz.

Ona:

A ja pouidę do jeziora
I pomyję nogi,
A ty pregrasz sto tysięcy,
Będziesz pan ubogi.

On:

A ja pregram, czy nie pregram,
To dla mnie nie wiele;
A ty głowy nie czesała
Już sztyry niedziele.

Zatem rozbrat. Szlachcic odjeżdża, żeby swoją zgryzotę rozpędzić, gdzieś tam na wojnie, ale ciągle ukochana nie wychodzi z myśli:

Orlik, orlik, orliczątko,
Jak wysoko latasz,
Powiedźże mi czystu praudu,
Gdzie się tu obracasz?

Powiem tobie czystu praudu,
Praudu nie zawiedzionu,
Ze już twoja kochaneczka
Do szluby wiedziona.

Siedzieć panna u kamory
Między paniętami,
Jako miesiąc najjaśniejszy
Między zoronkami.

Panna Ćwirkowna wiele jeszcze innych pieśni śpiewała, ale autor po jednej zwrotce z niektórych tylko pamięta i tak:

Oj na mory, na okręcie,
Panna z turkiem u karty hraje,
I hrajuczy list pisaje.

Dalszego ciągu tej pieśni zupełnie sobie nie przypomina — pamięta tylko jej treść, podając ją do wiadomości temi słowy:

Panna popadła się bisurmanom do niewoli, pisze listy do rodziców, żeby ją wykupili z jasyru, ale niema i niema odpowiedzi. Wierny kochanek dowiaduje się o tem, siada na konia,

odszukuje swoją miłą i powraca z nią do domu. Rozumie się — pieśń kończy się weselem.

Wreszcie przypomina sobie autor, jedną piosnkę, w której kochanek wyraża swoją tęsknotę i robi porównanie:

Albo ja karszun, co dziere kurycu,
A ona kryczy, bo czuje tęsknicu:
Ach! ach! zmiłuj się, nie kpjij też z mienie
Na tobie drogie mosiędzu pierścienie.

Nie przestając na samych piosnkach, przytacza autor słyszane opowiadanie, przeplatane wesołemi zwrotkami do śpiewu, jak herszt złodziei zabawiając wieśniaków w karczmie gra na skrzypcach i śpiewkami, tymczasem okradli ich porządnie we wsi jego wspólnicy:

»Oto we wsi, w niedzielę, zebrali się włościanie w karczmie, piją wódkę i gawędzą. Tymczasem pod wieczór przyszła do wsi szajka złodziei. Naczelnik szajki w karczmie gra na skrzypcach i przyspiewuje, a złodzieje rozbiegli się po wsi na kradzież. Włościanie słuchają pieśni i gry skrzypaka. śmieją się, traktują go wódką. Tymczasem jeden ze złodziei przychodzi i powiada na ucho swemu naczelnikowi, że jest zboże, ale skąd wziąć miechy? Na to grając i przyspiewując, herszt odpowiada:

A soroczka czy nie miech, czy nie miech,
A pomoczy, czy nie zawiazki?

Złodziej odchodzi. Szajka zapełnia koszule swoje zbożem, a włościanie się śmieją, niczego się nie domysłając.

Drugi złodziej przychodzi i mówi na ucho hersztowi, że jest krowa, ale jak z nią postąpić? Na to odpowiada herszt:

A korouku, ostrorożku
Wywiedziecie na dorożku,
Prowadziecie za horu, za horu,
A ja was dohoniu, dohoniu.

Włościanie śmieją się do rozpuku. »Ot i hraje i przypiewaje!« Skrzypak kłania się i odchodzi, suto utraktowany, a nazajutrz biedacy okradzeni widzą, że byli ofiarą przebiegłych oszustów¹⁾.

W okolicach Ślucka urządzało tamtejsze obywatelstwo polowania na łosie, niedźwiedzie, dziki i wilki, poczem następowała wesoła uczta i poufała gawęda. Nie obeszło się również bez hucznych zabaw i tańców. Od czasu do czasu urządzano także wesołe kuligi od dworu do dworu. Towarzystwo przybywało do jakiegoś dworu i tu kilka dni ochoczo się zabawiało, a potem, zabrawszy ze sobą gospodarza, udawało się

¹⁾ Podobne opowiadania znane są u nas wszędzie. *Przyp. Red.*

do następnego. Kulig trwał czasem i dwa tygodnie. Wówczas gospodynie popisywały się sztuką kulinarną tak w potrawach, jak i napojach, a wszystko sporządzały tylko z podręcznych materiałów, po gospodarsku, z czego też Litwa słynęła.

Mieszczaństwo wzorowało się na zabawach szlacheckich, i urządzało u siebie reduty, na których popisywano się tańcami.

Żydzi w Słucku dawniej bez względu na swój stan majątkowy byli wszyscy skrzętni, karmili się bardzo nędznie, pozwalając sobie na pewne wygody tylko w szabas, a niechlujstwo ogromne panowało u nich i w odzieży i w domach. U mężczyzn ogolone głowy, pokryte jarmułkami, z pod których wisały pejsy, ubiory czarne, długie, wąskie, w jakich przywędrowali z Niemiec do Polski i Litwy. Ubiór kobiet również był niepiękny. U zamężnych wygolone głowy, pokryte kapturkiem, do którego przyszywały tak zwane muszki, u bogatych naszyte perłami. Obwiązywały sobie głowy także welnianemi chustkami, zwitemi w rodzaju zawoju. Spodnice miały krótkie, wąskie, staniki krótkie aż pod łopatki, a na nogach pantofle na korkach, bez tylnej części tak, że przy chodzeniu podeszwa oddzielała się od pięty i wydawała łoskot w rodzaju klekotki. Przedewszystkiem zaś czuć było od nich nieznośny odór: była to mieszanina cebuli, czosnku i ryby z dodatkiem zapachu, właściwego semitom, a jak się później autor przekonał, całemu plemieniu afrykańskiemu. Niektórzy też, tak autor powiada, nie znając tej fizyologicznej właściwości rasy, wymyślili, że »nasi Żydzi muszą pochodzić do tych buntowników, co na puszczy sarkali przeciw Mojżeszowi, a wówczas więcej winnych pochłonęła zaraz ziemia, a mniej winnych i ich potomków Mojżesz za karę napuścił zapachem potu na wieczne czasy«. Wszystko to więc sprawiało, że w Żydach było coś antypatycznego.

Poziom oświaty stał u nich na bardzo niskim stopniu; jeden z nich tylko Kantorowicz był uczony, ale w piśmie św., a mimo to współwyznawcy podejrzewali jego uczoność i uważali go za massona. Zresztą Żydzi byli bardzo religijni i ściśle obserwowali swój zakon. Do synagogi przyzywali ich kantorowie trzykrotnem uderzeniem młotka we drzwi z przeciągłym śpiewem: »giej szularain«! (geh Schul herein). W synagodze kantor, czy rabin podczas nabożeństwa prześpiewywał cienkim trelistym motywem strofę trenów Jeremiasza, a gdy ją kończył, wszyscy bili się w piersi, coś śpiewając, dotąd, dopóki uderzenie w bębenek nie przerwało żałosnych śpiewów. To powtarzało się za każdą strofą tychże trenów.

Fanatyzm u Żydów w Słucku był wielki i zacięty do tego stopnia, że przejście Żyda na jedno z chrześcijańskich wyznań było tam istotnie wprost niemożliwem, bo neofita znikał wnet bez śladu, widocznie sekretnie go zabijali. Aby zaś takich

śmiazków odstraszyć od zmiany swego wyznania, urządzali Żydzi ciekawy w swoim rodzaju dramat na ten temat przy każdej sposobności podczas uroczystości swoich, a bardzo chętnie czynili to w obecności zaproszonych chrześcian, do których nieograniczoną czuli nienawiść.

Raz byliśmy proszeni na wesele do jednego z bogatych Żydów, pisze autor. Po zwyczajnych ugoszczeniach winem rodzynkowem, które mi się wydawało bardzo smacznem i ciastami żydowskiej roboty, nagle wystawili stoły i na nich przedstawili nam niewielką sztukę dramatyczną, której treść była następująca: Jedna młoda Żydówka zakochała się w chrześciani nie, co było zgrozą dla prawowiernych, sfanatyzowanych Żydów. Cała familia stara się perswadować, ale, ani perswazye, ani groźby nie nie pomogły. Wtedy wstaje z grobu babka dziewicy, owinięta w prześcieradło i zaśpiewała niemiecko-żydowskim żargonem;

Aus dem Grabe gestunden,
Und zu di (dir) gekumen,
O Mädchen! O Mädchen!
Willst du zu Hause gehen?

Ale i to nie pomogło. Widmo wtedy znikło. Następnie włązą na stół czterej szatani, ubrani w ułańskie mundury z pomarańczowymi rabatami, w pomarańczowych kaszkietach, przy szablach, i schwyciwszy wołającą na gwałt dziewczynę, unoszą ją do piekła. Tem się skończyła reprezentacya.

Żydzi, korzystając z braku muzyki w Słucku, a mając w tem interes materyalny, utworzyli sami chór muzyczny, czyli tak zwaną kapełę, a głównym jej dyryżerem był cyrulik Żelik. Jemu też ma zawdzięczać Słuck sławny w owym czasie marsz, skomponowany przez niego, który sam wygrywał z wielkiem uczuciem, zamrużywszy oczy i pochyliwszy na bok głowę. Wszystkie wogóle sztuczki i tańce tej kapeli miały charakter skoczny, a zarazem i smętny, co komiczne na słuchaczu robiło wrażenie. Późniejsza kapela wyrzuciła ten marsz zupełnie ze swego repertuaru.

Autor nie zapomniał również wspomnieć o sąsiadach Słucka, podając chociaż krótkie szczegóły z ich życia. I tak nadmienia, że Poleszuki i Pinczuki stali wtedy, jak i teraz na bardzo niskim stopniu oświaty. Wierzą oni w czarowników i czarownice, znachorów i znachorki, leczą wszystkie choroby zamawianiami, szeptaniem i magnetycznymi pasami, nie podejrzewając nawet tego, że to jest magnetyzm. Naród ten boi się znachorów, a osobliwie znachorek, żeby nie napuścili jakiego uroku czyli czarów na ludzi lub bydło. O znachorach rozpowiadają całe legendy, jak zamawiają krew, odbierają mleko krowom, jak nasyłają lub niszczą miłość między ludźmi i t. p. Polesie całe zasiane jest bagnami i trzęsawiskami, które można tylko

przebyć po grobelkach pływających, złożonych z brusów połączonych podłużnymi brusami i powiązanych łykiem, a które to grobelki pod ciężarem kolaski i czterech koni pograżają się w wodzie, a później znowu wypływają, wskutek czego też przeprawa taka jest bardzo niebezpieczna. Po Prypeci pływają już nie tylko małe statki, jak szuchaleje (statki z jednej sztuki wydrążonego dębu, z rozłożystem, położonem na brzegach jego zabudowaniem z desek), bajdaki i duby, ale nawet i wiciny (statki, mające kształt podługowaty, z obu końców zaokrąglony, spód płaski zupełnie, brzegi niewysokie). Na tych statkach przewożą produkta leśne aż do Kijowa, a stąd do Chersonu. Z przepraw po Prypeci opowiadają ciekawe historie o żarłocznych sumach; między innemi jedną, że sum porwał kilkoletnią dziewczynę, kąpiącą się na brzegu tej rzeki, wciągnął w głębinę i nieżywej odgryzł rękę.

Wspomina wreszcie autor, że około Słucka, jak i w całej Litwie są osady Tatarów trudniących się rolnictwem, chowem koni, bydła i owiec, wyrobem skór, a wstawili się wyrobem saffianu.

Do Słucka były przypisane także tabory cygańskie, kończące w różnych miejscowościach. Mieli oni własnego króla, który miał swoją rezydencję koło miasteczka Siemieżowa. Podczas poboru do wojska król cygański przyjeżdżał do Słucka. Był ubrany w czerwony kontusz z sutym pasem, miał na głowie wysoki kołpak futrzany z czerwonym wierzchem, a w rękę nosił długą buławę. Władza jego nad cyganami była nieograniczoną. Cyganie nie łatwo dawali się brać w rekruty, a więc też, gdy w r. 1827 przybył do nich burmistrz Słucka, Pliszka, dla poboru rekrutów, poniósł tam śmierć; roztrzaskano mu bowiem głowę nasieką (laską atamańską).

Wspomnienia o Słucku czyta się z przyjemnością, bo chociaż pisane bezpretensjonalnie, tchną na każdym miejscu gorącym przywiązaniem autora do tego skrawka ziemi naszej i zachowują nam wiele ciekawych rysów kulturalnych nie tak odległej, a już minionej przeszłości.

Bolesław Tync.

Henryk d'Almeras: „Małżeństwo u różnych narodów“. Przekład Maryi Rodysowej. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów »Tygodnika Ilustrowanego« Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1904.

W dziełku tem zebrał autor mnóstwo bardzo ciekawych, a dla ludoznawstwa ważnych szczegółów, za pomocą których wykazuje stopniowy postęp i kształtowanie się pojęcia mężczyzny z kobietą, poczynsz od stanu dzikości, gdy mężczyzna uważa kobietę za łup i obchodzi się z nią, jak ze złowionem zwierzęciem. Lepszą dolę zyskała kobieta, gdy ją mężczyzna

uważał za towar, jako życiodawczynię swych dzieci, za istotę wartościową. W epoce hierarchicznej Chrystyanizm, biorąc w opiekę słabych i uciśnionych, podnosi kobietę na najszlachetniejsze wyżyny, jednak i wtedy mąż posiada nad żoną władzę ojcowską, ale też i po ojcowsku nią się opiekuje. W ostatniej zaś dobie, w epoce prawa cywilnego, małżeństwo staje się aktem, obdarzającym kobietę względną swobodą przez przyznanie obustronnych praw, nie uznających wyższości, ani władzy mężczyzny nad kobietą. Przemiany te następują jedno po drugim w miarę podnoszenia się cywilizacji wogóle, to też nawet w obecnych czasach równocześnie ze wszystkimi stopniami tego pożycia u różnych ludów spotkać się można. Małżeństwo u pierwotnych, jak i obecnie u ludów żyjących w stanie dzikości, nie jest wynikiem jakichś szlachetniejszych uczuć, owszem, kobieta jest uważana za istotę daleko niższą, jest też wzgardzoną niewolnicą mężczyzny, dzierżącemu nad nią prawo życia i śmierci.

Najpierwotniejszą formą małżeństwa była monogamia, już przez samą naturę wskazana, która jednak z biegiem czasu przekształcała się u różnych ludów to w poliandryę (wielomęstwo), to w tak zwane »stowarzyszenia małżeńskie«, polegające na tem, że nie jednostka, lecz rodzina się żeni do wspólnego ze sobą pożycia małżeńskiego, to znów w poligamię (wieloleństwo).

W krajach europejskich małżeństwo przybierało formy coraz szlachetniejsze, podczas gdy Wschód zamknął się w swoich błędach i uważa je za nietykalne prawo.

Przy zawieraniu małżeństwa przechowywały się od najdawniejszych czasów aż do dnia dzisiejszego różne obrzędy i ceremonie, w których przejawia się dusza i charakter narodu. W siedmiu rozdziałach tego dziełka przechodzi autor kolejno wszystkie wspomniane formy małżeństwa ilustrując je obficie zwyczajami i ceremoniami przy tem zachowywanymi. A więc porwanie i kupno u dzikich, gdzie często zdarza się tak wspólność kobiet, jak i mężczyzn, że wszystkie kobiety należą do wszystkich mężczyzn, — małżeństwo u ludów starożytnego Wschodu, u muzułmanów i mormonów, gdzie przeważa namiętna zmysłowość i pragnienie zapewnienia sobie liczego potomstwa. Dziewictwo uważane było za godny kar piekielnych występki (Zoroaster). W państwie babilońskim sprzedawano kobiety przez licytację w tym celu, aby też i najbrzydsze, otrzymawszy za sprzedane dziewczęta pieniądze, mogły dostać mężów. Ciekawy jest opis rządów kobiet w starożytnym Egipcie, — prawem dozwolona poligamia u Hebrajczyków, — życie kobiet w haremach muzułmańskich, — zwyczaje przy zawieraniu małżeństwa u Arabów, Żydów, Chińczyków i Japończyków, a wreszcie Marmonizm.

Osobny rozdział poświęca autor opisowi małżeństwa i stosunku kobiety do mężczyzny w starożytnej Grecyi i Rzymie, wykazuje, jak wielką była zależność kobiety w Grecyi, jak surowe były prawa rzymskie, póki zbytek i bogactwa nie wpłynęły na rozluźnienie obyczajów. Rozluźnienie to doszło w Rzymie do tego stopnia, że na bezżennych kary nakładać musiano. Piękny jest opis zwyczajów weselnych tak w Grecyi, jak w Rzymie, gdzie długo zachowywano zwyczaj przypominający porwanie Sabineek.

Historję małżeństwa u Gallów i Franków od zawiązku państwa Franków aż do dzisiejszych czasów kreśli autor w rozdziele ósmym bardzo szczegółowo. Dość wymienić kilka punktów wytycznych, aby się przekonać, że autor dał nam dokładny obraz rozwoju małżeństwa od stanu najcięższej niewoli kobiety, aż do zupełnego zerwania nawet pozoru zależności w tak zwanej emancypacji kobiet. »Dziwne to« — powiada — czasy, gdzie wszyscy upominają się o prawa, a nikt nie wspomina o obowiązkach«. Ważniejsze punkta tego rozdziału są: Małżeństwo królowny Gypsis, Poligamia w epoce Merowingów, Kobieta chrześcijańska, Małżeństwo w poddaństwie, Małżeństwo skazańców, Kobieta w okresie XV. do XIX. w. Małżeństwo i kodeks cywilny, Wyludnienie we Francyi i jego przyczyny, Dlaczego obecnie mniej się żenia? Chciwość mężczyzny i próżność kobiet, wreszcie Emancypacja kobiet.

W ostatnim rozdziale zastanawia się nad wiarołomstwem i karami za nie, nad rozwodem i wpływem jego na małżeństwo.

Ale najciekawszy jest dla nas rozdział piąty, w którym autor pod tytułem: »Uczucia młode, a stare zwyczaje«, opisuje dawne zwyczaje małżeńskie we Francyi i w innych krajach Europy, wróżbiarstwo i jarmarki małżeńskie. Ze względu na podobieństwo tych zwyczajów ze zwyczajami ludu polskiego niepodobna pominąć przytoczenia choćby kilku dla porównania. I tak: W Ardenach, w Trzy Króle, młode dziewczę, zanim się spać położy, kładzie pod poduszkę lustro ze złożoną na krzyż parą pończoch i grzebieniem. Opiera następnie o łóżko lewą nogę i mówi jednym tchem: Witajcie, trzej królowie, Święci monarchowie, Święty Kacprze i Melchiorze, I ty, święty Baltazarze; Niechaj ja zobaczę we śnie Tego, co mię kiedyś weźmie. Żegna się następnie trzykrotnie lewą ręką i zasypia, nie wymówiwszy więcej ani słowa. Kolebka widziana we śnie, zapowiada ślub w przeciągu roku, anioł lub trumna są wróżbą rychłej śmierci. W dzień Trzech Króli dziewczęta wstają o północy, zapalają przed lustrem świecę i odmówiwszy 3 Zdrowaś Marya, wpatrują się w zwierciadło, by zobaczyć swego przyszłego. Gdy nic nie zobaczą znaczy się im staropanieństwo. W Wogezach młode dziewczęta, obudziwszy się rano w dzień

św. Mikołaja mówią: »Święty Mikołaju stary, Co dobierasz ludzi w pary, Pamiętaj o mnie, Chłopczyka mi daj«.

W wigilię Matki Boskiej Gromniczej dziewczę zwraca się plecami do ognia i rzucając garść popiołu na płonące głownie, stara się przykryć je jak najprędzej i mówi: »Płomyku, płomyku, Czerwony ogniku. Niech ja dziś zobaczę we śnie, Tego, co mnie kiedyś weźmie«. Gdy chce wiedzieć, z której strony przybędzie, wchodzi przed wschodem słońca na kupę nawozu i rzuca za siebie trzewik. W jakim kierunku zwróci się nosek trzewika, stąd przyjdzie narzeczony. Wieśniaczki robią z pakuł trzy laleczki, kładą obok siebie, a następnie środkową podpalają. Ma ona wyobrażać wróżącą, a boczne jej konkurentów. Do którego z nich najpierw zwróci się płomień, tego los przeznacza jej za męża.

W Alzacyi dziewczyna ugniata z ciasta chłopca, zjada go i stawia obok swego łóżka dwie szklanki, jedną z wodą, drugą z winem, a kładąc się spać mówi: »Święty Andrzeju! Iuż idę do łóżka, Niechaj zobaczy we śnie moja duszka Sązonego, kochanego, Czy młodego, czy starego«. Przyszły mąż ukazuje się w nocy. Jeśli weźmie za wino, będzie bogaty, jeśli wodę, ubogi.

W Lannion, w północnej Francyi, na św. Michał podczas jarmarku, trwającego trzy dni, trzeci dzień przeznaczony jest na zrękowiny i nosi nazwę targu zamiennego. Przedmiotem wymiany są serca. Dziewczęta przechadzają się w alei wiodącej do portu, a młodzież męska zbiera się w sąsiedniej alei, potem zbliża się parami. Gdy która para porozumie się ze sobą dziewczyna na znak zaręczyn daje nieść swój parasol. Podobny jarmark odbywa się na św. Michał w Finisterze. — W Ardenach jest zwyczaj, że w kościele przed mszą pan młody daje zakrystyanowi 13 sztuk drobnej monety. Leżą one na tacy naokoło ślubnej obrączki. Podczas ślubu ksiądz bierze obrączkę i 3 sztuki monety i podaje je narzeczonemu, który obrączkę wkłada na czwarty palec lewej ręki narzeczonej, a do prawej wsuwa jej pieniądze. Ma to oznaczać, że mąż winien żonie utrzymanie. Dużo kobiet przechowuje te pieniążki, jak relikwie i każe je sobie po śmierci kłaść do trumny.

W okolicach Meaux po ślubnej mszy drużbowie i druchny przynoszą do przedsionka kościoła ogromną wazę i wręczają ją proboszczowi. Ksiądz podnosi pokrywę, z pod której wylatują dwa gołębie z nóżkami przewiązanymi wstążką. Gołąbki odlatują, a drużbowie nalewają do wazy wina i wszyscy obecni piją z niej po kolei.

W Szwecyi podczas uczty weselnej panna młoda wstaje od stołu, bierze srebrną czarę napełnioną wódką i podaje ją po kolei do wypicia każdemu z obecnych. Towarzyszy jej przy tem

z talerzem w ręku ktoś znaczniejszy, któremu goście składają pewną daninę, przeznaczoną na nowe gospodarstwo nowożeńców.

Stanisław Czaja.

C. Bibliografia.

- Bujak Franciszek.** Studya nad osadnictwem Małopolski. Część I. Odbit. z t. XLVII Rozpraw wyd. histor.-filozof. Akadem. Umiej. Kraków 1905, 8-ka, str. 257 z mapą i 6 ryc. w tekście.
- Ciszewski Stanisław.** Kuwada, studium etnologiczne. Odbitka z t. XLVIII Rozpr. wyd. histor.-filozof. Akad. Umiej. Kraków 1905, 8-ka, str. 59.
- Eliasz Walery Radzikowski.** Ubiory w Polsce i u sąsiadów w wieku XV z rysunkami na 13 tablicach. Ogólnego zbioru część IV. Kraków 1905, 4-ka, str. 28.
- Gregor ks. Józef.** Mapa Górnego Śląska z uwzględnieniem stosunków językowych, granic powiatowych i kolei żelaznych. Mikołajów 1904, 4-ka, skala 1:6000000.
- Miecznikow E.** O naturze ludzkiej. Zarys filozofii optymistycznej. Tłum. z franc. Feliks Wermiński. Warszawa 1905, 8-ka, str. 305.
- Radliński Ignacy.** Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie, księga wstępna do literatury apokryficznej w Polsce, Lwów 1905, 8-ka, str. 219 i 5 nie liczb.

SPROSTOWANIE.

W artykule pod nap.: »Z wierzeń i przesądów ludu na Podhalu« wszędzie zamiast **Josiek** winno być **Jasiek**, a nadto na str. 52, wiersz 5 z góry zamiast **pręśło** ma być **przęśło**. Na str. 53 zamiast na **Suchołońskim** ma być na **Gubałowskim**, wreszcie na str. 54 zamiast Wojciech **Wolczak** powinno być Wojciech **Walczak**.

Na str. 80 w odsyłaczu 2 powinno być: liche **siano** = szuwar.





Pióro jako ozdoba wojaków i junaków i t. z. prośba o pióro.

Napisał

Dr. Wilhelm Bruchnalski.

»Nie raz z poziomej uciekałem łąki
I na najwyższym stanąwszy pagórku,
Myślałam sobie: gdyby te skowronki
Z skrzydeł swoich dały mi po piórku,
Poszłabym z nimi i tylko z tej góry
Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,
Kwiat niezabudki, a potem za chmury
Lecieć wysoko! wysoko! i zniknąć...«

Nie potrzebuję mówić, że słowa, dopiero co przytoczone, to jeden szczegół ze spowiedzi tej, »co kochała męża wielkiego na ziemi«, — jedno z niewinnych, gorących, nigdy — niestety, nie spełnionych, lecz »w milczeniu, z gorzkimi łzami połkniętych« pragnień i marzeń, wzdychań i tęsknot tak czułego, jak Aldona, serca.

Takim pięknym stosunkiem, jak Aldonę i skowronki, sprzęga Mickiewicz raz jeszcze człowieka i ptaka: siebie samego mianowicie i tych, »co na skrzydłach swoich, kluczem lecąc, wiosnę niosą«, — w zakończeniu cudownem do »Pana Tadeusza«:

»...bajeczne żorawie na dzikim ostrowie,
 Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną
 I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,
 Każdy ptak chłopcu jedno pióro rzucił:
 On zrobił skrzydła i do swoich wrócił...«

Łatwo się domyślić, że chłopcem zaklętym nie kto inny, tylko twórca »Pana Tadeusza«, — zaklętym pałacem — bruk paryski, miasto, »pełne stuku, przekleństw, potępieńczych swarów«, — a co do ptaków i piór ich, to sam wieszcz w porównaniu wyjaśnia, że byli nimi »przyjaciele«, co »wtenczas« na wygnaniu »pomogli rozmowie i do pieśni rzucali mu słowo po słowie«. Czy jednak moc skrzydeł ptasich, skuteczna zawsze w baśni, okazała się również cudowną wobec tęsknoty poety-egzulanty, tak silnie zaznaczającej się w jego epopei? Nie! — te kraje bowiem,

»Gdzie rzadko płakał a nigdy nie zgrzytał:
 Kraje dzieciństwa, gdzie człowiek po świecie
 Biegł, jak po łące, a znał tylko kwiecie«, —

te kraje, które pragnął przede wszystkim powitać w rzeczywistości, los dozwolił mu nawiedzić tylko myślami; a tak prośba jego, do żorawiów zanesiona, niespełnioną pozostała, jak prośba Aldony, — ptaków potęga, widocznie, za małą była, — kto inny dopiero »powrócił go cudem na Ojczyzny łono«.

W ten sam sposób i w tej samej myśli, jak Aldona do skowronków, jak chłopiec zaklęty do żorawiów bajecznych, jak wreszcie sam Mickiewicz pod obrazem ich obojga, zwracał się do ptaków niejeden poeta-artysta, polski czy obcy, nowożytny czy antyczny, starego czy nowego świata; — w ten sam sposób i w tej samej myśli udawał się do tych władców skrzydlatych poeta pierwotny, — każdy człowiek na stopniu kultury najmłodszym, bez względu na to, do jakiej rasy czy plemienia należał, jakiej części świata czy strefy był mieszkańcem. W tym właśnie zakresie i na tem polu daje się spostrzegać bezwzględnie i bezwarunkowo niewątpliwa wspólność całego rodzaju ludzkiego, a jeżeli są istotne cechy, które *genus homo* odróżniają od *genus animal*, to do rzędu najogólniejszych należeć będzie z pewnością matematyczną uważanie ptaka za istotę, do której można zwracać się z prośbą, — uważanie, wrodzone zarówno rasie białej jak czarnej, czerwonej jak żół-

tej, — wrodzone jednym słowem człowiekowi. To uważanie, którego dotąd — o ile mi wiadomo — nie spostrzegł, a tem mniej nie wytłumaczył żaden badacz ani folkloru ani etnografii, nazywam krótko i węzłowato a dla uniknięcia wszelkich określeń zawiłych: prośbą o pióro.

Gdzież jest źródło tego zjawiska? — skąd ono wyszło i na jakich podstawach się oparło? — co upoważniało spostrzegawczy umysł pierwotnego człowieka do tego, że w kulturze swojej stworzył tego rodzaju szczegół, bez wątpienia religijny, bo o naturze prekacyjnej? Gdyby się usiłowało znaleźć odpowiedź na to pytanie pewną, to należałoby jej szukać stanowczo nie gdzie indziej i nie w czem innem, jak chyba w tem, że człowiek pierwotny widział w ptaku coś zdumiewająco uderzającego jego zmysły i zdumiewająco działającego na jego wyobraźnię, — coś takiego, co koniecznie kazało mu widzieć w stworzeniu skrzydlatem istotę boską. Że do jakiegokolwiek ubóstwienia między wszystkimi istotami żyjącymi, między wszystkimi bez wyjątku, z którymi człowiek w bliskie wchodził stosunki, ptak posiadał najwięcej kwalifikacyi uprawnionych i uzasadnionych, to jest rzeczą zupełnie pewną. Do dawnego przekonania, że »*primos deos timor fecit*«, trzeba dodać jeszcze czynnik nowy: *admiratio*, do strachu i obawy zatem, jako źródła bóstwo-twórczych, dołączay się nadto podziw.

Przypatrzmy się, choć pobieżnie, jak liczne i wielostronne były przyczyny, dla których ptak był lub mógł być źródłem podziwu niewytłumaczonego, dziwności tajemniczej, obawy ciemnej lub strachu uzasadnionego.

Oto jeden, jedyny ptak między wszystkimi stworzeniami żyjącymi jest istotą, każdemu rodzajowi i plemieniu ludzkiemu znaną i to znaną z autopsyi, nie z mitów ani z tradycyi, — jeden, jedyny ptak jest tą istotą uprzywilejowaną, na której oznaczenie w żadnym z dotychczas znanych a licznych języków i w żadnej z liczniejszych jeszcze gwar nie brak wyrazu: ptak albo wyrazów: skrzydło i pióro.

Ogólna znajomość ptaka gruntuje się nie na jednej podstawie, najgłówniejszą z nich atoli i najważniejszą zdaje się być jego przyroda, w wysokim stopniu podziw wzbudzająca. Ptak mianowicie jest w stanie odbywać i wykonywać wszystkie główne formy ruchu: chodzenie, pływanie i latanie, a nadto —

trzeba dodać — wykonywa je we wszystkich żywiołach: po ziemi, po wodzie, w powietrzu, w ogniu — ku słońcu, w którem zdaje się ginać. Chodzenie ma ptak wspólne z człowiekiem, a choćby ten rodzaj ruchu doprowadził w tym lub owym kierunku do granic doskonałości niebywałej, to przecie zachodziłaby analogia między nim a pewnego rodzaju ssąciami, dzikimi czy oswojonymi zwierzętami: w skakaniu np. z tygrysem, w chyżości chodu np. z koniem. Pływanie następnie dzieli ptak z rybą, a gdyby znowu uzdolnienie swoje w tym kierunku rozwinął w możność nie wiedzieć jak długiego i wytrwałego nurkowania, to zawsze przedstawiałby coś niższego, coś mniej doskonałego od stałej wód mieszkanki, ryby.

Ale ptak jest twórcą i wykonawcą jednego, jemu tylko w mierze doskonałej właściwego ruchu, w którym żadno ze stworzeń dotąd ani mu nie dorównało, ani go nie prześcignęło, — wobec którego nawet najrozumniejszy człowiek czuje się bezradnym z swoimi wszystkimi, najkunsztowniejszymi systemami balonów, nie mogących iść w zawody z ptaszyzną najmarniejszą! Na tem polu panowanie ptaka jest zupełnie bez podziału, — latające, rzeczywiste czy mityczne płazy, to przecie okropne karykatury latawców, a latające ssaki miały otrzymać w wielu językach charakterystyczne nazwy, jak np. w polskim nietoperzy, tj. nie to ptaków.

Wskutek tego ruchu, zwanego lataniem i lotem, jeden jedyny ptak wziął w władztwo swoje całą kulę ziemską, wszystkie jej lądy i morza, — wszystkie jej wyniosłości i doliny, — całą niemal powietrzną sferę ziemską, gdyż, jak bardzo często stwierdzili podróżnicy, nad najwyższymi wierzchołkami gór szubują jeszcze orły. Lot jednak, mocą którego ptak może się zrobić według upodobania obywatelem świata, czyni go nadto dobrym znajomym wszystkich ludzi bez wyjątku, — i na tem opiera się główny jego tytuł do panowania uniwersalnego w dziejach kultury, od pierwszych jej zawiązków do stanu dzisiejszego.

Nie ulega — zdaje się — żadnej wątpliwości, że dwa konieczne warunki, prowadzące do ubóstwienia, tj. podziw i strach w parze z obawą, jednoczyć i realnie przedstawiał w sobie tylko ptak i tylko przez latanie doskonałe. Źródłem strachu świętego czy świętego podziwu, jaki ptak budził w człowieku pierw-

tnym efektem lotu, była możność gwałtownie szybkiego uniesienia się z powierzchni ziemi, — następnie wzbijania się w niezmierzone przestwory powietrzne, — dalej tonięcia w chmurach, błękitie lub słońcu, — tonięcia, przechodzącego wkońcu w zniknięcie zupełne. Tym przymiotem przyrodzenia swego ptak, istota całkowicie cielesna, działał na spostrzeganie pierwotne w ten sposób, że chcąc nie chcąc musiało ono widzieć w nim coś odrębnego, — coś, co zwyczajnem zmysłów doświadczeniem dojść się nie dało, — co koniecznie zmuszało do przypuszczenia, że tam, nad ziemią żyją istoty inne, niż tutaj, — przynajmniej lepsze niż ziemskie, — może tak lekkie jak dech lub wiatr...

Podziw zmieniał się w obawę, w wysokim stopniu niepewną, jeżeli ptak znikający był kształtu większego i groźnego wejrzenia, — jeżeli nadto doświadczenie, niejednym wypadkiem sprawdzone, uczyło, że ta dziwna istota, jak zdolna jest do tego, by lotem błyskawicy usunąć się z przed oczu, tak też niespodziewanie i niespostrzeżenie może spaść bądź na człowieka samego, bądź na zwierzę, niewiadomo skąd: z błękitu, z chmur, czy z pod słońca.

Nie mniejszego materiału dla podziwu dostarczał inny szczegół lotu, mianowicie tajemniczy odlot całych rodzajów ptasich, — masowe i gromadne ich znikanie, w pewnych okresach czasu stale się powtarzające, — i tak samo zdumiewające a znowu masowe i gromadne ich pojawianie się. Do jakich czynności fakt, dopiero co wspomniany, zmuszał myśl i wyobraźnię ludzką, dowodzi folklor z całą mnogością podań, baśni i legend o wyraju, o cieplicach, o krajach bajecznych a szczęśliwych, za dziewiątym morzem, za dziesiątym lądem leżących.

Do tych szczególnych atrybutów natury ptaka dodawszy inne jego przymioty, skupiające się tak około psychy, jak intelektu, za pomocą których przechodzi całą niemal resztę fauny ziemskiej, — dalej subtelność zmysłów w połączeniu ze zdolnością dokładnego rozróżniania przedmiotów i doskonałą pamięcią, — nareszcie całe usposobienie rodu skrzydlatego, przebijające się w ogólnem zachowaniu się wszystkich prawie jego członków podczas godów weselnych i małżeństwa, bądź w specjalnej zalecie, jedynie jego przedstawicielom właściwej, spie-

wie, — otóż to wszystko zebrawszy i uprzytomniwszy sobie, łatwo się zrozumie, dlaczego ptak musiał tworzyć i tworzył w rzeczywistości jeden z punktów najbardziej zasadniczych, około których urabiały się, żeby się tak wyrazić, główne stany skupienia w duchowej kulturze człowieka pierwotnego, mianowicie zaś te jej działy, które noszą nazwę pojęć i przekonań religijnych¹⁾. Odważam się postawić w ciągu dalszym przypuszczenie, że ptak z pomiędzy wszystkich istot żyjących jest może najważniejszym prazródłem wszystkich najważniejszych prawyobrażeń o bóstwie i tajemniczej sile świętej.

Okoliczności przytoczone tłumaczą także, z jakich powodów ptak tyle miejsca, i to naczelnego, zajął w eposie, dramacie i tragedyi, których napis: życie ludzkie; — z jakich przyczyn tyloma węzłami właśnie on między wszelkiego rodzaju stworzeniami związany jest z człowiekiem od czasów zamierzchłych do dzisiejszego stopnia kultury. Nie próbując nawet skreślenia rzeczzonego obrazu stosunków, gdyż jest za szeroki, za wielostronny, za barwny²⁾, zaznaczę w nim jeden epizod, przed

¹⁾ Obok ptaka podobną rolę w historii duchowej kultury człowieka odegrały w rzędzie pierwszym zjawiska przyrody, jak piorun i błyskawica, uważane w podaniach i mitach za ptaka ognistego lub za skrzydlatego, ognistego smoka, — następnie wicher i burza, — wkońcu zaś woda, pod postacią bądź nieskończenie długich rzek i strumieni, bądź bezkresnego morza (okeanosu).

²⁾ Szczególnie bogatego pod tym względem materiału dostarczyłaby pieśń ludowa wszystkich narodów. W niej wystąpi w postaci najpiękniejszej ów wszechstronny stosunek między człowiekiem a ptakiem i okraszony nadto będzie blaskami wyobraźni i ciepłem uczucia. Dla przykładu przypomnę rolę jego w twórczości ludowej jako zwiastuna szczęścia i złej doli (starożytna *bona i adversa avis*), czyto jako kruk donosić będzie matce, szukającej syna, który poszedł na wojnę, że »usta synka już posiniały«, że »na liczku jego ptaki siadają, oczy mu wypijają« (pieśń małoruska), czy jako złowroga pućka, »nocą na dach siadając«, wołać będzie na dziewczynę: »Pójdź Marychno!« itd.; dalej jako tego stworzenia, które tyle waży i znaczy w dziejach kochanków i wogóle w miłości ludzkiej. Wskutek tego kochankowie po wsze czasy radzi przyrównywują się do ptaków, w skłonności wzajemnej ich płci doszukując się symbolu dla zapalów serca swego. Tak np. w jednej pieśni małoruskiej kochanka będzie »czorna ja haleńka«, kochanek »sokołem«, biegającym za »litaniem tycheńkim, za pirenkom czorneńkim«; — w drugiej narzeczona zostanie nazwaną »siwą kukułką«, latającą o rannej godzi-

innymi naprzód się wysuwający, tj. dążność, całemu bez wyjątku rodzajowi ludzkiemu wspólną, która streszcza się w tem, aby zrozumieć i pojąć naturę, cel i znaczenie ptaka, następnie zaś, aby go określić jako istotę, łączącą w sobie doskonale własności ciała i ducha, istoty — jednym słowem — boskiej i świętej.

W tym względzie na plan pierwszy w narodzie ptaków wybija się orzeł, z przyczyn całkiem jasnych, gdyż wszystkich swoich powinowatych i krewnych przechodzi wielkością kształtu, siłą ciała i poszczególnych jego organów, gwałtownością wzlotu, ostrością wzroku, męstwem, odwagą i innemi zaletami, gdzieindziej nie spotykanemi. Orzeł to był owym ptakiem, którego Zachód, klasyczny czy barbarzyński, w mitach swoich i religiach, w najciekawszych objawach życia, zwyczaju i obyczaju, w setkach dzieł sztuki i wyobraźni, uważał za króla ptaków za symbol majestatu najwyższego i zwycięstwa zawsze pewnego; orzeł to był następnie owym ptakiem, któremu przedewszystkiem cały Wschód, bez względu na to, czy należy do rasy aryjskiej, żółtej czy innej, dotąd daje tytuł stworzenia świętego¹⁾, — którego baśnie i podania tegoż Wschodu,

nie na »jara pszeniczkę«, narzeczony znowu »sokołem siwym«, który zasiada na zdobycz. a ma broń w oczach; — w innej znowu nieszczęśliwy w kochaniu skargi swoje będzie powierzał ptakowi, jak ten, który w następujący sposób spiewa: »Letiw oreł ponad more, taj staw holosyty, Oj, jak ciężko ubohomu bohata lubyty« itd. To samo po setki razy odnajdziemy w pieśniach polskich, jak np.: »Słowik ze słowikiem rozstać się nie może, A ja z tobą muszę, ach! mój mocny Boże!«, »Przeleciał, przeleciał siwy gołabeczek, A ja rozumiała, że mój kochaneczek« itd. Nie mniejszą jest rola ptaka w innych a niezliczonych przypadkach, w których występuje jako czynnik decydujący w życiu człowieka, jako jego doradca lub powiernik, jak ten wreszcie z poza świata ludzkiego, który najbardziej, jeżeli nie jedynie, współczuje z uczuciami, myślami, szczęściem i niedolą człowieka, np. »Po głębokiej wodzie płynie kaczor siwy, Jaki taki wesół, a ja nieszczęśliwy«; — »Usiadł ptak na dębie i tak sobie nuci, Nie wierz chłopcu, nie wierz, bo on bałamuci«; — »dziewczyzna, śliczna jak zorza«, tak swe gąski wabi: »Pójdźcie, pójdźcie gąski moje, Pójdźcie, pójdźcie do domu, Niech wam powiem troski [moje, Nie powiedzcie nikomu« i podobnie dziewczynie, pytającej kukulkę o wróżbę: »choć blisko do sta rachowała, Kukulka zawsze kukala« itd. itd.

¹⁾ Wszyscy podróżnicy po Azji na ten szczegół zwracają uwagę. Z Polaków Paweł ks. Sapieha w swem dziele: »Podróż na wschód Azji 1888-9« (Lwów, 1899) tak o tem pisze: »Zaraz za popasem południowym

najważniejsze i najciekawsze, bo najstarsze a do tego mające dokumenty w pomnikach pisanych, uważały za ptaka-starca, »ῥως θεός«, — którego Pers nazwał Simurgiem, a Arab ptakiem Rokhu... Dla fantazyi Mickiewicza Simurg był »Ptakiem-Górą«, o piórach, wielkich jak »maszty« okrętów, a »roz-taczanych kręgiem, szerszym niż tęczy półkole«, — mitologia Oryentu zaś miała go za »olbrzyma, dorównywującego wynio-słościom najpotężniejszym, — mocnego jak twierdza, w szpo-nach bowiem słońca unosi«¹⁾.

(wśród stepów mongolskich) konie zacukały nam się na chwilę, gdyż ni stąd ni zowąd tuż pod nogi końskie wpadł rodzaj kangura azyatyckiego.. Tuż za tem biednem stworzonkiem pędził jak błyskawica orzeł ogro-mny, widocznie, chcąc je schwytać. Na szczęście biedactwa myśmy się na jego drodze znaleźli... Trzeba było widzieć, z jaką bezczelnością orzeł najspokojniej jeszcze raz nas okrążył i usiadł o parę kroków. Wielką miałem ochotę wpakować mu bodaj z rewolweru kulkę — ale nie śmiałem, boć to tu święty ptak« (str. 322).

¹⁾ Na tej mitologii się opierając, Firdussi z Tus, wielki twórca »Szach-name'a«, w poemacie, który p. t. »Heftchuan« (= Siedm awantur) opiewa siedm przypadków Isfendiara, czwartego władcy z dynastyi Kei, taki, we-dług przekładu niemieckiego Józefa Hammera, daje wizerunek Simurga:

»Du siehst einen Berg mit dem Haupt bis zum Mond,
Worauf der gewalt'ge Vogelherrscher (tj. Simurg) thront;
Die Helden nennen des Ungeheuer Simurg,
Ein Vogel, gross wie ein Berg und stark wie eine Burg.
Gefangen liegt in seinen Klaun der Elephant,
Er raubt das Krokodill dem Meer, den Löwen dem Land...
Wenn er sich hebt und schwingt übers Land,
Verliert der Himmel seinen Glanz und die Erde den Verstand.
Viel besser dir dass du zurückkehrst,
Als dass du des Simurg's Berglast erfährst».
Es sprach der eh'rne Held: »Fürwahr!
Ich will im Kampf wagen die Gefahr...«
Und... Empfahl... Pferde, Wagen, Kasten und weiter
Empfahl dem Heerführer die Schaar der Reiter.
Und als wie ein Orkan er daherzog,
Erblickt er was Schwarzes, das in der Luft flog.
Der Schatten verhüllt die Wagen und die Reiterei
Und gab ihnen zu denken mancherlei.
Als Simurg nun schaut in der Nähe den Kasten
Und hört Heertritt, Pauckenschal ohne Rasten,
Entfliegt er wie Wolken dem Berg, wo er thront,
Verfinstert die Sonne, verfinstert den Mond«.

Simurg atoli dla podań perskich był nie samym tylko przedstawicielem najwyższej siły fizycznej: w ptaku-starcu bowiem skupiało się przedewszystkiem cudowności wiele a uposażony był w taką piękność, jaka żadnej, na świecie żyjącej istocie nie dostała się w udziale. »Niema opisu, któryby potrafił przedstawić blask jego piór złotych, z purpurą i lazurem zmieszanych. Jednym ciągiem więcej niż tysiąc lat żyjąc, spała się następnie, aby znowu młodym zmartwychwstać z własnych popiołów«¹⁾. »Za czasów, w których — opowiada podanie inne — najpotężniejszy prorok, mędrzec i król, Salomon, rządził nie tylko ludźmi, lecz także wszystkimi królestwami natury, rybami, ptakami i czworonożnymi zwierzętami, a nawet demonami, przedstawicielem ludzi i orędownikiem ich spraw na dworze władcy mędrca był Assaf, poeta i wielki wezyr, — przedstawiciela ptaków widzieli wówczas po raz ostatni śmiertelni w ptaku, zwanym Simurg albo Anka²⁾. Odkąd Salomon żywot zakończył, a czarodziejski pierścień jego przywłaszczyły sobie demony, Simurg, wezyr ptasi, w góry uszedł samotności oddany«.

Od tej chwili siedliskiem Simurga i mieszkaniem jego jest »najwyższy wirch skalisty góry Kaf« według jednych³⁾, — według drugich zaś Alburs, największa wyniosłość pasma Kaukazkiego⁴⁾.

Przybytek Simurga okraszała wyobraźnia człowieka wschodniego barwami cudownymi, tem cudowniejszemi, że zakryty był dla oka ludzkiego, które wieczyście spragnione było jego widoku. »Jedyny w rodzaju swoim i dumny z godności, które kiedyś piastował jako wezyr wielu monarchii świata«⁵⁾, spogląda ptak-starzec z uczuciem wyniosłości na poziomy świat

(Zob. von Hammer J., Geschichte der schönen Redekünste Persiens mit einer Blüthenlese aus zweihundert persischen Dichtern, Wien, 1818, str. 64—5). W podobny sposób, może za przewodem źródeł perskich, opisują »Ptaka-Skałę« podróże Syndbada Morskiego w »Tysiącu i jednej nocy« (Noc LXXII, Podróż druga, Noc LXXIII, LXXIV, Podróż trzecia).

¹⁾ Von Dalberg, Simurg der persische Phönix (zob. Hammera: Fundgruben des Orients [Les Mines de l'Orient], t. I, str. 200).

²⁾ Hammer, Geschichte der schönen Redekünste itd., str. 20.

³⁾ von Dalberg, j. w., tamże.

⁴⁾ Hammer, j. w., str. 22.

⁵⁾ Hammer, j. w., str. 22.

człowieczy, a zawsze niedostępny w majestacie swoim, zmienia sposób postępowania jedynie wobec tych z ludzi, których znaniem duch rycerski i heroizm, — tym tylko ucha skłania, których do siedziby jego przyprowadzi wytrwałość nadludzka. Tego rodzaju ludzi Simurg bierze w opiekę szczególniejszą, — udziela im rad najmędrszych i wskazówek najdoskonalszych, — otacza faworem, jak sławnego Rustema, który jedynie przy pomocy jego »dokonał cudów waleczności w walce z Diwami i herosami turańskimi«¹⁾, — wreszcie daje im najwyższy dowód uznania i łaski w tem, że wyrывa pióro z ciała własnego i wręcza je najdzielniejszemu.

W tem staroperskiem podaniu, które wyraz najobszerniejszy znalazło w poemacie »Mantiket-tair«, napisanym na podstawie tradycji w XIII wieku przez Ferid-ed-dina Attara (Mohammeda Ben Ibrahima el Attara z Niszaburu), dochowało się chyba niemyślne wyjaśnienie jednego z najważniejszych a bezsprzecznie jednego z najpiękniejszych szczegółów w kulturze, zwyczaju i folklorze wszechludzkim, mianowicie: czym był ptak, czym pióro jego, używane jako ozdoba, i — czym t. z. prośba o pióro.

W »Mantiket-tair« (po polsku »rozmowy ptaków«) ptaki całego świata zbierają się na sejm, aby naradzić się nad wyborem króla²⁾. »Dudek, którego natura obdarzyła już koroną i który z tego powodu zdaje się mieć najbardziej ugruntowane prawo do tej godności, występuje pierwszy, ale nie w tym celu, aby koniecznie utrzymać się przy swoich pretensjach, jak raczej, aby zapewnić je dla Simurga. Pomimo sprzeciwiania się ptaków, dudek wkońcu zwycięża: pielgrzymka do Simurga na jego przedstawienie postanowiona.

»Jedyny w swoim rodzaju«, »władca ptaków« i ich »cesarz« ma stolicę — według opowiadania dudka — »na górze Kaf, Simurg się zowie, jest blisko nas, my daleko od niego. Tronuje na drzewie wysokiem, osłonięty dziesięcioma tysiącami welonów z ciemności i światła jasnego. W obu częściach świata nie znalazł się taki śmiałek, któryby je podniósł. Jest on władcą nieograniczonym, zatopiony w istocie własnej. Nigdy jeszcze nie

¹⁾ Hammer, j. w., str. 22.

²⁾ H. G. L. Kosegarten daje mu nazwę »Mentek-ettair«. Treść Mantiket-tairu podaje się według Hammera, który w dziele swoim pierwszy raz dał ten poemat w przekładzie niemieckim.

wyszedł on z siebie, jakżeż może zgłębić go rozum! Wiele tysięcy go pożąda, ale nikt nie dostanie się do niego. Dusza nie może go opisać, rozum nie może go pojąć. Żaden mędrzec nie widział jego cnoty, żaden widz nie widział jego piękności, żadno stworzenie nie wzbije się do wyżyn jego wiedzy¹⁾.

Do takiego ptaka świętego, który — jak to Hammer stwierdził, — za nic innego nie może być uważany, jak »za źródło wieczyste życia, za dobro najwyższe, którego wszyscy szukają a nikt nie znajduje«, za symbol i allegoryę równocześnie »istoty najwyższej«²⁾, idzie wojsko ptaków, pod hasłem, rzuconem mu przez dudka: »Nie oddawaj się wątpieniu, ufaj wiecznej łaski światłu!« Mimo wszystko jednak z gromady ogromnej tylko nader mała liczba latawców dotarła do celu: »Droga — jak jeden ze szczęśliwców w »Mantiket-tair« opisuje, — szerzyła się od księżyca do księżyca. Do przebycia mieliśmy siedm mórz płomieni i ognia, a kiedyśmy wkońcu je przebyli, otwiera na nas paszczę ryba, która za jednym oddechem połyka przeszłość i przyszłość, — za jednym oddechem połyka oba światy i ludzi. Niestateczność wówczas opanowała dusze, a wiele z ptaków umarło z błaganiem. Inne skonfundowane wybrały się w drogę na wszystkie strony. Przez cały rok to tam, to sam błądząc, zmarnowały życie swoje. Niemożliwą byłoby rzeczą opisywać, co spotkało je wśród podróży... Wreszcie z pośród tylu rycerzy, drobna jedynie garstka dochodzi do kresu, z pośród tylu ptaków, tylu tysięcy, doszło jedynie kilka. Jednego bowiem głębia morska pochłonęła, inne na górach wysokich z pragnienia samego wyzionęły ducha, drugie słońce spaliło na pieczeń... Niektóre pomarły w pustyni ze zmęczenia, z gardzielami suchymi, niektóre znowu spaliły się jako motyle w ogniu. Jedna część pozostała w drodze, uciążliwość jej bowiem wydała się za srogą, — druga porzuciła zamiar przy pierwszym spojzeniu mu w oczy. Wskutek tego z tylu tysięcy tylko mała liczba przybyła do celu upragnionego, — cały świat ptaków podróżował, a tylko trzy doszły, — trzy, bez pierza, bez skrzydeł, o sercu złamanem, o duszy chorej. One patrzyły na majestat najwyższy, wyniesiony ponad wszelki rozum... Na to opu-

¹⁾ Hammer, j. w., str. 144.

²⁾ Tamże.

ściła je odwaga, że przez pewien czas leżały jak napół uduśnione. Już w nicość się pogrążyły i przez pewien czas tak leżały. Wtedy przybył poseł z nieba, zobaczył trzy ptaki uszkodzone na ciele i na skrzydłach... i rzekł: »Skąd jesteście? — pociście tutaj przyszli? Nieszczęśliwcy, jak się zowiecie? Co was w świecie spotkało, jak straciliście siły swoje?« — One odrzekły: »Przyszliśmy z prośbą, aby królem naszym Simurg został. Myśmy zabłąkali jego dworu, zabłąkali pielgrzymi jego drogi, już długo po niej chodzimy, z tysięcy trzysmy pozostali! Przyszliśmy w nadziei zobaczyć jego oblicze, jeżeli cierpienie nasze jemu się podoba, to zaszczyci nas spojrzeniem«. Poseł odrzekł: »Pielgrzymi przerażeni, o sercu, niby glina zgniecieniem, On (tj. Simurg) zlituje się nad wami życzliwie i przybędzie szybko wam z pomocą« ¹⁾.

Bardziej dotykalnego objawu łaski, niż w »Mantiket-tair«, doznają bohaterowie »Szachname'a« ze strony Simurga. Tak np. w sadze, przez Homera Wschodu, Firdusiego, w poezję przebranej, p. t. »Isfendiar i Rustem«, ptak cudowny dzielnemu rycerzowi Rustemowi, zranionemu przez Isfendiara, cudownej udziela pomocy. »Simurg przyglądał się krwawiącym, otwartym ranom... Dzióbem krew wyssał, ośm strzał wydobył z ciała silacza, nacierając go* skrzydłem swoim, tak, że wkrótce uczuł on życie nowe. Potem rzekł: »Weź jedno pióro moje i zanurz je w mleku, następnie potrzebuj niem rany swoje, gdy ci dokuczać będą« ²⁾.

Przytoczone podania perskie wyjaśniają nam odrazu, skąd się wzięły pióropusze na hełmach rycerskich, — skąd wyszły

¹⁾ Hammer, j. w., str. 151—2.

²⁾ Heldensagen von Firdusi. In deutscher Nachbildung nebst einer Einleitung über das Iranische Epos von Adolf Friedrich Schack. Zweite vermehrte Auflage, Berlin, 1865, str. 422—3. W tegoż samego podania innym ustępie Simurg udziela Rustemowi pomocy w ten sposób, że »skrzydła swoje nad głową mu roztacza i unosi go daleko; ich pióra były powietrze i zapach moschusowy Rustemowi czyniły«. Następnie, gdy bohater znalazł się nad brzegiem morza, zobaczył wielkie drzewo wiązowe. »Cudowny ptak wleciał na jego gałąź i rzekł: Wyłam natychmiast z tego drzewa pręt najdłuższy i najsilniejszy. Związany jest z nim żywot Isfendiara, a on, bohater, w ręce twoje oddany. W ogniu tylko pręt ten wzmocnij, dwa żelazca przymocuj do niego a do końca przywiąż trzy pióra: Isfendiar stanie się wobec ciebie bezsilnym« (tamże, str. 423—4) itd.

dwustopowe, strusie pióra na kaskach szwoleżerów polskich, — skąd pawie oczka na konfederatkach Krakowiaków, — skąd wogóle piórka po zawadyacku wpięte, na czapkach zawadyackich junaków, żeby tylko przytoczyć górali zakopiańskich, między którymi nie znajdziesz żadnego, bez długiego u kapelusza orlego lub innego pióra itd. Pióro, czy na hełmie rycerskim, czy na modnie przybranym kapeluszu kobiecym, nie będzie niczem innym, jak tylko przeżytkiem staroperskiego »czelenku«, t. j. odznaki wojowniczej i nagrody wojowniczej, której pierwotnie udzielał Simurg, — ten ὄρνις θεός.

Z podań onych wyrozumiemy w ciągu dalszym, z jakiego źródła wypłynęła cała wogóle pterygolatria, w szczególności zaś, aby się zbytnio nie rozszerzać, jasną nam się stanie geneza: 1) ogromnej liczby podań, utworzonych przez wszystkie plemiona ludzkie o jakimś cudownym, ogromnym ptaku, który żyje tysiące lub dziesiątki tysięcy lat, ma skrzydła tęczowe, brylantowy czub na głowie, złocisto-szkarłatne upierzenie, ogon złoty, a pierś srebrzystą, — ptaku, którego Polakowi podoba się nazwać »Żar-ptakiem«, — Grekowi starożytnemu »Foiniksem«, — rabinowi »Chulem«, — Talmudowi »Orsiną« lub »Kuknusem«, — Chińczykowi »Fong-Hoangiem« itd.; — 2) przypisywania całemu »genus avis« albo niektórym jego przedstawicielom mocy i siły o znamieniu boskości i cudowności lub przynajmniej nadzwyczajności, nigdzieindziej zgoła nie spotykanej; — 3) znaczenia przedewszystkiem orła i innego, blisko z nim spokrewnionego drapieżcy, w życiu politycznym, społecznym lub wojskowym państw, narodów i ludów.

Od »Mantiket-tair« wychodząc znowu, które przez usta dudka obwieszcza tę prawdę:

»Cień Simurga krąży naokoło świata,
Przejawiając się następnie pod ptaka formą;
Niczem nie są ptaki, tylko cieniem jego:
Tego się nauczcie, wszyscy nieświadomi!«¹⁾

przypominamy nasamprzód baśń »O dwunastu królewicach, zaklętych w orły«, i »Siostrze ich, królewnej, przemienionej w gołąbkę«, lub też podanie o »Janie Królewicu, Żar-ptaku i o Wilku-

¹⁾ Hammer, j. w., str. 148.

wiatrolocie»; znanych powszechnie a spisanych przez A. J. Glińskiego w »Bajarzu Polskim« (Wilno, 1881, t. IV, str. 116—127, i t. I, str. 11—31). W pierwszej z nich na zakłęcie siostry:

»Ptaku, ptaku, zmiłowania!
Przez moje modły i łkania,
W niezwałzonej swojej mocy
Przybądź, przybądź ku pomocy!« —

»po promyku światłości słonecznej«, strzelającym z nieba, spuszcza się ptak tajemniczy, o barwach bajecznych, i ratuje całe rodzeństwo z przysionka wieczności. Kształtu był tak ogromnego, że »na grzbiecie jego pomieścili się wszyscy królewicowie a pośrodku siadła królowna«. W baśni drugiej »świecący się, promienisty, jakby jaki krąg ognisty, noc w dzień zamieniając, ptak nie-ptak, cudo ptaków« zostawia w ręku królewica Jana »jedno pióro światłości słonecznej«. Skoro szczęśliwiec pióro owe z zanadru wyjął, dziedziniec cały i cały pałac królewski światłem słońca zajaśniał, a uradowany król-ojciec zerwał się z łoża i zawołał: »To pióro Żar-ptaka! kto mi go samego złowi i przyniesie, temu połowę królestwa odstąpię, a jeżeli to będzie jeden z synów moich, następcą go po sobie naznaczę«. Najmłodszy syn królewski, Jan Królewic, przy pomocy wilka Wiatro-lota, odkrywa miejsce pobytu Żar-ptaka i wśród trudów najuciążliwszych, przypominających podróży ptaków w »Mantiket-tair«, zdobywa ptaka samego, z nim królownę Cudo-licę i koronę królewską po ojcu.

Aby przejść do punktu drugiego, przypominamy na czele dar profecyi, przypisywany ptakom od czasów zamierzchłych. Tej okoliczności zawdzięczają one np. najzaszczytniejsze miejsce w wieszczbiarstwie Rzymian, dla których »bona avis« była równoznaczna z wieszczbą szczęśliwą, »adversa« zaś albo »mala« z niepomyślną. W folklorze jednak ogólnym ptak obok tego spełnia bardzo często rolę mściciela pokrzywdzonej sprawiedliwości i pogwałconego prawa, albo rolę doradcy wszelkiego stworzenia w ciężkich wypadkach i nieszczęściach dlatego, że bywając wszędzie na skrzydłach, zbiera najwięcej doświadczenia i rozporządza największym skarbem rad mądrych. Te ostatnie wierzenia będą matką ślicznych baśni o »ptaszynach mścicielkach«, wydających i karzących morderczynie-machochy, — o mądrych »krukach i kruczątkach«, które latając po

świecie, zbierają jakby najlepsze owoce mądrości i w razie potrzeby udzielają ich pod postacią nauk lub wskazówek ludziom i zwierzętom, — o »białych gołąbkach«, które uczą sierotę gnębioną »odbierać mak od jagieł« i w tej pracy pomagają jej skutecznie, — itd.

A co mówić o przymiotach najrozmaitszych, które rzeczywiście lub tylko w wyobraźni człowieka dostały się ptakom w udziale! Ogromna mianowicie liczba zagadek i pytań zagadkowych, które istnieją we wszystkich językach, bierze początek od zdumiewających własności ptaka i wyłącznie około nich się obraca¹⁾. Spiew ptasi, a zapewne także zdolność niektórych latawców do wyuczenia się i naśladowania mowy ludzkiej, stworzyły bajecznego, mówiącego ptaka, w »Tysiącu i jednej nocy« sławnego Bulbulhezara, w podaniach zaś niemieckich nie mniej sławnego pieśniarza, zwanego ogólnie »Wunder-Sing-Vogel«²⁾.

Bardzo stara i bardzo szeroko rozprzestrzeniona wiara, z której setki razy korzystał romantyzm, utrzymuje, że tylko pianie koguta, dzień zwiastujące, rozpędza wszelkie nocne strachy i zmusza najpotężniejsze demony do odwrotu, a podanie przepiękne o cudownej mocy ptaszka malutkiego zapisał w swej historii Swetonius, według którego sam wizerunek skowronka, wyobrażającego wesołość poranną, wyrity na hełmach legionistów, dał zwycięstwo orężowi rzymskiemu nad Gallami niepokonanymi itd.

O znaczeniu orła w kulturze człowieka wspomniano już powyżej, w tem miejscu dodaje się jeszcze, że »ptak błyskawic i piorunów« w mitologii greckiej uważany za jedynego ptaka boskiego i niebiańskiego, który miał prawo siedzenia przy tronie Zeusowym, by przynosić mu pioruny i ognie, z czasem stał się symbolem królów, od Jowisza ród wywodzących, — państw, na których czele stali tego rodzaju władcy, — wreszcie sił zbrojnych, które służyły za podporę im obojgu. Na Wschodzie najwcześniej do celów podobnych użyty, zmienia się w herb królewski za Aleksandra Wielkiego, który każe go na pieniądzach wybijać; w Egipcie rolę podobną pełnić zaczyna od Pto-

¹⁾ Zob. Köhler R., *Kleinere Schriften*, Berlin, 1900, t. III, str. 519—24.

²⁾ Tamże, str. 170—1.

lemaiosa Sotera a w Cesarstwie rzymskim od Oktawiana, aby w epoce Karola Wielkiego przejść do heraldyki państw i rodzin i dzierżeć w niej panowanie aż do dni dzisiejszych. Orzeł podwójny czyli dwugłowy, którego kolebki według archeologów szukać należy, tylko w Oryencie, na gruncie europejskim staje się symbolem nasamprzód »imperii Romani«, dzielącego się na Rzym i Grecyę (stąd dwugłowy), następnie spada na dwa państwa, z tego tytułu, że jedno z nich jako »heiliges, römisches Kaiserreich deutscher Nation« będzie się uważało za dziedzica Romy, drugie zaś Rosyja za spadkobierczynię Bizancjum.

Znakiem wojskowym, jak Xenofont opowiada w »Cyrope-dyi«, uczynili sobie orła już starożytni Persowie. W Europie ptak boski przed wojskami podczas marszu i w bitwie latać poczyną od czasów Mariusa; odtąd wojownicy otaczają go czcią religijną, — gdy w rozprawie wpadnie w ręce nieprzyjaciół, kończy się istnienie legionu na zawsze. »Orzeł legionów«, t. z. »aquila legionaria«, z tego powodu przedstawiony jest zawsze ze skrzydłami, do lotu gotowemi, jako wieszczba bowiem, szczególnie wróżąca, ma iść przed oddziałem i wskazywać mu do zwycięstwa drogę. Jak orzeł, za przykładem Rzymu, zajął pole herbów i sztandarów państw nowożytnych pod postacią jedno- czy dwu-głową, tak samo stało się to z proporcami wojskowymi wszystkich niemal narodów, a Napoleon Wielki, naśladując wprost zwyczaj rzymski, dał pułkom francuskim jako »signum militare« orła złotego z podnoszącemi się skrzydłami, który je prowadził przez »Alpy podniebne, pod Ulm, Austerlitz, Piry-midy, Tabor...«

Gdyby chciano znaleźć wyjaśnienie tych wszystkich zjawisk, wierzeń i zwyczajów, to — zdaje się — najtrafniej szukałby go należało w przytoczonych wierszach poematu perskiego, rozkazująca ich bowiem treść powiedziałaby, że każdy ptak, rzeczywisty czy przedstawiony w jakimkolwiek wyobrażeniu, nie jest niczem innem, jak tylko »cieniem« tajemniczego, dla rozumu człowieka niepojętego mieszkańca góry Kaf, czyli odwiecznej i nieśmiertelnej mądrości, wiedzy i potęgi, a stąd może brać w opiekę skuteczną państwa, narody, rodziny, woj-ska i człowieka poszczególnego.

Logicznie wnioskując, zrozumiemy także, że nie mniej czę-stka istoty, od Simurga pochodzącej i z nim spokrewnionej, bę-

dzie musiała posiadać moc, do pewnego stopnia równą owej pra-istocie, — zrozumiemy, czem mianowicie jest i będzie pióro jako talizman-ozdoba i czem t. z. prośba o pióro.

Prośba o pióro naturalnie będzie rozmaita, jak rozmaite są rodzaje ptaków, rozmaita też będzie skuteczność piór, bo pierza na Simurgu, pomimo jego wieczności, dotąd nie stało. Według podań i tradycyi będą więc pióra, których szukanie, znalezienie i podjęcie przyniesie znalazcy godność hrabiego, — będą i takie, które uczynią go księciem, i takie, które uczynią go królem. Jest atoli i czwarte pióro, najrzadsze i do znalezienia najtrudniejsze, które szczęśliwca zrobi cesarzem i panem wszystkich krajów i ziem na świecie, — władcą wszystkich dziedzin ducha i ciała, — w którego państwie słońce nigdy nie zachodzi!«¹⁾

»Prośbę o pióro« znosi zarówno pieśń ludowa, jak twórczość artystyczna, przez usta matki, której syna wysłano na wojnę, — przez usta kochanki, której narzeczonego pognano w bój, — przez usta zawiedzionej miłości i nadziei upadłej — albo taką skargą, jak skarga opuszczonej i pogardzonej dziewczyny, zwracającej się do swoich gąsek i proszącej je o pomoc skrzydlatą:

»Gąski, gąski! tę piosenkę,
Prosząc piór, śpiewam ze łzami,
W wasze piórka jak w sukienkę
Ja ubrana lecę z wami! —
Gąski, widząc łzy w mem oku,
Piór rzuciły z pod obłoku...«

Gąski — oczywista — litują się nad biedną i trzykrotnie rzucają jej po piórku, — ona ubiera się i leci po to, by znowu jaskółkę prosić o materiał na suknię żałobną²⁾.

I tak dalej i tak dalej dałby się snuć wątek »prośby o pióro« — bez możliwości jednak wyczerpania i skończenia. Ale pióro o folklorze i w historii zwyczajów ludzkich zdobywa znaczenie jeszcze jednego symbolu. W Europie zaszło to mianowicie, według przypuszczenia, we wieku VII, w którym sławny Izydor Sewilski, autor głośnych »Etymologii«, powiada, że »instrumentum scribae calamus et penna: sed cala-

¹⁾ Według Bechsteina w E. Lauscha »das Buch der schönsten Kinder und Volksmärchen«, Leipzig, 1893, str. n.

²⁾ Barszczewski J., »Szlachcie Zawalnia, Petersburg, 1844, str. XXXIV i n. 7.

mus arboris est, penna avis«. Odtąd więc zaczyna część ptaszego skrzydła wieść żywot w Europie jako narzędzie pisarskie, obok trzciny starożytnej, — odtąd zaczyna być także symbolem pisarskiego zawodu i odtąd władacze pióra zaczynają pokorne prośby do ptaków zanosić, aż u Mickiewicza znajdują one wyraz w prośbie Aldony do skowronków lub chłopca »zakłętego« do żorawiów, — aż wreszcie wypowiedzą się w piosenke ślicznej Rydla:

»Leciał ptaszek z raju
Do ziemskiego kraju,
Przelatywał tędy górą,
Gdzie twoje podwórko,
I upuścił złote pióro:
Ja wziąłem to piórko!....«

O takie piórko złote modlić się winien każdy, kto idzie w pióra służbę, — o piórko, które nie jest niczem innem, tylko częstką wiecznej mądrości i myśli, wcielonej cudownie przez mitologię staro-perską w podanie o Simurgu i o piórze ptakoboga. Kto znajdzie to piórko, to królewic z bajki o Żar-ptaku, — królewic bez względu na to, czy narzędziem boskiem władać będzie po »rajskiej róży płatku«, czy zamieni je w »miecz Archaniola«!





GENEZA LEGENDY O SMOKU W ZWIĄZKU Z ISTNIENIEM CZŁOWIEKA CZWARTORZĘDOWEJ EPOKI.

Napisał

Franciszek Rawita Gawroński.

W wyobraźni ludowej zmora i potwór zwierzęcy są pojęciami bardzo zbliżonemi. W ogóle lud pod wyrazem smok rozumie jakieś zwierzę niezmiernie szkodliwe, straszne i potworne, dziś już nie istniejące. Jak sobie wyobrażnia ludu przedstawia owe potwory, najlepiej dowiedzieć się o tem można z baśni i gadek. W tej chwili wszakże nie chodzi o wygląd, o rysunek, że tak powiem, tego potwora, tylko o sam fakt istnienia jego w rzeczywistości.

Typową legendą o smoku jest krakowska. Krok czyli Krakus, który »panował dobrze jeszcze przed Bożem Narodzeniem w tych krajach«, »założył zamek na górze skalnej, rzeczonyj Wawel«. »Piszą nam starzy kronikarze — powiada Bielski — iż pod tą górą Wawel był smok wielki, który troje dobytku razem zjadał, także i ludzi kradł i jadł, przeto musieli mu dawać obrok, każdy dzień troje cieląt albo baranów«. Dalsze losy tego smoka już nas nie interesują. O smokach pełno gadek wszędzie, a władca z pod Wawelu nie był jedynym Krokiem. Jakiś Krok czy Erok żył za czasów Konstancjusza Chlora

(1306), a Lelewel przypuszcza, że musiał ze swymi Alemanami być na służbie rzymskiej w Galii. Był inny jeszcze Krok (Chrok) w Galii, który niszczyielskimi napadami się wślawił. I ten Krok, według Grzegorza z Tours miał być królem Alemanów. Słowem, nie tylko w Polsce byli Krokowie.

Wyobraźnia wogóle, a tembardziej wyobraźnia ludowa, nie jest bynajmniej siłą oderwaną, działającą zupełnie samowolnie, — przeciwnie, w podstawie tworzonych przez nią obrazów, leży zawsze rzeczywistość. Z tego dopiero materiału wyobraźnia tworzy lub przetwarza obrazy i zjawiska. Wychodząc z powyższego założenia, wszystko to, co nazywamy legendą, podaniem, zawierać musi część prawdy. Oczywiście, nie biorę w rachubę legend i podań z zakresu demonologii, które mają odrębny charakter i pochodzenie.

Musimy też prawdy doszukiwać się i w podaniu o smoku.

Ażeby ją odszukać, mamy tylko jedną drogę — cofnięcia się wstecz, dalej po za okres, oznaczony przez Bielskiego słowami »dobrze przed Bożem Narodzeniem«. Klucza do rozwiązania zagadki musimy szukać nie w historii rozwoju człowieka, lecz w historii ziemi. Nie powstała ona ani tak rychło, ani tak dobrze, ani tak poetycznie, jak opisuje nam księga *genesis*. Pozostawiając pogodzenie podania biblijnego z badaniami uczonych geologów stronom spór wiodącym, musimy uznać te zdobycze naukowe, jakie w historii kształtowania się ziemi zostały ustalone i sprawdzone.

Nie mając na uwadze krytycznego roztrząsania słuszności podziału okresów geologicznych, kwestyą tą zajmować się wcale nie będę. Czy Lyell ma rację czy Mortillet lub inni — w tę sprawę wdawać się nie myślę.

Biorę jedynie za punkt wyjścia fakt sprawdzony: istnienie człowieka w epoce czwartorzędowej, równocześnie z szeregiem zwierząt dziś już nie żyjących. Na tę ostatnią epokę wypada okres lodowców i okres dilduwialny.

W epoce trzeciorzędowej północna półkula ziemi posiadała klimat równy i umiarkowany; dowodzą tego szczątki kopalniane roślin, znalezione w Grenlandii i Spitzbergu. Większa część Europy tej epoki była jeszcze pod wodą — podnóże Skandynawii, prawie cała Rosya, Polska, Prusy, Dania, Holandya. Ku końcowi wszakże zjawiły się lody północne, klimat stał się

ilgotnym, a równocześnie nastąpił okres deszczowy, który wywoływał prawdopodobnie liczne tak zwane potopy.

W epoce czwartorzędowej Lartet odróżnił dwie grupy zwierząt: północną i południową; południowa, do której należały, między innymi, lew, pantera, hyena, niedźwiedź i in., poprzedziła północną. Zwierzęta tej epoki, których wyliczać nie myślę, bo to do rzeczy nie należy, jedne wyginęły doszczętnie, inne przeniosły się do odpowiedniejszego dla nich klimatu, inne przekształciły się, stosując się do okoliczności. Zarówno emigracja, jak wymieranie i przekształcanie się gatunków odbywało się bardzo powoli i bardzo długo. W Europie, w pokładach eocenowych znajdujemy aligatora i rozmaite gatunki krokodyłów. W okresie wcześniejszym, względnie do dzisiejszej epoki, kości i szkielety mastodonta, dinotorya, machajrodusa, wreszcie mamuta, znajdowane na całej przestrzeni lądu od oceanu atlantyckiego do wybrzeży morza Ochockiego i Żółtego świadczą o wielkiej rewolucji geologicznej, która wstrząsała niejednokrotnie naszą ziemią. Epoki i okresy geologiczne nie dadzą się wszakże oznaczyć tak dokładnie latami, jak epoki i okresy dziejowe. Trwanie ich na dziesiątki tysięcy, a nieraz setki tysięcy lat liczyć trzeba. W przestrzeni tego czasu odbywało się przekształcanie się ziemi, flory i fauny, jakoteż emigracje do innych klimatów. Gdy wreszcie w czwartorzędowej epoce zjawiał się człowiek, żyło jeszcze kilkadziesiąt gatunków zwierząt olbrzymich, dziś już nie istniejących. Od tego momentu rodzaj ludzki istniał nieprzerwanie.

Znając charakter umysłowości człowieka, jego walki o byt od pierwszej chwili pojawienia się z otaczającym światem, niepodobna przypuścić, ażeby w pamięci jego nie zachowały się z pokolenia w pokolenie wspomnienia o tych potężnych olbrzymach, które groziły jego życiu i z którymi codziennie walczyć musiał. Mamy dowody, że człowiek pierwotny utrzymywał nawet na kości renów postacie takich zwierząt. W muzeum S-t. Germain en Laye pod Paryżem można oglądać nadzwyczaj dokładne rysunki renów, mamutów i in. zwierząt z epoki czwartorzędowej, z okresu, który Mortiletowi podobało się nazwać magdaleńskim (la Madelaine). Skoro człowiek tak dobrze pamiętał te zwierzęta, że je utrzymywał na kości, musiał tedy opowiadać o nich, gdy ich nie stało, a najsilniej w pamięci

wyryły się obrazy i cechy tych zwierząt, które dla niego były groźne. Musiała zatem istnieć pewna ciągłość tradycji, o czasach przeżytych i zwierzętach widzianych. Zacierała się wprawdzie w paśmie nieprzerwanych podań ludzkości, barwa i charakter klimatu i natury, zacierały się wrażenia życia, ale nie mogły zginąć zupełnie z pamięci ludzkiej formy konkretne, dające się ująć w obrazy jasno zarysowane. Człowiek pierwotny nie umiał określić, jaki był za jego czasów klimat, bo pojęcie klimatu opierało się na wrażeniu, a wrażenie w każdym okresie życia ludzkości mogło być inne, zatem nie mogło utrwalić się w pamięci. Fauna natomiast pozostawiała w jego umyśle konkretne obrazy, które sam pamiętał lub z opowiadań innych powtarzał i przekształcał. Fakty tego rodzaju pamięci ludzkości sięgają już naszych czasów historycznych. Juliusz Cezar, w dziele o wojnie galijskiej, opisując las Hercyński, ciągnący się od granic Helwetów i Nemetów wzdłuż Dunaju aż do Dacyi, powiada, z opowiadań innych, że »widzieć tam można wiele dzikich zwierząt, których już nigdzie nie spotyka się«. Oczywiście, była to jedna z ostatnich wielkich oaz, gdzie skupiła się wymierająca fauna starego świata. Między innymi zwierzętami cytuje wołu o jednym rogu, w środku czoła między uszami, którego wykopaliska znajdują się w epoce czwartorzędowej Galii.

Nasuwa się pytanie: jaki to stosunek mieć może ze smokiem i jakie zwierzę, z nieistniejących już dzisiaj, możnaby uważać za równoznaczne ze smokiem.

Zaznaczyłem już wyżej, że pamięć ludzka dłuższą była i dalej sięgającą niż życie zaginionej fauny; że życie przeżyte, przekształcając się w tradycje i podania, przechowywało obrazy tej fauny; że obrazy te zatem, w miarę oddalenia, jedne zacierały się zupełnie, inne, bliższe, przybierały kształty coraz mniej wyraźne, aż dopóki nie nabrały cech wymysłu. W tym punkcie trzeba szukać początku podań o człowieku lasowym i o smoku. O istnieniu człowieka lasowego, dzikiego, dziś jeszcze lud wiejski na Litwie i Rusi opowiada. A istnienie smoka już w XVII w. identyfikowano z kośćcami kopalniami zwierząt. Peterson Hain kości niedźwiedzia kopalnego nazywał kośćcami smoka, które utarte na proszek służyć miały niezawodnym środkiem lekarskim na epilepsję, jak dziś cudowne

płyny i maście Ihnatowicza są niezawodnym środkiem na porost włosów.

Jakie zwierzę lud nasz uważał za smoka, według wszelkiego prawdopodobieństwa znaleźć możemy odpowiedź w badaniu jaskiń. Jaskinie bywały mieszkaniem i człowieka i dzikich zwierząt. Kto pierwszy zajął, ten posiadał; kto wypędził innego, ten sam królował w jaskini. To zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że silniejsze, większe, wytrwalsze okazy drapieżnych potworów czwartorzędowej epoki chętnie obierały sobie jaskinie, nie tylko jako twierdzę, w której z trudem mógł je zdobyć pierwotny człowiek, w liche narzędzie zaopatrzone, ale skąd wypadając mogły szukać sobie pożywienia. Dla człowieka, który już był przyswoił sobie niektóre zwierzęta domowe, taki potwór potężny, niedostępny dla jego broni, stawał się i strasznym i szkodliwym, tembardziej, że jako mięsożerny, groźny był i dla człowieka i dla jego dobytku. Wymierający gatunek takiego potwora w pojęciu ludowem, był już rzadkim okazem wogóle, a tam, gdzie obrał sobie mieszkanie, stawał się grozą całej okolicy. Nie przeto dziwnego, że kto go zabił, stawał się dobroczyńcą całego skupienia ludzkiego tej samej okolicy.

Badanie Smoczej jamy na Wawelu przez prof. Aloizego Altha nie wykazało przebywania tam żadnych mięsożernych zwierząt czwartorzędowej epoki, czyli, jak Alth mówi »zwierząt przedpotopowych«. Ale to może być dowodem, że albo jaskinia ta jest późniejszego pochodzenia lub że kości zostały wypłukane albo wyzbierane — na lekarstwo. Jaskinie natomiast w pobliżu Krakowa, badane przez Ossowskiego, dają nam poniekąd rozwiązanie zagadki o smoku. W jaskini, na gruntach wsi Piekar, znaleziono szczątki fauny diluwialnej: mamuta, nosorożca, jelenia kanadyjskiego; w jaskini Przegińskiej — hienę jaskiniową (hiena spelaea). W jaskini na Wrzosach i na Lepiankach znaleziono niedźwiedzia jaskiniowego (ursus spelaeus). Ponieważ kości innych zwierząt mięsożernych tej wielkości co niedźwiedź jaskiniowy w jaskiniach okolicy Krakowa nie znaleziono, można z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuścić, że właśnie niedźwiedź jaskiniowy był owym potworem, owym smokiem, będącym dla człowieka epoki czwartorzędowej groźnym nieprzyjacielem, który »troje dobytku naraz zjadał,

także ludzi kradł i jadł». Gatunek to był już rzadki, wymierający, może jedyny okaz na całą okolicę, niepodobny do innych, przewyższający żarłocznością i siłą wszystkie inne zwierzęta, współcześnie z nim żyjące, nie przeto dziwnego, że pamięć o nim pozostała dłużej niż o innych zwierzętach, że z pamięcią tą łączono potworność jego, wielkość, żarłoczność, siłę. Najbliższym on był człowieka kultury paleolitycznej i dlatego wspomnienie o tym potworze przechowało się silniej, jako o zwierzęciu, którego według słów Juliusza Cezara »nigdzie już nie można było spotkać«. Poza Hercyńskimi lasami ciągnęły się jednak większe i głuchsze puszcze podkarpackie, niedostępne dla dziejopisów najstarożytniejszych — siedlisko takich potworów wymierających. Z biegiem czasu tę jego żarłoczność i krwiożerczość pamięć ludowa powiększyła, stosując się do szkód, jakie dokoła wyrządzał, dorysowując przytem zapomocą wyobraźni przesadne formy i kształty. Można z pewnem prawdopodobieństwem przypuścić, że taki proces myślowy odbywał się wszędzie, gdzie ludność, a raczej ludzie stykali się z niknącym światem zwierzęcym; im bardziej okazy wymierające odbiegały od normalnej fauny, tem jaskrawiej w oczach ludzi pierwotnych przedstawiała się potworność tych okazów, a tem była większą, im dalej odbiegała w przeszłość, im bardziej zacierała się pamięć widzianych okazów, a one same ubierały się w mgłę wymysłu i fantazyi.

Nie myślę weale uważać tezy mojej za coś niewzruszonego; formułuję ją wszakże jako hipotezę, nad którą zastanowić się warto i rozważyć na tle pojęć o smoku, istniejących w całej Europie.





Ludność polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

Napisał

Dr Michał Janik.

Daleki od myśli, abym się kuśił o wyczerpujące sprawozdanie z tak rozległego i niesłychanie zajmującego przedmiotu, jakim jest stan kolonizacyi naszej na ziemiach Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, przedstawię tylko w krótkości rezultat własnych spostrzeżeń, jakie poczyniłem w dwukrotnych wycieczkach za ocean Atlantycki. Pobyt mój na ziemi Ameryki wynosił w całości zaledwie pięć miesięcy, a więc czas niewystarczający, aby rozejrzeć się dokładnie po niezmiernych przestrzeniach między New Jorkiem a St. Francisco, między półwyspem Florida a daleko na północ wysuniętą Alaszką. Zwiedziłem jednak wszystkie prawie kolonie wielkomiejskie i niektóre osady rolnicze; zresztą polegałem na informacjach dobrze z przedmiotem obznajomionych osób trzecich i na wiadomościach słabo niestety rozwiniętej polsko-amerykańskiej prasy. Najwięcej cenię sobie spostrzeżenia osobiste, a tych, mimo wszystko, bardzo było wiele; wynik ogólny powinien zainteresować każdego, kto zajmuje się w jakikolwiek sposób przeszłością, teraźniejszością i przyszłością ludu naszego i narodu.

Skromna, choć pod wielu względami bardzo ciekawa, lite-

ratura wychodźcza dopiero w bieżącym roku zdobyła się na zarys swoich dziejów, w którym ks. Wacław Kruszką w bardzo lakoniczny sposób opowiada o początku, wzroście i rozwoju dziejowym osad polskich w Północnej Ameryce. Z dawniejszych rzeczy o emigracyi chlubnie wyróżnia się Henryka Nagla: *Dziennikarstwo polskie w Ameryce i jego 30-letnie dzieje* (Chicago 1894), sumienne studjum nad ważnym objawem życia umysłowego amerykańskiej Polonii. Zasługuje jeszcze na uwagę Modesta Maryańskiego: *O emigracyi, a w szczególności o emigracyi polskiej do Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki i o koniecznej potrzebie jej zorganizowania* (Chicago 1898). Nieliczny poczet innych publikacji z tego zakresu nosi raczej charakter wrażeń podróży i należy do piśmiennictwa europejsko-polskiego¹⁾. Wspomniany już ks. Kruszką jest w posiadaniu obfitych i cennych materyałów, których oby jak najrychlejsze a całkowite wydanie będzie dla Ameryki bardzo pożytecznem, a dla nauki historyi polskiej stanie się w swoim zakresie rzeczą pierwszorzędną wartości.

Tradycja polsko-amerykańska sięga czasów przedkolumbowych. Uświadomieni Polacy amerykańscy z wielką cziłą przechowują podanie o Mazurze, Janie z Kolna, który jako komendant duńskich okrętów już w r. 1476 zawinąć miał do brzegów Labradoru. Z czasów przed walką o niepodległość kronika amerykańska zapisała przybycie Zborowskich w r. 1562 i polskiego nauczyciela niewiadomego nazwiska, którego koloniści holenderscy z Manhattan Island sprowadzili w r. 1659. W walce o niepodległość odznaczyło się kilku Polaków, a podręczniki historyi ojczystej dla najmłodszej diatwy amerykańskiej zapisały nazwiska Kościuszki i Pułaskiego. Nieco później spotykamy Jezuitów białoruskich i Niemcewicza, potem niektórych rozbitków z wyprawy Jabłonowskiego na San Domingo, a nareszcie emigrantów politycznych z r. 1831, z r. 1848 (a między nimi zmarłego w Waszyngtonie dyktatora Tyssowskiego) i z r. 1863. Te zastępy oświeconych a poniewolnych wychodźców z natury rzeczy musiały się rozpląnąć w kulturalnie, plemiennie i religijnie obcym zbiorowisku. Emigracya sporadyczna

¹⁾ Tu należy n. p. książka p. Dunikowskiego, ks. Pindora i M. Janika *Z wycieczki do Ameryki* (Cieszyn 1900).

nie mogła wydać rezultatów, chociaż niektóre jednostki usiłowały wytworzyć dla siebie pewien rodzaj łączności, czego dowodem już w r. 1863 wydawane w New Jorku pierwsze czasopismo polskie, p. n. »Echo z Polski«. Wytłaczano je u Schriftgiessera, podobno żyda polskiego z Królestwa. Pismo to zebrało nawet dość ładny fundusz na rzecz sympatycznego wówczas dla Ameryki powstania styczniowego, a wśród ofiarodawców między innymi figurują »Polacy wyznania mojżeszowego« i Czesi. Żywot tego pisma był niestety efemeryczny.

Moment przełomowy stanowi r. 1870, w którym emigracja stała się ludową i od kiedy zaczęli napływać liczni wychodźcy ze Ślązka, z Poznańskiego, z Prus i z ziemi Kaszubów. Pośród tych emigrantów przeważnie z pod zaboru pruskiego nie wiele było stosunkowo mieszkańców Galicji, Królestwa i Litwy. Ci pojawili się nieco później, gdy ruina materialna ze zdobytą po zniesieniu pańszczyzny wolnością i z krzewiącą się powoli oświatą kazały szukać ludowi polepszenia bytu na drugiej półkuli. Prąd wychodźczy trwa nieprzerwanie aż do chwili dzisiejszej. Pod względem narodowym ucierpiały na tem szczególnie Prusy, gdzie wysprzedawano się całemi osadami, pozostawiając ziemię przeważnie w rękach niemieckich. Dla ścisłości należy przypomnieć, że pierwsza ludowa fala wychodźców napłynęła ze Ślązka pruskiego już w r. 1854. Przybyło wówczas trzysta śląskich rodzin do Texas i założyło rolniczą osadę, p. n. »Panna Marya«, a pierwszym jej organizatorem był również Ślązak, ks. Leopold Bonaventura Marya Moczygemba.

Statystyka urzędowa z r. 1900 podaje liczbę żyjących naszych wychodźców w sumie 383,595 osób. »Spis ten¹⁾ obejmuje tylko takich Polaków, którzy przybyli ze starego kraju, a nie tych, którzy się w Ameryce urodzili; nadto nawet przybyłych ze starego kraju urzędowy census zapisał tylko takich jako Polaków, którzy na zapytanie: gdzie się urodził — odpowiedzieli urzędnikowi jak najwyraźniej: in Poland (w Polsce). Tych, którzy odpowiedzieli, że urodzili się w Galicji, Prusiech albo Rosyi, zaliczył urzędnik w poczet Niemców, Austryaków lub

¹⁾ Według książki ks. Kruski.

Rosyan. Nareszcie tych, którzy z rodziców polskich urodzili się już w Ameryce, raczył census zaliczyć nie do Polaków lecz do Amerykanów. Dodawszy więc pominiętych przy spisie i urodzonych już w Ameryce, nareszcie przybyłych po r. 1900, otrzymamy prawdopodobną cyfrę około dwóch milionów chrześcijan Polaków, zamieszkających w 810 osadach, skupionych w 517 parafiach polskich pod opieką 546 księży polskich. Cyfra dwóch milionów, chociaż nie jest ścisłą, nie jest jednak przesadzoną, o ile uwzględnia poczuwających się jeszcze do narodowości polskiej, a według informacji, czerpanych u Amerykanów, jest za skromną, o ile uwzględniałaby osoby pochodzenia polskiego, których wielka część uważa się dzisiaj już za Amerykanów, i zna tylko amerykański patryotyzm. Nie bezprzedmiotową wydaje mi się na tem miejscu uwaga, że Stany Zjednoczone wytwarzają raptownie odrębną narodowość, która, posługując się językiem angielskim i biorąc udział w angielskim życiu umysłowem, nazywa się jednak amerykańską. W skład jej wchodzi szybko ludzie różnego pochodzenia narodowego, którzy ani powiedzieć sobie nie dadzą, ani zrozumieć nie chcą, że amerykańskie pochodzenie nie przesądza jeszcze amerykańskiej narodowości. Nie wystarcza im nawet taki argument, że europejskie pochodzenie nie oznacza europejskiej narodowości. Czynniki wpływowe krzewią tego rodzaju hasła w dobrze zrozumianym interesie assymilacyjnym, który w połączeniu z przekonaniem o wyższości cywilizacyjnej języka angielskiego zdobywa bez przeszkody znakomite rezultaty. Zostać Amerykaninem i być za Yankesa uważanym — to szczyt marzeń wychodźców europejskich, nieraz już w pierwszym, a z reguły w dalszych pokoleniach. Wyjątki nie mogą być brane dzisiaj w rachubę. O ile zauważyć mogłem, — proces ten rozwijać się będzie w dalszym ciągu z nieubłaganą konsekwencją.

Czy moglibyśmy otrzymać dzisiaj dokładną cyfrę Polaków amerykańskich. Byłoby to możliwem w odniesieniu do osób chrześcijańskich. Takiego jednak spisu nie podejmie się rząd, któremu nic nie zależy na konserwowaniu narodowości, gdyż utrudniłoby mu to tylko inne zadania kulturalne. Mogliby to uczynić proboszczowie parafii polskich, którzy ze względu na czysto prywatny charakter wszelakich kościołów w Ameryce mają w każdej chwili dokładny przegląd swoich owieczek. Je-

dnakże przeważna ilość księży cyfr takich nikomu nie poda, gdyż od ilości wiernych zależy opłata grosza katedralnego, składanego na rzecz dyecezalnego biskupa. Ponieważ zaś biskupi ci są do dzisiaj bez wyjątku nie-Polakami, dlatego w spisach, przedkładanych biskupom, podaje się przeważnie cyfry możliwie najniższe. Dla tych różnych powodów cyfra Polaków w Ameryce zamykać się będzie prawdopodobnie zawsze tylko w granicach prawdopodobieństwa.

Ta około dwumilionowa masa polskiej ludności chrześcijańskiej rozpięzchła się po całej niezmiernej przestrzeni Stanów Zjednoczonych i w niewielkim odsetku po Kanadzie. Znaleść ją można jako farmerów i skwaterów (squatter) w najodleglejszych nawet okolicach i pustkowiach, lecz przeważna ilość skupiła się w niektórych tylko stanach i w niektórych miastach. I tu znowu podnieść należy z radością niezwykle energię ludu polskiego na drugiej półkuli i jego siłę ekspansywną, a zarazem wyznać ze smutkiem, ile Polska na tem traci, że lud ten pozostawiono na stopniu zupełnej małoletności we własnej ojczyźnie. Największa liczba polskich emigrantów zgromadziła się na czterech głównie terytoryach: w stanie New Jorku, przy kopalniach węgla w Pensylwanii, nad brzegami wielkich jezior środkowo-amerykańskich i nareszcie w stanie Texas. Na innych miejscach mieszkają tylko sporadycznie lub w mniejszych skupieniach. Proces osiedlania się większymi gromadami łatwo wyjaśnić przez to, że z jednej strony swojacy pociągali swojaków, z drugiej zaś strony zdani na łaskę losu przedewszystkiem wśród swoich szukali przytułku. Z większych miast amerykańskich największy procent ludności polskiej wykazuje: New Jork i Buffalo w stanie nowojorskim, Pittsburg w Pensylwanii, Cleveland w stanie Ohio, Detroit w stanie Michigan, Chicago w Illinois i Milwaukee w Wisconsinie. Po kilkanaście tysięcy ludności polskiej mają Baltimore, Philadelphia i St. Louis. Niektóre mniejsze miasta amerykańskie, jak Winona w stanie Minnesota, mają do połowy ludność polską. Nie brak Polaków w najosobliwszych dla piękności przyrody osadach amerykańskich, a więc w La Salle nad kanyonem rzeki Peoria, w Killburn City w okolicy prześlicznych łupków, przez które przedziera się rzeka Wisconsin; mają swój kościół w pobliżu najśluszej podziwianych wodospadów Niagary, znajdzie

ich w mormońskim stanie Utah w mieście Salt Lake City, zbudowali sobie kościółek w Globeville nad Colorado, niedaleko owego cudu świata, Yellowstone Park, który Amerykanie nazwali ogrodem swoim narodowym (National Garden). W dzikiej Dakocie i na wyspach Hawajskich, w St. Francisco i wśród poszukiwaczy złota na Alasce — wszędzie znajdzie się lud polski, nie w ciemnocie i zubożeniu, lecz w dostatku i swobodach wolnych obywateli amerykańskich.

Łatwo odgadnąć, na jakim gruncie poczęła się naprzód organizować emigracja ludowa. Z kraju rodzinnego wywiozła zaledwie niejasne poczucie przynależności narodowej. Wyjątek stanowili wychodźcy z pod zaboru pruskiego, choć i tutaj w nierównej mierze. O prawach i obowiązkach społecznych żadnego prawie nie mieli wyobrażenia i z początku nie umieli zgoła korzystać z dojrzałości i równości obywatelskiej, któremi po kilkoletnim pobycie obdarzało ich ustawodawstwo amerykańskie. Obok jędrnego zdrowia i żywiołowej energii okropna ciemnota — oto najdokładniejsze słowa, któremi można scharakteryzować nadpływające fale wychodźstwa. Wrodzone zdolności miały się objawić dopiero później i to niemal wyłącznie pod wpływem stosunków amerykańskich. Jedynym łącznikiem emigrantów była wspólna mowa i fanatyczne przywiązanie do wiary katolickiej. Na podstawie wiary powstaje też pierwsza organizacja, a jest nią parafia polsko-amerykańska. Pierwszymi przewodnikami duchowymi byli księża starokrajscy, którzy, stare z ojezyny wywołując poglądy, traktowali parafian swoich poważnie po starokrajsku, czyli uważali ich za małoletni żywioł roboczy. Lecz już po kilku latach stan ten zaczął się gwałtownie przeobrażać, ale wskutek ciągle świeżych fal wychodźczych stosunki te do dnia dzisiejszego nie zostały jeszcze należycie ułożone. Mimo wszystko nie można jednak nie uznać wielkich zasług organizatorskich pierwszych zastępów duchowieństwa polskiego. Bez względu na to, czy duchowni ci kierowali się miłością współrodaków, czy względami samolubnymi, rezultat usiłowań pozostał dodatnim, gdyż zorganizowane w sełkach parafie polskie dawały silną podstawę do dalszej pracy kulturalnej nad ludem polskim. Niektórzy księża odznaczali się wyjątkowym talentem organizatorskim, a do tych zaliczyć należy w pierwszym rzędzie ks. Wincentego Barzyńskiego (od r.

1866), twórcy utrakwistycznego, polsko-angielskiego kolegium św. Stanisława w Chicago i ks. Dąbrowskiego, założyciela utrakwistycznego kolegium i seminaryum duchownego w Detroit.

Oprócz ludu fala wychodźcza wyrzucała na brzegi Ameryki ludzi zawodów wolnych i rzemieślników. Oto jak przedstawia się w tym względzie statystyka urzędowa za r. 1900. Dla porównania przytaczam cyfry, odnoszące się do Niemców, Polaków i Rusinów. Wyemigrowało w tym roku do Ameryki 32,797 Polaków, Niemców 13,295 i 7,987 Rusinów. Na te cyfry ludzi zawodów wolnych (lekarzy, nauczycieli, artystów, księży, inżynierów i t. d.) z pośród Niemców było 1096, Polaków 23, Rusinów 2. Rzemieślników Niemców (przeważnie majstrów fabrycznych) było 4,660, Polaków 1865, Rusinów 33. Podobny stosunek da się widzieć i w latach poprzednich. Żywioły inteligentniejsze odegrały i odgrywają na emigracji wybitną rolę i z ich to szeregów rekrutowali się przeważnie ludzie, którzy zwalczają patryarchalne rządy duchowieństwa i usiłują oprzeć organizacją ludu polskiego na szerokiej podstawie swobód amerykańskich. Powstały stąd ferment, do dzisiaj nad wyraz zaostrzony, odgrywa wielką rolę w życiu Polonii amerykańskiej, niejedno dźwiga do góry, niejedno w zarodku zabija. Przewaga pozostała dotychczas w rękach duchowieństwa, a pochodzi to między innymi głównie z pobożności emigrującego ludu.

Najmniej zorganizowanymi są Polacy w New Jorku, bo tworzą tam pięć tylko parafii i trzy w sąsiednim Brooklinie. Przyczyną tego ogrom nowożytnego Babilonu i pobyt, na krótki czas zamierzony. O New Jork rozbija się pierwsza fala wychodźców i tutaj pochłania ich pragnienie jak najszybszego zarobku i powrotu do kraju. Nadto przebywający tu emigranci, których przyjmuje przy opuszczeniu okrętu *Dom dla emigrantów św. Józefa*, to przeważnie Galicyanie i Królewiaczy, a więc żywił czysto roboczy i ciemny. Przytem o New Jork, zachowujący wśród miast amerykańskich najwięcej stosunkowo europejskich obyczajów, obijają się w pierwszym rzędzie jednostki o barwie niepewnej, nieraz nawet obarczone starokrajskimi grzechami, i łowią ryby w mętnej wodzie. To miasto ma jednakże zarazem najwięcej inteligentnych wychodźców, którzy nawet próbowali i teraz jeszcze usiłują czasem stworzyć na nowym gruncie wyższe i czystopolskie życie umysłowe, za

którem tęsknią i którego potrzebę silnie odczuwają. Usiłowania to niestety chwilowe, które prędzej czy później muszą wygasnąć w pięciomilionowym zbiorowisku, miażdżącym i niwelującym doszczętnie działania niezasobnych mniejszości narodowych. Najbliższy nowojorskiemu stan New Jersey wykazuje podobne właściwości; toteż, choć oba sąsiadujące te stany mieszczą przeszło 400,000 Polaków, życie umysłowe polskie jest w nich, ogólnie biorąc, najslabsze. Wyjątek stanowi miasto Buffalo z 70,000 Polaków i z ośmiu polskimi parafiami, gdzie jednym z kierowników ruchu wychodźczego jest ks. Jan Pitas, energiczny wydawca »Polaka w Ameryce«. Buffalo, rezydencya niezależnego biskupa polskiego Kamińskiego, posiada cały szereg organizacyi o charakterze narodowym i biznesowym; dlatego też przyszłość żywiołu polskiego jest tam opartą na silniejszej podstawie i pozwoli ciekawemu Polakowi z Europy przez długie jeszcze czasy urządzać wycieczki w polskim towarzystwie do przesławnych wodospadów Niagary. Zarazem wolno się domyślać, że w amerykańskiej walce o byt zorganizowani Polacy nie dadzą sobie wydrzeć należnej części i zgotują dobrobyt swojemu potomstwu.

W stanie Pensylwanii po pięć parafii polskich mają Filadelfia i Pittsburg. Warunki życiowe emigrantów są do pewnego stopnia podobne nowojorskim. W Pittsburgu i okolicy ludność polska pochodzi przeważnie z Galicyi i Królestwa i pracuje ciężko w tamtejszych kopalniach węgla i hutach żelaznych. Ponieważ ludność ta jest ciemną, więc walka o byt odbywa się nierzadko w ciężkich warunkach. Wyższych form życia umysłowego Pittsburg nie posiada i czeka dopiero na dzielnego organizatora. Liczba Polaków w całym stanie dochodzi do 350.000 osób.

Przestronny, a słabo stosunkowo zaludniony stan Texas liczy do dwudziestu tysięcy Polaków, osiedlonych w 34 osadach. Są to przeważnie osady rolnicze, wcale zamożne, z nazwiskami często polskimi, jak: Panna Marya, Bandera, Św. Jadwiga, Częstochowa, Kościuszko, Gazeta i Pułaski. Typ farmera polskiego z tych okolic jest bardzo sympatycznym. Podobny typ spotyka się jeszcze na krańcach Wisconsinu, w Minnesocie i sporadycznie w obu Dakotach.

Najkorzystniej jednak przedstawiają się kolonie polskie

w okolicy wielkich jezior, to jest w stanach: Illinois, Wisconsin i Michigan, które liczą razem przeszło 700,000 Polaków. Największą kolonią polską w Ameryce jest miasto Chicago, w stanie Illinois, nazywane amerykańską Warszawą. Sami chrześcijanie Polacy mają tutaj 19 kościołów, a między nimi stolica Zmartwychwstańców, Stanisławowo, ma sama jedna do 40,000 parafian. Kościół ich podzielony jest na dwa piętra, na których w niedzielę i święta równocześnie odbywają się dwie sumy. Dwie parafie należą do Niezależnych, którym przewodniczy niezależny biskup polski, Kozłowski. Chicago posiada kolegium utrakwistyczne pod opieką Zmartwychwstańców i akademią Sióstr Nazaretanek dla dziewcząt polskich. Jest ono dalej stolicą Związku Narodowego Polskiego i posiada od niedawna jedyny w całej Ameryce Klub Polski, gdzie zbierają się przede wszystkim najinteligentniejsze i najruchliwsze jednostki. Na miasto, które skupia do 200,000 Polaków, jest tego wszystkiego za mało, lecz jeśli się zważy, że stworzył to lud polski w przeciągu lat trzydziestu, trzeba przyklasnąć pięknej pracy i obfitym owocom. — Cream City Milwaukee czyli Gród Śmiałkowy, jak go nazywają tamtejsi Polacy, ma 7 wielkich parafii polskich i kilka w najbliższej okolicy, tyleż ma miasto Detroit w Michiganie. Po Chicago są to najlepiej zorganizowane kolonie polskie, lecz ruch narodowy spoczywa w nich niestety tylko w rękach jednostek.

Pierwszą rzeczą, o którą obok kościoła starali się emigranci, była szkoła, oczywiście utrakwistyczna. Szkoły te znajdują się przy każdej prawie parafii, a sił nauczycielskich, zwyczajem amerykańskim, dostarczają przeważnie kobiety, u Polaków zazwyczaj zakonnice. Nie tu miejsce rozstrzygać, czy szkoła taka jest należyta. Stworzono je dla ochrony religii i narodowości. W każdym razie ze względu na budynki szkolne, program nauki i traktowanie dzieci przewyższa ona szkołę galicyjską, a ustępuje publicznej szkole amerykańskiej. Za kościołem i szkołą poczęło się organizować dziennikarstwo. W tej chwili drukuje się w Ameryce 44 gazet polskich, lecz cyfra ta ciągle się waha i silnie stosunkowo wzrasta w czasie ważniejszych wyborów. Wobec różnolitych interesów w różnych stanach trudno jest stworzyć organ jednolity. Podobnie jak w Europie, gazety polskie służą głównie stronnictwom lub jednostkom, lecz i w tym

względnie niełatwo znaleźć jakąś myśl przewodnią. Przyczyną tego jest między innymi i ta okoliczność, że obok dzielnych prawdziwie dziennikarzy częściej jednak spotyka się ludzi do zawodu tego nieprzygotowanych, nieszczególnej mocy pióra i charakteru. Byłoby jednak krzywdą dla Ameryki nie zauważyć, że pracują na tym posterunku ludzie, którzy ze wszech miar godni są wysokiego swego powołania. Do najpoczytniejszych dzienników należy: *Dziennik Chicagoski* Zmartwychwstańców, *Zgoda*, organ Zw. Nar. Pol., milwaucki *Kuryer polski* o barwie postępowej i buffaloski *Polak w Ameryce*, organ ks. Pitasa. Rolę bociana spełniał *Wiarus*, pozostający przez pewien czas w rękach Niezależnych. Wobec tego, że w Ameryce na każde 3000 mieszkańców przypada jedno czasopismo angielskie, łatwo odgadnąć, jak borykać się muszą mało czytane organy polskie, tem bardziej, że tańsze zazwyczaj gazety angielskie dostarczają mnóstwa ilustracyi i kilku a nawet kilkunastu naraz arkuszy bibuły. Toteż rola dziennikarza polskiego w Ameryce, rozumiejącego ważność drukowanego słowa polskiego, jest iście tragiczną. Ludzie ci przedwcześnie tracą siły i dochodzą do pesymizmu, a z drugiej strony potrzeba serca każe im czuwać na posterunku, który uważają za stracony. Widok tem smutniejszy, że młodszy dziennikarze należą nieraz do najszlachetniejszych optymistów. Rzecz oczywista, że i na gruncie amerykańskim nie brak pism socjalistycznych.

Równocześnie z czasopismami tworzyły się organizacje religijno-narodowe, narodowe, robotnicze i dobroczynne. Do najpowszechniejszych należy Związek narodowy polski ze swoją *Zgodą*. Organizacja ta urządza w oznaczonych terminach amerykańsko-polskie sejmy. Dla scharakteryzowania tych sejmów przytoczę słowa z listu amerykańskiego Polaka: »Jest czemu się przysłuchiwać. Jest to jedyne całkiem wolne kawałtko Polski i ma tyle znanych historycznych rysów«. Od siebie dodaję, że uchwały sejmów przeważnie nie bywają spełniane. Widocznie Polacy amerykańscy nie mieli jeszcze czasu pozbyć się zalet (!) starokrajskich.

Organizacje dobroczynne mają bardzo groźne nazwy, a członkowie ich podczas parady noszą mundury wojsk polskich z r. 1831. Są to rozliczni Rycerze króla Sobieskiego, Kosynierzy Kościuszki, Ułani Pułaskiego, Poniatowskiego, lub

znów z mniej wojennemi nazwami: Rycerze św. Kazimierza, św. Stanisława, św. Jadwigi, Krakusy itd. Stowarzyszenia te są przeważnie instytucjami ubezpieczeń na życie, a ponieważ w Ameryce na wypadek wojny wszyscy obywatele obowiązani są służyć ojczyźnie, dlatego członkowie wszelakich organizacji tamtejszych ćwiczą się w mustrze i strzelaniu. Czynią to także spokojni członkowie instytucji polskich, a ponieważ występują wtedy w wojskowych uniformach, dlatego Niemcy amerykańscy i europejscy piszą, jakby na ironię, o wojskach polskich w Ameryce. Pod wpływem Związku narodowego poczęło się organizować amerykańsko-polskie Sokolstwo, które jednak jako językiem ćwiczeń posługuje się przeważnie angielszczyzną. Dla pielęgnowania mowy ojczystej urządza się po różnych miastach amerykańskich polskie amatorskie przedstawienia teatralne. Cieszą się one licznym napływem widzów, lecz językiem amatorów na próbach jest również przeważnie angielszczyzna. Przez jakiś czas noszono się z myślą zorganizowania stałego objeżdżającego teatru polskiego. Myśl nie doszła do skutku, choć mogła mieć widoki powodzenia, tem więcej, że przez występy Modrzejewskiej i Kochańskiej sława aktorów polskich została w Ameryce ustaloną. Nie doszła także do skutku myśl założenia polskiego seminaryum nauczycielskiego, choć ją kilkakrotnie na sejmach uchwalano. Przyczyną tego jest niedługi wiek emigracyi i ogólnie biorąc polska niższość kulturalna w porównaniu z narodami zachodu Europy, które na gruncie amerykańskim już dawno podobne instytucje stworzyły. Brak również w Ameryce do dnia dzisiejszego banków i kas polskich, które mogłyby odegrać wielką rolę w kulturalnem i narodowem życiu emigracyi. Dzisiaj głównie kończy się i zaczyna wszystko na parafii, a niełatwo przewidzieć, co stanie się za lat kilkanaście lub później.

Przedstawiwszy w króciuchnych zarysach i z lotu ptaka dzieje emigracyi, musimy jej jeszcze poświęcić kilka ustępów ogólnej charakterystyki. Jak przedstawia się Polak w Ameryce pod względem fizycznym i duchowym, co można powiedzieć o losach języka polskiego na emigracyi. Naprzód zajmiemy się językiem. W *Oređowniku językowym*, wydawanym na wzór galicyjskiego Poradnika językowego przez ks. Górala w St. Francis, znajdujemy stałą rubrykę, poświęconą gwarze polsko-

amerykańskiej. Oto niektóre jej próbki: »chciałem wyrentować ten hauz o czterech rumach, ale niema tam żadnych akomodeszens«, albo: »wygrywał na kornesie różne dense, a jego mjuzyktyczner akompenował mu na pyjeno«, albo: grała w ameczer teatrze, ale jej ekspreszens i akszens wcale nie były najs«. Kto nie zna języka angielskiego, dla tego gwara ta jest najzupełniej prawie niezrozumiałą. Próbki te są obrazem języka polskiego na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych. Mówi tak ogół, o ile nie używa wyłącznie angielszczyzny, a inaczej mówią tylko ludzie, kształceni jeszcze w Europie, nieliczni rodowici Polacy amerykańscy, inaczej piszą jeszcze dzisiaj gazety. Orędownik ks. Górala jest dowodem, że złe to staje się razem i powołuje ludzi dobrej woli do trudnej i niewdzięcznej, a zarazem najszlachetniejszej pracy. Nie bez zdziwienia przysłuchiwałem się rozmowie dzieci polskich w polskiej wyłącznie dzielnicy, których rodzice nie umieli sami dobrze po angielsku. Na zapytanie, skąd wzięła się angielszczyzna w ustach takiego maleństwa, odpowiadano mi, że spada ona z deszczem w Ameryce. Spotykałem starszych emigrantów, którzy wybornie mówili po angielsku i tym językiem głównie się posługiwali, a mimo kościoła i towarzystwa polskiego źle już mówili po polsku. Gdy na wystawie w St. Louis rozmawiałem w ojczystym języku z pewnym rodakiem, przystanął jakiś zaciekawiony młodzieniec i zapytał: czy panowie mówicie po polsku? Pytanie było wystosowane w języku angielskim. Pokazało się, że był to syn emigranta Polaka, który rozpoznawał jeszcze dźwięki polskie, lecz sam już mówić po polsku nie umiał. Słyszałem młodzież polską, urodzoną w Ameryce, która wymawiała dźwięki polskie w sposób zupełnie cudzoziemski. Uczniowie i uczenice szkół polskich, którym w obrębie szkoły nakazuje się mówić po polsku, rozmawiają mimo tego na wszystkich przerwach po angielsku. Pewien szlachetny ojciec, który z żoną rozmawiał wyłącznie po polsku i wdrażał to samo w swoje dzieci, opowiadał mi, że tylko w jego obecności używały polszczyzny, a gdy zaszedł je niespodzianie, słyszał angielszczyznę. Było to w rodzinie bardzo inteligentnej. Z drugiej strony spotyka się Polaków z wyższym wykształceniem, już urodzonych w Ameryce, którzy doskonale mówią i piszą po polsku i pełni są zapału do języka i przepojeni najgorętszym uczuciem narodowym.

Przekonałem się o tem naocznie i słyszałem o licznych podobnych przykładach z ust nauczycieli w Chicago i Detroit. Pewna panienska, już urodzona w Ameryce i dobrze mówiąca po polsku, powiedziała mi, że chciałaby, aby na całym świecie mówiono tylko po polsku i po angielsku. Redaktor Orędownika ks. Góralski należy do tych, którzy już w Ameryce nabrali zamiłowania do języka polskiego. Podobnych ludzi niejednokrotnie widywałem. Dla ścisłości muszę przypomnieć, że spotykałem także ludzi, którzy wstydzieli się mówić po polsku, uważając ten język za ordynarny. Jednakże zapewniano mnie, że są to zgoła wyjątkowe jednostki, które dlatego nie mogą być brane w rachubę. Jakie nadzieje na przyszłość wobec takiego stanu rzeczy, tego zdaje się nikt dzisiaj na świecie nie zdoła z całą stanowczością powiedzieć. Biorąc na uwagę za i przeciw bywałem w tym względzie to optymistą, to znów pesymistą, a niech mi to za winę nie będzie poczytanem, że częściej bywałem pesymistą. Bądź co bądź język polski rozbrzmiewa jeszcze w kościele, z małymi wyjątkami uczą się go wszystkie dzieci, które w Ameryce z rodziców polskich i dzisiaj jeszcze na świat przychodzą, więc można być spokojnym i o najnowsze nawet pokolenie. Jak zaś sądzą w tej sprawie najwykształceni Polacy amerykańscy? Najczęściej słyszałem zdanie, że emigracja powinna w tym kierunku naśladować Ajryszów (Irlandczyków), to jest z ewentualną stratą języka ojczystego zachować przecież poczucie odrębności narodowej. Wymowna taka rezygnacja brzmi bardzo boleśnie, a gdy niektórzy uważają stan taki za ideał przyszłości, znów jesteśmy gotowi do zgody, byleby przynajmniej poczucie polskości pozostało u tej pięknej i bujnej latorośli narodu polskiego na ziemiach Ameryki.

Proces szybkiego assimilowania się na rzecz angielszczyzny pochodzi także z niedokładnej znajomości języka polskiego u ludu wychodźczego. Jest to bowiem tylko gwara, której brak słów i zwrotów na wyobrażenia i pojęcia wyższokulturalne. Wraz z nowymi pojęciami przybývają obce wyrazy, a raz nabyte przyzwyczajenie staje się w końcu nałogiem.

Fizycznie przedstawia się przesiedleńca amerykański bez porównania korzystniej, aniżeli jego europejski współplemienniec, choć i w tym względzie należy zrobić różnicę między emigrantem a najbliższem jego pokoleniem. Wpłynęło na to

wyborne i obfite odżywianie się i zdobytą w całym tego słowa znaczeniu godność ludzką, która wypływa wprost z ustawodawstwa amerykańskiego, nie znającego rozdziałów między obywatelami. Pierwsi emigranci poddają się jeszcze patriarchalnej władzy parafialnej, lecz ich potomkowie rozumieją już dobrze, że parafianie wyłącznie swoim kosztem opłacają księdza i kościół. W niektórych parafiach ksiądz nie jest nawet członkiem Komitetu kościelnego. Gdzieindziej jednak, jak w diecezji chicagoskiej, patriarchalna władza parafialna stała się prawem zwyczajowem. Podobnie ma być w diecezji nowojorskiej. Na szczególną uwagę zasługuje już w Ameryce urodzone potomstwo. Zginęła gdzieś bez śladu zgrubiałość rysów i niezręczność w obejściu. Niedoszłe parobczaki i wiejskie dziewczuchy przeobrazili się w paniczów, szczególnie dziewczęta schludnie postrojone i z angielskim swoim szczebiotem przypominają często najwybredniejsze panny krajowe z high life. Nieraz niepodobna się nadziwić temu raptownemu przepoczwarczeniu się w typ prawie zupełnie odmienny. Mają też Polki sławę pięknych dziewcząt w Ameryce. Małżeństwa polskie cieszą się w Ameryce licznym i zdrowym potomstwem. Jednak już dzisiaj, chociaż powoli i z trudnością wciska się, lecz tylko do rodzin najoświecieńszych, system dwojga dzieci, który w pewnych klasach społeczeństwa amerykańskiego staje się coraz bardziej powszechnym. Warstwy robotnicze polskie płodzą we własnym, choć źle zrozumianym interesie, proletaryat roboczy. Gdzie dużo w domu dzieci, tam po skończonym 15tym roku życia idą wszystkie do roboty, a zarobkiem muszą się dzielić z rodzicami. Nieopatrni ojcowie cieszą się z tej chwilowej korzyści, niepomni, że w ten sposób mijają się okropnie z rodzicielskim swoim obowiązkiem. Ta płodność Polaków i na drugiej półkuli sprawia, że mimo wielkich ubytków na rzecz panamerykanizmu i różnorakiego sekciarstwa ludność polsko-katolicka wzrasta stale i silnie. Związki małżeńskie kojarzą się głównie między swoimi; małżeństwa mieszane, stosunkowo najczęściej z katolickimi Ajryszami i Niemcami, są jeszcze dzisiaj bardzo nieliczne, a do wyjątków należą małżeństwa z członkami innych wyznań; jeszcze bardziej wyjątkowe są związki z Murzynami, a nawet Indyanami. Okoliczność ta, że Polacy łączą się przedewszystkiem ze swoimi, ma wielkie

znaczenie dla względów narodowych, gdyż utrzymuje bardzo silnie tradycją pochodzenia. W ten tylko sposób amerykańscy Ajrysze mimo angielskiego języka przechowali swój gorący irlandzki patryotyzm. Opowiadali mi księża Zmartwychwstańcy w Chicago, że w niedzielę bogaci Amerykanie przejeżdżają się bogami po polskich dzielnicach, aby napatrzeć się mnóstwu dzieci, które formalnie roją się przed polskimi domami.

Wyjawszy New Jorku i sąsiednich miast portowych jest w Ameryce zasada, że każda rodzina posiada własny dom lub domek. Owe dwudziestopiętrowe »drapacze nieba« służą tylko na pomieszczenie biur czyli z amerykańska ofisów najrozmaitszych przedsiębiorstw i przedsiębiorców. Lecz po godzinie ósmej piramidy te opróżniają się, a ulice biznesowe pustoszeją. Po pracy wraca Amerykanin kolejką elektryczną pod własną strzechę i wypoczywa lub bawi się w zaciszu ogniska domowego. Nie znaczy to, jakoby zbywało Ameryce na amatorach knajpy i innych nocnych nieprzyjemności. Lecz własny dom jest mimo to dla Amerykanina zasadą. Stąd pochodzi niezmierna rozległość tamtejszych miast, na której nikt jednak nie cierpi, bo najodleglejsze ulice związane są tramwajem elektrycznym z centrum miasta. Mają też swoje własne domki polscy emigranci, skupieni dzielnicami przy swoim kościele i szkole. Dom taki, najczęściej drewniany, ma co najmniej trzy pokoje na dole i sypialnię na pięterku i musi być połączony z ogólnomiejskim kanałem i wodociągiem. Prawie w każdym robotniczym domu polskim znajdzie się łazienka, a u cokolwiek zamożniejszych telefon. Gdzie go niema, tam niedaleko zazwyczaj saloon (gospoda) lub grocernia (sklep korzenny), skąd na koszt gospodarza można się w każdej chwili porozumiewać. Różnie bywa w tych polskich domkach, lecz na ogół trzeba przyznać, że robotnik polski w Ameryce lepiej, higieniczniej i kulturalniej mieszka, aniżeli niejeden wyższy urzędnik galicyjski. Kąpieli używać może codziennie, a jada mniej może smacznie, lecz bodaj czy nie pożywniej i obficie aniżeli średnio-zamożny mieszkaniec naszego kraju. Prawda i to także, że w wysokim stopniu zachował starokrajską skłonność do gorących napojów i oddaje się pijaństwu przy każdej sposobności. Ponieważ w Ameryce niema przymusu wojskowego, dlatego małżeństwa zawierają się o wiele wcześniej niż w Europie. Reguluje to w zna-

cznym stopniu stosunki płciowe, a ponieważ nadto swoboda towarzyska między kobietą a mężczyzną jest w Ameryce bardzo wielką, dlatego prócz New Jorku w wielkich miastach amerykańskich widzi się bez porównania mniej prostytutce niż w zbiegowiskach europejskich. Przytem ustawodawstwo amerykańskie bierze zawsze w opiekę pokrzywdzoną niewiastę. Jeżeli gorący młodzieniec uwiedzie dziewczynę, obiecując, że się z nią ożeni, warunku tego musi dopełnić. Inaczej dostaje się pod klucz i siedzi dopóty, dopóki nie pójdzie przed mayora czyli po naszymu do ołtarza albo też nie złoży żądanej sumy dla pokrzywdzonej. Polki amerykańskie korzystają nieraz z tej konieczności, aby uniknąć gorszego losu. Zapewniano mnie, że ogólnie biorąc dużo jest swobody wśród młodej Polonii, lecz niema ani cząstki tych krzywd i hańby, jakich doznają lekko-myślnie dziewczęta w wielkich miastach starego kraju.

O życiu umysłowem Polaka amerykańskiego dużo bardzo dałoby się powiedzieć. W zasadzie nie różni się ono od Polaka europejskiego. Tesame spotyka się zdolności, tęsamą lekko-myślność i tosamą lenistwo. Kto wie jednak, czy pierwszeństwa w dobrem nie należałoby oddać Amerykaninowi, a zdanie to tem większej nabierze wagi, gdy się zważy, że to dopiero najbliższe potomstwo polskiego ludu. Najdawniejsi osadnicy, głównie z pod zaboru pruskiego, dorównali już w dobrem najkulturalniejszym narodom, a pokolenie ich zawstydzić może ogół naszej młodzieży krajowej. Wśród Polaków w Ameryce niema wcale analfabetów i niema ludzi, nie znających praw swoich obywatelskich. Zdanie to w całości prawdziwe dużo daje do myślenia. W Ameryce nikt przed drugim nie czapkuje, ani o nie nikogo nie prosi, ofiaruje tylko swoją pracę i żąda dobrej zapłaty. Ludność polska w olbrzymiej swojej masie stanowi niestety tylko kadry robotnicze. Jest to podarunek starego kraju, którego na nowej ziemi dotąd jeszcze pozbyć się nie może, choć postęp w tym kierunku jaskrawo wpada w oczy. Zaledwie dziesiąta jej część oddaje się farmerstwu czyli uprawie roli i żyje w zupełnym dostatku, dla którego wśród warstw włościańskich starego kraju daremnie szukalibyśmy porównania. Około 20% oddaje się wolnym zawodom i rzemiosłom, reszta pracuje po najrozmaitszych fabrykach i kopalniach, przeważnie w charakterze robotników, rzadko majstrów i nadzor-

ców, a jeszcze rzadziej inżynierów. Bardzo tylko niewielu bierze czynny udział w wielkiej przedsiębiorczości i w wielkim przemyśle. A jednak już dzisiaj mają Polacy nietylko swoich księży, lecz także swoich lekarzy, nauczycieli, adwokatów, notariuszy, sędziów pokoju, aptekarzy, kupców różnego rodzaju i nawet przemysłowców. Wszystko to jest dorobkiem lat zaledwie trzydziestu. W wielkich miastach Chicago, Milwaukee, Detroit i innych mają swoich aldermanów czyli radnych miasta i innych ratuszowych dygnitarzy. Na swojej ziemi lud ten mieszkałby w gnoju i żywił się postnymi kartoflami i postną kapustą. Gdy się o tem pomyśli, żywiej serce uderza z radości nad tą energią polskiego ludu, lecz gdy zestawia się dorobek jego z Niemcami, Ajryszami, Szwedami, Czechami i innymi, widzi się dopiero, ile mu jeszcze pozostaje do roboty. Słyszałem nieraz w Ameryce skargi na księży polskich, którzy lud ten mają utrzymywać w ciemnocie i usuwać się od wzrósłej na jego gruncie inteligencji. Mówili to ludzie, którzy wszystko odrazu chcieli widzieć doskonałem, zapominając o tem, jak ważną rolę odegrało duchowieństwo polskie w organizowaniu emigrantów. Księża jeszcze dzisiaj olbrzymią mają u ludu powagę i dlatego głoszenie takich wyroków uważałem za rzecz dla emigracyi szkodliwą. Z latami znajdzie się droga należyta, a zwłaszcza wtedy, gdy opiekę duchowną nad Polonią amerykańską sprawować będą księża Polacy, urodzeni w Ameryce i w innych wychowani zasadach. Każdy Polak amerykański czyta książki i gazety, więc droga do światła stoi mu otworem. Światło to przychodzi coraz szybciej, a uniknąć go nie zdołają nawet nietoperze. Najzgubniejszą wadą amerykańskiego Polaka jest umysłowe lenistwo. Okazuje się to przedewszystkiem w kształceniu młodzieży. Wobec niezmiernej liczby szkół w Ameryce wykształcenie wyższe i najwyższe tylko temu się nie dostaje, kto jest umysłowo tępym lub kto nie chce korzystać z garnącej się do niego wszystkimi ułatwieniami nauki. Potomkowie emigrantów w małej nieproporcjonalnie liczbie korzystają z nauk wyższych, ogół poprzestaje na ośmioletniej szkole elementarnej. Winna temu owa interesowna nieprzezorność rodziców i katolicka niechęć do szkoły publicznej, którą posadzają o bezwyznaniowość i inne grzechy. Jednak istniejący już szereg wykształconych emigrantów budzi coraz szersze na-

śladownictwo. Coraz liczniej odwiedza młodzież prywatne kolegia duchowne, lecz unika dotąd prawie stale bezpłatnych kolegiów świeckich.

Zwyczaje i obyczaje emigranta zmieniły się do niepoznania. Pozostało tylko przywiązanie do katolicyzmu i potrzeba współżycia z rodakami. Zniknęła bez śladu starokrajaska pokora i czołobitność, niema niezgrabności i bezradnego skrobania się po głowie, zginęło na wieki pojęcie chłopca, jako istoty przeznaczonej od Boga na końską robotę, nie dopatrzyłby się ani szczątków tego, co w Europie nazywa się herbowem szlachectwem, nieuznawaniem przez ustawy amerykańskie. Rzecz naturalna, że zginęła także jedna dla wszystkich miska i drewniane łyżki. Takie przedmioty przechowuje się w Ameryce tylko w muzeach, jako zabytki przeżytej kultury. Nie jest też znaną w Ameryce różnica stroju; kostiumy noszą tylko Indianie i aktorzy podczas specjalnych przedstawień. Gdy starsi emigranci opowiadają dzieciom o dawnej pracy na roli, o suchych kartoflach, różnicach stanu, sukmanach i analfabetyzmie, dzieci nie dają temu wiary, uważając opowiadanie za czysty wymysł. — W kościele odznacza emigranta (nie brak oczywiście licznych wyjątków) starokrajaska pobożność, lecz rzecz jasna, iż zapomniało się o niehygienicznym całowaniu podłogi, o wylegiwaniu się krzyżem i wydawaniu głosów brzuchomowczych podczas podniesienia. W kościele polsko-amerykańskim pobożnie, ale cicho. Pieśń powszechną zastąpił chór doborowy. Polsko-amerykańskie kościoły są najpiękniejszymi i ze względu na aparaty liturgiczne, obrazy i urządzenia najbogatszymi w Ameryce. Poświęcone są świętym polskim, a więc: św. Stanisławowi, Wojciechowi, Kazimierzowi, Józefatowi, Jadwidze i innym. Kult Najświętszej Panny jest wśród emigrantów bardzo powszechny i objawia się w sposób przeróżny. W jednym z najpiękniejszych kościołów w Ameryce, u św. Józefata w Milwaukee, widziałem na wewnętrznej stronie olbrzymiej kopuły obrazy wszystkich cudownych malowideł Matki Boskiej ziem polskich starego kraju z odpowiednimi napisami i herbem trójjedyniej rzeczypospolitej. Ofiarność emigrantów na kościół i duchowieństwo jest istotnie ogromną. Rząd do tych rzeczy z ustawy wcale się nie wtrąca, więc utrzymanie kościoła i księdza odbywa się jedynie kosztem parafian. To także dało powód do

ruchu Niezależnych. Ponieważ dyecezalność jest wyłącznie rzeczą kościoła, która rząd nie nie obchodzi, zatem biskup dyecezalny jako osoba prawna nie istnieje. Wszystkie zaś kościoły dyecezarne z woli Rzymu zapisane są na biskupa, lecz nie jako głowę dyecezyi, ale jako pana X. Y. Wobec tego biskup mógłby sprzedać komukolwiek wszystkie swoje kościoły wraz z inwentarzem. Przykładu takiego dotąd nie było, z czego nie wynika, aby się nie mógł zdarzyć. Sarkają na stan taki oświeceni, a gdy nadto biskupami z reguły są tylko Ajrysze i Niemcy, powstała sekta niezależnych, która modli się na dawny sposób, lecz, uważając Rzym za obałamucony, utrzymuje własnych biskupów, poświęconych przez starokatolików i mających sukcesyą apostolską. Nadzieja rychłego mianowania Polaka biskupem w Ameryce wstrzymała niezależnych, lecz ruch sam został na razie zawieszony, ale nie zniszczony.

Poczucie narodowe emigrantów jest na ogół dość żywe, a niektórzy dopiero w Ameryce nauczyli się kochać dawną swoją ojczyznę. Tutaj znaczna różnica zachodzi między wychodźcami a ich potomstwem. Starzy doznają często nostalgii i wrywają się do Polski; miłość ich ku ziemi ojczystej jest do pewnego stopnia żywiołową. Młodzi i urodzeni w Ameryce za ojczyznę swoją uważają Amerykę, a miłość dla Polski ma u nich znamię pięknego idealizmu. Z pośród bohaterów narodowych czei emigracya tych przedewszystkiem, którzy imię polskie związali ze sprawą amerykańską. A więc nie Mickiewicz, lecz Kościuszko i Pułaski są amerykańskimi bohaterami narodowymi. Są oni chlubą i dumą Polonii wobec Amerykanów i innonarodowców. Pomniki Kościuszki, dźwignięte kosztem Polaków, wznoszą się na trzech publicznych miejscach w Ameryce: jeden w Cleveland, drugi w Chicago w pięknym parku Humboldta nad jeziorem Michiganu, trzeci w parku Kościuszki w Milwaukee. Za lat kilka wzniesione zostaną pomniki Kościuszki i Pułaskiego w stolicy wielkiej rzeczypospolitej t. j. w Waszyngtonie. Uroczystości narodowe obchodzi się w Ameryce z wielką okazałością, a do współudziału zaprasza się także innonarodowych obywateli Ameryki.

Obyczaj ściśle polski zanika wśród emigracyi coraz bardziej, przeważnie zaginęło nawet starokrajskie święcone i wigilijny opłatek. Najpowszechniejszą rozrywką emigrantów są

t. zw. fairy, zabawy ludowe głównie pod gołym niebem. Program ich przypomina nasze porządne festyny, a dochód bywa obracany na cele kościelne, dobroczynne lub narodowe.

Niektóre rodziny, nie mogąc pogodzić się z dogmatyzmem wyznaniowym ludu, trzymają się na uboczu lub starają się o skupienie podobnie myślących jednostek. Jaki będzie rezultat tych usiłowań, powiedzieć nie umiemy; to pewnem, że w Ameryce szkoda idącej luzem każdej szczerze polskiej a oświeconej jednostki. — Prócz katolików i niezależnych napotyka się tutaj ewangelików polskich, którzy pod względem narodowym taksamo się przedstawiają. Żydzi polscy, których tu jest mnóstwo, już w kraju nie używali języka polskiego. Na obczyźnie należą do żywiołów, które powierzchownie najszybciej ulegają assymilacyi. Są jednak zaszczytne wyjątki, które uczestniczą w pracy Polaków i pielęgnują z zamiłowaniem język ojczysty.

Za lat kilkanaście społeczeństwo polsko-amerykańskie dozna gwałtownego przeobrażenia, gdyż rząd spraw przejdzie już w ręce potomstwa amerykańskiego. W jaki sposób to przeobrażenie się objawi, jakie będą jego rozmiary i prądy, jakie skutki na przyszłość, o tem jako o przyszłości mówić nie chcemy. Jest niezawodnem, że w każdym razie zaginie wtedy najzupełniej patryarchalno-ludowy charakter emigracyi, a zarazem wzrośnie przewaga inteligentnych żywiołów świeckich na późniejszą niekorzyść duchowieństwa. Reasumując, co skreśliłem z konieczności krótko i niewyczerpująco, rzecz o Polakach w Ameryce zakończę słowami listu pewnej rodaczki z Buffalo: »Kocham kraj swój (t. j. Polskę) i jest on dla mnie ściśle zespolony z ideą wyzwolenia tego, co jest uciśnięte i poniżone — czy w jednostce, czy w narodzie, czy w ludzkości. Ale nie zapatruję się tak źle na Polaków w Ameryce, natomiast nie tak dobrze na nasze stosunki krajowe. Polonia tutejsza to jak orzech w zielonej i twardej łupinie; długo trzeba się w nią wżywać, aby ocenić cały zasób soków żywotnych, które posiada i dojrzeć drobne ale obfite dowody jej niewyczerpanej energii. Zapewnie, że my nigdy Polską się nie staniemy, ale pomagamy jej i jeszcze więcej możemy pomagać finansowo, wreszcie możemy wydać z pośród siebie jednostki bardzo pożyteczne dla sprawy ogólnej, a wreszcie moglibyśmy służyć za przedmiot

bardzo pożytecznych studyów, któreby pouczyły kraj o sposobach naturalnego i najwłaściwszego rozwoju dla uciśnionych mas w kraju... My tu mamy rodzącą się polską przedsiębiorczość, ale brak nam oświaty (w wyższem tego słowa znaczeniu). W Polsce zaś jest okropne zabagnienie na wszystkich polach, właśnie dla braku przedsiębiorczości. Nie tracę z oczu pism i spraw krajowych i to, co widzę, robi na mnie wrażenie młodzińskich marzeń, zapalonych uniesień, dorywczych porywów, podczas gdy praca ta ciężka, praca w kamieniołomach faktycznego wytwarzania, wielania słowa w czyn, a teorii w rozwój rwie się nam w rękach; masy ludu opuszczają kraj, ziemia usuwa się z pod nóg, niema żadnego hasła, przy którymby cały kraj stanął niepodzielnie. Zasady pedagogiczne rozbite, język nie posiada jednolitej uprawy, jesteśmy rozbici na indywiduala, a te — jak rzadko mają indywidualność!«





O zbieraniu imion własnych.

Napisał

Szymon Matusiak.

Dokonany w ostatnich czasach Słownik geograficzny ma nader doniosłe znaczenie i dla imionoznawstwa — tak polskiego, jak i ogólnie słowiańskiego.

Ale Słownik, jakkolwiek jest dziełem wielkich rozmiarów, obejmuje zaledwie jedną część imion własnych, a mianowicie nazwy topograficzne (nazwy miejscowości) i to może tylko $\frac{1}{100}$ ich część, a oprócz nazw topograficznych mamy przecież jeszcze nazwy osobowe, do których zaliczamy imiona osób, nazwiska rodowe, przezwiska (imioniska), przydomki, zawołania i nazwy herbowe. Nazwy topograficzne i nazwy osobowe, razem wzięte, to dopiero stanowi imię własne polskie. Słownik geograficzny ułatwia w wysokim stopniu i poznanie nazw osobowych, gdyż wiele nazw topograficznych opiera się na nazwach osobowych (np. Bogumiłowice na imieniu Bogumił, Wierchosławice na imieniu Wierchosław, Bogucice na imieniu Boguta, Sambor na imieniu Sambor i t. d.), ale do takiego słownika nazw osobowych, jakim jest Słownik geograficzny dla nazw topograficznych jeszcze nam bardzo daleko, gdyż materiał do niego ledwo że gdzieś dotknięty. Praca przed nami wielka i żmudna co do samego gromadzenia materiału, a cóż dopiero mówić o jego naukowem opracowaniu, które będzie wy-

magają i wielkiej, rozległej, a głębokiej wiedzy językoznawczej i ogromnego nakładu pracy, bo imię polskie stanie przed nami dopiero wtedy w całej jasności, gdy będzie samo w sobie opracowane i porównane z imieniem innych Słowian i ludów aryjskich. Roboty takiej bez materiału jak najobfitszego przedsiębrać nie można, choćby nawet kto rozporządzał stosowną do tego wiedzą; trzeba zatem przede wszystkim gromadzić materiał, a tego żywego i martwego (istniejącego w źródłach pisanych i drukowanych) wszędzie podostatkiem i nie trudno go zbierać!

Nie trudno przecież zapisać w pewnej miejscowości nazwiska, przezwiska lub przydomki mieszkańców i wskazać, jakich imion chrzestnych tam się używa, jak się je skraca, zdrabnia, zgrubia i t. p. Nie trudno to zrobić, a dostarczy się materiału wielce pożądanego, niekiedy bardzo ciekawego i ważnego. Niektóre nazwiska ludowe powstały np. z prastarych imion osobowych, dzisiaj już zamarłych (nieużywanych). Imię Wisła w (= Wistsław = Wistisław = Wiścisław)¹⁾ napotykamy jeszcze dość często w źródłach historycznych XII, XIII i XIV wieku, ale jego skrócenie Wist, Wistek już tylko w nazwiskach rodowych Wist, Wistek i w nazwach topograficznych, jak Wistowa, Wistowice, Wistki, Wistka.

Jak zamiast Stach (=Stanisław), Rach (=Radosław) mówiło się Stasz, Rasz, skąd miejscowości, jak Staszów, Raszewo, tak i Wist, Wistek skracało się na Wisz, Wiszek, skąd znowu nazwiska rodowe Wisz, Wiszek i takie miejscowości, jak Wisze, Wiszów, Wiszowa (góra), Wiszkowice, Wiszkowszczyzna.

Imię to było także używane z przyimkiem za i brzmiało Zawist. W tej formie napotykamy je w źródłach XI wieku, w nazwach miejscowości, jak Zawisty, Zawistna, Zawistowszczyzna i podziśdzien w nazwisku rodowym Zawistowski. Było naturalnie i skrócenie Zawisz, w formie żeńskiej Zawisza, skąd znowu tego brzmienia nazwiska rodowe szlacheckie i nieszlacheckie.

¹⁾ Porównaj: a) Czesław = Czestsław = Cześcisław b) Lesław = Lestisław = Leścisław c) Gosław = Gostisław = Gościsław d) Rosław = Rostisław = Rościsław e) Wiesław = Wiestsław = Wieścisław. I t. d.

Jak Mirosław, Miłosław, Gniewomir i t. d. skracano na Mir, Mił, Gniew w postaci żeńskiej Mira, Miła, Gniewa, tak Ładomir skracano na Ład, w formie żeńskiej Łada, skąd niezawodnie nazwa Herbu i takie miejscowości, jak Łada, Łady. Jeżeli jak chcą niektórzy, była rzeczywiście u Słowian bogini piękności Łada, to imię jej w całej pełni brzmiało Ładomira. Lecz jak Stanisław, Wacław, Macisław, Świętosław, Lesław skracano na Stach, Wach, Mach, Święch, Lech, tak i Ładomir na Łach i stąd to niezawodnie tyle nazwisk rodowych tego brzmienia u ludu po różnych stronach Polski i Rusi.

Czasem nazwisko opiera się na imieniu dobrze nam znanem, ale ciekawe jest z powodu swego zakończenia, którego dzisiaj już nie używamy albo bardzo rzadko. Zamiast Wojciech, Włodzimierz, Ładomir, Czaromysł, Odrzerad mówiło się niegdyś Wojtyga, Włodyga (skąd dzisiaj takie nazwiska rodowe), Ładyga, (skąd Ładyżyn i nazwisko Ładyżyński), Czaryga (skąd Czaryż w dolinie Nidy), Odryga (skąd Odryżyn).

Wśród imion chrzestnych przechowują się u niektórych rodzin imiona odwieczne, jak np. Lesław, Godzimir, znane z najstarszych źródeł historycznych; innych, jak Żywisław, używanych podziśdzien w pewnych rodzinach, nie udało nam się dotąd odszukać w źródłach, a tylko nazwisko rodowe Żywiec, napotykanе u ludu, może być takim samem zdrobnieniem skróconego z Żywisław imienia Żyw, jak Dobiec imienia Dob (=Dobiesław), jak chłopiec wyrazu chłop.

Inne znowu imiona chrzestne, jak Adam, Zofia, Jakób i t. d. są ogólnie znane i używane, ale ich zdrobnienia i zgrubnienia, skrocenia, jak Zocha, Zochna, Jadach Kuba, Kubas, Kubik, Kubuś mogą być ciekawe i pouczające. W niektórych okolicach napotyka się nazwisko rodowe Polek, a inne okolice nas pouczają, że Polek to skrócenie i zdrobnienie imienia Apoloniusz, jak Połka jest zdrobnieniem i skróceniem imienia Apolonia. W niektórych okolicach napotykamy nazwisko Bal, Brożek, a z innych się dowiadujemy, że Bal to skrócenie z Baltazar, a Brożek z Ambroży.

Podobny stosunek, jak tu pomiędzy poszczególnemi oko-

licami, zachodzi pod tym względem niekiedy pomiędzy poszczególnymi językami i narodami słowiańskimi. U nas imię Niegosław dawno zamarło, a u południowych słowian żyje podziśdzień. U nas Wilk pojawia się już tylko jako nazwisko rodowe (i niektóre z tych nazwisk mogą być pierwotnie przerwiskami), ale niegdyś mieliśmy także imię Wilk jako skrócenie z Wilkomir; u Serbów zaś jest Vuk, Vuko podziśdzień imieniem chrzestnem. Imiona Wiek, Dzwon, Dzwonek napotyka się u nas już tylko w nazwach miejscowości (np. Dzwonowa, Dzwonkovo, (skąd Dzwonkowski), Dzwonowice, Wiekowo, Wiekówko) albo jako nazwiska rodowe, u Dalmatyńców nic łatwiejszego, jak spotkać się z imieniem chrzestnem Vjekoslav lub Zvonimir.

Jak dzisiejsze skracania imion chrzestnych, ich zdrobnienia i zgrubiania pozwalają nam zrozumieć najrozmaitsze dawne postaci tego samego imienia¹⁾; jak nazwiska rodowe odślaniają nam często dawniejsze imiona lub przezwiska;²⁾ tak świeże przezwiska i przydomki pouczają nas, w jaki sposób i na jakiej podstawie takie twory językowe powstają. Wzorowo napisany rozdział o przezwiskach znajdujemy u Świętka: Zwyczaj i pojęcia prawne ludu nadraabskiego str. 108—134).

Nie trudno także opisać wszystkie nazwy topograficzne pewnej okolicy, jak nazwy połaci (ulic lub części pewnej miejscowości), nazwy pól, łąk, rzek, strumieni, studni, lasów, wygonów, dróg, bagien, stawów, jezior, pastwisk, wyrębów, pustacin, dolin, pagórków, gór, nizin, wadołów, mostów, grobli i t. d. Jeżeli nazwy zapisze się wiernie co do brzmienia (jest to rzecz bardzo ważna) i zestawi podług kategorii, poda ich rodzaj, liczbę i zakończenie w przypadku drugim i doda się do nazwy objaśnienie, skąd się wzięła (jeżeli naturalnie objaśnienie nazwy miejscowi ludzie jakieś podają lub jakieś okoliczności szczególne powód nazwy podsuwają), to zadanie speł-

¹⁾ Np. Lech, Leszek, z Lesław; Miech, Mieszek z Mieczysław i t. d. rozumiemy, bo mamy podziśdzień Stach, Staszek ze Stanisław, Mach, Maszek z Mateusz i t. d.

²⁾ Np. Świętek (=Świętosław). Wist, Wistek (=Wisław), Radek (=Radosław), Grzymek (=Grzymisław), Bal (=Baltazar, Polek (=Apoloniusz) i t. d.

ni się zupełnie dobrze. Wzorową tego rodzaju pracę zamieścił raz Dr. Mătȳs w »Ludzie«.

Jest to niemałą wadą Słownika geograficznego, że przy nazwach nie podano ani rodzaju, ani liczby, ani drugiego przypadku, bo szczegóły te, zwłaszcza dla obcych uczonych, są nieodzowne i niekiedy one dopiero czynią nazwę naukowo całkiem jasną i zrozumiałą. Objaśnienia nazw, które lud podaje, są często mylne, ale i wtedy są pouczające, bo wskazują, jak powstają podania ludowe na tle typograficznem; niekiedy zaś zawierają istotną prawdę, która rzuca odrazu jasne światło na tworzenie się nazw typograficznych. W Stalach np. (pow. tarnobrzeński) mamy Trzcie (pastwisko), gdyż tam niegdyś rosła trzcina i mamy Tarninę (pole), gdyż tam ja jeszcze tarninę zapamiętałem; mamy Bardo, pole, położone na pagórku, a bardzo oznaczało niegdyś rzeczywiście pagórek; mamy Zarokicińki, pole, położone za rokicińkami, (rokitkami), które dobrze pamiętam; Choina, las sosnowy; Lipie, las, jak go jeszcze zapamiętałem, prawie zupełnie lipowy; Głógów, las, dawniej zapewne w przeważnej części głogowy, za mojej pamięci głóg trafiał się tam dość często w niektórych miejscach i gęsto: zamiast głogowy las, mówiło się dawniej głógów (las) i stąd nazwa tak tej miejscowości, jak wielu innych tego brzmienia w Polsce i gdzieindziej. W pilźnieńskim powiecie mamy blisko siebie trzy miejscowości: Dembowa, Jodłowa, Bukowa, położone u stóp trzech gór jeszcze dziś poniekąd pokrytych lasem i nie może ulegać wątpliwości, że zanim powstały tu osady ludzkie, były trzy góry: jedna Dembowa, gdyż pokryta była dębina, druga Jodłowa, bo na niej rosła jedlina, a trzecia Bukowa, bo ją pokrywała buczyna.

Nietrudne także zbieranie materiału martwego tj. zawartego we wszelkich źródłach pisanych czy drukowanych. Dostarczają go wszędzie w obfitości metryki parafialne, archiwa i kancelarye miejskie, drukowane i niedrukowane wszelkie źródła historyczne i wszelkie dokumenta publiczne czy prywatne. Korzystając z takich źródeł, należy zawsze źródło to dokładnie podać i oznaczyć czas i miejsce, z którego pochodzi. Nazwy osobowe czy typograficzne należy odpisać wiernie, bez żadnej zmiany w pisowni czy brzmieniu, choćby ta nazwa dzisiaj inaczej brzmiała częściowo czy całkowicie. Dzisiejsze brzmienie

nazwy osobowej czy typograficznej, jeżeli nazwa podziśdzeń istnieje, należy podać tylko jako objaśnienie od siebie obok lub w stosownym dopisku. Z dokumentu da się naturalnie wyrozumieć, co to za nazwa (osobowa czy typograficzna), jej rodzaj liczba i 2-gi przypadek, a więc i to należy podać. W dokumentach napotyka się także nierzadko objaśnienia nazw ważne i charakterystyczne, które powinno się także zanotować, takie np., jak: »Laurentius dictus vulgariter Wach;« albo: »Kowalówka tj. posiadłość po Karolu Nizińskim, który poszedł do Królestwa; albo: »Mokrzyska Gać czyli droga ze Stalów do Mokrzyszowa;« albo: »Maciej czyli Mach, bo to u nas wszystko jedno«. Do takich zbiorów powołany, a poniekąd zobowiązany każdy cywilizowany człowiek w swej okolicy. »Lud, Wisła« czy Akademia Umiejętności z podziękowaniem każdy taki zbiór przyjmie. Fatyga niewielka, a pomoc udzielona nauce ogromna, a choćby nawet trud był wielki, to dla takiego celu warto go podjąć.

Na podstawie zebranego materiału dojdziemy wreszcie do zrozumienia przynajmniej tych nazw, z którymi się codziennie spotykamy, a wstyd naprawdę, jak gruba pod tym względem otacza nas ciemnota.

Dla naszego ogółu wykształconego nawet takie nazwy, jak Kraków, Sandomierz, Warszawa, Przemyśl lub Lwów są tajemnicami o siedmiu pieczęciach; takie, jak Rymanów, Iwonicz niby swojskie, a niby nie; Krosno swoje ale niezrozumiałe, a jeżeli zrozumiałe to chyba tak, że tu krosna wyrabiano albo tkactwo pielęgnowano, co wszakże jest *lux a non lucendo*. Kiedy czytamy balladę Zaleskiego Lubor, to myślimy, że to nazwisko wodza, a tymczasem jest to skrócenie imienia Lubomir. Niejeden nasz historyk kręci głową, jak spotka w dokumentach Mikor, bo nie wie, że to sobie skrócony Mikołaj, a nie wie, bo mu nikt nigdy nie zwrócił uwagi na takie imiona, jak Sobor, powstałe z Sobiesław, jak Lutor z Lutosław, jak Ludor z Ludomir, jak Stachor ze Stach, a to ze Stanisław, jak Czachor z Czach, a to z Czasław, jak Ciechor z Ciech, a to z Cieszymir, jak Kotor z Kot, a to z Kotozor, jak Chodor z Chod, a to z Chodzirad, jak Machor z Mach, a to z Macisław lub Mateusz, jak Bachor z Bach, a to z Bartłomiej i t. d.

Podobną rolę odgrywał w imionach i przyrostek *ar*, stąd: Wojtar, i Wojtarowicz, Wojnari Wojnarowicz, Trojnar i TrojnarSKI, Widar, skąd Widarów, stąd Lutar i Lutarowicz, Sawar od Sawa i t. p.

Na nazwiska ludowe, jak Boroń, Ciochoń, Jarotek, Moroń, Pędzisz, Radek, Samota, Samoch, Skarbek, Stachoń, Subik. Świętek, Święch, Widuch, Więcek, Wodzík. Żyroch i t. d. patrzymy jak ten ciemny naturalista, który każdy minerał umie tylko nazwać kamieniem, każdą roślinę tylko chwastem albo zieleń, a każdy owad robakiem. Tak na to patrzymy, bo nie wiemy, że Boroń skąd nazwisko Boroński, to Borzysław, po rusku Borysław, że Moroń, Moroch, Morzył, Morzyłek to różne skrócenia jednego i tego samego imienia, które w całej pełni, jak świadczą jeszcze nazwy miejscowości, brzmiało Morzysław; że Ciochoń inaczej Ciechoń to odmiana imienia Ciech, które znowu, jest skróceniem imienia Cieszymir, jak Stachoń jest odmianą imienia Stach, a to skróceniem imienia Stanisław; że Widota, Widuch to skrócenia i odmiany imienia Widorad, Widzimir lub Widzysław; że Samo, Samoch, Samik, Samota, to skrócenia i odmiany imienia Sambor; że Jarosz, Jaracz, Jarota, Jarotek i t. p. to skrócenia i odmiany imienia Jarosław, Jaromir lub Jaropełek; że nazwiska Skarb, Skarbek, Skarbisz powstały z imienia Skarbimir; że Święch, Świętek to Świętosław; że Wodzík to Wodzimir; że Subik to Subisław, imię, które miały i książęta Piastowscy; że Żyroch to starożytnie imię Żyrosław; że Pędzisz to imię Pędziciech, napotykanie i w źródłach historycznych; że Więcek to Więclaw, po czesku Wacław, a my swoje imię Więclaw jużśmy zarzucili, o swojskość zaś Wacława gotowiliśmy się rąbać.

Miła i wdzięczna Lenartowiczowa Wiochna ciemna już dla naszego świata literackiego, choć nie bardziej swojskiego, jak ona, boć to imię nawskróś polskie, które w skróceniu brzmi inaczej Wiechna, a w całej pełni Wiesława.

Jedna z księżniczek polskich XII w., pochodząca z Rusi, ma prześliczne imię Zwenysława (Zwinysława), po polsku Dzwonysława, ale przez nieświadomość rzeczy zowie się u niektórych naszych i ruskich historyków Świnysława!

Naszym historykom i geografom nawet się nie śni, że Zwenohorod (Zwinohorod), w błędnem spolszczeniu Dźwino-gród, to Dzwonogród, gród Dzwon a t. j. Dzwonosława lub Dzwonomira, jak Żmigród, gród Żmii, jak Mirgorod, gród Mira t. j. Mirosława¹⁾.

Dopływem Dźwinosy (poboczna Willi) jest rzeka Dzwon. Związek pomiędzy obu temi nazwami staje się odrazu jasnym, skoro tylko wiemy, że jak od Mor (Morzysław) formowało się Moros, od Chod (=Chodzirad) Chodos, od Wielgi (=Wielki) Wielgos i t. d., tak od Dzwon, po rusku Zwin (dzwin), można było uformować Dzwonos po rusku Zwinos (Dzwinos), w formie żeńskiej Zwinosa (Dzwinosa), skąd w złem spolszczeniu Dźwinos a.

Czytaliśmy gdzieś, że nazwy nasze, jak Bachów, Bachowa, Bachowice, Bachórz pochodzą od wyrazu niemieckiego Bach (strumień), w rzeczywistości zaś pochodzą one od imienia polskiego Bach, które jest takim samem skróceniem imienia Bartłomiej, jak Wach skróceniem imienia Wawrzyniec, jak Mach skróceniem imienia Macisław lub Mateusz, jak Stach skróceniem imienia Stanisław.

Po zbiorach i studyach, o których mówimy, podobne opinie w poważnych dziełach staną się niemożliwemi. Cały ogromny skarb imion polskich otworzy się przed nami w blaskach nauki i stanie przed nami w całej swej piękności i ozdobie, przemówi do nas zrozumiałym językiem i powie nam o naszej przeszłości wszystko, co tylko powiedzieć może, wzbogacając nas nieocenionemi wiadomościami z zakresu naszego języka, naszej kultury, naszych dziejów.

Wyraz nêga (voluptas), znany z języka starosłowiańskiego, spotykamy u nas już tylko w staropolskiem imieniu Niegosław; tak samo starosłowiański wyraz unij (melior) widnieje tylko z naszych staropolskich imion, jak Uniemysł, Unisław, Unimir, które dowodzą, że i u nas był. Wyraz

¹⁾ Dla zrozumienia dwoistości form: Zwenosława i Zwinosława, Zwenohorod i Zwinohorod, przypomnieć należy, że w jęz. starosł. mamy zvonъ (pol. dzwon) i zвъnъ, zвъnѣti, w nsl. jęz. zweneti (dzwonić), a w ruskim jęz. obok zveno (dzwono), także zwin (dzwon), zwinok (dzwonek) zwinycia (dzwonica,) inaczej dzwin, dzwinok, dzwinycia.

msta używa się w naszym języku z dawien dawna tylko w złożeniu: ze-msta, po-msta, ale imię nasze Msta (Mścisław) dowodzi, że używał się i u nas niegdyś bez złożenia, jak starosłowiańskie mьsto (ultio). Starożytny wyraz grąb (incultus) odnajdujemy tylko w nazwach miejscowych, jak Grębów, Gręboszów, a prastary wyraz chłād (virga) zachował się dotąd już tylko w nazwisku Chłędowski. I t. d. i t. d.

Wiesław to ulubione imię i po dziś dzień używane, ale już niezrozumiałe i dopiero jego skrócenie i zdrobnienie zarazem: Wieścina, znane już w XII w. poucza nas, że to ten, co »sławę wieści«, a Wieścina to sobie taka sama niewinna formacya, jak chłopina albo babina.

A co to za nieprzebrane bogactwo tego naszego prastarego języka już w samych rozlicznych postaciach tego samego imienia!

Imię Cieszymir znalazłem np. w następujących odmianach: Ciesz, Cieszan, Cieszek, Cieszon, Cieszyk, Cieszył, Cieszym, Cieszęta, Ciech, Cioch, Ciochoń, Ciecha, Ciechan, Ciechanek, Ciechła, Ciechło, Ciechom, Ciechoma, Ciecheń, Ciechoła, Ciecher, Ciechor, Ciechost... a to jeszcze nie wszystko, gdyż brak tu jeszcze form niewieścich, a prócz tego jeszcze całego mnóstwa innych postaci, znanych nam z innych imion, jak np. od Unisław mamy Unosz i Uniej; od Mścisław: Miestwa, Miestwin, Mścisz i Mszczuj... I tak prawie bez końca.

Po zbadaniu naszych imion nie będzie może dla nas tajemnicą ani Wisła i Wisłanie, ani Chrobaci, ani Mazury, ani Kujawiacy, ani Polanie, ani Odrzanie, ani Wilcy, ani Lutycy; nie będzie nam wtedy trudno, zwłaszcza gdy jeszcze pójdzie z tem w parze badanie gwar ludowych, zdać sobie sprawę z pierwotnych stosunków naszych etnograficznych i oprzeć dzieje nasze pierwotne na umiejętniejszej i pewniejszej, aniżeli dotąd, podstawie. Gdy nie będą dla nas tajemnicą ani Krak, ani Wanda, ani Lęch, ani Popiel, ani Piast: rozwidnią się dzieje nasze pierwotne, o ile tylko na tej podstawie rozwidnieć się mogą. Jakichś niesłychanych i niebywałych rzeczy może nie odkrywamy, ale i drobne zdobycze naukowe są na tem polu nadzwyczajnej wagi i ceny. Już sam fakt, że Lutycy nie dlatego tak się nazywali, że byli srodzy,

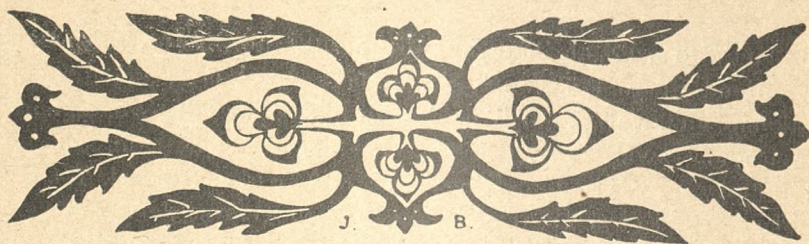
bo luty, to srogi, ale dlatego, że praojciec ich zwał się Lutosław, a oni od niego Lutice; już sam fakt, że Wilcy nie dlatego, tak się nazywali, że byli dzicy, jak wilki, ale dlatego, że praojciec ich zwał się Wilk t.j. Wilkomir; już sam fakt, że Lutyce i Wilcy to takie same petronymica jak Radymicze, Wiatyczne, Lęsi, Mazurzy, Czesi, jest zdobyczą naukową nie do pogardzenia, podobnie jak fakt, że Krak, Wanda, Lęch, Lech, Popiel, Piast nie są bynajmniej zmyślenia, ale rzeczywiście imiona osób z epoki, do której się odnoszą.

Gdybyśmy zresztą nie mieli nawet na myśli, tych ubocznych korzyści z poznania imion, toć i tak trzeba by się nimi zając, bo to spuścizna droga po ojcach naszych, w której kryje się ich myśl, ich czucie, ich duch. Zając się tem trzeba jak najprędzej, bo z każdym dniem ze spuścizny tej coś ginie lub staje się rzeczą coraz bardziej niezrozumiałą.

Kończąc, pozwalam sobie przedłożyć dwa wnioski. Pierwszy brzmi: Zebrani na zjeździe Towarzystwa ludoznawczego we Lwowie wyrażają przez powstanie z miejsc uznanie dla tych wszystkich, którzy z p. Bronisławem Chlebowskim na czele doprowadzili do skutku Słownik geograficzny, i upraszają Prezydium zjazdu, żeby o tej manifestacyi zgromadzenia naszego zawiadomiło p. Bronisława Chlebowskiego.

Wniosek ten pozwalam sobie uzasadnić choć temi słowy: Słownik geograficzny, nie tak dawno ukończony, ma jak pod wielu innymi względami, tak i dla imionoznawstwa polskiego i ogólnie słowiańskiego ogromne znaczenie, praca to dwudziestu kilku lat, praca olbrzymia, gdyż prawie trzy razy taka, jakiej niegdyś dokonał Linde. Kończy p. Chlebowski swe wielkie dzieło równie prostemi jak wzruszającemi słowy: »Zrobiliśmy, co przy skromnych siłach i środkach było możliwe« otóż zróbmyż i my przynajmniej to, co w tej chwili uczynić możemy i, jak sędzę, powinniśmy.

Drugi mój wniosek brzmi: Należy referat o zbieraniu imion własnych lub inny odpowiednio napisany artykuł przesłać do wszystkich pism polskich celem zachęcenia publiczności polskiej do zbierania imion własnych.



Próba wyjaśnienia początku jednej z zapomnianych gier dziecięcych.

Przez

H. Łopacińskiego.

W »Wojnie chocimskiej« Wacława Potockiego, w części dziesiątej, w następujący sposób opisana jest ceremonia doręczenia sułtanowi Osmanowi listu Lubomirskiego:

... »Basza, który stał podله Sobieskiego,
Wziął z rąk jego do cara¹⁾ list Lubomirskiego
I podał go drugiemu, dał trzeciemu drugi,
Aż się wszyscy obeszlі, jako rząd był długi.
Tak więc kota grawają małe dzieci właśnie,
I tego karzą, w czyich ręku słomka zgaśnie«.

(Patrz wydanie w Warszawie 1880 str. 346).

W innym znowu utworze tegoż W. Potockiego znajduje się porównanie z tejże gry wzięte:

»Jako owego kota w zapalonej trzasce
Dzieci sobie, bawiąc się, podają w igraszce«.

Cytuje te słowa prof. Aleksander Brückner z drugiej części str. 218 rękopisu »Ogrodu niewypłewanego« w jednej z nad-

¹⁾ = Sułtana.

zwyczaj cennych swych prac, p. n. »Język Wacława Potockiego. Przyczynek do historyi języka polskiego« w t. XVI serii II (og. zb. XXXI-ym), »Rozpraw Akad. Umiej. Wydziału filologicznego« Kraków 1900. (O rękopisach »Ogrodu niewyplewionego« patrz rozprawę tegoż autora p. n. »Spuścizna rękopiśmienna po Wacławie Potockim«, część druga w »Rozpr. wydz. filol.« t. XIV s. II (og. zb. XXIX), Kraków 1899, str. 214—264).

Łatwo z tych dwu porównań Potockiego wyprowadzić wniosek, że gra w kota odbywała się w następujący sposób: dzieci rozstawiały się na pewnej przestrzeni; pierwszy z brzoza zapaloną słomkę lub trzaskę, którą też nazywano kotem (kota... dzieci sobie... podają), oddawał drugiemu, ten pośpiesznie trzeciemu i tak dalej aż do chwili, gdy słomka lub trzaska zagasła; wtedy ten z grających, w którego rękę ogień zgasł, przegrywał i był karany, czyli po dzisiejszemu dawał fant.

Takąż grę opisuje Łukasz Gołębiowski w »Grach i zabawach różnych stanów«, Warszawa 1831, na str. 84, w dziale »Gry naśladowania«, pod liczbą 176 i nazywa ją »póki żyje«: »Osoby siadają w kółko, kawałek papieru skręconego zapala się, podaje go wkoło, póki żyje, to jest, póki tli się w nim ostatnia iskierka; u kogo zgaśnie, ten fant daje, a co gorsza, obwiniony, że się kocha, że ogień do jego serca przechodzi«.

Zdaje się, że w tej postaci i z tą nazwą gra ta, jak zobaczymy niżej, z Francji do nas się dostała i tu spotkała się z odwieczną grą ludową, opisaną przez Potockiego. Dziś o tej grze nie słyhać już, i nie dziw: gry z ogniem połączone są z niebezpieczeństwem pożaru, a więc przezorni rodzice i opiekunowie dzieci zakazują im się w podobne gry bawić.

Dlaczego do gry, wspominatej przez W. Potockiego, przywiązana jest nazwa kot, objaśnić nie umiemy. Wprawdzie wyraz kot często używany jest w znaczeniu przenośnym, np. paść kota, ciągnąć kota — oznaczały dawne kary (p. »Słownik« Lindego), często w grach: »kot śpiący, gra »w kota« w karty,

gra »w kota i w myszkę«, gra »w kota i szczura, »kot« zabawa doroczna chłopców, kotka — rodzaj tańca (p. »Słownik gwar polskich« J. Karłowicza t. II, 448 i »Słownik języka pol.« J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego t. II, 503), ale żadne z tych znaczeń naszej grze nie odpowiada.

Zobaczmy, czy u innych narodów znana jest taka gra. Możemy o niej kilka wiadomości przytoczyć tutaj:

Dzieci rosyjskie znają ją pod nazwą »kuriłka«, którą »Słownik« Dahla, t. II, str. 826 (Moskwa 1865) tak opisuje: »Kuriłka — jest to główienka zapalki, dymiące się łuczywko i sama gra, w której zapalka przechodzi z rąk do rąk, ze słowami: »Żiw, żiw kuriłka«! lub też wszyscy razem śpiewają pieśń kuriłką zwaną (»nóżki cieniutkie, dusza króciutka«), i wychodzi z koła ten, w czyich ręku zapalka zgaśnie. Używane są wyrażenia: »Żiw kuriłka, żiw nie pomier! Żiw kuriłka, żiwa nadzieжда moja! Żiw, żiw czuriłka ili kuriłka«. (Dodajemy, że przysłowiowe wyrażenie »Żiw, żiw kuriłka«! posłużyło A. Puszkiniowi za motyw i tytuł do wierszyka humorystycznego na dziennikarza M. T. Kaczenowskiego, p. wydanie dzieł Puszkina w Petersburgu przez Towarzystwo pomocy dla literatów 1887, t. I, str. 247). Od dzieci rosyjskich, grających dotąd w tę grę, której nazwy nie znały, dowiedziałem się jeszcze następujących szczegółów: biorący udział w tej grze tworzą koło i biorą się za ręce; jeden z grających bierze słomkę lub łuczywko, zapala i oddaje sąsiadowi; u kogo zgaśnie, ten daje fant. Następnie zapala drugą słomkę i postępuje tak samo itd., dopóki nie zbierze się dostateczna ilość fantów; wtedy się je sądzi i wykupuje.

Jeden z uczniów moich opisał mi sposób tej gry we wsi Rytkowo, w gub. Smoleńskiej, w pow. Smoleńskim, w bliskości stacji drogi żelaznej Moskiewsko-Brzeskiej Pereświatowo: Nazywa się tam ona »igra w posty«, t. j. gra w posterunki, w czaty. Grający stają jeden od drugiego w odległości 10 kroków; biorą łuczywko, zapalają i na okrzyk »wojska idą«, pierwszy biegnie z drzazgą do drugiego i oddaje mu, ten do trze-

ciego i t. d. W czyich rękach drewnienko zgaśnie, tego stawiają przy drzewie i nibyto rozstrzelają piłką.

Takie same gry, jak wyżej opisane: polska i ruska, znane były i w innych krajach. J. Grimm w »Deutsche Mythologie« wspomina o podobnej grze w Niemczech w tych słowach: »W grze dziecięcej »zdycha lis, ale skóra ma wartość«, podają wkoło palące się drewnienko, którego zgaśnięcie kończy grę« (wyd. III, t. II, 1854, str. 812 w odsyłaczu 2).

W Anglii również znaną jest ta gra i przy niej, jak podaje Halliwell, powtarzają dwuwiersz dziecinny, który tak brzmi w przekładzie: Jack (= Kuba) żyje i w dobrym jest zdrowiu; strzeż się, aby nie umarł w twoich rękach«, (p. E. B. Tylora »Cywilizacya pierwotna«, przekład Z. A. Kowerskiej, Warszawa, 1896, t. I, str. 75; odsyła do »Popular Rhymes« Halliwell'a 112.)

Równie ciekawą postać, jak w Anglii, ma też gra we Francyi: Dzieci stają kołem, jedno z nich zapala skręcony papierek i podaje go sąsiadowi, mówiąc: »Petit bonhomme vit encore«, i tak dalej w całym kole każdy z grających stara się oddać papierek palący się jak najprędzej, powtarzając te same wyrazy, bo ten, w czyich rękach płomień zgaśnie, musi dać fant; wtedy mówią: »Petit bonhomme est mort« (p. tamże).

Chcąc wyjaśnić pochodzenie tak tej gry dziecięcej, jak i innych, musimy przypomnieć dość ustalony już w czasach ostatnich pogląd na pochodzenie gier i zabaw dziecięcych:

Wiele gier dziecięcych jest naśladowaniem poważnych i pożytecznych zajęć osób starszych; w grach dziecięcych dzisiejszych przechowało się nieraz i naśladowanie obecnie już nie praktykowanych zajęć i zapomnianych już zwyczajów i nawet obrzędów religijnych (por. Tylor o. c. t. I. str. 72 i nast., Herbert Spencer w »Principes de psychologie« t. II, Wundt w »Odczytach o duszy ludzkiej i zwierzęcej« 1892 i w »Etyce«, Vierordt w »Physiologie des Kindesalters«, G. L. Gomme w »Folklorze, podręczniku dla zajmujących się ludoznawstwem«, przekł. z ang. W. Szukiewicza, Kraków 1901, str. 100—103, K. Groos »Die Spiele der Thiere«, Jena 1896 i »Die Spiele der Menschen«, Jena 1899, Fr. Queyrat w »Grach i zabawach

dziecięcych. Studium nad wyobraźnią twórczą u dzieci», przekł. M. Rodysowej, Warszawa 1905, rozdz. I, str. 27—45 »Istota zabawy«; »Gienezę zabawy według teoryi biologicznej Groosa« przedstawił prof. Józef Nusbaum w książce »Z zagadnień biologii i filozofii przyrody«, Lwów 1899. Najnowszą pracą w języku pol. o grach i zabawach są artykuły S. Karpowicza w »Wielk. Enc. powsz. illustr.«, »Enc. wychow.« i broszura »Zabawy i gry, jako czynnik wychowawczy«, Warszawa 1905).

Wychodząc z tej zasady, Tylor doszukuje się początku gry, tutaj nas zajmującej, a mianowicie tej postaci, jaką ma ona we Francyi i Anglii, w podaniu o krwawym obrzędzie z przed lat tysiąca. Wiadomą jest rzeczą, że stronnicy jednego wyznania oskarżają wyznawców innej wiary o niesłychane i bezecne orgie i obrzędy zbrodnicze. Dość przypomnieć, co poganie mówili o Chrześcijanach, i o co ci znowu obwiniają Żydów. Sekta Paulicjan, którzy właściwie byli odrodzonymi Manichejczykami, zwana była *Boni homines* (t. j. dobrzy ludzie), prawdopodobnie wskutek wyrażenia, użytego w pewnej z ich formuł religijnych. Taką nazwę nadawano Katarom i Albigien-som. Jan z Osunu (*Joannes Ozniensis*), patriarcha armeński, napisał około r. 700 przeciwko tej sekcie rozprawę, w której między innemi zarzuca im, że mieszają mąkę pszenną z krwią dzieci i przyjmują ją w komunii, że pierworodnego syna matki, z rąk do rąk przerzucając sobie kolejno, w najniegodziwszy sposób uśmiercają, a tego, w czyich rękach chłopiec ducha wyzionął, czezą, jako człowieka, który dostał się w ich sekcie pierwszego zaszczytu, dalej, że przysięgają na imiona obu (t. j. chłopca umarłego i osoby, w której rękach skonał): »Klnę się synem jednorodzonem«, a także: »za świadka mam sławę tego, w którego ręku jednorodzony syn wyzionął ducha swego¹⁾. Tylor tak kończy swój wywód: »Aby wyjaśnić stosunek tych szczegółów okropnych, do gry dziecięcej, najprawdopodobniej-szem jest przypuszczenie, że nie gra w »*Petit Bon homme*« jest wspomnieniem legiendy o sekcie *Boni homines*, lecz że gra ta znaną była dzieciom siódmego wieku tak, jak dzisiaj-szym, i że patriarcha armeński oskarża Paulicjan o to, że grają żywymi dziećmi« (str. 75—76).

¹⁾ »*Johannis Ozniensis Opera*«, Wenecja 1834, str. 78—89.

Być może, iż co do pochodzenia gry w tej postaci, jaką przytoczyliśmy wyżej z Francyi, Anglii, a nawet z Rosyi i Polski (opis Gołębiowskiego), ma słuszność Tylor, wskazując taki barbarzyński zwyczaj, czy też tylko podanie o nim; sądzilibyśmy jednak, że taka postać gry, jaką opisuje W. Potocki i jaką przytoczyliśmy z gub. Smoleńskiej, da się z równym prawdopodobieństwem wyprowadzić z innych zwyczajów i obrzędów religijnych prastarej kultury.

Przypomnijmy sobie naprzód, w jaki sposób podawano sobie w czasach najdawniejszych wiadomości o ważnych wydarzeniach, np. o zbliżaniu się wroga, odniesieniu zwycięstwa i t. p. Służyły do tego ognie na górach, wzgórzach, wieżach wysokich, strażnicach i wogóle miejscach wyniosłych palone; gdy stojący na straży dojrzał ogień, rozniecał na swym posterunku nowe ognisko, następny znowu — inne, i w ten sposób bardzo szybko, jak dziś telegraficznie, wieść na dalekiej przestrzeni się rozchodziła. Dokładnie opisuje nam takie sygnalizowanie jeden z poetów greckich: w tragedyi Ajschylosa »Agamemnon« stróż opowiada w prologu (w. 1—38), jak cały rok czuwa nocami na straży, wyglądając »płomienistego znaku«, cieszy się niezmiernie, gdy zdala dojrzał ogień, zwiastujący wzięcie i zburzenie Troi. Klitemnestra oświadcza chórowi starców argejskich, że

»Pryama gród zdobyli dzielni Argejowie,
... W Achajów mocy Troja«...

Ten pyta:

»I kiedyż gród Pryama w niwecz obrócono?»

Klitemnestra:

»W nocy, mówię, co światłość tę obecnie rodzi«,

t. j. nocy dzisiejszej; rzecz dzieje się w Argos rano, a, według podania, o północy wzięli Grecy Troję.

Chór pyta znowu:

»Jakiżby goniec rączy tak dobiegł tu wcześniej?»

W odpowiedzi Klitemnestra opisuje szczegółowo sposób sygnalizowania z Troi aż do Argosu:

»Hefajstos (t. j. ogień) z szczytów Idy¹⁾ światłym blaskiem cisnął.
 Więc gorzał stos po stosie, aż ognisty goniec
 Tu dopadł. Z Idy bowiem Hermesowej skale²⁾
 Na Lemnos, z tej zaś wyspy wzgórzu Zeusa Atos³⁾,
 Trzeciemu z rzędu, świecznik jasny przekazano.
 Górując nad falami, jakby po wód grzbiecie
 Pojeżdżał, żar sosnowej głowni się pomykał
 Rozkosznie, a strzelając złotem niby słońce,
 Makistu⁴⁾ strażnikowi bystro spojrzal w oczy.
 Bez zwłoki tenże bacznym, snem bo niezmierzony,
 Posłańca urząd pełni i zażęga
 Płomienny stos, co w dali do Eurypu⁵⁾ nurtów
 Orędzie w skok bieżące śle Mesapu⁶⁾ stróżom.
 Na przemian ognionośną wieść ci pchnęli dalej,
 Pod kopcem suchym wrzосу iskrę rozdmuchawszy.
 Obfita żagiew, szerząc pożar niesłabnący,
 Równinę wzdłuż Asopu⁷⁾ przeskoczywszy, niby
 Księżycy blask, dosięga Kitajronu⁸⁾ opok
 I budzi straż następną do przesłania znaku.
 Nie zaniechała przeto straż daleko widnej
 Pochodni żar rozniecić silniej, niż poprzednie,
 I przez Gorgopis⁹⁾ wody przerzucona światłość,
 Wdzierając się na szczyty góry Ajgiplanktu¹⁰⁾,
 Napędza do pośpiechu strażę nie leniwe.
 Podniety nie żałując, wysadzają w górę
 Niebawem słup ognisty, że ponad zatoki
 Sarońskiej¹¹⁾ brzegiem wzniosłym przeniósł płomień silny;
 A wystrzeliwszy wyżej, Arachnejskich¹²⁾ dobiegł
 Chochołów i strażnicy tuż w pobliżu miasta.
 Następnie do Atrydów grodu¹³⁾ tego zajrzał
 Od łuny Ideowej¹⁾ nieodrodny promień.

¹⁾ Góra Ida wznosiła się nad Troją.

²⁾ Przylądek Hermesa na północnym brzegu wyspy Lemnos.

³⁾ Mowa o przylądku Atos.

⁴⁾ Strażnica Makistos znajdowała się na północnym brzegu wyspy

Euboi.

⁵⁾ Cieśnina, dzieląca wyspę Euboję od lądu stałego.

⁶⁾ Góra Messapos na wybrzeżu Bojoty.

⁷⁾ Asopos — rzeka w Bojoty.

⁸⁾ Góry Kitajron między Bojotą, Attyką i Megarydą.

⁹⁾ Jezioro Gorgopis w bliskości Koryntu.

¹⁰⁾ Góry Ajgiplankton w Megarydzie.

¹¹⁾ Zatoka Sarońska otacza wyspy Salamis i Ajginę.

¹²⁾ Arachnajon — góry w Argolidzie.

¹³⁾ T. j. miasta Argosu.

Ten przepis mieli słudzy i ochoczo jedni,
 Na służbie zwodząc drugich, rozkaz wykonali,
 Lecz pierwszy i ostatni goniec dźmierzył przodek.
 Ot! takie ci przytaczam znaki i świadectwa,
 Przez które Troi upad mąż mi mój zwiastuje».

(Przekład Zygmunta Węclewskiego »Tragedye Eschylosa«, Poznań 1873, str. 52—54, w. 251—300, por. też »Tragedye Eschylosa w przekładzie Kazimierza Kaszewskiego«, Warszawa 1895, str. 233—235).

Klitemnestra wysławia tych stróżów na wymienionych w jej słowach wyżynach, którzy spełnili swój obowiązek należycie; z drugiej strony niewątpliwie na naganę i karę zasługiwali ci, którzyby niedbale służbę swą wykonali, t. j. zbyt późno ogień zapalali lub wcale go nie wznecali. Podobnych świadectw o dawaniu znaków, sygnałów zapomocą ognia w literaturze greckiej i innych można znaleźć nie mało.

Gdy nadto dodamy do powyższego, że wiadomości i wezwania na narady udzielano dawniej obsyłaniem pałek, lasek, kuli, cech kolejno odnoszonych i oddawanych z jednego miejsca na drugie, od jednej osoby do drugiej, że na wojnę zwoływano w tenże sposób zapomocą wici (porównaj długi szereg przyczynków o kuli i t. p. laskach w poszukiwaniach w »Wiśle« i rozprawę prof. Antoniego Mierzyńskiego, umieszczoną tamże w t. IX, p. n. »*Nuncius cum baculo*«, studjum archeologiczne o krywuli«, i w osobnej odbitce, Warszawa 1895, str. 40), to wyjaśni się, że nasza gra w kota i jej podobne w innych krajach początek swój brać mogą ze zwyczaju rozsyłania wiadomości zapomocą ognia sygnałowych, jak również obsyłania zapomocą lasek, kul, krywul, cech, wici i, prawdopodobnie, palących się pochodni. W udzielaniu wiadomości zapomocą ognia, w obsyłaniu lasek, cech i t. p. przedmiotów są dwie właściwości, stanowiące cechy gry, o której tu mówimy: kolejność i kara za niespełnienie obowiązku społecznego; co do ostatniej nie mamy wprawdzie bezpośrednich wiadomości, ale zastąpi je domysł, że, kto ognia nie rozniecił, komu zagasił zawczasie, kto kulę, laskę, cechę, krywulę u siebie zatrzymał i dalej jej nie puścił, musiał być karany, gdyż spełnił przestępstwo przeciw społeczeństwu, dla którego obowiązany był trud spełnić; dawanie fantu, lub uderzanie piłką, naśladowająca

rozstrzelanie tego z grających dzieci, w czyich rękę słomka, drzazga, papier gaśnie, odpowiada takiej właśnie karze.

Oprócz zwyczajów dawnych, któreśmy tutaj przytoczyli, a które mogły dać początek grze dzieci, naśladowujących czynności ludzi starszych, wskazać możemy obrzęd religijny w starożytnej Grecji, który również w związku z zagadnieniem, tutaj nas zajmującym, się znajduje.

Podczas niektórych świąt uroczystych, szczególnie na cześć bóstw światła i ognia odbywanych, a mianowicie: Hefajsta, Ateny, Artemidy, Prometeusza i Pana urządzano w Grecji, t. zw. lampadedromia albo lampadodromia lub lampade(o)foria. Były to wyścigi z początku piesze, a następnie konne, polegające na tem, że uczestnicy, zwykle młodzieńcy, donosili w biegu do mety gorejące pochodnie (por. Pausanias I, 30, 2) lub też w czasie biegu oddawali je następcom (*diadochos*) na oznaczonem miejscu; ci biegli dalej z otrzymanymi pochodniami i znowu innym oddawali (por. Herodot VIII, 98). Nazywało się to oddawanie — *diadosis*. Bieganie czy jeżdżenie z takimi pochodniami było utrudnione przez to, że były one robione z wosku i podczas szybkiego biegu gasły prędko. Kto pierwszy dobiegł do celu z gorejącą pochodnią, tego ogłaszano za zwycięzcę (por. »Reallexicon des classischen Alterthums« F. Lübkers, wyd. II, 1860, str. 528 i indziej). W »Helladzie i Rzymie« Guhla i Konera czytamy o tych igrzyskach, co następuje: »W niektórych miastach greckich odbywały się nocą na cześć bóstw, szafujących ogniem, gonitwy z pochodniami, czyli lampadedromie. W wyścigu podobnym chodziło o to, aby pochodnie zapalić w miejscu rozpoczynania zawodu od płomieni ołtarza. Gonitwa taka miała pierwotnie swe źródło w tradycji religijnej, później zaś przeistoczyła się w ćwiczenia czysto gimniczne. Na figurze 484, przerysowanej z pewnej mozaiki, widzimy właśnie w biegu dwu efebów z tarczami i pochodniami w rękę«. (Patrz przekład S. Mieczyskiego, Warszawa. 1896, t. I, str. 367—368 i rysunek na str. 369, w wyd. 4em niemieckiem tegoż dzieła z r. 1876 »Das Leben der Griechen und Römer« na str. 262—263 znajdujemy nieco więcej szczegółów).

Podobnie, jak nasz Potocki skorzystał dwa razy z gry w kota do porównania czynności kolejnego oddawania jakie

goś przedmiotu (np. listu), używają i pisarze greccy i rzymscy nieraz obrzędu lampadodromii do porównania z odpowiednią czynnością. Pozwalamy sobie kilka z nich tu przytoczyć, jako charakteryzujących starożytny zwyczaj, tak zgodny z grą naszą. Herodot w ks. VIII, rozdz. 98 opisuje z zachwytem, w jaki sposób urządzona była poczta u Persów; czyni to z okazji wysłania do Persyi wiadomości o klęsce Kserksesa pod Salaminą: »Niema pomiędzy stworzeniami żywymi żadnego, któreby szybciej stawalo u celu swego, niż goniec perski... Ile dni wynosi długość drogi, tyle na niej rozstawiają koni i ludzi, aby na każdą przestrzeń jednodniową był jeden koń i jeden człowiek... Nic nie może stanąć im na przeszkodzie. »Pierwszy goniec oddaje polecenie, które otrzymał, drugiemu, ten trzeciemu, i tak przechodzi polecenie coraz to do innego, podobnie, jak u Hellenów odbywa się noszenie pochodni na cześć Hefajsta. Taki bieg konny (taką pocztę konną) nazywają Persowie *angareion*. Ci gońcy konni, zwani po persku *angaroi*, stali na stacyach po całej Persyi, aby wieści królewskie roznosić; rozwinąć miał te urządzenia Daryusz I. Był to więc początek prawidłowo urządzonych poczt. (Legienda asyryjska opowiada o gońcach, którzy roznosili rozkazy Semiramidy; w Egipcie byli gońcy z profesyi, a w Grecyi do roznoszenia wiadomości używano niekiedy gońców, zwanych *hemerodromoi*. Prawidłowo urządzono pocztę w państwie rzymskiem. Por. »Reallexicon« Lübke'a).

Platon w »Prawach« ks. VI, 776B, mówiąc o pokoleniach, następujących jedno po drugim, używa porównania takiego: »oddają jedni drugim życie, podobnie, jak pochodnię«. Częste są zresztą wzmianki u pisarzy greckich o opisanej tutaj lampadodromii.

Być może, że podobne igrzyska były znane i w Rzymie, a przynajmniej wyrażenie greckie, przyjęło się tam dobrze, bo istniało nawet przysłowie łacińskie: *nunc cursu lampada tibi trado*, t. j. teraz w biegu oddaję ci pochodnię, co znaczyło: teraz kolej na ciebie. (Varro »De re rustica« III, 16, 9, por. A. Otto »Die Sprichwörter und sprichwörtlichen Redensarten der Römer«, Lipsk 1890, str. 185, nr 909). Taką samą, jak Plato, myśl wypowiada i takiego samego porównania używa T. Lu-

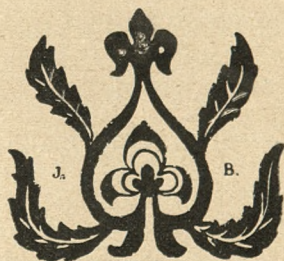
krecyusz Carus w »De rerum natura« ks. II, w. 78—9: »*Inque brevi spatio mutantur saecula animantum et quasi cursores vitae*¹⁾ *lampada tradunt*, t. j. w krótkim przeciągu czasu zmieniają się pokolenia istot żyjących i, jakoby współzawodnicy (właściwie biegacze), oddają pochodnię życia.

Przytoczywszy te szczegóły, dotyczące obrzędu lampadodromii, nie potrzebujemy już wykazywać szczegółowo podobieństwa jej do gry, polegającej na oddawaniu kolejnym palącej się słomki czy drzazgi, gdyż jest ono widoczne: chodziło i tam i tu o szybkie i kolejne oddawanie następnemu współzawodnikowi palącego się przedmiotu i, niewątpliwie, chociaż wyjaśnień szczegółowych u pisarzy starożytnych braknie, ten, który nie doniósł do przeznaczonego miejsca palącej się pochodni, wycofać się musiał z igrzyska, co wywoływało naganę ze strony widzów i było dla niego karą, podobnie, jak w grze naszej daje fant lub otrzymuje uderzenie piłką ten, w czyich rękę słomka, drzazga lub paperek zgaśnie, czyli płomień żyć przestanie.

Podając powyższe dowody i porównania, nie chcemy wcale twierdzić, że gra dzieci polskich, ruskich, francuskich, niemieckich i angielskich, bezpośrednio od Greków, jako naśladownictwo zwyczaju podawania wiadomości zapomocą sygnałów ogniowych lub obrzędu, polegającego na oddawaniu z rąk do rąk pochodni gorejących, się przedostała: sygnalizowanie zapomocą ognia i przekazywanie ogłoszeń zapomocą lasek wspólne było bardzo wielu narodom na pewnym stopniu kultury, więc i naśladownictwo tych sposobów u dzieci różnych ludów niezależnie od innych zjawieć się mogło. Z drugiej znowu strony, chociaż nie mamy wiadomości, aby oprócz Grecyi bieganie i podawanie z rąk do rąk pochodni gdzieindziej było praktykowane, to jednak przypuścić możemy, że, jeżeli nie sam obrzęd i igrzysko, to przynajmniej gra, tutaj nas zajmująca, a polegająca na naśladownictwie obrzędu, z Grecyi do narodów sąsiednich przeszła, i dotąd u wymienionych wyżej, o ile nam przynajmniej wiadomo, się zachowała. Mogły wreszcie igrzyska, podobne do greckiej lampadodromii, samo-

¹⁾ Starożytna postać dopełniacza zamiast *vitae*.

dzielne u innych narodów się wytworzyć. Jakikolwiekbyż jest początek tej gry, sądzilibyśmy, że pochodzenie jej przypuszczalne nie koniecznie jest takie, jakie podał Tylor, lecz da się objaśnić w sposób, który tutaj staraliśmy się uzasadnić.





„Ludowość“ w Sobótce Kochanowskiego.

Napisał

Stanisław Dobrzycki.

Jest to jedna z najwięcej interesujących »kwestyj« w historii literatury polskiej, owa »ludowość« Sobótki. Była też komentowaną i roztrząsaną nieraz, a przynajmniej wspominaną; różne jednak powstawały jej rozwiązania, zależnie od metody, którą autor się posługiwał, epoki, mody literackiej wreszcie (bo i ta ma wpływ znaczny). Przypatrzmy się najpierw tym dotychczasowym rozwiązaniom, zanim podamy swoje.

Powiedzieliśmy wyżej, że kwestya pierwiastków ludowych w Sobótce należy do najbardziej interesujących w naszej historyografii literackiej. Jest nią mianowicie z tego powodu, że od jej rozwiązania zależy jeden z najważniejszych rysów w charakterystyce Kochanowskiego-poety, a tem samem znowu jeden z najważniejszych rysów w charakterystyce poezyi polskiej XVI. wieku. Wiadomo jak wielką rolę pierwiastki ludowe odegrały w poezyi wieku XIX. Nie wchodzę na razie w rzecz o tem, czy one istotnie wywarły tak głęboki i błogi wpływ, jak się zwykle mówi. To sprawa inna, i można na nią zapatrywać się rozmaicie. Faktem jednakże jest, że w teorii, w roztrząsaniach literackich, w literackich walkach i sporach, tak w epoce romantycznej jak i później aż do dni naszych, hasło ludowości było i jest jednym z najpopularniejszych i najgłośniejszych — choć co prawda dotąd jeszcze nie wyświetlono nale-

życie, czem ono właściwie jest. Otóż jeżeli w literaturze XIX. wieku moment ludowy tak wysoko stawiamy, to nic dziwnego, że z wielkiem zaciekawieniem zwracamy się do Sobótki, w której spodziewamy się znaleźć motywy tego rodzaju. W wieku szesnastym, w epoce Odrodzenia, w epoce klasycznej na wskroś, rozmiłowanej w starożytności tak, że na jej modę chciałyby przetrworzyć cały świat nowożytny: w takiej epoce dzieło, przepełnione momentem ludowym, to przecież rewolucya i rewelacya, a jego twórca, typowy przedstawiciel renesansowego klasycyzmu, staje się poetą jednym z najoryginalniejszych, staje się romantykiem na dwa i pół wieku przed romantyzmem, przed pierwszym tomikiem poezyj Mickiewicza!

Nic dziwnego, że taki fakt pociągał ku sobie uwagę historyków literatury. Wielu też nim się zajmuje — choć prawdę mówiąc dwóch tylko (Chmielowski i Rymarkiewicz) dokładniejszemu poddało go badaniu, inni zadawali sobie zdaniem raczej ogólnikowemi. Dwa przedewszystkiem rozwiązania tej kwestyi podawano, odpowiednio do kierunków, panujących w historyografii literackiej. Oba skrajne. Jedna grupa historyków bez zastrzeżeń przyznaje Sobótce charakter ludowy druga jej go odmawia, widząc w poemacie przeważnie wpływy klasyczne. Pierwsza pozostaje pod wpływem pojęć romantycznych druga należy do epoki »krytycznej«.

Rozpoczyna ten szereg Kraszewski. Mówi on: »Kochanowski jeden daje przykład studyowania natchnień gminu w XVI wieku i jeden tylko tworzy w jego duchu, nie rojąc sobie jakiegoś konwencyonalnego, pastuszego ludu, ale z prawdziwego biorąc wzory« (Nowe studia literackie, 1843, t. II, str. 62). Od czasów Kraszewskiego pogląd ten trwał długo, a pieśń o Sobótce jak mówi Chmielowski (Studia i szkice I str. 81) »uważana była za różaną jutrzenkę na niebie naszej poezyi narodowej, w której pierwiastek ludowy wielką kiedyś miał odgrywać rolę«. Wiszniewski (Hist. liter. VII str. 75) twierdzi również, że »pieśni świętojańskie są wzięte z ust ludu«, gorszy się tylko klasycznym przydatkiem, mitem o Filomeli, który nazywa »szkaradną powieścią«. Wreszcie (w tej pierwszej grupie) występuje Rymarkiewicz. Zajął się on Sobótką bardzo szczegółowo; wynikiem tego zajęcia była najpierw rozprawa w Ate-neum r. 1876, — następnie rozszerzona i uzupełniona wyszła

ona jako osobna książka, o 196 stronach wielkiej ósemki, p. n. »Jana Kochanowskiego Pieśń Świętojańska o Sobótce, wedle wydania Andrzeja Piotrkowczyka R. P. 1617 objaśniona i oceniona przez Prof. Dr. Jana Rymarkiewicza. Wydanie jubileuszowe. Poznań 1884«. Można powiedzieć, że żadne z dzieł Kochanowskiego, nawet najważniejszych i najpiękniejszych, nie może się pochwalić tak obszerną pracą, wyłącznie jemu poświęconą. Nie możemy tu książki Rymarkiewicza streszczać szczegółowo; zaznaczamy tylko, że tematem, nas tu obchodzącym zajmuje się rozdział pierwszy tej pracy (»Rodowód pieśni świętojańskiej«) i trzeci (»Podstawa pieśni świętojańskiej«). W trzecim rozdziale jest opis i tłumaczenie samego obrzędu sobótkowego; w pierwszym autor wykazuje związek pieśni Kochanowskiego z pieśniami ludowymi. Wykazuje, t. zn. zestawia z takimi pieśniami ludowymi, które — jego zdaniem — zawierają te same motywy, co Sobótka. Rymarkiewicz nie twierdzi — wyraźnie też robi to zastrzeżenie — jakoby poemat Kochanowskiego był naśladowaniem lub przeróbką tamtych pieśni, chodzi mu o zaznaczenie tego, co byśmy dziś nazwali tonem zasadniczym — taki ton ludowy, widzi on w Sobótce. Najlepiej podać rezultaty wywodów autora jego własnymi słowami. Mówi on na str. 65—66:

Czy przytoczone pieśni ludowe nie odpowiadają śpiewom sobótecznym Kochanowskiego, jak ów gruby głos basu, co to wtóruje i przywtarza wykwinłym melodiom skrzypka? Zdaje się, że acz niedokładnie, ale o tyle przynajmniej trafnie udało się nam z tłumu śpiewek w rozmaitych pieśnioksięgach zawartych wyszukać dostateczną ilość takich, które dowodzą, że śpiewy Kochanowskiego ze śpiewkami ludowymi, swojskimi, na wspólnym, na jednym i tem samym tle duszy się rozwijają... Nie słyszymy w nich wprawdzie wyraźnego, nie dokładnego, fonograficznego jeszcze odgłosu pieśni swojskich: ponieważ te przystały na pierwotnym stopniu swojej improwizacji, podczas kiedy pieśni artyści poety, acz z tego samego tła a nawet z tego samego tonu wyszły, w dalszym swym biegu na dzieła artystyczne się przemieniły. Tyle jednakże jest pewną, że początek obojga jest wspólny. A nawet coś więcej. Albowiem i nuta oberka i kilka znamion szczegółowych obrzędu

ludowego, wreszcie kilka wyrażen ludowych najoczywiściej wspólnie u samego źródła domowego są zaczerpnięte,

Czy malując uczucia ludu, korzystał Kochanowski świadomie z utworów ludowych? Innemi słowy, czy, znalazłszy u ludu odpowiedni motyw, w dalszem rozwinięciu jego szczegółów korzystał także z obrazów i wyrazów pieśni ludowych, czy też przybierał do nich ozdoby i stroje klasyczne?

Na to pytanie z całą ścisłością odpowiedzieć wtenczas będziemy dopiero mogli, gdy nam danem będzie mieć pod ręką wszystkie zgoła pieśnioksięgi nasze ludowe, jako też i pobratymcze, a lepiej jeszcze gdybyśmy posiadali pieśnioksiąg sielski z czasów Kochanowskiego, albo zbiór tych pieśni, które przy Sobótce za jego czasów śpiewano.

Gdy zaś tego wszystkiego nie posiadamy, tyle tylko powiedzieć możemy, że jak całość pomysłu, tak też materyał, czyli materyą do śpiewów swoich, wziął Kochanowski z dziedziny pieśniarstwa ludowego. Ale tę materyę przykrawał czyli modelował bądź na model swojszczyzny, bądź też na model klasycyzmu, stosownie do tego, jak właściwiej, ozdobniej a niekiedy dobitniej przez to wydać zdołał to, co zamierzał. W każdym razie swojskiej materyi znalezionej na poziomie swojskim nadawał on tylko poprawny rysunek, artystyczny. Ale i koloryt ogólny i barwy szczegółowe, które na palecie swojej rozrabiał, brał wprost z ludowych żywiołów, tylko doprawiał je tak, iżby z panującym gustem klasycznym zgodzić się i przystępnemi dla niego zrobić się mogły. Zrąb Pieśni Świętojańskiej więc po swojsku zaciosany, a na powierzchni tylko ornamenta architektoniczne w guście klasycznym ją zdobią.

Drugie mniemanie o Sobótce jest anty-ludowe, jeśli tak wolno powiedzieć. Należą do zdania Chmielowskiego i Bruchnalskiego. Chmielowski pierwszy (w r. 1874) zajął się Sobótką dokładniej. Idąc zaś za wzorem Przyborowskiego, którego studjum o Kochanowskim (r. 1857) pierwsze zwróciło dokładne bacznie na reminiscencye klasyczne w pismach poety (przede wszystkim we fraszkach), tych reminiscencyj przede wszystkim w Sobótce szukał. Znalazł je też w znacznej liczbie, tak w szczegółach jak i w założeniu, w genezie poematu. W szczegółach znalazł naśladowania i pożyczki z Owidiusza, Horacego, Wergilego, Tybulla — poczet obfity. Co do założenia poematu,

to wskazał na ten fakt, że i w Rzymie były uroczystości niemal identyczne z sobótkami (Parilia lub Palilia); o uroczystościach tych Kochanowski znalazł wzmianki u Tybulla i Propertiusza, obszerny zaś ich opis w »Fasti« Owidyusza. Stosunek do rzeczywistej, prawdziwej sobótki jest ten, że Kochanowski we wstępie do poematu daje króciutką część opisową samego obrzędu, ale opis ten jest bardzo ubogi, ogranicza się do momentów najniezbędniejszych, potrzebnych do uprzytomnienia sobie miejsca i czasu akcyi; dalej nie sięga, nie daje »wiernego odwzorowania, zwyczajów wieśniaczych w wieczór świętojański, jak to później w trzy wieki blisko uczynił Seweryn Goszczyński«. Chmielowski ubolewa nad tem, bo gdyby Kochanowski był tak postąpił, jak Goszczyński, to »na tem zyskałaby nie tylko poezya ale i etnografia«. Ale poeta był dzieckiem swego czasu: »Kochanowski widział skarby poezyi ludowej swego narodu, ale skarby te oparował w ramki estetyczne, do których przywykł przez cały wiek młodzieńczy, dla których musiał nieraz drogie klejnoty obciosować, a tem samem zmniejszać ich wartość«. Ostatecznie więc dochodzimy do przekonania, że Kochanowski miał pod ręką cenny materiał, ale pod wpływem klasyczności nie skorzystał z niego. (Sobótki. Zestawienie dwu wieków i dwu indywidualności. Rozprawa umieszczona w Tygodniku ilustr. r. 1895, następnie w »Studyach i szkicach z dziejów literatury polskiej«, Serya I. Kraków 1890. o Kochanowskim str. 80—101).

Krótko dotknął tej kwestyi Bruchnalski w rozprawie p. t. »Pojęcie i znaczenie poezyi u poetów polskich XVI. wieku« (Lwów 1900, str. 11) i rozwiązał ją w tym samym duchu, co Chmielowski: »Sławienie Sobótek« Kochanowskiego z tego powodu, że w nich po raz pierwszy »Musa docta« złotego okresu raczyła zwrócić uwagę na lud polski, jest uzasadnione tylko do pewnego stopnia. Nikt nie wątpi że do poetycznej duszy czarnoleskiego śpiewaka, tęskniącego sercem, a nie z mody humanistycznej tylko, do »dulce otium«, powinno było przemówić również poetycznie życie »wsi wesolej, wsi spokojnej« z »trefnemi płasami« i »ucieszną pieśnią«, — że przypatrząc się im, mógł się zachęcić i »boski poeta« do pisania »Sobótek«, — ale każdy musi zapytać, czy byłby się odważył bez skrupułów dla swego pojmowania sztuki na wprowadzenie

tych »ludi agrestes« do świątyni poezji i na opiewanie ich lutnią uczoną, gdyby nie było podobnego przykładu w poezji, klasycznej? Są w Propercyuszu, Tybullah i »Fastach« Owidyusa »Parilia«, »Palilia«, — są skakania przez zapalone stopy wśród pieśni pasterskich, — więc i powstanie »Sobótek« ma uzasadnienie w smaku klasycznym, nie w jakimś wymarzonem zwrocie do poezji ludu«.

Tak się przedstawiają dwa mniemania o tej samej rzeczy. Są one — mimo różnych zastrzeżeń i ograniczeń — wprost sobie przeciwne. Uważmy, że ci autorowie, którzy widzą w Sobótce utwór o charakterze ludowym, przyznają jej cokolwiek klasyczności, i na odwrót. Ostateczny jednak rezultat ich wywodów jest po jednej stronie: Sobótka jest utworem przeważnie i wybitnie rodzinnym i ludowym; po drugiej: Sobótka jest tak samo utworem »klasycznym«, przepojonym wpływami literatury łacińskiej, jak cała ówczesna poezja polska.

Pomiędzy temi dwoma zdaniem zgody być nie może. Gdybyśmy zaś dla ich pogodzenia stanęli w pośrodku, i obu stronom przyznali trochę słuszności, ażeby takim kompromisem dojść do celu, to będzie to tylko wybiegiem, będzie trzymaniem się złotego środka, ale nie wyjściem z sytuacji. Chcąc dojść do jakiegoś rezultatu, trzeba dotychczasowe zdania poddać rewizji. Możemy się przytem ograniczyć do rozpraw Rymarkiewicza i Chmielowskiego, bo one dowodzą i argumentują, podczas gdy inni autorowie głoszą zdania, nie uzasadniając ich bliżej.

Więc najpierw co do Rymarkiewicza. Zestawia on pieśni Sobótki z rozmaitemi pieśniami ludowymi i na tej podstawie dochodzi do przekonania o tożsamości tonu i nastroju jednych i drugich. Otóż to właśnie zestawienie ma dwie ważne chyby metodyczne. Najpierw zestawienie motywów jest często przypadkowe; miłosa pieśń Sobótki i miłosa pieśń ludowa — sam motyw miłości nie wystarcza jeszcze, ażeby te dwie pieśni połączyć ze sobą bliżej. Nie to jest główną rzeczą, czy motyw będzie ten sam — bo ten sam motyw znajdziemy w setkach utworów bardzo różnorodnych, ale czy jest opracowany w podobny sposób. Pod tym względem zgodzić się można z Rymarkiewiczem co do prologu (str. 54—55), pieśni czwartej (str.

56—57) i dziesiątej (str. 62), a i to tylko do pewnego stopnia; po za tem podobieństwo jest naciągane.

Co jest jednakże najważniejsze i co podcina nogi teorii Rymarkiewicza, to nieuwzględnienie momentu chronologicznego. Sobótka powstała w drugiej połowie XVI. wieku; pieśni ludowe, na które się autor powołuje, powstały kiedy? I tu jest *punctum saliens* sprawy. Zapisane zostały w wieku XIX (Rymarkiewicz powołuje się na Kolberga, Lipińskiego, Wacława z Oleska, Wójcieckiego, Żegotę Paulego). Kiedy powstały, tego nie wiemy. Pieśń polska ludowa czeka dopiero na swoją historię — dotąd tej historii nie znamy wcale. Więc o owych pieśniach możemy przypuszczać, że są stare, ale dowodu na to nie mamy żadnego. A gdy nie mamy pewności, nie możemy niemi operować dla dowiedzenia tezy, o którą chodzi. Byłoby to argumentowanie, które może być obalonem przez pierwsze lepsze odkrycie literackie, n. p. że ta lub owa pieśń pochodzi z XVII. lub XVIII. wieku, lub że nie jest wytworem »ludowym«, ale książkowym, literackim. Przytrafiło się to zresztą i Rymarkiewiczowi, Pieśń »Juże wieczór teraz krótki« (str. 54—55) jest najwidoczniej pieśnią literacką, i to powstała najwyraźniej pod wpływem... Sobótki Kochanowskiego. Książkową, literacką jest także pieśń »Śpiewa słowik, śpiewa, nim słońeczko wschodzi« (str. 57), pieśń, którejby można śmiało naznaczyć wiek XIX. jako epokę narodzenia, co najwyżej koniec wieku XVIII. Piosenka »Pojedziem na łów, na łów« (str. 59) jest typowo szlachecka — nie sięga poza wiek XVII. Pieśń »Śpiwam ja se, śpiwam, niby to wesołam« (str. 61) jest tak nie ludową, a do tego tak najwyraźniej nosi na sobie ślady wieku XIX., że wprost wydziwić się nie można, iżby ją kto wziął za produkt poezyi ludowej.

Rymarkiewicz wiedział dobrze, że porównanie Sobótki z pieśniami ludowymi wtedy dopiero doprowadziłoby do celu, gdybyśmy mieli zbiór tych pieśni z XVI. wieku (str. 66) — nie wyciągnął jednakże stąd jedynie uprawnionego wniosku: zamiast porównywać z dzisiejszemi, zapytać najpierw, i poszukać, jak też wyglądały pieśni ludowe polskie w czasach Kochanowskiego.

Wtedy dopiero wolno będzie porównywać. Tylko pytanie, czy będzie można? Że Polska XVI. wieku miała znaczną liczbę

pieśni, które śpiewano, na to mamy świadectw dosyć. Samych pieśni jednakże nie doszło do nas prawie nic — dopiero od Kochanowskiego poczynawszy. I to właściwie pieśni bardzo literackie, niezbyt więc rozpowszechnione. Pierwsze zbiorki takich popularnych, powszechnie śpiewanych piosenek, które przechowały się do naszych czasów, pochodzą dopiero z wieku XVII. (zob. Wierzbowskiego Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich, zeszyt 17: Kiermasz wieśniacki, Warszawa 1902, i zeszyt 19: Pieśni, tańce, padwany XVII. wieku, Warszawa 1903). Otóż jeżeli szlacheckie piosenki z XVI. wieku do nas nie doszły, to tem bardziej pieśni ludowe, które mniej miały danych po temu, aby je kto spisał i podał do druku. Mamy o nich tylko pewną liczbę świadectw.

Nieznany bliżej poeta anonim-protestant, piszący w latach 1562—1568, wspomina o pieśniach sobótkowych:

Niewiasty na wsi sobótkę nuciły,
Sobie i innym dobrą myśl czyniły.
Więc jeden stare piosieczki spiewały,
A drugie zasię przez ogień skakały.

zob. Anonima-protestanta XVI. wieku Erotyki, Fraszki, Obrazki, Epigramaty, z rękopisu wydał Ignacy Chrzanowski. Kraków 1903, ur. 52 »O sobótcie«, str. 50).

O pieśniach sobótkowych wspomina także Marcin z Urzędowa w dziele: Herbarz polski, 1590: »Tamże (t. zn. podczas sobótki) śpiewają djabelskie pieśni, plugawe, tańcząc« (cyt. według Rymarkiewicza, str. 161). Marcin z Urzędowa stoi tu na stanowisku księży, którzy widząc w sobótcie zabytek pogaństwa, zakazywali jej.

Górnicki w »Dworzaninie« (1566) wychwalając muzykę, że krzepi ludzi i pociesza, dodaje: »Stądże owó jest, iż kmieć w gorące dni, śpiewając sobie o lipce, mało pracy a potu czuje« (Wyd. Turowskiego, str. 62). Prawda, że »Dworzanin« jest tłumaczeniem, i że to miejsce jest już w oryginale. Ale jest jedna różnica. Castiglione mówi tylo o śpiewaniu w ogóle (»Onde spesso i duri lavatori de' campi sotto l'ardente sole ingannano la lor noja col rozso ed agreste cantare«). Górnicki zaś z życia, z ówczesnych stosunków polskich, bierze piosenkę o lipce.

Tej piosenki, jak i innych ludowych z tego czasu, nie znamy. Wójcicki twierdził, że jest to znana i rozpowszechniona pieśń:

Z tamtej strony jeziora
Stoi lipka zielona,
A na tej lipce, na tej zielonej
Trzej ptaszekowie siedzieli, i t. d.

(Przyjaciół ludu, 1840, VII, t. I, str. 18), ale my dziś tej pewności mieć nie możemy, żeby każdą pieśń ludową, tem samem że jest ludową, uważać za starą.

Rey w »Żywocie« (1567) zanotował nam nawet jeden frazes z piosenki ludowej. Mówi on: »Już wszystkie twoje rzeczy, jako ono kmiotówny śpiewają, będą jako złotem przewijane«. To znaczy że te słowa: »przewijane złotem« Rey słyszał w jakiejś piosence, śpiewanej przez dziewczęta wiejskie.

Klonowicz w »Worku Judasza« opowiada, jak burmistrz z chłopami ciągnął na pańszczyznę; burmistrz tem jest poczczony, że

naprzód śpiewa
Onę piosnkę oracką, pospólstwo opiewa.

(Pisma poet. polskie, wyd. Turowskiego, str. 76) »Oracką« oznacza tutaj zapewne »ludową« w ogóle.

O starej pieśni:

Śmierć się wije po płotu
Szukający kłopotu

śpiewanej »żałobliwie« po wsiach podczas topienia Marzany, mówi Joachim Bielski (Kronika, wyd. Turowskiego, I 70). Stara jakaś pieśń obrzędowa, o której zresztą nic więcej nie wiemy poza tymi dwoma wierszami. Od tegoż autora dowiadujemy się (II 880) pod rokiem 1482, że za jego czasów (a więc gdzieś w połowie XVI. wieku) śpiewali jeszcze chłopci około Szczercowa pieśń staroświecką o pojmaniu i ścięciu Krzysztofa Szafranca z Pieskowej Skały.

Takie mamy świadectwa o pieśni ludowej XVI. wieku, i tyle o nich wiemy, nie więcej.¹⁾ Ostatecznie nawet trudno

¹⁾ Oddalony od bibliotek polskich, nie mogę zebrać wszystkich świadectw i być może, że ich się znajdzie więcej: w każdym razie całej pieśni ludowej z tego czasu dotąd nie znaleziono.

wyrobić sobie o niej jakieś szczegółowsze zdanie, tak te świadectwa niewiele mówią. Na przykład owa pieśń o lipce: czy to była może pieśń miłosna, czy zwyczajowa, czy wreszcie ob-rzędowa, czy jakie opowiadanie faktu — nie wiemy. Ze szla-checkich pieśni przed Kochanowskim nie zachowała się żadna, ale z tych świadectw, jakie o nich mamy, możemy bądź co bądź odtworzyć sobie np. ich formę, wyrozumieć, jaką była ich treść i t. p. Pieśń ludowa ówczesna pozostaje dla nas, mimo świadectw, ziemią nieznaną.

Nie możemy więc mówić o podobieństwie Sobótki do pieśni ludowych, skoro o tych pieśniach nie możemy nic pewnego powiedzieć.

Inaczej wyglądać jednak będzie rzecz, gdy kwestyę tak postawimy: Sobótka Kochanowskiego i dzisiejsze pieśni ludowe są sobie bliskie, ton, charakter, nastrój jest ten sam w pierwszej i w drugich. Na to z pewnemi zastrzeżeniami można się zgodzić, zobaczymy później w jakiej mierze. Tylko naturalnie trzeba o tem ciągle pamiętać, że ta »ludowość« dzisiejszej pieśni ludowej jest wytworem historycznym, a więc czemś podległym zmianie, a nie jakimś zjawiskiem wiecznem, zawsze tem samem, jak zjawisko przyrody. Więc charakter naszej pieśni ludowej dzisiaj jest taki, a sto, dwieście lat temu mógł być inny, za sto, dwieście lat będzie z pewnością inny. Zatem jeżeli mówimy, że Sobótka ma pewne cechy poezyi ludowej, to jest to określenie raczej fejletonowe aniżeli ścisłe, mówiące o Sobótce, ale nie tłumaczące jej.

Opinie, głoszące brak pierwiastków ludowych w poemacie Kochanowskiego i wywodzące go przedewszystkiem z poezyi starożytnej, grzeszą nadmiarem krytycyzmu, co jest ostatecznie równie szkodliwe, jak jego brak. Dalej noszą one na sobie piętno pewnej epoki naszej historyografii litrackiej, kiedy to nauka ta zatapiając się w rzeczach drobnych (czego naturalnie nikt nie zgani), nieraz jednakże wskutek zapatrzenia się w drobiazgi straciła z oczu całość. Stąd błędne pojmovanie różnych »wpływów«, »pożyczek«, »reminiscencyj«, które zrobiło trochę złego. Stąd to mogło się wyrodzić przekonanie, że skoro w Sobótce jest tyle a tyle reminiscencyj z poetów łacińskich, przeto Sobótka nie jest »ludową«, ale »klasyczną«. Mniemanie zupełnie błędne, bo może tych reminiscencyj być X razy więcej, a po-

emat pomimo tego może zgoła nie mieć charakteru klasycznego. Z cegieł z rozebranej świątyni gotyckiej może śmiało powstać kościół czysto barokowy.

Chmielowski popełnił dalej błąd, popełniany dotąd stale przez historyków literatury. Jest nim ciasne a fałszywe pojmowanie tak zwanego pierwiastku ludowego w poezji artystycznej. Najjaskrawiej objawiło się to w tej pretensji do Kochanowskiego, że nie opisał dokładnie całego obrzędu Sobótki, tak jakby to było jego obowiązkiem. Stąd też poszło, że Chmielowski większą wartość przypisuje Sobótkę Goszczyńskiego, utworowi, który na skali poezji polskiej zajmuje miejsce bezwarunkowo niebardzo wysokie, a z Sobótką Kochanowskiego mierzyć się ani może.

Ostatecznie tedy jakże dzisiaj będziemy się zapatrywać na całą tę sprawę?

Więc najpierw z góry odrzucimy rzekomy klasycyzm Sobótki. Rzekomy, pomimo mitu o Filomeli, pomimo pewnej liczby reminiscencyj z poetów łacińskich, pomimo owych faunów leśnych, którzy jakoby się zabłąkali w lasy polskie. Nie ilość reminiscencyj rozstrzyga o tem, czy poemat nazwiemy klasycznym. Sobótką, jako całość, jako koncepcya, jest tak odległą od wszystkiego, co nam przekazał świat starożytny, taki ma odrębny charakter, że za »klasyczną« uważać jej niepodobna. Nie podobnego do niej tam nie znajdziemy, a ustęp w Fasti Owidyusza przenosi nas w zupełnie inne światy, między innych ludzi, aniżeli poemat Kochanowskiego.

Sobótką wypłynęła nie z literatury starożytnej, ale z życia i z ducha poety. Kiedy Kochanowski ją tworzył, miał przed wzrokiem duszy obraz, na który niegdyś w rzeczywistości patrzył, a nie rozwartą na stole książkę z poezjami któregoś z klasyków. Otóż nawet gdyby Sobótką w swej formie wzorowała się bardzo ściśle na poezji starożytnej, to i tak byłaby dziełem oryginalnem, dziełem, którego pierwsza pobudka wyszła od poety samego, które przedstawia rzeczy widziane i odczute przez Kochanowskiego.

Cały przebieg powstawania Sobótki możemy z niej samej wyczytać. Najpierw z jej prologu. Ten prolog, na pozór taka sucha, kronikarska relacya, proste i krótkie opowiadanie, jest przy całej swej szkicowości taki żywy, taki plastyczny i wy-

razisty, że zeń najwyraźniej widzimy, jak silne wywarł na Kochanowskim wrażenie obrząd sobótki, jak przemówiła do jego duszy poezja tego obrzędu. Z tego wrażenia wyszła pierwsza myśl, pierwsza pobudka do napisania poematu. Nie z lektury wyszła Sobótką, ale z życia.

Po tej pierwszej pobudce, pierwszym poczęciu poematu, chodzi o to, w jaką formę tą myśl się ubierze. Tutaj, teraz, mógł przyjść wpływ poetów starożytnych. Tak było nieraz u Kochanowskiego. Ale z Sobótką tak się nie stało. Rodzimość i oryginalność towarzyszyła jej nadal. Gdyby się tu był objawił wpływ starożytny, to z Sobótki powstałby zapewne utwór, opisujący sam obrząd (jaki to jest u Owidyusza), a opisujący technikę starożytną. Tymczasem Kochanowski nie opisuje sobótki: daje nam tylko dwanaście pieśni, które każe nam sobie wyobrazić śpiewane podczas tańca naokoło ognia sobótkowego. Otóż te pieśni, jeżeli powstały pod jakim wpływem, to tylko pod wpływem pieśni ludowych, śpiewanych podczas Sobótki.

Odbiegają one tak dalece od typu, jaki przekazały nam literatury starożytne, i przedstawiają świat tak inny, że nie w starożytności szukać mamy ich wzorów. Jest w nich przyroda, wieś i lud polski, skreślony rysami bardzo naturalnymi i bardzo prawdziwymi, wziętymi z życia; skutkiem tego całość jest najzupełniej nowożytną, nieklasyczną. Odbiegają też te pieśni od dotychczasowych pieśni Kochanowskiego. Jest w Sobótkce przeważna ilość pieśni miłosnych. Otóż w dotychczasowych swoich lirykach erotycznych Kochanowski jest zawsze subiektywny, swoje sprawy sercowe przedstawia, swoje uczucia od siebie wypowiada. Tu inaczej. Jedna pieśń o Dorocie (XI) może być zaliczona do poprzednich; we wszystkich innych poeta przenosi się w duszę obcą i jej uczuciom daje wyraz. Czyli daje nam erotykę obiektywną, nie subiektywną. A co ciekawsze: dusza, której uczucia poeta chce wyrazić, to dusza kobieca. Otóż szukając objaśnienia tego faktu, zmuszeni jesteśmy zwrócić się do ludowych pieśni sobótkowych.

Prawda, tych dawnych pieśni dziś nie znamy. Ale z pewnem prawdopodobieństwem możemy z różnych danych wywnioskować, że były to przedewszystkiem pieśni miłosne, śpiewane przez niewiasty. Anonim-protestant nazywa te pieśni tylko »staremi«; ale Marcin z Urzędowa mówi o »plugawych«

pieśniach Dlaczego »plugawe«? Historycznych takby nie nazywał; gdyby śpiewano pieśni nabożne, to nasz autor jedynie by się z tego cieszył; pogańskich już wtedy nie było. Otóż plugawymi mógł nazywać jedynie pieśni miłosne, przeciw którym moralisci XVI wieku (m. i. np. Frycz Modrzewski) ostro występują. Miłość ta mogła w owych pieśniach wyglądać rozmaicie; zapewne były między niemi i obscoena; stąd tem bardziej mógł Marcin być oburzonym. W każdym razie tylko o miłosnych pieśniach mógł się tak wyrazić.

Dalej: dzisiejsze pieśni sobótkowe przeważnie mają charakter miłosny. Sobótką jest obrzędem, który zamiera. Dzisiaj na znacznej już przestrzeni ziem polskich sobótki się nie pali. Otóż jeżeli sobótką jest na wymarcu, to najwidoczniej w kilku ostatnich wiekach nie zmieniała się, nie wchłaniała w siebie nowych elementów, któreby jej siłę żywotną wzmocniły. Organizm zamierający kostnieje w formach dawnych. Stąd możemy śmiało wnosić, że od XVI. wieku nowe motywy do sobótki nie weszły, że w XVI. wieku była ona taką samą, jak dziś, na tych samych opierała się zasadach. Pieśni, które śpiewano na Sobótkach XVI. wieku, były miłosne i były śpiewane przez kobiety.

Kiedy te fakta zestawiamy z poematem Kochanowskiego, wzajemny ich związek bije w oczy, wpływ pieśni ludowych na Sobótkę jest uderzający.

Jak daleko sięga ten związek i ten wpływ, na to znowu nie można dać odpowiedzi pewnej, skoro nie znamy tych śpiewów ludowych. Ale tutaj znów poemat sam daje pewne wskazówki. Otóż wtręty klasyczne (jak mit o Filomeli, jak faunowie itp.), dalej cała dykcja, styl, język tych pieśni Kochanowskiego, wreszcie cały ich poziom umysłowy, zdają się wykluczać przypuszczenie, jakoby Kochanowski naśladował pieśni ludowe aż do szczegółów i wzorował się na nich. Tak, jak Sobótką, ówczesna poezja ludowa wyglądać nie mogła, podobnie jak nie wygląda i dzisiejsza. Wpływ poezji ludowej objawia się tu w wyborze tematu, w przewadze pieśni miłosnych, śpiewanych przez kobiety, wreszcie może w wyborze formy wiersza ośmioletkowskiego. Czasem zdaje nam się, że mamy przed sobą zwrot, wyrażenie ludowe, np:

Komum ja kwiateczki rwała,
A ten wianek gotowała?

Albo:

Będę nad wami siedziała,
I tym czasem kwiatki rwała.

Ale to nam przypomina dzisiejszą poezję ludową, a wiemy już, co mamy sądzić o podobieństwie Sobótki do dzisiejszych śpiewów ludowych.

Oprócz oddziaływania poezji ludowej na Sobótkę w tym zakresie, który wyżej wskazaliśmy, warto zaznaczyć, że pierwiastek ludowy zjawia się w tym poemacie i w innej jeszcze postaci. W niektórych pieśniach Sobótki pojawia się lud: w śpiewie panny piątej nakreślony jest wiejski Don Juan-Szymek, który pannie tej »zastępuje za trzewik«, a równocześnie i gdzieś indziej robi zdobycze; panna ósma jest pasterką. W innych znowu pieśniach (szóstej i dziewiątej) widzimy wieś i jej zajęcia, skreślone ze strony pięknej i przyjemnej (co prawda nie wyłącznie już na tle ludowym). Te jednakże rysy, jakkolwiek również bardzo ciekawe, nie są już wyłączną właściwością Kochanowskiego, bo niezależnie od niego pojawiają się i u innych ówczesnych autorów, np. u Reya. Rzecz ta zresztą wymaga osobnego rozpatrzenia.

Taki jest związek Sobótki z pieśnią ludową. Widzimy, że jest on dosyć silny, że nie można absolutnie mówić, jakoby moment ludowy był z niej wykluczony, jakoby ona wyszła z ducha klasycznego. Ale naodwrot nie można też z Kochanowskiego robić romantyka. Nie można do XVI wieku przenosić pojęć późniejszych, naszych. Romantyzm świadomie i sztucznie wprowadzał do poezji artystycznej żywioł ludowy; wiek XVI, robił to nieświadomie. Ludziom ówczesnym nie przychodził na myśl ten rozdział różnych pierwiastków, jaki się wytworzył w umysłach autorów później. Dla Kochanowskiego motywy ludowe i motywy klasyczne miały jednaki powab i jednaką wartość; od różnych zaś czynników zewnętrznych zależało, że w jego utworach raz te, drugi raz tamte przeważały. Silne wrażenie sobótki i wsi sprawiło, że w Sobótce motywy ludowe zajęły więcej miejsca, niż klasyczne, i wycisnęły na niej swoje piętno.



MATERIAŁY HISTORYCZNE.

Odszczekiwanie obmowy.

I. Kodeks karny dla wsi Paczołtowie (dziś w powiecie chrzanowskim) ogłoszony 7 maja 1672 roku w ustępie 3, zawiera następujące postanowienia:

»3. Zabrania się rozsiewania plotek, kłamstw i obmowy, pisania i rozpowszechniania listów bezimiennych klasztor obmawiających. Kto się podobnego uczynku dopuści i o takowy świadkami lub w inny sposób przekonany zostanie, według woli Przełożonego klasztoru i w miarę winy jednomiesięcznem a nawet i dłuższem ostrem więzieniem w kunie, a oprócz tego 100 plagami postronkiem ostrym lub 100 różgami na gołe ciało bez litości ukarany będzie. Ukarany winien nadto wobec zebranych gromad, wlaższy pod ławę odszczekiwać głosem, jak pies, szczekając najprzód trzy razy »huf, huf, huf« a potem mówiąc: »cokolwiek o N. N. powiedziałem, mówiłem nie cnotliwie, lecz szczekałem jak pies«. Taki winowajca nawet po odbytej karze uważany być ma za banitę i na przyszłość powinno to jemu szkodzić dla różnicy od ludzi poczciwych«.

(*Louis Józef*. Wieś Paczołtowie, Kraków 1874, str. 147—8).

II. W księdze gromadźkiej gminy Jazowska (w powiecie nowosądeckim) w tomie II, pod dniem 9 marca 1757 roku zapisany jest wyrok sądowy na Michała Sikorę, który Macieja Grońskiego posadził o kradzież a nie udowodnił mu jej:

Ażeby Michał Sikora publicznie przy ludziach podciwość mu (Maciejowi Grońskiemu) przywrócił y odgadał, mówiąc te słowa po trzy razy: cham, cham, cham —

przeprosił go publicznie i
sądowi złożył grzywnę.

Seweryn Udziela.

Nieznana piosnka flisacka z XVIII w.

W »Monumenta Hungariae hist.« Scriptores t. XXXIII. znajdują się zapiski z podróży Daniela Krmana, luterskiego superintendenta północ. Węgier. Podróż swą odbył Krman w latach 1708—9 z polecenia i w interesie synodu protestanckiego do Karola XII.

Zauważyć należy, że był zapewne z pochodzenia Słowakiem a przez to czuł i rozumiał potrosze dźwięk mowy polskiej. Zapisuje więc bardzo wiele wyrażen i zdań, które go szczególnie uderzyły, a jadąc Wisłą od Sandomierza koło Zawichostu, Kołczyzna przybywa do miejscowości, którą nazywa Petrowin (Piotrowin wyzn. na mapie gen. Chrzanowskiego). Tutaj słyszy: »pueros puellasque in ripa fluvii cantillantes, hanc unam et alteram lepidam canticulam polonicam«, z których jedną zaraz notuje: Piosnka brzmi następująco:

Fliszkowe mili
Dawnoste doma nebyły
My Boha bedjeme prosiły
Biztje se zdrowy, do domu wracizły

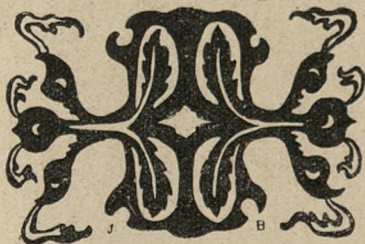
Fliszkowe z neba
Dajcze nam chleba
Jesztly ne dacze
To potonecze
A ty myła swenta Barborko
Wynjesz ych kde je melko

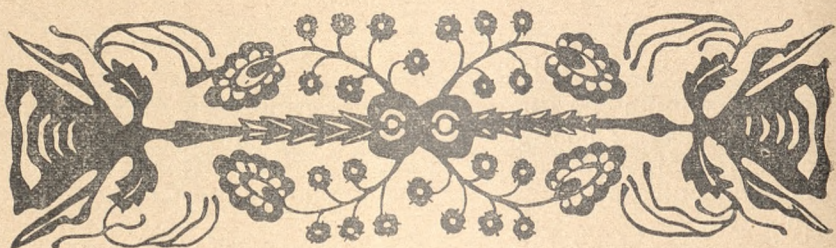
Fliszowa žena
Sedy sobje doma
Fliszar neboraciek
Grebje čo krobaček.

Piosnkę odpisuję według oryginalnej transkrypcyi węgierskiego wydania. Sądząc z czego innego myślę, że wydawca nie dość poprawnie wydał ją z rękopisu — co jednakowoż o wartości samej pieśni nie stanowi ani też jej autentyczności nie kwestyonuje.

Lwów.

Kipa Emil.





DROBNIEJSZE ROZPRAWKI I WIADOMOŚCI.

Uroczystość „poświęcenia pól“ w Kamieniu w powiecie
krakowskim.

W Kamieniu, w powiecie krakowskim, wiosce należącej do Zgromadzenia X. X. Kanoników Regularnych Lateraneńskich przy kościele Bożego Ciała w Krakowie, odprawiono w dniu 15 czerwca 1905 doroczną ceremonię poświęcenia pól, w celu uproszenia u Boga błogosławieństwa dla pól.

Zwyczaj ten, który ks. Ignacy Charszewski w swym albumie uroczystości religijnych przed kilku laty w Płocku wydał, tak pięknie opisał, jest w naszych stronach mniej znanym, rozszerzony jest natomiast w Królestwie Polskiem, skąd go ś. p. ks. Stanisław Słotwiński, Opat X. X. Kanoników Regularnych do Kamienia przeszedł.

Na uroczystość taką zjeżdża do Kamienia Zgromadzenie X. X. Kanoników Regularnych, przybywają też goście okoliczni, by wziąć w niej udział, a ludność zawsze z upragnieniem wygląda tego nabożeństwa. Już we wigilię tej uroczystości czynią się różne przygotowania: chłopcy umajają zielenią kapliczkę i krzyże przydrożne, dziewczęta zdobią kwieciami różowem i białem feretrony a w całej wiosce panuje uroczysty nastrój. W sam dzień uroczystości odprawiają się od wczesnego rana msze święte, z tych ostatnia odprawia się solennie. Lud odświętnie przybrany bierze ze skupieniem ducha udział w nabożeństwie, a śpiewając pieśni nabożne zebrze u Boga błogosławieństwa dla pól. Po odprawionej solennej Mszy świętej, kapłan odmówiwszy modlitwę, intonuje litanie do W. W. Świętych a lud obecny w procesyi wyrusza w pole. Na czele pro

cesyi jeden ze starszych gospodarzy niesie Chrystusa Ukrzyżowanego, postępuje za nim dziatwa szkolna z chorągiewką małą z wizerunkiem Matki Bożej i św. Stanisława Kostki, dziewczęta w bieli w ozdobnych gorsetach i koralach, duchowieństwo z celebransem a wreszcie licznie zebrany lud. Malowniczy przedstawia się widok, gdy procesya wskutek nierównego terenu raz wspina się na pagórek, to znowu spływa w dolinę lub przesuwa się lasem.

Procesya odprawia cztery stacye przy trzech krzyżach postawionych w polu przez ś. p. ks. Słotwińskiego i przy kapliczce wzniesionej na pamiątkę uratowania go od wypadku. Przy



Procesya w Kamieniu.

każdej stacyi odmawia się psalm, dwie modlitwy i wygłasza kazanie, poczem następuje błogosławieństwo pól oraz odśpiewanie ustępów św. Ewangelii mówiących o kłosach, nasieniu, o siewcy i żniwie. Po odmówieniu modlitw celebrans pokrapia wodą święconą plony a inny kapłan ma krótką przemowę do ludu zwykle zastosowaną do odśpiewanej Ewangelii. Po przemowie kapłana, lud rozrywa gałązki zieleni zdobiącej krzyż lub kaplicę i zatyka je w pola z tą wiarą, że ochrania plony od klęsk różnych. Po czwartej stacyi procesya wraca z powrotem do kaplicy, przyczem lud śpiewa różne pieśni nabożne jak: »Boże w dobroci«. »Kto się w opiekę«. »Serdeczna

Matko». Procesya kończy się w kaplicy, którą obchodzi jeszcze w około, odśpiewaniem »Anioł Pański«.

Oto przebieg uroczystości którą tutaj co roku obchodzimy.

W innych stronach Polski, szczególnie na Podlasiu objeżdża procesya całą wieś konno. Obejść wszystkie pola dookoła byłoby za trudno, objechać na kołach niemożliwem, bo ścieżki graniczne wąskie, usłane kamieniami, krzewem, nierówne, spadziste. Więc wszyscy, prócz niewiast i dzieci, siadają na kilka-



Dziewczęta niosące feretron.

dziesiąt koni i procesya długim sznurem snuje się wśród zboża. Na czele sunie jeździec z krzyżem, dalej drudzy z chorągwiami, potem kapłan, asysta, śpiewacy i cały szereg pobożnych.

Ewangelię odczytuje ksiądz na kopcach granicznych, poczem w otwór, wyrobiony w kopcu, wpuszcza kartkę papieru, na której wypisano początek ewangelii świętej. Miejsce to

i zboże dookoła kapłan kropi wodą święconą, a obecni zasypują ewangelię i układają nad nią mały stos kamieni.

Ks. Augustyn Błachut.

Topielec w Czeladzi w powiecie będzińskim.

Do opowiadań, jakie zebrałam w roku ubiegłym o topielcu¹⁾, posyłam dzisiaj kilka nowych szczegółów.

I.

Gospodarz pilnował w polu wykopanych ziemniaków, aby mu ludzie nie rozkradli; położył się na workach i zasnął. Nagle usłyszał »buczenie« na 6-tą²⁾, bo miał pole blisko kopalni; więc czemp prędzej wstał i szedł do domu. Na drodze tuż nad rzeką zastąpił mu drogę wielki chłop, a rozłożwszy ręce nie chciał go przepuścić. Gospodarz jednak minął go, a gdy już uszedł spory kawałek drogi, obejrzał się poza siebie i ujrzał tego chłopca na piecu wapiennym, mieszającego jakąś wielką miotłą wapno. Po chwili przestał mieszać a spojrzawszy w dół, spostrzegł stojącego gospodarza i zaczął klaskać w ręce i skakać, jakby z radości. Gospodarz teraz dopiero poznał, że to był topielec i zaczął uciekać. Twierdzi, że mu włosy tak dębem stanęły na głowie, że aż czapka mu się wzniosła do góry, a po przyjściu do domu zauważył, że dopiero godzina 12 w nocy.

II.

Starzy ludzie opowiadają, że co noc do młyna przychodził topielec smażyć ryby, a młynarka umyślnie dla niego musiała palić ogień. Raz wieczorem zaszedł do tegoż młyna jakiś wędrowny człowiek z niedźwiedziem, a pokazawszy młynarzowi wszystkie sztuki, jakie niedźwiedź umiał, prosił o nocleg. Młynarz chętnie na to przystał, tembardziej, że mu się już sprzykrzyły nocne wizyty topielca, więc chciał, żeby ktoś razem z nim choć jedną noc przepędził. Długo gwarzył w noc wędrowny z młynarzem i jego rodziną. Z nadejściem godziny 12-ej wszedł topielec i jak zwykle, zbliżył się do pieca, aby ryby usmażyć. Gdy to niedźwiedź spostrzegł, wyrwał się z łańcuchem wędrownemu z ręki i rzucił się na topielca. Zaczęło się ogromne szamotanie; niedźwiedź był silny, ale i topielec nieślaby. Wkrótce udało się niedźwiedziowi przewrócić topielca na ziemię. Przytem zaczął go silnie drapać. Topielec nie krzy-

¹⁾ Patrz: Lud X. 438.

²⁾ Głos parowej piszczałki.

czał o pomoc, ale kiedy spostrzegł, że go niedźwiedź mniej silniej przyciska łapami, wyrwał się i uciekł. Od tego czasu nie chodził już topielec do młyna; czasem tylko zapytał się przez okno: »Młynara, jest tam ta kociaara«?... Młynarka naturalnie odpowiadała, że jest, bo wiedziała, że topielec boi się niedźwiedzia, którego wziął za wielkiego kota i przez to będzie miała w domu spokój¹⁾.

III.

Bardzo już dawno temu jakiś krawiec czeladzki (z Czeladzi) szedł drogą ku Będzinowi; ubrany był w długą kapotę prawie aż do ziemi. Kiedy już był na granicy, to znaczy kiedy mijał pola czeladzkie, a wchodził na będzińskie, ujrzał na tej granicznej linii pięknego konia, osiodłanego i nakrytego zielonym suknem. Wielce uradowany zawołał: »Ach mój koniczku, toż sobie też teraz na ciebie wsiedę, a ty mnie zawieziesz tam, gdzie zechcę«. To mówiąc obciął koniowi połowę pięknego sukna, bo mu się bardzo spodobało. Następnie wsiadł na konia i popędził, lecz nie tam, gdzie chciał, ale gdzie go koń niósł w szalonym pędzie, t. j. wprost w przeciwną stronę. Po jakimś czasie wpadł koń na trzęsawiska i tam z siebie zrzucił krawca do błota. Przytem zaczął rzeć i grzebać nogami jakby z radości; następnie uciekł galopem. Krawiec, leżąc w błocie, słyszał jeszcze gdzieś w dali jakby śmiech i klaskanie. Do rana biedny krawczyną przeleżał na owych moczarach, aż dopiero ludzie idący do pracy cudem prawie wydobyli go z niebezpiecznego miejsca ledwie żywego. Gdy przyszedł do domu zauważył, że kapotę miał dokoła obciętą i domyślił się, że koniem tym musiał być topielec, a on sam zamiast zielonego sukna obciął sobie własną kapotę. *Nimfa Madłowna.*

Opowiadania z pod Krakowa.

Miałam służącą z Czułowa, wioski dwie mile od Krakowa odległej. Dziewczyna chętnie i wiele mówiła i opowiadała różne powieści wiejskie. Niektóre z nich spisałam, jako bardzo ciekawe i charakterystyczne i podaję je w przekonaniu, że zainteresują Czytelników »Ludu«.

O duchu ziemnym.

Pod ziemią, gdzie kopią węgle, opowiadali tatuś, że tam przemieskuje duch ziemny. Chodzi on tak ubrany, jak jaki pán,

¹⁾ Patrz A. Czerny: Istoty mityczne Serbów łużyckich. Wisła X. 259. — Sew. Udziela: Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego, Wisła XII. 177. — Tegoż: Dyabeł i niedźwiedź, Lud IV. 80.

co ich dogląda i oni go często widują, nosi sikirke na cieniuśki lasecce i kaj nią uderzy w kopalnię, to to miejsce musi się zapasć. Ráz wszyscy wysli z kopalnie, a jeden chłopák sie zaplątał; ten duch go pojón i zaprowadził go jaz na trzecią sichte, i tam go trzymał bez 3 dni i chłopák miał tak ucynione, ze nie nie wiedział kaj jest. Po trzech dniach go puścił, ale cóz, kiej mu tak powiedział, ze nie wolno mu juz być na sicchie, bo jego śmierć. Chłopák nie usłuchał, posed i robiuł; ale cóz, na trzeci dzień duch tak ucyniuł, ze wielgi kamień spád i zabiuł go na miejscu.

O boginkach.

Boginki mieskają w ziemi i to w bagnach, ale teraz nie wychodzą, bo ich księżá zakłeni. Dáwniej jak chodziúły, to wiecorem sły pracć, ale nigdy jedna, ani dwie, ale zawdy pięć lebo sześć. Jednej sąsiadzie porwały dziecko, a dały i swoje. Posła ona do księdza na poradę, a on kázál wziąć to dziecko i pręt liscyny święcony w zielu i isć na krzyzowe drogi i tam prętem dziecko bić, to boginka przyleci. Boginka przyleciała, porwała swoje dziecko, a babę skrzycała: »Ty małpo, ty będzies moje dziecko biła« — i uciekła. Baba zabrała znowu swoje dziecko, ale cóz, kiedy było umęczone bez boginki i niedługo potem umarło. Nasej sąsiadzie téz ráz boginka dziecko odmieniúła i to dziecko zyje do dzisiejdnia, ale má głowe wielgą, ocy brzyćkie i wielgie, nie stanie, nie chodzi, choć má stery roki.

Moja ciotka, jak miała małę, to boginka przyleciała za okno i około chałupy latała, ale do ciotki żadną miarą ni mogła się dostać, bo ciotka mieli pod zágłówkjem zwonki święcone w zielu, to boginka ni miała do nich przystępu. Miejsce, gdzie te boginki u nás miszkają, to téz jest zakłete i trzęsie się ciągle, a tamtędy nawet przejść ni możná. Moja ciotka sła ráz tamtędy, to wpadła po szyję i wyjść ni mogła, dopiero się drzewiny przytrzymała i gdyby nie to, byłaby wpadła pod ziemię do boginek.

O topielcach.

Jest w Cułowie od strony Mnikowa béłek (w miejscu, gdzie rzeka płynąca przez Cułów wpada do Rudawy), tam má pod wodą swój zámek topielec i miéská z innemi duchami. W bełku tem woda w zimie nigdy nie zamarznie, bo kaj miszkają topielce, to woda nie śmie zamarznąć. Ráz sed tamtędy Duchála z Lisek na Kasów, a sed wele bełka pijany, wtedy topielec wciągnął go do wody, uchlastál ręcyskami do krzty i potem uciek z radości.

Za casów, kiej mój dziadek jesce zyli, woda w rzece była

wielgośną, przechodzili oni wele tego bełka i ujźreli topielca, który ich wołał: »Wawrzuś, podź ino«. Był on pięknie ubrany, na głowie miał czerwoną cąpekę i czerwone portrecki i caluski był czerwony; ręcyśka miał brzydźkie, bo miał wielgośne pazury. Dziadek poznali, że to topielec, nie ozwali się nic do niego, tylko śli do domu. Jak przyśli, pedzieli to babce i pokazywali im go bez okno, jak pływł, ale babka ich skrzycełi: »Ty mierlaku, jábym ci dała piknego chłopácska«, — bo dziadek ich cyganili, że jakiś chłopák. Drugi ráz dziadek znówu śli koło bełka i znów ich topielec napastował, ale oni się strásnie zgniwali i pedzieli mu: idź ty głupce, całuj ze mnie gdzieś i uciekli.

O zmorze.

Jes we wsi Cułowie baba zмора, ona to wygládá strásnie brzydźko, a nazywá się Maryjáska. Suchá jes jak śmierć, a na nikogo nie patrzy, a zlá, co nie miara. W nocy jak śpi, duch z ni wychodzi i idzie do tego, co na niego má złość, wtedy przygniátá go strásnie, ze ten ledwo ziwá. Przysła ráz ona do sąsiady nasy i tak ją przyległa i zatkała i gębę, ze ta ani ziwła, a ciężká ta zмора, ze ani się rusyc pod nią. Żeby się przekonać, kto jest tą zmorą, trza zrobić tak: Ktoby wiedziál kiedy ona má przyść, a boi się i, to i powié, zeby przysła do niego jutro i ona przydzie, ale zawsze przydzie w południe. Obiecuje się i placka, cukru i ona przydzie. Wtedy ją porządnie kijem wywali i ona już potem nie przydzie. Iak jes 7 dziewuch abo 7 chłopáków u kogo, a nie było ani jedny dziewuchy, abo ani jednego chłopáka, to jedno zмора. Dziewuchę taką nazywają zmorą, a chłopáka zmorcuchem.

O światełku.

Światełko takie podobne jes do przetacka, no takie okrągłe, jak jes dobre, to proste, jak jakiś zły duch, to pomiérzwione. W środku tego światełka świeci się lampka bez szkiełka jak kaganek. Látá ono wieczorem koło 9 i 10 godziny, jak jest zły duch, to látá i gwizdze, a jak dobry duch, to látá spokojnie. Światełka te, co są złymi duchami, to dusą ludzi, którzy do spowiedzi nie chodzili. Mojego swáka to ráz światełko przyprowadziło do domu za ucho i świeciło mu ciągle. Gospodárz jeden wracał wieczór do domu i natrefił na światełko, wtedy prosił o ogień, bo chciał se zakurzyć fajkę, a ono się rozgniwało i dało mu w pysk, bo światełka o nic prosić nie trzeba. Innego zaś przyprowadziło do samego domu spokojnie i stało za oknem i świeciło.

O umorkach.

Mieskał gospodarz koło młynów Oskołów, nazywał się Rysiak; zmar on w tym roku przed zadusnym dniem. Duch jego woził gnój w nocy, a widział to mój swák nazwiskiem Więcek. Sed on w nocy, a tu patrzy, kto wiezie furę naładowaną gnojem i wiocho, bo koniom było ciężko. — Swák nawet popychał mu wóz, a Rysiak wał ten gnój na jedne kupe, potem mówił swákowi: »Przydź tu, to cię odwiezę!« — Swáka strach ogarnął, chociaż oni nie wiedzieli, że Rysiak umar, nie ozwali się nic i ze strachem uciekli. Przyšli do domu, dopiero ujna im pedzieli: »Co ty gádás, żeś Rysiaka wóz pchał, kiej on od dáwna nie zyje«.

O duszach.

Sed ráz chłop z Mnikowa do Kaszowa we W. W. Świętych i sed bez łaki, a pomiędzy polami jest »baraniá olsyna«, tam chodzą na bagnięć, a to miejsce nazywają cyjścem. On się obał, bo był pijany i zasnął; wele północy się obudził, posłyszał śpiewanie i spożrał zpod ręki, kady kto śpiwá i zobácuł wielgą brame zelazną, bez którą przechodziły duse párami. Przesło ich duzo pár, a naostatku miały jesce przejść dwie páry. Tak go przecie strach ogarnął, że zacon miedzą uciekać, a był kawálek do wsi. Te ostatnie dwie duse leciały za nim a tamte poleciały ka indzi. Doleciały za niem az na krzyzowe drógi; tu powiedziały mu: »Twoje scęście, a nase niescęście« i wróciły za tamtemi. On wpád z wielgim strachem, wywał drzwi od chałupy, wpád do izby i potem 3 dni ni mógl się z nikiem dogádać

O strachach.

I. Ráz spál mój brat w stodole w taki, co nie było ani jednego snopka, a w taki stodole nie wolno sipiać, bo chodzi wele ni duch i strasy, jakby kto spál. A zeby był choć jeden snopek w sásieku, to już duch tam nie pilnuje. Obudził się brat i wyżrał bez zráb na pole, a tu brzegiem rzeki sła osoba bieluško ubraná sciskami od Rybny. Sła ona prędziuško, bo nim on ze stodoły wyskocuł, to ona już stała na brzegu. Była to dusa pokutującá. Jak ją użrał, skocuł ku chałupie i wywał drzwi i ni mógl ani słowa ze strachu pedzieć. Wyżreli na pole ciotka i on ale już nie nie było.

II. Moja ciotka posła z dziewuchą na kwiátki, prawie jak była suma w kościele, a posły na nie w pole. Zasły do pola,

a tam na środku pola zobaczyły stracha biało ubranego, z wywalonym jęzorem po sám pas, a ręce miał złożone do pácierza. Jęzor miał wywalony w tę stronę, jak kościół w Rybny stoi. Ciotka się przełękli i obie z dziewczuchą pocęny uciekać ku domowi, ale to tak im ucyniło, że dójść ni mogły, tylko trzy razy wywalały się na ziemię. Stracha potem ludzie sukali, ale go nie było nigdzie.

Helena Taroniowa.

Dusza po śmierci.

Gdy człowiek umrze, należy modlić się, aby dusza jego nie poszła ani na wschód, ani na zachód słońca, bo na wschodzie muszą dusze dźwigać słońce, gdy wschodzi, a na zachodzie muszą je hamować, gdy zachodzi.

Opow. Maksonowa w Przecławiu 30 maja 1900.

Sprowadzanie deszczu.

Lat temu będzie z piętnaście w Sieisławicach (parafia Korczyn) rok był suchy. Aby sprowadzić deszcz, pławili baby i stare i młode na powrozach w Nidzie. Ks. proboszcz Chudzyński ich za to publikował w kościele.

Opowiadał J. Myster, 50-letni wieśniak z Czarków w parafii Korczyn stary.

Karol Potkański.





POSZUKIWANIA.

I. Św. Stanisław Szczepanowski.

Czytając o poszukiwaniu p. J. Pagaczewskiego, ogłoszonym w »Ludzie« z b. r., przypomniałem sobie, że niedawno czytał wiadomość, która mię zajęła, jako dowód rychłego przyjęcia się czci św. Stanisława poza Polską. Mianowicie inwentarz ułankowy klasztoru benedyktyńskiego w Brzeźnowie (Czechy), sporządzony za opactwa Djonizego II. (1385—1409) w r. 1394, wymienia między rękopisami, które się znajdowały w księżnicy filialnej w Policy nad Metują (niem. Politz): Vita s. Stanisłai. Inwentarz ten wydano w »Sitzungsberichte der kgl. böhm. Gesellschaft der Wissenschaften« z r. 1889., a pisał o nim osobno Wawrz. Wintera p. n., »Ein Inwentarfragment aus dem 14 Jhdt«. (w Studien u. Mitteilungen«) benedykt i cysters. 1890.

Dr. Fr. Krček.

II. Pierwszy grzmot.

1. W Chroberskiem i Olkuskim tarzają się jak pierwszy raz zagrzmie, ma to zabezpieczać przed bolem krzyżów.

Wielebny ks. proboszcz Kajda z Kociny.

Pierwszy piorun, potrząsa ją pieniądze w kieszeni.

Jak grzmi na Kraków (południowy-wschód) będzie rok dobry.

J. Mysterk lat 50.

Dawniej jak pierwszy raz zagrzmiało, chłopcy rzucali się na ziemię ale to grzech, teraz tego nie robią.

Jasiek Rumos, lat 19.

Czarkowy, par. Korczyn pow. Stopnica. *K. Polkański.*

2. U nas na Litwie w Województwie Nowogródzkim panuje wśród ludu białoruskiego mniemanie, że dopóki na wiosnę

nie zagrzmie po raz pierwszy, póty trawa nie zazielenieje. Do tego samego czasu nie należy leżeć na ziemi, bo choroba się czepi człowieka. Na widok każdej błyskawicy, poprzedzającej grzmot, ludzie się żegnają, żeby Pan Bóg ochronił od zabicia piorunem i od spalenia dobytku.

Aleksandra z Lipnickich Krękowa.

3. Białorusin o grzmocie.

Bóg wie, co to jest grzmot... nikt tego nie wie. . Pewno tylko, że to zły duch, który ucieka przed Bogiem. — »Ja cię zniszczę« — woła doń Pan Bóg — »cisnę w ziemię, w człowieka, w zwierzę — oni będą zbawieni, ty zaś przeklęty«.

Jeśli grzmot uderzy w człowieka — siwy się zrobi, w drzewo — rozłamie się na dwoje, w ziemię — nie nie widać...

Od grzmotu nigdzie się schować nie można, bo odrazu zabija, ale izbę trzeba zamknąć, komin też i modlić się.

Jeśli grzmotu niema a tylko błyskawica — »łuna«, to modlić się nie można, bo grzech.

Gdy pierwszy raz grzmot zagrzmie, myją się dziewczęta w rzece lub na dworcu, żeby mieć pleć białą i ładną i aby spaleniznę od słońca zmyć.

Wieś Prusin, czerykowski powiat, gub. mohilewska.

4. W Ociece (koło Ropczyc), uważa pilnie lud na pierwszy grzmot, bo z niego wróży sobie jaki będzie rok: czy dobry, czy zły; czy mokry, czy suchy. Z pierwszym grzmotem łączą też różne zwyczaje, których wypełnienie ma zapewnić na cały rok zdrowie i siły. Twierdzą więc tutaj ludzie, że późny grzmot sprowadzi wnet ciepło, które już bez przerwy dalej trwać będzie; natomiast wczesny grzmot zapowiada długi czas zimna. Gdy pierwszy grzmot obejdzie dokoła, a deszczem nie rzuci, będzie przez cały rok skąpo deszczu, bo będzie obchodził okolicę. Gdy zagrzmie w stronie północnej, lub wschodniej, będzie rok zimny i zły; w stronie zachodniej, nad wodami — mokry, ale dobry; również dobry rok będzie — choć trochę suchy — gdy grzmot da się słyszeć w stronie południowej.

Skoro tylko pierwszy grzmot kto usłyszy, powinien tarzać się po ziemi, by go w ciągu roku nie bolały plecy. — Dobrze jest także dźwigać węgiel u domu, bo kto to uczyni będzie przez cały rok silny i zdrowy.

Teofil Mleczko.

III. „Maj“.

1. Równoległe z badaniem rozpowszechnienia zwyczaju stawiania maiku czyli maju u nas należy pytać o jego pochodzenie. Tu, co do oryginalności zwyczaju tego mam wielkie wą-

pliwości z powodu, że maik, tak w Polsce rzadki i występujący na pograniczu tylko, powszechnym jest u Czechów, którzy go widocznie przejęli od Niemców. U ostatnich maik tak jest popularnym, że nawet osadnicy niemieccy na Węgrzech, t. zw. Hincowie (Hienzen), przynieśli go z sobą z dawnej ojczyzny do nowej (prw. art. Ireny Thirring-Waisbeckerowej »Zur Volkskunde der Hienzen« w czp. *Etnologische Mitteilungen aus Ungarn* t. V. 1896, s. 21.

Dr. Fr. Kr.

2. Inny zwyczaj stawiania »Maju« niż opisany w ostatnim numerze szanownego pisma »Ludu«, jest mi znany z Poznańskiego z powiatu błahonorskiego, gdzie »Maj« stawiano także na Zielone Świąta. Wycinano jak najwyższą sosnę i odzierano ją z kory, aby była śliską. Wieczorem w sobotę przed Zielonemi Świątkami wszystkie dziewczęta ze wsi musiały dać swoje chustki, które przywiązywano do wierzchołka, poczem wkopywano »Maj« na jakimś swobodnem miejscu, aby ludzie mogli się tej uroczystości przyglądać swobodnie.

W pierwszy dzień Zielonych Świątek po niesporach, gromadzili się wszyscy koło »Maju« a parobcy »wciągali się« kolejno na szczyt »Maju«, aby chustki zwiesić. Było to nadzwyczaj trudno z powodu śliskości sosny i nieraz już parobek prawie że chwycił za chusty, a nie dosięgnąwszy ich, ześliznął się na sam dół. Poczem próbował inny i tak aż do skutku. Uroczystość trwała przez obydwa poobiedzia Zielonych Świąt i kończyła się czasem w pierwsze święto, jeżeli który z parobków w pierwsze święto zdjął chustki. Gdy parobek zdejmie chustki, idą wszyscy do karczmy i tam muszą dziewczęta swoje chustki od parobków wykupywać. Przypominam sobie, że tak się razu pewnego nieszczęściło parobkom, że już zmrok zapadał w drugie święto, a jeszcze chusty wisiały. Dopiero jeden wpadł na myśl przywiązania sobie do nóg (»wciągają się« boso) jakichś żelaznych haków i wtedy chustki zdjął. To jednak było nie podług zwyczaju, ale przecież trzeba było chustki zdjąć i zabawić się, bo potem zwykle tańczą długo w noc.

K. C. ze Lwowa.





SPRAWY TOWARZYSTWA.

I.

Sprawozdanie z czynności dziesięcioletniej Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie.

Na zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie, dnia 22 sierpnia r. 1891 w sekcji antropologicznej — rzucił myśl założenia Towarzystwa ludoznawczego p. Seweryn Udziela, teraźniejszy inspektor szkół ludowych okręgu podgórskiego.

Tę myśl uznano za trafną, więc uchwalono wybrać komitet, któryby się zajął utworzeniem Towarzystwa ludoznawczego z siedzibą w Krakowie. Do komitetu wybrano p. p. Prof. dr. Izzydora Kopernickiego, dr. Andryana Baranieckiego, prof. dr. Rostafińskiego, prof. Bronisława Gustawicza i Seweryna Udziela. Wkrótce potem umarli p. p. Prof. Kopernicki i dr. Baraniecki, zaś p. p. Gustawicz i Rostafiński nie mogli zająć się tą sprawą, a p. Udziela mieszkał wówczas daleko od Krakowa, w Gorlicach i dlatego zapomniano o uchwale z dnia 22. sierpnia 1891.

Po dwóch latach postanowiłem zawiązać podobne stowarzyszenie we Lwowie, kiedy w Krakowie nie przyszło do skutku. Przedstawiłem całą sprawę prof. dr. Niemiłowiczowi we Lwowie, a ten zaprosił do siebie p. p. Kolbuszewskiego, dr. Krčeka, Wasilewskiego, prof. Hankiewicza i dr. Frankę na posiedzenie, na którem uchwalono statut według mego projektu dla »Stowarzyszenia ludoznawczego«.

Statut ten z powodu małej nieformalności nie uzyskał zatwierdzenia c. k. Namiestnictwa.

Wtedy prof. dr. Antoni Kalina poruszył tę sprawę na zjeździe literatów i dziennikarzy w czasie wystawy krajowej we Lwowie w 1894 r.

Członkowie zjazdu oświadczyli się za założeniem Towarzystwa ludoznawczego i wybrali komisję do przeprowadzenia

tej uchwały. W skład komisji weszli p. p. Dr. Baudouin de Courtenay, Dr. H. Biegeleisen, Dr. Franko, Dr. Kalina, Dr. Karłowicz, E. Kolbuszowski, St. Ramułt i M. Rybowski.

Komisja opracowała statut, dała towarzystwu nazwę »Towarzystwo ludoznawcze« i uzyskała aprobatę c. k. Namiestnictwa.

Dr. Kalina zaprosił przyjaciół ludoznawstwa na pierwsze zgromadzenie dnia 9. lutego 1895. Odkonano je w sali ratuszowej, w obecności 64 członków pod przewodnictwem p. Bolesława Baranowskiego, krajowego inspektora szkół ludowych.

Wtedy zawiązano stowarzyszenie i wybrano Zarząd. W skład jego weszli p. p. Dr. Antoni Kalina, prof. Wszechnicy, jako prezes. Władysław Federowicz, właściciel dóbr ziemskich, jako wiceprezes. P. p. Dr. H. Biegeleisen, dyrektor szkoły ludowej, Kazimierz Bruchnalski, profesor szkoły przemysłowej, dr. Iwan Franko, redaktor pisma »Zitje i Slovo«, Edmund Kolbuszowski, literat, dr. Jan Niemiec, dyrektor szkoły ewangelickiej jako członkowie wydziału. Zastępcami członków wydziału wybrano pp. Stefana Ramułta, urzędnika Tow. kredyt. ziemskiego, dr. Antoniego Rehmana prof. Wszechnicy, Mikołaja Rybowskiego, kierownika szkoły kolejowej, Adolfa Strzeleckiego, literata, ks. dr. Leona Wałęgę, prof. Wszechnicy i wicerektora Seminarium duchownego. Do komisji kontrolującej wybrani pp.: Franciszek Rawita-Gawroński, literat, ks. Jan Gnatowski, prałat, dr. Benedykt Dybowski, prof. Wszechnicy.

Nowy zarząd uchwalił napisać odezwę do społeczeństwa z zaproszeniem przystępowania do Towarzystwa, postanowił zniżyć wkładkę roczną nauczycielom ludowym na 2 korony a wpisowe na 1 koronę, utworzył sekcje naukowe: geograficzną, antropologiczną, przemysłową, muzyczną, literacką, archeologiczną, przyrodoznawstwa ludowego i socjologiczną.

Uchwalił wydawać miesięcznik »Lud« zeszytami objętości najmniej dwóch arkuszy druku; później zamieniono go na kwartalnik. Wreszcie zawiązał stosunki z redakcjami pism, osobliwie naukowych i z Towarzystwami pokrewnymi za granicą.

Wskutek odezwy wpisało się do Towarzystwa ludoznawczego w pierwszym roku 194 członków.

Każdy początek jest trudny, to też prezes dr. Kalina namozolił się wiele, nim pozyskał Towarzystwu członków a współpracowników dla »Ludu«. On wlał duszę swą i serce w Towarzystwo. Jego to zasługa, że się rozrosło i przekonało nasze społeczeństwo, że Towarzystwo ludoznawcze nie podkopuje religii, nie bawi się w politykę, nie występuje wrogo przeciwko żadnej warstwie narodu, ale z zapałem i umiłowaniem bada zwyczaje i obyczaje ludu naszego.

Roczniki »Ludu« są najlepszym dowodem żywotności Towarzystwa, a skutecznej i pożytecznej działalności Zarządu.

Roczniki zawierają mnóstwo cennych rozpraw, i zbiorów materyałów etnograficznych.

Zarząd główny, a raczej jego prezes Dr. Kalina pracował z poświęceniem swego zdrowia i czasu nad rozwojem Towarzystwa. W ubiegłym dziesięcioleciu urządził 10 walnych zgromadzeń, 62 posiedzeń zarządu a 43 zgromadzeń naukowych.

Gorliwi członkowie zamieszkali na prowincyi utworzyli oddziały naszego stowarzyszenia. I tak: dnia 3 grudnia 1897 założył prof. p. Ludwik Młynek oddział w Buczaczu. Przewodniczył tam p. Młynek a zastępcą jego był dr. Mieczysław Hirschler.

W Wieliczce, założył oddział dnia 5. kwietnia 1898 inspektor p. Seweryn Udziela.

W Krakowie utworzono oddział dnia 4. grudnia 1898. Przewodniczył pan Jan Świątek a sekretarzował pan Jan Jakubiec.

W Tarnowie powstał oddział dnia 13. marca 1899, któremu przewodniczył p. Ernest Friedberg, a jako sekretarz p. Jan Schneider.

Dnia 13. stycznia 1900 założono oddział w Chrzanowie. Przewodniczącym był wybrany p. Bronisław Gustawicz, sekretarzem, p. Józef Szablowski.

Z każdym rokiem wzrastała liczba członków, teraz liczy Towarzystwo ludoznawcze 300 członków zwyczajnych. Członkami honorowymi zamianowano Dr. Karłowicza i hr. Włodzimiarza Dzieduszyckiego. Obydwaj już nieżyją.

Członków korespondentów było 4. P. Franciszek Bartoś, radca szkolny w Bernie morawskim, Dr. Klemens Koehler radca zdrowia w Poznaniu, Dr. Władysław Łebiński, literat w Poznaniu, Dr. Jerzy Poliwka, prof. Uniwersytetu w Pradze.

Z wysiłku pracy omdlały ręce Dr. Kalinie, zapadł na zdrowiu, a nie mogąc się poświęcać naszemu stowarzyszeniu, postanowił rozłożyć pracę na Zarząd główny i na zarządy oddziałowe, a redakcyę »Ludu« powierzyć świeżym siłom. Na redaktorów uprosił p. p. prof. K. Potkańskiego i inspektora szkolnego p. S. Udziełę, którzy od 30 stycznia roku 1904 »Lud« redagują i wydają w Krakowie w drukarni Wszechnicy Jagiellońskiej.

Dr. Kalina nietylko gorliwie pracował nad wydawnictwem »Ludu«, ale także gromadził skrzętnie zbiory i bibliotekę. — Niestety, z braku funduszków nie było ich gdzie pomieścić. Towarzystwo ludoznawcze nie mogło utrzymywać odpowiedniego lokalu.

Teraz wynajęto pokój, więc nowy Zarząd zajmie się należytem uporządkowaniem tych zbiorów. Nie traćmy nadziei w świetny rozwój Towarzystwa, co wtedy nastąpi, gdy spo-

leczeństwo zrozumie doniosły cel naszych zabiegów i poprze je pracą, zbiorami materiałów etnograficznych, jako też ofiarą pieniężną.

Mikołaj Rybowski.

II.

Przebieg obrad na XI. Walnem Zgromadzeniu Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie.

XI Walne Zgromadzenie członków Tow. Ludoznawczego we Lwowie odbyło się dnia 10. czerwca 1905 r. w sali wykładowej Miejskiego Muzeum Przemysłowego.

Przewodniczył prezes Towarzystwa Prof. Dr. Antoni Kalina, protokół prowadził zastępca sekretarza p. Mieczysław Treter.

1. Prezes w krótkiej swej przemowie powitał gości i członków przybyłych z dalszych stron. Następnie przedstawił ważniejsze chwile w 10-letnim rozwoju towarzystwa i zachęcał zebranych do dalszej i gorliwszej, niż dotąd pracy na polu ludoznawstwa polskiego, wreszcie poświęcił słów kilka zmarłym członkom towarzystwa, między innymi ś. p. Drowi J. Karłowiczowi, K. Mokłowskiemu i J. Witortowi.

2. Członek Zarządu p. Mikołaj Rybowski odczytał sprawozdanie z 10-letniej czynności Towarzystwa.

3. Dr. Z. Gargas, odczytał sprawozdanie skarbnika za rok 1904 i imieniem komisji kontrolującej postawił wniosek udzielenia skarbnikowi absolutorium, co też uczyniono.

4. Następnie wywiązała się dyskusja nad poparciem, jakiego Towarzystwo doznaje od społeczeństwa i instytucji publicznych. W sprawie tej zabrali głos: Dr. Gargas, prof. Dr. Kalina i p. G. Smolski. W rezultacie Walne Zgromadzenie uchwaliło odnieść się z prośbą o przyznanie Towarzystwu subwencji do Świetnej Rady miejskiej miasta Krakowa, do wszystkich galicyjskich rad powiatowych i do większych rad gminnych. (Poruczono nowemu Zarządowi).

5. Dr. Gargas imieniem Zarządu Towarzystwa postawił wniosek udzielenia Prof. Dr. Kalinie godności członka honorowego; wniosek przyjęło Walne Zgromadzenie przez akklamację.

6. Dokonano wyboru prezydium i uzupełniono Zarząd w sposób następujący: Prezesem wybrano przez akklamację prof. Dra Józefa Kallenbacha, 1-szym zastępcą prezesa prof. Dra Wilhelma Bruchnalskiego, 2-gim zastępcą prezesa p. Stanisława Bala. Do Zarządu weszli pp.: Dr. Zygmunt Gargas, Dr. Michał Janik, Józef Klemensiewicz, Ks. Józef Krechowicz, Dr. Jan Leciejewski, Józef Pelczarski, Tadeusz Pini, Mikołaj Rybowski i Mieczysław Treter.

7. Na wniosek p. Fr. Rawity Gawrońskiego i p. St. Bała, uchwalono: Walne Zgromadzenie Towarzystwa Ludoznawczego porucza Zarządowi Towarzystwa zorganizowanie sekcji archeologicznej.

8. Na wniosek Prof. Dr. A. Kaliny uchwalono:

Walne Zgromadzenie Tow. Ludoznawczego powierza p. Janowi Świętkowi wznowienie i zorganizowanie oddziału krakowskiego.

9. Na wniosek p. St. Bała pozostawiono komisję kontrolującą w składzie dotychczasowym, należą więc do niej p.p.: Boleśław Lewicki, Władysław Schmidt i Dr. Michał Wasung.

Na tem prezes Towarzystwa Prof. Dr. Józef Kallenbach zamknął Walne Zgromadzenie, a rozpoczęły się obrady Zjazdu.

Mieczysław Treter
zast. sekretarza.

Lwów dnia 10 czerwca 1905 r.

III.

Posiedzenia Zarządu.

Czwarte posiedzenie Zarządu za r. adm. 1905, odbyło się dnia 22 maja b. r. w lokalu Towarzystwa.

Obecni pp.: Bał, Klemensiewicz, X. Krechowicz, Rybowski, Prof. Studziński, Treter. Usprawiedliwili swą nieobecność pp.: Prof. Bruchnalski i Siwak.

Przewodniczył zastępca prezesa p. St. Bał.

1. Przyjęto sześciu nowych członków.

2. Uchwalono sprawić 2 nowe szafy na pomieszczenie książek i zamówić odpowiednie tablice z firmą Towarzystwa.

3. Ustanowiono stałe dyżury w lokalu Towarzystwa.

4. Przyjęto do wiadomości sprawozdanie kasowe skarbnika.

5. Ułożono porządek Walnego Zgromadzenia.

6. Omawiano kandydatów na prezesa, wiceprezesa i członków Zarządu.

Mieczysław Treter m. p.
zast. sekretarza.

Stanisław Bał m. p.
zast. prezesa,

Piąte posiedzenie Zarządu za r. adm. 1905 odbyło się dnia 6 czerwca b. r. w lokalu Towarzystwa.

Obecni pp.: Bał, Bayzer, Prof. Dr. Bruchnalski, Dr. Gargas, Klemensiewicz, Pelczarski, Rybowski, Siemiradzki, Siwak i Treter.

Przewodniczył zastępca prezesa p. St. Bal.

1. Przyjęto protokół z ostatniego posiedzenia Zarządu.

2. Przyjęto dwu nowych członków.

3. Ułożono listę kandydatów do prezydium i do Zarządu na nowy rok administracyjny.

4. Przyjęto sprawozdanie p. Bala z czynności komitetu zjazdowego i omawiano sprawy zjazdu i wystawy.

5. Uchwalono oddać sprawę uporządkowania biblioteki bibliotekarzowi Towarzystwa, który sobie dobierze kogoś do pomocy a zarazem postanowiono wszystkie dzieła i czasopisma, nie dotyczące ściśle ludoznawstwa, wymienić lub sprzedać. (Przekazano nowemu Zarządowi).

6. Uchwalono w czasie zjazdu rozdawać odezwy z prośbą i zachęceniem do przystąpienia w charakterze członka do Towarzystwa.

Mieczysław Treter m. p.
zast. sekretarza.

Dr. Józef Kallenbach m. p.
prezes.





KRONIKA.

Rękopisy ś. p. Edwarda Rulikowskiego. W roku 1900 umarł Edward Rulikowski, historyk, który studia swoje poświęcił badaniu ziem ruskich Rzeczypospolitej: Ukrainy, Podola i Wołynia i począwszy od roku 1853 ogłosił drukiem szereg prac poważnych. Zajmował się także etnografią i w roku 1879 wydał »Zapiski etnograficzne z Ukrainy«. Na większą skalę zakroił pracę: »Dzieje zewnętrzne oraz wewnętrzne Kijowa w związku z ogólną historią kraju«. Pracę tę podzielił na dwie części: w pierwszej omawia szczegółowo historię polityczną Kijowa, w drugiej zajmuje się stosunkami geograficznymi, klimatem i położeniem, płodami i warunkami gospodarczymi i zastanawia się nad czynnikami wewnętrznego rozwoju miasta, opierając się o ile możliwości na danych statystycznych. Następnie przechodzi do etnografii i folklorystyki ziem ruskich. Niepośledni znawca ludu ukraińskiego pilnie notuje podania, klechdy, wierzenia, tradycyjne zwyczaje i obrzędy, legendy i pieśni. — Praca ta dotychczas nie ogłoszona drukiem, dzięki bratance ś. p. Ed. Rulikowskiego p. Elżbiecie z Rulikowskich Beinieckiej, dostała się obecnie w rękopisie, niestety tu i ówdzie uszkodzonym, do biblioteki »Ossolineum« we Lwowie.

Oddział etnograficzny w Muzeum Narodowym w Krakowie powiększył się znacznie w roku ubiegłym, jak o tem czytamy na str. 32 i 33 „*Sprawozdania dyrekcyi Muzeum Narodowego w Krakowie za rok 1904. Kraków 1905*“. I tak ofiarowali: 1. Jan Bandt, figurę gipsową roboty górala z pod Żywca i »świat« ze słomy. — 2. Cecylia Baranowska, dwa ubrania głowy kobiet z Olechnowic na dużych lalkach. — 3. Leona Bierkowska, kostium kobiety słowackiej, czepiec tiulowy, wstążkę z pierwszej połowy XIX. w., koszulkę i gorset dziewczynki z Bronowic, biały kaftanik, koszulę kobietą z Wołynia, gorset dziewczyny

z Wielkopolski i model domu góralskiego z Żywca. — 4. Piotr Bójarski, torbę z czerwonej materyi, czapkę z futra i sukna, stół i skrzynię zakopiańską. — 5. Stefan Ciastoń, siedm pisanek. — 6. Dr. Tadeusz Estreicher, koguta z gliny i ptaka drewnianego. — 7. Karol Frycz, 5 misek glinianych, dzban, rydel i łyżnik z Podhala. — 8. Józef Górski, palmę używaną w niedziele palmową w Ciężkowicach i 2 kule gliniane zdobiące niegdyś mur kościoła w Ciężkowicach. — 9. Klemensiewicz, 37 pisanek. — 10. Edward Lepszy, kobzę. — 11. Adam Lubański, 6 pisanek. — 12. Helena Morozewiczowa, czepce, staniki, ubrania głowy z lubelskiego. — 13. Józef Pałasiński, dwie gliniane figurki. — 14. Jadwiga Plewińska, kostjum ludowy z lubelskiego. — 15. Rada powiatowa Sokala, dwa kostjумы ludowe z okolic Sokala. — 16. Ludwik Puszet, 6 toporków z »Emaus« wiewiórkę drewnianą i modele węglów z Podhala. — 17. Stanisław Witkiewicz, 4 spinki góralskie, brązowe. — 18. Franciszek Kręcina, dwa obrazy religijne penzla malarza wiejskiego z okolic Żywca. — 19. Seweryn Udziela, modele narzędzi tkackich, pługa, skrzynki do sieczki i stępy. — 20. Wacław Woysym-Antoniewicz, pistolet wyrobu ludowego. — 21. Stanisław Wysocki, 17 pisanek. — 22. Antoni Mikstein, zegar stary ścienny. — 23. Józef Turczański, kostjum mieszczański z Buczacza.

Uprasza się Czytelników »Ludu« pamiętać o tem muzeum etnograficznem i powiększać zbiory jego chociażby najdrobniejszemi ofiarami.

Studenckie muzeum etnograficzne istnieje w Helsingforsie. Powstało ono i wzrasta dzięki zakorzenienemu w Finlandyi zwyczajowi, który polega na tem, że każdy student wyższego zakładu naukowego, wyjeżdżając na wakacye w głąb kraju ojczystego, uważa za swój obowiązek względem nauki i społeczeństwa — przywieźć ze stron, w których bawi, jeden lub kilka ciekawych okazów etnograficznych. W ten sposób powstały zbiory bogate, uzupełniane ciągle, bez przerwy, gromadzone cierpliwie i ze znajomością rzeczy, bo przez zbieraczy inteligentnych i nie przygodnych, ale dobrze obznajomionych z tem, co muzeum już posiada, a czego i w jakich kierunkach brak mu jeszcze.

Naszej młodzieży polecamy pamięć o oddziale etnograficznym w Muzeum Narodowem w Krakowie.

Wychodźstwo z Galicyi. Dr. Artur Benis, sekretarz krakowskiej Izby handlowo-przemysłowej opracował gruntowne studyum o wychodźstwie z Galicyi i przedstawił je ankiecie, zwołanej do Wiednia w czerwcu br. w tej sprawie. Dr Benis przedstawił w historycznym wywodzie początek i rozwój emigracyi galicyjskiej. Emigracya ta jest zjawiskiem gospodarczem i społecznem; to też zwalczać ją należy jedynie przez gospodarczo-

społeczne reformy. Emigracya ta nie powstała przez agentów i nie może być przez żandarmów zwalczana. Emigracya z Galicyi, która obejmuje rocznie 160.000 do 170.000 ludzi, rozpada się na wychodźstwo robotników do Niemiec, Danii, Rosyi itd., czyli tak zwane chodzenie na Saksy i na wychodźstwo zamorskie. Chodzenie na Saksy stanowi dla tej kategorii robotniczej normalny zawód od wiosny po Nowy rok. Niebezpieczeństwo, jakie grozi tym robotnikom, to wyzysk przez bardzo lichej kwalifikacyi moralnej agentów niemieckich Izb rolniczych i niedotrzymanie umowy także ze strony pracodawców.

Zamorscy galicyjscy emigranci dzielą się na tych, którzy trwale w Ameryce osiadają i innych, którzy idą tam tylko na robotę. Do tej ostatniej kategorii należą wyłącznie prawie Polacy, z których około 80% powraca do kraju, kiedy Rusini przeważnie już w Ameryce pozostają. Zamorską emigracyę z Galicyi i Bukowiny ocenia Dr Benis w latach 1903 i 1904 na około 85.000 osób. — Emigracya opiera się na realnych potrzebach, emigranci działają pod wpływem gospodarczej konieczności, po dojrzałym namyśle i przy zupełnej znajomości stosunków.

Karty korespondencyjne ilustrowane rozszerzają także znajomość etnografii między wszystkimi niemal warstwami społeczeństwa, dzięki temu, że wydawnictwa pocztówek ilustrowanych uwzględniają typy ludowe. Szczególniejszą wartość dla nauki posiadają odbicia z fotografii, bo wiernie oddają typy ludu z różnych okolic kraju. Zagranica poszczycić się może nawet bardzo pięknymi wydawnictwami kart ilustrowanych z zakresu ludoznawstwa. Wszelako i nam nie brak bardzo dobrych kart, przedstawiających lud w strojach narodowych z różnych stron Polski a świeżo opuściła prasę serya »Typów ludu górnośląskiego w 12 różnych przedstawieniach podług oryginalnych fotografii« nakładem K. Miarki w Mikołowie.

Zwrócić jednak musimy uwagę na kartki »ręcznie malowane«. U nas w Krakowie i we Lwowie nakładca kartek ilustrowanych, czarno odbitych w prasie drukarskiej daje ubogim uczniom i uczennicom średnich zakładów naukowych do »kolorowania« kartki, płacąc od 2 do 4 koron za setkę. Młodzi artyści nakłada barwy według własnego upodobania, odziewając lud nasz w stroje, nie mające z rzeczywistością nic wspólnego. Takie malowanie psuje często nawet bardzo dobre cynkotypie.



LITERATURA.

A. Przegląd czasopism.

„Tygodnik ilustrowany“ poświęcony literaturze, nauce i sztuce, kom pięknym. Warszawa, 1904. (dok.)¹⁾.

Tom II-gi tego rocznika (od nr. 27 do 53) odpowiada pod względem treści ściśle kierunkowi tomu I-go, rozwijając w dalszym ciągu te działy, na które już poprzednio zwróciliśmy uwagę.

I tak z zakresu literatury ludowej znajdujemy dwa artykuły A. Piotrowskiego »O chłopie co osukoł dyabła« (str. 554) i K. Tetmajera »Turniej Janosikowy« (str. 874). Gadka Piotrowskiego powtarzana bywa w różnych okolicach w różnych odmianach a znana jest również w niemieckiej literaturze ludowej. — Dyabeł umówił się z mazurem, że za przysługę, którą mu wyświadczył, zabierze jego duszę, jeżeli go trzy razy oszuka. Tymczasem sam się oszukał trzy razy, wybierając raz to »co z wierzchu«, (woreczek zamiast pieniędzy, nać zam. ziemniaków), drugi raz to co »pod spodem« (korzenie zboża zam. kłosów), ale nie chcąc jeszcze dać za wygraną, powiedział chłopu, że się muszą próbować »na moc«. Teraz mazur był już w strachu, ale baba przyszła mu z pomocą. Wymyła i wycesała świnię, obwiązała jej koło szyi korale, i wciąż się z nią pieściła nazywając ją swą córką. Dyabeł, który chłopą przez tydzień szpiegował, uwierzył, że to jest rzeczywiście ich córka. Po tygodniu przylatuje, ale w chałupie zastaje krzyk i narzekanie i widzi leżącą świnię z rozplatanym brzuchem. Na zapytanie co się stało, odpowiada mu baba, że chłop chcąc spróbować, czy ma dość ostre pazury, zadrasnął córkę tylko małym pazurem i przysięgł na pół ją przedrapał. Dyabeł przerażony tą niezwykłą siłą chłopą, uciekł i nie wrócił więcej.

¹⁾ »Lud« XI. 205.

Rzecz napisana jest w gwarze krakowskiej, oddanej z temi samemi zaletami i wadami, o jakich wspomniałem już przy dwóch gadkach tegoż autora, umieszczonych w I. tomie Tyg.¹⁾ szczegółów więc nie przytaczam, zaznaczam tylko ogólnie, że najczęściej razi używanie w niewłaściwym miejscu *a* pochylonego zamiast otwartego i odwrotnie. Innych błędów natomiast jest nie wiele (n. p. kiej zam. kaj; uśmieli się zam. uśmiali i kilka innych).

Ośm rycin uwydatnia doskonale humorystyczną stronę tej gadki.



Chata w Piekelniku na Orawie. Fot. J. Warchałowski.

Turniej Janosikowy. Janosik, to bohater górali tatrzańskich, to polski Rinaldini, sławiony w pieśniach, legendach i opowiadaniach podhalań, przedstawiających go jako niesłychanie odważnego i mężnego górala, obrońcę słabych i pokrzywdzonych, który zabierał bogatym a rozdawał biednym i mścił się za nadużycia możnych. Nieodstępną jego towarzyszką była mu ciupaga; jak długo ją miał przy sobie, tak długo wychodził zwycięsko ze wszystkich niebezpieczeństw, dopiero gdy mu ją zdradliwa kochanka ukryła, dostał się w ręce karzącej sprawiedliwości. Ta ciupaga odgrywa też ważną rolę w »Turnieju«

¹⁾ »Lud« XI. 205.

Tetmajera. Autor przepięknych nowel »Na Skalnem Podhalu«, osnutych na tle życia i obyczajów naszych górali, tak opiewa w swym poemacie jeden epizod z życia Ja:

Król węgierski wyprawiał turniej na cześć swej córki. Zjechało się 12 rycerzy, synów najznakomitszych rodów. Gdy już stanęli gotowi do walki, wszedł niespodziewanie w szranki góral, skłonił się królowi i rzecze:

»Dwunastu tych rycerzy dwanaście naszych dziew uwiodło w chłopskich sióлах — niech płynie krew za krew.

... Za wstyd słowiańskich dziewczek ja się przychodzę mścić«.

Zapanowała cisza i zdumienie. Król pyta: Ktoś ty jest? Przybyły odpowiada:

»Hetman zbójcecki jestem, Janosik, rodem z gór« — a oświadczwszy, że chce z wszystkimi rycerzami równocześnie się potykać, otrzymuje na to od króla pozwolenie. Wtedy »zezul cuchę«, ścisnął mocniej w garści ciupagę i czekał gotów do boju. Na dany znak przez króla zagrali heroldowie i rozpoczęła się walka. Dwanaście kopij skierowało się ku piersiom Janosika, ale niebawem wszystkie pokruszone wypadły z rąk walczących rycerzy. Zabłyśły miecze; ale i teraz walka nie trwała długo; jeden rycerz po drugim padał w proch pod ciosami niezwykłej ciupagi. A gdy już padł dwunasty trup, wtedy Janosik »odetchnął tego«.

»I spał się na ciupadze i bujny stał jak buk«, poczem skłonił się do stóp króla, podczas gdy widzowie w niemem przerażeniu na tę straszną scenę spoglądali. »Tak pomścił się Janosik za rodnych dziewczek cześć«.

Z szeregu artykułów J. Ryszkiewicza, ogłaszanych w »Tygodniku« p. t. »Nasze zwierzęta i ptaki w podaniach«, spotykamy w tym tomie dwie rozprawki, jedną o Sokole (str. 528), drugą o Koniu (str. 717). Autor zaznaczywszy w pierwszym z tych zajmujących artykułów, że dzisiaj zniknął już sokół a z nim ulubiona dawniej rozrywka szlacheckiego stanu, wspomina potem o sposobach oblaskawiania tego dzikiego i drapieżnego ptaka oraz o układaniu i używaniu go do łowów zwłaszcza na zające, czaple i żorawie. — Podolskie bardzo drapieżne i silne białozory były cenione i służyły często jako dary dla ościennych dworów. — Największą osobliwość stanowił raróg, który słynął z okrucieństwa.

Godzi się tutaj zaznaczyć, że Opaliński, nauczyciel Zygmunta Augusta, zakazał uczniowi swemu polować z rarogiem; przezorny mistrz lękał się nie bez przyczyny, aby królewski jego wychowanek nie oswoił się z okrucieństwem.

Jak dalece były cenione sokoły, dowodzi tego i ta okoliczność, że nawet prawo opiekowało się sokołami. W statucie litewskim jest ustęp orzekający karę na tego, któryby gniazdo sokole skaził. Dalej przytacza autor różne zwroty mowy, przy-

słowania, śpiewki, sny i przepowiednie, w których figuruje sokół i tak n. p. matka nazywała synów »sokolikami«, dziewczyna lubego »sokołem« i t. d.

Rozprawkę kończy gorzka uwaga: »Zarzuciliśmy swoje rozrywki a przyjęli od Anglików wyścigi w najlichszej formie



Kościół w Dzierżnikach w gub. Kaliskiej. Fot. K. Dietrich.

najzwyczajniejszego hazardu z nierozłącznym towarzyszem tej bezcelowej hecy — totalizatorem«.

W drugim artykule mówi autor o koniu i przedstawia nam go w trzech następujących momentach:

1. Koń wróżbita. Chociaż u północno zachodnich Słowian główną siłą wojska stanowiła piechota — pisze autor — nie tak jak u Polaków, to jednak koniowi okazywano pewną cześć i używano go do wróżb. Mianowicie gdy się sposobiono do jakiej wyprawy, orszak zbrojny z wodzem na czele udawał się do świątyni Światowida. Tu odprawiano modły i składano dary, poczem kapłan wyprowadzał wspaniałego białego rumaka. Jeżeli ten po trzykroć przekroczył trzy szeregi skrzyżowanych włóczy, zaczynając stąpać prawą nogą, wówczas wróżono wyprawie pomyślny skutek; w przeciwnym razie odkładano ją na później. Nie trzeba dodawać, że wynik wyroczni zgodny był z interesem kapłanów i zależał od tego, który konia prowadził.



Wejście do dworku w Zalesiu w gub. Wileńskiej.

2. Koń w legendzie. Tu przytacza autor treść znanej z Mickiewicza ballady (p. t. »Ucieczka«), chcąc okazać, że »koń, towarzysz rycerza, taką stanowił z jeźdźcem całość, że nawet po śmierci razem, gdy legenda tego wymaga, ze swym panem zmartwychwstaje i z nim ponownie do grobu zapada«.

3. Najwięcej interesuje może ustęp trzeci o **koniu żołnierskim**. Takie konie są dzisiaj prawie nieznanne, bo niema sposobności, aby między koniem a jego panem przyszło do tej zażyłości, co w czasach najświetniejszych dla jazdy polskiej, gdzie żołnierz, właściciel konia stanowił z nim nierozdzielalną

całość, którą dopiero śmierć rozdzielała. To też koń przybierał właściwości charakteru swego pana, tęsknił za nim, żałował ¹⁾ go (wierzchowiec Czarneckiego) a nawet bronił go podczas boju (zob. »Pamiętniki Mrocza« Kraszewskiego). Dawni żołnierze wyciągali różne wróżby z zachowania się koni, które przeczuwając nieszczęście, okazywały niechęć do marszu, stawały dęba i t. d. Historia zaznacza podobne fakty. Na zakończenie przysłówia, w których występuje koń zawsze w znaczeniu dodatniem.

Każdy z tych trzech ustępów ozdobiony jest odpowiednią ilustracją wykonaną przez autora.



Dworek w Giżycach w gub. Kaliskiej.

Z działu etnograficznego mamy do zanotowania kilka korespondencji i wspomnień z podróży, kreślących sposób życia, charakter, obyczaje, stosunki prywatne i społeczne i t. d. niektórych ludów azjatyckich, w szczególności Chińczyków mandżurskich i Japończyków. Tu należą artykuły G. Olechowskiego: Z Madżuryi; Najnowszy jarmark »Złotego Runa« (Charbin); Kupcy chińscy; Język polski w Chinach i hieroglify chińskie;

¹⁾ A konicek wedle niego,

Grzebie nozką, zańuje go.

(Z pieśni, którą słyszałem w Jurkowie).

Prowincya mandżurska; Ceremoniał grzeczności i święta chińskie; Stosunki w Mandżuryi; J. O: Korea; J. K: Uśmiech Japończyka i wreszcie F. Cohna: Z podróży po ziemi Urgauchów.

Chcąc należycie scharakteryzować Chińczyków, nie opiera się Olechowski na spostrzeżeniach uczynionych w Charbinie (jestto bowiem miasto nowe, stek rozmaitych nie tylko azjatyckich ale europejskich i amerykańskich narodowości), lecz posunął się do Chulań-czeń, jednego z miast środkowej Mandżuryi,



Drzwi kościelne w Dzierżbnikach.

przedstawiającego typ mandżursko-chińskiego miasta. Do roku 1870 nie wolno tam było Chińczykom nabywać nieruchomości, ale dzisiaj te dwa narody (Mandżurowie i Chińczycy) zlały się już tak dalece z sobą, iż trudno odróżnić jednych od drugich; zachodzi między nimi tylko pewna, niewielka różnica w rysach twarzy. — Język chiński i mandżurski nie mają nic wspólnego z sobą. Język mandżurski jest dzisiaj martwym, urzędowym i wyraża się zapomocą pisma składającego się z liter jak

w językach europejskich, chiński natomiast nie posiada liter, lecz każdemu wyrazowi odpowiada na piśmie inny znak, inny hieroglif, a ponieważ słownik chiński posiada 44.000 wyrazów więc też istnieje 44.000 odrębnych znaków, których wyuczyć się musi ten, kto chce czytać wszystkie dzieła chińskie, jednak do czytania n. p. dzienników wystarczy znać kilka tysięcy, a do zrozumienia afiszów teatralnych, szyldów i t. p. kilkaset tych znaków i tyle umie każdy Chińczyk, ale do zupełnego poznania własnego języka musi poświęcić 15—20 lat pracy. »Stąd pochodzi fakt bardzo małego wykształcenia kobiet w Chinach«; przed zamążpójściem bowiem (w 15—16 roku życia) nie może Chinka ukończyć nauk a potem znów obowiązki żony i matki nie pozwalają na dalsze kształcenie się.

Kobiety mandżurskie mają białą cerę i nie krępują nóg tak jak Chinki. Mandżurowie uważają się za coś lepszego od Chińczyków zwłaszcza, że dynastia panująca w Chinach jest pochodzenia mandżurskiego.

Chałupa wiejska (fanza) mieszkańca Mandżuryi jestto lepianka z gliny i słomy z dachem krytym słomą, albo też ulepionym z gliny ze słomą; ściany są nadzwyczaj niskie. Okna zwrócone tylko ku południowi mają zamiast szyb papier otulszczony. Wzdłuż ścian ciągnie się ulepione z gliny podwyższenie, ogrzewane przeprowadzoną przez jego środek rurą od pieca a służące za ławę i za łóżko zarazem. Na środku izby pali się ognisko, na którym gotują; chata niema powały; wprost z dachu zwieszają się różne części ubrania jak i przedmioty służące do pożywienia (suszone ryby, worki z ryżem i t. p.). Pod jedną ścianą znajduje się szereg drewnianych bałwanów Buddy w postaci tłustych Chińczyków a przed każdym z nich w drewnianych lichtarzach czerwone, woskowe świece i miseczki, na których składają ofiary nieraz bardzo niewybredne.

Świątynia stojąca w pośrodku wsi, tem się tylko różni od innych chat, że jest otoczona wałem zbudowanym również ze słomy i gliny. Pod ścianą, przeciwległą drzwiom widać na podwyższeniu posąg Buddy, a obok niego kilkanaście innych.

Osobny artykuł poświęca O. przemysłowi, który nie może się bardzo rozwijać, bo Chińczycy nie mają machin i zastępują je siłą rąk ludzkich, zwierząt i bardzo prostych narzędzi. Bardzo rozwinięty jest jednak przemysł farbiarski, gdyż Ch-y sami farbują materye na ubiory i prawie na wyłącznie używany kolor niebieski. Czysto chińskim jest wyrób świec do świątyni z trocin zgniłych drzew. — Chociaż Chińczycy są narodem najmniej pijącym, mają jednak znaczną ilość gorzelni. Wyrabiają w nich płyn żółtawy, który piją zawsze ciepły w filiżankach. Gorzelnie cieszą się w kraju ogromną powagą a to z wielu powodów. Najprzód służą za miejsce ochronne dla całej wsi przed napadem chunchuzów i są też odpowiednio zbudowane (jak

forteczki). Dalej przy każdej gorzelni jest sklepik uniwersalny i lombard udzielający pożyczek na najbagatelniejsze zastawy, następnie znajduje się tam apteka i lekarz a wreszcie bank wydający zaliczki na zboże.

Cereemoniał grzeczności. Wskutek dobrego wychowania odznaczają się Chińczycy uprzejmością, grzecznością i delikatnością w obęjsiu a nadto posłuszeństwem i poszanowaniem starszych. Dzieci różnią się od europejskich: są ciche, grzeczne, bawią się bez hałasu, bez bijatyk, witają ukłonem każdego starszego i są posłuszne na każde skinienie nawet osób obcych. Do tego zmierzają też zasady moralności zawarte w księgach Kon-fu-ce. Ten szacunek dla starszych jest powodem, że jeżeli Chińczyk chce komu powiedzieć komplement, to mu przypisuje znacznie starszy wiek, niż go ów rzeczywiście posiada. Cnotę tę posuwają często do przesady, która zgoła dla nikogo nie jest szkodliwą, chociaż nieraz Europejczykowi śmieszna wydawać się musi. Wielką grzecznością jest n. p. powiedzieć 16 letniej panience, że wygląda na lat 30 z górą. Wogóle w rozmowie stara się każdy siebie poniżyć jak najbardziej a tego, z którym rozmawia, obsypać pochwałami.

Najlepiej okazują to przykłady, z których bodaj dwa powtórzymy za O-im. »Jakie też szanowne imię pańskie?« zapytuje A. »Podłe przezwisko pańskiego głupiego niewolnika jest N.« odpowiada B. »A ilu też mądrych i drogocennych synów pan posiada?« — ciągnie dalej A. »Mam tam pięcioro głupich i brudnych prosiąt — mówi ojciec wielkemiejskich elegantów, ubranych w jedwab od stóp do głów«.

Świąt religijnych Chińczycy właściwie nie mają; wszystkie dni są dniami roboczymi (dlatego też tamtejsi chrześcianie na mocy upoważnienia Stolicy Apostolskiej nawet wd nie świąteczne po odbyciu rannego nabożeństwa zajmują się zwykłemi pracami); natomiast obchodzą uroczystości o charakterze narodowym jak »dzień rolnictwa«, »dzień smoka« (jako godła państwa) i »dzień latarni« (symbolu »światła«). Takim świętem jest też uroczystość Nowego Roku, która właściwie trwa kilka tygodni. W pierwszy dzień nad ranem obserwują stan pogody i wyprawiają stąd wróżby na rok rozpoczynający się, poczem zaczynają składać wizyty. Zwyczaj wymaga, aby w tym okresie czasu odwiedzić wszystkich (literalnie wszystkich) znajomych i złożyć im jakiś podarek; dalej wstępują na chwilę do świątyni, idą do teatru i zabawiają się puszczaniem rakiet, co jest najulubieńszą rozrywką Chińczyka.

Ale N. R. to nie jest dla Chińczyka tylko znak podziału czasu, to pora na rachunek sumienia i przygotowanie się do śmierci. »Przed nadejściem N. R. Chińczyk kończy wszelkie zobowiązania tak moralnej jak materyjalnej natury«. A jak wszystkie inne sprawy przed N. R. przyprowadza się do »po-

rzędu» tak też i więzienie »oczyszcza się« a więc chińskie głowy lecą w tym czasie dziesiątkami. Zresztą kara śmierci w Mandżurji jest bardzo pospolita; w większych miastach codzień prawie wykonują wyroki śmierci. W jak zaś okrutny i barbarzyński sposób odbywa się ścinanie, duszenie a nawet kranie żywem skazańców w Państwie Niebieskiem, opowiada w osobnym artykule sk. ¹⁾ Aby się uchronić od kary śmierci, Chińczyk zostaje albo chrześcianinem, wskutek czego przechodzi pod opiekę misjonarzy i konsulów europejskich albo wstępuje do bandy opryszków (chunchuzów), którzy stanowią straszną plagę tamtejszych mieszkańców.

Kreśląc stosunki społeczne podnosi p. Ol. fakt, że w Chinach niema kast; wszyscy są równi wobec prawa, nuka może utorować każdemu drogę do najwyższej godności a pomimo tego — rzecz dziwna — istnieje tu niewolnictwo. Nędza zmusza częstokroć rodziców do sprzedawania swych dzieci. Atoli położenie tutejszych niewolników jest bardzo wygodne, a stosunek ich do gospodarstwa prawie familijny. Niewola polega głównie na tem, że niewolnik nie może porzucić swego nabywcy.

Korea. Na podstawie studjum francuza K. Granpré podaje p. I. O. garść ciekawych szczegółów etnograficznych o tym półwyspie. Korea, urzędowo zwana »Czosen« a poetycznie »Ziemią spokojnego poranku«, była według przekonania tamtejszych mieszkańców kolebką rodzaju ludzkiego. »Na początku świata — twierdzą kronikarze tamtejsi, nie było ani ludzi, ani zwierząt, ani roślin. Te ostatnie dopiero ze zwierzętami zeszły z obłoków na szczyt góry P. z której wnętrza powstali pierwsi przedstawiciele rodu ludzkiego: Ko, Pu i Jang«. Ci praojcowie wszystkich narodów na ziemi, rozprawiając o najważniejszych zagadnieniach ludzkości przyszli pewnego razu nad brzeg morza i zobaczyli nadpływające trzy kosze a w każdym z nich cudnej piękności dziewicę; każdy poślubił jedną z nich i w ten sposób powstali pierwsi ludzie na Korei, którzy się potem rozeszli po świecie. Półwyspu strzegą duchy gór i straszne smoki; jeżeli mimo to jaki cudzoziemiec dostał się na wybrzeża Korei, ginął z rąk mieszkańców w najokropniejszych mękach, uważano go bowiem za jednego z duchów podziemnych, odwiecznych wrogów mieszkańców tego półwyspu. — Zabobony i przesady rozwinęły się tam więcej, niż w którymkolwiek innym kraju. I tak n. p. między innemi starali się obcokrajowców odstraszyć od siebie stawiając po drogach straszdyła podobne do tych, jakich my używamy na wróble. — Dalej wierzyli i dotąd jeszcze wierzą w straszne nieziemskie potwory w głębiach jezior, jadowite, okropne smoki, złośliwe ptaki i t. d. Te to właśnie prze-

¹⁾ Zob. Tyg. ill. I. s. 173 »Egzekucya w Chinach«.

sady »stanowią główną przeszkodę do rozwoju intelektualnego narodu koreańskiego« i sprzyjają niesłychanemu rozwieleniu się czarowników i znachorów, którzy zabobonnych swoich ziomków niemiłosiernie wyzyskują dopuszczając się przy tem najrozmaitszych nadużyć a nawet zbrodni. Zwłaszcza przy kojarzeniu małżeństw są oni niezbędnymi a częstokroć niebezpiecznymi pośrednikami, którym ogół ślepo wierzy. — Obecnie jednak pod wpływem idei zachodniej widać już i pod tym względem stopniowy zwrot ku lepszemu.

Uśmiech Japończyka. Europejczyk przybywający do Japonii — mówi J. K. — nie może się oswoić z tym wiecznym, jakby do warg przyoziemym, uprzejmym uśmiechem Japończyka; jest on dla cudzoziemca niezrozumiałym, często przez niego fałszywie tłómaczonym i daje nieraz powód nawet do niemiłych zażść. Autor przytacza kilka przykładów. Woźnica uderzony silnie biczyskiem po głowie przez oburzonego (ale nie bez powodu) Eu-ka, kłania mu się z uśmiechem. — Służąca, której mąż umarł, przychodzi do pani z nader uprzejmym uśmiechem, prosząc by jej pozwoliła iść na pogrzeb a potem śmiejąc się już na dobre pokazuje oburzonej tym »cynicznym« uśmiechem pani urnę z jego popiołami. — Kupiec europejski posprzeczał się z poważnym starcem japońskim, z którym żył w przyjaźni; na wszystkie obelgi Europejczyka odpowiadał starzec uśmiechem, co tak dalece oburzyło kupca, iż starca uderzył. Wtedy dopiero Japończyk uniósł się gniewem, wy dobył miecz z pochwy i zamierzył się na E-ka, ale w tej chwili zapanował nad sobą i wyszedł. Wieczorem dowiedział się kupiec, że ów starzec odebrał sobie życie dlatego, że został niesłusznie znieważony a nie chciał się mścić na tym, który mu kiedyś wyświadczył dobrodzieństwo.

Hearn, prof. literat. angielskiej w uniwersytecie w Tokio, badając ten szczególny objaw obyczajów japońskich, »przyszedł do przekonania, że to jest jedna jedyna z najbardziej charakterystycznych cech kultury japońskiej«. Uśmiech jest tam obowiązkiem towarzyskim i społecznym zwłaszcza wobec rodziców, przyjaciół i przełożonych; tego się uczą od dzieciństwa. Uśmiechają się nawet w bolesnych dla siebie okolicznościach, by własnem cierpieniem nie niepokoić i nie martwić swoich najbliższych. Wobec niższych zachowuje się Japończyk z największą powagą. Przy tej sposobności zwraca I. K. uwagę i na inne rysy charakteru Japończyka. O sobie mówi on jak najmniej, natomiast interesuje się wszelkimi szczegółami życia przyjaciela nie posuwając się atoli do zbytnej ciekawości. Nie mówi nigdy źle o nikim; w krytykowaniu czynności innych jest nadzwyczaj oględny — a co w nim nadewszystko cenić należy, to przejęcie się tą prawdą, że »szczęście nasze na świecie zależy od szczęścia tych, którzy nas otaczają«.

Tyg. ill. podaje też stale **wiadomości biograficzne** i podobizny osób bądź świeżo zmarłych, bądź też żyjących, które odznaczyły się na polu nauki, literatury, sztuki i t. p. Obok znakomitości polskich, spotykamy tutaj także nazwiska cudzoziemców, o ile ich działalność pozostaje w związku z polskimi sprawami (jak n. p. I. Caro, Canonico Tankred, Jelinek E. i t. d.) albo o ile to są postaci z powodu zajęcia lub stanowiska swego rozgłosne w świecie (n. p. Bartholdi, George Sand, Finsen Niel, Waldeck-Ronsseau i t. d.).

Z długiego szeregu tych nazwisk przytaczamy następujące:

1. Bruchnalski W. prof. lit. pols. w uniwers. lwowskim; na pisał: »Motywy ludowe w poezyi Mickiewiczowskiej«; »Legenda Aurea w literaturze pols. XV wieku«; »Znaczenie i pojęcie poezyi u poetów pols. XV i XVI wieku« i wiele in.

2. Brzozowski Karol »ze wszystkich poetów polskich najmniej znany«. Nad brzegami Niemna zebrał tom pieśni ludowych i przełożył je na język polski (wyszły w r. 1844 u Żupańskiego w Poznaniu).

3. E. Jelinek, Czech, przyjaciel Polaków, zmarł w r. 1877. Ogłosił: »Polské paní a dívky«, »Damy starsich salonů polských«, »Zapomenuty kont slovansky« (o Kaszubach), »Ukrajinské dumy« i w. in.

Dr Jan Łoś, prof. filol. słowiańs. w uniwers. Jagiell.; z prac jego wymieniamy: »Gwara opoczyńska«, Kraków, 1885 (w »Rozprawach wydź. filol. Akad. um.« XI); »Porównanie fonetycznych właściwości kilku gwar. polskich« (tamże).

5. Dr A. Kalina, prof. filol. porównawczej i języków słowias. w uniwers. lwowskim, mąż niesłychanie pracowity. Rozliczne jego zajęcia naukowe nie przeszkadzały mu brać czynnego udziału w różnych towarzystwach.

Działalność tego uczonego łączy go ściśle z naszym towarzystwem, raz przez to, że właśnie on pospołu z Karłowiczem i Baudonimem de Courtenay założył Towarzystwo ludoznawcze i aż do ostatnich czasów był jego prezesem, a następnie przez to, że był redaktorem »Ludu«, organu tegoż Towarzystwa. Dopiero w roku przeszłym wskutek nadwątłego zdrowia był zmuszony usunąć się od redagowania »Ludu« a w roku b. złożył także i godność prezesa Towarzystwa.

W dziale **bibliograficznym** omówiono treściwie następujące książki: A. Rehmann: Ziemie dawnej Polski. — Z. Kłóśnik: Japonia. — Tetmajer: Na skalnem podhalu. — Życie i prace J. Karłowicza. — Posner: Japonia. — S. Korczak: Wieczornica Wołyńska. — Witanowski: Kłodawa pod względem histor. ludoznawczym. — Kosiński: Materyały etnograf. II. — Pamiętnik fizyograficzny III.

W. Kosiński.

B. Przegląd książek.

Budownictwo drzewne. Wydawnictwo Towarzystwa »Polska Sztuka Stosowana« w Krakowie pod redakcją Edwarda Trojańskiego i Jerzego Warchałowskiego. Materyały. Zeszyt VI. Kraków 1905 r., 8 stron i 16 tablic¹⁾.

Wierne programowi swemu, obdarzyło nas sympatyczne i zasłużone już dobrze Towarzystwo »Polskiej Sztuki stosowanej« w Krakowie szóstym zeszytem materyałów. Zeszyt ten pod względem typograficznym nie ustępuje poprzednim; cynkotypie wyraźne i pięknie wykonane, odbite na gładkim papierze czysto i starannie, zaraz na pierwszy rzut oka robią dobre wrażenie. Gdy jednakże poprzednie zeszyty tego wydawnictwa obejmowały treść różnorodną i zawierały materyały z zakresu budownictwa, rzeźby, malarstwa dekoracyjnego i t. d., zeszyt ten poświęcony został budownictwu drzewnemu w Polsce. Dopraszał się tego bogaty materyał zebrany na ostatniej wystawie budownictwa polskiego w Krakowie²⁾, a żałować tylko wypada, że ze względów finansowych pomieszczono go tutaj w nader mikroskopijnej ilości. Zeszyt przedstawia na 16 kartach 35 ilustracji domów wiejskich i mieszczańskich, budynków gospodarskich, kaplic, kościołów, cerkwi i dworów szlacheckich. »Dajemy szereg artystycznych wrażeń« i— mówi p. Jerzy Warchałowski w słowie wstępnem i stwierdzić należy, że cel ten w zupełności został osiągnięty. Zeszyt ten uzupełnia niejako znakomitą pracę Kaz. Mokłowskiego »Budownictwo«. Dzięki uprzejmości p. Jerzego Warchałowskiego jesteśmy w stanie podać naszym Czytelnikom szereg ilustracji z »Budownictwa drzewnego«.

Seweryn Udziela.

Hieronim Łopaciński: Ślady powodzi u nas w historii, archeologii, języku, przysłowiach, podaniach, piśmiennictwie i sztuce. (Odbitka z książki zbiorowej na dochód powodziian »Myśl«), Warszawa 1904., 8°, str. 26.

W czasach dawniejszych powodzie przybierały zazwyczaj charakter o wiele groźniejszy, niżli obecnie. O najdawniejszych powodziach w Polsce wspomina Długosz w swej »Historii«, a wiele szczegółów znaleźć można w rocznikach Traski i kapitulnym. Autor wylicza kilkadziesiąt większych powodzi w Polsce, o których wiadomość zaczerpnął z różnych źródeł i autorów.

Liczne, do dziś dnia zachowane tablice pamiątkowe, słupy, t. zw. wodowskazy, pomniki, świadczą o tych dawnych wyle-

¹⁾ Patrz str. 108.

²⁾ Patrz str. 203.

wach rzek polskich, a zwłaszcza Wisły. Do najstarszych tego rodzaju zabytków należy tablica wmurowana w bramie dawniejszego mostu w Toruniu z datami: 1570, 1584 i 1719, oraz pomnik w kształcie niskiego, cylindrycznego, słupa kamiennego, znajdujący się w Krakowie przy ul. Dietlowskiej w murze pod l. 34.

Dla nas jednak najważniejsza jest kwestya, jakie ślady pozostawiły liczne u nas wylewy rzeczne w języku, przysłowia i podaniach ludowych.

W okolicach Kazimierza Dolnego nad Wisłą lud zwie powódź, powstałą wskutek deszczowych nawałnic: *upustem*, a powódź Wiślaną: *tatrówką*, gdyż od Tatr przychodzi. Rzeczy, które woda zatopiła lub z sobą uniosła i wogóle wszelkie straty przez powódź wyrządzone, zwie lud tej okolicy: *utopłością*. Człowieka zaś, który przez powódź mienie swe stracił, nazywają w okolicach Bochni: *utopkiem*.

Według czasu, w jakim powodzie się pojawiają, rozróżnia lud nasz: *świętojankę* (około 24. czerwca) i: *jakóbowkę* (około 25. lipca). Do tych letnich powodzi odnoszą się liczne przysłowia, jak n. p.: »Świętojanki kiedy padną, zboża w równiach się pokładną« i w. i.

Baśni i opowiadania o potopie, o wodą zalanych miastach, wsiach i zamkach, stanowią mit wspólny wszystkim ludom aryjskim; podania takie napotykamy już u ludów pierwotnych (opowiadania te zestawił Andree w dziele p. t. »Flutsagen« Brunświk 1891).

Miasta, zamki, wsi i kościoły zalewa woda zwykle wskutek ciężkich win i grzechów ludzkich. Autor wyżej zacytowanej rozprawy przytacza jedno tylko podanie góralskie (o Grajcarcu, potoku przepływającym przez Szczawnicę), które jednak bynajmniej dla tego typu opowiadań charakterystyczne nie jest¹⁾.

Za patrona, chroniącego przed powodzią, uważa lud św. Krzysztofa, stąd w okolicach nadrzecznych jest wiele wizerunków tego świętego po kaplicach i kościołach wiejskich²⁾.

Przechodząc do omówienia śladów powodzi w literaturze pięknej i piśmiennictwie w ogóle, wspomina autor o opisach powodzi u Kochanowskiego, St. Grochowskiego, X. Wielewickiego, Mikołaja Ossolińskiego, S. Twardowskiego, K. Koźmiana, oraz wielu innych, późniejszych, a wreszcie przytacza szereg

¹⁾ O tego rodzaju opowiadaniach pisze Prof. Sumcov (»Skazki o provalivszysia gorodach«. — Charków 1896) a S. Udziela w rozprawie p. t.: »O miastach zapadłych, kościołach, dzwonach i karczmach« (Lud t. V. str. 220. i n.) podaje 15 takich legend ludowych z powiatu wielickiego i podgórskiego.

²⁾ Najstarsze obrazy przedstawiają go w postaci olbrzyma, zwykle z palmą w rękę, który przechodzi wielką rzekę, a w ramionach trzyma dzieciątko Jezus.

dział naukowych, traktujących o stanie wody na rzekach i o powodziach. Do szeregu tego koniecznie dodać należy dzieło, wydane staraniem berlińskiego »Wydziału do badania stosunków wodnych dorzeczy, szczególnie na *powodzie* narażonych« p. t.: »Memel- Pregel- und Weichselstrom, hrg. v. H. Kellera. Berlin 1899—1900, w 4-ch tomach z atlasem.

Rzecz kończy się przytoczeniem kilkunastu rycin i obrazów, których przedmiotem jest powódź; do śladów powodzi w muzyce zaliczony utwór I. Paderewskiego p. t.: »Powódź«.

Praca ta wyczerpująca bynajmniej nie jest; autor na początku zestrzega się, że zebrał tu tylko to, co bez szczególnych poszukiwań do omawianej tu sprawy zgromadzić mu się dało.

Mieczysław Treter.

Ks. Gregor Józef: Mapa górnego Śląska z uwzględnieniem stosunków językowych, granic powiatowych i kolei żelaznych. Mikołów 1904 r.

»Często była mowa w ostatnich czasach o stosunkach językowych na Górnym Śląsku, lub o walkach, jakie pojedyncze narodowości w rozmaitych powiatach staczały między sobą. Dlatego jest rzeczą bardzo ważną i pożyteczną wykazać w sposób łatwy do pojęcia na mapie stosunki językowe i podać równocześnie najglówniejsze dane statystyki urzędowej«. Tak określa autor w przedmowie cel swojej pracy pożytecznej. Rzeczywiście, dotychczas nie mieliśmy etnograficznej mapy Śląska Górnego, któraby nam dokładnie przedstawiała obecny stan narodowościowy w tej prowincyi polskiej, bo dotychczasowe mapy językowe Kieperta, Partscha lub Stan. Majewskiego przedstawiały Śląsk Górny w tak drobnych rozmiarach, że o dokładnem oznaczeniu granic między narodowością polską a niemiecką i czeską nie mogło być mowy. Zadania tego podjął się Ks. Gregor z Tworkowa i nie tylko, znając dobrze stosunki miejscowe z własnych obserwacyj na Śląsku, ale nie żałując pracy i trudów podjętych dla studyów nad statystyką rządową, opracował i wydał mapę Śląska Górnego w wielkości 1:600000, na której przejrzyście i dokładnie uwidocznił granice etnograficzne Polaków, Niemców i Czechów. Z mapki tej przekonujemy się, że tylko małą część Śląska Górnego od granicy zachodniej zamieszkują Niemcy w zwartej masie, a małeńki skrawek od południa Czesi. Tylko miasta są przeważnie wszędzie zniemczone. Wielką trudność musiał pokonać autor, aby na mapie swojej przywrócić wszędzie właściwe nazwy polskie, które Niemcy tak skrzętnie usuwają i tak starannie zacierają, pragnąc w ten sposób krajowi polskiemu nadać pozór ziemi niemieckiej. Dla lepszego ocenienia stosunków narodowościowych na Śląsku Górnym podał jeszcze autor na okładce mapy według statystyki rządowej z 1861 i 1900 r. liczbę mieszkań-

ców w ogóle i Polaków w szczególności, zamieszkujących pojedyncze powiaty, oraz powierzchnię tych powiatów, religię mieszkańców i liczbę parafij katolickich. Z tego zestawienia dowiadujemy się, że powierzchnia Śląska Górnego obejmuje 1322536 hektarów, tworzy tak zwany Obwód Opolski, dzieli się na 25 powiatów; w roku 1861 mieszkało tu 1137844 ludzi, w czem było 665865, czyli 58% Polaków; zaś w roku 1900 na 1868146 mieszkańców było 1048255 Polaków, to jest, 56% ogólnej liczby ludności. Byłby to smutny objaw, gdyby nie ta pewność, że tak nie jest, gdyby nie ta pewność, że Niemcy, którzyby nas pragnęli na Śląsku wytepić co do nogi, i obliczenie ludności ze względu na narodowość rozmyślnie na naszą niekorzyść sfałszowali. Mapa Ks. Gregora zasługuje na największe rozpoznanie, a ułatwi to nader niska jej cena, bo zaledwie 25 halerzy wynosząca.

S. U.

C. Bibliografia.

- Kruszka Wacław ks.** *Historia polska w Ameryce. Początek, wzrost i rozwój dziejowy osad polskich w północnej Ameryce (w Stanach zjed. i Kanadzie).* T. II. Wyd. pop. Milwaukee, druk Spółki wydaw. Kuryera 1905, 8 str. 160.
- Kuraś Ferdynand.** *Z pod chłopskiej strzechy, zbiorek poezyi chłopa z nad Wisły.* Wydaw. groszowe im Tadeusza Kościuszki r. XI. ser. II. nr. 50. Kraków, nakł. ks. Ludowej K. Wojnara, druk W. L. Anczyca i Sp. 1905. 8 str. VIII. 104 h. 50.
- Łapczyński Kazimierz.** *Baśń tatrzańska o królu węzów wedle opowiadania górali szczawnickich spisał. Ilustrował Walery Eljasz Radzikowski.* Kraków, G. Gebethner i Sp., druk W. L. Anczyca. 8 z ilustracyami K. 2-50.
- Malewski B. dr.** *Próba charakterystyki ubiorów ludowych.* Odbitka z t. XVIII »Wisły«. Warszawa. 8. str. 68.
- Miarka Karol.** *Kantyczki, kołеды i pastorałki w czasie Świąt Bożego Narodzenia po domach śpiewane, z dodatkiem pieśni przygodnych w ciągu roku używanych.* Mikołów, nakł. i druk. K. Miarki. G. Centnerszwert w Warszawie. 1904. 8. str. 704. opr. kop. 80.
- v. d. Mohl P. Aleksander S. J.** *Sammlung von kaffrischen Fabeln in der Ci-Tete-Sprache am unteren Sambesi. Aus den Mitteilungen des Seminars für orientalische Sprachen zu Berlin.* Jahrg. VIII. Abtei III Afrikanische Studien. Berlin 1905. 8. str. 43.
- Dęby św. Wojciecha.** *(Podania ludowe).* Poznań, nakł. i druk. księg. św. Wojciecha, 1905. 8. str. 80. ten. 40.



W sprawie badań nad sprawnością ekonomiczną szczepów ludowych.

Napisał

Dr. Zygmunt Gargas.

Ekonomika społeczna XVIII w. a po części i XIX w. długi czas wychodziła z zasadniczego założenia równości naturalnej wszystkich ludzi. Starła się ona stwierdzić przedewszystkiem ogólną abstrakcyjną naturę człowieka i z tej natury człowieka wywnioskować wszelkie urządzenia społeczne¹⁾. Ta abstrakcyjna teoria ekonomiczna traktowała życie gospodarcze i społeczne i poszczególne jego objawy w zupełnem oderwaniu od jego ludzkiego podłoża, zapominając o tej prawdzie zasadniczej, że wszelka produkcya, że wszelka konsumpcya, że wszelki rozdział dochodu społecznego odbywa się zawsze i wszędzie w jakimś ściśle określonym środowisku ekonomicznem, a nigdy w jakimś środowisku zupełnie wymarzonem, abstrakcyjnem i że każde takie środowisko jest wyrazem różnych dążeń i tendencyj ludzkich, że zaś ludzie między sobą bynajmniej nie są równi, owszem różnice istnieją wśród nich wielorakie i nie tylko indywidualne, ale także i różnice zbiorowe gromadne.

¹⁾ G. Schmoller: Grundriss der allgemeinen Volkswirtschaftslehre I. str. 139.

Już nawet J. St. Mill, który opiera całą ekonomikę społeczną na dążeniu do zarobkowania, wszędzie jednakowoż, wypowiada zdanie, że niema charakteru ogólnoludzkiego, zasada wydedukowana z właściwości angielskich, nie może więc być zastosowana do Francuzów, że należy raczej dążyć do zbadania praw ogólnych o tworzeniu się charakteru narodowego. Prawa, dotyczące charakteru narodowego, są najważniejszą kategorią praw socjologicznych.

Z biegiem czasu nauki społeczne stają się wogóle coraz to bardziej realistyczne, coraz więcej uwagi zwracają na jednostkę, realnie istniejącą i realnie działającą. A wraz z tem spotęgowaniem prądu realistycznego w naukach społecznych powstają teorie o znaczeniu społecznem gromad społecznych jako takich, powstaje zwłaszcza słynna teoria hr. Gobineau, który z wielką siłą przekonania wskazuje na różnicę, istniejącą pomiędzy poszczególnymi rasami, a jakkolwiek teorie hr. Gobineau niekoniecznie zyskały prawo obywatelstwa w nauce, to jednak rozliczne późniejsze badania, zwłaszcza badania podróźników, wykazały niewątpliwą słuszność samej istoty jego teorii: istnienie różnic rasowych jako takich. Kategoryzacja i klasyfikacja tych różnic pod względem antropologicznym i etnograficznym została też niejednokrotnie stwierdzoną, choć może i tu nie zawsze w dość dostatecznej mierze. Nie wyprowadzono jednakowoż z tych danych, natury antropologicznej i etnograficznej wniosków, dotyczących sprawności gospodarczo-społecznej poszczególnych szczepów ludowych, nie wprowadzono innemi słowy w należyty związek przyczynowy zjawisk, wchodzących w zakres ludoznawstwa ze zjawiskami natury gospodarczo-społecznej.

A przecież sprawa ta nabiera tem większego realnego znaczenia, im silniejsze są węzły, łączące życie gospodarcze poszczególnych szczepów ludowych ze sobą. Cechą nowożytnego gospodarstwa społecznego jest przede wszystkim w coraz wyższej mierze nadawanie temu gospodarstwu cechy gospodarstwa światowego. Gdy niegdyś współzawodnictwo gospodarcze do małych stosunkowo było ograniczone terytoryów, obecnie coraz szersze przybiera ono kręgi terytoryalne, z coraz większą też siłą przeciwstawia sobie poszczególne szczepy ludowe jako takie. Zasada unarodowienia produkcji gospodarczej, nawet na

jednem i temsamem terytorium, przenika coraz to bardziej w głąb życia społecznego ¹⁾.

We współzawodnictwie gospodarczem stają więc naprzeciwko siebie szczepy ludowe, niekiedy nawet całe rasy. Rzecz oczywista przeto, że z coraz większą siłą musi się nasuwać na myśl zagadnienie, o ile te poszczególne szczepy ludowe, ze sobą współzawodniczące, współzawodniczą ze sobą na warunkach nierównych. Że warunki te, zasadniczo nierównymi być muszą, to niewymaga chyba dowodu, bo dowód ten staje się zbyt prostym skutkiem samego faktu zwycięstwa jednego ze współzawodniczących szczepów, tj. skutek samego faktu przewagi gospodarczej. Ale chodzi tu o to, w czym leży owa nierówność, czy znajduje się ona wyłącznie po stronie okoliczności i zjawisk czysto zewnętrznych tj. po za szczepami — jako takimi — leżących, jak klimat, gleba, warunki komunikacyjne, położenie geograficzne, czy też może nierówność ta dotyczy również samychże właściwości szczepowych, jako takich.

Otóż, jak wspomniano, samo zasadnicze ich istnienie żadnej zgody nie ulega już obecnie wątpliwości. Równolegle bowiem z zasadą zmienności idzie zasada przekazywania pewnych cech z pokolenia na pokolenie, innemi słowy zasada dziedziczenia.

Pytanie tylko, jak daleko sięga ta zasada dziedziczenia, czy dotyczy ona w szczególności tylko cech fizycznych, czy także cech psychicznych.

I ta kwestya zresztą staje się z dnia na dzień coraz mniej kwestyą sporną.

Wprawdzie, im wyższymi i bardziej skomplikowanymi są te właściwości psychiczne, tem więcej mają one charakteru indywidualnego, w tem niższym stopniu przeto przechodzą one w drodze dziedziczenia. Ale sama zasada zda się być do pewnego stopnia pewnikiem. Wprawdzie w realnej swej emanacyi ulega ona bardzo różnemu ukształtowaniu pod wpływem stosunków zewnętrznych, zarówno tych, wśród których żyją rodzice, jak i tych, wśród których znajduje się ich potomek. Otóż

¹⁾ Bardzo charakterystycznego w tym względzie przykładu dostarczają Czesi, którzy dają obecnie do unarodowienia przemysłu, znajdującego się w Królestwie Czeskim w rękach niemieckich, czyli innemi słowy do pozyskania go w swoje ręce (przeważnie za pomocą skupu akcji niemieckich towarzystw akcyjnych).

pod wpływem tych wszystkich okoliczności i właściwości psychiczne każdej jednostki ludzkiej z osobna, uzyskują po części pewne znamiona indywidualne, po części zaś przechodzą w drodze dziedziczenia na pokolenia następnie. Im dłużej trwała izolacja danej grupy społecznej, im większą jest różnica w klimacie i w ogólnych warunkach życia, tem silniejszą staje się jej odrębność. Stąd też powstają grupy społeczne o różnym stopniu odrębności, jak rasy z jednej strony, narody czy szczepy ludowe z drugiej strony.

Mówiąc tu o szczepach ludowych, mam na myśli grupy etniczne wszystkich, powyżej wyszczególnionych kategorii, bez względu na stopień i rodzaj ich odrębności.

Na wytwarzanie się tych odrębności wpływają oczywiście w wybitnej mierze klimat i przyroda, ale ich wpływ jest, jak dowiódł Ratzel, rozciągnięty na długie bardzo czasokresy. Również nie należy przeceniać wpływu otoczenia i wychowania, bo czynniki te na charakter szczepu, jego właściwości psychiczne niewątpliwie wpływają, ale go nie wytwarzają.

Zresztą pomijając przyczyny powstania tych różnic, faktem jest, że one istnieją, choć rasy czyste, czy szczepy ludowe czyste rzadko kiedy się pojawiają, to jednak, bądź co bądź ich istnienie jest faktem niewątpliwym, a da się z dość wielką dokładnością obserwować, gdy szczepy te w wyższym lub niższym stopniu są izolowane. Z drugiej zaś strony najwalszym skutkiem pomieszania ras bywa niejednokrotnie wytwarzanie się nowych typów etnicznych.

Faktem jest również, że różnice te uwydatniają swe istnienie także w dziedzinie życia gospodarczego, że odrębność etniczna uwydatnia się również w sprawności gospodarczej poszczególnych szczepów ludowych.

Ekonomika społeczna stosunkowo nie wiele dotychczas zwracała na ten moment uwagi. Ignorowała ona niejednokrotnie wogóle wszelkie różnice rasowe i rozwiązywała cały szereg doniosłych zagadnień społecznych, mając na oku jakiegoś człowieka abstrakcyjnego, wyidealizowanego, a czyniono to nawet wówczas, gdy chodziło o badania natury historyczno-gospodarczej.

Dopiero w ostatnim czasie rozpoczął się pewien zwrot w kierunku wprowadzenia w związku przyczynowe zjawisk na-

tury gospodarczej z jednej strony, zaś zjawisk natury etnograficznej z drugiej. Zwrot ten zaznaczył się więcej w teorii jak w praktyce, t. zn. w konkretnem badaniu poszczególnych zjawisk społeczno-gospodarczych, względnie etnograficznych; zaznaczyć jednak należy, że i sama teoria, względnie metodyka tych badań jest jeszcze wielce niedoskonałą i niewyrobioną.

Chodzi tu więc, jak wspomniałem, o zbadanie sprawności ekonomicznej poszczególnych szczepów ludowych, jako takich. W skład tego pojęcia sprawności ekonomicznej wchodzi zarówno kwestya właściwości szczepowych, wpływających na wytwórczość, jak i na spożycie dóbr, jak i w końcu na ich rozdział, o zbadanie szczególnych gospodarczych i technicznych uzdolnień, jak oszczędność, przezorność, pracowitość, zdolność przedsiębiorcza i handlowa, popęd imitacyjny, zdolność dostosowania się do danych warunków gospodarczych, talent do wynalazków, zmysł artystyczny i t. p.¹⁾

Zbadanie tych wszystkich okoliczności ma wybitne znaczenie dla nowożytnej polityki gospodarczej, bo może dostarczyć należytego materiału naukowego, materiału do rozpatrzenia kwestyi dorównywania poszczególnych szczepów we wzajemnem współzawodnictwie gospodarczem²⁾, do zbadania np. czy kraje, posiadające dotychczas typ i charakter kraju rolniczego, będą mogły uleść uprzemysłowieniu, w jakim stopniu i kierunku itp. Do wytworzenia przemysłu trzeba nie tylko maszyn i pieniędzy, trzeba także siły woli, trzeba odpowiedniej dozy przedsiębiorczości ale i ostrożności, pewnych zdolności twórczych, ale i wielkiej zdolności zastosowania się do nowych form produkcji. Trzeba ochoty do ciągłego, bezustannego postępu, bo w przemyśle ustanie w tym postępie to cofanie się. Że tu znów klimat, zdolności odziedziczone, środowisko społeczne, wybitną odgrywają rolę, zbyteczna dowodzić, a wystarczy fakt ten zaznaczyć.

Na czem polega wyższość, dość trudno rozstrzygnąć. Gdy chodzi o porównywanie znaczniejszych obszarów, to słuszość

¹⁾ Sartorius von Walterhausen: Beiträge zur Beurtheilung einer wirtschaftlichen Foederation von Mitteleuropa (Zeitschrift f. Socialwissenschaft 1902 str. 685).

²⁾ Por. J. Wolf: Das Rassenproblem in der Weltwirtschaft (Wissen für Alles 1902 i Zeitschrift für Socialwissenschaft 1903 str. 30 i n.).

należy bezwątpienia przyznać przedstawicielom amerykańskiej nauki ¹⁾, że się ta wyższość rasowa charakteryzuje przede wszystkim zdolnością dostosowania się do klimatu.

Oczywiście, że zbadanie przyczyny i skutku jest na tem polu szczególnie trudne do przeprowadzenia. Fakta zewnętrzne, nam dostępne, a dotyczące różnych grup etnicznych, przedstawiających jakieś cechy wybitnie odrębne, więc w przeważnej części t. zw. ludów pierwotnych, są bardzo sporadyczne i mają w wybitnej mierze charakter fragmentaryczny. Znamy np. zewnętrzne cechy charakterystyczne afrykańskiego szczepu Herero ²⁾ wiemy np. że podstawowym przedmiotem ich gospodarki jest bydło, że około bydła grupują się wszelkie ich czynności gospodarcze. Dla bydła żadna praca nie jest dla Hererów za ciężka ³⁾. Mimo słońca, czerpią oni godzinami całemi z nowych studni, które co roku trzeba na nowo kopać, wodę, — całymi dniami a nawet tygodniami wałęsają się nawet, by odszukać bydło utracone.

Wytwarza się tu więc pewna właściwość psychiki gospodarczej: tj. niezwykła wytrwałość i cierpliwość. Powtóre pewne skutki ogólnokulturalne. Gdy kraj, przez Hererów zamieszkały posiada niewiele tylko wody i pastwisk, następuje częsta zmiana sadyb, cały lud uzyskuje znamiona, właściwe ludom koczowniczym, mieszkania mają charakter prowizoryczny i nietrwały, a technika budowlana stoi na bardzo niskim stopniu rozwoju.

To są zjawiska, które zachowałyby swoje realne znaczenie w razie przemiany całego trybu gospodarowania, więc np. w razie zupełnego ucywilizowania w kraju Hererów. Cywilizatorowie czy przedsiębiorcy przemysłowi musieliby również niewątpliwie brać w rachubę ów moment cierpliwości i koczow-

¹⁾ Americas Race Problems w *Annals of the American Academy of Political and Social Science*. Vol XVIII Nr. 1. Philadelphia (zbiór odczytów).

²⁾ F. Mayer: *Wirtschaft und Recht der Herero* (Jahrbuch der internationalen Vereinigung für vergleichende Rechtswissenschaft und Volkswirtschaftslehre VIII. Band 1905 str. 45²⁾).

³⁾ Podobnie zresztą jak u włościan dawniej i w Polsce, gdzie bydło musiało być bardzo ważnym przedmiotem gospodarczym, jak wskazuje choćby np. przysłowie: »Bydło tłuste — szczęście wielkie«. Por. E. Majewski i Wł. Jarecki: *Bydło w mowie, pojęciach i praktykach ludu polskiego* — *Wisła* 1903 str. 150.

wniczości, tkwiący w psychice gospodarczej Hererów. Z drugiej jednak strony należy podnieść, że są to zjawiska, bezwątpienia odblaskowej natury, a pierwotne przyczyny tych zjawisk są dość trudne do zbadania.

W każdym razie istnienie tych właściwości nie może być dzisiaj już wątpliwem. Wszak cały szereg zagadnień gospodarczo-społecznych, tej odrębnej psychice gospodarczej zawdzięcza wogóle swoje istnienie. Tak np. t. zw. kwestya chińska, ściślej mówiąc kwestya chińska w Ameryce północnej odrębne, społeczne formy pracy jak i zdolność dostosowania się Chińczyków do sposobu pracy amerykańskich przedsiębiorstw wielko-kapitalistycznych, w końcu a raczej przede wszystkim odmienny standard of life, to wszystko powoduje, że praca Chińczyków w Ameryce północnej dokonywana, jest ilościowo i jakościowo różną od pracy ludności rdzennie amerykańskiej¹⁾, a te różnice właśnie kwestyę współzawodnictwa gospodarczego ogromnie zaostrzają i powodują, jak wiadomo nader silne środki ochronne przed imigracją chińską w Ameryce północnej.

Podobne kolizye interesów na tle etniczno-gospodarczem powstałe, powstają wogóle wszędzie tam, gdzie wchodzi w rachubę dwa odrębne szczepy ludowe, o odrębnej strukturze etnicznej a współzawodniczące ze sobą na polu gospodarczem. Tak np. w kwestyi żydowskiej a swego czasu w Polsce i w kwestyi włoskiej. Właściwie nie zawsze dopiero nauka nowsza musi te momenta stwierdzać, czyniła to bowiem, choć może więcej spontanicznie i niesystematycznie i dawniejsza literatura i publicystyka. Uwagi tego rodzaju spotykamy np. w piśmiennictwie polskim XVII w.²⁾ Omawiając też tę kwestyę w świetle współczesnych pomników literackich, stwierdziłem wówczas, że »w każdym razie wybitnie ekonomiczny charakter kwestyi żydowskiej w owym czasie nie ulega chyba wątpliwości«. Jestto walka o byt między dwiema rasami, walka, w której Żydzi rozmaitych środków używając, wychodzą zwycięsko, a wszelkie przepisy ustawowe czynią bezsilnymi nawet. A to samo dotyczy i kwestyi włoskiej.

¹⁾ Sartorius von Walterhausen: Die Chinesen in den Vereinigten Staaten von Amerika (Zeitschrift f. die ges. Staatswissenschaft 1883 str. 417).

²⁾ Gargas: Poglądy ekonomiczne w Polsce XVII w. wyd. 2. Lwów 1903 str. 84 i n.

Gabryela Krasieńskiego »Taniec Rzeczy pospolitej polskiej« albo raczej rozmowa dwojga ludzi Terrigeny z Peregrinem o wojnie szwedzkiej i potem nastąpionej od Węgrów, Kozaków, Multanów i Włoszy etc.¹⁾, po różnych bardzo namiętnych wywodach przeciw żydom, które możnaby przytoczyć jako dowód religijnego charakteru kwestyi żydowskiej, godzi w osobnym »Lamencie« na Włochów krakowskich, na owych Montelupich, Cellarich, Delpaców, Prowanów i ich współziomków, a czyni to zupełnie wyraźnie i bez osłonek z pobudek gospodarczych.

Oni się już do akcyi gwałtem ubiegają,
Oni żupy, mennice, wolbory trzymają
Oni lada pajęczyn jedwabiu miękkiego
Nawiówszy, oszukują znacznie niejednego,
Choć drugi i bankrutem we Włoszech zostanie
To tu do mnie uciecze na szalbierowanie.

Przerzuca przez nogę, w rozum największego. Oni informują rzemieślnika włoskiego, aby dawnych zacnych materyi więcej nie robił, podleysze wymyślają, by się tylko pięknie oczom świeciły. Oczywiście, że kwestya włoska nie miała w Polsce zbyt wielkiego znaczenia społecznego. Ale samo jej pojawienie się, równorzędnie z prastarą kwestyą żydowską dowodzi niezbie, że reakcyja gospodarcza wobec obcych grup etnicznych stanowi we wszystkich tych wypadkach istotne jądro rzeczy.

Jest również pewnikiem, że np. tysiąc murzynów australijskich w zakresie pracy duchowej nie zdołałoby zdziałać tego, co zdziałałby jeden biały.

Ale te różnice, jak wspomniałem, nie dotyczą tylko samejże wytwórczości. One dotyczą również i konsumcyi, dotyczą również kwestyi potrzeb. Tu podnieść wypada, co już powyżej wspomniano, co do Chińczyków.

Potrzeby te nie są wogóle, jak tego dowodzi choćby codzienna obserwacyja życiowa, pomiędzy poszczególnymi szczepami równe. Zdawałoby się również, że na polu mody tj. dążności do zmian do zaspakajania swych potrzeb, różnice wśród narodów cywilizowanych przynajmniej nie istnieją wcale. A przecie, jeśli już Cezar stwierdził, że Gallowie są novarum rerum cupidi, to ta jego teoria w całej pełni znajduje zastosowanie

¹⁾ A. Brückner: Taniec Rzeczy pospolitej polskiej — Kraków 1899.

i do Francuzów, nadających ton modzie współczesnej, może właśnie dzięki bezustannej ruchliwości swego umysłu. Angielskie ideały celowości uwydatniają się w przedmiotach trwałych i praktycznych itp.

Te właściwości psychiczne uwydatniają się również w sposobach tworzenia się nowych potrzeb. U ludów pierwotnych Australii środkowej, charakterystyczne jest np. że nowe obyczaje i urządzenia społeczne nie powstają samorodnie i odruchowo zupełnie, jeno na skutek rozumowań naczelników szczepowych. Naczelnicy ci odbywają w tym celu specjalną naradę i przeprowadzają nad poszczególnymi projektami dyskusję¹⁾.

Właściwości szczepowe mogą się ujawniać również i na polu organizacyj społecznych. Tak np. niektóre szczepy posiadają pewne specjalne formy zrzeszenia się pracujących, że wspomnę tu tylko o assocyacjach roboczych chińskich, o artełach rosyjskich, o towarzystwach rzemieślniczych w Rosyi jak np. sitarzy²⁾ itp. Są one niewątpliwie wpływem wyższego stopnia solidarności społecznej, ułatwiające zrzeszanie się.

Ta solidarność społeczna jest oczywiście wyrazem pewnego rozwoju społecznego. Ale ona też niejednokrotnie decyduje o łatwiejszym lub trudniejszym rozwoju kooperatywy, która np. w Anglii napotyka na zupełnie odmienne warunki psychiki zbiorowej niż we Francyi, bo przecież ani przyroda ani sytuacja gospodarcza nie daje należytego rozwiązania odmienności rozwoju kooperatyw w każdym z tych krajów z osobna.

Wszystkie te właściwości ludzkie są niewątpliwie wpływem różnorodnych bardzo zjawisk zewnętrznych, powyżej już wspomnianych. Ale one przecież istnieją jako takie, choć nie działają w odosobnieniu, tylko w łączności, we wzajemnej ze sobą kombinacji. W poszczególnych częściach tej samej często nawet grupy etnicznej istnieją one w nader różnem ustosunkowaniu, i z tego powodu nauka nie powinna tych cech charakteru poszczególnych grup etnicznych uogólniać, tylko o ile możliwości indywidualizować, a raczej lokalizować. Wszak i wów-

¹⁾ Spencer and Gillen: The aborigines of North. — West Central Australie str. 17.

²⁾ Jan Brandt: Przemysł drobny w powiecie biłgorajskim — Wiśła 1902 str. 324.

czas, gdy chodzi o badania martwej przyrody, badania nowożytnie, coraz to większemu ulegają lokalizowaniu. Ale tembardziej staje się to koniecznem w monografiach geograficzno-gospodarczych t. zn. monografiach poświęconych omówieniu sprawności ekonomicznej poszczególnych terytoryów jako takich. Wszak tu chodzi o jednostki żywe, z których każda przedstawia do pewnego stopnia typ odmienny, których grupy etniczne przedstawiają zaś znów pewne cechy zbiorowe.

Na takim małym stosunkowo terytoryum, jakim jest Kuba, murzyni przedstawiają zasadniczo odmienny typ etniczny, niż mulaci i pierwsi są powszechnie uważani za dużo zdolniejszych i energiczniejszych niż ci ostatni, a znawcy przypisują tę okoliczność pomieszaniu mulatów z rasą hiszpańską¹⁾.

Momenta te wogóle w nauce zachodu w bardzo niewielkiej tylko mierze doznawały dotychczas uwzględnienia. Polskiej nauki dotyczy to jeszcze w wyższym stopniu.

To też ważnym bardzo postulatem polskiej nauki ludoznawczej jest żądanie przeprowadzenia intensywnych a specjalnych badań monograficznych (rzeczowo wszechstronnych) o sprawności ekonomicznej grup etnicznych na terytoryach, o ile możności zacieśnionych, następnie zaś przeprowadzenie analizy syntetycznej tych zjawisk.

¹⁾ Amerikas Race Problems w Annals of the American Academy of Political and Social Science — Vol. XVIII Nr. 1 Philadelphia.





Ślady słowiańskie na ziemiach dawnej Recyi i Windelicyi.

(Nowa teoria lechicka).

Przez

G. Smólskiego.

Z myślą o rzece Lechu, wypływającej w dzisiejszym Vorarlbergu, a wpływającej do Dunaju, niedaleko Donauwörth, w pobliżu Ingolstadtu w Bawaryi, z hipotezą albo raczej może tylko z intuicyjnym urojeniem w głowie, że wobec zawsze jeszcze nierozstrzygniętej sprawy lechickiej i rozmaitych teoryj o pochodzeniu Lechow, ci zamiast z obcego szczepu, z Skandynawii lub Galii pochodzićby mogli z nad brzegów rzeki, noszącej wyraźnie ich miano — myślą tą przejęty przedsięwzięłem podczas feryj letnich przed dwoma laty i roku zeszłego podróże po ziemiach dawnej Recyi i Windelicyi, by stwierdzić na miejscu, czy tam istnieją jeszcze ślady słowiańskiej pierwotności, któreby w związku z niektórymi zapiskami i wskazówkami kronikarskimi jako też z starą nazwą rzeki, ziemi nad nią położonej i jej ludności: Likus¹⁾, Win-

¹⁾ U Ptolomeusza: Likia potamos. Ven. Fort: Licca i Licus, dopiero Paweł Diakon nazwał ją prastarem właściwem mianem: Lecha i Lech. W kronikach niemieckich z w. VIII i następnych wieków czytamy wyraz: Lech, Lec jako nazwę rzeki bawarskiej, tudzież pola, rozciągą-

delicya¹⁾ i Windelici²⁾ mogły tworzyć podstawę do przypuszczenia w kierunku powyżej zaznaczonym.

Nazwa Windelicya nie może oznaczać czego innego, jak kraj Wendów-Słowian, położony nad rzeką Licus-Lech a Windelici, mieszkańcy tych ziem nie mogą brzmieć w wiernym przekładzie polskim inaczej, jak: Wendowie-Słowianie z nad rzeki Licus-Lech, albo Lechowie lub Leszanie, podobnie, jak od rzeki Morawy, zwą się Morawianie albo Morawcy, a od Wisły: Wiślanie lub Wiślacy.

Rzecz o pochodzeniu Lechów z nad rzeki Lech, wymagającą głębszych studyów i niedającą się pomieścić w ramach niniejszego wykładu, wyłączam z swego wykładu, ograniczając się tymczasowo tylko na przedstawieniu materiału ziemio i miejscopisnego, jaki w podróżyach swoich, poświęconych sprawie lechickiej, zdołałem zebrać na miejscu dawnej Recyi i Vindelicyi i przylegających części Noricum, mianowicie w części Tyrolu, Vorarlbergu, południowej Bawaryi i w wschodnio-północnej Szwajcaryi.

Za rzymskich czasów oddzielała rzeka Lech Windelicyę od właściwej Recyi, do której jako do prowincyi właściwie należała, zwana także »drugą Recyą«. Rzymianie, mianowicie Druzus ujarzmił Izarków i Breonów, ludy, których Ptolomeusz zalicza do Windelików, w r. 16 przed Chrystusem, a w rok później Claudius Tiberius, synowiec cesarza Augustusa, podbił sąsiednią Windelicyę, gdzie Rzymianie, przy spływie rzeki Lecha i Wertacha. na miejscu dawnego grodu głównego Windelików, założyli castrum i kolonię Augusta Vindelicorum, którą Tacitus zowie »splendidissima colonia«, z której powstało miasto Augsburg.

jącego się na jej brzegach. W *Annales alamannici*. Pertz I. 26, znajduje się ten wyraz po raz pierwszy: »Lechus in Bauguaria«. Pertz I. 172: Lechfeld i Leefeld a w *Annales Oltenburani*, Pertz VII. 2: »Locus, qui dicitur Liëschî«. (Lieszki al. Leski).

¹⁾ U Ptolomeusza i Sexta Rufus'a: Vindelicia.

²⁾ U Strabona: Vindulici i Vindalici; w łapisce Euzebiusza: Vendici; na rzymskich napisach Mela I. c. 2. § 5. Vendelici i Vendi. Rozmaici pisarze rzymscy, greccy i niemieccy zwali ich Likatoi, Licatii i Lekates, wymieniając jako plemiona Windelicyi. Z formy Licatii można wywieść Windukinda, Licacivikow al. Licikaników.

Źródłowi niemieccy pisarze: Falger¹⁾, Kögl²⁾, Schneller³⁾, Staffler⁴⁾ i inni stwierdzają, iż Rzymianie podbili wówczas cztery plemiona »der Lycalier oder Lechthaler«, co zgadza się zupełnie z podaniem Pliniusza. Jakie to były plemiona, trudno mi na razie oznaczyć, gdyż Windelikowie rozpadali się na liczne pomniejsze ludy: właściwych Windelików (w ściślejszem słowa znaczeniu), Breonów czyli Brennów, Rucinatów, Fokunatów (koło dzisiejszego miasta bawarskiego Füssen), Klaulinatów, Doląnców, Bregąnców, Wenonów czyli Winidawów w okolicy dzisiejszego jeziora bawarskiego Wurmsee, starego palus magna Winidowa, zwanego przez Niemców »Windischer See«⁵⁾, leżące w dolnem Winidowa⁶⁾ w Windelicyi.

Recya właściwa i Noricum posiadały pierwotnie tę samą ludność.

Te same nazwy ludowe i ziemiopisne spotykamy nie raz w krajach sąsiednich Windelicyi. Brennów ślady znaczy dziś jeszcze przyłęcz Brenner w Tyrolu, do Drawy wpada druga rzeka Likus, której mieszkańcy na obydwóch brzegach zowią się Likowce albo Ambilici, a w Krainie wspominają o podobnie brzmiącej nazwie ludowej Latawików.

Edward Bogusławski⁷⁾ nie wątpi, że to była ludność słowiańska, pisząc: »Że ludność Windelicyi była wendyjską czyli słowiańską, jest tak oczywistą prawdą, że nie może być najmniejszej wątpliwości, a jeżeli zwano ją keltycką, to tylko dlatego, że tu, jak w Noricum i Karnii, panowały drużyny Keltów, które jednak z czasem zaginęły w ludności miejscowej. Lelewel⁸⁾ i Szafarzyk⁹⁾ potwierdzają to mniej więcej tak samo, jak szereg uczonych niemieckich, z których wymieniam: Man-

1) Chronik des Lechthales.

2) Notizen über den Pfarrbezirk Breitenwang. Füssen 1830 i »Kögl's kurze Geschichte der Entstehung d. Decanates Breitenwang«. Füssen 1834.

3) »Anton Falger und d. Lechthal«. Innsbruck 1877.

4) »Tirol und Vorarlberg«.

5) Backmeister. Allemannische Wanderungen. str. 158.

6) Pertz. IX. str. 214.

7) Historia Słowian. T. I. str. 215.

8) Narody na ziemi słow. przed powstaniem Polski. str. 429.

9) Staroż. Słow. I. str. 361.

nerta (III, str. 526), Landau'a i Pesche'go (str. 203), stwierdzających zgodnie, że Windelikowie byli Słowianie.

Można przytoczyć pod tym względem jeszcze wiele innych źródeł, lecz najwięcej przekonującym dowodem tego są pomnikowe pozostałości językowe, przechowujące się w nazwach miejscowych i ziemiopisnych, jakoteż w narzeczach, nie mniej też w niektórych zwyczajach i obyczajach ludowych, nad czym zamierzam zastanowić się nieco bliżej.

Zaczynam od Augsburga, stolicy Windelików. Dawne opisy miasta, czerpiące z starych kronik miejscowych stwierdzają, że prócz wałów i grodu głównego pierwotnej ludności, była tu przed założeniem rzymskiego miasta kolonialnego osada, składająca się z chałup, zbudowanych w kupie (*»Bei einander errichtete Hütten«*). W niektórych dziełach historycznych zowie się gród Cisarą i także Damasją. Ostatnia nazwa pozostaje na razie bez objaśnienia, zaś co do drugiej, Cisarę zawiera pewne wskazówki podanie miejscowe. Nazwa pochodzi od bogini *»Cisy«*, którą czczono w całej okolicy.

Cisa, Ziza, to słowiańska *»Ceres mamozą«*, pisana także przez Ceza, Ciza, Zicza, której święto przypadało na dzień 28 września. Kazimierz Szulc twierdzi stanowczo, że augsburska Cisa i Cyza była Cycą, boginią słowiańską, którą w *»Scriptores rerum lusiaticarum«* II. str. 162, w rozprawie: *»De diis Sorabecorum«* następujące znajduje określenie:

»Appelatio idoli sumpta est ex sobrabico Cyc, idest mamma, mammilla, uber, bohemico et polonico cyc, item cece k deminutivum. Hinc recte, Ciza expositur Dea mammosa, dea mammillarum vel lactantium aut nutrix infantum«.

Święto jej oznaczało koniec żniw, zbiór dojrzałych plonów. Radowano się oddając cześć matce ziemi, uzmysłowanej w postaci rodzącej niewiasty, pod nazwą Cycy, karmiącej dzieci. Czczenie jej rozpowszechnione było między wszystkimi Słowianami. Gdzieniegdzie zwano ją także Siwą i Żiwą albo Zywie.

Nazwa miejscowa Cezara tj. Cizara (Cicara) odpowiada w zupełności nazwie Cecora, znanej dobrze z dziejów naszych. Mogłaby ona także odpowiadać nazwie Cecarii (Cecarze) czciciele bogini Cycy. Łatwo możnaby ją też wytłumaczyć jako Cesarea (colonia), gdyby nie zachodziła nader ważna

okoliczność, iż nazwy Damasia i Cisara pochodzą z czasów przedrzymskich.

Rzeka Wertach, przy której wpływie do Lecha leży Augsburg, zowie się w starych dokumentach: Vinda, Virda i Viado. Prócz rzeki Wertach, wpadają do Lecha: Rothlech, Halblech, Vils, Pazielbach, Stobenbach, Milthalbach Lötzbach, Luxna, Zürsbach i Gramais, wszystko nazwy wskazujące na słowiańskie pochodzenie. W dolinie Lecha dużo nazw ziemio pisnych i miejscowych, utworzonych z Lech, mianowicie prócz dopływów: Rothlech i Halblech — Lechthaler Alpen, Lechsend, Lechsgmund, Lechsebene, Lechtfal, Lechfeld, Rothlechthal, Lechfall, Lechklamm, Lechhaus — miejscowości: Lech, Am Lech, Lechbrück, Lechleiten, Lechaschau, Lechrain, Lechhausen koło Augsburga, zaś w tem mieście: Lechdamm, ulica Schwiedlech unterer und oberer Lanterlech.

Mnóstwo jest też nazw miejscowych, utworzonych z pierwiastku lech, lych, lach, rozrzuconych po całych prawie Niemczech dzisiejszych i rozmaitych ziemiach słowiańskich. Oto wiązanka, która bynajmniej nie jest zupełną:

Lachendorf, miasto koło Celle w Hanowerskiem, Lachen, miasteczko w kantonie Schwyz przy jeziorze zurychskim, Lecheniz koło miasta Bonn; Lachov, Lachovice, Lechov w Czechach, Lachowice na Szląsku austr., 2 Lechowice na Morawii; Lechstedt, Lechterke, 2 Lechtrop w Hanowerze; 3 Lechen, Lachau, 4 Lach, Lechenbauer, 3 Lachhof i góra Lachkogel w Dolnej Austrii; Lachmiz na Spiżu, Lechnitz (Lekencze) w komitacie Bestera; 2 Lechlin, 2 Lechowo, Lachmirowice, Lachowo, Leszpo w Wielkopolsce; Lachowa, Lachowce, 3 Lachowice, 3 Lacha Wola, Lacko, 8 Lackie, 9 Laczki, Laszkow w Galicji; Lachowice, Lachowiec, Lachowo, Lachowskie, Lack, Lechanie, 2 Lechów, Lechówek, Lechaty, Leckipass — przylecz w Szwajcaryi w drodze z Andermatt do Rhonegletscher, Mons de Lacha koło Montblanc; w Altmark: Latsche, 1356 Laczeke, 1460 Latzke; Leitzkau, 937 Ligzeice; Lechwitz koło Strehla w Sak-

sonii wyprowadza dr. Hay ¹⁾ z Lechów, Gat des Lech; Nalechów w Czechach; Leschen koło Döbeln w Saksonii, 1428 Leschin, Lychen w Niemczech koło Thymensee, Lechstad w Sambii i inne jeszcze tego pochodzenia.

Między rzeką Iller a Lechem w Windelicii ²⁾ leżą: góra Kihberg, dalej na zachód miejscowość Wineden, miejscowość Windenberg. Na lewym brzegu rzeki Iller ku jezioru Kostnickiemu (Bodensee), ongi lacus Venetus, miejscowości: Bregenz, Gohren, Dollen, Belgard, Hugelitz, Regnitz, Göritz, Grod, Edelitz, Schreckenmanlitz i Ruppenmanlitz, Engelitz, Allewenden, Sederlitz, Wendenrente, Winnenden, Michelwinden (Michelwinaden), Witschwenden, Grodt, 2 Göritz, Boflitz, Osch i góra Göhrenberg.

W dolinie Lecha nazwy miejscowe: 6 Vils, Sondan, Biesenhofen, miejscowość Gentschenpass, Bobingen, niedaleko Augsburga Babenhausen, koło Donanwörth rzeka Wormitz, *Gutschan*, Zamserjoch, *Lotzerbach*, miejscowość Lotze, miejscowość Warth, góra *Leutatsch*, Zürsbach, góra *Goppelspitz*, *Dalauser Staffel*, Guppenspitz, Zürzersee, Madlochspitz, *Letschwald Lasanga*, Lutzbach, nad którym góra *Ludeseck*, Letschbach, *Gadden*, 2 miejscowości Stuben, góra *Glong*, *Glangbach*, *Gulen*, Zirsalpe, *Goppaschroffen*, Mangbach, Loischkopf, Gentschenpass, *Kruckerjoch*, Pimigberg, *Loissachbach*, Pazielaalpe, *Rogspitze*, *Grabach*, Schochenalpe, Milmahdspitze, Lagatzalpe, *Milthal*, *Milthalbach*, Milthalspitze, Tretachspitze, Alpe Madau, Lotzerklamm, Lotzbachthal, *Griesau*, Tawinkoppe, Klimspitze, osada Gutschau, Luxna, Parzinkopf, wieś Kelmen. W bliskości: miejscowość: Gatschura, Gampretz, góra *Zamangspitze*, Zimbaspitze, Golmerjochl, *Golm*, *Gada*.

Między Lechem, Dunajem a Izarą: góra *Taraitzberg*, góra *Schleinitzberg*, *Scharaitzthal*, miejscowość *Scharnitz*, *Dormietz*, Laditz, Trausnitz; nad jeziorem *Tegern*: *Winidan*, (Hachingen), góra *Scheldlitz*, miejscowość *Ribitz*, *Glon*, miejsco-

¹⁾ Slavische Siedlungen im Königreiche Sachsen.

²⁾ Dr. Wojciech Kętrzyński: Słowianie między Renem a Łabą i Salą a czeską granicą.

wości: Tölz i *Töllnitz*. Dalej: *Wendenau* (740 *Wynidawa*), miejscowość Bilz i Glon, *Pillensee*. Koło Ammersee: kleiner *Soiensee*, Sebensee, miejscowość: Diessen, Miesing, Tutsing, Leutasso.

Na północ ku Ingolstadtowi za rzeką Paar: 5 *Winden*, stąd w kierunku wschodnim: 2 miejscowości *Winden*, miejscowość *Giebitz*, miejscowości: Lohwinden, Glon, Kolmöd, *Oberwinden*, *Pelka* i *Piflitz*.

Między rzekami Izarą a Vils, wpadającą do Dunaju koło Vilshofen: miejscowości Windten, Winden, Trausnitz.

Między rzekami Vils a Rott: miejscowości *Schibitz*, *Gränitz* i *Tabor*.

Między rzekami Rott a Innem: miejscowości *Winden*, *Wendenham*.

Na prawym brzegu Innu: miejscowości *Dormitzen*, *Kolmbach*, *Gars* (w dokum. *Garcza*), *Windenhuhl* (teraz Höll), *Gretschen* i *Kondlitz*.

Między rzeką Alz, wypływającą z Chiemsee a Salzachem: miejscowość Winden; za Innem: Winden.

Przerwę na chwilę nużące wyliczanie nazw miejscowych. Doliną Lecha przedsiębrałem podróż w dwóch przeciwnych kierunkach: z Augsburga przez Kempten do jeziora kostnickiego czyli bodeńskiego przeciw biegowi rzeki, a następnie z Bludencyi, względnie ze stacyi kolei arulańskiej Langen kołami przez Flexenpass (1836 m. wysokości) do źródeł Lecha, wypływającego z alpy Fornarin, zwanej też Rothwand, niedaleko miejscowości Lech, samotnej górskiej wsi wśród kamienych olbrzymów.

Tu zatrzymałem się dni kilka. Lech, lubo źle przystępny, bywa nawiedzany przez letników i podróżnych. Okolica w swoim rodzaju zachwycająca, chociaż dzika, a sama miejscowość wielce oryginalna. Posiada około 400 dusz ludności, domy porozrzucane po zielonych szerokich stokach gór, po największej części piętrowe. Dachy ich przed wiatrem halnym strzegą duże kamienie, obciążające je. Jest w miejscu wcale porządny hotel i okazały, murem obwiedziony, kościół z wysoką wieżą, a otoczony cmentarzem. Zbudowali go w drugiej połowie XV w.

¹⁾ Wojciech Kętrzyński: Słowianie i t. d.

hrabiowie z Wallisu, którzy tu panowali. Ludność Lecha i okolicy wiąże podania tradycyjne wogóle bardzo ściśle z ludnością Wallisu. Leszanie (mieszkańcy Lecha) uważają się z Walliszanami za jednoplemiennych. Szafarzyk¹⁾, pisze »o potomkach słowiańskich osadników w Szwajcaryi w kantonie Wallis w bliskości miasta Granges (Gradec) we siach: *Crimenca* (Kremenica), *Luc* (Luka), *Visoye*, *Grona* i t. d. aż do dziś dnia od tamtejszych Niemców zwani są Słowianami«. *Edward Bogustawski* donosi o nich słowy: »W kantonie Wallis, gdzie w starożytności mieszkało plemię Sedunów z osadą Sedunum, znajdują się szczątki Słowian, mówiących skażonem narzeczem słowiańskim. Sedunów wymienia Livius. Mówi o nich Szafarzyk, wspominają o nich kroniki i dokumenty jako o »homines qui vocantur Winde«.

Ze starożytnych pamiątek zachowały się w Lechu 3 kamienne, bardzo stare, masywne krzyże, znajdujące się na rozmaitych miejscach, a zupełnie podobne do siebie. Wysterczają one z ziemi mniej więcej na dwie stopy. Jeden z nich znajduje się za murem kościelnym na kraju spadzistego urwiska, drugi w dole nad rzeką Lechem, trzeci na stoku góry. Napisów nie mają żadnych, a podanie o nich mówi tylko tyle, że »w pra-wieku trzech ludzi dotknęło równocześnie nieszczęście«. Jacy to byli ludzie? jakie ich dotknęło nieszczęście? — o tem nie mogłem się dowiedzieć od nikogo, pomimo usilnego starania.

W narzeczu miejscowem, należącym do gałęzi narzeczowej alemańskiej, przechowały się wybitne ślady słowiańskie. Przytoczę kilka przykładów²⁾: ommo i mammo — matka, mēso — krowa jałowa, muczallo — biały chleb, składający się z 8 kablaków, rod — rząd, schocha — stożki siana (suszącego się) na łąkach górskich, grischo — otręby, bluatschiuk — bajeczny potwór w potokach (błotnik), schuappa — żupan, schöpf — czop, zēza — zwodzić, pokazać komu coś i niedać; zescha, zāscha, tschuschen — czesne, len; gulscha — rodzaj ławki, zēta — hreczka, zētig — zarosły hreczką; stotza — okrągłe drzewiane naczynie do mleka; jōsa — skwaśnieć; plunga — moczary — »in plunga hockt l' fango« (na mo-

¹⁾ Starożytn. słow. I. str. 446.

²⁾ Schneller. str. 26—33.

czarach czycha dziwożona na dziecię), bissa—biedz, bölend-cy—bolesny—Es hât mi rêcht gâbölendet, es hat mich recht geschmerzt, gêara—góra stożkowata, mara, es hat sich g'mârt, es hat sich geisterhaft kundgegeben dareb Zeichen eines baldigen Todes; kaia es kait mi—żałuję, martwi mnie to, kaję się i inne jeszcze wyrażania osobliwe.

Niektóre podania, zwyczaje i znamienne właściwości ludu zasługują również na uwagę. Do dziś dnia żyje między ludem podanie o Juliuszu Cezarze, chociaż żadne świadectwo dziejowe nie stwierdza jego pobytu kiedykolwiek w tych stronach. Podanie twierdzi, że Juliusz Cezar na koniu, w pełnej zbroi, przesadził przez szerokie, przepaściste, skalne wydrążysko rzeki Lecha, tak zwany »Lech Klamm« koło miasta Füssen. Pokazują na skale zarycia kopyt jego rumaka. Niektórzy twierdzą znowu, że to są ślady stóp św. Magnusa, apostoła tych okolic, nawracającego na chrześcijaństwo pogan miejscowych przy końcu VII w., którego lud zowie świętym Mangiem. Uciekał on przed prześladowającymi go poganami, a przeskakując cudownie szerokie wydrążysko, uszedł pogoni.

Lud miejscowy, skłonny do procesów, niegardzący wódką, wesołego usposobienia, ruchliwy i bardzo gościnnie, odznacza się wielką zabobonnością i przesadami. Nocą roją się turnie i hale duchami: z hukiem i trzaskiem gonią w powietrzu czarni łowce i czarne łowczynię, w postaci obrzydliwej ropuchy pokutują zwykle księżniczki, fangi (dziwożone) o szkaradnych obliczach i w obszarpanych łachmanach czychają, by porywać dzieci lub wyprawiać ludziom najzłośliwsze psoty, putzów (upiorów) wszędzie pełno, na łysych górach, szczególnie na górze *Pimig i Nozgen* wrzaskliwe, tłumne złoty czarownic, wylatujących kominami z domów, na trzonach łopat i mioteł; z błot i bagien wychylają się potworne bluatschiuki, wyciągające szpony, by łapać ludzi i dostawać ich w moc swoją; zmora mart dusi podczas snu ludziska w nocy, zupełnie jak u nas dawniej, jak podają zgodnie *Folgar* i *Schneller* chadzali chłopcy w czasie Bożego Narodzenia, prębrani w białe szaty z kołędą od domu do domu, co zwało się »*Sternsingen*«. Nie brak miejscowości zapadłych w ziemię i dzwonów, odzywających się srebrnym głosem z głębin. Przy zmarłych ustawiają strażę w nocy, przy pogrzebach odbywają sute stypy,

a przy weselach i chrzcinach prawią długie wyuczone mowy, podobnusiennie do tak zwanych »oracyj«, używanych na Szląsku i w innych częściach Polski. Mieszkańcy wsi *Stanzach*, zwani przez miejscową ludność *Stanzamer*, różniący się nie tylko swoim narzeczem, lecz także całą swoją istotą od innych mieszkańców doliny Lecha, stanowią przedmiot *drwinek* dla całej okolicy. Sąsiedzi drwinkują sobie z nich zupełnie tak samo, jak się to dzieje w wielu stronach Pomorza, wyspy Rujny i Meklemburgii, kpią sobie z nich w opowieściach niemal temi samemi słowy, jak nieprzymierzając u nas sąsiedzi pocziwych Wilamowiczan, o których prawią, że przesuwiają swój kościół na podłożonych własnych kapotach, a księżyc łowią w studni, zażywając przy tem niespodzianej i niepożądanej kąpeli.

O stroju niewiast pisze Schneller: »W dawniejszych czasach nosiły białołowy wysokie krągłe czarne czapki z »radinu« (ostatni wyraz oznacza prawdopodobnie wyrób tkacki domowego przemysłu, należący do osobliwości miejscowych — bliżej nie umiem objaśnić wyrazu »radin«) i zwinięte na głowie dwie kosy, z szeroką, czarną, spadającą wstążką, zwaną »Gerölle«. »Goller« okrywał im biodra, czarny welon służył za chustkę na szyi. Starsze albo w żałobie znajdujące się niewiasty nosiły tak zwaną »Stanche« długi, biały, płócienny, szeroki rańtuch, trzykrotnie obwiedziony na głowie tak, iż widać im było twarz.

Sądzę, że te »Stanche« można bez wahania poczytać jako pozostałość dawnych niewieścich płacht uroczystościowych, które się przechowywały w licznych miejscach północnych Niemiec, pomiędzy zniemczonymi bodryckimi i lutycko-pomorskimi plemionami, używane są po dziś dzień w niektórych okolicach Polski między ludem i wogóle istnieją jeszcze niemal na wszystkich ziemiach słowiańskich. Wszędzie płachty są białe i długie, służą przy uroczystościach a także przy pogrzebach, przyczem nie należy pominąć milczeniem, że u wielu ludów słowiańskich kolor biały oznaczał i jeszcze oznacza żałobę.

»Dawniej«—podaje dalej Schneller—»noszono bardzo często czapki wydrzane, z zielonym kutasem, przedstawiające wartość 32—25 guldenów«. Te cenne czapki wydrzane przy-

pominają żywcem kaszubskie czapki »muce«, o których czytamy takie cuda w »Panu Czorlińskim«.

Zaznaczyć należy, że wszystko, co powyżej zestawilem, odnosi się tylko do doliny Lecha w ściślejszem słowa znaczeniu, od źródeł jego do pogranicznego bawarskiego miasta Füssen, bynajmniej zaś nie do całego porzecza, które od Füssen zaczawszy aż do ujścia Lecha do Dunaju zowie się »Lechowem polem«, po niemiecku Lechfeldem. Niestety nie miałem dotychczas możności zbadać całego porzecza. Sądzę jednak, że na »Lechowem polu« znalazłyby się również ślady słowiańskie, gdyż nie może ulegać wątpliwości, iż całe porzecze Lecha nad górnym i dolnym jego brzegiem i daleko i szeroko po za obrębem porzecza zamieszkiwała ta sama pierwotna ludność co liczne i różnorakie stwierdzają świadectwa.

Sąsiednia ziemia na lewym brzegu Lecha, rozciągająca się do rzeki Iller i jeziora kostnickiego zowie się Allgau. W zwyczajach ludowych utrzymało się dużo osobliwości z czasów pogańskich. Dziewczęta zowią »Weelen« lub »Beelen« (białki). W górach koło Immenstadtu pełno krośniąt, zwanych »Haiden« (poganie). Można ich nawet widzieć w dzień. Słychać jak płaczą w dzień zaduszny. Duchy chodzą pod rozmaitymi postaciami. Zapadłe zamki. Skarbów strzegą zaklęte dziewice i księżniczki w wnętrzu gór. Dożynki obchodzi lud bardzo szumnie. Przy weselach drużbowie na koniach zapraszają gości. Młoda para jedzie na jednym koniu, zbierając u krewnych podarunki. Panna młoda podczas tej przejażdżki trzyma przed sobą kądziel, pięknie przystrojoną, w którą się zaopatrzyła i przedzie jadąc. Na wesela spraszają całą wieś. Korowody weselne zajeżdżają z gędźbą aż pod bramę kościelną. Napojów bynajmniej nie wylewają za kołnierz. Czasami biją się między sobą. Prażniki nie mniej wesole. Rymowane mowy sypią drużbowie i drużki jak z rękawa. Na odpusty walą się tysiącami. Ubiór niewiast czerwony od stóp do głowy.

Bluatschink z nad górnego Lecha przebywa także w okolicy miasta Bludenz, położonego nad rzeką Ill, w Vorarlbergu. Miasto zwane w dokumentach Plutenes i Blutenes a formy starej nazwy i obecna nazwa niemiecka wskazują na Błotnice, tembardziej, iż nad lewym brzegiem rzeki Ill ciągną się moczary, a stare miejscowe podanie twierdzi, że stare Blutenes

leżało właśnie na lewym moczarowatym brzegu Illu i zostało zasypane ogromnem urwiskiem góry Latz podczas trzęsienia ziemi. Ślady zasypu koło miejscowości Bürs widoczne wyraźnie, nie tylko z góry Latz, lecz i dalej za Mokri-Anlage na moczarowatym brzegu Illu koło wodospadu i za miejscowością Braz, z najwyższej w okolicy alpy Scesaplana (wymawiana wyraźnie przez miejscowych Szczezapłana) posiadająca 2963 m. wysokości.

Nie jestem o tyle biegły w starym etruskim, retyjskim lub keltyckim języku, ażebym mógł wyetymologizować z jednego z nich nazwę rzeki Ill, góry Latz i miejscowości Bürs i Braz, jeszcze zaś mniej Mokri-Anlage i Szczezapłany Ill, Mókri i Szczeza orzekają same przez się dobitnie o swoim pochodzeniu, podobnie w pobliskich dolinach nazwy miejscopisne: Lasanka-Tobel, osada Laaz, łąka Zulang (dolina Montavon), gdzie miało stać w starych czasach miasto Pratzalanga, zasypane urwiskiem skały — góra Pillerhöhe, Jamthal (dolina Patznaun—Patznaunerthal), miejscowości Bludesch, Ludesch; koło Gurgellen przyłącz Schlupin góra Hochgerach; w »Breganckim Lesie« (Bregenzerwald): miejscowości: Bezan. Bezegg, Mellau, Kliem, dolina Mellau, Starzeljoch; w sąsiednim księstwie Liechtenstein: góra Hoher Freschen, alpa Garniza, góra Gamprin, małe pasmo gór Kulm, góra Masescha, dolina Samina—miejscowości: Nenzing, Triesen, Vaduz.

O zabytkach słowiańskich w Tyrolu północnym i południowym, na ziemi solnogradzkiej i w Friaulu istnieje cała osobna literatura. Nie należy to do zakresu niniejszej rozprawy. Zaznaczę więc tylko, że mnóstwo źródłowych szczegółów o tem zawierają pisma: dr. J. C. Mitterntzera, Terstenjaka, Pateglera, Unterforchera, dr. L. Stenba, Koch-Sternfelda, dr. Biedermanna, Bergmanna, Muchara, Greśniewskiego, Knosingera, Freudensprunga, Auera, jako też liczne prace innych jeszcze pisarzy, rozrzucone po rozmaitych czasopismach.

Zwróćmy się więc do graniczącej Szwajcaryi. Spotykamy się zaraz na wstępie, mianowicie w okolicy Ragacu z górą Tabor, górą Guschakopf, alpą Lasa; przy drodze Rorschachu na Ragaz do Churu g. Ruppen, stacye kolejowe Saletz i Batzenhaid, g. Gonzen a koło Churu g. Obervatz; na drodze z Chur przez Schanfigg do Davos: rzeka

Strela, przylecz Strela; z Chur przez przednią dolinę Innu do Andermatt: stary zamek Vrin, Peilthal, dolina Tavetsch, alpa Milez; z Disentis do Biasca: góra Perdatsch.

W Engadynie górnej i dolnej: miejscowości: Prutz, Stuben, Zernetz, Samaden, Crasta, Crusch, Glüna, Grüşch, Grono, Pila, Sila, Zizers, Sils. Dr Lecher¹⁾, jeden z najlepszych znawców tej krainy i jej romańskiej ludności, pisze o tej miejscowości: najgórniejszą gminą engadyńską (od strony Włoch) jest Sils, po romańsku Segl — znowu nazwa której etymologia sprawia ból głowy... Gmina składa się z 3 wiosek, zowiących się: Baseglia, Maria i Feet albo Fex... Baseglia (z bazyliką) oznacza wieś parafialną. W XIII w. zwała się miejscowość po łacinie: Silles, Silm, a później campella Selium. Leży ona nad jeziorem Sils (Silsersee), w które wpada czczerniała skała wystająca, zwana przez ludność miejscową romańską Crap da Chüern — wymawiana po romańsku: Czîern, doskonale określająca czarną skałę. Nazwy gór, lodowców, dolin, przyleczy, rzek i potoków noszą w Engadynie nazwy o wiele znacznie wskazujące na pochodzenie słowiańskie. Nazwy ziemiopisne są najstarsze, one właściwie rozstrzygają o szczepowej przynależności zaludnienia pierwotnego, podobnie jak wykopaliska. Oto ich garść: Piz²⁾ Lischana, Piz Pisoc, Piz Cotschen, Tiatschagletscher, góra kamienista, nieporosła lasem Lüsza, Piz Bernina także Berlin, Roseggletscher, po romańsku Rozeč (z — wymawiane jak nasze sz, a więc po romańsku Roszcz), monte de Scerscen, wymawiane po romańsku Szerszen, Piz Corvatsch, Morterutschgletscher, alpa Surovel, przylecz Sella; rzeki: Sela, Surawa, potok Vadrel da Tschierva, źródło siarczane Mafetla del Darguu: doliny: val Plafna, val Tasna, val del Buotsch, wąwóz val Mela, a na granicy Włoch ku dolinie weltlińskiej znana stacya klimatyczna Maloja; na drodze z Samaden przez Berninę Berlinę do Veltlinu: ruina pogranicznej fortecy Platta mala, a z Maloi do Veltlinu: dolina Malenco, o której piszą podręczniki podróżne, że »zbiega się tu cały szereg małych

¹⁾ Führer durch Engadin.

²⁾ Piz oznacza po romańsku wyższą górę i często lodowce.

dolin. W dolnej Engadynie: Vesilbach, Vesiltal, Visnitzbach i Visnitztal.

Oto wiązanka nazw ziemiopisnych z innych kantonów szwajcarskich: w dolinie Zina w. Prazlong, w dolinie Moery w. Grimenz i Salgetsch — w tej okolicy w. Zerbitzen, w. Lenk, Gemmi Daubensee; w dolinie Rhona w. Jettzenau, g. Bietschhorn, w. Visp; koło miasta Brug w. Bitsch; między miastami Biel i Brieg: w. Richinen, w. Wirbel, alpa Bel; na drodze z Bex do Sitten: w. Derborence, w pobliżu przyłącz Sanetsch; w dolinie Furtmann stary las Duben-Dubenwald, przez który ciągnie się droga 2½ godz.; dalej na północ w kierunku Thun za jeziorem Dauben i przyłączą tej samej nazwy dolina Veschinen-Gemnie-Veschinenthal, wyżej w dolinie Kander w. Ober i Unter-Öschinen, koło jeziora i potoku Öschinen; dolinie Lonza (pobocznej Rhona) g. Goppenstein, na wschód od niej Bietschhorn i Bietschgletscher; koło Dubenwald dolina Lotsch i dziki górski potok Gredetscher; w okolicy miasta i jeziora Thun: w. Ganten, w. Mühlenen, g. Bellenhochst; w okolicy Interlaken: dolina Mettlen w górnej części z 16 dopływami, wyglądająca na mapie istotnie jak miotła, i g. Mettlen; koło miasta Sitten m. Mayentässen; po drodze z Vis do Zermatt: Gornergrat, Gornergletscher, Gornerklamm, Lyskamm, Lysjoch i Lystal.

W Bazylei istnieje brama Spahlentor, zbudowana w r. 1473; przy szlaku Bazylea-Szafhuza: kopalnia soli Ryberg; przy szlaku Bazylea-Zurych: stacya kolejowa MuttENZ, Möhlin, Bözenegg, Büllach; szlak Bazyleja-Olten-Lucerna: stacya kolejowa: Lissach; Lucerna-Brien: w. Sarnen, Sarnensee; koło Giswyl: zamek Rudenz; szlak Meiringen-Lauterbrunn: g. Dasenhorn, Zäzenberg, potoki: czarna i biała Lutschine, g. Strahlegg, g. Tschuggen; w dolinie białej Lutschine: Isenfluk, Hunnenfluk (w Szwajcaryi zwano Hunami Słowian), alpa Grutsch i o. Zaben; w dolinie czarnej Lutschine: góra Daube, am. Bitschi, dolina (poboczna Lutschen-Lutschental; koło Mörel: zamek Mangapan, dolina potok Sesinen; w górnej dolinie Simman przyłącz

Lötschen, potok Dala; koło miejscowości Zweisimmen na wzgórzu zwaliska rzymskiego castrum Lubica.

Wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy podręcznik podróży, by z jego abecadłowego spisu miejscopisnego powyżej podane przezemnie szwajcarskie nazwy ziemiopisne, posiadające wybitne słowiańskie brzmienia uzupełnić jeszcze innemi tego rodzaju nazwami. Przytaczam z Mayera podręcznika: Szwajcarya:

Adlisberg, Budden la panna, Campatsch, Charnitz g. Cerwin, Ennetboden (Wennetboden), Eschenz, Garzen, Garzeno, Gitschen, g. i jezioro Golzeren, Gonten, Graplang, Grabiascina, Gürenbad, alpa Kray (Krayalpe), Lesa, Leysen, Liestal, Lisighaus, Murren, Oberwindeck, Povaj, Piz Pulaschin alpy, Sassi, Sella Hütte, Selibruck, Seewen, Sementinaschlucht, Sementschaschlucht, Scez, Suna, Tschannaff, Tschierstchen, Tschera Piz, Vissove, Weesen, Wohlen, Zigers, Zmeiden i inne.

W St. Moritz, w dolnej Engadynie, rzeka Inn, wypływająca z jeziora Stantzer-Stantzersee, tworzy wodospad, zlatujący z wielkim łoskotem i hukiem w ciemną czeluść skalną. Przechadzając się przed dwoma laty nad tem jeziorem, stanąłem przy wodospadzie, przypatrując się tylko — romantycznej czeluści kamiennej, pochłaniającej, w ciemnem swoim wnętrzu, spadający z jeziora odpływ. Niebawem spostrzegam koło siebie człowieka, z wyglądu miejscowego, którego pytam w języku niemieckim, jak się wodospad zowie. — Odpowiada mi:

— W naszym języku, romansz, Czarna djūra.

Słucham z ogromnem zdziwieniem, sądząc z razu, że mi się przesłyszało, czarna dziura, więc pytam go się raz jeszcze. Odpowiada mi:

— Po naszymu Czarna djūra.

— Jak się to pisze — zagadnąłem go dalej.

— Niech mi pan pozwoli kawałek papieru i ołówek.

Dobyłem notatnik, podając mu go wraz z ołówkiem.

Napisał wyraźnie: »Charna dūra«, a potem dodał:

W naszym romansz wymawia się ch jak niemieckie tsch, więc mówimy Czarna djūra. O tej czeluści ciemnej opowiadają ludzie u nas dziwne historie. W prastarych czasach

przebywał w niej straszny smok, który zjadał ludzi z wsi okolicznych, ale znalazł się przemyślny i odważny rycerz, który go pokonał. Rycerz ten oślepił go najpierw podczas snu, a następnie, gdy ślepy smok nie mógł już tak łatwo łowić ludzi i ich pożerać, podsunął zgłodniałemu smokowi barana zabitego, którego wypchał siarką, i siarkę, gdy go smok pożerał, zapalił. Smok zadusił się dymem, a rycerz posiadał zaklętą królową i jej wielkie skarby, zbawiwszy ją przez ubicie smoka, który z polecenia czarta trzymał ją na uwięzi i strzegł w ciemnej tej czeluści.

Dziwna rzecz. Podanie o smoku, przebywającym w engadyńskiej »Czarnej górze«, prawie się nie różni od podania o smoku, który się gnieździł w jaskini wawelskiej.

Pytałem go się, jak się ów mężny rycerz nazywał i z którego pochodził zamku, lecz na to odparł:

Działo się to tak bardzo, bardzo dawno, iż ludzie zapomnieli nazwisko rycerza i jego zamku. Może — dodał — ludzie starzy wiedzą o tem co bliższego, lecz my młodzi o tem nic nie wiemy. Nas mało obchodzi zresztą bajki, a każdy z nas we dnie i w nocy przemyśliwa tylko o swoim interesie.

Czarnej djury podobno nikt już nie zdoła wyprowadzić ani z etruskiego, ani z retyjskiego, ani z keltyckiego, a najmniej z romańskiego lub niemieckiego języka.

Na tem kończę. Czy zdołałem wykazać ślady słowiańskie na ziemiach dawnej Recyi i Windelicyi, sąd o tem do mnie nie należy. Zniewolony jestem, czując dorywczość niniejszej pracy, prosić o pobłażliwą wyrozumiałość. Mam jednak nadzieję, że przy głębszych studyach i obszerniejszych badaniach może mi się uda dla swej nowej myśli stworzyć silniejszą podstawę naukową.



Liczby Trzy i Dziewięć w mitach, wyobrażeniach, mistycznych praktykach i w zwyczajach ludowych.

Referent

Jan Świątek.

Wprawdzie nie jest w mojej możności oznaczenie, w jakiej epoce swego kulturalnego rozwoju począł pierwotny człowiek zdawać sobie sprawę z potrzeby liczenia, śmiem przecież przypuszczać na podstawie mnogich szczątków z doby przed-dziejowej, zachowanych do dziś dnia drogą tradycyi w mitach, wierzeniach i w mistycznych praktykach ludowych, że pierwszym szczeblem w pojęciu ilości były liczby od 1 do 3 i że najstarszym, w pewnej mierze ustalonym systemem rachunkowym był system trójkowy. W epoce, w której system trójkowy wyłącznie panował, liczba 3 była tem, czem jest dzisiaj liczba 10; była wszelako wyrazem, na którym kończyło się liczenie, a ponowne zaczynało się w razie potrzeby. Z biegiem czasu atoli, w dalszym cywilizacyjnym pochodzie ludzkości, wyłoniła się konieczność utworzenia nowej liczby, gdyż w rozliczaniu jednoimiennych przedmiotów za pomocą liczby 3, nawet trzykrotnie branej, zachodziły trudności i nieporozumienia. Tak wytworzono z 3×3 liczbę wypadkową Dziewięć, która już

była czemś skonczone w trójkowym systemie rachunkowym, liczono też: 1×3 ; 2×3 ; wreszcie $3 \times 3 = 9$. Dochodzono tym sposobem do 3×9 , a następnie przez 3-krotne dodanie odkładanych, że się tak wyrażę, trójdziwiątek do łącznej wypadkowej »9 Dziewięci«.

Za ostatnią hipotezą przemawia również wiele przykładów, zwłaszcza rozsianych w mistycznym lecznictwie.

Przedmiotem mojego referatu jest wykazanie odnośnych zabytków, przechowanych w tradycji ludowej z czasów bezsprzecznie bardzo odległej starożytności; w tym względzie poprzestanę wszelako z braku czasu na materyale przez siebie zebranym, częścią już ogłoszonym, częścią dopiero do druku przygotowanym. Ale i ten materyał jest dość obfity, bo pochodzący z około stu polskich osad w różnych okolicach Galicji, aby przynajmniej poniekąd zastąpił lud polski wogóle; zresztą pobieżny przegląd innych publikacyj ludoznawczych przekonał mię dowodnie, że także w nich w wielkiej ilości są rozsiane analogiczne przeżytki.

Zacznę od mitów i wyobrażeń. I tak: w żadnej z zebranych 12 bajek mitycznych z życia zwierzęcego liczba zwierząt nie przekracza liczby 3. W 2 występują jako miarodajne czynniki po 3 zwierząt: 2 koty i 3. małpa, pies, kot i mysz; w dwóch zaś po 2 zwierzęta w stosunku z człowiekiem: żyd Szymek, koza i wilk; koza, żyd i jeź. Podanie o ptaku, zwanym »cierpiotką«, mówi, że szydziła z Pana Jezusa na krzyżu, wołając po trzykroć: »Cierp! cierp! cierp!« i dlatego na wieki ten głos wydaje. (L. N. 586).

W świecie bohatersko-mitycznym występują zwierzęta w ilości 3, a w razie mniejszej liczby zazwyczaj wszystkie akcesorya ograniczają się na liczbie 3: a) Król daje 3 swoim synom 3 strzały, każdemu po jednej, z poleceniem wyszukania mu 3 synowych przez wypuszczenie tych strzał na 3 domostwa, w których są dziewczęta na wydaniu. Strzała 3. z rzędu syna, t. j. najmłodszego pada na bagno, z którego wylania się żaba. Królewicz rozpacza; dzięki jednak uczynności 3 zwierząt: wilka, niedźwiedzia i lwa, żaba zamienia się w królowną przedcudnej urody. Była bowiem zaklęta (Cłó); b) ubogi rybak łowi kolejno przez 3 dni rybę złotą, która w 1. i 2. dniu wyprasza się ze sieci, w 3. dniu atoli pozwala się nie tylko złowić

lecz nawet poucza rybaka, co ma z nią zrobić. Stosownie do tej rady rybak daje rybę do spożycia żonie i 3 zwierzętom: kobyle, kocicy i suce. ości zaś wkłada na strych, do stodoły, komory i skrzyni. Żona rodzi bliźnięta ze złotymi włosami, zwierzęta młode ze złotą sierścią. Jeden z bliźnięt, dorósłszy, przybywa do miasta, w którym 3 straszne gady pożerają ludzi. Na pożarcie są już przeznaczone 3 córki królewskie w 3 dniach następnych. Syn rybacki zabija w 1. dniu gada o 1 łbie, w 2. gada o 2 łbach, w 3. gada o 3 łbach. Młodzieniec żeni się wreszcie z 3. (najmłodszą) córką królewską, która miała być w 3. dniu przez smoka o 3 łbach pożarta. (Brzozowa).

Ze świata mityczno-roślinnego, który zresztą w dziale* powieściowym słabe znajduje odbicie, na wzmiankę zasługują 3 ogrody o trojakich drzewach: w pierwszym rosły drzewa ze srebrnymi, w drugim ze złotymi, w trzecim z perłowymi liśćmi. W 3. ogrodzie wyszedza też Józek, trzeci z kolei z wybranych przez króla wysłańców, w 3. noc z rzędu królowną, tańczącą z innemi pannami, a wskutek tego zdzierającą przez noc 300 (sądzę, że pierwotnie było 3) trzewików. (L. N. 352).

Prócz powyższych mitów o zwierzętach i roślinach, znajduję jeszcze w swych ludoznawczych zbiorach 23 powieści mitologiczne, z których 15 świadczy wymownie o symbolicznem znaczeniu liczby. Trzy w okresie powstania tych powieści. Motywy i treść owych powieści są w większej lub mniejszej mierze do siebie zbliżone. Przeważnie występuje w nich trzech synów (braci), rzadziej 3 córki (siostry), z których trzeci z kolei, głupi, bo najmłodszy lub najmłodsza, spełnia czyny bohater-skie, względnie przy pomocy 3 cudownych rzeczy, za trzecim zachodem, po trzykroć także się przebierając. I tak: 1) umierający ojciec przekazuje trzem synom 3 strzelby z poleceniem modlenia się na jego grobie przez 3 noce z rzędu. W spełnieniu tego obowiązku, który w onej okolicy był zwyczajem, wyręcza starszych braci trzeci, głupi, za co ojciec-nieboszczyk obdarza go 3 cudownemi rzeczami: srebrnym gwizdkiem, złotą laską i dyamentową płachtą. Te 3 rzeczy są głupiemu pomocą w trzykrotnym wyjeździe na Szklaną Górę. Strój jego i konia jest za pierwszym razem srebrny, za drugim złoty, za trzecim dyamentowy. Za trzecim wyjazdem zdobywa też głupi trzecią czyli najmłodszą z córek królewskich. Trzykrotne zapędy star-

szych braci spędzili na niczem; brali oni też po trzykroć chłostę z ręki przebranego głupiego. (Cło). 2) W innej powieści z tej samej miejscowości jest mowa o 3 sklepach, które ojciec oddaje 3 synom. Trzeci z braci, także głupi, obdarzony przez tajemniczego dziadka za 3 zachodami, trzema dzwoneczkami: srebrnym, złotym i dyamentowym, wyjeżdża przy ich pomocy 3 razy na Szklaną Górę, na której oczekuje szczęśliwego zwycięzcę — córka królewska. Strój bohatera i konia w tej trzykrotnej wyprawie odpowiada jakości kruszcu dzwoneczka. Głupi żeni się z córką królewską, wyłącznie za jej wolą; król bowiem pogardza zięciem, który z dyamentowego rycerza staje się znowu biedakiem i głupim. Wybuch po 3-kroć wojna, po 3-kroć król już ma być zwyciężony, po 3-kroć atoli w najkrytyczniejszej chwili zjawia się nieznany rycerz, naprzód w srebrnej, potem w złotej, wreszcie w dyamentowej zbroi i na koniu tak samo ubranym — i po 3-kroć odnosi stanowcze zwycięstwo nad wrogiem. Król stara się poznać rycerza, który wszelako znika i dopiero po trzecim zwycięstwie daje się poznać, że jest zięciem królewskim. 3) Podobna opowieść podana jest w moim »Ludzie nadrabskim« (str. 346); nadrabski bohater wszelako, udający niemego »potworaka«, odnosi zwycięstwo nad wrogiem króla i żeni się z najmłodszą z jego córek przy pomocy cudownej kobyły, którą, jak się wreszcie okazało, była macocha bohatera, a dawna jego prześladowczyni, zaklęta przez czarownika. Nadto rzucały wszystkie trzy córki królewskie po trzykroć »gałki« z ganku, aby przez takie losowanie król mógł odszukać zwycięzcę i wynagrodzić go ręką jednej z córek. Gałki po 3 kroć padały na niemego ogrodnika, dwie starsze królewny nie chciały ani słyszeć o »potworaku«, którego z radością wylosowała za męża najmłodsza. (Targowisko). 4—8). W 5 mitach, w których mowa o 3 braciach (synach), dwóch starszych mądrych, a trzecim najmłodszym, głupim — głupi wyjeżdża: a) na Magnesową górę po »gojącą« wodę dla ojca (Brzozowa), b) na Dyamentową górę po królewne (L. N. 363); c i d) spełnia czyny bohaterskie za sprawą 3 cudownych rzeczy: kapelusza, kabata i worka cudownego (Kraków); powroza, kota i koguta (Górna Wieś, Prz. 431); f) przyjąwszy w 3. roku z kolei po dwóch starszych braciach służbę u tego samego okrutnego gospodarza, który według

umowy bezwarunkowo za zgniewanie się parobkom uciął ręce, dzięki swej przytomności umysłu i poradności, nie tylko nie daje się usidlać, lecz nawet obok innych strat znacznych, przy końcu roku o to samo kalectwo przyprowadza słuźbodawcę, o jakie on przyprowadził jego braci w 2 poprzednich latach. (Wróblowa, Prz. 125). 9) Pan żeni się z wychowaną ptaków, urodzoną z łoną lokaja. Babka poleca kolejno przez 3 lata tracić 3 nowonarodzonych wnuków, a na ich miejsce podrzuca znienawidzonej synowej pieską, kotką i lalkę. Mąż po powrocie z wojny przyjmuje z rezygnacją w pierwszych dwóch latach tłumaczenie się żony z powodu urodzenia zwierząt, w 3. roku atoli, powróciwszy po raz trzeci z wojny, każe ją zamurować. Chłopców wychowuje przecież potajemnie ogrodnik; oni też, dorósłszy, wyprawiają się kolejno na Kryształową górę po wodę z cudownego źródła dla przybranego ojca. Każdemu z nich przed wyjazdem daje pustelnik po gałce. Przy pomocy tych gałek, po 3-kroć rzucanych na ziemię według polecenia, dostało się tych 3 braci do źródła; skamienieli wszelako za powrotem, przestąpiwszy zakaz oglądania się poza siebie (Brzozowa). 10) Osierociąwszy po młynarzu 3 córki i syn nie mają co jeść; musiał więc syn, a raczej brat, oglądać się za sprzedażą odziedziczonych cieliczek. W drodze spotyka on podróżnego, który mu za cieliczki oddaje 3 psy i piszczałkę. W dalszej drodze wpada młynarczyk w ręce zbójców, którzy go na śmierć skazują; on jednak zagrał na piszczałce, przypadły 3 psy, rozwalily mury i zbójów zagryzły. Owe trzy psy były później żywicielami młynarczyka i jego 3 sióstr. (L. N. 344). 11) Trzy córki królewskie, porwane przez 3 orły na wysoką górę, powraca ojcu odważny młodzieniec i dla tego później żeni się z najmłodszą (Majdan Prz. 119). 12) Głupi, ale mocny Maciek zabija 3 boćka (potwory, smoki) i król zmuszony jest dać mu córkę za żonę (L. N. 357). 13) Charakterystyczniejszą jest powieść o żołnierzu, wracającym po dłuższej służbie z wojska. Ma on przy sobie tylko 3 centy, które daje w jałmużnie 3 żebrakom, spotkanym kolejno w drodze, a następnie za radą ostatniego żebraka, prosi o wskazanie mu służby 3 przydrożne słupy. Trzeci z rzędu z owych słupów poleca żołnierzowi udać się do dworu, w którym on zwalcza dyabłów strasznych (Brzozowa). 14) W 2 odmianach powyższej powieści, pochodzącej

także z Brzozowej, żołnierz za podobną jałmużnę, która była całym jego majątkiem, otrzymuje od 3 dziadka, spotkanego kolejno w drodze: a) 3 cudowne rzeczy: jabłoń, gruszę i torbę, b) taką tabakierkę, z której nie nie wylezie, co do niej wejdzie.—Przy pomocy owych rzeczy robią ci dwaj żołnierze cuda. 15) Poniekąd odmianą jest także powieść o starym żołnierzu, który obdarowany przez dziadusia (Pana Boga) wędrownego 3 cudownymi rzeczami: fajką, kartami do gry i torbą, z największymi ciężarami nie nie wążącą, za ich pomocą śmierć zwalcza i zamyka 3 dyabłów w torbie (Bielcza Prz. 444).

Przejdźmy do wierzeń o człowieku i gadek o różnych ludziach:

3 razy zmienia postać rodzaj ludzki w 3 okresach czasu swego istnienia na ziemi: Za rządów Boga Ojca żyją Wielkoludy, pod rządami Boga Syna dzisiejsi ludzie, a pod rządami Ducha Św. żyć będą karły (L. N. 342. Brzozowa). — W legendzie o przeznaczeniu prowadzi wisielec chłopa, który go odciął, do 3 domów, wskazując mu 3 noworodków, pierwszego ze stryczkiem na szyi, drugiego w ornacie, trzeciego z szablą przy boku. Tym sposobem udowadnia wisielec, że powieszenie się było jego przeznaczeniem od urodzenia, jak widziane znamiona na owych trzech niemowlętach wskazują już od urodzenia, jaki będzie los przyszły każdego (Brzozowa).

Na 27 gadek o człowieku, jest 11 takich, które nas w danej kwestyi interesują. Część z nich ma podkład humorystyczny. I tak: 1) Zbój żeni się kolejno z 3 córkami bogatego pana, z których dwie starsze za przestąpienie zakazu morduje; trzecia najmłodsza zaś wydaje go w ręce sprawiedliwości (L. N. 395). 2) Trzech braci szuka służby i kolejno spotyka tegosamego pana (czarnoksiężnika); dwaj starsi byli nieogłędni i przyznali się do znajomości czytania i pisania; trzeci najmłodszy nie przyznał się i dlatego do służby przyjęty, pokonał czarnoksiężnika jego własną bronią (Nowy Sącz Prz. 261). Z 3 braci najmłodszy trzema próbami kradzieży udowadnia, że jest zawołanym złodziejem, zanim pojął w małżeństwo córkę pana, a z nią posiadał jego majątek (L. N. 419). 4) Dziedzic przyrzeka pasterzowi wygranie procesu z młynarzem po rozwiązaniu 3 zagadnień: co jest najdroższego, najśłodszego i najtłuszcieszego? (L. N. 423). 5) Chłopska córka do rozwiązania

3 zadań, danych jej przez króla, potrzebuje 3 rzeczy: zajęcy, sieci i barana (Borowa, Mat. VII/II, 102). 6) Żołnierz na rozkaz cesarza ma za dni 9 rozwiązać 3 zagadnienia: wiele gwiazd na niebie, wiele na jego koniu sierści i co on (cesarz) myśli? Żołnierz spełnia rozkaz za pomocą 3 rzeczy: brzytwy, przetaka, i papieru (L. N. 431). 7) Bartek żeni się z Maryną po zastosowaniu w 3 nocach 3 forteli (L. N. 404). 8) Chłop, bijany przez babę, wie dzie na jej polecenie 3 barany na sprzedaż, za niesprzedane jednak ma wszystko na święta kupić (L. N. 404). 9) Leśny, zdradzony przez żonę z Kubą, z posągu św. Piotra radzi, niepoznany, żonie, pragnącej jego śmierci, dać mężowi do zjedzenia naprzód 3 kaczki — to chłop ogłuchnie, następnie połec szpyrki — to ociemnieje, a na 3 ostatnie danie ciele — to chłop umrze (L. N. 420). 10) Parobek za radą stryja po gruszkach wypija 3 szklanki kwaśnego mleka, w 3 ważne miejsca też się wypróżnia w nocy: na nalepę w popiół, pod stół w buty ukochanej i w torbę z hupką i krzesiwem; tym sposobem zwalcza współzalatników i żeni się z dziewczką (L. N. 450). 11) Chłopu przepowiada wróżka, że umrze, skoro 3 razy bźnie (L. N. 447).

Z wyobrażeń o potęgach nadprzyrodzonych, z klechd i legend zasługują na szczególniejszą uwagę następujące:

1) Przestęp, rosnąc przez 9 lat w jednym miejscu, ryczy jak krowa (Jordanów). 2) Trawa, zwana »złodziej«, otwiera za 3-krotnem dotknięciem wszystkie zamki i kłódki (L. N. 536). 3) Złodziej nie będzie schwytany, skoro przed spełnieniem kradzieży obiegnie 3 razy dotyczące domostwo (Gręboszów). 4) »Chłop-doktor« w Smykowie 3 razy gwizda, aby przywołać żmiję, która chłopą ukąsiła, przywołaną zaś w obliczu ukąszonego zabija 3 pręcikami, a następnie z jej skóry, głowy i ogona sporządza skuteczne lekarstwo (Borowa, Mat. VII/II, 106). 5) Czarownica przed podojem swych krów po 3-kroć macza powązkę w rosie na obcych miedzach, aby ściągnąć mleko od krów dotyczących sąsiadów do wymion własnych krów (Zaryte). 6) Czarownica podczas Resurekcyi nie potrafi obejść 3 razy kościoła wokoło (L. N. 523). 7) W Wielką Sobotę wczesnym rankiem, kiedy jeszcze ptaki nie śpiewają, zbierają czarownice rosę na 9 miedzach, w domu warzą ją w liściach prze-

stępu, a tym odwarem polewają do 3. razu progi stajen, z których krowy chcą zaczarować (Jordanów). 8) Czarownica trzyma przez 9 lat korzeń przestępu w szafliku, dodając do niego codziennie po 9 ziarenek zboża i po 2 łyżki mleka. Po 9 latach z tego zbioru wyrasta dyablik w postaci czarnego kota, który służy czarownicy do sprowadzania pieniędzy i mleka od cudzych krów (Bulowice).

Wiele przykładów, niż o ludziach-duchach, nastroczają mi wyobrażenia ludowe o duchach i bóstwach:

9) Dusze 3 zmarłych bez chrztu dzieci objawiają się w swej wędrówce pośmiertnej w 3 jabłkach, wydanych przez jabłoń, która 9 lat nie rodziła (legenda, Oświęcim, Prz. 245). 10) Strzygonica po 3-kroć usiłuje dostać się do żołnierza, ukrytego na chórze, po 3-kroć jednak spada ze stosu trumien, który stawia na kościele (baśń, Brzozowa). 11) Upiór, chcąc znaleźć swą trumnę, w której na ambonie siedział ukryty Wicus, rachuje trumny innych nieboszczyków: raz, dwa, trzy aż do 9, a następnie odwrotnie 9 — nie, ... trzy — nie, jeden też — nie (Górna Wieś). 12) Nad Rabą wśród ludu rozpowszechnione są wierzenia, że Śmierć, zjawiając się wieczorem w przeddzień zgonu człowieka w obejściu gospodarskiem, trzykrotnie puka w okno dotyczącego domu i po trzykroć wzywa chorego po imieniu, zadając zaś cios człowiekowi, wydaje 3-krotny okrzyk: »pul, pul, pul« (L. N. 452). 13) Dyabeł, ulepiwszy kozę z gliny po 3-kroć krzyczał: »Stajáj koza bez moją moc« — ale nadermnie, choć za trzecim razem pociągnął ją nawet za ogon, aby jej udzielić czynnej pomocy (L. N. 582). 14) Lucyper skazuje dyabła za nieskuszenie chłopca na 3 lata służby u tego chłopca, a po 3 latach, gdy skazany nie mógł spełnić nakazu, na dalsze 3 lata (Górna Wieś, Prz. 434). 15) Trzech dyabłów siedzi na szubienicy, pod którą stoi biedak z wyłupionemi przez złego brata oczyma, i radzi o 3-krotnem potarciu oczów rosą z pod szubienicy, jako o lekarstwie na oczy. 16) Z 3 braci, którzy po ojcu odziedziczyli 3 sklepy, najmłodszy zaprzedał się dyabłu, wyzwala się jednak w krytycznej chwili z tej matni, rozwiązawszy trzy zagadnienia, nad którymi 3 dyabłów radziło (L. N. 365). 17) Głupi dyabeł potrzebuje 3 marek pieniędzy na okup, aby chłop nie spełnił pogróżki związania wszystkich dyabłów w piekle, następnie przyrzeka temu chłopu

jeszcze dodatek za wygranie 3 zakładów. Zapora piekielna, rzucona przez dyabła w górę, spadła na ziemię aż za 3 godziny (L. N. 462). 18) Dyabeł daje głupiemu z 2 braci 3 rzeczy piekielne: kurę, obrus i kociołek; te rzeczy, zamienione podstępnie przez karczmarza, odzyskuje głupi dopiero za 3. zachodem (Krościenko niższe, Prz. 122). 19) Dyabeł swata i żeni ubożego szewca z najmłodszą z 3 córek bogatego pana (Brzozowa). 20) Gdy dyabeł w wilię św. Jana po raz 3. jak kogut zapieje, zapadają się coraz głębiej w ziemię jego skarby, które wieczorem wydobywają się na wierzch (Jordanów, Prz. 845). 21) Dyabeł, za wydobycie konia i wozu z bagna, żąda od chłopca za 9 lat tego, o czym chłop nie wie, że ma w domu (Muszyna, Prz. 433). 22) Nawet Pan Jezus obdarza chłopca 3 cudownymi rzeczami za przenocowanie Go ze św. Piotrem: fajką, w którejby nigdy tytoniu nie zabrakło mimo ciągłego palenia, dzbankiem, zawsze pełnym piwa, torbą. z którejby nic nie wyłazło, co do niej wlezie (L. N. 321). 23) Nie żąda także Pan Bóg, wędrujący w postaci dziadka, w nagrodę za cudowne leczenie śmiertelnie chorych tylko 3 chleby i 3 sery, które towarzyszący Mu chłopi skąpiec zjada, składając winę na ptaki. Pan Bóg poleca skąpcowi zmiatać piasek na 3 kupki, z których tworzą się 3 kupki złota, mniejsza dla skąpca, 2 większe dla ptaków. Skąpiec wyznaje wtedy po 3-kroć swą winę (Bieleza, Prz. 443). 24) Księża Jezuici, aby poświęcić dzwonek »na chmury«, muszą przez 9 dni i 9 nocy wciąż się modlić, nie nie spać, ani też nie jeść i nie pić (L. N. 552).

O wiele wydatniej przedstawia się liczba 3 wraz z wypadkową 9 w kulturalnem zastosowaniu, skąpiej wszelako w etyce, niż w kulcie, praktykach zabobonnych i w lecznictwie mistycznym.

Pod względem etycznym notuję zaledwie 6 przykładów:

1) Aby uświęcić swą osobę wobec dyabła, człowiek nie powinien się zakładać, że o północy obiegnie dom 3 razy wokoło, za trzecim obchodem dyabli zrywają śmiałkowi głowę. 2) Aby szkody nie wyrządzić bliźnim urokiem, powinien człowiek, patrząc na cudze dziecko lub bydło, splunąć po 3-kroć na bok i powiedzieć: »Na psa urok!« (Bochnia). 3) Aby nie sprowadzić czarownicy do tego domu, z którego bierze się

mleko po zachodzie słońca, należy obejrzyć się do 3. razu na ten dom (Brzozowa). 4) Urazę lub zrzadzoną mniejszą szkodę należy do 3. razu darować, dopiero za 3-cim razem powinno się żądać zadośćuczynienia (powszechnie nad Rabą); to też w grze »w Zieloną« zwykle umawiają się zakładający: »Pięrsą wina darowina, drugą odpusconą, trzecią dopiero zapłaconą« (L. N. 111). 5) Kto na trzykrotne pozdrowienie nie odpowie wzajemnem pozdrowieniem, ten dopiero zasługuje na »zwy-myślanie«. Dlatego chłop znieważył słowami: »Całuj mię w d...!« panicza, rzekomo dyabła »w czapce rogatej na głowie, a z fuzijką przez ramie«, spotkanego przy kopcu granicznym, bo na trzykrotne odezwanie się: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — nie otrzymał odpowiedzi na wieki wieków. Amen« (L. N. 459). 6) Pani młoda pieniędzy, zebranych na czepiec podczas czepin od gości weselnych, nie powinna rachować, aż za dni 9 po weselu, boby się jej pieniądze nie trzymały (Borowa, Mat. VII/II, 112).

Przechodzę do kultu: 1) Dla odwrócenia nieszczęścia za sprawą zwierząt: a) wobec zająca, przebiegającego drogę, 3-krotne rzucanie garstki ziemi w przeciwnym jego biegowi kierunku (L. N. 567); b) wobec wrony kraczącej 3-krotne spluwanie w kierunku jej lotu (L. N. 590, Białobrzegi, Lud. VIII, 365); c) wobec kupionego cielęcia na zabicie 3-krotne rwanie jego sierści na każdą z kilku szczypt (Zw. pr. L. N. Mat. II 210/189). 2) Aby dzikie gęsi, odlatujące do ciepłych krajów, w klucz się rozwinęły, trzeba po 3-kroć wołać: »Kluczem, dzikie gąski, kluczem!« (L. N. 586). 3) Dla zabezpieczenia bydła od uroku należy: a) z niesionej im paszy brać 3 razy po trosze w palce (Zabłocie, Żywiec), przed pojeniem trzykroć pluć do wody (L. N. 561), c) pluć po 3-kroć w tę stronę, w której było się pasie (L. N. 639). 4) Dla dobrej sprzedaży: a) posypują po trzykroć bydlę popiołem przed wyprowadzeniem na armark (Brzozowa), b) niedarzące się bydlę kupione sprzedawca uderza po 3-kroć prętem przed ponownem odprowadzeniem do nabywcy (tamże). 5) Aby krowa za jednym zachodem lub po kilku stanowieniach wreszcie się odpolowała, robią na tym powrózku, na którym ją do wołu prowadzono, 3 węzły (Targowisko, Brzozowa). 6) Aby czarownica krowy nie zczarowała, oblatują w koło 3 razy krowę przed zawierceniem w jej

rogi drewnianka cisowego (Jordanów, Prz. 807). 7) Dla zwiększenia siły koni, obiegają 3 razy dotyczący wóz wkoło, rozbijając przy 3-cim obiegu fiaszkę z wódką o rafę przedniego koła (Proszowice, Pińczów). 8) Dla wyprowadzenia szczurów z domostwa potrzebne jest 3-krotne żegnanie wodą święconą kawałka rozczepionego patyka dębowego (Wola Batorska). 9) Długotrwały mróz ustaje po nawiązaniu na nitce 9 węzłów, przeznaczonych dla 9 łysych mężczyzn, i wyrzucenie tej nici przez okno (Kraków). 11) Dziewczyna dla pozyskania miłości młodzieńca: a) obchodzi go 3 razy wkoło od strony lewej ku prawej, paląc 3 włosy z jego głowy, zawinięte na słomkę, wkręconą w łożową świeczkę (Białobrzegi, Lud, VIII, str. 366); b) daje mu do zjedzenia jabłko, przez 9 dni pod lewą pachą noszone (tamże, 365). 12) Trójka jest także fatalną dla żydów: Dwóch katolików, mocząc z krzyża i równocześnie po 3-kroć spluwając, sprowadza rychłą śmierć na jednego żyda lub jedną żydówkę (Kraków, Wieliczka). 13) Parzoną czarownicę, wskutek gotowania starego żelaziwa w mleku, wpuszczają dopiero wtedy do izby dotyczącego domu, gdy po raz 3 przy drzwiach i oknach swe błagania ponowi (Białobrzegi, Lud VIII, 365). 14) Straszny ból sprawia czarownicy trzy dziewięci (3×9) szpilek, w powążce włożonych do nowego garnka, nakrytego nową pokrywką i zalepionego wokoło (Tuczępy, 802). 15) Trądu nabawia się zniechcąca osobą, skoro się ją posypie proszkiem z ropuchy, suszonej przez dni 9 na skwarze słonecznym (Dąbrowa Górnicza, Królestwo).

16) Dla oddziaływania na duchy nieboszczyków przestrzegają: a) trzykrotnego składania trumny, wynoszonej ze zwłokami zmarłego, naprzód na progu z izby do sieni, następnie na progu z sieni na podwórzec, przy równoczesnym 3-krotnym odmawianiu »Wieczne odpoczywanie«, dalej 3-krotnego cofania wozu ze zwłokami na pierwsze stanowisko, bo dopiero za 3 razem dusza nieboszczyka ma największy czas, aby usiadła przy swem ciełe (Borowa, Mat. VII/II, 118); b) trzykrotnego uderzania trumną ze zmarłym o próg izby, aby nieboszczyk nie wracał i nie straszył domowników (Gręboszów, Muszyna); c) także 3-krotne okrażenie domu o północy w Wilię Bożego Narodzenia sprowadza do izby ducha pożądanego nieboszczyka (Jordanów, Prz. 778).

17) Ze sposobów, oddziałujących na dyabła, w związku z liczbą 3 lub 9 zaznaczam następujące: a) Skąpa baba (czarownica), chorująca przez 3 lata i przez 3 dni konająca, chowa w 3 dniu konania pieniądze w klepisku stodoły i 3 razy tyłkiem w to miejsce uderza, po zrównaniu wykopanej ziemi. Syn, podpatrzywszy matkę, stosuje nazajutrz tę samą procedurę z jej trupem; wtedy dyabeł odzywa się: »Ja się haw ucieszył na tyk piniadzak; wcoraś jik schowała, a dzisiák juz je wziena« (Jelesna, Prz. 848). b) Na dyabła Rudego rzuca młodzieniec 3 grūdki ziemi z pod siwego dziadka, stojącego przy jaskini, aby mu odbić córkę królewską, którą ten dyabeł wykradł dla ożenku (Muszyna, Prz. 434). c) Czarownicy i chciwcy dla pozyskania dyabełków na swe usługi muszą: A) dla wydostania kostki z niedoperza, która niewidzialnym czyni, na przeciąg 9 dni zakopać w ziemię tego niedoperza w żelaznym garnku (L. N. 536); B) dla nabycia Inkluz: trzymać przez dni 9 pieniądz srebrny pod piętą (Lednica Górna); nosić pieniądz przez dni 9 pod średnim palcem lewej, nieprzerwanie obutej nogi (L. N. 491); nosić pieniądz przez dni 9 w czystej szmatce pod średnim palcem prawej nogi (Jastrzębia); trzymać srebrny reński lub inny pieniądz srebrny przez dni 9 w gnieździe jaskółczem, włożyć go jednak tam trzeba i wyjąć bez noża (Świerczów, Kolbuszowa, Prz. 418); 8) dla wyhodowania »Oboza«, (chłopca o jednej ręce, z torbą na plecach, znoszącego różne skradzione rzeczy gospodarzowi, a nadto pilnującego koni), nosić jajo kurze, zawinięte w szmatę przez 9 dni pod pachą, a po 9 dniach wyrzucić na strych z koszuliną o jednym rękawie i z torbą (Siemianówka). Nadto nieodzownym warunkiem zarówno dla nabycia Inkluz, jak i wyhodowania Oboza jest: przez całe te dni 9 i nocy 9 ani się nie myć, ani nie modlić, ani żadnego dobrego uczynku nie spełniać. d) Nie wytępi się także Przystępu z miejsca, w którym rośnie, jeżeli się go nie wyrwie i nie przywlecze do domu na spalenie za pomocą bicia. 9 razy poświęcanego (Jordanów, Prz. 714).

18) Co do oddziaływania na Bóstwo, notuję tylko jeden szczegół: Trzechcentowa jałmużna, dana 3 dziadom w Trzy Króle, zapewnia dotychczasemu człowiekowi dostatek pieniędzy przez rok cały.

Obrzęd weselny nastęrcza mi 2 przykłady: 1) Pań-

stwo młodzi przed wyjazdem na ślub do 3 razu przepraszają naprzód rodziców, a następnie wszystkich obecnych; chodząc wokoło i kłaniając się każdemu z osobna (Borowa, Mat. VII/II, 114). 2) Pani młoda nad Rabą po czepinach w tańcu z panem młodym po 3-kroć udaje kulawą (L. N. 150); w Brzozowej czyni to przed czepinami, wobec czego starosta różgowsy po 3-kroć stwierdza, że nie jest ona kaleką.

Z dziedziny higieny podaję 6 przykładów. I tak zabezpiecza: 1) od bólu głowy trzykrotne uderzanie się w czoło podczas pierwszego grzmotu na wiosnę (Izdebnik, Muszyna); 2) od bólu zębów noszenie 3 kasztanów na szyi (Kraków); 3) od uroków trzykrotne poplukiwanie «członków» palców na wychodnem z domu i 3-krotne obcieranie nimi czoła, tudzież 3-krotne obcieranie czoła koszulą, także 3-krotnie popluta (L. N. 627; 4) od zanogicy trzykrotne opalania paznogi gromnicą w święto Matki Boskiej Gromnicznej; 5) od wszelkiej słabości i ociężałości trzykrotne obmycie się w potoku w czasie, kiedy z niego pije wodę jaskółka pierwszy raz na wiosnę widziana (Zaryte). 6) Aby noworodek rósł, podnoszą po wykąpaniu go wanieńkę do 3 razu w górę (Brzozowa).

Ale najobszernie zastosowanie ma liczba Trzy wraz z wypadkową Dziewięć w mistycznym lecznictwie, tym właściwym dorobku ludowym, który sięga jak najodleglejszej starożytności i bezsprzecznie przez całe wieki najmniej podlegał skażeniu i zmianom, bo przecież od wiernego wykonania tego lub owego przepisu, tej lub owej praktyki, zależało życie człowieka.

I tak trzykrotnie bywają stosowane następujące środki: 1) dla wzmożenia bólów i wydalenia płodu uderzanie (kopanie) progu nogą »wtył« przez położnicę (Brzozowa), 2) w chorobie gardła: a) chuchanie na wszystkie strony świata i nacieranie gardła rosą z okna (Ostrów Bocheński); b) chuchanie na 3 strony świata lub chuchanie na góry i lasy dębowe—w obu wypadkach przed wschodem i zachodem słońca (Lipnica Górna); 3) w chorobie suchot dzieci: a) kąpanie w odwarze ziemi, wziętej z cmentarza z 3 »chłopskich« grobów (Bierzanów); b) kąpanie w odwarze święconego owsa i napawanie tym odwarem (Stanisławice); c) kąpanie w odwarze 3 racie baranka lub owieczki (L. N. 625); 4) w chorobie suchot dorosłego czło-

wieka: a) picie odwaru z 3 krzaków sitowia (Brzezie); 5) na bolenie, morzysko, rznówkę: a) przepędzanie świni (wieprzaka) przez dziecko, złożone pod progiem chałupy i nakryte nieckami (L. N. 609), b) przechodzenie chorego popod kolano pełnoletniego człowieka (Brzostowa Góra); 6) na otrzęsienie — wyrzucanie rozżarzonych węgli na krężaku przez siebie na ziemię (L. N. 621); 7) na żółtaczkę: a) przeglądanie się w patynie i równoczesne pytania księdza: »czy się widzisz!« b) spluwanie na chorego przez człowieka, który pierwszy raz żółtaczkę widzi; 8) na uroki: a) spluwanie i równoczesne wymawianie formuły: »Na psa uroki, na kota suchoty!« (Białobrzegi, Lud, VIII, 367), b) rzucanie okruszyny chleba i rozżarzonego węgla na wodę, chuchanie i odmawianie »Zdrowaś Maryo!«, a następnie napanowanie tą wodą i zmywanie czoła i twarzy (Nowy Targ), c) zmywanie czoła, twarzy i piersi wodą, w którą rzucono rozpalone kamienie lub rozżarzone węgle (L. N. 628), d) zlizywanie choroby z oczu dziecka i równoczesne spluwanie ponad czoło kolebki i niemowlęcia (tamże), e) wypływanie wody z 3 narzuconych węgli rozpalonych i 3 okruszyn chleba na oczy chorego (Podgórze, Czechówka); 9) w chorobie z przełknięcia, przestachu: a) połykanie zimnej wody bezpośrednio po przestachu (Białobrzegi, Lud, VIII, 366), b) przetapianie ołowiu lub wosku (L. N. 622), c) wylewanie jaja na wodę ponad głową chorego (L. N. 622), d) przelewanie wrzącej wody z garnka na miskę i na odwrót (L. N. 623); 10) na wieszczycze oparzenie: wylewanie wrzącej wody z łyżki w kąt pod piec i równoczesne wymawianie: »Oparzyłaś ty moje; oparzę i ja twoje!« (L. N. 620); 11) przeciw żabie: odmawianie na klęczkach: »Zdrowaś Maryo!« pod gołem niebem przed wschodem i zachodem słońca (Brzozowa); 12) przeciw bólącce: a) nacieranie kamieniami z nieba spadłymi lub kamieniami, które nie widziały słońca (L. N. 610), b) żegnanie grzebieniem rogowym (Krowodrza); 13) przeciw gałwacze (bólącce) pod gardłem: a) żegnanie jej ślubną obrączką (Krowodrza, Dębniki), b) (za uchem) nacieranie krężakiem (L. N. 610); 14) przeciw dymienicy: a) oplwanie i pocieranie krężakiem (Targowisko); 15) przeciw róży: a) okurzanie twarzy dymem z lisiego języka sproszkowanego (Białobrzegi, Lud, VIII, 366), b) zasypywanie twarzy tartą kredą Trzechkrólową (L. N. 624); 16) przeciw

świerzbowi—skąpanie się w zimnej rzecznej wodzie w Wielki Czwartek (Jezupol); 17) przeciw słodkiemu strupowi—skrapianie wodą, używaną przez kowala do hartowania żelaza (L. N. 625); 18) przeciw wrzodom: zanurzenie dziecka w bieżącej wodzie w Wielki Piątek (Wawrzyńczyce, Królestwo); 19) przeciw martwej kości (nowotwór): a) pocieranie kością trupa, przyniesioną z cmentarza o północy (Alwernia, Kwaczała, L. N. 617), b) (guz) żegnanie ślubnym pierścieniem lub kością ze święconej szynki (Wróblowa); 20) przeciw brodawkom: a) zmywanie wodą bystrą wodospadową i nacieranie kamyczkiem z tej wody (L. N. 611), b) (prz. kurzawkom) nacieranie suchą kurzawką z drogi, tudzież maczanie nowotworu w deszczówce na krowim pomioście; 21) w chorobach oczu: a) przeciw jęczmykowi; oplwanie oka (Wadowice), spluwanie na ziemię i obrzydzanie choroby przez obcego (L. N. 615), b) przeciw łusce—chuchanie za wiatrem i równoczesne gryzienie goździków (Niepołomice); 22) przeciw zanogci: podgarnywanie ognia na ognisku chorymi palcami (L. Nr. 630); 23) przeciw chorobom wogóle: chuchanie w każdą stronę świata i równoczesne odmaiwianie pacierza (L. N. 634).

Trzy razy po trzy czyli 9 razy bywają stosowane zabiegi głównie w celu sporządzenia skutecznego lekarstwa. W zabiegach tych widoczne są znamiona postępu; mistycyzm dziwnie się łączy z empirją. Wytwarza się potrzeba różnorodnych składników w poszczególnych lekach i w sposobach leczniczych. Sporządzenie lekarstwa wymaga już pewnych zachodów i starań. Mimo to poza liczbami 1, 2, 3, 9, inne liczby nie istnieją. I tak składają się na środki lecznicze: 1) przeciw chorobie suchót: a) na kąpiel: x) woda z 9 potoków, zioła z 9 miedz, mech z kościoła i trzaski, ustrugane z dzwonicy (Czechówka); B) 9 pierogów z mąki jęczmiennej, lewą ręką zmielonej (L. N. 625); 8) 9 noży z 9 chałup (tamże); słoma z 9 narożników strzechy (Stanisławice); święcona woda z 9 kościołów z przymieszką śmieci, zbieranych z pod progów tych kościołów (3-krotne kąpanie i picie — Stanisławice); b) na obwarzanek, w celu przekazania choroby zwierzęciu na pożarcie, mąka, wyproszona z 9 chałup (Chabówka); 2) przeciw rznawkom u dziecka—na kąpiel 9 noży z 9 chałup. Kąpiel ma być 9 razy powtarzana (L. N. 609); 3) przeciw żółtacze: a) 9 pałek czosnku

dla noszenia na konopnej nitce (L. N. 633); b) zamawianie »Był tu żółć, miał 9 żać...« (Borek pod Krosnem); 4) przeciw urokom: a) na odczynianie: 3×3 spluwanie, 3×3 wymawianie formuły: »Jeden mi uroki daje, drugi mi zmawia, trzeci mię uzdrawia«, równoczesne 3×3 wrzucanie węgla do wody, następnie 3×3 wrzucanie okruszyn chleba, a po sprawdzeniu pochodzenia uroku, 3-krotne upijanie wody ze szklanki i równoczesne spluwanie, wreszcie 3×3 przeciąganie zmoczonym palcem po twarzy od lewej ku prawej (Białobrzegi, Lud VIII, str. 367); b) 9 rozżarzonych węgli na wodę do picia i odmówienie 9 »Zdrowaś Maryo!«, c) 9 rozżarzonych węgli, liczonych wstecz: nie 1, nie 2, nie 3, nie 9 i 3 okruszyn chleba na wodę dla 3-krotnego natarcia czoła i piersi po 3-krotnem odmówieniu przepisanej formułki, a następnie do trzykrotnego picia (L. N. 627); d) 9 rozżarzonych węgli i 9 szczypt soli na wodę dla 3-krotnego zmaczania palca, 3-krotnego natarcia im czoła, a wreszcie do wylania na 3 progi wraz z chorobą (Odmęt); 5) przeciw przełknięciu—dla spalenia choroby: 3×3 szczypty włókien lnu, rozsochata gałązka z miotły brzozonej, pierścioneł i jakieś ślubne ubranie (L. N. 622); 6) przeciw zimnicy: a) 9 różnych trunków — dla przepicia choroby (Brzozone); b) 9 ubrań, każde innego gatunku dla okrycia (tamże); 7) przeciw kołtonowi: czarna wełna owcza, dla noszenia przez 9 dni na tem miejscu, gdzie łamie, a następnie do spalenia (Chabówka); 8) przeciw róży: a) róża ogrodowa dla moczenia przez dni 9 w wodzie, która służy do okładu na twarz (L. N. 624); b) mąka, zebrana z 9 chałup z przymieszką polnej róży—na placek, który się żegna trzy razy i mówi 3 razy: »Odejdź różo!« a wreszcie na twarz przykładą (Grybów).

Składników leczniczych 3×9 i 9×9 podają tylko 3 przykłady: 1) przeciw suchotom: a) pokarmy, zbierane z 9 chałup do 3 razu — dla jedzenia przez chorego (Targowisko); b) trzaseczki z pniaka, na którym rąbie się mięso, po 3 wyproszone od 9 rzeźników — na kąpiel (L. N. 625). 2) Przeciw chorobie oczu — »jęczmykowi« — dla spalenia tej choroby: Dziewięć dziewięci (9×9) ziarn jęczmienia, odliczonych formułką zaprzeczenia (nie 1, nie 2, nie 3, nie 9), a następnie z garści wrzucanych w piec (L. N. 615).

Nie tak obszerne zastosowanie ma liczba 3 w wetery-

naryi; zresztą pod tym względem skąpe są moje zbiory. Podaję też tylko 4 przykłady: 1) Przeciw urokom służy 3-krotne obcieranie czoła bydlęcia członkami palców, po 3-kroć oplwanymi lub spodniami, nadolkiem, koszulą, cółką z buta, lub myjakiem (L. N. 639). 2) Zapalenie wymienia leczą: a) przez 3-krotne zmywanie pianą rzeczną, braną po 3-kroć z pod zastawy w garnek lub skopiec i po 3 kroć przynoszoną do stajni; b) przez 3-krotne pocieranie słubnym pierścionkiem, zapaską lub fartuchem, szkaplerzem poświęconym lub wreszcie kredą Trzechkrólową (L. N. 640). 3) Przeciw czarom u krowy radzą z 9 ogródków narwać 9 ziół, ale odmienne z każdego ogródka i okurzać temi ziołami krowę (Brzozowa).

Niepokaźniej jeszcze przedstawia się liczba 3 w rolnictwie, bo zaledwie w 2 zwyczajach: 1) Aby były urodzaje w polu, obiegają zabudowania gospodarskie z chlebem święconym, przyniesionym z kościoła, trącają nim o każdy węgiel i trzykrotnie po odrobinie tego chleba upuszczają (Brzozowa). 2) Aby robactwo nie toczyło zasiewów, obchodzą po Rezurekcji po 3-kroć stajanie, w którym robactwo czyni spustoszenia, a za 3-cim obchodem zakopują »na rogach« tego stajania po ziarnku święconego bobu (Białobrzegi, Lud, VIII, 363).

W końcu zwrócę jeszcze uwagę na gry i zabawy: W grze »w birki czyli kury« kogut (pop) ma znaczenie 3 kur; przegrywający bierze też bicie: raz za kurę, a 3 razy za popa (L. N. 644). W grze »w krąga«, tak zwana »górką«, znaczy 3 »odbity« (L. N. 647). W zabawie »w krasonia« krasoń, nawołując do porządku, uderza różgą i po trzykroć woła: »A za panem...!« (L. N. 648). W zabawie »w wójta«, wójt dopiero za 3 obchodem zgadza się na spędzenie kuropatw z łopaty (L. N. 650).

Po wykazaniu tak licznych i tak różnorodnych przykładów li z własnych zbiorów etnograficznych na poparcie swej na wstępie postawionej hipotezy, nie będę się już zapuszczał w życie codzienne naszych włościan, u których np. trzykrotne nawoływania zwierząt domowych (L. N. 22) są wrodzonym miarowym objawem; nie posunę się także do sądu, że przysłowie: »Gada trzy po trzy«, jako synonim niedorzeczności, powstało w czasach, kiedy już liczba 9, jako wypadkowa z 3×3 , była

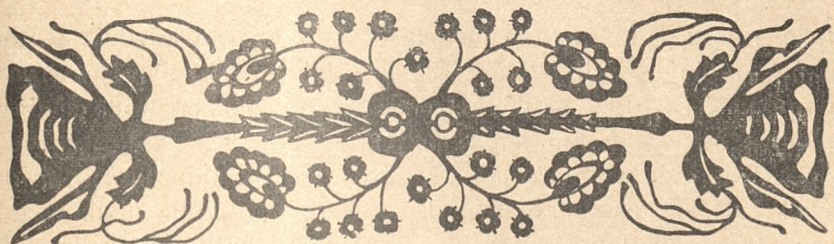
w powszechnem zastosowaniu, a innych liczb, prócz 1, 2 i 3, nie znano; nie obstarę również za bezwzględną starożytnością wszystkich powyż podanych szczegółów, bo wiele z nich ma na sobie cechę nowszych czasów i prawdopodobnie jest wyrazem ciemnoty umysłowej jednostek ludowych; wyznaję wreszcie, że poza dowodami z dziedziny naszego ludoznawstwa nie mógłbym podać dowodów z innych źródeł naukowych na obronę hipotezy, śmiem przecież twierdzić:

1) że kwestya niepomierne go rozpowszechnienia ilości 3 i 9, w porównaniu z innymi ilościami, w powieściach i mistycznych praktykach ludowych jest zagadnieniem bardzo ważnem, aby nad niem z lekkim sercem przejść do porządku dziennego;

2) że wobec tej ważności przyczyna rozpowszechnienia liczenia trójkowego powinna być ściśle zbadana i wyświecona przez etnologów, archeologów, historyzozofów i matematyków;

3) że po naukowem wskazaniu źródła i po ewentualnem odkryciu, czy i w jakim starożytnym okresie czasu panował niepodzielnie system trójkowy, — etnologia pozyska względną możność rozróżniania i dokładnego oznaczania genezy duchowych zabytków według epok, jak to czyni archeologia i antropologia; stanie się więc tą bardzo ważną gałęzią wiedzy, bez której bezwarunkowo się nie obejdzie sumienny badacz najodleglejszej starożytności.





O potrzebie zestawienia i uporządkowania opowiadań ludowych.

Napisał

Seweryn Udziela.

Sprawa, której tutaj pragnę poświęcić słów kilka, nie jest nową i to uwalnia mnie od obszernego jej motywowania. Wszyscy, którzy zajmują się etnografią, a jeszcze więcej może nie etnografowie zawodowi, lecz inni uczeni, oceniający należycie wartość prac naszych i pragnący do studyów swoich dorzucić garstkę wiedzy ludowej, lub oświetlić je wynikami badań naszych, utyskują bardzo nad brakiem szczegółowego, dokładnego i systematycznego spisu naszych materiałów etnograficznych. Może jeden z ostatnich, zabierający głos w tej kwestyi, prof. dr. Jan Łoś pisze w artykule: »Znaczenie słownika gwar polskich«¹⁾ J. Karłowicza, że »dla postępów nauki naszej historii literatury i ogólnych dziejów kultury niezmiernie ważną byłoby rzeczą, aby i inni poszli za przykładem Karłowicza i wydali uporządkowane zbiory pieśni, podań oraz innych utworów ducha ludowego, ułożone według wątków, z podaniem odmianek, aby nadal nie trzeba było gubić się w stosach książek, odczytywać po sto razy jednej i tej samej pieśni, różniącej się w różnych okolicach drobnymi wariantami; bo kto wymęczy się nad

¹⁾ Życie i prace Jana Karłowicza. Książka zbiorowa. Warszawa, 1904 str. 178.

taką robotą, już często nie ma siły do wyprowadzenia wniosków ogólniejszych, stanowiących dopiero właściwy materiał do przyszłej syntezy naukowej, obejmującej całokształt lub choćby pewien oddział folklorystyki polskiej.

Tak jest, w miarę jak wzrasta materiał ludoznawczy i powiększają się ciągle zbiory, jak zachodzi potrzeba naukowego spożytkowania tego materiału, uczuwamy brak wielki książki, któraby cały dotychczasowy dorobek na tem polu razem zgromadziła, uporządkowała i ułatwiła uczonym korzystanie ze skarbcza, w którym nagromadzono mnóstwo utworów wyobraźni ludowej, wiedzy ludu, jego zwyczajów i obyczajów i t. d.

Sporządziwszy taki inwentarz zbiorów naszych, widzieliśmy dokładnie, w jakim kierunku należałoby zwrócić dalsze badania, aby wypełnić luki w dotychczas zebranych materiałach. Ułatwilibyśmy pracę nowym a młodym siłom i zwrócilibyśmy je na właściwą drogę. Ułatwilibyśmy pracę redakcyjną czasopism i dzieł etnograficznych, ułatwiając szybkie ocenienie, czy nadesłany materiał etnograficzny potrzeba drukować, aby daremnie nie powtarzać rzeczy może po kilkakroć razy już publikowanych.

Jednem słowem, książka taka jest dzisiaj niezbędną, a bez niej dalsza praca, zwłaszcza w kierunku gromadzenia nowych materiałów, jest prawie niemożliwą, grozi jej zastój, zastój bardzo szkodliwy w następstwach.

Dzisiaj jednakże pragnę omówić opracowanie tylko jednej części owego ogromnego materiału etnograficznego, a mianowicie zestawienie i uporządkowanie opowiadań ludowych. Nie czynię tego dlatego, abym uznawał mniej ważnem lub mniej pilnem uporządkowanie pieśni ludowych, przesądów i zabobonów lub innych działów naszych zbiorów etnograficznych, czynię to jedynie tylko ze względów praktycznych. Całości pracy nie podołałby jeden człowiek, chociażby jej poświęcił wyłącznie nawet kilkadziesiąt lat życia.

Zestawienia wątków pieśni, opowiadań i t. d., sporządzenia do ogłoszonych już drukiem zbiorów etnograficznych dokładnych indeksów możemy gorąco pragnąć, możemy tę potrzebę tutaj z całym naciskiem zaznaczyć i uchwalić, ale uchwały tej nie potrafimy wykonać dla braku odpowiednio przygotowanych rąk do pracy takiej, dla braku funduszków, aby pracowni-

kowi takiemu, gdyby się znalazł, zapewnić potrzebną pomoc, pomoc konieczną, by pożądanе dzieło jak najwcześniej mogło być dokonane. Nie zapominajmy, że do przeprowadzenia pracy, o jakiej mowa, trzeba wielkiego zaparcia się, trzeba poświęcenia. Człowiek, który z własnego ducha pragnie samodzielnie snuć własne myśli, szerzyć poglądy własne, który światu ogłosić pragnie owoc własnej pracy twórczej, — tutaj musi się wyrzec tego wszystkiego, aby rok za rokiem, przez długie lat szeregi porządkować zbiory cudze, myśli cudze.

Więc lepiej na razie ograniczyć zamierzone przedsięwzięcie, zadaniu całemu zakresić ramy mniejsze, a przecież gdy dzieło doprowadzone zostanie do końca, zasługa wobec nauki będzie zawsze wielka. Tylko ta okoliczność skłoniła mię do tego, że mówię tylko o opracowaniu »Księgi opowiadań ludowych«, chociaż zdaję sobie dobrze sprawę i z tego, że posiadamy jedne i te same opowiadania tu opowiedziane prozą, ówdzie wyśpiewane, że wiele wątków opowiadań ludowych prozaicznych zawiera w sobie poglądy religijne, etyczne, prawne, poglądy na przyrodę i t. d., i t. d., znajduwane w pieśniach, w przesadach i zabobonach, w zwyczajach, że zatem połączenie wszystkich utworów ducha ludu polskiego w jedną księgę ze względu na istotę rzeczy, na treść byłoby wskazane.

Skoro jednak mamy zatrzymać się nad »Księgą opowiadań ludowych«, należy omówić ową księgę pod względem treści i formy.

Wyobrażam sobie, że taka »Księga opowiadań« będzie zawierała wszystkie utwory duchowe ludu polskiego opowiedziane prozą, a nie wyśpiewane, że będzie zawierała wszelkie baśni, powieści, bajki, pódania, legendy, anegdoty ludu polskiego, zebrane nietylko z dzieł i czasopism etnograficznych, ale ze wszystkich innych książek i broszur drukowanych i czasopism, wogóle z każdego druku, nawet rękopisu, gdzieby się tylko wyszukić dały bez względu czy zostały spisane w gwarze, czy językiem literackim.

Księga opowiadań powinna obejmować tylko rzeczy polskie, to jest, opowiadane przez lud polski, z opuszczeniem wszystkich tych, które aczkolwiek literaturze polskiej zostały przyswojone, spisane zostały jednak według opowiadań innych ludów, innych narodów. Zestawienie rzeczy polskich, czy to

z opowiadaniem ludowem narodów słowiańskich, czy z opowiadaniem ludów policzonych do szczepu indo-europejskiego, lub z innymi ludami zamieszkującymi kulę ziemską, odłożyć należy do prac porównawczych, do których materiały przygotowują dopiero podobne księgi opowiadań ludowych, jak omawiana tu obecnie.

W takiej księdze opowiadań ludowych należałoby jednak uwzględnić literaturę polską z XVI, XVII i XVIII w., a nawet o ile można sięgnąć jeszcze wstecz dalej. Raz dlatego, by zaznaczyć, że niektóre dzisiaj przez etnografów spisywane opowiadania dostały się do ludu przez książki popularne dawniejsze, lub przez kaznodziei, — powtóre dlatego, że między bardzo wieloma opowiadaniem, humoreskami i t. d. przyswojonymi naszej literaturze z języków obcych przez pisarzy wieku złotego i późniejszych czasów, znajdują się tam także rzeczy nasze własne.

Pod względem formy »Księga opowiadań ludowych« powinna rozpadać się na dwie części.

Pierwsza część obejmowałaby wszystkie wątki opowiadań ludowych. Każde opowiadanie byłoby rozebrane na poszczególne myśli-wątki; na czele postawiłby należało opowiadania najpełniejsze, najobfitsze w treść. Takie opowiadania byłyby rozebrane na 15, 20, 30 wątków. Pod każdym byłyby podane wszystkie odmianki znane, byłyby zaznaczone wątki identyczne, znajdujące się w opowiadaniach innych. Cytaty źródeł byłyby krótkie a dokładne, jak w słownikach. — W ten sposób byłby jasny przegląd podobieństw i różnic wszystkich wątków składających się na treść naszych opowiadań ludowych.

Drugą część stanowiłby dokładny, szczegółowy spis rzeczy, tak dokładny, aby mógł zaspokoić żądania i życzenia każdego uczonego. Więc np. gdyby przyrodnik pragnął przeglądnąć, co lud nasz wie i mówi, np. o dębie, to pod wyrazem dąb znalazłby, jakie lud zna odmiany dębów, jak je opisuje, jakie im przypisuje własności, do czego je używa, co o nich opowiada i t. d. i t. d. — Gdyby historyk prawa chciał wiedzieć, jakie lud zna rodzaje kary śmierci, to pod odpowiednim wyrazem znalazłby: śmierć zadawana przez powieszenie, przez ścięcie mieczem, rozdarcie między drzewami, rozszarpanie koń-

mi, utopienie, pożarcie i t. d. i t. d. I tak każdy powinienby znaleźć natychmiast wszystko to, czego by szukał.

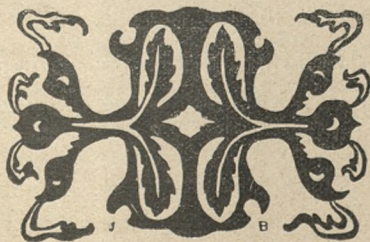
Należałoby jednak otworzyć bramy do naszego folkloru wszystkim uczonym świata całego, to też byłoby pożądanem, aby nasza »Księga opowiadań ludowych« była napisana dwoma językami, to jest, aby teksty wątków i indeks był podany także w języku francuskim. Dla studyów porównawczych obcych uczonych byłoby to ułatwienie niezmiernie, które niezaprzeczenie wyszłoby na pożytek także naszej nauce.

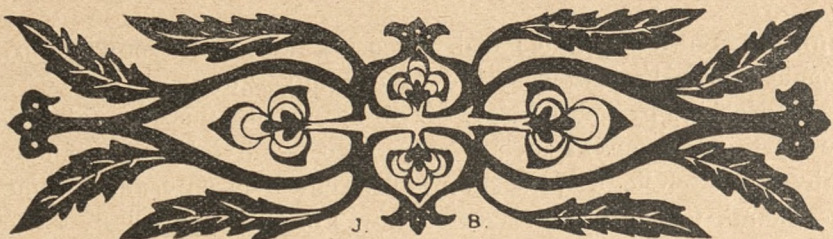
Tak w ogólnym zarysie przedstawiam sobie omawianą pracę.

Zauważyć jeszcze wypada, że literatura nasza wykazuje mniej więcej 6000 opowiadań ludowych, że zatem opracowanie całego materiału wymagać będzie bardzo wiele pracy i czasu. Gdyby ktokolwiek, co oprócz ukochanego przedmiotu, pracować musi w jakimś zawodzie na kawałek chleba dla siebie i rodziny, mógł przy innych zawodowych zajęciach, rozebrać i wciągnąć do tworzącego się dzieła jedno opowiadanie dziennie, potrzebowałby 20 lat czasu na uporządkowanie i zestawienie zbiorów dzisiejszych. A przecież tak długo czekać nie powinniśmy, czekać nie możemy.

Więc wykonać tę pracę w szybszym tempie mógłby albo stypendysta, któryby tylko »Księgą opowiadań ludowych« zajmował się bez przerwy przez trzy lub cztery lata, albo wykonałby ją mogło wspólnymi siłami grono osób pod jednym i jednolitem kierownictwem według dokładnie opracowanego schematu.

Oby praca podobna rozpoczęła się jak najprędzej!





Przyczynki do medycyny ludowej

zebrał

Dr. Maryan Udziela.

1. Niepłodność. Pasek w swoich Pamiętnikach powiada: »żona moja (wdowa) byłaby miała dzieci gdyby nie ludzka złość, bo była wieść, że jej coś uczyniono, aby więcej nie miała potomstwa; znaleźliśmy nawet w łóżku różne rzeczy i ja sam znalazłem kilka spróchniałych sztuk z trumny.«

Pamiętniki (Poznań 1840 str. 200).

2. Spędzenie płodu. Piją odwar z liści cebuli i kąpią się w wodzie, zmieszanej z dużą ilością gorczycy.

(Podgórze k. Krakowa).

Pół litra wina, zmieszać z półkwatkiem czarnuszki i szafranem za 20 cnt, zagotować i po przedcedzeniu wypić, a niezawodnie nastąpi poronienie.

(Kraków).

3. Płeć płodu rozpoznają kobiety z rodzaju bólów porodowych. Gdy występują silne bóle w krzyżach, to będzie chłopiec, a gdy bokami brzucha, to dziewczyna.

(Siersza).

4. Przy ciężkich porodach u żydów, zapalają świece w lichtarzach i odmawiają jakieś modlitwy, kończące się słowami »hilmf szojn« (hilmf schon).

(Trzebinia).

5. Dla łatwiejszego docucenia się dziecka po urodzeniu, uderzają 3 razy obuchem siekiery w tragarz na powale.

(Siersza).

6. Przy zapaleniu gruczołu sutkowego u karmiącej, robią okłady z prawdziwych grzybów. (Lgota).

7. Do kąpieli dziecka dodają także glistnika i wrotyczu. (Siersza).

8. Przy odczynianiu uroków wrzucają 9 węgielków na wodę, rachując je wstecz od 9 do 1, albo też biorą 3 kamienie i rachują je na 9, od gospodyni, gospodarza i t. d. (Wituszczyńce).

9. Wodę, używaną do odczynienia uroków dziecka, wylewają następnie za granicę obejścia. (Podbuż).

10. Dziecko chore z powodu złęku, ma zaczerwienione oczy. (Żywiec).

11. Jeżeli dziecko chore z powodu lęku, wtedy ten lęk odlewają t. j. roztopiają ołów i wylewają na miskę z wodą. Następnie oglądają taki odlew i z jego kształtów wróżą, skąd ten lęk przyszedł. Wodę wylewają w rzekę lub potok, aby lęk popłynął z wodą. Całą tę czynność wykonują przed wschodem słońca. (Podbuż).

12. Jeżeli dziecko nie chce ssać, powiadają, że ma języczek przyrośnięty i wtedy babki przecinają kozikiem żyłkę pod językiem. Przyrośnięcie języka ma zdaniem ludu być przyczyną utrudnienia mowy dzieci. (Powszechnie).

13. Dziecka nie należy podawać przez okno, bo nie będzie rośło. (Żywiec).

14. Krostę na języku dziecka (zwykłą pleśniówkę) nazywają szkoła i nacierają ją atramentem. (Ostrężnica).

15. Przeciw kurczom (konwulsjom) pomaga owinięcie głowy dziecka jakąkolwiek częścią ślubnego odzienia matki n. p. welonem. (Wodna).

16. Jeżeli dziecko ma kowulsye, to kładą je wtedy w chacie pod progiem, lub pod krzyżem, który tworzą krzyżujące się na środku izby belki pułapu, nakrywają nieckami i rozbijają o nie stary gliniany, najczęściej drutowany garnek. Następnie rozdzierają czarne kurczę i jego krwią smarują dziecko. (Podbuż).

17. Glisty może mieć i dorosły człowiek w żołądku. Skłonność do wymiotów u takiego chorego pochodzi stąd, że glisty do żołądka »szczą«.
(Ostrężnica).

Ślinotok u dzieci, zwłaszcza rano jest objawem glist, równie jak i »pchanie się« do gardła.
(Płoki).

18. Na słodki strup skrapiają głowę odwarem zielonej kory ze słodkiej jabłoni z mlekiem, lub też okładają głowę grochem okrągłym, ugotowanym ze słoniną.
(Psory).

19. Wyprzenia u dzieci zasypują wortuszną t. j. proszkiem, otrzymanym przez przesianie zbutwiałego drzewa miękkiego, zwykle jodłowego, lub pacyną z pieca piekarskiego.
(Reczpol).

20. Przeciw krztuścowi podają dzieciom codziennie odwar z dzikiego rozmarynu.
(pod Lwowem).

21. Obrzmienie gruczołów na szyi opisują święconą kredą.
(Trzebionka).

Okładają smażoną cebulą.
(Buszkowice).

22. Uchynione dziecko, gdy się mu kuper zawinie, smarują rakowem masłem.
(Siersza).

23. Aby dzieci dobrze spały, nacierają im pulsa koło uszu jabłkami z głogu.
(Ropczyce).

24. Przy epilepsyi, zwanej pribitka lub wolenta robią brzytwą krzyż na zimnym palcu t. j. na małym palcu lewej ręki, albo też na obu małych palcach. Następnie obracają na polu leżącego chorego tak, że tam gdzie były nogi, kładą głowę; gdy napad jest w chacie, podnoszą chorego za nogi do góry i dotykają nogami krzyża na belku na suficie, poczem kładą go na ziemi. Gdy napad był po raz pierwszy, to choroba ustanie raz na zawsze, gdy zaś już więcej razy, to wcale nie pomoże.
(Wiszenka).

25. Przy wielkiej chorobie podają odwar pawich piór i ruty do picia.
(Dubiecko).

26. Przy chorobach rdzenia pacierzowego w połączeniu

z utrudnionem chodzeniem, robią naparzania w kąpeli z trocinami siennymi aż do zapocenia. Porażone części ciała nakadzają pokrzywami, kaliną lub strzałkami. Winem, w którym moczono jagody kaliny, nacierają szczególnie porażone nogi i ręce.
(Ropczyce).

27. Katar nosa nazywają remą w Sierszy koło Chrzanova, a chrypkę nazywają sipką (Sosnowice k. Kalwaryi). O chorym na ból gardła powiadają, że zaciągnęło mu gardło
(Podbuż).

28. Niezawodnym środkiem na ból gardła jest święcona woda, przelana przez wilczą krtąń (Podbuż). Robią także okłady z dobrze rozgotowanego owsa.
(Podbuż)

29. Jeżeli chory dostanie gorączki i jest podejrzane, że ma tyfus, wprowadzają do izby, w której znajduje się chory, konia, a jeśli tenże zarzy, nie ulega wątpliwości, że chory ma tyfus. Wtedy trzymają w izbie konia przez dobę, w nadziei, iż jego obecność przerwie chorobę, a oddanym przez konia w chacie kałem okładają głowę chorego, a moczem tego konia go obmywają.
(Huta drohobycka).

30. Przeciw chorobom zakaźnym (zwłaszcza przeciw tyfusowi) nakadzają izby spaloną skórą ze starego buta, lub chachołem słomianym, ukradzionym z drugiej gminy. Ten ostatni sposób dobry nawet do nakadzania całej gminy.
(Huta drohobycka).

31. Okłady z liści łopianu wyciągają gorączkę z głowy i z ciała.
(Luszwice).

Przeciw gorączce podają do picia krochmal rozmącony w wodzie i niegotowany.
(Cyków).

32. Przeciw kłuciu w piersiach dają okłady z gorącej kasy jęczmiennej.
(Łucyanowice k. Krakowa).

33. Na bóle w brzuchu przykładają rozgrzaną kijankę lub cegłę.
(Ostrężnica).

34. Gdy się wódka »zapali« w pijaku, »szczą« mu do ust.
(Wiszenka).

35. Na żółtaczkę: a) patrzeć w maż przez 4 tygodnie.

b) jeść białą rzodkiew moczona w okowicie.
(Tornawce).

36. Niezawodnie zgubi solitra (tasiemca) kwaśne mleko, gdy się je pije w dużej ilości.
(Kraków).

37. Ażeby wzmagająca się puchlina nie szła w górę (bo jak dojdzie do serca, chory musi umrzeć) noszą na piersiach w woreczku kamforę.
(Lewniowa koło Brzeska).

38. Przy zatrzymaniu moczu u dorosłych stawiają na brzuch (zamiast bańki) garnek.
(Psary).

39. Na sionkra (wrzód miękkiej) pomaga maść ze spalonego na popiół siniego kamienia (siarkan miedzi) i z tłuszczu i zaaplikowana na miejsce bolesne.
(Kraków).

40. Męd (pediculi pubis) nie tępią podczas trypra, bo one »jad« ciągną.
(Żywiec).

41. Dymienica rozejdzie się przez pocieranie jej osełką t. j. tłokiem, używanym dawniej do tłuczenia soli w stępach.
(Stary Sącz).

42. Chorobę kiłową nazywają paskudem.
(Żywiec).

43. Przy zatrzymaniu regularności piją odwar korzenia gałganu.
(Siersza).

44. Ażeby usunąć białe upławy, należy nakadzić części rodne nad miską, do której wlało się wody z solą i włożyło gorącą duszę.
(Kraków).

45. Przeciw febrze piją nalewkę z wódki na suche liście t. zw. wodnej koniczyzny.
(Młoszowa).

Podczas napadu febry przykrywają chorego nieckami i rozbijają o nie garniec; potem niecki wyrzucają.
(Wiszenka).

W wilię Bożego Narodzenia zbierają ości z ryby, a zawiąawszy je, w płatek chowają. Temi ościami nakadzają się potem przy febrze.
(Skałackie),

47. Krostę wogóle nazywają morówką.
(Mielec).

47. Na wyprysk na skórze nóg stosują okłady z mąki i upalonej i zmielonej fasoli. (Żywiec).

48. Na rany przykładają «tłuste» i moczą ranę w nafcie. (Ostrężnica).

49. Przy wszelkich obrzękach, gdzie chodzi o przyspieszenie ropienia, przykładają liście hordowca (*Malva sylvestris*), który ciągnie gnój i oczyszcza rany. Okładają nim też szyję przy obrzęku gruczołów w czasie dyftery i szkarlatyny. (Nienadowa).

Obrzmienie gruczołów szyjnych przy chorobach zakaźnych np. szkarlatynie rozcierają śliną, zmieszaną z rozgniecionym pajakiem i owieczką (stonóg). (Wituszyńce).

50. Żółtak czyli jaskółcze ziele (*Chelidonium majus*) ciągnie materyę. (Buszkowice).

51. Przeciw róży używają w okolicach Tenczynka koło Krzeszowic, do nakadzania lisiego języka, który myśliwy zaraz po zabiciu zwierzęcia ucina i następnie suszy. Środek ten cieszy się wielkiem wzięciem.

52. Dla rozpędzenia tworzących się guzów (ropni) określają je osełką, kryzakiem, grzebieniem lub święconą kredą. (Lgota).

53. Przy owrzodzeniach smarują odnośne części ciała kwasem mlekiem lub naftą. (Żywiec).

Owrzodzenia na nogach powstałe, zalewają naftą (gazem) (Galman). Jeżeli do owrzodzenia, szczególnie między palcami u nóg, dołączy się swędzenie, mówią, że się »wdały mędyweszki«. (Ostrężnica).

54. Wól, czyli wole powstaje także z nasilenia przy pracy. (Pietrzykowice k. Żywca).

Wól zowie się garło. (Płoki).

Aby garło zginęło, piją przed wschodem słońca rzezną wodę przez dziurawy kamień. (Miękina).

Garło rośnie na nowym miesiącu. (Galman).

55. Na stłuczenie robią okłady z pokrzyw z octem. (Czyżówka).

Przy stłuczeniach i reumatyzmach powiadają, że stąd ból pochodzi, że krew zaskoczyła za skórę. (Siersza).

56. Żywokost nazywają także kościfoł. (Żywiec).

Łupki do złożenia złamanych kości przyrządzają że zwyczajnej kory drzewnej, zazwyczaj z dębowej. (Żywiec).

Maść żywokostową przygotowują w ten sposób, że tłuką w stopie kościfoł (żywokost) ze szperką (słoniną). (Żywiec).

57. Ból reumatyczny w plecach lub krzyżach zowią wąsaczem. (Ostrężnica).

Na reumatyzm pomaga smarowanie bolesnego miejsca masłem, święconem na Wielkanoc. (Podbuż).

Na miejsce, dotknięte reumatyzmem, przylepiają kupowany w aptece papier bólowy (Vlincy?). (Siersza).

58. Powiadają, że po oberwaniu się są krzyże »zdradliwe«. (Ostrężnica).

59. Gościec nazywają goździcem. Stosują nań okłady, robione z krochmalu i żywokostu, gotowanego w mleku prosto od krowy. — Członki dotkniętą tą chorobą, moczą w wywarze z liści dębowych, lipowych, pokrzywy głuchej i ziela, kwitnącego niebiesko, a rosnącego na piaskach. Kąpią się także przed wschodem słońca w mrowielach tj. bierze się pół garnca dużych mrówek, zawiązuje w płóciennym worku i gotuje od południa do wieczora.

(Wola Przemykowska k. Brzeska).

60. Anatomiczne nazwy ludowe.

1. Nart nazywa się grzbiet stopy.

2. Chyby, okolica lędźwiowa i podżebrowa (Siersza).

3. Ciuk, wielki palec u nogi.

4. Narwa, materya, ropa, bo narywa. (Przemyskie).

61. Zabobon. Tłumy przechodniów przypatrywały się wczoraj w ulicy Ruskiej (we Lwowie) ciągnięciu na sznurach nowej kołyski z okien 3 piętra w kamienicy pod l. 6. Wyciąganie kołyski trwało przeszło pół godziny. Tak każe zabobon. Zamieszkałemu w domu tym p. G. umarło już kilkoro dzieci, a wciąganie kołyski przez okno ma być wedle rady znachora skutecznym przeciw temu nieszczęściu środkiem.

(»Słowo polskie« Nr. 568 z d. 5 grudnia 1901).

62. W Delatynie, będącym już od paru tygodni jednym z ognisk, szerzącej się coraz więcej w Galicyi cholery, żydzi znaczą węglem krzyżyki na swoich domach i piszą: »schoin du gewein« (już tu była), sądząc, że cholera da się okłamać.

(»Kuryer lwowski« Nr. 236 z d. 26 sierpnia 1893).

63. Gdy dżuma w r. 1772 pojawiła się w Bracławskim, czern zaczęła się burzyć, szukała winowajcy nieszczęścia i oto »grabarza wychresta upiora (sic), który ciała umarłych zakopywał, gromada Tywrowska, widząc swoje niebezpieczeństwo, zabili i spalili. Powiadają, że jest jeszcze więcej upiorów«. W Jarmolińcach w tejsze epoce spalili, ale żywcem, jakiegoś ze wschodu przybłędę; w Morasie babę, rzekomą czarownicę wrzucali po kilkakroć w wodę, zaszywszy ją uprzednio w worek, a niedoduszoną dobili kamieniami, myśląc, że w ten sposób pozbędą się moru.

(Dr. Antoni J. Sylwetki historyczne, Serya VIII, Kraków 1892, s. 253—254).

64. Każdy prawie szlachcic, wybierając się na sejmiki ten raz przynajmniej obiera chatę z pajęczyny i ma ją z sobą w zapasie na pogotowiu: bo w przypadku niespodzianym zaraz w kieszeni remedium, które i krew zatrzymuje i w krótkim czasie tak leczy, że tylko kreska zostaje.

(Ignacy Chodźko: Pamiętniki Kwestarza, Tarnów, 1880, str. 20).

65. Chcąc przeszkodzić, aby upiór nie chodził po świecie: »Trzeba odkopać trupa, uciąć jemu głowę rydlem i położyć w nogach, żeby rękami nie mógł dostać. To będzie mocował się, mocował się, silił się, ale jak nie dostanie rękami głowy, to nie wstanie. A jeżeliby dostał, to weźmie głowę pod pachę i pomaszkuje«.

(Ignacy Chodźko: Pamiętniki Kwestarza, Tarnów 1880, str. 128).





Materyały historyczne.

Latawiec.

Nie często spotyka się w dawnych książkach polskich wyjąwszy nieliczną literaturę ludową, wzmianki o gusłach i zabobonach. Dla tego tem pilniej należy te, które się dochowały, na jaw wydobywać. Znalazła się w ręku mojem rzadka książka in 4^o:

Żywot y wysokie cnoty W. Matki Teresy od Pana Jezusa Marchockiey, klasztorów Karmelitanek bosych we Lwowie y w Warszawie fundatorki, z manuskryptu dziejopisa W. Oycy Ignacego od św. Jana Ewangelisty, tey Wielebney Matki spowiednika, zebrane roku P. 1654, do druku podane 1752, dnia 11 marca, na większą chwałę Pana Boga w Świętych jego. W drukarni Lwowskiej J. K. Mei Societatis Jesu.

Jest to życiorys słynnej z rozumu i energii zakonnicy, którą zaszczycali przyjaźnią osobistą królowa Ludowika i król Jan Kazimierz. Wraz z wielce zasłużoną Magdaleną Mortęzką, reformatorką Benedyktynek chełmińskich, zaliczoną być może ona do najznakomitszych niewiast polskich w wieku XVII. W skróceniu opisał jej cnoty ks. Floryan Jaroszewicz w znanem dziele: *Matka świętych, Polska*, pod dniem 19 kwietnia.

Powyższy obszerny żywot Marchockiey ogłosił drukiem ks. Józef Augustynowicz, obojga prawa i filozofii doktor, pro-

tonotaryusz apostolski (ormianin), a chociaż książka wydana w wieku XVIII, rękopis jej pochodził z wieku XVII, wypadki zaś, odnoszące się do młodości Marchockiej, sięgają tegoż wieku początków.

Urodziła się ona w r. 1603 jako córka Pawła Marchockiego, starosty czchowskiego († 1631) i Elżbiety z Modrzejowskich. Siedziby rodzinnej autor nie podaje, ale można przypuszczać, że Marchoccy mieszkali gdzieś w okolicy Czchowa albo jednego i drugiego Sącza, skoro ich córki przebywały u PP. Klarysek starosądeckich. Nie był to dom magnacki ale zamożny, a starosta człowiekiem znacznym, zaszczytanym zaufaniem spółziemian, jak wynika z napisu grobowego, który dochował Starowolski w swoich *Monumentach* fol. 60.

Starościanka od dzieciństwa czuła w sobie pociąg do bogomyślności. Szczególne zaś upodobanie miała do modlitwy samotnej. »Czasem wyszedłszy ze dworu« — opowiada autor z czasu jej pobytu w domu rodzicielskim — »skradała się do gumna na modlitwę. Matka kazała ją śladować (sic), gdzie się obróci, a dowiedziawszy się, poczęła się frasować, żeby nie miała, (jako bywa), namowy z latawcem, co raz słysząc panielka niewinna srodze od żalu płakała, mężnie jednak stała zawsze w tym ćwiczeniu swoim na modlitwie« (str. 12).

Jak u innych świątobliwych osób tak i u niej najmiłszą chwilą do zatapiania się w Bogu była pora po uciszeniu się zgietku i gwaru całodziennego,

gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie
i czuwa tylko zgryzota i skrucha,

albo, jak mówi ten sam wieszcz nasz do Boga:

i tylko w nocy, cicho na twe łono
wylewam duszę we lzy roztopioną.

Od najrańszej młodości lubiła Marchocka poświęcać Bogu wczesne godziny, o czem biograf jej tak zeznaje:

»Gdzie mogła, na osobne miejsca do modlitwy uchodziła, o czym tak napisała:

»Najmiłszy mi był czas od dziecinnych lat moich do modlenia się nad świtaniem rano, kiedy jeszcze wszyscy spali; często jakby kto mnie budził wtenczas, a w oknie klękałam.

kędy zawsze patrząc na owe planety na niebie, jako gasły i ginęły za wschodem i światłem słońca, i jako ptastwo i wszystko odzywało się ze dniem, pobudzało wszystko do Boga i do nabożeństwa; także i w wieczór i o zachodzie słońca. Ale mnie czasem postrzegali a matka moja wzięła rozumienie o mnie, bała się, że się mnie lata wiec jakiś chwycił, iż za drzewa pewne chodziłam dla uchronienia się, gdzie wysłuchałam matkę, kiedy się na mnie uskarżała przed siostrą o to, i kazała jej, żeby mnie postrzegała. Śmieszne mi było to rozumienie takowe o mnie, bom ja nie wiedziała, co to ten jest lata wiec» (str. 26).

Mamy tu własnymi słowami Marchockiej wypisane świadectwo o utrzymującej się w początkach XVII. wieku w domach nawet zamożnej szlachty wierze w latawca. Przejęto ten zabobon oczywiście od ludu. W »Peregrynacyi dziadowskiej« z r. 1614, a zatem spółczesnej z dziecinnyim wiekiem Marchockiej, którą wydał na nowo Kraszewski w *Pomnikach do historii obyczajów w Polsce z XVI. i XVII. wieku.* (Warszawa, 1843), latawica tak opisuje latawca:

Jakoż mam i z latawcem swe porozumienie,
Bo też on odmienia własne przyrodzenie,
Choć jest duchem powietrznym, bierze na się ciało
Obłudne, czego mu przyrodzenie nie dało;
Czyni wielkie posługi, kto go o to prosi,
Że on z cudzej spiżarni do niego przynosi.

Przedstawiano sobie zatem latawca w postaci ludzkiej, którą pozornie przyjmował. Wójcicki w Encyklopedyi Orgelbranda XVI. 733, takie o nim daje objaśnienie: »Latawiec, zły duch, dyabeł, którym się dawniej posługiwały czarownice i guślarze. Na Ukrainie latawcem nazywają dyabła, który przybiera postać dorodnego młojca i najpiękniejsze dziewoje uwodzi. Zakochane w latawcu dziewczęta z tęsknoty usychały i umierały. Goszczyński w *Zamku Kaniowskim* daje nam poetyczny jego obraz«. Jak się przekonywamy wiara w latawca była ludowi ukraińskiemu i polskiemu wspólna. Czy jeszcze dzisiaj w Polsce gdzie istnieje? Może kto z czytelników »Ludu« da odpowiedź.

W nowem wydaniu żywota Marchockiej, ogłoszonem r. 1901 w Krakowie, nakładem Teresy Kalinowskiej, które jest

obcięte i skrócone, ustępy oba o latawcu opuszczono. Widocznie nie rozumiano tego wyrazu i nie umiano go objaśnić. Za to ustęp, przez samą Marchocką skreślony, wyżej podany, powtórzony jest prawie dosłownie w żywocie jej najpierwszym, pisanym przez karmelitę bosego, O. Onufrego Ośmielińskiego, umieszczonym we wielkiem jego dziele: *Ozdoba Karmelu zakonnego* (Kraków, 1747), w tomie IV str. 17. Niedrukowany wówczas jeszcze rękopis O. Ignacego służył mu za źródło.

B. J. K. z Gniezna.

Uzupełnienie. Autorem bezimiennego satyrycznego poematu na klasztory żeńskie: *Asketomoria w sześciu pieśniach* (bez roku i miejsca druku), z którego w *Ludzie*, roczniku z r. b. przytoczyłem ustęp o praktykowanych u zakonnic zabobonach, jest ks. Michał Hieronim Juszyński, ur. 1760 † 1830, znany więcej jako znakomity bibliograf. Ponieważ poemat, wedle Sobieszczańskiego, drukowany był r. 1794 w Krakowie, więc być może że pisał go Juszyński, przybywszy z Pińczowa na wikaryusza do kolegiaty w Wojniczu. Ponieważ grecki tytuł uszczypliwego pisemka nie był zrozumiały i przeszkadzał odbytowi, więc drukarnia zmieniła go na polski: *Zgromadzenie fartuszkowe czyli sejm mniszek*, pod którym więcej się upowszechnił. (Encykl. Orgelbr. XIII. 560).

B. J. K. z Gniezna.





Drobniejsze rozprawki i wiadomości.

Z Łęk.

Nad Wisłokiem, niedaleko Frysztaka, w powiecie stryżowskim rozsypała się wieś Łęki częścią na równinie nad-

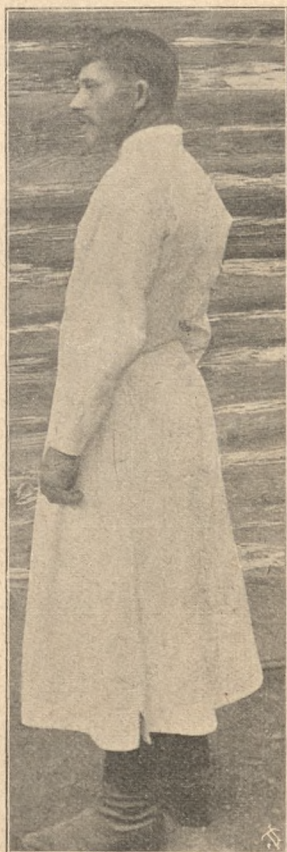


Dom w Łękach.

rzecznej, częścią na wzgórzach, staczających się ku Wisłokowi. Jest to stara osada, która już w XIV wieku posiadała kościół parafialny. Dzisiaj liczy około 1200 mieszkańców, Polaków, wyznających rzymsko-katolicką religię.

Domy drewniane strzechą kryte, z węglami zakładanymi »na obłap«, czyli jak tu mówią, zrąb budowany »na węgło«, dzielą się na dwie nierówne połowy, z których większa obejmuje sieni i izbę, czasem sieni, kuchnię i izbę, a mniejsza stajnię dla bydła z osobnem wejściem z pola.

Wieśniacy w Łękach noszą przez lato spodnie płócienne, zakładane do butów z cholewami, a przypasane paskiem rzemiennym, wąskim;



Wieśniak z Łęk w płóciennicy.

koszule białe, płócienne, na święto z haftowanym przodem; kamizelki sukienne niebieskie; płóciennice długie poniżej kolan, wcięte do figury, z kołnierzem stojącym, pikowanym, czasem ozdobionym wyszyciem niebieskiem w ząbki, albo przynajmniej obszytym suknem niebieskiem, niekiedy czarnem. Głowy na-



Wieśniak z Łęk w kożuchu.

krywają kapelusami słomkowymi, wyrabianymi w domu. W zimie noszą długie kożuchy baranie z czarnymi, wielkimi kołnierzami wykładanymi i także czapki czarne.

Kobiety do niedawna ubierały się całkiem biało: spodnica, zapaska, chustka na głowę i płachta (rańtuch) z domowego płótna białego były wszędzie pospolicie używane. Dzisiaj tylko koszula biała z haftowanym atłaskiem białym przodem, kołnierzem i mankietami, fartuch obziergany w ząbki, albo obszyty



Kobieta z Łęk w letnim stroju.

koronką szydełkową lub na drutach robioną, wreszcie chustka na głowę, takąż koronką ozdobiona, są białe. Spodnice perkalikowe w kwiatki, paski lub w kratki różowe, czerwone i niebieskie, gorset sukieny niebieski lub czerwony, wyszywany blaszkami żółtymi i obszty pasmanterią, wreszcie chustka wełniana, cieńsza na lato a na zimę grubsza, dopełniają stroju.

Mniej więcej przed laty 25 i dawniej w zimie nosiły ko-



Wiązanie chustki na głowie
w Łękach.



Wieśniaczka z Łęk w starej
zimowej sukience.

bięty tutejsze sukienki sukienne, ciemno-granatowe, podbijane barankiem siwym, z barankowym kołnierzem i mankietami, wcięte do figury, długie niżej kolan, a na przodzie ozdobione czarnymi »potrzebami«. Sukienki te nazywano »melisankami«. Dzisiaj zaginęły one już zupełnie i zaledwie udało się nam wyszukać jedną zniszczoną i podartą i uprosić kobietę, aby się dała w niej fotografować.

Seweryn Udzięła.

Garść zapisków z Bolestraszczy.

Dusza.

Szła Chudoska do cerkwi a jeszcze było zawczasu i wstała do nas i mówiła mamie, co to takiego jest, że przychodzą dusze z tamtego świata? A mama mówi: »A któż był?« — A oni mówią: »Moja córka« — A mama pyta: »A czego przysła?« — Przysła mi się pytać, czego ja płaczę za nią, że przez to ma pełno wody w grobie. Ja mówię do niej: »którądyś ty przysła, skorom zamknęła dom?«. — Ona mówi: »Poszłam do stodoły, stanęłam se na skrzynkę od sieczki, stamtąd wlałam na górę, z góry po żarnówce zlałam do sieni i weszłam do izby«. — Przysła do mnie do łóżka, pomacała po głowie jedną z dziewcząt, co przy mnie śpi, a ta zaraz przez sen mówi: »Bardzo mi gorąco«. — A nieboszczka mówi: »Cicho, mam, cicho, bo to ja przysła«. Pożegnała mnie, w rękę pocałowała i poszła. Wyprowadziłam ją z izby do sieni; w sieni chciałam jej otworzyć drzwi, ale szczezła i już jej nie zobaczyłam.

Opow. Różia Ziuberówna.

Nieboszczka ożyła.

Jedna kobieta bardzo słabowała, leżała długo w łóżku a potem umarła i zostawiła małe dziecko od piersi. Zaraz pierwszej nocy po pogrzebie przysła do domu i nakarmiła dziecko i tak chodziła coś przez czternaście nocy. Wtedy jej mąż poszedł do księdza, opowiedział, co się działo i radził się, co ma robić. Ksiądz mówi: »Trzeba, żeby były dwa chłopcy w domu i zaświecić świecę i postawić ją koło łóżka, koło siebie. Jeden niech leży w łóżku, a drugi niech siedzi przy świecy. Jak nieboszczka przyjdzie, to niech ją jeden chłop chwyci za prawe ramię«. Jak ksiądz kazał, tak zrobili. W nocy nieboszczka weszła, ale skoro zobaczyła światło, chciała uciekać. Wtedy ją chłop przytrzymał za ramię i nie puścił aż do rana, chociaż wołała: »Puście mnie, ja jeszcze tylko przez dwanaście dni będę przychodziła!« Rano przyszedł ksiądz i wypowiadał ją a nieboszczka wtedy rozebrała się z tego wszystkiego, w co ją ubrali do trumny i żyła jeszcze potem przez dwanaście lat.

Opow. Różia Ziuberówna.

Błąd.

Siedziałam se na podwórzu, a mama siedzieli obok i zdrzymnęły się. Ja pozieram, a tu coś leci bez błonia, jakby latar-

nia, jakby światło leciało, jakby siutrówka (pociąg ciężarowy wozący szuter, przyp. aut). Zbudziłam mamę i pytam się, co to jest? A mama mi powiedzieli, że to błąd (błędny ognik, przyp. aut).

Opow. Różia Ziuberówna.

Pieśni.

A. Weselne.

Gdy wraca orszak weselny z kościoła, śpiewają:

1. Cztery konie w stajni, cztery za stajenką,
Cztery pojechały już z ładną panienką.
2. Ciesz się, ciesz się, moje przyjaciele,
Że ja zostawiłam wianeczek w kościele.
Ciesz się, ciesz się moja rodzinienka,
Że ja donosiła do czasu wianenka.

Przy rozplecinach panny młodej śpiewają:
Szczęśliwa godzinenka na świecie,
Ach, któż moje złote włosy rozplecie?
Prosiłabym ojca, matki, nie zechcą,
Bo mają ciężkie żale na sercu.

Gdy panna młoda opuszcza dom rodzicielski, śpiewają:
Siadaj, siadaj (na wóz, przyp. aut.) ukochanie moje,
Już ci nie pomoże żałowanie twoje,
Cztery konie stoją w wozie,
Już ci twój płacz nie pomoże.
Jeszcze ja nie będę z wami siadała,
Jeszczem mojej matce nie dziękowała;
Dziękuję wam, moja matko,
Żem u was wyrosła gładko
Już więcej nie będę.
Siadaj, siadaj ukochanie moje, i t. d. jak wyżej
Jeszcze ja nie będę z wami siadała,
Jeszczem swemu ojcu nie dziękowała:
Dziękuję wam, drogi ojcze,
Żem chodziła u was w złocie,
Już więcej nie będę.
Siadaj siadaj ukochanie moje i t. d. jak wyżej
Jeszcze ja nie będę z wami siadała.
Jeszczem mojej siostrze nie dziękowała:

Dziękuję ci, moja siostrze,
Żem chodziła u ciebie ostro,
Już więcej nie będę.
Siadaj, siadaj ukochanie moje i t. d. jak wyżej
Jeszcze ja nie będę z wami siadała,
Jeszcze memu bratu nie dziękowała.
Dziękuję ci, panie bracie,
Żem była miłą dla cię.
Już więcej nie będę.

B. Różne.

1. Cztery konie w lesie popłatały mi się,
Czemże ja pojedę do mojej Marysie,
2. Siadam na konika, siadam na karysia,
Pojadę, pojedę, gdzie moja Marysia.
3. Szumno Panno, szumno, ale nierozumno,
Szumniejsze bywają, do ludzi gadają.
4. Powiedz że mi, powiedz, co mi masz powiedzieć,
Bo ja na koniku nie mogę wysiedzieć.
5. Powiedz że mi, powiedz słóweczko nad ludzi,
Niech się mój koniczek do ciebie nie trudzi.
6. Myślał ja se, myślał o bogatej żonie,
Inom se nie myślał, czem pojedę do niej.
7. Z góry ja pojedę, hamować nie będę
Do dziewczyny pójdę, namawiać nie będę.
8. Co ja się najeździł, co ja się nadreptał,
Nie jednej dziewczynie do ucha naszeptał.
9. Wiśta koniu, wiśta, żebyś nie zawadził,
Pomału dziewczyno, żeby cię nie zdradził
Zdradził bym cię, zdradził, kogóżbym się radził?
Pona Boga w niebie i dziewczyno ciebie.
10. Czy ja nie kawaler, czy ja nie młodzieniec,
Czy ja nie zapłacę dziewczynie za wieniec.
11. Nie siadaj, nie gadaj, nie przynoś mi jabłka,
Za ciebie nie pójdę, nie każe mi matka.
12. Co mi po koniku, po ładnej dziewczynie,
Kiedy mój karabin wisi w magazynie.
13. Daj nam Boże zdrowie, jak się matka dowie,
Dowie się Marysia, trzeba jej dać pysia.

Aniela Kallas.

Budownictwo.

Dzięki uprzejmości konserwatora p. dr. Stanisława Tomkowicza, który wypożyczył redakcyi »Ludu« klisze, za co mu



Kościół w Korzennej.

na tem miejscu najserdeczniej dziękujemy, możemy Szanownym Czytelnikom naszym przedstawić rysunki trzech pięknych zabytków budownictwa drewnianego z dawnych czasów.



Spichlerz klasztorny na Zwierzyńcu.



Kościół w Sękowej.

Kościół w Sękowej, wiosce w powiecie gorlickim położonej, pochodzi z XVI wieku; kościół w Korzennej, w powiecie grybowskim także z tego czasu, a najpóźniej z pierwszych lat XVII wieku. Obydwa są reprezentantami ciekawymi i pięknymi budownictwa drewnianego; otoczone są sobotami, to jest, podcieniami szerokimi, mają bystre dachy i ładne dzwonnice.

Ładnym budynkiem drewnianym jest także stary spichlerz klasztorny na Zwierzyńcu pod Krakowem. S. U.

Uroczystość św. Jana Nepomucena.

W dziwny i trochę dziki sposób objawiają cześć swoją dla św. Jana Nepomucena chłopcy w Rudkach, miasteczku powiatowem, położonem między Gródkiem a Samborem. 15 maja wieczorem gromadka chłopców mniejszych i większych, mniej więcej do lat 16 tu, biegnie za miasteczko pod figurę św. Jana, niosąc kawałki drzewa, rozmaite sprzęty domowe, bo nie brak tam krzeseł, ławek, cebrażyków, konewek, a i z beczką lub balią spotkać się można. Tu dopiero zaczyna się rąbanie przyniesionych przedmiotów i układanie ich w stos obok figury, który o zupełnym zmroku buchnie ku niebu jasnym płomieniem. Przy takiej iluminacji rozpoczyna się śpiew chóralny chłopców i dziewcząt, bo i te, nie biorąc udziału w znoszeniu i zdobywaniu materiału, przychodzą tutaj wieczorem, by wspólnie śpiewać pieśni do św. Jana i Matki Boskiej. Ten proceder powtarza się co dnia przez całą oktawę. Chłopcy uwijają po miasteczku, zdobywając co się da zrabować i spalić.

Biada gospodyni, która zostawi jakiś statek przed domem, lub z domu wyjdzie, drzwi na klucz nie zamknawszy — wpadają wisusy, zabierają co mogą unieść i w nogi. Najwięcej w te dni szwankują żydówki, krzesła i ławki stojące przed domem nikną jak kamfora, nie darują i kołysce, dziecko z pościelą ułożą na progu domu lub w sieni a kołyskę lub wózek zabierają. Nie brak przy tych wyprawach i komicznych epizodów. Żydzi miejscowi przezwali św. Jana Nepomucena św. Paluchem i z niepokojem dopytują się, kiedy to tego św. wypada, jednak nigdy zabranych przedmiotów nie próbują nawet odbierać, chociaż często się zdarza, że chłopcy są jeszcze blisko ze swoją zdobyczą; co ich od tego powstrzymuje, niewiadomo.

Janina Różańska.



SPRAWY TOWARZYSTWA.

Przebieg obrad Zjazdu Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie w dniach 10-go i 11-go czerwca 1905.

Na wniosek p. Fr. Rawity Gawrońskiego prezesem Zjazdu wybrano prof. Dra Józefa Kallenbacha.

Prezes zagaja sprawę warszawskiej »Wisły«, której byt wydaje się być zagrożonym. Prof. Dr. A. Kalina, wykazując, jak wielką klęską byłby upadek »Wisły«, proponuje, aby osobnem pismem zwrócić się do Kasy Mianowskiego i w ten sposób wpłynąć na nią, ażeby potrzebnej subwencji nie odmówiła. W dalszej dyskusyi zabierają głos PP. St. Bal. Fr. Rawita-Gawroński, G. Smólski, M. Siwak. W końcu przyjęto jednomyślnie wniosek p. St. Bala z poprawkami i dodatkami Panów: Fr. Rawity Gawrońskiego, G. Smólskiego i M. Siwaka, a to w następującem brzmieniu:

»Zjazd wyraża przekonanie, że »Wisła« upaść nie powinna, zatem wyraża życzenie, aby się ktoś znalazł, ktoby podjął dalszą pracę koło »Wisły«, a Towarzystwo Ludoznawcze użyłoby mu wszelkiego poparcia.

»Zjazd uchwala wysłanie do Warszawy dwóch delegatów, którzy zbadają sprawę na miejscu i między innymi zwrócą się do Kasy Mianowskiego.

»Zjazd, uznając ogólnie narodowe znaczenie »Wisły«, postanawia, aby po sprawozdaniu delegatów odezwać się w razie potrzeby do społeczeństwa zapomocą dzienników.

»Zjazd oddaje sprawę Zarządowi.

Następnie odczytano listy i telegramy z życzeniami dla Zjazdu, które nadesłały następujące Osoby i Instytucye: Prof. Polivka, Dr. V. Tille, Erazm Majewski, K. Bołsunowski, H. Ło-

pacinski, Red. Adolf Černý. Dr. Demetrykiewicz, Henryk Wińcza. Maryan Wawrzeniecki, Tadeusz Dzieduszycki, M. Wroński, Anna z Działyńskich Potocka, Dr. Zofia Daszyńska-Golińska, Dr. Karol Matyas, Jerzy Warchałowski, Ks. Józef Krechowicz, Kazimierz Kaczmarczyk, Polskie Towarz. Ludoznawcze w Cieszynie, Towarzystwo »Polska Sztuka Stosowana« i Zarząd główny Towarz. Kótek rolniczych. Imieniem Towarz. Pedagogicznego w Cieszynie złożył ustnie życzenia Dr. M. Janik, a imieniem Komisji antropologicznej Akademii Umiej. w Krakowie p. Seweryn Udziela. Życzenia przyjęto oklaskami a Zarząd Towarzystwa, korzystając z miłej sposobności, za ciepłe słowa na tem miejscu serdeczne składa podziękowanie.

Poczem odczytał p. Seweryn Udziela (Podgórze) swój referat: O potrzebie zestawienia i uporządkowania opowiadań ludowych. W dyskusji nad referatem Prof. Dr. W. Bruchnalski zaznaczył konieczną potrzebę uporządkowania opowiadań polskich, których będzie więcej niż 6,000, przyczem radził zawiązać komisję, która mogłaby pracować według planu Reinholda Köhlera. Prof. Łyskowski zauważył, że proces cywilizacyjny niszczy zabytki ludowe. Nakoniec uchwalono wniosek p. M. Siwaka, aby sprawę oddać Zarządowi Towarzystwa z poleceniem wybrania komisji w myśl przemówienia p. Dra Bruchnalskiego.

Z powodu usprawiedliwionej nieobecności p. Dr. Z. Daszyńskiej-Golińskiej odczytał Prezes referat Jej p. t.: »Demografia nadwiślańskiego miasteczka od XVII. w.«. W dyskusji nad referatem zabierali głos Panowie: A. Siewiński, Dr. Gargas, prof. Siwak, Dr. Janik i Dr. Bruchnalski. Uchwalono wniosek Dra Janika, aby zwrócić się do Dra Fr. Bujaka z prośbą o przygotowanie instrukcyi, która rozpowszechniona przez Tow. Ludoznawcze wskaże zbieraczom, w jaki sposób przystępować mają do tak ważnych i cennych opracowań.

Dalszą część obrad Zjazdu rozpoczęto 10. czerwca o g. 4. po południu. Przewodniczył wiceprezes Dr. Wilhelm Bruchnalski.

P. Fr. Rawita-Gawroński odczytał referat: Geneza legendy o smoku w związku z istnieniem człowieka czwartorzędowej epoki. W dyskusji prof. Siemiradzki zauważył, że tradycję ludzką trzeba tutaj cofnąć nieco wstecz. Potwory, które żyły w epoce, wskazanej przez prelegenta, były przeważnie trawożerne. Wyprowadzenie legendy o smoku z tego źródła nie da się utrzymać! Wyobrażenia o smoku obracają się głównie około płazów. Prof. Schneider mówił o wyobrażeniach smoka u Babilończyków i Greków, przyczem zestawiał grecki wyraz δράκων z polskim Krak. Zestawienie to zbijał Dr. Krętek i zaznaczył, że etymologia musi się liczyć z historią fo-

netyki. Dr. Jan Franko rozwoził się nad ważnością należytej metody w dociekaniach tego rodzaju.

Potem p. Grzegorz Smólski (Wiedeń) czytał referat swój: Sposzczerzenia i uwagi z podróży na Pomorzu i wyspie Rujnie. Referat ten o ostatnich Mohikanach Słowiańszczyzny zachodniej wywołał ogólne zainteresowanie.

Następnie odczytał p. J. Świętek (Kraków): Liczby 3 i 9 w mitach, wyobrażeniach mistycznych, praktykach i zwyczajach ludowych. Z powodu późnej pory dyskusyi obszerniejszej nie wszczynano.

Z kolei referował Dr. M. Janik: Ludność polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej. W dyskusyi nad referatem Dr. Gargas i p. Siwak zastanawiali się nad szkodami i pożytkami emigracyi i nad zdobyciem dokładnej statystyki emigrantów. Po odpowiedzi Referenta uchwalono wniosek, aby zwrócić się do instytucyi polskich w Ameryce w celu zebrania wszechstronnych materyałów do historyi tak licznego odłamu narodu polskiego.

W niedzielę rano 11. czerwca uczestnicy Zjazdu oglądali Wystawę Towarzystwa, Muzeum Przemysłowe miejskie, Muzeum Dzieduszyckich i Ossolineum.

Ukończono obrady na posiedzeniu, rozpoczętem o g. 4 po południu. Przewodniczył Prezes Dr. Józef Kallenbach.

Rozpoczął p. Sz. Matusiak (Krosno) referatem: O zbieraniu imion własnych. Zakończył wnioskiem: Zjazd wyraża uznanie dla tych, którzy z Br. Chlebowskim doprowadzili do skutku Słownik geograficzny. Wniosek przyjęto przez akklamację. W dyskusyi nad referatem zabierał głos p. St. Bał, prof. Dr. W. Bruchnalski i Dr. K. Nitsch, który zwrócił uwagę, aby zapisywać wyrazy bezwzględnie tak jak się je słyszy. Jest to rzecz niemałej wagi, bo nawet wielka liczba wsi brzmi w ustach ludu inaczej niż jest zapisaną urzędowo.

Dalej czytał p. Grzegorz Smólski: Ślady słowiańskie w Krainach dawnej Recyi i Windelicyi. W dyskusyi z aprobatą dla prelegenta zabierał głos p. Matusiak, przeciw pospieszynom wnioskowi językowemu występował Dr. Fr. Krček.

Następnie referował prof. Dr. W. Bruchnalski na temat: Pióro jako ozdoba rycerzy i junaków i t. zw. prośba o pióro i p. Dr. Z. Gargas na temat: Sprawność ekonomiczna a szczepy ludowe.

Po wyczerpaniu dyskusyi przystąpiono do zamknięcia obrad Zjazdu. P. M. Rybowski zauważył, że nie prof. Niemiłowiczowi, jak mylnie pisma (Dziennik polski) donosiły, lecz p. Sewerynowi Udzieli przypada inicjatywa w sprawie założenia Towarzystwa ludoznawczego. W dalszym ciągu poruszono sprawę encyklopedyi ludoznawczej, do której wydania ma przy-

stąpić krakowska Akademia Umiejętności. Prof. Dr. Leciejewski zaznacza, że nie możemy się do tego mieszać, skoro Towarzystwo nie zostało o tem zawiadomionem. P. Matusiak stwierdza, że Zjazdy naukowe stały się bardzo dobrym zwyczajem. Towarzystwo, oczekując Zjazdu, usilniej pracuje; występują młode siły; publiczność dowiaduje się o istnieniu Towarzystwa i bodaj częściowo je popiera. W sprawie tej w tym samym duchu przemawiają Panowie: St. Bał, G. Smólski i Dr. Gargas, poczem uchwalono połączony wniosek p. Matusiaka i p. Bala:

»Zjazd uchwała urządzić za 5 lat Zjazd przyszły, a Walne Zgromadzenie w połączeniu z Wystawą co rok gdzieindziej odbywać«.

Dr. Dulęba jako reprezentant Kółek rolniczych życzy Towarzystwu powodzenia.

Prezes dziękuje uczestnikom Zjazdu za łaskawy współdział i zamyka obrady.

Wystawa etnograficzna.

W czasie Zjazdu etnograficznego we Lwowie w Zielone Świątki b. r. urządziło Towarzystwo ludoznawcze skromną na liczbę przedmiotów, ale doborową na jakość okazów wystawę etnograficzną w sali Muzeum przemysłowego miejskiego. Pan Stanisław Bał, wiceprezes Towarzystwa nie szczędził trudów, aby uczestnikom Zjazdu ułatwić zapoznanie się z głównymi typami etnograficznymi, rozmieszczonymi na obszarze dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Był tutaj reprezentowany wschód i zachód, północ i południe, był wiek XVIII. XIX. i XX. Wielka sala muzealna, zapełniona po brzegi okazami, fotografiami, malowidłami i rysunkami rzeczy ludowych, barwny przedstawiała widok.

Nie podobna sprawozdawcy zapuszczać się w opisywanie i wymienianie poszczególnych przedmiotów, jakie zapobiegliwość Czcigodnego Wiceprezesa Towarzystwa nagromadziła, bo sprawozdanie musiałoby objąć rozmiary za wielkie. zaznaczamy tylko, że wystawa udała się w zupełności i że urządzenie podobnych wystaw w większych miastach kraju, przyczyniłoby się niezmiernie do poznania ludu naszego.

Towarzystwo ludoznawcze polskie w Cieszynie nadesłało na wystawę bardzo bogate zbiory, obejmujące dawniejsze i dzisiejsze stroje ludowe i mieszczańskie, stare obrazy na szkle

stare sprzęty, zamki, naczynia, tudzież piękny zbiór ceramiki ludowej z XVIII. wieku.

Huculszczyznę reprezentowały godnie zbiory prof. W. Szuchewicza, p. Maryi Piotrowskiej, p. W. Przybyłowskiego, p. Stanisława Bala i wielu innych. Widzieliśmy tam stroje huculskie, ceramikę i wspaniale rzeźbione wyroby drzewne.

Podhale przedstawił dr. Stanisław Eliaś - Radzikowski, dostarczając na wystawę starych skrzyń, łyżników, obrazów,



szpinek, fotografii, nadto ciekawych starych rękopisów, dokumentów i druków, odnoszących się do folkloru i sztuki ludowej na Podhalu. Zbiór ten cenny uzupełnił kilkoma okazami dr. I. Kasprowiez.

Towarzystwo »Polska Sztuka stosowana« w Krakowie nadesłało z bogatych zbiorów swoich bardzo oryginalne i cenne wycinanki z Łowickiego i wielką liczbę malowanych przez niestrudzonego w tem Towarzystwie pracownika p. Jerzego

Warchałowskiego, skrzyń ze Śląska austriackiego i Królestwa Polskiego, ubiorów śląskich i t. p.

Towarzystwo ludoznawcze zaprezentowało także zbiory swoje, które gromadzi do przyszłego Muzeum etnograficznego. Oglądaliśmy tedy olbrzymią kolekcję pisanek, zbiór zabawek glinianych z Kijowszczyzny, dar p. Franciszka Rawity-Gawrońskiego, sto kilkadziesiąt ostatnich zdjęć fotograficznych ś. p. Kazimierza Mokłowskiego, dotyczących budownictwa ludowego

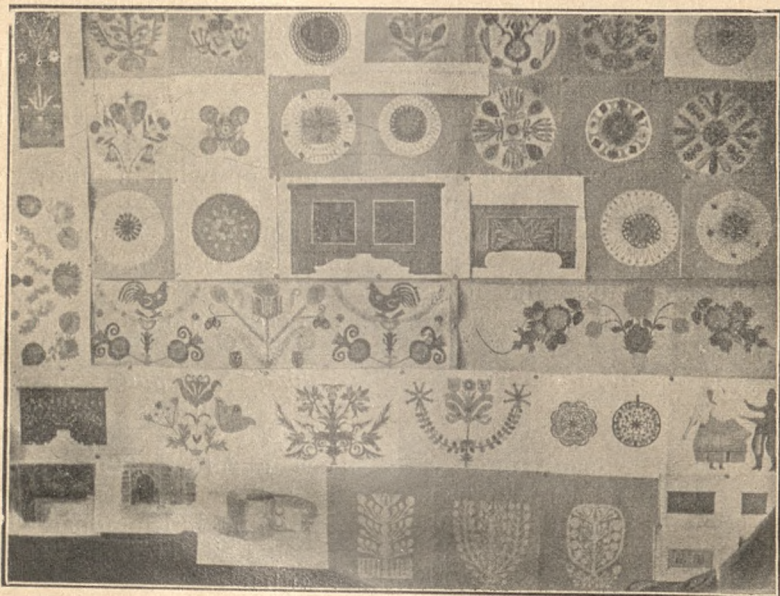


i wiele jeszcze pięknych rzeczy, nadto wszystkie publikacje Towarzystwa z lat dziesięciu, oraz czytelną, obejmującą sto kilkadziesiąt czasopism fachowych.

Pani Anna z hr. Działyńskich hr. Potocka z Rymanowa dała na wystawę przez długi szereg lat gromadzony zbiór rysunków i malowideł wzorów ornamentyki ludowej polskiej, ruskiej, słowackiej, bośniackiej, węgierskiej i innej, zawierający hafty, ceramikę, także pasy słuckie, stare makaty polskie itp. Zbiory godne publikacji, czekają od dawna na nakładkę — oby się go jak najrychlej doczekały!

P. Seweryn Udziela przedstawił czterdzieści dwa kartony z malowanymi strojami ludowymi z Sądeczyny.

Gdyby te zbiory pozostały razem, utworzyłyby już piękne Muzeum etnograficzne, a rozproszone po kraju po większej części w rękach prywatnych, nie są dzisiaj przystępne dla ba-



dań naukowych z wielką szkodą dla etnografii polskiej. Dopiero przy sposobności jakiejś wystawy pokazują się na chwilę, aby potem znowu ukryć się na długie lat szeregi.

Posiedzenia Zarządu.

Szóste posiedzenie Zarządu za r. adm. 1905. odbyło się dnia 24. czerwca b. r. w lokalu Towarzystwa.

Obecni PP.: Bał, Dr. Bruchnalski, Dr. Gargas, Dr. Janik, Dr. Kallenbach, Klemensiewicz, Pelczarski, Siwak i Treter.

1. Po odczytaniu sprawozdania z Walnego Zgromadzenia przyjęto protokół z ostatniego posiedzenia Zarządu.

2. Przyjęto sześciu nowych członków.

3. Uchwalono wymianę pism z »Narodem Polskim« w Chicago.

4. Zarząd ukonstytuował się w sposób następujący: sekre-

tarzem obrano Dra Janika, skarbnikiem p. J. Pelczarskiego, bibliotekarzem p. M. Siwaka, gospodarzem lokalu p. J. Klemensiewicza.

5. Postanowiono zmienić lokal Towarzystwa.

6. Uchwalono poczynić starania w Prezydyum miasta o udzielenie miejsca na zbiory w M. Muzeum Przemysłowem.

7. Przyjęto sprawozdanie p. Bala z kosztów wystawy do zatwierdzającej wiadomości.

8. Postanowiono wystosować do Ministeryum Oświaty prośbę o podwyższenie subwencji.

9. W sprawie komisji do zbierania opowiadań ludowych uchwalono zwrócić się do p. Udzieli.

10. Uchwalono w miarę możliwości urządzać Walne Zgromadzenia Towarzystwa w różnych miejscowościach i łączyć je z wystawami etnograficznymi.

11. Uchwalono w zasadzie przenieść redakcję Ludu do Lwowa.

Dr. Michał Janik m. p.
sekretarz

Dr. Józef Kallenbach m. p.
prezes

Siódme posiedzenie Zarządu za r. adm. 1905. odbyło się dnia 17. października b. r. w lokalu Towarzystwa.

Obecni PP.: Bal, Dr. Janik, Dr. Kallenbach, Klemensiewicz ks. Krechowicz, Pelczarski, Rybowski, Siwak i Treter.

Przewodniczył prezes Dr. J. Kallenbach.

1. Przyjęto protokół z ostatniego posiedzenia Zarządu.

2. Po sprawozdaniu skarbnika postanowiono pokryć ewentualne niedobory pożyczką z funduszu żelaznego.

3. Dano pełnomocnictwo gospodarzowi do zakupna lampy, wieszadeł, załatwienia sprawy opału i innych potrzeb w lokalu Towarzystwa.

4. Uchwalono stanowczo przenieść redakcję Ludu do Lwowa.

5. Uchwalono złożyć dotychczasowej redakcyi najgorętsze i najszczersze wyrazy wdzięczności i uznania za długą, żmudną, skuteczną i bezinteresowną pracę. Podziękowanie to ma być przesłanem w osobnem piśmie Zarządu.

6. Uchwalono przesłać wówczas do członków odezwę w formie listu z uwiadomieniem o zmianie redakcyi i z prośbą o popieranie celów Towarzystwa, a zarazem umieścić odpowiednią notatkę w dziennikach z podaniem adresu prezesa i skarbnika.

7. Sprawę wyboru drukarni postanowiono oddać decyzji prezesa.

8. Uchwalono wnieść petycję do sejmu na ręce rektora posała Gluzińskiego o podwyższenie zapomogi na wydawnictwo Ludu i rosnące potrzeby Towarzystwa.

9. Postanowiono odpowiedzieć Tow. ludozn. w Cieszynie, iż w razie uznania Ludu za swój organ będzie w nim mogło pomieszczać bezpłatnie swoje komunikaty i przyjęte przez redakcję artykuły. Bibliotece Tow. cieszyńskiego ofiarowanym będzie komplet wydawnictw Towarzystwa. Członkowie Tow. cieszyńskiego będą otrzymywać Lud za roczną opłatą 4 koron, a roczniki z ostatnich lat (wyjąwszy najstarsze) po cenie 7 koron, 50 h.

10. Postanowiono, aby Zarząd ściągał wprost wkładki od członków, a nie za pośrednictwem oddziałów, — a to celem uniknięcia trudności administracyjnych.

11. Przyjęto do wiadomości rezygnację p. T. Piniego z godności członka Zarządu.

Dr. Michał Janik m. p.
sekretarz

Dr. Józef Kallenbach m. p.
prezes





KRONIKA.

„Mankietniki“. W królestwie Polskim — zdaje się — tworzy się nowa sekta religijna. Według artykułu ks. Szkopowskiego ogłoszonego w »Wiadomościach pasterskich« od dłuższego już czasu zwracali na siebie uwagę księża katoliccy, których lud nazywa mankietnikami »bo dla ślubowanego ubóstwa zarzucili używanie płóciennych mankietów, które ich raziły przy czarnej sukni duchownej«. Szerzą oni pobożność powierzchowną, więcej materyalną; obwieszają ludzi medalikami, paskami, różańcami, koronkami, nakazują godzinne adoracye, odciągają lud od pracy, bo nauczają: »Jeśli będziesz się modlił, da ci Bóg wszystko«, ogłupiają lud nawet, nauczając: »Jeśli zachorujesz mój bracie, na co zaraz wzywasz doktora, lepiej pomódl się do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy«.

Sami ci kapłani żyją w ubóstwie, religia ich zasadza się na adoracyi Najświętszego Sakramentu, częstych spowiedziach, a osobiście codziennem komunikowaniu się, na noszeniu paszków różnych bractw religijnych, różańców, koronek, na połykaniu papierowych obrazków Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Lud mało, a właściwie niedostatecznie nauczają zasad religii katolickiej, tamują szerzenie się oświaty, twierdząc, że wszystkie pisma drukują masoni, że wszyscy inteligentni, to masony; są także stanowczymi przeciwnikami wszelkiej pracy narodowej.

Z inicjatywy Towarzystwa »Szkoła nauk politycznych« we Lwowie a pod kierunkiem rektora dr. Ochenkowskiego, prof. Józefa Buzka i prof. szkoły rolniczej w Dublanach dr. Jana Gw. Pawlikowskiego rozpoczną się systematyczne badania wsi polskiej w stuleciu XIX. pod względem ekonomicznym, socyalnym administracyjnym i t. d. aby w miarę możności wypełnić dotkliwe braki w naszej literaturze ekonomicznej.

Jeżeli usiłowania te poprą — jak się tego należy spodziewać — młode siły prawnicze, rozsiane po całym kraju i pracujące już w zawodach praktycznych, w służbie sędziowskiej, administracyjnej, skarbowej, bankowej i t. d., to piękna myśl wkrótce przyoblecze kształty namacalne, czego jej szczerze życzymy.

Wystawa etnograficzna w Rzeszowie. Na wiecu rękodzielniczym, jaki się odbył w Rzeszowie dnia 28. listopada 1905 r., uchwalono na wniosek inżyniera p. Szajnoka urządzić wystawę etnograficzną powiatu rzeszowskiego w porozumieniu się z krakowskim Towarzystwem ludoznawczem. Piękna myśl powinna rozbudzić w okolicach Rzeszowa zainteresowanie i pozyskać ogólne poparcie tak warstw inteligentnych, jak również ludności włościańskiej, która będzie miała sposobność na wystawie takiej przedstawić swój prawdziwie wysoki stan kulturalny i owoce swojej i swoich przodków pracy. Mamy nadzieję, że projektowana wystawa przyjdzie do skutku i że Zarząd Towarzystwa ludoznawczego nie odmówi jej swego skutecznego poparcia.





LITERATURA.

A. Przegląd czasopism.

„Ognisko“ pismo miesięczne ilustrowane, poświęcone nauce, pracom społecznym, literaturze, sztuce. Warszawa, Rocznik II. Nr. 1—12, rok 1903—1904 ¹⁾.

W drugim roczniku »Ogniska« spotykamy szereg artykułów, których treść zaciekawia szanownych czytelników »Ludu«, dlatego postanowiliśmy podać ją tutaj w streszczeniu, postępując za numerami w chronologicznym porządku, jak się ukazywały po sobie.

»Ognisko« J. Korab: »Święto zmarłych«. Skąd się wziął i co oznacza Dzień zaduszny.

Powstanie obchodu »Święta zmarłych« zwanego u ludu »zaduszkami«, które kościół katolicki uroczystem nabożeństwem z procesyami, modlitwami i śpiewami żałobnymi za kapłanów, rodziców, dobrodziejów i za wszystkich wiernych zmarłych obchodzi dnia 2. listopada, wywodzi autor z bardzo dawnych, przedchrześcijańskich zwyczajów. Uroczystość tę w kościele katolickim wprowadził opat kluniacki św. Odilon w r. 998. a ojciec święty zatwierdził. Dzień poprzedni ukazuje symbolicznie niebo, zaduszny czyściec. — Nasze Święto »zaduszki« jest przekształceniem pogańskiego jeszcze pojęcia wszystkich ludów, że należy oddawać cześć duszom przodków, bo zaniedbanie tej czci wywołuje ich zaniepokojenie, a nawet zemstę. Jest to pojęcie powszechne, spotykane u wszystkich ludów pierwotnych świata. Widok śmierci budzi przerażenie, przestrasz, obawę i odrazę. Ta właśnie trwoga miała być zawiązkiem pierwotnych uczuć religijnych. Pierwej czcili człowiek zmarłych przodków, niż Indrę i Zeusa, bał się zmarłych i modlił się do nich. Zmarli przodkowie pragnęli i wyczekiwali ofiar pośmiertnych, a żyjący ich potomkowie przez te ofiary pragnęli zyskać sobie przy-

¹⁾ Patrz »Lud«, tom X. str. 222 i 339.

chylność i życzliwość nieboszczyków. Ta cześć przodków jest podstawą wszystkich systematów religijnych. Cześć i miłość, jaką mieli dla żyjących przodków swoich łączyła się po ich śmierci z trwogą przed nimi. Pięknie to opisuje Homer, a zwyczaj oddawania czci zmarłym utrzymał się u Greków jak również u Rzymian bardzo długo. Równie starożytne są te zwyczaje u ludów germańskich i słowiańskich i, choć tępione przez Kościół, nie znikły, ale nagiąwszy się do pojęć chrześcijańskich do dnia dzisiejszego przetrwały. Wiele klechd i legend odnoszących się do tego zwyczaju zebrał O. Kolberg w swem dziele: »Lud i jego zwyczaje«. Tu należą: schodzenie się dusz w nocy Dnia Zadusznego na modlitwy i nabożeństwa do kościołów, procesjonalne chodzenie w większych lub mniejszych gromadach tych dusz po wsi, zagładanie do domów, w których za życia mieszkali, ich narady i t. p. — Opisany przez Mickiewicza obrzęd »Dziadów« obchodzono za jego czasów, a nawet i później na Litwie i Rusi, gdzie znają go jeszcze po dziś dzień pod nazwą: »Radawnica«. — Obchody te są dowodem prastarej, a silnej wiary w życie pozagrobowe. — Coś podobnego do »Dziadów« obchodzą i w Bretonii, gdzie tak, jak i u nas wierzą w upiory, duchy i strachy.

Zygmunt Szeliga: »W dzień Bożego Narodzenia«. Na podstawie dziełka niemieckiego: prof. Jerzego Rietschela »Weihnachten« (Lipsk 1902) zestawia autor zwyczaje i zabobony ludu polskiego. Opisuje jak spędza lud wilię Bożego Narodzenia, zwyczaj łamania się opłatkiem, wróżby wigilijne, przepowiednie z tego dnia na cały rok, szukanie przez górali talizmanu szczęścia we wodzie, wrózenie z wyciągniętego z pod obrusa żdźbła o długości życia, staranne przestrzeganie, by do stołu zasiadała parzysta liczba osób i inne.

Że dzień ten ma tak wróżebne znaczenie, objaśnia autor prastarymi pogańskimi zwyczajami, które właśnie mają związek z dniem 24. grudnia, jako początkiem Nowego Roku uważanym przez ludy słowiańskie i germańskie za szczególnie święty i proroczy. — Dzień ten uważano za zwycięstwo, »narodziny« słońca. Gdy zaś Kościół chrześcijański przeznaczył ten dzień na obchód uroczystości Bożego Narodzenia, przeto zwyczaje pogańskie łatwo dały się zespolić z tą uroczystością tem bardziej, że Kościół, zakazując zaklęć i czarów, nie wzbraniał niewinnych zabaw i uczt — godów — był nawet wyrozumiały na niektóre gusła i wrózenia nie wykraczające przeciw wierze j. n. p. wrózenie z szczekania psa, skąd przyjdzie narzeczony i t. p.

Żłóbek, jasełka, widowiska ludowe, szopkę uważa autor za przeszczepione do nas z Zachodu (z Włoch, Francji i Niemiec), gdzie już bardzo wcześniej widowiska takie urządzano. Najwięcej do rozszerzenia »jasełek« przyczynił się św. Franci-

szek z Assyżu, a następnie zakony Franciszkańskie. — Następnie opisuje autor szopkę i sposób jej przedstawiania, powstanie kołęd, wieczór wigilijny, zwany od składania sobie wzajemnie podarków »szczodrym wieczorem«. Zwyczaj ten opisał już w X. w. Also, niemiecki zakonnik w Breznovie w Czechach, z czego miał powstać zwyczaj chodzenia po domach z gwiazdą.

Z bardzo zaś starych legend o drzewie Adama, o drzewie Krzyża, o zrywaniu na wróżbę szczęścia gałązek w dzień św. Andrzeja lub św. Barbary i wkładaniu ich w wodę, aby na wigilię zakwitły i służyły za znaki wróżebne, wyprowadza początek urządzania choinki, drzewka, jako symbolu rodzinnego święta. — Pierwszą wzmiankę o urządzaniu przystrojonego drzewka mamy z roku 1605. ze Strassburga, skąd zwyczaj ten rozszedł się powoli po całych Niemczech, a stąd miał się dostać do Polski. Opisując zwyczaj chodzenia z turoniem, powiada, że i to nie jest zwyczaj polski ani słowiański, lecz że początku jego szukać trzeba znów w Niemczech, gdzie chodził przebrany parobek, zwany Ruprecht, i strasząc dzieci, kazał im się modlić, a wreszcie byle czem je obdarzał. Stąd ma pochodzić nietylko turoń, ale i zwyczaje z dniem św. Mikołaja połączone.

Józef Korab. »Skąd się wzięły przesady i zabobony«. Stosownie do poglądów Jana Karłowicza w dziele: »O człowieku pierwotnym« przypisuje autor powstanie zabobonów i przesądów grubym i niskim pojęciom o bóstwie i siłach wyższych u człowieka pierwotnego, który każdemu przedmiotowi przyrody i każdej sile elementarnej, — nawet chorobie nadawał w swej wyobraźni życie, tworzył z nich duchy i osoby złośliwe, lubiące krzywdę ludzką. — Wszystko złe, jak choroba, śmierć, pożar, powódź lub inne jakieś nieszczęście to ich sprawy. — Tu należą uosobienia i uduchowienia zwierząt, elementów, chorób n. p. zaraza morowa, śmiercica, kostnica, zmora, kołtun, siła niewidzialna jakichś duchów (strygoni) i t. p. Drugą przyczyną powstania zabobonów jest niewłaściwość wnioskowania, wypływająca z niedokładności spostrzeżeń, jak cudowna siła roślin, kamieni lub innych przedmiotów, owe amulety, talizmany, i wiele innych. — Kult zmarłych bardzo też jest rozszerzony i daje powód do wielu przesądów i zabobonów, jak o pokutujących duszach w różnych rzeczach i miejscach n. p. w świeżem wilgotnem drzewie, które przy paleniu się syczy, piszczy i jęczy dlatego, bo pokutująca w niem dusza piecze się i pali. — Równie bardzo rozszerzona jest wiara w moc i potęgę słowa, co znów wzięło początek w owych odległych czasach, gdy człowiek pierwotny spostrzegł, że na wykonanie jego woli przez słabszą jednostkę wystarcza rozkaz słowny. Stąd znów powstały owe błogosławieństwa i przekleństwa, życzenia na imieniny, urodziny, nowy rok; tu mają początek nieustannie używane zdania: »Dzień dobry! Dobranoc,

Na zdrowie, Bóg zapłać!« — owe zaklęcia i uroki, a wreszcie zażegnania, przy których zamawiacze przemawiają do chorób, jak do prawdziwych osób, proszą je czule lub rozkazują, stąd owa obawa wymówienia jakiego słowa lub przekleństwa w złą godzinę i t. d. — Oprócz powyższych przytacza autor znaczną liczbę zabobonów, wpływających z nieściśłego rozumowania o podobieństwie kształtu, barwy, wyrazów, stanu i ruchu oraz symbolistyki, odgrywającej w zabobonach bardzo ważną rolę.

G. — »Japonia przed stu laty«. Zdanie o niej Rosyanina (Wasyła Gołownina).

Wasył Gołownin, wiceadmiral i podróżnik rosyjski, który w początkach zeszłego wieku zostawał blisko 3 lata w niewoli u Japończyków, zebrał w trzytomowym dziele swoje spostrzeżenia o Japonii. Początek swego narodu wyprowadzają Japończycy według jednej legendy od Chińczyków: Cesarz chiński miał wysłać na jedną z wysp japońskich dla zebrania roślin cudownych, mających zapewniać nieśmiertelność, 300 młodzieńców i tyleż dziewcz. Ci jednakże, zakochawszy się wzajemnie, nie powrócili już do Chin, ale zaludnili wyspę Nipon. Według innej legendy ziemia, stworzona przez Władcę Nieba, cała była zalana wodą. Nie dbał o nią Stwórca; dopiero najstarszy syn jego »Kami«, otrzymawszy pozwolenie ojca, szukał olbrzymiem berłem najpłytszego miejsca w morzu. Gdy je znalazł, zgromadził na niem muł z dna morskiego i z tego powstała wyspa Nipon. Upodobał ją sobie i uczynił ją rajem, a rozdzieliwszy się na dwie połowy, męską i żeńską, zaludnił tę wyspę. Bracia boga Kami, naśladowując go, potworzyli inne ziemie i różne ludy, ale ponieważ nie mieli tej zręczności, co starszy brat, więc wszystko, co zrobili, było tylko lichem naśladownictwem, prawie karykaturą Niponu. Stąd Japończycy uważają się za naród najdoskonalszy, wyborowy, a przekonanie to czyni ich odważnymi i silnymi; lekceważą i gardzą wszystkim, co obce. Język, typ twarzy, obyczaje, prawa i zwyczaje okazują, że Japończycy nie są spokrewnieni rasowo z Chińczykami, w odległej zaś starożytności tworzyli jeden naród z mieszkańcami wysp Kurylskich. Chińczykami gardzą, czują do nich wstręt, a przewzisko: »Chińczyk« znaczy u nich tyle co łotr, oszust.

Pierwsi historyografowie malują Japończyków jako mściwych, okrutnych i niegościńczych; Gołownin zaś, zbijając te zarzuty, mówi, że nie tylko nie są takimi, ale nawet są bardzo szlachetnymi, pełnymi współczucia dla bliźnich bez względu na ich narodowość lub religię, gościinnymi, trzeźwymi, oszczędnymi i zapobiegliwymi, a pod względem oświaty stoją tak wysoko, że w porównaniu z innymi narodami na kuli ziemskiej, są najoświecieńsi. Niema tam człowieka, któryby czytać i pisać nie umiał, oraz nie znał praw krajowych. Obcymi krajami i narodami wcale się nie zajmują, z obcymi — po przykrych doświad-

czeniuach — żadnych stosunków mieć nie chcą. Jedyne zarzut robi im Gołownin, że są lubieżni. W Japonii panuje tolerancja religijna. Głównych zaś wyznań religijnych jest trzy t. j. wiara w Kami, od którego Japończycy pochodzą, a wyznawcy tej religii czczą swoich świętych i błogosławionych, którzy się odznaczali przykładnem życiem i dobrymi uczynkami. Druga religia pochodzi z Indyj, a wyznawcy jej wierzą w emanację dusz i w jednakowe właściwości duszy ludzkiej i zwierzęcej. Stąd zabijać istot zwierzęcych nie wolno. Trzecia wiara »chińska« Konfucjusza jest wiarą przeważnie uczonych i mędrców. Są i czciciele ciał niebieskich, którzy za najwyższe bóstwo uważają słońce, potem księżyc i gwiazdy. Nie brak też tam wolnomyślnych, a nawet ateuszów. Mieszkańcy Japonii dzielą się na ośm klas: 1. książąt panujących, 2. szlachtę i magnatów, 3. duchownych (bonzów), 4. wojskowych, 5. kupców, 6. rzemieślników, 7. rolników i wyrobników, 8. niewolników. Władzę udzielnych książąt ogranicza bardzo władza cesarska. Stan wojskowy należy do uprzywilejowanych. Wreszcie stwierdza Gołownin, że górujące zadanie wychowawców młodzieży japońskiej polega na wszczepianiu i utrwalaniu w sercach dziatwy cierpliwości, skromności i poczucia własnej godności.

Dr. Włodzimierz Czerkawski: Ilu jest Żydów na świecie, a ilu u nas?

Zbadanie i rozwiązanie kwestyi żydowskiej natrafia na bardzo wielkie trudności z powodu wielkiej różnorodności kształtów, jakie przybiera w różnych krajach i w różnych stosunkach z ludnością miejscową. Chcąc sobie wyrobić dokładniejszy pogląd na tę sprawę, na szkody lub korzyści wynikające ze stosunku Żydów z innymi narodami, między którymi żyją, należy najpierw zbadać ich stosunek liczebny do reszty ludności. Autor w niniejszej rozprawie, oceniając ilość Żydów na kuli ziemskiej tylko w krajach cywilizowanych na 10 milionów z górą, przedstawia cyfrowo ilość żydów w poszczególnych państwach Europy, Ameryki, Afryki, Azji i Australii. Z tego pokazuje się, że Europa ma ich przeszło 8 milionów 500 tysięcy, Ameryka 868 tysięcy, Afryka 369 tys., Azja 302 tys., Australia 17 tys. Na samą środkową Europę przypada 7,800.000. W granicach dawnej Polski mieszka więcej niż połowa ogólnej ilości żydów. Zatem kwestya żydowska ma dla nas bardzo doniosłe znaczenie. Są powiaty, w których blisko trzecią część ludności stanowią Żydzi. Królestwo Polskie ma ich w poszczególnych guberniach po 10 do 28-47%, Galicya zaś w swoich powiatach od 10 do 20%. Żydzi całą swoją masą przyznają się z zasady zawsze do żywiołu silniejszego, stąd niebezpieczeństwo z ich strony dla nas największe jest tam, gdzie obcy żywioł liczebnie i majątkowo nas przewyższa. Jak wzrasta ludność żydowska, najlepiej udowodni porównanie spisu Żydów w Polsce z r. 1756.,

kiedy to Korona miała ich blisko 430 tysięcy, a Litwa przeszło 157 tysięcy, czyli razem około 600.000, gdy dziś na tym samym obszarze znajduje się ich ośm razy więcej. W porównaniu z ludnością chrześcijańską wzrasta ludność żydowska dwa razy szybciej. W Galicyi liczono ich w roku 1776. na 147 tysięcy—teraz jest ich przeszło 811.000. Obecnie wzrost Żydów poczynia nieco zwalniać, szczególnie w zachodniej części Galicyi, a przyczyną tego jest wzrost oświaty u ludu wiejskiego, który, tworząc kółka rolnicze oraz instytucje ułatwiające drobne pożyczki, usuwając się powoli od karczmy, przestaje być źródłem dochodu dla tego ludu, któremu ciężka praca nie pachnie.

Dr. Zofia Golińska-Daszyńska: »Z przeszłości stowarzyszeń przemysłowych i handlowych. Dawne czasy u nas i na Zachodzie«.

Autorka, wykazując, że treścią życia codziennego nie może być walka, lecz przeciwnie wzajemna pomoc i współdziałanie w każdym zajęciu, mówi, że na tem polega związek rodziny, opierający się już na pewnym podziale pracy. Ten podział pracy z postępem i rozwojem społeczeństwa wytwarzał różnorodne zatrudnienia i zawody, stowarzyszenia i cechy, łączące pewne grupy ludzi do wzajemnej pomocy tak w pracy wytwórczej, jak i dla obrony. Stowarzyszenia takie zawiązywały się w wiekach średnich po miastach, gdzie w przeciwieństwie do ludności wiejskiej niewolnej, do ziemi przypisanej, mieszcianie byli wolni i mogli oddawać się swobodnie rzemiosłu lub handlowi. Bogacili się, ale też i o obronie swojej własności sami myśleć musieli. Powstawały więc po miastach gmachy, mury obronne i baszty ze strzelnicami, powstawała siła zbrojna, która nawet monarchom do pomocy stawała, a za to od nich różne przywileje uzyskiwała. Na wzór związków wojennych, mających za cel wspólną obronę, powstawały związki pokojowe, których celem było wytwarzanie wyrobów na zbyt. Związki takie, zwane cechami, stanowili ludzic jednego zawodu, rzemiosła, przyczem starannie przestrzegano, aby pokrewne sobie rzemiosła wzajemnie sobie nie przeszkadzały. Cech miał na oku interesa wspólne całemu rzemiosłu jak zakupywanie materyału, podział tegoż między swych członków itp. Dążeniem zaś cechu była równa zamożność wszystkich członków. To też cech oznaczał majstrom ile możności równą ilość czeladników i uczniów, dbał o trwały i piękny wyrób, o dobrą sławę stowarzyszonych, bronił przed konkurencją kupców i rzemieślników miast obcych, a kto nie należał do cechu, nie miał prawa zarabiać rzemiosłem, choćby je znał doskonale. Do cechu przyjmowano ostrożnie, nawet niechętnie, bo każdy nowy członek był nowym współzawodnikiem do zarobków i godności. Korporacje te doprowadzają stan rzemieślniczy do wysokiego znaczenia i zamożności. Jednakże od czasu, gdy przemysł bawełniany rozwijać się począł (1550 r.)

w Anglii, zaczynają tam cechy upadać, a w miarę wzrostu handlu morskiego, przynoszącego kupcom ogromne majątki, w miarę powstawania przemysłu wielkiego, fabrycznego, tracą rzemieślnicy równość cechową i znaczenie we wszystkich krajach do tego stopnia, że prócz posiadania chorągwi i odbywania wspólnych uroczystości dziś członkowie z cechu nie odnoszą żadnych korzyści.

Początek cechów w Polsce sięga wieku XIII., kiedy to królowie polscy dla ożywienia przemysłu i handlu sprowadzali z Niemiec rzemieślników i osadzali ich po miastach, pozwalając im rządzić się prawami niemieckimi. Z czasem cechy niemieckie spolszczyły się a oprócz nich i na ich wzór powstały cechy czysto polskie. Podstawą cechu byli mistrze, obok nich czeladnicy (towarzysze). Uczniów wolno przyjmować tylko z wiedzą starszych cechu. Aby być przyjętym do cechu, trzeba było wykazać się umiejętnością rzemiosła, świadectwem prawego urodzenia, obyczajności i przekonań religijnych, trzeba być żonatym lub przynajmniej zaręczonym, a wreszcie nie mieć więcej żon niż jedną. Członkom zakazana była wzajemna obmowa i szkodenie sobie w rzemiośle, odmawianie uczniowi i czeladnikowi, podkupywanie się przy kupnie itp. Poniedziałkowanie i bijatyki były wzbronione. Wkup do cechu był czasem dość znaczny. Przyczyną upadku cechów jest też zawarowanie całkowitej swobody handlu i wykonywania rzemiosła.

Z dziejów astrologii.

Każdemu człowiekowi wrodzone jest pragnienie uchylenia tajemniczej zasłony przyszłości. Nie dziwnego, że umysł ludzki od wieków wysilał się i dotąd pomimo doznania niezliczonych zawodów wysilać się nie przestaje, aby choć małeńki rąbek tej tajemnicy uchylić, by, jeżeli się już nie da zajrzeć poza grób, przynajmniej los człowieka tu na ziemi przewidzieć. — Potężny wpływ księżyca na morza zwrócił uwagę człowieka jeszcze w starożytności na ciała niebieskie i wzbudził pytanie, czy też i na losy człowieka nie wywierają wpływu. Stąd zaczęto pilniej poglądać na te tajemnicze światy i zaczęto przypuszczać, że stan tych ciał niebieskich, obserwowany w chwili urodzenia się człowieka, daje nam wskazówki co do jego losu. W ten sposób zaczęła się i rozwinęła nauka zwana astrologią, której oddawali się już kapłani chaldejscy, następnie Egipcjanie, od tych Arabowie i uczeni wieków średnich. — Dziwnem i niedającym się wytłomaczyć zjawiskiem są ludzie jak: Michał Nostradamus, Luc Gauric, Piotr Le Clerc, Morin, Cagliostro, Leonard z Dobczyc i inni, którym się udawało przepowiedzieć ważniejsze wypadki lub losy ludzi znaczniejszych jak n. p. śmierć Henryka II., śmierć Ludwika XVI. i Maryi Antoniny, rewolucję francuską, jej datę i charakter, losy Napoleona i t. p. —

Astrologia kwitnęła w wiekach średnich w całej Europie, a w Polsce zażywała tak wielkiego poważania, że dla niej na uniwersytecie krakowskim w r. 1522. Maciej z Miechowa, słynny lekarz i historyk, ufundował i hojnie uposażył katedrę. — Profesorowie pisali wiele ciekawych dzieł i rozpraw, które nawet w Niemczech wielką miały wziętość. — Wielką korzyść z badań i dociekań astrologicznych odniosła astronomia, w której zasłynęli mistrze polscy, jak Marcin Bylica i Wojciech z Brudzewa, którego uczniem był Kopernik. Sztukę wróżenia z gwiazd łączono często z t. z. chiromancyą, czyli wrózeniem z ręki i nekromancyą (wywoływaniem duchów) czyli czarnoksięstwem. Typem czarnoksiężników był Niemiec Faust, o którym powiadają, że nawet na uniwersytecie krakowskim magii publicznie nauczał. — Polskim sławnym czarnoksiężnikiem był znany z wielu legend Twardowski. Z ciekawych bądź co bądź faktów sprawdzania się wielu przepowiedni astrologicznych starało się wyciągnąć korzyść wielu szarlatanów, którzy za pewną zapłatę, wróżąc i tumaniąc ludzi dla zysku własnego, zdyskredytowali do reszty już i tak na bardzo słabych podstawach opierającą się astrologię.

Stanisław Czaja.

B. Przegląd książek.

Pohadkoslovne studie napisał Jiři Polivka. (Otisk z X. sv. Narodopisného sborníka českoslovanského) Praha, 1904. Nakładem Společnosti národopisného musea českoslovanského, 8 ka większa; str. XXVI, 211 i 1 nlb.

Nazwisko zasłużonego profesora czeskiego praskiego uniwersytetu powinno być dobrze znane naszym czytelnikom, skoro prace jego niejednokrotnie były omawiane z tego miejsca. Prof. Polivka od lat dziesięciu z górą oddaje się wyłącznie prawie studjom nad baśniami ludowymi, o których napisał dotąd kilkanaście drobniejszych rozpraw, i to nie tylko w języku swoim macierzystym, ale także w rosyjskim, bułgarskim, chorwackim. Niepodobna też przytem pominąć i tego faktu, że prof. Polivka nie jest wcale obcy literaturze naukowej polskiej, gdyż od szeregu lat należy do stałych współpracowników »Wiśły« i »Ludu«, drukując w nich prace samodzielne i recenzje, a na III. Zjeździe historyków polskich w Krakowie, jako wiceprezes sekcji ludoznawczej, wystąpił z wałnym referatem, drukowanym w »Pamiętniku« Zjazdowym. Lecz gdyby nawet był nam autor zupełnie obcym, każdy polski etnolog powinienby się zapoznać z jego pracami, operuje w nich bowiem w znacznej mierze materiałem polskim, dotąd przez nikogo u nas niewy użytym. Ten też tylko wzgląd skłania nas do zaznajomienia czytelników z najnowszym dziełem prof. Polivki, ogarniającem bardzo szerokie horyzonty, oraz rozjaśniającem wiele nowych

kwestyi ogólnego znaczenia, zwłaszcza że o literaturze naukowej bratnich narodów panuje u nas przeważnie głucho milczenie, co nie jest ani uzasadnionem ani pożytecznem.

W rozprawie »O porównawczem studyum tradycyi ludowych«, drukowanej w 2-gim tomie »Narodopisného sborníka«, stanął prof. Polivka na stanowisku teorii migracyjnej, opierającej się na następujących głównych wytycznych. Wielka zgodność między sobą tradycyi różnych czasów i krajów tłumaczy się przechodzeniem ich z pokolenia w pokolenie, od narodu do narodu. Tradycje ludowe powstały w różnych dobach i krajach. Że jednak powiastki ludowe są produktem, złożonym umiejętnie, a niekiedy nawet artystycznie, przeto początek ich należy odnieść do dawnych centrów kultury, dziś już wygasłych. Pieśni epiczne przypisuje się drużynom śpiewaczym. Podobnie trzeba sądzić o tych, którzy rozszerzali tradycje przeważnie, niejednokrotnie ułożone nie mniej umiejętnie od utworów wierszowanych. Takie jest zasadnicze stanowisko prof. Polivki, na którem stoi on do dzisiaj. Że zaś po ukazaniu się wymienionej rozprawy pojawiło się sporo prac, traktujących o tej samej kwestyi, przeto ich rozpatrzeniu poświęcił autor wstępny rozdział swojej książki, zatytułowany »O kierunkach studyum tradycyi ludowych i jego celów«. Omówionych tu zostało kilkanaście prac, pomiędzy innemi: St. Ciszewskiego »Bajka o Midasowych uszach«, prof. Kawczyńskiego »Amor i Psyche«, bardzo obszernie spór pomiędzy prof. Porębowiczem i Kawczyńskim, oraz kończące go prace W. Klingera. Cały ten przegląd w większej części polemiczny — posłużył autorowi do umocnienia swoich poglądów na badania tradycyi ludowych. To też przystąpił do studyów porównawczych jak najobjektywniej, badając zawisłość i początek wątków powieściowych, bez jakiegokolwiek z góry powziętej tezy.

W Europie wogółności, a zwłaszcza między narodami słowiańskimi, można rozróżnić trzy dość ostro zarysowane połacie: 1) zachodnio i środkowo-europejską, 2) wschodnio-europejską i 3) południowo-wschodnio-europejską. Między niemi mogły być pewne drobniejsze, przechodnie etapy, zwłaszcza między środkową a wschodnią Europą. Co się tyczy wzajemnych stosunków między głównemi połaciami, to największym jest wpływ zachodnio i środkowoeuropejski na wschodnią połąć, ale nie tyle wpływ ustnej tradycyi, ile ludowych tradycyi w opracowaniu książkowym, podczas gdy wpływ wschodnio-europejskich tradycyi na zachodzie jest bardzo nieznaczny. Połąć południowo-wschodnia uległa najsilniej oddziaływaniu orientalnemu za pośrednictwem tureckiem, pozatem w dość znacznej mierze okazuje się zawisłość od tradycyi kaukaskich, częściowo też od małoruskich.

Tradycje mogłyby się rozszerzać bez ograniczenia, jak nasiona roznoszone wiatrem. Ale jak nasiona potrzebują odpo-

wiedniego gruntu, ażeby mogły kiełkować, tak samo i wątki powiastkowe muszą znaleźć odpowiednie warunki, w których aklimatyzują się, przetwarzając się równocześnie. Stąd więc można rozpoznawać owe prądy, roznoszące tradycje ludowe, można stwierdzić, jak daleko dany wątek jest rozszerzony, skutkiem czego zbliżamy się do ostatecznego celu badania, możemy pokusić się o rozwiązanie początku i powstania owego wątku. Mimo jednak całego przeświadczenia, że teoria migracyjna jest dziś najodpowiedniejsza, prof. Polivka chętnie godzi się niejednokrotnie na to, że istnieją wątki, które pozostały samodzielnie w różnych krajach, na zasadzie takich samych, wspólnych wszystkim psychicznych motywów. Jest to ustępstwo słuszne, idące bardzo daleko.

Wyjaśniewszy stanowisko i zasady metodyczne prof. Polivki, przystępujemy do rozpatrzenia poszczególnych jego studyów.

Do napisania pierwszego z nich dała mu pochop bajka niemiecka z połowy XVI wieku, która w streszczeniu przedstawia się następująco: Raz krawiec zabił siedm much naraz kawałkiem sukna, na którym dał sobie wybić złotemi literami napis: siedm naraz zabito«, zrobiwszy zaś z niego odzienie, chodząc w niem, aż zaszedł na dwór królewski. Gdy królowi doniesiono o tak wielkim rycerzu, król przełknięty postanowił wystawić bohatera na ciężką próbę. Obiecał tedy krawcowi dać połowę królestwa i poślubić mu córkę, jeśliby zabił dwu olbrzymów. Krawiec, uzbierawszy garść kamieni, udał się do lasu, a usiadłszy na skałach opodal śpiących olbrzymów, począł rzucać to na jednego, to na drugiego kamieniami. Wówczas jeden, myśląc, że to drugi go bije, porwał się do bójki z drugim olbrzymem, w której obaj śmiertelnie się poturbowali. Krawiec, przebiwszy obu mieczem, przekonał wszystkich o swej waleczności. Tak samo wyszedł obronną ręką, uciekłszy się do podstępu, z dwu prób następnych (jednorożec). Ożenił się z córką królewską, ale gdy we śnie opowiedział, w jaki sposób wszystko się stało, król wydał nakaz do uśmiercenia krawca, o czym krawcowi doniósł wierny sługa. Krawiec tedy w nocy, czując pod drzwiami siepaczy, odezwał się, że jak zabił siedmiu odrazu, dwu olbrzymów i t. d., tak samo nie boi się nastawionych morderców. Słudzy, słysząc to, uciekli, a gdy nikt nie odważał się więcej dybać na życie krawca, on żył i królował szczęśliwie.

Powiastka ta jest bardzo szeroko rozpowszechniona w licznych wersjach od zachodniej Europy aż po wschodnie Indye. Wszystkie one zostały tu gruntownie rozpatrzone, wykazany ich wzajemny związek i różnice między niemi zachodzące. Wątek ten powstał najpierw w Europie środkowej w dobie upadku rycerstwa, przyczem zauważyć należy, że najliczniejsze wersje posiadają Niemcy i Włosi. Stąd przeszła w słabsze

mierze do Anglii i aż na Irlandyę. Z Niemiec dostała się do wschodnich sąsiadów słowiańskich, do Węgrów, a wreszcie w bardzo słabym odgłosie pojawia się u Małorusów. Od środkowo i zachodnio-europejskich wersji odchylają się ruskie, małoruskie i białoruskie, tworząc osobny rodzaj, tak że można stwierdzić samodzielne powstanie tej powiastki na Rusi z ruskich powieści heroicznych. Osobny typ mają wersje kaukaskie i z niemi spokrewnione bułgarskie, osobny wreszcie wersje indyjskie i mongolskie. Stąd też zupełnie słusznie utrzymuje autor, że wątek ten powieściowy powstał oryginalnie w różnych miejscowościach.

Przedmiotem drugiej rozprawy jest motyw o smutnej księżniczce, przeznaczonej za żonę temu, który ją rozweseli. Motyw ten powstał odrębnie w różnych krajach. Powiastki tej kategorii dadzą podzielić się na kilka grup, za zasadę zaś tego podziału trzeba przyjąć środki, z pomocą których księżniczka rozweseliła się. Najprzód tedy roześmiała się na widok osobliwszego pochodu ludzi różnych stanów, a niekiedy też zwierząt, złączonych razem, bez możności oderwania się od przedmiotu, który ich przytrzymuje. Przedmiotem tym są bądź ptaki, bądź zwierzęta, bądź ryby, i t. p. Na pytanie, gdzie powstały powiastki tej kategorii, nie podobna odpowiedzieć; można tylko skonstatować, że są rozpowszechnione w środkowej i zachodniej Europie, a tylko pojedynczo przeszły na wschód. W innej grupie można księżniczkę uzdrowić śmiechem, który to wątek pochodzi z Indyj, skąd w średnich wiekach przeszedł do literatury francuskiej. Opracowywano go niejednokrotnie w literaturach zachodnich; skąd przedostał się na Ruś i krąży dotąd wśród ludu. Najdalszem ogniwem tego wątku są powiastki, w których śmiech ma jeszcze inny cel, aniżeli rozweselenie księżniczki.

Do trzeciej rozprawy dostarczyła tematu powiastka o królewskich córkach, które co noc gdzieś znikają i darły kilka par trzewików. Powiastka ta jest szeroko rozpowszechniona, lecz tylko w Europie, pomiędzy ludami chrześcijańskimi. Wobec zupełnego braku analogicznego podania średniowiecznego, nie podobna oznaczyć dokładniej genezy tej bajki.

Pierwsza z legend o czarcie p. t.: »Djabelski szwagier« ma treść następującą: Człowiek, zazwyczaj wojak, zawiera z czartem umowę, że przez siedm lat nie będzie się mył ani strzygł, za co ma otrzymać wielkie bogactwa. Kiedy termin minął, stanął do ślubu z najmłodszą córką bogacza, która mimo jego niechlujstwa postanowiła oddać mu rękę. Gdy zaś przed ślubem oświadczył, że teraz może się już myć i strzydz, włosy, bo minął czas wyznaczony, dwie starsze siostry panny młodej zabiły się z rozpacz. W ten sposób czart dostał dwie dusze. Powiastka ta występuje najobficiej w środkowej Europie i we

Włoszech. Na wschód przenikła bardzo słabo. Początków jej trzeba szukać w Europie środkowej.

Treścią powiastek o »Pokutującym dyable« jest służba dyabła u chłopu przez pewien przeciąg czasu za karę, że chłopu ukradł chleb, przeznaczony na posiłek południowy. Wątek ten daje się zauważyć u nas, u Mało i Białorusów. Od nich przeszedł na Litwę, w poszczególnym wypadku można go znaleźć w tradycyi ludu rosyjskiego. Pozatem została ta powiastka zapisana u Słowaków, na Morawie, u Słowieńców styryjskich i u Chorwatów. W tradycyi narodów zachodnio-europejskich nie istnieje wcale. Tak samo obcą jest prawosławnym narodom słowiańskim.

Dwie legendy; których rozbiór króciutki kończy książkę prof. Polivki, są zbyt drobiazgowe, ażeby się niemi zajmować, zwłaszcza że i tak nasze sprawozdanie przekroczyło zwyczajne ramy. Bardzo pożytecznym jest dodany spis motywów i wątków powiastkowych, oraz rozebranych powiastek, ułatwia bowiem wielce oryentację w całym dziele.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Polemika.

Jeszcze w r. 1902 umieścił »Lud«, Tom VIII. str. 322 ocenę pracy mojej: Zakopane przed stu laty, wydanej w Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego, Tom XXII. 1901. Przeoczyłem ją wówczas, dlatego dopiero teraz na nią odpowiadam, a zmusza mnie do tego okoliczność, że autor oceny p. Henryk Ułaszyn czyni mi zarzuty niesłuszne i najzupełniej nieusprawiedliwione.

Zarzuca mi, że nie wspomniałem ani słówkiem, skąd wzięłem wzory do dwu tablic barwnych ze strojami ludowymi. Następnie odkrywając to źródło, z którego czerpałem, czyni mi zarzut dalszy, że bezpodstawnie stroje przeniosłem do okresu przed stu laty, kiedy źródło pochodzi z r. 1842. Zarzuty ciężkie, bo mimowoli wnioskuje czytelnik, że widocznie dlatego źródła nie podałem. aby módz dowolnie użyć materiału i nie potrzebować usprawiedliwiać się z tego postąpienia. I byłoby wszystko w porządku, gdybym najwyraźniej sam nie podał źródła, z którego czerpałem, gdybym następnie nie wytłomaczył, dlaczego stroje te uważam za pochodzące z wieku XVIII. A to piszę w pracy mej na str. 159 w słowach: »Stroje, a zwłaszcza opis szuby, którą nosiły kobiety, zgodziły się w zupełności, z chromolitografią, która jest dodana do opisu Tatr z roku 1842, w dziele: *Das pittoreske Oesterreich*, zeszyt 21, *Der Sandecer Kreis*, — przez J. Mehoffera. Oryginał malował R. Alt widocznie na miejscu. Chociaż więc wyobrażenie to strojów pochodzi już z w. XIX., niewątpliwie przedstawia ubiór z czasów

dawniejszych, z wieku XVIII., ubiór, który się jeszcze zachował w pierwszych dziesiątkach lat stulecia następnego. Dodałem tylko do strojów herby, jakie przysłużyły starostwu nowotar-skiemu, a z niem i Zakopanemu za czasów polskich, to jest herb województwa krakowskiego i herb ziemi sądeckiej z barwami podług ostatniego opisu w herbarzu Niesieckiego.

Tytuł źródła przytem podałem dokładnie, wymieniwszy autora dziełka i malarza, kiedy p. Ułaszyn umieszcza tylko nazwisko nakładcy, pod którem chyba nie znajdzie pracy nikt w żadnej bibliografii. Ostaćby się więc wobec tego mógł tylko jeden zarzut, że nie wymieniłem nakładcy, wymieniając autora i malarza, jednakowoż chyba także niesłuszny!

Dlaczego tedy zarzuca recenzent mnie nie sumiennność, jeżeli sam nie przeczytał uważnie pracy? Czyż nie byłby raz czas, aby zerwać z szablonem krytyki, która w początku nazywa pracę wyborną, a w końcu zamiast rozbioru istotnego rzeczowego, zaczyna o jakiś drobiazg i to do tego, jak w tym razie bezpodstawnie, ot tak dla wrażenia, że krytyka musi trochę pochwalić, a trochę poganić?

Wiem i czuję to dobrze, że są braki w mej pracy, dałem początek, który był bardzo trudny, zapowiedziałem część dalszą, ale to, co dałem, było zebrane sumiennie.

Kończę, prosząc Szanowną Redakcję o umieszczenie w »Ludzie« słów mojej koniecznej obrony w imię słuszności.

Stanisław Eljasz Radzikowski.

Od Redakcyi.

Przed dwoma laty zachorował Czcigodny Prezes Towarzystwa ludoznawczego i wielce zasłużony i wieloletni Redaktor »Ludu«, prof. dr. Antoni Kalina.

Wówczas Zarząd Towarzystwa zwrócił się do nas z propozycją, abyśmy objęli redakcyę »Ludu« na czas choroby Prezesa.

Nie kwapiliśmy się do tej pracy, bo pojmowaliśmy dobrze trudne położenie redakcyi pisma etnograficznego polskiego, posiadającego fundusze, wystarczające zaledwie na pokrycie kosztów druku i papieru, a opierające całą pracę autorską i redaktorską na bezinteresownej ofiarności współpracowników. Gdy jednak zwrócono nam uwagę, że pismo tak potrzebne i zasłużone może upaść, objęliśmy redakcyę i według najlepszych chęci i możliwości poświęciliśmy wiele pracy i czasu, aby czasopismo utrzymać na wysokości nauki.

Nie do nas należy sąd, o ile spełniliśmy trudny a dla idei podjęty obowiązek. Wszelako dzisiaj, gdy stosunki ułożyły się tak pomyślnie, że redakcyja »Ludu«, który jest organem Towarzystwa ludoznawczego, powraca znowu do Lwowa, do siedziby Zarządu Towarzystwa, składamy, przyjęte na siebie w ciężkich chwilach dla pisma, obowiązki z tem przeświadczeniem, że służyliśmy wedle sił poważnej sprawie.

Z tym zeszytem oddajemy redakcyę »Ludu« w ręce nowego Zarządu Towarzystwa i dziękujemy najserdeczniej wszystkim czcigodnym współpracownikom za popieranie naszych usiłowań i dążności i upraszamy ich, aby nową redakcyę darzyli podobnem zaufaniem i poparciem.

Severyn Udziela.

Karol Potkański.

